

Pamiętniki Osób LGBTQIA+

Mała antologia

styczeń

lut

P•W•S•C•P•S•N P W S C P S N

~~1 2 3 4 5 6 7~~ ~~1 2 3 4~~

~~8 9 10 11 12 13 14~~ 5 6 7 8 9 10 11

~~15 16 17 18 19 20 21 22~~ 13 14 15 16 17 18

~~22 23 24 25 26 27 28~~ 19 20 21 22 23 24 25

~~29 30 31~~ 26 27 28

marzec

kwiecień

p w s c p s n

p w s c p s n

~~1 2 3 4~~

5 6 7 8 9 10 11

12 13 14 15 16 17 18

19 20 21 22 23 24 25

26 27 28 29 30 31

~~1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15~~

16 17 18 19 20 21 22 23 24 25 26 27 28 29

30

Palenie zwiększa

Pamiętniki Osób LGBTQIA+

Mała antologia

Redakcja:

Julia Bednarek

Piotr Laskowski

Sebastian Matuszewski

Łukasz Mikołajewski

Michał Sobczak

Listopad 2021

HEINRICH BÖLL STIFTUNG

WARSZAWA

Polska

**Pamiętniki Osób LGBTQIA+
Mała antologia**

Publikacja przygotowana na zlecenie i wydana przez Fundację im. Heinricha Bölla w Warszawie

Redakcja: Julia Bednarek, Piotr Laskowski, Sebastian Matuszewski, Łukasz Mikołajewski,

Michał Sobczak

Koordinacja projektu: Katarzyna Pabijanek, Gert Röhrborn

Projekt i skład: Studio27

Zdjęcie na okładce: Fragment z nadesłanego na konkurs pamiętnika autorstwa m.a.c.

ISBN 978-83-61340-81-2

Elektroniczna wersja do pobrania: <https://pl.boell.org/pl/kategorie/publikacje>

Data wydania: Listopad 2021



Publikacja ta została wydana na licencji Creative Commons:

Uznanie autorstwa-Użycie niekomercyjne-Bez utworów zależnych-Brak dodatkowych ograniczeń (CC BY-NC-ND 4.0).

Tekst licencji można pobrać pod adresem: [//creativecommons.org/licenses/by-nc-nd/4.0](https://creativecommons.org/licenses/by-nc-nd/4.0)

SPIS TREŚCI

Joanna Maria Stolarek – Wstęp / 5

Piotr Laskowski, Łukasz Mikołajewski – Wprowadzenie / 7

1. Pamiętnik niebinarnej osoby z Białegostoku / **21**
2. Autor anonimowy – Angelizm / **35**
3. Marcin – Pamiętnik / **47**
4. Magda – Pamiętnik / **57**
5. Nina – Pamiętnik / **63**
6. Łukasz – Pamiętnik / **85**
7. Ada Łaniewicz – Pamiętnik lesbijki z powiatowego miasteczka / **89**
8. Piotr Chlebus-Jancarczyk – kToś(ka) / **115**
9. Andrzej – Jabłka z musztardą / **127**
10. Doma – Drogi lesbijski pamiętniczku! / **133**
11. Kordian – Pamiętnik / **153**
12. Bartłomiej Dębniak – Pamiętnik / **159**
13. Kinga Kosińska – Pozdrowienia z mojej samotności / **169**
14. Pamiętnik aromantycznej aseksualnej cis kobiety / **179**
15. Bartek – Pamiętnik / **183**
16. Anna Nadar „Bułka” – Na przekór / **187**
17. Maksym Piekart – Gdyby Mama wiedziała / **263**
18. Lucjusz T. Olszewski – O chłopcu, który nie istnieje / **309**

WSTĘP

Osoby LGBT+ to my. To Twój wujek, sąsiadka, koleżanka z ławki, pracowniczka czy sprzedawca w sklepie. Spotykamy się w kawiarni czy w kolejce do lekarza, płacimy te same podatki. Mamy podobne lub różne poglądy na politykę i rzeczywistość.

Piszemy pamiętniki.

Różni nas dostęp do praw. Miłość osób LGBT+ w Polsce jest wciąż okryta tabu, cichym szeptem krewnych przy kolacji świątecznej, kąśliwym komentarzem mijającej nas na ulicy osoby, oceniającym wzrokiem sąsiadki czy wyrzuceniem z domu przez ojca, któremu nie spodobał się nienormatywny wygląd. Osoby LGBT+ nie dowiedzą się o stan ukochanej osoby w szpitalu, nie rozliczą wspólnie podatków, nie wezmą ślubu. Dotyka je systemowe wykluczenie przez instytucje państwa, a tym samym przyzwolenie na nienawiść społeczeństwa, rodziny, kościoła.

Sięgając po pamiętniki osób LGBT+ możemy zobaczyć nie tylko siebie, ale też o wiele więcej. Zetkniemy się w nich z młodzieńczą bez troską i radością towarzyszącą pierwszej miłości, ale też gorzkim bólem codziennej egzystencji, nienawiścią i agresją prowadzącą do dramatów. Przedstawione w nich historie napisało samo życie, a opowiedzieli je ich bohaterowie i bohaterki. Obraz, jaki przedstawiają, czasami przeraża, ale również jest świadectwem silnej woli i walki o swoją własną tożsamość.

Sytuacja osób nieheteronormatywnych w Polsce jest alarmująca. Świadczą o tym raporty polskich organizacji LGBT+ i ranking ILGA-Europe, w którym Polska zajmuje od 2020 roku ostatnie miejsce wśród krajów UE. Eksperci zwracają uwagę także na fakt, że doświadczenie homofobii splata się tutaj z systemową instytucjonalną dyskryminacją osób LGBT+. Jak zauważyła w swoim raporcie z grudnia 2020 Komisarz Praw Człowieka Rady Europy Dunji Mijatović, homofobiczne i transfobiczne wypowiedzi polityków podsycają atmosferę nienawiści wobec środowiska i osób LGBT+, a oferowana przez system prawny ochrona przed dyskryminacją bywa nieskuteczna. Trzeba o tym mówić głośno, aby móc to zmienić.

Pamiętniki osób LGBT+ powstały w ramach trwającego od ponad roku pionierskiego projektu badawczego, realizowanego przez Pracownię Badań nad Historią i Tożsamościami LGBT+ działającą w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych

Uniwersytetu Warszawskiego we współpracy z Fundacją im. Heinricha Bölla w Warszawie. Wspieranie i realizowanie projektów przeciwstawiających się narastającej homofobii wpisuje się w misję naszej Fundacji i wynika z potrzeby angażowania się w obronę uniwersalnych praw człowieka, wolności, godności ludzkiej, równości i demokracji.

Zatrzymajmy się na chwilę, posłuchajmy tych bardzo osobistych historii.

Życzę dobrej lektury.

Joanna Maria Stolarek
Dyrektorka Fundacji im. Heinricha Bölla w Warszawie

WPROWADZENIE

Publikowane w tym tomie pamiętniki zostały nadesłane na konkurs zorganizowany w 2020 roku przez działającą przy Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego Pracownię Badań nad Historią i Tożsamościami LGBT+ we współpracy z Fundacją im. Heinricha Bölla w Warszawie. Ogłaszając konkurs, kierowałyśmy się przekonaniem, że do najistotniejszych źródeł wiedzy o życiu ludzi należą ich własne opowieści – to, co chcą o sobie powiedzieć, to, co sami_e uznają za najważniejsze. Celem konkursu było zachęcenie osób nieheteronormatywnych do spisania pamiętników, w których własnym głosem opowiedziałyby o swoich doświadczeniach, a następnie udostępnienie tych pamiętników osobom, które chciałyby się dowiedzieć, jak wygląda życie osób LGBTQIA+¹ we współczesnej Polsce.

Inspirację do zorganizowania konkursu czerpałyśmy z kilku źródeł. Po pierwsze z konkursów pamiętnikarskich organizowanych w okresie międzywojennym, w latach Wielkiego Kryzysu, przez Instytut Gospodarstwa Społecznego. W 1933 r. IGS przygotował edycję „Pamiętników bezrobotnych”, w latach 1935-1936 ukazało się w dwóch seriach najsłynniejsze chyba jego dzieło: „Pamiętniki chłopów”, wreszcie w 1939 r. wydano „Pamiętniki emigrantów”. W słowie wstępnym do „Pamiętników bezrobotnych” jeden z organizatorów konkursu, socjolog i kierownik Instytutu, Ludwik Krzywicki pisał: „niechaj idą w świat, choćby miały wywoływać takie ciężkie wrażenie, niechaj budzą sumienia ludzkie”. Krzywicki nazywa te pamiętniki „przejmującym zgrzytem”, wydobywają one bowiem ludzkie cierpienie, mękę, do tej pory bezgłosną. W przedmowie do drugiej serii „Pamiętników chłopów” Maria Dąbrowska podkreślała wagę, jaką miało powstanie tego zbioru: „Dziś w Pamiętnikach przemówił do wszystkich, mających uszy ku słuchaniu, Wielki Nieznany”, a Krzywicki zaznaczał we wstępie do serii pierwszej: „są to przyczynki, z których można nauczyć się dużo, bardzo dużo, co do dróg i sposobów życia rzesz milionowych”.

Podczas gdy konkursy pamiętnikarskie IGS stawiały sobie za cel poznać warunki życia klas i grup wykluczonych ekonomicznie, dotkniętych tragedią kryzysu, lecz przynależących do społeczeństwa większościowego, równolegle rozwijała się w Polsce idea pisania historii mniejszości – Żydów, doświadczających nie tylko (choć często także) nędzy ekonomicznej, lecz również antysemickiej przemocy, pogardy

1 Choć w nazwie Pracowni obecny jest akronim LGBT+, gdzie znak + wyraża wielość nieheteronormatywnych tożsamości, w niniejszym tekście używamy akronimu rozszerzonego, który silniej akcentuje wielość i wzmacnia widoczność różnorodnych tożsamości.

i wykluczenia. Punktem wyjścia był sformułowany przez jednego z ojców wschodnio-europejskiej historiografii żydowskiej, Szymona Dubnowa, program zbierania przez całą społeczność wszelkich śladów żydowskiej przeszłości. W II Rzeczypospolitej do pomysłów Dubnowa nawiązał powołany w 1925 roku w Wilnie Żydowski Instytut Naukowy (JIWO). W 1932, 1934 i 1939 roku Instytut ogłosił trzy konkursy na autobiografie (pamiętniki) młodzieży żydowskiej. Celem było zgromadzenie dokumentów odzwierciedlających doświadczenia młodzieży z grupy mniejszościowej, dorastającej w rzeczywistości kształtowanej przez antysemitkę propagandę. „Nie myśl, że ‘drobnostki’ nie są ważne” – wzywał zespół badawczy JIWO w ogłoszeniu konkursowym, podążając za ideą Dubnowa, że każdy element składający się na mniejszościową historię ma znaczenie i winien zostać zachowany.

Wreszcie trzecim źródłem inspiracji dla naszego konkursu były rozwijane od lat w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych badania wykorzystujące metodę biograficzną do analizy „społecznej tożsamości jednostki” – sposobów tworzenia i przeżywania tożsamości, także, czy może przede wszystkim, mniejszościowej. Wybitna przedstawicielka tego nurtu, prof. Małgorzata Melchior, zwracała uwagę na rozróżnienie „biografii tematycznej” i „biografii kompletnej”. Nasz konkurs, przez sam fakt, że adresowany był do społeczności LGBTQIA+, przynieść miał zapis biografii tematycznych, obraz życia pisany z perspektywy doświadczenia mniejszościowego, którego uwzględnienie jest koniecznym warunkiem urzeczywistnienia równości w różnorodności. Ogromne znaczenie miały przy tym dla nas tradycje ISNS związane z rozwijanymi przez prof. Małgorzatę Fuszare *gender studies* i pionierskimi badaniami prof. Jacka Kochanowskiego, twórcy i kierownika siostrzanego Ośrodka Badań Społecznych nad Seksualnością.

Zorganizowanie konkursu stało się możliwe dzięki wsparciu i życzliwej współpracy Fundacji im. Heinricha Bölla w Warszawie, która ufundowała nagrody, finansowała upowszechnienie informacji o konkursie, wreszcie – jest wydawcą tego tomu. W toku prac komisji konkursowej okazało się, że przewidziana wcześniej liczba nagród jest zbyt mała – wówczas badaczki z ISNS, wśród nich dyrektorka Instytutu prof. Iwona Jakubowska-Branicka oraz dr hab. Magdalena Dudkiewicz, ufundowały dodatkowe wyróżnienia.

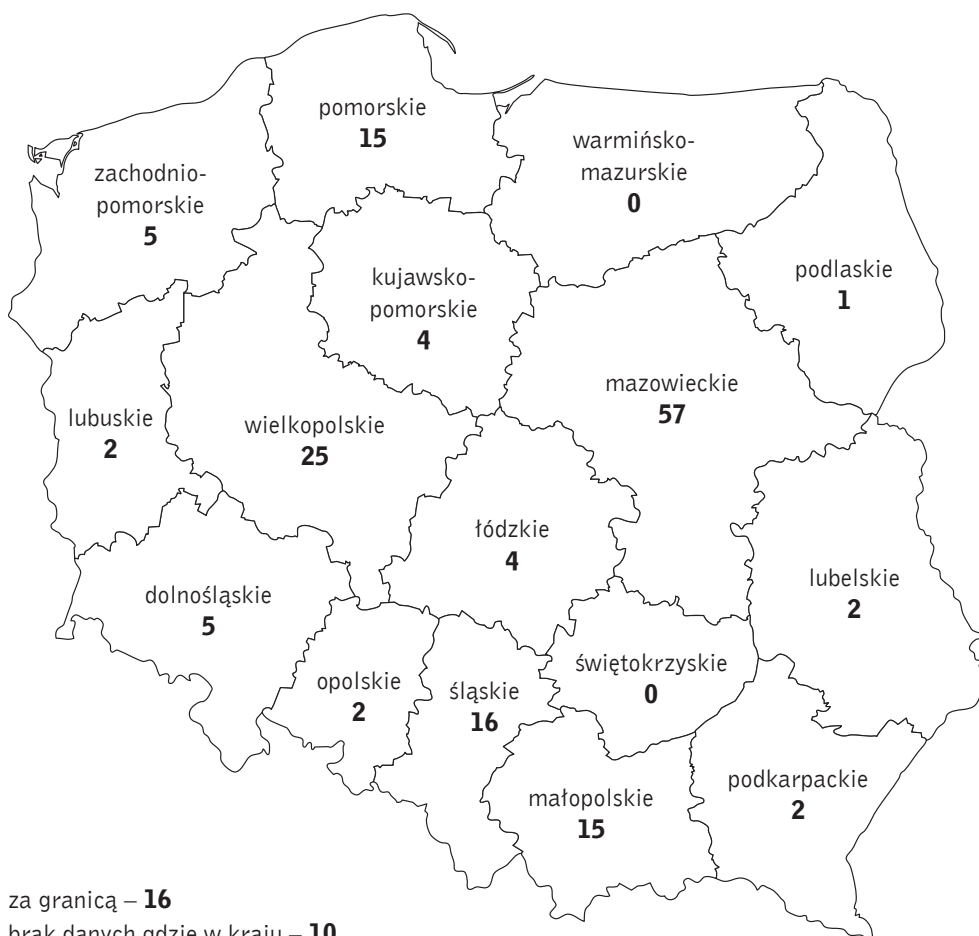
Przebieg konkursu i zbiór pamiętników

Konkurs został ogłoszony 1 czerwca 2020 roku na stronie ISNS oraz na fanpejdżu facebookowym Pracowni. Ogłoszeniu towarzyszyły „Wskazówki konkursowe” luźno inspirowane kwestionariuszami stworzonymi 90 lat wcześniej przez IGS i JIWO. Pisały_liśmy:

„Zależy nam na relacji o całym Waszym życiu, nie tylko o aktualnym momencie. Nie starajcie się nadać pamiętnikowi literackiej czy eleganckiej formy: nie rezygnujcie z pisania, jeśli wątpiecie w swoje literackie talenty! Liczą się Wasze przeżycia, pamięć

o realnych sytuacjach, o tym, w czym braliście i brałyście udział, czego doświadczyliście i doświadczyliście, co widzieliście i widziałyście. Liczy się Wasza opowieść o Waszym życiu, z jego wyborami, radościami i trudnościami (...). Bez względu na to, czy zapisana pięknie, czy po prostu. Nie ma sytuacji czy przeżyć nieważnych – liczy się wszystko, co jest ważne dla Was – jeśli jest ważne dla Was, jest warte zapisania. Piszcie otwarcie, szczerze i bez obaw. Długość Waszego tekstu nie ma kluczowego znaczenia, liczy się to, żebyście opisały_li w nim to, co jest dla Was ważne i co pozwoli innym dowiedzieć się, jaka jest historia Waszego życia”²

Gdzie mieszkają osoby, które nadały pamiątki



² Pełny tekst ogłoszenia konkursu można znaleźć na stronie: <http://isns.uw.edu.pl/pliki/struktura/lgbt/Ogloszenie-Konkursu-i-wskazowki.pdf>.

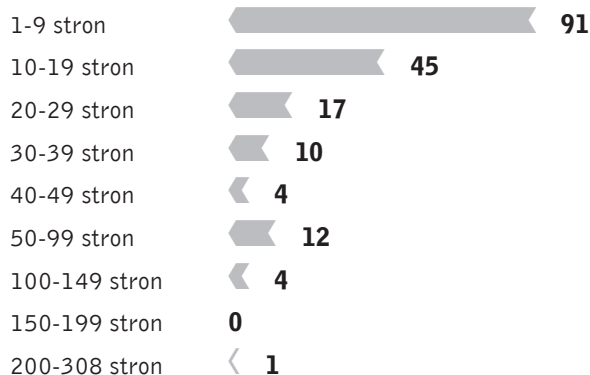
Wskazówki obejmowały wyliczenie przykładowych zagadnień, które mogłyby zostać poruszone w pamiętniku, przy czym zaznaczałyśmy mocno, że „nie są to punkty obowiązkowe, tylko sugestie, propozycje, które mogą ułatwić zapisywanie własnych przeżyć”. Decyzja o tym, co i jak opisywać, należała w pełni do osób piszących i niezwykle ciekawą kwestią jest to, jaki użytek czyniły one z naszych wskazówek – niektóre osoby dokonywały wyboru kilku zagadnień, organizując wokół nich tekst, inne w ogóle nie zwracały na nie uwagi.

Informacje o konkursie udostępnione zostały na profilach organizacji działających na rzecz osób LGBTQIA+, udostępniały je również osoby prywatne, w kilku miejscach zawisły plakaty. W ostatniej fazie konkursu, od września 2020 r., kampanię informacyjną w swoich mediach społecznościowych przeprowadziło pismo „Replika”. Termin nadsyłania prac został wyznaczony na 15 października 2020 r. Większość z nadesłanych pamiętników napisano, co istotne, w sierpniu-październiku 2020 r. Niekiedy osoby piszące włączały do swoich pamiętników wcześniejsze zapiski, notatki, fragmenty dzienników, częściej jednak impulsem do podjęcia pisania była informacja o konkursie i potrzeba zareagowania na bieżące wydarzenia.

Swoje teksty przesłały nam 184 osoby (dla porównania pierwszy konkurs IGS przyniósł 774 pamiętniki bezrobotnych, na trzy konkursy IIWO nadesłano nieco ponad 600 autobiografii). Pamiętniki pochodzą z całej Polski (zabrakło głosów z jedynie dwóch województw – szczegółowe informacje podajemy na załączonej mapce) i co ważne, nie tylko z dużych ośrodków miejskich, lecz także z mniejszych miast i wsi. Wiele pamiętników osób mieszkających obecnie w metropoliach opisuje doświadczenie dorastania w małej miejscowości. W tej mierze zbiór zawiera głosy rzadko wybrzmiewające w przestrzeni publicznej. Stanowi również ważne źródło pozwalające badać mobilność osób LGBTQ+, motywacje i kierunki migracji. Szesnaście pamiętników napisały osoby mieszkające poza Polską.

Wykres 1.

Liczba stron pamiętników

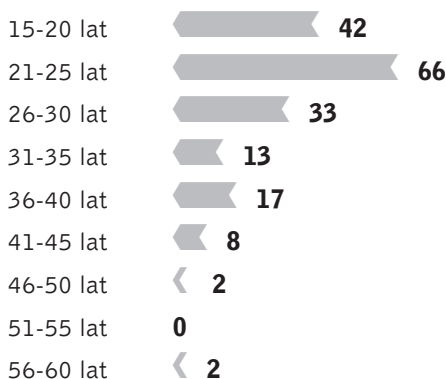


Pamiętniki w większości nie są zbyt długie, połowa nadesłanych tekstów nie przekracza 10 stron, kolejne czterdzieści tekstów liczy stron kilkanaście. Powierzono nam jednak również kilkanaście pamiętników obszernych, liczących ponad 50 stron, najdłuższy zaś ma stron 308.

Należy zwrócić uwagę, że ogromna większość osób, które zdecydowały się przesłać nam swoje wspomnienia, jest bardzo młoda: aż czterdzieścioro Autorek_ów miało 15-20 lat, ponad sześćdziesięcioro – 21-25 lat, ponad trzydzieścioro – 26-30 lat. Jedynie kilkanaście tekstów nadesłały osoby, które ukończyły czterdziesty rok życia.

Wykres 2.

Wiek osób piszących (jedna osoba nie podała wieku)



Czym wytłumaczyć tak wyraźny profil wiekowy osób autorskich? Mógł na niego wpłynąć sposób upowszechniania informacji o konkursie, przede wszystkim za pośrednictwem mediów społecznościowych. Znaczenie mógł też mieć fakt, że ogłaszająca konkurs Pracownia istnieje od niedawna – powstała w 2019 roku. Osoby starsze być może chętniej powierzają swoje wspomnienia organizacjom, które długoletnią, wytrwałą pracą zdobyły ich zaufanie – na przykład istniejącemu od 1995 r. archiwum Lambdy Warszawa. Istotną rolę odegrać mogły, jak sądzimy, wydarzenia, do których doszło w okresie trwania konkursu i które wyzwoliły w młodym pokoleniu osób LGBTQIA+ w Polsce potrzebę mówienia o swoim życiu w sposób odważny i otwarty, wolny od autocenzury. Uderzającą cechą nadesłanych pamiętników jest ich śmiała szczerość, wyzwolona z więzów normalizującej poprawności, jaka nieraz towarzyszyła wcześniejszym próbom pozyskania akceptacji społeczeństwa większościowego. Wiąże się to ściśle z deklarowanymi przez osoby autorskie motywami, które skłoniły je do pisania – do tej kwestii jeszcze wrócimy.

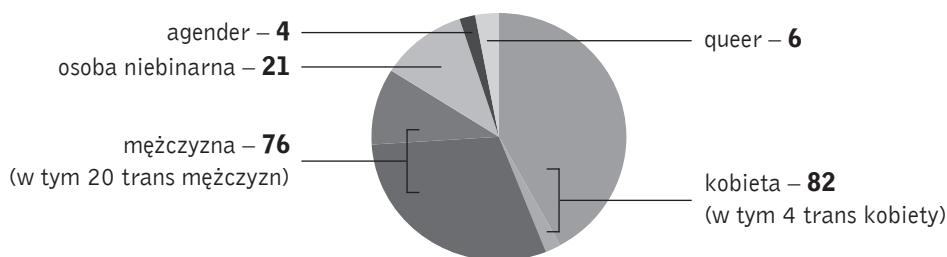
Korzystając z zaproponowanych przez nas formularzy towarzyszących zgłaszaniu pamiętnika, ponad połowa osób określiła swoją identyfikację psychoseksualną jako homoseksualną, prawie czterdzieści osób – jako biseksualną, po kilkanaście – jako queer i panseksualną, po kilka osób – jako demiseksualną, aseksualną, panromantyczną

i heteroseksualną. Napisało do nas prawie tyle samo mężczyzn co kobiet, wśród nich było jednak kilkakrotnie więcej transpłciowych mężczyzn niż transpłciowych kobiet. Ponad dwadzieścia osób określiło się jako niebinarne, agender lub queer. Podawane w formularzu identyfikacje trudno jednak uogólniać w sposób ścisły, ponieważ nierzadko bywały one splątane, rozmywane, kwestionowane – towarzyszyły im nieraz zastrzeżenia, że takie „etykiety” nie są wcale trafne czy adekwatne. To w pełni świadome queerowanie kategorii koresponduje z językiem i treścią pamiętników, z obecnym w nich dziurawieniem i przekraczaniem sztywnych podziałów i norm.

30 listopada jury konkursowe składające się z osób tworzących Pracownię Badań nad Historią i Tożsamościami LGBT+ oraz przedstawiciela Fundacji im. Heinricha Bölla w Warszawie ogłosiło decyzję w sprawie nagród. Łącznie udało się nagrodzić 12 pamiętników, przyznając pierwszą, drugą, dwie trzecie i pięć czwartych nagród oraz trzy wyróżnienia.

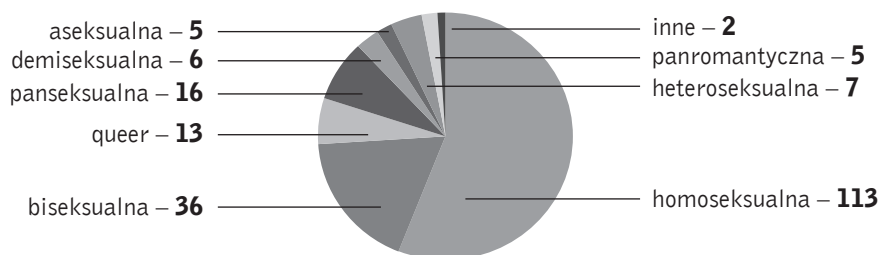
Wykres 3.

Tożsamość płciowa osób piszących (łączna liczba jest większa niż liczba pamiętników, ponieważ niektóre osoby podawały kilka identyfikacji)



Wykres 4.

Orientacja psychoseksualna osób piszących (łączna liczba jest większa niż liczba pamiętników, ponieważ niektóre osoby podawały kilka identyfikacji)



Kłopotliwa formuła konkursu

Sama formuła konkursu, choć ugruntowana w tradycji badawczej, stanowiła dla nas coraz większy problem. Konieczność wyboru tylko kilku spośród nadesłanych pamiętników zdawała się nam w fałszywy sposób przeczyć wartości pozostałych. Co istotne i, jak zobaczymy, charakterystyczne dla tego zespołu tekstów, na nieadekwatność tej formuły zwracały nam uwagę już same osoby piszące. Konfrontując ją z hasłem konkursu (w którym pobrzmiewa echo konkursów JIWO): „Nie ma przeżyć nieważnych”, jedna z Auterek napisała: „Na wstępie chciałam złożyć wyrazy współczucia dla grupy osób, które podjęły się zdecydować o tym, jakie historie zasługują na miano tych najwybitniejszych, wygranych. To musi być cholernie ciężkie, bo w sumie to trochę tak, jakbyśmy wartościowali ludzkie życia. A przecież dążymy do równości, czyż nie?”

Ogłaszając wyniki konkursu, uzasadniałyśmy: „Zdecydowałyśmy się na formułę konkursu, wydawało nam się bowiem, że jest to formuła zachęcająca do pisania, a przede wszystkim ułatwiająca przekazanie informacji, że takie pamiętniki chcemy zgromadzić. Zależało nam na usłyszeniu i zebraniu Waszych głosów. Oczywiście formuła ta ma również swoje wady: sugeruje, że mamy do czynienia z konkurencją i rywalizacją, podczas gdy w mozaice przeżyć, w jaką układają się Wasze pamiętniki, żaden głos nie jest ważniejszy od innych, żaden sposób pisania nie jest właściwszy, żadne doświadczenie nie jest bardziej godne uwagi. Wasze teksty tworzą zróżnicowany, wielogłosowy obraz, i to właśnie, bardziej niż konkursowe wyróżnienia, wydaje nam się istotne i cenne”.

Podjęmując decyzję o przyznaniu nagród, brałyśmy pod uwagę bogactwo szczegółów socjologicznych i historycznych, trudności, jakie mogły towarzyszyć wypowiedzianiu pewnego rodzaju doświadczeń i to, aby dwanaście wybranych tekstów odpowiadało różnorodności doświadczeń osób LGBTQ+ w Polsce. Było jednak dla nas jasne, że zebranych przez nas pamiętników nie da się i nie należy w żaden sposób hierarchizować, że każdy z nich zawiera równie istotną część doświadczenia osób nieheteronormatywnych w Polsce.

Osiemnaście wybranych tekstów a całość zbioru

W marcu 2022 r. nakładem wydawnictwa Karakter ukaże się znacznie obszerniejszy zbiór pamiętników; wszystkie nadesłane teksty zostaną także zarchiwizowane i udostępnione w Gabinecie Rękopisów Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego. Dlatego też niniejszy wybór osiemnastu tekstów warto traktować jedynie jako swego rodzaju sondę czy punkt wyjścia dla lektury większego tomu. Podobnie jak w wypadku nagród, zmierzyć się musiałyśmy z kryterium wyboru. Obok wszystkich pamiętników nagrodzonych, które przedstawiamy tu w kolejności niewyznaczonej przez hierarchię nagród, lecz podyktowanej swoistą korespondencją sąsiadujących tekstów

(czy to opartą na zbieżności poruszanych wątków, czy to na różnicy perspektyw), dodały liśmy teksty poszerzające spektrum doświadczeń o elementy nieobecne w pamiętnikach nagrodzonych. Mamy nadzieję, że już te kilkanaście pamiętników, zaledwie jedna dziesiąta spośród wszystkich nadesłanych, ukazuje wielość tożsamości i doświadczeń osób LGBTQIA+, różnorodność biografii, a zarazem, że czytelna jest tu wspólnota opresji i, co chyba nawet ważniejsze, wspólna potrzeba przeciwstawienia się prześladowaniom i towarzyszącemu im często poczuciu izolacji, dogłębnej, nierzadko druzgocącej samotności – potrzeba, z której rodzi się poczucie solidarności i wzajemnej troski, tak widoczne w nadesłanych tekstach. Nadal jednak chcemy z całym naciskiem podkreślić, że wszelkie kryterium wyboru wydawało się nam ostatecznie niewystarczające czy wręcz fałszywe. Każdy tekst wprowadza element niepowtarzalności, a zarazem wzmacnia wydzwięk innych pamiętników. Dopiero w wielości głosów ujawnia się wyraźnie bogactwo tych indywidualnych historii cierpienia i walki o siebie, ale także historii miłości, przyjaźni, odnajdywania się nawzajem, uzmysławiania sobie i urzeczywistniania prawa do własnego istnienia i do szczęścia w świecie, który tego prawa odmawia.

Co wyłania się z powierzonych nam opowieści? Ograniczymy się tutaj tylko do kilku najogólniejszych obserwacji, opartych na tym, co w tekstach pamiętników powtarza się najczęściej. Same pamiętniki mówią więcej od socjologicznych komentarzy, nie sposób jednak nie zwrócić uwagi na pojawiające się raz po raz opisy skrajnej samotności w okresie dorastania (jedna z osób piszących wspomina o „totalnej absencji osób LGBT” w jej miejscowości). To wrażenie zupełnej nieobecności osób nieheteronormatywnych, połączone z wszechobecnym w przestrzeni publicznej językiem pogardy, stanowi element systemowo podtrzymywanej niewiedzy na temat nieheteronormatywności. Ten stan rzeczy skutkuje groźnymi dla życia kryzysami psychicznymi młodych osób LGBTQIA+, utrudnia im też obronę przed wykorzystaniem seksualnym. Jedna z nastoletnich Auterek wspomina, że dopiero „w szpitalu psychiatrycznym dowiedziałam się czym jest demiseksualizm, transeksualizm i co w ogóle oznacza pojęcie LGBTQ+”. Stało się to nie w rozmowie z personelem lekarskim, lecz z innymi pacjentkami. Wiele pamiętników powstało, jak deklarują osoby piszące, jako akt sprzeciwu wobec zmywu milczenia wokół nieheteronormatywności.

Nie jest zapewne rzeczą zaskakującą to, jak wiele wspomnień dotyczy cierpienia zadanego osobom piszącym za sprawą nauczania Kościoła katolickiego. Wrogi język Kościoła z jednej strony uniemożliwia zaakceptowanie własnej tożsamości, z drugiej pobudza niechęć i agresję otoczenia. W wielu pamiętnikach odnajdujemy zapis trudnego wyzwania się spod wpływu Kościoła.

Życie rodzinne okazuje się często polem podobnej walki o siebie – choć zdarzają się także wzruszające historie bezwarunkowego wsparcia. Zdecydowanie częściej są to jednak historie gorzkie, z których wyłania się przejmujący obraz dominującego modelu wychowania w Polsce: opartego na wymogach i nakazach. Jak ujmuje to jedna z Auterek: „W dzieciństwie myślałam, że to normalne, że wychowanie polega właśnie na tym,

aby być całkowicie podległym rodzicowi.” Inna Autorka pisze o swoich osiemnastych urodzinach: „Jeśli spojrzeć na to z perspektywy legalnej, dziś pierwszy raz myślę i czuję legalnie”.

Nieumiejętność słuchania tego, co dzieci mają do powiedzenia, nieuznawanie ich podmiotowości, splata się ze wspieraną przez nauczanie Kościoła tendencją do wtłaczania ich w heteronormatywne wzorce. W świetle pamiętników widać wyraźnie, jak niszcząca dla rodzinnych relacji okazuje się ideologia „obrony rodziny”, uniemożliwiająca zrozumienie i zaakceptowanie własnych nieheteronormatywnych dzieci. Często dopiero po latach „złego wychowania”, nierespektującego autonomii i prywatności nastolatków, rodzice osób, które napisały pamiętniki, zaczynają być obecni w ich w życiu w inny sposób. Ceną jest jednak często zerwanie bądź znaczące poluznienie relacji do czasu, gdy rodzice rozumieją, że nie mają już wpływu na to, jak żyją ich dzieci. Niekiedy zerwanie z rodzicami okazuje się jedynym sposobem ocalenia siebie.

Szkoła również okazuje się często instytucją wymagającą dostosowania się do jednolitej normy, niezdolną i niechętną do przeciwdziałania homofobicznemu i transfobicznemu dręczeniu. Jedna z Auterek pisze: „Jasne, coś wspominało się na ten temat w szkole, ale było to raczej okazywanie czystej nienawiści do ludzi, których nawet nie potrafili wyodrębnić z tłumu”. Co uderzające, bardzo liczna grupa osób, które napisały pamiętniki, wspomina, że w pierwszych latach edukacji uczyła się chętnie i dobrze. Jednak w czasie, gdy dojrzywały i odkrywały własną tożsamość, szkoła je zawodziła, stawała się głucha, ślepa na ich potrzeby, jeśli nie otwarcie wroga. Efektem jest wycofywanie się młodzieży LGBTQIA+, spadek zaangażowania w naukę, niekiedy nawet wypadanie z systemu edukacyjnego. Dla tych osób, które zdołają przetrwać i ukończyć szkołę z wystarczająco dobrymi wynikami, przełomem życiowym okazuje się często rozpoczęcie studiów uniwersyteckich. W pamiętnikach wyraźnie obecna jest ulga towarzysząca odmiennemu klimatowi intelektualnemu panującemu na uczelniach wyższych – przy czym istotniejsze w opowieściach piszących wydają się postawy osób współstudium i inny typ tworzonej przez nie relacji niż działania kadry dydaktyczno-naukowej.

Ostatnia uwaga socjologiczna, związana z młodym wiekiem piszących: w kontraście do samotności, na którą skazuje osoby LGBTQIA+ najbliższe otoczenie, wielką rolę w odnajdywaniu innych niż heteronormatywne narracji i wzorców odgrywa środowisko wirtualne, internet. Zarówno jako repozytorium tekstów kultury – muzyki, filmów – jak i, przede wszystkim, narzędzie umożliwiające nawiązanie kontaktów społecznych, pozwalające otworzyć sobie świat, odnaleźć przyjazne osoby towarzyszące odkrywaniu własnej drogi. Ten sposób wzajemnego ratowania się i odszukiwania przy pomocy internetu widać zwłaszcza w opowieściach osób transpłciowych, w historiach osób, które dopiero w przestrzeni wirtualnej odkrywają przestrzeń życia prawdziwego, poczynając od możliwości nazywania się własnym – wybranym przez siebie – imieniem.

Specyfika lat 2019-2020

Moment, w którym powstawały pamiętniki, był dla społeczności LGBTQ+ momentem szczególnym – choć czas przeszły jest tu o tyle zwodniczy, że nadal żyjemy w cieniu wydarzeń lat 2019-2020 i w obliczu zagrożenia, z którym nas wtedy skonfrontowano. Dla zarysowania kontekstu, w którym powstawały pamiętniki, zrozumienia emocji doświadczanych przez osoby piszące, konieczne jest zamieszczenie zwięzłego kalendarium tego okresu.

Od wiosny 2019 r. władze samorządowe zaczęły przyjmować uchwały (m.in. przygotowaną przez fundację Ordo Iuris tzw. „Samorządową Kartę Praw Rodzin”), które formalnie stanowiły wyraz sprzeciwu wobec nieokreślonej „ideologii LGBT”, realnie zaś służyły wzbudzeniu wrogości wobec osób nieheteronormatywnych. Uchwały przedstawiano jako reakcję na podpisanie 18 lutego 2019 r. Warszawskiej Deklaracji LGBT+ przez nowo wybranego prezydenta stolicy, Rafała Trzaskowskiego. Kontekstem dla nabierającej tempa homofobicznej kampanii było jednak również ujawnienie przestępstw seksualnych dokonywanych przez duchownych katolickich i mechanizmu osłaniania sprawców przez biskupów: 11 maja 2019 r. premierę w serwisie Youtube miał pierwszy film braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu”. W tym czasie fundacja „Pro – prawo do życia” rozpoczęła zbieranie podpisów pod projektem ustawy, która pod pretekstem walki z pedofilią miała uniemożliwić prowadzenie w Polsce edukacji seksualnej. Na ulice polskich miast wyjechały furgonetki fundacji, oklejone napisami kłamliwie sugerującymi istnienie związku między homoseksualnością a pedofilią. Treść tych napisów ogłaszano również przez zainstalowane na samochodach megafony.

W czerwcu 2019 r., w katolickie święto Bożego Ciała, metropolita krakowski Marek Jędraszewski nazwał Deklarację LGBT+ „deprawacją”, 1 sierpnia zaś, w kazaniu w rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego, wypowiedział słowa o „tęczowej zarazie”.

Kulminacją pierwszej fazy kampanii wymierzonej w osoby LGBTQ+ był atak na Marsz Równości w Białymstoku w lipcu 2019 r. (opis wydarzeń z perspektywy osoby uczestniczącej znajdujemy w pierwszym z publikowanych w tym tomie pamiętników). 7 lipca, dwa tygodnie przed planowanym Marszem, w kościołach Białegostoku odczytano list abp. Tadeusza Wojdy: „Marsz, chociaż zakłada przeciwdziałanie domniemanej dyskryminacji wspomnianych środowisk, w rzeczywistości sprzyja dyskryminacji innych – tych, których sumienie jest wyczulone na dobro społeczne, chrześcijańskie i obyczajowe [...]. Wobec takiej postawy mówimy stanowcze ‘nie’ i powtarzamy za kard. Stefanem Wyszyńskim ‘Non possumus’ – nie możemy się na to zgodzić! [...] nie godzimy się na szydzenie z naszej wiary i deprawację najmłodszych”. 13 lipca Edward Frankowski, emerytowany biskup sandomierski, na spotkaniu Radia Maryja mówił: „Wynika z tego jeden wniosek: Nadszedł czas walki! Już dłużej cofać się nie możemy i nie będziemy! Musimy się bronić w sposób zorganizowany”. 15 lipca ks. Jan Wierzbicki, proboszcz parafii św. Wojciecha w Białymstoku, zwrócił się w obecności

biskupa pomocniczego Henryka Ciereszki do uczestników katolickiej demonstracji słowami: „Za zgodą prezydenta będzie w naszym mieście Sodoma i Gomora” (prezydent miasta, Tadeusz Truskolaski z Platformy Obywatelskiej, zarejestrował Marsz, ale odmówił mu swojego patronatu). 20 lipca odbył się Marsz Równości i doszło do próby pogromu: na osoby uczestniczące w Marszu posypały się kamienie, osoby te były opluwane, wyzywane i bite. 24 lipca „Gazeta Polska” dołączyła do papierowego wydania naklejki „Strefa wolna od LGBT”.

Gdy niemal rok później, 1 czerwca 2020 roku, ogłaszaliśmy konkurs, tematem dominującym w przestrzeni publicznej była epidemia COVID-19. Jednak szybko okazało się, że jednym z motywów przewodnich kampanii wyborczej prezydenta Andrzeja Dudy będzie organizowanie wrogości wobec osób nieheteronormatywnych. „Polska bez LGBT jest najpiękniejsza” – ogłosił 11 czerwca na Twitterze europoseł PiS Joachim Brudziński, rychło zawtórowali mu politycy obozu rządzącego: Jacek Żalek i Przemysław Czarnek. Sam zaś Andrzej Duda, 13 czerwca, w przemówieniu na wiecu wyborczym w Brzegu, powiedział: „Próbuje się nam wmówić, że to ludzie, a to jest po prostu ideologia” – i dodał: „Nie pozwolimy sprowadzać naszych dzieci na złą drogę”. Te słowa stały się wiodącym motywem kampanii, a 6 lipca prezydent podpisał projekt zmiany w konstytucji, wprowadzający zakaz adopcji przez pary jednopłciowe. W obliczu tych insynuacji i wobec dehumanizacji osób LGBTQIA+ najważniejszy kontrkandydat Andrzeja Dudy, Rafał Trzaskowski, zachował daleko posuniętą wstrzeмиęźliwość i również zadeklarował się jako przeciwnik adopcji dzieci przez pary jednopłciowe.

Homofobiczna i transfobiczna nagonka odsłoniła jednak również nowe oblicze społeczności LGBTQIA+. Donośnie wybrzmiał głos młodego pokolenia, odmawiającego dalszego życia w strachu i poczuciu beznadziei. Obok zasłużonych organizacji wyłoniły się nowe kolektywy. W 2019 r. kolektyw „Stop Bzdurom” rozpoczął swą działalność od tanecznych protestów przeciwko projektowi ustawy fundacji „Pro – prawo do życia”. Symbol tęczy i tęczowa flaga stały się znakiem oporu i walki o prawo do publicznego istnienia. 27 kwietnia 2019 r. Joanna Gzyra-Iskandar, Elżbieta Podleśna i Anna Prus w akcie solidarności z osobami nieheteronormatywnymi rozlepiły wlepki z obrazem jasnogórskim z tęczą aureolą, protestując przeciwko instalacji w kościele św. Dominika w Płocku, gdzie pod postacią grzechów ukazano „LGBT” i „gender”. Za sprawą kolektywów „Gang Samzamęt”, „Stop Bzdurom” i Poetki w nocy z 28 na 29 lipca 2020 r. tęczowe flagi pojawiły się na wielu warszawskich pomnikach.³ W kolejnych dniach i tygodniach

3 Dwuczęściowy manifest kolektywów jest doskonałym przykładem nowego języka i nowych form protestu:

„To jest szturm! To tęcza. To atak!

Postanowiłyśmy działać.

Tak długo jak będę się bać trzymać Cię za rękę.

Tak długo aż nie zniknie z naszych ulic ostatnia homofobiczna furgonetka.

To nasza manifestacja odmienności – ta tęcza.

ten gest podjęto w licznych miejscowościach w całym kraju, 14 sierpnia tęcza flaga zawisła na Giewoncie.

Aresztowanie 7 sierpnia 2020 r. Margot Szutowicz, współzałożycielki „Stop Bzdurom”, i przeprowadzony wówczas agresywny policyjny rajd na osoby uczestniczące w demonstracji solidarnościowej, zatrzymanie 48 osób, noszące znamiona nieludzkiego traktowania czynności na komisariatach (stwierdzone przez przedstawiciel_ki Krajowego Mechanizmu Prewencji Tortur⁴) stanowiły, jak się wydaje, punkt zwrotny w dziejach osób nieheteronormatywnych w Polsce. Nadesłane na konkurs pamiętniki dowodzą, że zarówno kampania prezydencka, jak noc 7 sierpnia, nazywana nieraz „Tęczową Nocą” lub „polskim Stonewall”, wywarła silny wpływ na całą społeczność LGBTQIA+. Nie ulega wątpliwości, że wzmogły one poczucie zagrożenia, ale zarazem, paradoksalnie, okazały się doświadczeniem wzmacniającym, pobudzającym do działania. Szczególnie silnie obecna jest więc w pamiętnikach potrzeba troski o innych – świadomość, że w sytuacji, gdy nie można liczyć na opiekę instytucji, społeczność musi opierać się na wzajemnej pomocy, dbaniu o siebie nawzajem. Wysłanie pamiętnika postrzegane jest przez wiele osób autorskich właśnie jako jedna z form wsparcia: piszą, by inne osoby nie czuły się już nigdy więcej samotne. Charakterystyczne, że

Tak długo jak flaga będzie kogoś gorszyć i będzie 'niestosowna', tak długo uroczycie przyrzekamy – prowokować.

Sorry... Nikt przecież nie powie, że polska flaga jest nieestosowna i że kogoś obraża...

Gdy zabierane są nam kolejne prawa, los waży się na szalach władzy.

Niepokoi milczenie polityków – przerażają ich słowa.

Nie będziemy prosić o litość, błagać o szacunek i zrozumienie.

Jesteśmy głosem za małych na to by ich słuchano, za małych by coś powiedzieć.

Uciszanych przez rodziców. Zmęczonych codzienną batalią ze światem.

Odczylił się grzeszności i narzuconej gry w normalność.

Gdy system chce byśmy skakali w ciemność sami, razem wypowiadamy mu walkę.

Syrenka warszawska ma w dłoni miecz i tarczę.

Ma tęczę i bandanę.

To nasze wezwanie do walki.

Jak długo będziemy zasypiać z myślą, że i tak nic się nie zmieni.

tak długo będzie trzeba przypominać o tym, że istniejemy.

Że nie jesteście sami i same.

To miasto jest też nasze.

Walczcie.”

„To szturm! To atak! To tęcza!

Pamięci poległych w walce z codzienną nienawiścią. Tych, którzy mieli siłę, by skoczyć w ciemność. Dodająca wiary w lepszą przyszłość osobom, którym państwo zabrało wolność i bezpieczeństwo. Wzywająca do otwartej wojny przeciw dyskryminacji. Nakazująca nie prosić, nigdy więcej błagać o szacunek i litość. To miasto jest nas wszystkich. Jebcie się ignoranci.

Gang Samzamęt, Stop Bzdurom i Poetka”

4 Raport KMPT z wizytacji ad hoc warszawskich policyjnych jednostek w związku z zatrzymaniami w dniu 8 sierpnia 2020, s. 35-36: <https://www.rpo.gov.pl/sites/default/files/Wyci%C4%85g%20-%20Raport%20KMPT%20z%20wizytacji%20%20ad%20hoc%20warszawskich%20policyjnych%20jednostek%20w%20zwi%C4%85zku%20z%20zatrzymaniami%20w%20dniu%208%20sierpnia%202020.pdf> [dostęp 6 lipca 2021].

adresat_kami pamiętników są bardzo często osoby należące do społeczności LGB-TQIA+. W wielu spośród przesłanych nam tekstów nadzieja, że tekst pamiętnika może zmienić postawy społeczeństwa większościowego, choć obecna, jest drugorzędna wobec przekonania, że opowiedzenie swojej historii na przekór trudnościom jest gestem solidarności, odważnym wkładem w budowanie wspólnoty osób nieheteronormatywnych. Jedna z Auterek pisze: „Postaram się, aby po przeczytaniu tego chociaż jednej osobie odpalił się w głowie trybik mówiący ‘o, a myślałem/am, że jestem z tym sam/a.’”

Język pamiętników i zasady edycji

Na szczególną uwagę zasługuje sposób pisania – język pamiętników. W przedmowie do drugiej serii „Pamiętników chłopów” Maria Dąbrowska pisała: „Powiedzieć o Pamiętnikach, że są utworami sztuki to i za mało, i za wiele. Nie ma tu zamierzenia artystycznego, jednak pierwiastki niekłamane go artyzmu tkwią w nich niby obficie rozsiane okruchy złota w surowej, nieoczyszczonej rudzie”. Taki artyzm, wykraczający poza kwestie pisarskiego rzemiosła, odnajdujemy i w naszych pamiętnikach: w sposobie kształtowania narracji o życiu, które odmawia poddania się normalizacji, odmawia podporządkowania się zasadom, według których „się” żyje, według których się żyć „powinno”. Te opowieści, często o doświadczeniach najtrudniejszych, o próbach samobójczych, o kryzysach psychicznych, nasycone są zarazem często ironicznym, boleśnie celnym, słodkogorzkiem humorem. Stale obecne jest w nich wyzwalające przełamywanie norm – również w planie językowym – i śmiałość życia po swojemu, bez udawania, podporządkowywania się, proszenia o akceptację.

Autorki_rzy podejmują dialog z osobami czytającymi, puszczają do nas oko, żartują, kpią z siebie i ze świata. Często obecność zwrotów kierowanych bezpośrednio do czytających jest szczególną cechą wielu pamiętników. Dzięki temu zyskujemy wgląd w motywację osób piszących – nie chodzi tu o perspektywę wygranej, konkurs stanowił raczej okazję, by podjąć refleksję nad własnym życiem, ułożyć je sobie w głowie, a zarazem podzielić się nim z innymi, żeby było im w świecie nieco lepiej. Stąd też budząca najwyższy podziw odwaga i szczerść tych tekstów.

Przygotowując publikację tego tomu, a także pełną edycję pamiętników, zdecydowały_liśmy się kierować zasadą minimalnej ingerencji w tekst. Podobnie jak zespół ogłaszający pamiętniki zebrane w konkursach Instytutu Gospodarstwa Społecznego, zmiany redaktorskie ograniczyły_liśmy w zasadzie jedynie do poprawy interpunkcji i ortografii, przy czym powstrzymały_liśmy się od korygowania interpunkcji w przypadkach, gdy jej brak lub niepoprawność nadawały tekstowi emocjonalnej mocy, pozostawały bardziej spójne z jego żywiołową treścią. Nie zmieniały_liśmy szyku zdań, nie poprawiały_liśmy błędów gramatycznych (np. niezgodnego z językową normą użycia imiesłowów), nie ingerowały_liśmy we frazeologię, poza pojedynczymi przypadkami, gdy tekst stawał się niezrozumiały. Chodziło nam o zachowanie waloru

języka zebranych przez nas opowieści – języka, która wyrywa się z więzów hiperpoprawności, wpajanych przez innych rygorów, jak „się” pisze i „ma” pisać, a jak nie, bowiem widziały_liśmy wyraźnie, że taka forma tych tekstów lepiej koresponduje z ich treścią.

Z oczywistych względów zwracały_liśmy uwagę na kwestię anonimizacji – nie tylko imion osób, lecz także nazw miejscowości, a nawet, niekiedy, określenia województwa – zgodnie z wolą Autorek_ów.

Wszystkie proponowane w redakcji poprawki zostały skonsultowane z Autor_kami i przez nie_nich zatwierdzone.

Każdemu publikowanemu pamiętnikowi towarzyszy metryczka, zawierająca informację o Autorze_rce. Choć początkowo naszym zamiarem było nadanie tym metryczkom zestandaryzowanej formy, szybko okazało się to niemożliwe. Miejsce urodzenia nie pokrywało się z miejscem dorastania, to zaś różne było od miejsca obecnego zamieszkania. Przede wszystkim jednak osoby piszące pamiętniki często queerowały proponowane przez nas kategorie dotyczące tożsamości płciowej i orientacji psychoseksualnej – mnożąc identyfikacje, krzyżując je i przełamując, dodając im niepewności i płynności, a tym samym skutecznie stawiając opór próbom zamknięcia ich życia i osobowości w sztywne formuły. Tym samym już w metryczce ujawniło się to, co naznacza treść pamiętników – przekraczanie sztywnych podziałów, podważanie zasad, niezgoda na życie w zastanych, przygotowanych przez innych i raz na zawsze ustalonych ramach.

Piotr Laskowski
Łukasz Mikołajewski

Pamiętnik niebinarnej osoby z Białegostoku

[Osoba niebinarna, biseksualna, ur. w 1999 r. w Białymstoku,
mieszka w Trójmieście.]

11 października 2020

For those of us who live at the shoreline
standing upon constant edges of decision
crucial and alone
For those of us who cannot indulge
the passing dreams of choice

— Audre Lorde, *A Litany for Survival*

Mam osiem lat, jest wrzesień, siedzę w karuzeli na środku placu zabaw, a przewieszona przez jej barierkę koleżanka pyta: *Wolałabyś wyjść za mąż czy się ożenić?* Coś w tym pytaniu mi nie pasuje, nie rozumiem go, ale wiem, że oddalona nieco grupka osób z mojej nowej klasy – przeprowadzka, chyba już szósta – obserwuje mnie i niecierpliwie czeka na odpowiedź. Czuję, że to żart, którego nie pojmuję, ale czas mija, a ja wciąż milczę. Powoli otwieram usta i mówię: *ożenić*. Salwa śmiechu. Tylko ja się nie śmieję. Koleżanka odchodzi, a ja zostaję sama. Karuzela kręci się lekko. Nie wiem, czy blednąć ze strachu, czy czerwienić się ze wstydu.

W domu mama wyjaśnia mi: mężczyźni się żenią, kobiety wychodzą za mąż. Uważam, że to głupie. Od tego pytania w nowej klasie dzieci nie chcą ze mną rozmawiać – chyba że znów chcą się pośmiać. Staram się wpasować, ubierać jak one, mówić jak one; wrzesień staje się majem, lecz nadal nie mam tu nikogo.

W końcu zapraszają mnie, abym spotkała się z nimi na naszym osiedlu. Mówią mi gdzie, a ja ubieram się ładnie i przychodzę. Nikogo nie ma. Z mojego pierwszego telefonu wysyłam sms do koleżanki z klasy: *Gdzie jesteście?* Odpisuje mi, podaje inne miejsce. Idę, znów pusto. Może zdążyli wrócić tam, skąd dopiero co przyszedłam; zataczam krąg, wysyłam kolejne wiadomości, choć nie są tanie, bo Nielimitowane smsy do wszystkich sieci pojawią się dopiero za parę lat. W końcu słyszę śmiech za jedną z klatek schodowych, ruszam w jej kierunku, uciszają się nawzajem: *shhh, ona tu idzie*. Staję naprzeciwko i uśmiecham się do nich – to nawet zabawne – ale kiedy widzą mnie, przestają się śmiać. Nastaje niezręczna cisza. Patrząc na mnie krzywią się z obrzydzeniem, wymyślają wymówki, idą do domów. Zostaję sama. Przez jeszcze parę lat nie rozumiem dlaczego.

Dorastamy, chłopcy stają się silniejsi, brutalniejsi, na przerwach palą fajki za szkołą. Wcześniej to oni uciekali przede mną, dla zabawy. Kiedy zajęcia się kończą, to ja muszę uciekać przed nimi. Na moim profilu na Naszej Klasie jeden z nich zamieszcza wpis: *JĘŚLI JESZCZE RAZ ODEZWIESZ SIĘ DO DZIEWCZYN TO CIĘ ZABIJEMY*. Idąc do domu, widzę go czekającego ze swoim starszym bratem na mojej drodze. To pierwszy raz, kiedy muszę iść okrężną drogą: nieudeptaną, zaśnieżoną ścieżką po drugiej stronie bloków, wąwozem przypominającym okopy. Trzymam głowę nisko, żeby nie zobaczyli mnie, gdyby spojrzeli w tym kierunku spomiędzy budynków.

Podstawówka jest piekłem. Po powrocie do domu zamykam się w pokoju, rzucam plecak na podłogę i zaczynam płakać. Chowam się w zamkniętym tapczanie i myślę: tak jest w trumnie. Mój młodszy brat nadal śpi w łóżku, w którym będąc w jego wieku zastanawiałam się jak wygląda śmierć. Mniej więcej wtedy przestaję nosić kolorowe ubrania, choć nie do końca wiem z jakiego powodu.

Wakacje pomiędzy kolejnymi latami podstawówki spędzam na koloniach. W mojej pamięci wszystkie te wyjazdy zlewają się w jeden, niekończący się koszmar. Na każdym z nich są także dzieci z mojej szkoły, które widząc mnie szepczą coś do uszu nowych kolegów. Wchodzę do pokoju w ośrodku wczasowym z nadzieją, że będę mogła tu zacząć od nowa; prześladowania zrzucam na karb złego startu, bycia nowym dzieckiem w żytej już klasie. Wtedy jeszcze nie wiem, że przed wszystkim co nowe w Polsce wzbraniamy się niemal od lat niemowlęcych; wynosimy to z domu, wypijamy z mlekiem matki.

Nie zdążam nawet zająć łóżka, kiedy pierwszy raz nazywają mnie *lesbą*. Nie wiem, kim jest lesba, ale mówią to z odrazą. Mówią mi, że mam trzymać się od nich z daleka. Dla żartu pytają, czy walę konia, ale ja mam osiem, dziewięć, dziesięć lub jedenaście lat i nie wiem, co to znaczy. Milczę. Udaję chorą, żeby nie musieć się z nimi bawić. Udaję chorą rok w rok. Symuluję gorączkę i kaszel, mówię, że boli mnie gardło, nie daję się wyciągnąć spod kołdry – wychodzę tylko na śniadania, obiady i kolacje. Po paru obowiązkowych spotkaniach, gdy opiekunowie nie patrzą, dzieci zachodzą mi drogę. Raz kradną moją czapkę, a ja gonię je, starając się nie płakać, innym razem próbują pobić – ale wiem już, jak się bronić, nauczyłam się tego w szkole. Ciągną

mnie za włosy, bo zaczyna krążyć plotka, że jestem chłopcem w peruce; wrywają mi je, w domu mama nie rozumie, czemu chodzę z poranionym skalpem.

Mam trzynaście lat i zaczynam gimnazjum, dwujęzyczne. Jest oddalone o dwadzieścia minut jazdy od mojego osiedla, dostała się tu dwójka dzieci z mojej podstawówki, boję się, że podobnie jak na koloniach powiedzą wszystkim dookoła coś, co sprawi, że znienawidzą mnie, zanim zdążę się choćby przedstawić. Nie robią tego, ich też trochę prześladowano – dziewczynę przez wagę, chłopca przez charakter.

Wiem już, kim jest lesbijka, wiem też, kim jest gej; jadę samochodem z ciotką, a w radiu prawicowy polityk przekonuje, że nie należą się im związki partnerskie. Mówię jej, że to głupie; nie rozumiem, dlaczego ludzie, którzy się kochają, nie mogą się pobrać. Milczy.

Na religii ksiądz nie może zdecydować się, co jest większym grzechem: rozwód czy ponowne zamążpójście – jakby znajdujące kolejnego męża kobiety grzeszyły bardziej niż mężczyźni mający nową żonę. Obraża moich rodziców, którzy ledwo rok lub dwa lata wcześniej wzięli ze sobą ślub, drugi ich obojga, cywilny; wychodzę z lekcji i już nigdy tam nie wracam. Jestem jednym z pierwszych, jeżeli nie pierwszym dzieckiem, które przestaje chodzić na ten przedmiot w naszej szkole. Dzięki temu nie słyszę, że też jestem grzesznikiem i że nie znajdzie się dla mnie miejsce w niebie. *W porządku*, chcę powiedzieć, *ale pan też tam nie trafi*. Za wyjątkiem dziadków całą rodziną coraz bardziej odłączamy się od kościoła. Wkrótce na wielkanoc jemy niepoświęcony chleb i jajka; jedyne, za czym wtedy tęsknię, to świąteczne czekoladki, którymi ksiądz pobliskiej parafii zachęcał dzieci do udziału w liturgii.

Dorastam. Podobają mi się chłopcy, a żeby podobać się im, zakładam spódnicę i maluję oczy. Robiąc to czuję się dziwnie – jakbym ubierała kostium i robiła charakterystycję. Rozmawiając z koleżankami o chłopakach mam wrażenie, że powtarzam wyuczone kwestie, ale wtedy wydaje mi się, że każdy tak ma, a jako społeczeństwo akceptujemy to w jakiejś zmowie milczenia. Niezręcznie mi w długich włosach.

Ścinam je na krótko, po męsku. Rodzice są zadowoleni – i tak były zniszczone. Też jestem zadowolona, dopóki szatniarka nie mówi, że ładnie mi w krótkich, bo wyglądam w nich bardziej dziewczęco. Czuję gniew.

Przestaję nosić damskie ubrania. Próbuje związać klatkę piersiową bandażami, ścisnąć stanikiem sportowym, ale pozostaje tak samo widoczna. Męskie spodnie spłaszczają pośladki, ale koszule i bluzy nie kryją biustu.

Chcę się go pozbyć. Poznaje słowo *mastektomia*. Żeby jej dokonać, trzeba mieć raka piersi albo być trans. Poznaje słowo *transseksualizm*. Znajduję stronę: trans-fuzja. Poznaje hasła: HRT, jedyńka, dwójka. Dowiaduję się, że to trudne, niemal niemożliwe, lecz nie niewykonalne. Przez kolejne miesiące, lata, aż do dziś, zastanawiam się, czy nie urodziłam się w złym ciele. U mojej babci lekarze diagnozują raka piersi, a ja przyłapuję się na kretyńskim myśleniu, że chciałabym dostać go młodo. Widząc, jak na przerwie przesuвам palcami po swoim jabłku Adama, modląc się, żeby jeszcze urosło, koleżanka, która nie odezwała się do mnie nigdy wcześniej i na ogół pozostaje

stawała cicha, siada obok i pyta ściszym głosem, czy jestem chłopcem. Mówię, że chyba tak. Ona odpowiada, że to w porządku. Nie rozmawiamy nigdy więcej.

Od pierwszej klasy gimnazjum cierpię na bezsenność. Tabletki działają beznadziejnie i dzień w dzień zasypiam po trzeciej. O szóstej budzi mnie alarm, ale nie potrafię wyjść z łóżka na czas. Codziennie się spóźniam. Nawet gdy docieram na lekcje, przez zmęczenie myślami jestem nieobecna. Mając trzynaście, czternaście i piętnaście lat piję po cztery, pięć espresso dziennie, aż kawa przestaje działać na mnie pobudzająco – zamiast tego zaczynam po niej gwałtownie zasypiać. Parę razy zdarza mi się zemdleć, niedługo potem trafiaam też do szpitala – przez kręgosłup, choć przetrzymują mnie tam przez słabe wyniki badań.

Moja relacja z rodzicami w tym okresie jest beznadziejna. Pamiętam tamten dzień – otwieram oczy i nie mogę się ruszyć, czuję tylko ból między kręgam i sztywne napięcie wszystkich mięśni pleców, które i tak bolały mnie codziennie. Boję się, wołam mamę, ale ona zaczyna krzyczeć, że tylko udaję, żeby nie iść do szkoły. Mija sporo czasu, nim bolesne trzaśnięcie gdzieś w odcinku piersiowym pozwala mi się wreszcie ruszyć – ledwo chodzę, stawianie kolejnych kroków jest trudne i wiem, że nie dotrę na zajęcia. Rodzice zmuszają mnie do nałożenia kurtki, praktycznie wyrzucają za drzwi domu – bez niczego poza telefonem, choć każą mi iść do szkoły. Trzęsąc się piszę do znajomej, która mieszka parę przystanków przed nią. Ona mówi, że mam do niej przyjechać. Robi mi śniadanie, jajecznicę, a gdy kończę jeść, zabiera do szpitala. Na SOR-ze lekarze dziwią się, że jestem z nią, zamiast z rodzicami; mówią, że muszę przyjść z kimś dorosłym, żeby mnie przyjęli. Dzwonię do babci; słysząc jej zaniepokojony głos zaczynam płakać. Wszystkie dokumenty zamiast moich rodziców podpisuje dziadek; przyjeżdża prosto z działki i pachnie mokrą, rozkopaną ziemią. Dostaję osobny pokój na oddziale neurologii, babcia kupuje mi piżamę, bieliznę, jedzenie i kwiatka w doniczce, żeby nie było mi smutno. Przez raka zna szpitalną samotność. Wieczorem przyjeżdża moja matka – jej własna musiała na nią nawrzeszczeć, żeby poczuła się zobowiązana odwiedzić dziecko w szpitalu. Patrzy na mnie z krzesła ustawionego daleko od łóżka i nic nie mówi. Widzi, że w telefonie mam ją wpisaną z imienia i nazwiska, a kiedy pyta, dlaczego nie „mama”, mam ochotę się zaśmiać.

Nigdy mnie za to nie przeprosiła, choć odkąd nie mieszkam z rodzicami, dogaduję się z nimi dużo, dużo lepiej. Nie przeprosiła też za to, że kiedy ojczym mnie pobił, nie uwierzyła mi. To było niedługo po tym, jak wspomniałam mu, że wołałabym urodzić się chłopcem, choć pretekst znalazł inny. Zapytał wtedy, czy poza tym „wszystko ze mną w porządku” – czy nie wolę też dziewczyn. Zaprzeczyłam i nigdy więcej nie rozmawiałam z rodzicami o tych tematach.

Pobicia nie kwestionowała ciocia oraz dziadek z babcią. Do dziś mają mamie za złe, że uznała, że kłamie. Ja również. To bolało bardziej niż dostanie pięścią w twarz – wracając tego dnia do domu zastała mnie zamkniętą w łazience, bo ojczym zerwał drzwi mojego pokoju, kiedy próbując się przed nim obronić starałam się je zamknąć, a ona i tak uznała, że kłamie. Nie zamontował ich z powrotem przez tydzień lub

dwa. Tylko jeden z tych dni był mi potrzebny do zrozumienia, dlaczego jego córka z poprzedniego małżeństwa podjęła w wieku dwunastu lat próbę samobójczą; kiedy to zrobiła, miałam sześć lat i odwiedzaliśmy ją razem w szpitalu, gdzie zrobiono jej płukanie żołądka. Cieszyły mnie słodycze, które oddawała mi, sama nie będąc w stanie ich po tym zjeść.

Kończy się gimnazjum, ale jest połączone z liceum, więc prawie wszyscy pozostajemy w tej samej szkole. Rozchodzimy się jedynie do różnych klas – ja trafiaam do międzynarodowej. Mama jest ze mnie dumna, choć zawożąc mnie na egzamin wstępny nie przestaje na mnie krzyczeć i mnie obrażać – z dłońmi zaciśniętymi na kierownicy, szarpiąc agresywnie skrzynię biegów, drze się, że się nie dostanę, że mam za słabe oceny, że nie potrafię nawet wstać na czas, że nic mnie nie obchodzi. Nigdy nie sprawdzam jego wyników; podobno mam najwyższy, ale nie chce mi się w to wierzyć. Odtąd jedynie polskiego i niemieckiego nie uczę się po angielsku. Rodzice twierdzą, że zawsze we mnie wierzyli, a ja ponownie mam ochotę gorzko się zaśmiać.

Potem mam siedemnaście lat i zdaję sobie sprawę, że chcę pocałować moją najlepszą przyjaciółkę. Poznałyśmy się online, jeszcze gdy kończyłam podstawówkę; obie pisałyśmy opowiadania, czasem razem, czasem w większej grupie, ostatnio coraz częściej tylko we dwójkę, coraz częściej coś z wątkami homoseksualnymi. Dogadujemy się jak mało kto i choć jednocześnie diametralnie się od siebie różnimy, czuję, że wyciosano nas z jednego drzewa, wytopiono z jednego kawałka metalu, wyrzeźbiono z tej samej skały. Ta przyjaźń jest oczywista jak to, że słońce daje światło i ciepło; zamienia się w miłość naturalnie, jak poranek w wieczór. Pierwszy raz czuję, że kogoś kocham. I tak codziennie, w momencie pisania czwarty już rok.

Mówię o tym mojej znajomej, tej, która zabrała mnie do szpitala, a ona odpowiada, że widzi nas jako parę. Przyznaje mi, że sama podkochuje się w innej dziewczynie z naszej grupy angielskiego, a ja śmieję się, mówiąc, że zauważyłam. Nam wyszło, im nie, choć one również nie były hetero, podobnie jak jakaś jedna trzecia mojej klasy. To statystyka klas międzynarodowych, których uczniowie chcą wyrwać się za granicę – utrzymywana odkąd tylko nasza szkoła zaczęła realizować IBDP. Nikogo nie dziwi to, że mam dziewczynę, kolejne osoby wychodzą z szafy, na zajęciach mówimy o LGBT+ otwarcie, prawo do ślubu jest dla nas prawem człowieka, na angielskim analizujemy literaturę pod kątem homoerotycznych motywów, na historii dyskutujemy o roli Księżnej Diany w zwróceniu uwagi społeczeństwa na epidemię AIDS, mamy tęczowe skarpetki i queerowe koszulki – choć ja nadal nie noszę kolorowych ubrań – a znajoma opowiada mi o książce, którą widziała na targach, *GEJEREL*, zachwycamy się tytułem, nadal muszę ją przeczytać. Mówimy o *jego chłopaku* i *jej dziewczynie*, brzmi to równie normalnie co *jej chłopak* i *jego dziewczyna*. Mam fantastycznych nauczycieli, dzięki którym wreszcie zaczynam naprawdę lubić szkołę. Pani od ekonomii i *theory of knowledge* zaprasza nas do znajomych na facebooku; na swojej tablicy deklaruje, że przygarnie każdego ze swoich uczniów, którego rodzice odrzucą przez orientację lub tożsamość. Jest świetna. Razem z angielskim i historią, ekonomia stanowi mój ulubiony przedmiot. Uczę się programować.

Nie wiem wtedy, że żyję w bańce, ani że za parę lat ta bańka zostanie brutalnie przebita.

W mojej klasie tylko dwie osoby mają poglądy prawicowe, obie to młodzi mężczyźni. Jeden z nich interesuje się nacjonalizmem, nie tylko polskim, a inteligencja nie pozwala mu na homofobię. Drugi to chłopiec, którego również prześladowano w mojej podstawówce. Z wielodzietnej partyjnej rodziny. Trafia na dywanik za chodzenie po szkole w koszulce PiS-u. Nikt go nie lubi, ale wszyscy dajemy mu to do zrozumienia w przedziwny, serdeczny sposób; żartom z naszych różnic daleko do bycia nieprzyjazywnymi.

Wchodzę w związek na odległość z moją przyjaciółką, wówczas studentką prawa, odwiedzam ją, ona mnie, lub spotykamy się w innym mieście. Nie boję się nikomu powiedzieć, że jesteśmy razem – poniekąd dlatego, że w moim środowisku jest to zwyczajna wiadomość, a poniekąd dlatego, że przeżywszy etap prześladowań w podstawówce, myślę, że nie mam już czego się obawiać. Nic nie może być gorsze. Tylko rodzina nic nie wie.

Mając osiemnaście lat dostaję spadek po człowieku, którego nie było mi dane poznać, choć nasze twarze są niemal identyczne. Wdałam się w biologicznego ojca, a ten od dawna nie żyje. Czasami myślę, że matka nie mogła znieść samego mojego widoku właśnie przez nasze podobieństwo, bo przypominało jej o brzydkim rozwodzie i nieudanym małżeństwie. Po ślubie wpadł w alkoholizm; kiedy popił, zaczynał ją bić; parę lat po ich rozstaniu znaleziono go martwego. W mieszkaniu, którego niewielka część przypada mi w spadku, znajduję album z ich zdjęciami ze studniówki. Przeglądając go mam wrażenie, że patrzę na własne fotografie. Kalendarz na jego biurku zatrzymał się na 2007 roku, zegarek na godzinie czwartej, choć musiał działać jeszcze rok czy dwa po jego śmierci – nie było komu wymienić baterii. Przez krzesło jest przewieszane wyprasowane ubranie, które musiał mieć zamiar ubrać następnego dnia, nie wiedząc, że go nie dożyje.

Sprzedaję udział w mieszkaniu; zabieram z niego tylko ten album. Dowiaduję się więcej o życiu ojca i pierwszy raz idę na jego grób. W listopadowy wieczór zapalam na nim z mamą znicze. Czasem myślę o zegarku, po którego tarczy obojętnie przebiegają wskazówki, o tym nieprzerwanym tik-tak w pustym pokoju, tik-tak, które wreszcie milknie.

Pieniądze dosłownie spadają mi z nieba. Wydaję znaczną ich część na operację zmniejszenia biustu; mam szczęście, bo lekarze widząc zwyrodnienia na rezonansie mojego kręgosłupa przestają zadawać pytania. Chroniczny ból, skrzywiona postawa, nikogo nie interesuje wstręt, który czuję widząc własne odbicie w lustrze. Od lat powtarzam koleżankom, że kiedyś pozbędę się piersi; one żartobliwie nie kryją zazdrości i mówią, że zamiast usuwać mogłabym oddać je im. Jak przeszczep. Nie rozumieją, że biust sprawia mi ból. Na każdy możliwy sposób. Od ulgi dzieli mnie blisko 20 tysięcy złotych.

Dzień po wynikach matury mam operację plastyczną. Mama wiezie mnie do Warszawy, tam z moim chirurgiem ustalą ostateczny rozmiar – proszę o A, najwyżej B,

on naciska na D, zgadza się na C, argumentując, że wtedy uda się zachować gruczoły, a ja będę mogła wykarmić dzieci. Na te słowa chce mi się rzygać. Nie chcę ich mieć. Ale chirurg jest sympatyczny, być może nie tylko przez wzgląd na pieniądze. Obiecuje zostawić mnie z najmniejszym biustem, jaki da radę mi zrobić; to i tak lepiej, niż gdybym zdecydowała się na operację na NFZ, który uniemożliwia zejście poniżej rozmiaru D.

Przed operacją mają mi podać leki na uspokojenie, ale tego nie robią, bo siedzę i czekam z uśmiechem – podobno niektórzy pacjenci chcą wtedy zrezygnować, bojąc się, że umrą lub się nie wybudzą, ale w mojej głowie nawet to jest lepsze niż życie w tym ciele; kiedy kładę się spokojnie na stół, anestezjolodzy myślą, że to przez tabletki. Budząc się z narkozy widzę widok, który znam z filmów trans chłopaków po jedynce na youtube'ie: bandaże i dreny, cierpliwie zbierające krew i limfę. Choć ścisną mnie opatrunki, wreszcie czuję, że oddycham swobodnie. Pielęgniarka podaje mi morfinę. Leżę w tej prywatnej klinice dwa dni i nie mogę napatrzeć się na moją niemal płaską klatkę piersiową. To jedna z najlepszych decyzji, jakie podejmuję w życiu. Przestaje doskwierać mi ból; nie brzydzę się już patrzeć w lustro, nie protestuję, kiedy ktoś robi mi zdjęcia. Nie posiadam żadnych z czasów gimnazjum i liceum.

Trzy miesiące po operacji mam zacząć studia – ekonomia. Jestem pierwsza na liście, choć na którejś z czołowych brytyjskich uczelni pewnie znalazłabym się na jej końcu, w najlepszym wypadku gdzieś w środku. Zostaję w Polsce – przed moją dziewczyną zostały wtedy jeszcze dwa lata studiów prawniczych oraz trzy aplikacje radcowskiej, a ja nie mogłam znieść myśli, że miałabym zostawić ją tu samą dla studiów na Oxbridge. Kiedy nadchodzi czas rekrutacji, nie potrafię zmusić się do napisania *personal statement*; nauczyciele są rozczarowani, powtarzają, że mam szansę się dostać. Mówię im i znajomym, że zamiast uciekać za granicę, upodobnię do niej Polskę.

Przeprowadzam się do Trójmiasta i tego samego dnia informuję współlokatora, że będzie do mnie przychodzić dziewczyna. On odpowiada coś dziwnego. Tym razem to ja się krzywię. To pierwszy raz, gdy zdaję sobie sprawę, że związki jednopłciowe wiele osób sprowadza do samego seksu. Nie dyskutuję z nim, przynajmniej nie robi problemów.

Pierwszy rok mija spokojnie: kiedy opowiadam nowym znajomym o mojej dziewczynie, mówią, że jesteście słodką parą i życzą nam jak najlepiej, a jej przyjaciele z wydziału stają się moimi własnymi. Cieszymy się życiem. Chodzimy na randki, na spacer, do kina i restauracji, czasem przynoszę jej lunch na przerwach, zdarza się, że zostaję na jej wykładach; na ulicach trzymamy się za ręce i całujemy bez skrępowania. Podczas wieczornej przechadzki nadmorskim bulwarem starsza pani nazywa nas ładną parą.

Paru znajomych mówi mi, że przynajmniej nie jestem *jednym z tych tęczowych pojebów* i nagle rozumiem, że niektórzy akceptują mnie i ją, ale nie *nas*. LGBTQ+ kojarzy im się z otyłością lub niedowagą, dziwnymi, kolorowymi fryzurami, depresją, terapiami, włosami na nogach i pod pachami, ogolonymi brwiami, śmiesznym makiżażem, seksem, nienoszeniem staników – wymieniają, a ja muszę zdecydować, czy

odcinam się od społeczności LGBT+, czy staję w jej obronie. To przez *was* musimy chodzić do psychologów i psychiatrów, mówię. To *wy* dajecie nam depresję i dziwicie się, że musicie patrzeć na jej skutki; tolerujecie tylko tych, na których życie w tym społeczeństwie nie odcisnęło widocznego gołym okiem piętna, akceptujecie homoseksualizm jako drobny wybryk, małą skazę na, poza nią, praktycznie heteroseksualnym wizerunku.

Kiedy kolejne osoby z roku dowiadują się, że jesteśmy parą, nawet się nie wzdrygają; może już wiedzą, może niespecjalnie je to obchodzi. Rozmawiam z chłopakami o naszych dziewczynach.

W maju idziemy razem na nasz pierwszy marsz równości – mamy pewne obawy, ale wiemy, że musimy tam być. Okazują się bezpodstawne. Nigdy nie czuję się bezpieczniejszej niż na marszu w Gdańsku, wśród tysięcy innych osób, chroniona przez policję, dzięki której nie możemy nawet doczytać tekstu na pojedynczych transparentach garstki kontrmanifestantów.

Gdy kończy się semestr, muszę wrócić do domu na wakacje. Jestem z Białegostoku.

Białystok organizuje swój pierwszy marsz równości, a ja wiem, że muszę tam być, choć prawica grozi, że nie dopuści do jego przejścia przez miasto. Aż do ostatniej chwili nie mogę zdecydować się czy pójść – choć wieczór przed nim spędzam z poczuciem misji tworząc transparent – ale gdy ciocia mówi mi, że idzie, uznaję, że również muszę. Po drodze mówię jej, że mam dziewczynę. Zorientowała się dawno po sposobie, w jaki o niej opowiadałam.

Zaczynamy słyszeć policyjne syreny i trzepot śmigieł helikoptera. Mijamy pierwsze zawracające osoby, karetkę na sygnale, widzimy pierwsze łzy i krew, słyszymy pierwszy płacz i krzyki, najpierw te strachu, potem te chóralne, gromkie, agresywne. *WY-PIER-DALAĆ. WY-PIER-DALAĆ. WY-PIER-DALAĆ.* W Gdańsku szłam z moją dziewczyną po prawo do ślubu; w Białymstoku idę bez niej, po byle prawo do życia.

Wydaje mi się, że jest ich więcej niż nas. Marsz jest otoczony, policja nie chce nas przepuścić, mam wrażenie, że jeszcze sekundy, a pobiją nas na oczach funkcjonariuszy – ale wreszcie przeciskamy się między ich tarczami. Marsz rusza krok po kroku. Spadają na nas kamienie, bruk, butelki i jajka. Pod nogami wybuchają petardy. Ich huk ogłusza. Piszczymy mi w uszach i gdy kolejna ląduje obok, biegnę w tył, krzycząc, by inni zrobili to samo. *WY-PIER-DALAĆ. WY-PIER-DALAĆ.* Komuś cieknie przez koszulkę krew. Innym spływa po twarzach ślina, którą nas opluto. Powietrze jest gęste od gazu pieprzowego; przechodzimy przez jego chmury jak przez mgłę, petardy błyskają w niej, jak gdyby ulicami miasta sunęła burza. Mijamy kościół. Kobiety, które mogłyby być naszymi babciami, grzechoczą uniesionymi różańcami, wykrzykując *KURWY, ZBOCZEŃCY, PEDAŁY, SODOMICI!* Zamachują się nimi, chłoszczą powietrze pomiędzy nami, jak niegdyś Rzymianie Jezusa flagrum, ale zamiast kamieniami rzemieńne pasy biczak zakończone są dziesiątkami krzyży z jego własną podobizną. Boję się, że dostanę brukiem w głowę i umrę. Faceci w narodowych koszulkach nagrywają nas i krzyczą, że nas znajdą i zabiją. Ludzie wokół mnie krztuszą się w oparach gazu pieprzowego i zgięci w pół stawiają

kolejne parę kroków do przodu. Idąc staramy się patrzeć pod nogi: można potknąć się na kamieniach, puszce po gazie lub rozciąć stopy na potłuczonych butelkach po piwie, którymi w nas rzucano, a któraś z petard może jeszcze wybuchnąć. Gdy patrzę narodowcom w oczy, uśmiechem dając im do zrozumienia, że nie są w stanie odebrać mi godności, przejeżdżając po gardłach palcami pokazują mi, że gdyby nie policja, poderżnęliby moje własne. Agresja barwi ich twarze i szyje na wściekłą czerwień; wychodzą im żyły, ścięgnię napinają się jak struny gitary nastrojonej do grania jednej, nienawistnej melodii. Gdy krzyczą, wydaje mi się, że i żyły, i ścięgnię za chwilę im pękają.

Niektórzy uczestnicy marszu zbierają zawlecзки po puszkach gazu jako pamiątki. Pod jego prąd idą ludzie z koszykami: rozdają przypinki i poradniki dla rodziców osób LGBT+. Poradnik ciągle jest w moim pokoju. Mam nadzieję, że pod moją nieobecność rodzice znaleźli go i przeczytali; podejrzewam, że tak było, bo ich stosunek do mnie ulega w tym czasie znacznej poprawie.

Kiedy wracam do domu, w internecie zaczynają pojawiać się pierwsze relacje. Instagramem krążą plotki o jednej zabitej osobie, potem czterech, potem okazują się nieprawdziwe, choć przez pierwsze godziny sama jestem gotowa w nie uwierzyć: wydaje mi się całkiem możliwe, wręcz prawdopodobne, że ktoś mógł zostać pobity na śmierć. Media zaczynają zdawać relacje. Prawica mówi, że to my obrzucaliśmy kontrmanifestantów wszystkim tym, co porozcinało i poparzyło nam skórę; twierdzi, że nikogo nie pobito, a skonfrontowana z nagraniami zaczyna analizować je sekundę po sekundzie, przekonując, że są ustawione, że *pedały znów próbują udawać ofiary urojonej agresji*.

Czuję gniew. Chce mi się krzyczeć. Rodzice żałują, że mnie puścili, bali się, że coś mogło mi się stać. Moje zdjęcie z marszu pojawia się w „Vogue”, a jedna z koleżanek z podstawówki, tych samych, które zmieniły moje dzieciństwo w piekło, gratuluje mi odwagi na facebooku. *Tak dalej!* :) – pisze. Widząc jej wiadomość to ja mam ochotę splunąć na ekran.

Nigdy więcej nie chcę wracać do Białegostoku. Przekonuję rodziców, że kredyt hipoteczny jest tańszy niż wynajem. Resztę wakacji szukamy mi mieszkania w Trójmieście, własnego, na stałe. Są drogie, nie udaje się, pracownik banku uznaje, że nas nie stać; nie dostajemy kredytu i wraca przerażające mnie ryzyko, że będę musiała tu wrócić.

Pierwszego dnia mojego powrotu do Trójmiasta na stacji SKM moją dziewczynę i mnie opluwa staruszka. *Lesby*, syczy przez zęby, ale odchodzi. Coś, co nie wydarzyło się przez rok, nagle staje się codziennością. Nastroje zaostrzają się. Niedługo potem PiS zdobywa ponad połowę mandatów w wyborach parlamentarnych. Zaczynamy rozmawiać o wyjeździe. Nie chcemy zostawać w takiej Polsce. To, przed czym miesiąc temu chciałam uciec z Białegostoku, sięgnęło nawet tutaj. Rozlało się aż po granice. Niespodziewanie cieszę się, że nie udało nam się kupić mieszkania.

Kiedy mój nowy współlokator dowiaduje się, że mam dziewczynę, przestaje mówić mi *cześć*. Sam sprowadza do naszego mieszkania po parę dziewczyn z tintera

tygodniowo; uważa to za normalniejsze niż związek dwóch. To kończy dopiero pandemia: właścicielka mieszkania zarządza, że *w związku z koronawirusem* należy wprowadzić zakaz odwiedzin, a on łamie go tego samego dnia.

Zgłaszam to. Mam go dosyć. Miesiąc później już tu nie mieszka.

Mam nowych współlokatorów, a kiedy po zniesieniu zakazu moja dziewczyna ponownie zaczyna mnie odwiedzać, cały czas uciszam ją, na wypadek gdyby oni również mieli coś przeciwko związkom jednopłciowym. *Wyjebane*, mówi mi, ale to nie ona żyje z nimi pod jednym dachem. To nie ona musiałaby kisić się w toksycznej atmosferze, jaka nastalaby, gdyby okazali się homofobami, chociaż i tak to robi, we własnym domu. Nie stać nas na własne mieszkanie – ona utrzymuje matkę i siebie, czeka ją opłacanie aplikacji na radcę prawnego, mnie utrzymują rodzice. Sama również pracuję, ale zarobione pieniądze wraz ze stypendium za wysoką średnią przelewam na konto oszczędnościowe.

Na własne mieszkanie lub na wyjazd. Ciągle nie wiemy.

Uczę angielskiego w szkole językowej, online przez pandemię. Dziewczynę, która mnie zatrudniła, kupił mój akcent i wiedza, chociaż nigdy wcześniej nie miałam doświadczenia z nauczaniem innych – nie dawałam nawet korków; na rozmowie kwalifikacyjnej skłamałam, że udzielam ich od lat. Między wykładami a pracą często nie mam czasu by zjeść; między godzinami prowadzonych zajęć biorę kolejne tabletki na gardło, tymianek i podbiał; parzę herbatę, poprawiam koszulę i zaczynam następną lekcję, uśmiechając się na siłę.

Mam dwadzieścia, potem dwadzieścia jeden lat i ucząc niemal wyłącznie ludzi dużo ode mnie starszych muszę kłamać, by zbudować autorytet. Mówię, że pracuję jako tłumacz, a dorabiam jako lektor, że mój pierwszy kierunek studiów jest właściwie kolejnym, który podjęłam tylko z pasji do ekonomii. Nie mówię o swoim wieku. Kupują te kłamstwa. Pracuję tak od roku.

Mój angielski jest świetny. Mówię płynnie jak mało kto i z powodzeniem udaję native'a. Uczyłam się angielskiego od dziecka, szlifowała go ze mną ciocia, potem trafiłam do gimnazjum dwujęzycznego, stamtąd na maturę międzynarodową, z niej na studia w języku angielskim – w Polsce, choć rodzice szykowali mnie do wyjazdu z niej od dziecka. Nie widzieli dla mnie tu przyszłości, chociaż nie wiedzieli nic o mojej orientacji. Nadal im nie powiedziałam, bo choć nasze poglądy są co najmniej zbliżone, boję się, że przestaliby mnie utrzymywać, a oszczędności, które odkładałam na lepszą przyszłość, utknęłyby na obecnym poziomie lub znikły, przejezione. Studiuję dziennie, nie zarabiam nawet tysiąca miesięcznie przy ilości godzin w ciągu dnia, które zostają mi na pracę.

W podstawówce miałam dobre oceny, mimo wszystko. W gimnazjum najniższą średnią w szkole, co roku – a także najniższą frekwencję. W liceum radziłam sobie albo świetnie, albo paskudnie, oceny wpadały ze skrajności w skrajność. Nadal często opuszczałam lekcje i ani razu nie przyszłam na czas, nawet gdy te zaczynały się po południu. Obecnie zawsze mam najwyższy wynik – i z ćwiczeń, i z egzaminów. Dopiśki *the best student!* przy ocenach. *Extra points for perfection* w indeksie. Telefony od

profesorów z gratulacjami. Lubią mnie, choć zastanawiam się, czy przestaliby wiedząc, że mam dziewczynę lub że sama nie do końca czuję się kobietą. Nie ominęłam ani jednych ćwiczeń, ani jednego wykładu. Zaproponowano mi pracę na uczelni już podczas pierwszego semestru. Podczas drugiego ponownie. Podczas trzeciego i czwartego czułam się obserwowana przez wszystkich prowadzących, którzy słyszeli już, że mogę kiedyś dołączyć do ich grona. Piąty właśnie się zaczął.

Na studiach zaczynam przyjaźnić się z Rosjanką o podobnym do mojego własnego bezwzględny podejściu; jestem surowa, krytyczna i nie znoszę słabości, bo sama nie mogłam sobie na nią nigdy pozwolić. Nasze doświadczenia, choć tak od siebie różne, uczyniły nas równie pracowitymi i rygorystycznymi; nazywamy to wschodnim wychowaniem. Wymagam od innych wiele – ale od siebie jeszcze więcej. Nie daję cudzej niedbałości ściągnąć mnie na dno; wypłynięcie na powierzchnię kosztowało mnie dużo i zamierzam się na niej utrzymać. I dopłynąć do lądu. To samo podejście ma moja dziewczyna; pokochałam ją za nie, za jej inteligencję, bystrość, cyniczny humor, upór i to, że choć życie uczyniło ją podobnie zgorzkniałą i szorstką w obyciu, potrafi zdobyć się na czułość i radość, których nauczyła także i mnie. Lata, które razem spędzamy, są najszczęśliwszymi w moim życiu.

Mam pewną obsesję na punkcie bycia lepszą niż wszyscy inni. Nie chodzi o zasłużenie na miejsce w heteroseksualnym świecie. Chcę zrobić na złość wszystkim tym, którzy chcieliby mnie opluć – musi być z nimi źle, skoro to *lesba* jest chwalona.

Nie jestem lesbijką. Nie lubię szufladkowania, ale gdy ktoś mnie pyta, mówię, że jestem bi.

Nie czuję się kobietą. Nie mogę też powiedzieć, że jestem mężczyzną, choć w duszy bliżej mi do nich niż kobiet. Mam niewiele ubrań z działu damskiego; wyglądam w nich dobrze, ale zakładając je czuję się, jakbym ubierała nie siebie, a lalkę, lub stylizowała modelkę na wybieg. Traktuję swoje ciało, jakby nie było moje; urodzenie się w nim, w Białymstoku, w Polsce, nie było moim wyborem. Umieję już z tym żyć.

Lubię angielski, jest mniej upłciowiony niż język polski. *Miss* nie irytuje mnie tak bardzo jak *pani*, podobnie jak *fuck* wydaje się ludziom na ogół mniej wulgarne niż *kurwa*. Nie lubię być nazywana dziewczyną, ale uwielbiam, gdy mówią o mnie *jej dziewczyna*. Radość z tego jest silniejsza niż moja dysmorfia. Czas terażniejszy polskiego pozwala na pewną ucieczkę od płci, ale ta i tak dopada mnie w przymiotnikach.

Korzystam z niego mówiąc o wspomnieniach, bo chociaż wydarzyły się w przeszłości, w mojej pamięci trwają nadal. Chociaż siedzę w szlafroku w swoim wynajmowanym w Trójmieście pokoju, jakieś części mnie są ciągle w Białymstoku – wyśmiewane i opluwane. Ktoś nadal wyzywa je od lesb. Ktoś nadal grozi im śmiercią. Nadal płaczą schowane w tapczanie i nadal czytają o tym jak zostać chłopcem. Ciągłe jest im sucho w gardle od gazu pieprzowego. Inne, te szczęśliwsze, nadal odkrywają, że dziewczyna, w której się podkochują, również je kocha; nadal budzą się bez ciężaru zoperowanego biustu; nadal zapinają męską koszulę w rozmiarze XS na niemal płaskiej klatce piersiowej i zachwycają się tym, jak dobrze na nich leży; nadal są chwalone za udzielone na kolokwium odpowiedzi i nadal spacerują brzegiem

Bałtyku, trzymając za rękę kogoś, kogo kochają. Te wspomnienia – najgorsze i najlepsze – zaczynają się na nowo, ilekroć zostają ponownie przywołane.

Od wczoraj mam na skórze pierwszy tatuaż; ludzie pytają mnie bezmyślnie, czy wiem, że jest na zawsze. Mówię im, że wszystko jest na zawsze. Wspomnień nie da się zoperować. O niektóre trzeba zadbać jak o ślady skalpela na skórze lub wtłoczony pod nią tusz – w przypadku tych pierwszych po to, aby wyblakły, w przypadku tych drugich po to, by pozostały wyraźne. Blizny po operacji są już prawie niewidoczne.

Po marszu w Białymstoku na tumblrze zapytano mnie, czy rozważam opuszczenie Polski. Odpowiedziałam wtenczas, że nie wierzę w uciekanie od problemów, ani w to, że trawa jest bardziej zielona po drugiej stronie płotu; że mogą nas pobić wszędzie, a boleć będzie tak samo, choć w innym kraju moglibyśmy przynajmniej liczyć na ukaranie sprawców. Pamiętam butność, z jaką mówiłam wtedy o tym, że jeśli chcemy praw, jakimi mogą cieszyć się osoby LGBT+ w krajach zachodnich, musimy o nie zawalczyć, tak jak zrobiły to one lata czy dekady wcześniej. Wierzyłam, że nasze wykształcenie pozwoli nam na wprowadzenie zmian także i tutaj – moje ekonomiczne, jej prawnicze.

Dziś nie potrafię się zdobyć na podobną pewność siebie. Rozdrapujemy temat wyjazdu jak niemogącą się zagoić ranę – czasem się jątrzy, pulsuje bólem, innym razem już się prawie zabliznia. Najbliższe trzy lata spędzimy w Polsce; ona zostając radcą prawnym, ja starając się o tytuł doktora nauk ekonomicznych.

W korporacji, w której obecnie pracuje moja dziewczyna, jestem znana jako jej narzeczony, który piecze jej ciasta, gotuje obiady i buduje formę. Poza pracą i nauką sporo czasu spędzam w kuchni; lubię gotować, szczególnie jeśli mogę dla niej. Ćwiczę – śmieję się, że cardio, żeby móc uciec przed prawicą, a siłowo, żeby bronić się, gdyby prawica jednak okazała się szybsza. Piszę – piszemy – książkę, ponad czwarty już rok, choć nie ma cienia szans, by trafiła do polskiego odbiorcy. Powstaje raczej dla nas niż dla kogokolwiek innego. Dla innych osób są teksty jak ten.

Ledwo tydzień temu udzielałam anonimowego wywiadu niemieckiej dziennikarce badającej życie osób LGBT+ w Polsce; serię rozpoczętych nim artykułów zleciła szwajcarska organizacja zaniepokojona naszą obecną sytuacją.

Wysłuchiwała mojej historii i politycznych spostrzeżeń nie kryjąc przerażenia; mnie samej, być może za wyjątkiem marszu w Białymstoku, nie wydawały się one niczym wyjątkowym. To pokazuje, jak różnią się od siebie standardy akceptowanych przez nasze społeczeństwa zachowań. Chciałabym, aby tekst ten, czytany za parę, paręnaście lat, dziwił odbiorców, podobnie jak wspomnianą dziennikarkę moje opowieści o naszej polskiej codzienności. Obecnie nie ludzę się, że tak się stanie. Podobno niemal wszystkie osoby, z którymi przeprowadziła podobne rozmowy, zgodnie stwierdziły: będzie tylko gorzej. Wiedzieliśmy to po wyborach parlamentarnych w 2019 roku oraz jeszcze przed prezydenckimi, w bieżącym. Ani ja, ani moja rodzina, ani moi znajomi, nie znamy nikogo, kto głosował na PiS.

Coś każe mi jednak mieć nadzieję, że nie będę zmuszona opuścić Polski. Że za te paręnaście lat, gdy sama będę wykladać na uczelni, nikt nie będzie zdziwiony

wzmiankami o mojej żonie. Że być może moi własni studenci, pchnięci ku temu zakrawającą na wścibskość ciekawością, dokopią się i do wspomnianego wywiadu, i do tego tekstu, napisanego przeze mnie, gdy sama byłam w ich wieku. Że zaśmieją się z niego serdecznie, z pewnym szacunkiem, i ucieszą, że ich życie wygląda lepiej. Że będziemy tym zapisanym na kartach historii pokoleniem, któremu się wreszcie udało.

Chcę się ożenić. Nadal mężczy mnie bezsenność, ale przy mojej dziewczynie zasypiam szybciej. Znowu noszę kolory, nie tylko czerń. Okazuje się, że lubię różowy, który kiedyś budził we mnie agresję jako zbyt damski.

Podobno róż nie istnieje. Wymyśliliśmy go sobie, żeby łatwiej przetwarzać informacje rejestrowane przez nasze oczy. Mam wrażenie, że z płcią jest podobnie. Chyba gdzieś to już czytałam.

Program, w którym piszę, chce poprawić każdą formę żeńską na męską, jak gdyby wiedział. Z każdym podkreślonym na czerwono słowem waham się. Ostatecznie to żeńskiej używam na co dzień.

Październik 2020

Autor anonimowy

Angelizm

[Homoseksualny cis mężczyzna, ur. w 1998 r. w Warszawie, mieszka w niewielkiej wsi w okolicach Warszawy.]

Urodziłem się w warszawskim szpitalu, choć nigdy nie mieszkałem w Warszawie. Zawsze to były podwarszawskie miejscowości. Przez pierwsze jedenaście lat życia – wieś (albo raczej małe miasteczko?) na północ od Warszawy, a potem – aż do dziś – malutka wioska na wschód od Warszawy. To sprawiło, że właściwie całe moje świadome życie spędzam w Warszawie, ale mieszkam poza Warszawą.

Rodzinę mam pełną, zdrową, o dobrych relacjach. O pierwszych dziesięciu-jedenastu latach mojego życia niewiele mam do napisania. Było zupełnie normalne. Chodziłem do szkoły, miałem tam kolegów, nic specjalnego. Nic nie zwracało uwagi ani mojej, ani mojego otoczenia, ani rodziców czy nauczycieli. Pamiętam, że nawet podobała mi się jedna dziewczyna. Rozmawialiśmy z kolegą o jej atutach całymi dniami. Nigdy nie miałem odwagi, żeby do niej zagadać. To była jedyna kobieta w moim życiu, którą obdarzyłem najdojrzalszym uczuciem, na jakie stać było dziesięciolatka. W wieku lat dwunastu sytuacja trochę się zmieniła, bo się przeprowadziliśmy na drugą stronę Warszawy. Zmieniłem więc szkołę w szóstej klasie podstawówki. Tam było trochę gorzej, bo w oczach tych dzieci byłem chyba trochę „intruzem”, ale też nic specjalnego. Źle miało się stać dopiero w gimnazjum.

Do gimnazjum poszedłem do miasteczka obok. Była to szkoła patologiczna. Mała, a uczniów bardzo wielu. Zbieranina ze wszystkich okolicznych wsi oraz dzieciaki z tego niewielkiego miasteczka. Skończyły się czasy posiadania kolegów. Jeśli już, to miałem raczej koleżanki, ale właściwie byłem całkiem samotny, jeśli chodzi o życie towarzyskie. „Prześladowanie” to zbyt mocne słowo, ale na pewno dokuczano mi, stałem się kozłem ofiarnym. Powodem tego osamotnienia i dokuczania było to, że zupełnie nie mogłem się dogadać z moimi rówieśnikami. Zaczęły się filmy pornograficzne, seksistowskie żarty, „obczajanie” pań na ulicy, imprezy i alkohol pity aż do „zgonu”. A ja nie chciałem za tym podążać. Kompletnie nie interesowała mnie

pornografia, nie śmieszył seksizm i nie podobały mi się panie, a na klasową imprezę nigdy nie przyszedłem. Wtedy po raz pierwszy zauważyłem, że jestem jakoś od nich odmienny.

W tym miejscu trzeba dodać, że moja rodzina była rodziną konserwatywną i bardzo religijną i w takich wartościach mnie zawsze wychowywano. Więc ja też byłem konserwatywny i bardzo religijny. W wieku trzynastu lat, czyli w pierwszej klasie gimnazjum, chyba nawet nie znałem terminu „homoseksualizm”. Nie byłem świadomy nie tylko tego, że mam odmienną orientację seksualną, ale również tego, że w ogóle można mieć odmienną orientację seksualną. Dlatego nie miałem pojęcia, co powoduje taką rozbieżność w zainteresowaniach moich i moich kolegów. Ponieważ jednak byłem człowiekiem głębokiej wiary, szybko znalazłem wyjaśnienie.

Otóż uznałem, że moi rówieśnicy są „nieczyści”, zdemoralizowani, upadli moralnie, zepsuci. W takim przekonaniu żyłem całe trzy lata gimnazjum. Myślałem, że jestem jedyną dobrą istotą w tym przeklętym budynku, że mnie jedyne nie interesuje rzecz tak brudna i przyziemna jak ludzkie ciało. Wiele lat później zapoznałem się z takim terminem jak „angelizm”, czyli dążenie do absolutnej, nieskażonej czystości, do dobra tak czystego, że odrzucającego nawet cielesność. Z perspektywy widzę więc, że w gimnazjum popadłem w taki angelizm. Ale równocześnie zacząłem zauważać, że nieświadomie zwracam uwagę na chłopców na korytarzach, a wchodząc do tramwaju w Warszawie rozglądam się za mężczyznami, którzy – jak wówczas to nazywałem – „sympatycznie wyglądali”. Myślałem sobie o nich jakoś tak: „ten chłopak sympatycznie wygląda, mógłby być moim przyjacielem”, nie zauważając, że on mi się po prostu podoba. W mojej szkole był jeden ładny kolega. Fantazjowałem na jego temat. Wyobrażałem sobie, że trzymamy się za rękę albo całujemy. A to wszystko bez wiedzy o homoseksualności. Można sobie wyobrazić, jaką dezorientację to budzi: coś jest ze mną nie tak, ale właściwie nie wiem co; w czymś jestem odmienny, ale nawet nie potrafię o tym świadomie pomyśleć.

Z pojęciem „homoseksualizm” zapoznałem się w wieku czternastu lat na lekcji wychowania do życia w rodzinie. Powiedziano mi, że jest to dewiacja, którą należy leczyć. Nauczycielka (swoją drogą polonistka bez żadnych kwalifikacji seksuologicznych czy choćby psychologicznych) mówiła, że homoseksualiści często łapią choroby weneryczne i HIV oraz mają skłonności do pedofilii, a to dlatego, że (z jakiegoś powodu dokładnie zapamiętałem to określenie) „ciągle potrzebują świeżego ciała”. Mówiła też, że ona nawet nie wiedziała, jak oni współżyją, ale ostatnio gdzieś przeczytała, że analnie. I przy wtórah śmiechów i szyderstw całej klasy wymieniała jak niezdrowe, groźne i obrzydliwe to jest.

A ja zgodziłem się z tym wszystkim – bo przypominam, że byłem gorliwym chrześcijaninem, konserwatystą i miałem poglądy prawicowe – i wykształciłem w sobie nienawiść do społeczności LGBT. Powtarzałem slogany o homopropagandzie, homodyktaturze, homoseksualnych lobby, które chcą zdominować i zdepopulować świat i ideologii gender, której celem jest rozbięcie chrześcijańskich (czyli: moich) wartości.

A potem wchodziłem do autobusu i rozglądałem się za „sympatycznie wyglądającymi” chłopakami.

W ten sposób nastąpiło zdecydowane wyparcie własnej orientacji. Prowadziłem dwa równoległe życia, a jedno nie przeszkadzało zbyt drugiemu. Fantazując o chłopakach nie pamiętałem o tym, że jestem homofobem. Będąc homofobem nie pamiętałem, że jestem gejem. To nie tak, że ja to jakoś „godziłem”. Homoseksualna orientacja była tak bardzo wyparta, że mi nawet nie przeszło przez myśl, że mógłbym być gejem. Ktokolwiek coś kiedyś wypierał (w takim ścisłym, psychologicznym sensie), ten pewnie wie, jak to jest.

Teraz parę słów o tym, jak wygląda takie podwójne życie kryptogeja. Na przykład przez cały okres gimnazjum rekompensowałem sobie brak kolegów i koleżanek bogatym życiem internetowym. Stałem się rozpoznawalnym użytkownikiem na pewnym forum dyskusyjnym. Oczywiście we wszystkich dyskusjach, kręcących się wokół tematyki LGBT lub gender zajmowałem agresywne homofobiczne stanowisko. Pewnego dnia, ot tak, postanowiłem założyć multikonto, które wykreuję na działacza pro-LGBT, z którego będę się kłócić z moimi dotychczasowymi pochlebcami i sojusznikami w dyskusji. Przed założeniem go powstrzymał mnie tylko strach przed zdemaskowaniem, które wiązałyby się z przymusowym coming outem.

Z moimi internetowymi znajomymi pisaliśmy też i rozmawialiśmy głosowo na Skype. Był tam jeden biseksualny chłopak, który lubił robić sobie żarty ze swojej orientacji i z nieheteronormatywności ogólnie. Bardzo chętnie się do niego dołączałem. We dwóch przodowaliśmy w przerzucaniu się „branżowymi żartami”. Na jakiegokolwiek pytania i insynuacje odpowiadałem stanowczo – nie, nie jestem gejem. Internetowi znajomi szybko zauważyli, że stronię od jakiegokolwiek formy podkreślania swojej seksualności. Wymyślono dowcip, według którego ciężą na mnie śluby czystości. Bardzo mi się on spodobał. Od tamtej pory, gdy ktoś próbował dociec genezy mojej cnotliwości, obracałem wszystko w ten właśnie żart.

Albo np. grałem w Simsy. Zawsze tworzyłem męsko-męskie pary. Potem panikowałem i usuwałem zapisy w obawie, by nie znalazł ich żaden z domowników.

Pamiętam, że w drugiej klasie gimnazjum zaczęła do mnie zagadywać pewna dziewczyna. Rozmawialiśmy całe przerwy, mieliśmy mnóstwo wspólnych tematów. Dobrze się czułem spędzając z nią czas. Wreszcie zaczęło dochodzić do tego, że spacerowaliśmy po szkole do wieczora, a nawet wybraliśmy się razem do Warszawy, żeby kupić jej nowe buty. Właśnie na tym wspólnym wyjeździe doznałem olśnienia i zorientowałem się, że jej intencje nie są czyste jak moje. Ona mnie uwodziła, na ile można użyć tego słowa w stosunku do gimnazjalistki – po prostu podrywała. A ja ślepo podążałem za wykładanymi przez nią przynętami. Od razu, gdy zdałem sobie z tego sprawę, zerwałem z nią kontakt. Potem zastanawiałem się – dlaczego? Przecież świetnie się dogadywaliśmy, uwielbialiśmy spędzać ze sobą czas. Bylibyśmy świetną parą, a ja przecież nie jestem gejem. Ale gdy zorientowałem się, że ona chce czegoś więcej, to poczułem się oszukany, zdradzony. Tak jakby najlepszy przyjaciel

nie chciał już dłużej być przyjacielem. Tak rzeczywiście było, bo ona nie chciała być przyjacielem – chciała związku. A we mnie wywołało to uczucie rozczarowania.

I to wszystko sprawiało, że raz na jakiś czas jednak pojawiało się we mnie przeniechę, że „coś jest ze mną nie tak”. I że to „nie tak” oznacza odmienną seksualność. To było ogromne zagrożenie. Podział na dobro i zło, na jasność i mrok, był wtedy taki wyraźny. Ja byłem katolikiem, moralistą, patriotą, człowiekiem uduchowionym i czystym – a z drugiej strony byli ludzie upadli, źli, zepsuci i nieczyści (w tym seksualnym sensie). Zbudowałem sobie taki skrajny, manichejski podział, a teraz sam miałem się znaleźć po tej drugiej stronie.

Ukułem więc sobie w głowie dwa terminy, żeby wyjaśnić, co się ze mną właściwie dzieje. „Spedalenie” i „odpedalenie”. Pierwszy z nich brał się z powszechnego stereotypu, że homoseksualistą można zostać, stać się nim; na przykład w wyniku działalności mediów czy „homopropagandy”. W myślach oskarżyłem o moją osobistą tragedię kolegów z klasy. To oni częściej mówią o sprawach związanych z seksem – myślałem sobie. Mój mózg skojarzył pleć męską z tematami seksualności i w ten sposób odczuwam pociąg właśnie do nich. Spedalili mnie koledzy – myślałem – uczynili ze mnie pedała. Drugi termin określał proces, który miał odczynić to spedalenie. Polegał on na tym, że po powrocie po lekcjach do domu, gdy rodzice byli jeszcze w pracy, włączałem sobie zdjęcia nagich kobiet albo hetero-pornografię i starałem się podniecić. Taka domowa terapia – oczywiście – nie przynosiła efektów.

Pozostała więc modlitwa. Pamiętam doskonale, jakich słów używałem, pytając Boga o radę w mojej sprawie. Mówiłem sobie: „Jestem tym, kim uważam, że jestem”, bo przecież wszystko to jest w moim umyśle, a mój umysł jest mój i mam nad nim kontrolę. Brzmiało to wtedy tak logicznie i wiarygodnie, że uspokajało mnie za każdym razem.

I rzeczywiście, nawet takie aktywne środki zapobiegawcze, stopniowe, powolne dostrzeganie własnej homoseksualności, nie powodowały zmiany poglądów. Przez ponad cztery lata, do końca pierwszej klasy liceum, jednocześnie toczyłem bój ze „środowiskami LGBT” i „lewackimi pomysłami”, takimi jak edukacja seksualna; jednocześnie rozglądałem się za ładnymi chłopakami i fantazjowałem o nich; i jednocześnie modliłem się o „uzdrowienie” i zmuszałem do oglądania hetero-porno. W wieku szesnastu lat miałem bierzmowanie. Jako patrona wybrałem świętego Michała Archanioła i przyjąłem imię Michał. To z dwóch powodów: Archanioł nie miał ciała, które było dla mnie tak „nieistotne”, a także był patronem walki – jak wtedy myślałem: mojej wewnętrznej walki z homoseksualizmem. I to walki zwycięskiej – wszak zgładził apokaliptyczną Bestię! Tak wtedy patrzyłem na swoją utajoną orientację.

Skończyło się gimnazjum, poszedłem do liceum. W tym miejscu kilka słów oceny tego czasu z dzisiejszej perspektywy. W gimnazjum stało się wiele złych rzeczy. Ten angelizm, jakiego się nabawiłem, i w ogóle myślenie w kategoriach absolutnego dobra i zła, że to jest taki jasny podział – to było potem źródłem wielu kompleksów i problemów, o czym w dalszym ciągu. Ale coś dobrego też z tego wynikło. Bycie gnębionym jest przykre, ale w pewnym sensie otwiera oczy. Naprawdę, strasznie trudno jest

ludziom zrozumieć, o co chodzi różnym mniejszościom, jeśli nigdy nie byli w pozycji tego, którego się wyzywa i szturcha bez powodu. Polecam każdemu człowiekowi, żeby miał chociaż drobny epizod z byciem dręczonym, bo nic tak nie rozwija wrażliwości na krzywdę jak właśnie to.

Do liceum poszedłem już do Warszawy, co oznaczało wprawdzie uciążliwe dojazdy ode mnie ze wsi, ale było wybawieniem. W warszawskiej szkole byli ludzie otwarci, tolerancyjni, inteligentni – zarówno wśród uczniów, jak i nauczycieli. Wyrobiłem w sobie taki odruch, że zawsze poznając nowe osoby skanowałem je od góry do dołu, zapamiętując słowo w słowo, co twierdzą na temat homoseksualności. Grupa przyjaciół, z którymi trzymałem w klasie, miała poglądy wolnościowe i była zupełnie tolerancyjna. Podobalo mi się to, choć ja sam nie zmieniałem poglądów. Byłem homofobem, kryptogejem i samoukiem terapii reparatywnej jednocześnie. Nie przejmowałem się za bardzo. Myślałem o swoim homoseksualizmie okazjonalnie. W rozmowach z bliskimi wciąż utrzymywałem, że założę rodzinę i spłodzę potomstwo – i sam w to wierzyłem. Ale jednak, dzięki nowemu otoczeniu, zacząłem dostrzegać, że moi rodzice mają o mnie fałszywy obraz. Co prawda – dokładnie taki, jaki chciałem, i jaki chciałbym, aby był prawdziwy – jednak zacząłem odnosić wrażenie, że moje szczęśliwe życie budowane jest na fałszu i zakłamaniu. Ta myśl to był szczyt wolnościowego myślenia, na które mogłem się zdobyć w tamtym czasie. Wkrótce jednak zdarzyło się coś, co miało moje myślenie zmienić w bardzo radykalny sposób.

Otóż odważyłem się przyjść na dzień otwarty pewnej grupy tanecznej. Jeśli któryś z jej członków to czyta i rozpoznaje, o którą grupę chodzi, to niech wie, że to wydarzenie naprawdę zmieniło moje życie i nie wiem, co by było, gdybym się tam wtedy nie pojawił. Przyszedł tam też chłopak w moim wieku, który bardzo „sympatycznie wyglądał”. Obaj dołączyliśmy do grupy i zostaliśmy tancerzami. To sprawiło, że zaczęliśmy spędzać ze sobą sporo czasu – na treningach, wewnątrzgrupowych wyjściach i imprezach. Ponieważ świetnie się dogadywaliśmy, zaczęliśmy się spotykać „nadprogramowo”. Po około dwóch miesiącach takiej znajomości zauważyłem, że robię wszystko, by spędzać z nim jak najwięcej czasu. Potem zauważyłem też inne dziwne symptomy: nie unikam kontaktu wzrokowego z nim, nie cofam ręki, gdy przypadkowo mnie dotknie, gdy kilka osób mówi naraz, najpierw słucham jego, a wreszcie dostrzegłem, że myślę o nim niemal cały czas. Dotarła do mnie świadomość, która poraziła mnie jak piorun – zakochałem się. Zakochałem się w mężczyźnie, nie przyznając się jeszcze nawet samemu przed sobą, że jestem gejem.

Są takie rodzaje informacji, które mogą rujnować życie. Myślę, że to naprawdę trudno zrozumieć osobie, która tego nie przeżyła – że jakaś informacja może być nie do zniesienia. W stanie zakochania nie mogłem dalej oddzielać dwóch tożsamości, a wszystkie zaawansowane mechanizmy wyparcia nagle przestały działać. I uderzyła mnie ta świadomość, teraz sformułowana już wprost, że jestem gejem. Rozpoczął się konflikt wewnętrzny. Uważałem przecież homoseksualność za grzeszną, brudną, nieczystą, lecz jednocześnie – okazało się – niemożliwą do przezwyciężenia. W ten

sposób stanąłem przed bardzo jasnym wyborem: sacrum albo profanum. Albo sacrum pozbawione w ogóle ciała, albo profanum pozbawione jakiegokolwiek dobra i wartości. Albo odrzuć ciało i odejść do Boga, albo odrzuć Boga i zacząć folgować ciału. W uproszczeniu oznaczało to: albo samobójstwo, albo bezwartościowe, niemoralne życie. Pojawiły się myśli samobójcze, ale chyba dość nietypowe (choć nie wiem, jakie są inne myśli samobójcze) – bo w moim wykonaniu miały charakter raczej chłodnej kalkulacji. Tak jakby to, że muszę odebrać sobie życie, było smutną koniecznością, którą po prostu muszę w końcu przyjąć, ale jeszcze nie umiem.

Wszystkie te przemyślenia odbywały się wrześnieowymi nocami. Siedziałem wtedy na balkonie z Pismem Świętym i starałem się odpowiedzieć na wszystkie pytania, które piętrzyły mi się w głowie. Modliłem się, lecz nie była to dobra modlitwa. W myślach bluźniłem i krzyczałem na Boga, obwiniałem go za to, że skazał mnie na grzech.

Nie tylko noce przepełnione były egzystencjalnym bólem. Bardzo skutecznie maskowałem mój stan, lecz spożytkowywałem na to całą siłę. Po szkole wracałem do domu i kładłem się na łóżku, nie mając ochoty na nic. Czarne myśli nawracały wtedy z całą mocą. Nie wiem, czy miałem depresję, bo oczywiście nie mogłem nikomu powiedzieć o tym, co czuję, a już na pewno nie mogłem pójść do psychologa, który mógłby to ocenić. Ale było naprawdę niedobrze. By zagłuszyć konflikt wewnętrzny, oddałem się szkole. Pracowałem bardzo ciężko nad lekcjami, aby nie mieć czasu na nic innego. Nie miałem lepszych wyników, nie o to chodziło. Później koleżanka z klasy powiedziała mi, że moje nienaturalne zaangażowanie było bardzo widoczne.

Postanowiłem powiedzieć o sobie przyjaciółce. Wybrałem ją na podstawie obserwacji jej podejścia do osób LGBT. Była bardzo tolerancyjna, lecz mimo to słowa „gej”, „homoseksualista”, nie mogły mi przejść przez usta, dlatego kazałem jej interpretować napisany przez siebie wiersz (to był pierwszy wiersz, jaki napisałem w życiu). Wiersza tego nie zamieszczę tutaj, bo jest bardzo słaby i nie powinien nigdy ujrzeć światła dziennego. Był bardzo (auto)agresywny i miał tematykę religijną. Koleżanka się domyśliła i zareagowała bardzo dobrze. Pomogła mi się uspokoić, lecz nie potrafiła odpowiedzieć na moje pytania natury teologicznej.

Na pytania te potrafił odpowiedzieć ksiądz Krzysztof Charamsa, o którym akurat wtedy zrobiło się głośno. Jest on jednym z najwybitniejszych teologów świata – myślałem – a potrafi zaakceptować w sobie homoseksualizm. To oznacza, że istnieje jakaś teologiczna droga, żeby jednak nie musieć popełniać samobójstwa. Ta myśl zburzyła skrajny dualizm mojego wahania i była fundamentem pod rozpoczęcie poszukiwań.

Poszukiwania przyniosły skutek – odnalazłem w internecie stronę Chrześcijańnin Homoseksualny, odnalazłem grupę Wiara i Tęcza, film „Zbawienie dla gejów”, mnóstwo artykułów biblistycznych, które pozwoliły mi zacząć wierzyć, że nie jestem z natury skazany na potępienie. Również moje pozareligijne wątpliwości zaczęły rozwiewać się, w miarę jak zapoznawałem się z Kampanią Przeciw Homofobii, stowa-

rzyszeniem Lambda czy Fabryką Równości. Moje homofobiczne argumenty, których kiedyś używałem w dyskusjach, upadały jeden po drugim.

Podczas gdy to wszystko się działo, sytuacja w grupie tanecznej również rozwijała się dynamicznie. Powstał w niej taki żart, że ja i ten chłopak jesteśmy parą. Wszyscy myśleli, że to dla zabawy, a ja byłem w nim naprawdę zakochany. Dlatego chętnie podchwyciłem te żarty i sam prowokowałem trzymanie się za ręce, przytulanie albo prawienie komplementów. Po paru miesiącach, gdy mój stan już się trochę ustabilizował i zacząłem widzieć nadzieję na życie jako geja, postanowiłem mu się wyoutować. On w odpowiedzi wyoutował się mi. Zostaliśmy parą.

Ten związek nie był udany i trwał chyba dwa albo trzy miesiące. Ale mimo to był niezwykle ważnym krokiem w mojej drodze do samoakceptacji. Jeśli mój były chłopak to czyta i rozpoznaje, że to o niego chodzi, to niech wie, że naprawdę bardzo dziękuję.

W tym momencie nastąpiło pierwsze spisanie tego pamiętnika, mimo że było to wiele lat temu. Sam wpadłem na ten pomysł, żeby opisać moje życie i historię moich wewnętrznych zmagania, chyba po to, żeby to z siebie wyrzucić. Dużą część tamtego pamiętnika przekopiowałem tutaj. To dlatego zawarte tu wspomnienia są świeże i sięgają nawet do czasów, których teraz chyba już bym sobie nie przypomniał albo przeinaczyłbym, jak było. Tamten pamiętnik kończy się w tym miejscu takim akapitem: „W ten sposób udało mi się ostatecznie zaakceptować siebie. I mimo że związek z moim ukochanym nie był udany i trwał krótko, to wiem, że to właśnie dzięki niemu udało mi się wreszcie stanąć u celu; na końcu tej drogi, którą szedłem przez prawie sześć lat, a którą – krótszą czy dłuższą – każda z osób LGBT musiała przejść”. Ale wtedy to była nieprawda.

Tak naprawdę, choć już umiałem się przyznać przed sobą, że jestem gejem, wciąż było we mnie wiele kompleksów i zinternalizowanej homofobii. To pewnie dlatego całkowicie zerwałem kontakt z moim byłym chłopakiem, choć w sumie nie było takiej potrzeby. Wciąż miałem takie przeświadczenie, że muszę całkowicie panować nad swoim umysłem – dlatego jeśli wciąż go kocham, a już nie chcę, to muszę podjąć radykalne kroki, odcinające mnie od niego. Ale z tego także powodu, podczas naszego związku, nie wyszedłem z inicjatywą inicjacji seksualnej, i nawet się jej bałem. Przede mną był wciąż także coming out przed moją rodziną.

Zanim o coming outcie, to trochę podsumuję i ocenię ten okres pierwszej miłości, cierpienia i samoakceptacji. Nie był przyjemny. Ale też coś dobrego z niego wynikło. Byłem dogmatycznym katolikiem z oczami zamkniętymi na jakąkolwiek odmienność. A wtedy dostrzegłem bardzo mocno, że nie sposób utrzymywać dogmatów chrześcijańskich tak, jak je wtedy pojmowałem, i żyć dalej. To mnie otworzyło na inne wizje świata. Zainteresowałem się różnymi nurtami teologii, ale także filozofią, a nawet innymi religiami, np. buddyzmem, którym do tamtej pory interesowałem się tylko teoretycznie. W trzeciej klasie liceum miałem nawet taki epizod, że określałem się jako buddysta i chrześcijanin jednocześnie (bo, warto wspomnieć, samoakceptacja

nie oznaczała jeszcze zerwania z Kościołem). Myślę, że dużą rolę w otwarciu się na odmiennosc odegrał mój kryzys psychiczny.

Będąc jeszcze w związku z moim pierwszym chłopakiem zacząłem planować coming out przed rodziną. To było konieczne, bo podczas związku już zupełnie wprost ich oszukiwałem i czułem się z tym źle. Kłamałem np. mówiąc, dokąd jadę, u kogo nocuję albo z kim rozmawiam przez telefon. Bardzo się bałem coming outu i musiałem długo przygotowywać się do niego psychicznie. Gdy byłem już niemal gotowy (bo nigdy nie jest się do końca gotowym), nastąpił rozpad związku i kolejne wielkie emocje. Byłem załamany i to wszystko spadło na mnie na raz, ale ja już „nabrałem rozpędu” – jeszcze niedawno tak konkretnie planowałem dzień, w którym powiem o sobie rodzicom. Więc pewnego wieczoru, spontanicznie, postanowiłem powiedzieć mamie, że nie rozpaczam za dziewczyną, tylko za chłopakiem.

Mama powiedziała o tym tacie i było bardzo źle. Tata zaczął mnie wręcz przesłuchiwać: co robiliście, gdy u niego nocowałeś? Jakie formy czułości sobie okazywaliście? A ja byłem tydzień po tym, jak on ze mną zerwał! Na koniec tata poinformował mnie, że osoby decydujące się na homoseksualizm cierpią i nigdy nie będą szczęśliwe oraz że nadużyłem ich zaufania. Ja byłem już trochę przygotowany na te kwestie, więc odpowiadałem dyplomatycznie: wiem, ale tego nie zmienię; nie mogę wybrać orientacji; masz rację, ale nic na to nie poradzę. Nastąpiły ciche dni i nie muszę chyba pisać, jak się czułem.

Parę dni później tata albo mama, nie pamiętam dokładnie, zaproponowali wspólną wizytę u psychologa chrześcijańskiego. Nie byłem przeciwny, bo przecież wciąż byłem chrześcijaninem, ale do wizyty nigdy nie doszło, bo pomyślałem jakoś się rozmyśli. Bogu dzięki, bo to by się skończyło terapią konwersyjną, o której istnieniu wtedy nie wiedziałem.

Po coming outcie przed rodziną nastąpiła seria coming outów przed znajomymi i przyjaciółmi, które nie były już tak spektakularne, bo znajome osoby raczej rzadko reagują w jakikolwiek wyrazisty sposób, tylko po prostu mówią „spoko” i przyjmują do wiadomości. Od tego momentu można powiedzieć chyba, że stałem się zupełnie „ujawniony” i więcej nie robiłem tajemnicy z mojej orientacji.

Wartym wspomnienia przeżyciem był udział w mojej pierwszej Paradzie Równości w Warszawie. Nic mnie tak nie mogło pocieszyć w tamtym okresie, jak właśnie Parada. Upadły już chyba ostatnie stereotypy o zepsutym i wyuzdanym „środoisku LGBT”, bo na własne oczy zobaczyłem zwykłych, kolorowych, wesołych ludzi. Co ważniejsze, zobaczyłem bardzo wielu sojuszników i wiele osób LGBT w jednym miejscu na raz. W tamtym momencie, gdy nie miałem już chłopaka, gdy rodzice mnie nie akceptowali, a ja sam ledwo wyszedłem z kryzysu, znów wydawało mi się, że jestem jedynym gejem w promieniu wielu kilometrów. A tu proszę: trzydzieści tysięcy pozytywnych, akceptujących siebie i innych ludzi LGBT na warszawskich ulicach. Okazało się, że nie jestem sam.

Wracam do wątku rodziców. Autentycznie nie pamiętam, ile czasu minęło, zanim zaczęli dawać mi pierwsze sygnały, że coś w ich podejściu się zmienia. Pamiętam, jak

wracając z protestu przeciw wizycie Paula Camerona w Sejmie RP zabrałem się z tatą, który wtedy wracał samochodem z pracy. Tata rzucił mi, niby mimochodem: „A ten Cameron to jest oszołom”. Wkrótce też zauważyłem, że mama czyta coś na temat chrześcijan LGBT. Nie znam szczegółów ich własnej drogi do akceptacji mojej orientacji, pewnie musieliby napisać własne pamiętniki. I nie wiem też, ile czasu minęło, może to był ponad rok, ale gdy byłem już na studiach, moja mama już otwarcie wyrażała swoją akceptację. Tata był bardziej skryty, ale wkrótce też do niej dołączył. I naprawdę, jeśli to czytają i rozpoznają, że to o nich piszę, niech wiedzą, że są wspaniałymi rodzicami, a mama mogłaby być wzorem dla wszystkich matek. Bo większa jest radość z jednego grzesznika, który się nawrócił...

Poszedłem na studia. Na pierwszym roku nie zdarzyło się nic, o czym warto byłoby pisać. Może poza tym, że – ku mojemu zaskoczeniu – miałem już więcej kolegów niż koleżanek, mimo że całe moje świadome życie było odwrotnie. Warszawa, a zwłaszcza środowisko akademickie, to już nie miejsce na homofobię. Szczęśliwie znalazłem się wreszcie w sprzyjającym otoczeniu. W połowie drugiego roku poznałem chłopaka przez internet, na portalu Queer.pl. Zaczęliśmy się spotykać.

Wspomnę o pewnym seansie filmowym, który wydarzył się jakoś na drugim roku. Poszedłem na film „Tamte dni, tamte noce”, bo wszyscy o nim mówili i polecali mi go. W kinie, oglądając historię Elio i Olivera, zdenerwowałem się. Byłem zirytowany, jak to wszystko wygląda. Ten film w ogóle nie przedstawił jako problemu tego, co było dla mnie problemem przez pół życia. Samoakceptacja, walka wewnętrzna, homofobia rodziny i otoczenia – to w ogóle nie były tam wątki. „Tamte dni...” przedstawiły cielesność i seksualność jako coś, co jest bezproblemowe, pełne uczucia, wrażliwości, ciepła i intymności. Wyszedłem z seansu poirytowany, ale to właśnie wtedy dostrzegłem, że jeszcze tkwią we mnie pozostałości tamtego angelizmu, o którym już dawno myślałem, że go przewyciężyłem. Z dzisiejszej perspektywy powiedziałbym, że to właśnie ten moment był ostatecznym momentem zaakceptowania samego siebie, a nie żaden wcześniejszy. Ale ta perspektywa też przecież może się zmieniać.

Pod koniec drugiego roku wszedłem w związek z tym poznanym przez internet chłopakiem. Związek ten trwa do dziś i dobrze się dogadujemy. Początkowo nie mieliśmy problemu z tym, żeby np. trzymać się za ręce albo objąć publicznie. Spotkaliśmy się z kilkoma niemiłymi reakcjami: ktoś krzyknął za nami, że „pedały”, jakaś pani prawie straciła dech z oburzenia. Żyjemy jednak w Warszawie, więc jest to mniejszość reakcji. W większości w ogóle jej nie ma. Raz, gdy obejmowaliśmy się na ławce po Paradzie Równości, podszedł do nas podpity mężczyzna. Zaczął rozmowę od typowego żartu: „który to chłop, a który baba?”. Ale my odpowiedzieliśmy na poważnie, że żaden baba, bo obaj jesteśmy mężczyznami i właśnie o to w tym chodzi. Początkowo wyrażał swoją dezaprobatę i oznajmiał, że on tego nie rozumie. Ale od słowa do słowa podpity mężczyzna zaczął schodzić z tonu, aż wreszcie rozmowa w ogóle zesła z homoseksualności na to, czym się w życiu zajmujemy i jacy jesteśmy. Na koniec podpity pan życzył nam szczęścia, zdrowia i wszystkiego dobrego, my jemu również, i rozeszliśmy się w dobrej atmosferze. Tą sytuację potraktowałem jako mały tryumf

nad homofobią tego człowieka, choć pewnie był trochę łatwiejszy do przekonania przez alkohol, który było od niego czuć. Teraz z moim chłopakiem nie trzymamy się już za ręce publicznie, ale raczej dlatego, że nie czujemy już takiej potrzeby, niż z powodu lęku.

Mój pierwszy raz zaskoczył mnie tym, jak bardzo nie był przełomowy. Przez lata angelizmu myślałem o inicjacji seksualnej, że jest jakąś cezurą, że można podzielić życie każdego człowieka na „przed seksem” i „po seksie”, i że to jest jakaś niezwykła różnica. Tymczasem okazało się, że życie z seksem niewiele różni się od życia bez seksu i choć jest to oczywiście bardzo przyjemna aktywność, to przecież nie wywraca niczego do góry nogami.

Co ciekawe (dla mnie samego), choć poglądy bardzo przesunęły mi się na lewo, to wciąż nieprzerwanie chodziłem do kościoła. Oczywiście musiałem trochę inaczej sobie wszystko podefiniować i zrjonalizować, więc zaliczałem się do „progresywnego” albo „otwartego” Kościoła, ale wciąż nie chciałem porzucać go całkowicie. Pewnej niedzieli do kościoła na mojej wsi zawitała kopia świętego obrazu wraz ze swoim kustoszem w ramach tzw. peregrynacji. Kustosz opowiadał o nim niezwykle bzdury – że obecność obrazu Maryi to również szczególna obecność jej samej, że obraz ma wyróżniony charakter, bo został przyłożony do oryginału i poświęcony przez papieża w Rzymie, że ma mnóstwo drogocennych sukienek itp. Nie zgadzałem się z żadnym słowem, do czego na tym etapie mojego życia religijnego już przywykłem. Ale wtedy zauważyłem, że nie mam prawa do myślenia, że ten kustosz błędzi, a moja religijność jest autentyczna. Chrześcijaństwo współcześnie wygląda jak wygląda – i albo jestem jego częścią, albo się z niego wycofuję. Gdy do tego doszło coraz śmielsze zabieranie głosu w sprawach LGBT przez hierarchów, to wybrałem drugą opcję – wycofuję się. I w ten sposób ostatecznie przestałem być chrześcijaninem.

Publiczne zabieranie głosu w kwestiach LGBT kieruje mnie do kolejnego wątku, jakim jest moje spojrzenie na sprawy polityczno-społeczne. Otóż jest ono fatalistyczne, pesymistyczne i pozbawione nadziei. Przez wiele lat deklarowałem, że jestem apolityczny. Potem nie było to już możliwe, bo jako jawna osoba homoseksualna nie mogłem ignorować coraz bardziej homofobicznych wypowiedzi polityków. Moje poglądy stały się liberalno-lewicowe; ale ponieważ wciąż byłem jakoś związany z otwartym chrześcijaństwem i wywodziłem się z prawicowej rodziny, to moją naczelną wartością polityczną stał się brak skrajności, umiarkowanie, centryzm i absolutny sprzeciw wobec jakiegokolwiek radykalizmu z obu stron politycznej barykady.

Niestety takie podejście z roku na rok jest coraz wyraźniej naiwne i ostatnie wydarzenia pokazują, że nie da się go na poważnie utrzymywać. Np. w kwestii Margot – nie odpowiada mi jej styl bycia i metody działania jej kolektywu. Ale przecież ruch emancypacyjny LGBT nie jest jakoś „centralnie sterowany”, żeby móc się wobec jej działań jakkolwiek sprzeciwiać, że są „strategicznie złe”, czy coś takiego. A prawa strona ucieka się do coraz bardziej prymitywnych zabiegów, propagandy, jawnych oszczerstw i odwołań do prostych instynktów. Więc gdy doszło do całych tych wydarzeń

z aresztowaniem Margot i innych aktywistów w tym roku (2020), to w dyskusjach ze znajomymi i rodziną stanąłem w jej obronie. Radykalizuję się – sam to zauważam, ale nie mogę się nie radykalizować, co uważam za przykre.

Tak jak ja się radykalizuję, tak radykalizuje się całe społeczeństwo. Widzę tak wiele analogii do czasów przedwojennych, że ostatnio nabieram przekonania, że nie ma już ratunku. To się wszystko musi powtórzyć, a my – jako społeczeństwo – znów zmądrzejemy dopiero po fakcie. Ta pesymistyczna wizja społeczeństwa to nie jest jakiś gwałtowny odruch emocjonalny. Po prostu tak sądzę, raczej na chłodno. Jestem pogodzony z myślą, że kiedyś będzie trzeba uciekać z kraju.

Gdy patrzę na to wszystko, co napisałem wyżej, to wygląda to bardzo smutno. Można nabrać przekonania, że mam psychikę zrytą przez lata walki z samym sobą, że jestem człowiekiem skrzywdzonym przez zinternalizowaną homofobię i nawet gdy już się zaakceptowałem, to i tak widzę świat w czarnych barwach. Rzeczywiście wyniosłem z całej tej historii pewne rany. Przez pół życia moją naczelną wartością były próby poskromienia jakichkolwiek emocji – więc teraz mam nawet trochę problem z tym, żeby je odczuwać i okazywać. Ale w ostatecznym rozrachunku, gdy piszę ten pamiętnik, żyje mi się dobrze. Mam wspańiałych przyjaciół i chłopaka, akceptującą rodzinę, studiuje w tolerancyjnym i otwartym środowisku. Osiągam swoje małe sukcesy. Czasami nachodzą mnie czarne myśli – to normalne – ale wydaje mi się, że wszystko jest teraz w porządku.

Pisząc to, mam dwadzieścia dwa lata. Za kilka lat wrócę do tego pamiętnika i albo będę się z tego wszystkiego śmiać, albo znów przekopiuję go do nowego pliku, dopisując dalszy ciąg.

Pamiętnik Marcina

Homoseksualny cis mężczyzna, ur. w 1995 r. w małym mieście na południowym zachodzie Polski, obecnie mieszka w Warszawie.

Mieszkam na poddaszu niewielkiej kamienicy w willowej dzielnicy Warszawy. Na wysokości piątego piętra nie ma żadnego kontaktu z ulicą, więc czasami wyobrażam sobie, że mieszkam w Paryżu, średniowieczu albo że jestem jedynym, który przeżył apokalipsę; w każdym z wariantów byłbym tak samo nieświadomy współczesnych sobie wydarzeń. Podczas wiosennego lockdownu w związku z pandemią koronawirusa moim jedynym oknem na świat był dźwięk – co chwilę słyszałem złowieszczy szum awionetek i helikopterów mijających moje dachowe okna. Rozkwitająca wtedy w kącie pokoju paranoja kazała mi myśleć, że media kłamią i wszyscy na pewno zginęli. W czasie letniego „lockdownu” wraz z kolegami z celi patrzyliśmy przez okno podpiwniczenia i staraliśmy ocenić porę dnia poprzez analizę kąta, pod jakim sierpniowe słońce padało na samochody i budynki (nie udało nam się). Dzisiaj, w ostatnim dniu samoizolacji (miałem kontakt z zakażoną osobą), w obu wspomnieniach widzę coś równie nagiego i bezbronnego – poddasze łączy się z piwnicą w jedno monotonne „psychiczne schronienie”. Od prawie roku mieszkam zupełnie sam; zdaje się, że samotność to dla mnie sytuacja graniczna. W samotności w równym stopniu się integruję, co regresuję – mogę być w swojej celi zarówno mnichem, odkrywającym kolejne tajemnice wiary, jak i skazańcem, wchłoniętym przez gardziele absurdu. Gdy świat pochłonęła pandemia, utonąłem w oparach samego siebie. Przez dwa miesiące czerń moich dachowych okien rozświetlał jedynie okazjonalny błysk zapalniczki, co przyplącałem uzależnieniem oraz kryzysem psychicznym – czwartym z kolei. Numer jeden pojawił się po powrocie z trzymiesięcznego wyjazdu zarobkowego na wyspy brytyjskie; cztery lata temu mieszkalem tam zupełnie sam w spleśniałym, pokrytym zakurzonymi marzeniami pokoju. Numer dwa (dwa lata temu) zażegnałem, wyjeżdżając samemu w trwającą cztery dni podróż do jednej ze środkowoeuropejskich stolic. Numer trzy, historia z tego roku, to konsekwencja butnego przeświadczenia, że samemu dam radę. A numeru cztery nie ma, bo w sierpniu – po wielu latach

- uznałem, że samemu rady nie dam. Dziś tę tajemnicę wiary wyraża dla mnie trzydzieści metrów kwadratowych o średnim standardzie. Za „meet&greet” z Panem Bogiem płacę do dziesiątego w gotówce. Ten strych mnie określa - w nim robię, co chcę. A gdy nadchodzi jesień i po raz kolejny się ściemnia, zaczynam pisać.

Urodziłem się na południowym zachodzie kraju, w bloku z wielkiej płyty. Pochodzę z rodziny nauczycieli - przy czym Matka tego zawodu nigdy nie lubiła, Ojciec nigdy się nie nadawał, a Dziadek i tak bardziej kojarzył mi się z papieżem. A z racji, że po moim coming-oucie Ojciec oskarżył nieżyjącego już wtedy Dziadka o „szturchanie młodych chłopców” (?), na parę miesięcy kazał mi przypuszczać, że czytać i pisać nauczył mnie duchowny-pedofil. Tak naprawdę Dziadek był po prostu charyzmatycznym, genderowym rozwodnikiem. Wychowywał pięcioro wnuków i gotował im obiady, trochę jak Robbie Williams w „Pani Doubtfire”. Ojciec, oskarżając go o wykorzystywanie młodzieży (jedyne dostępne w jego głowie skrypta homoseksualności), pewnie chciał nieudolnie oddzielić ziarna od plew. Atrybuty męskości miałbym dostać od niego - geny gejostwa mogłyby być spadkiem ze strony rodziny Matki. Do Dziadka może i jestem faktycznie podobny - odziedziczyłem po nim miłość do zwierząt, eleganckie poczucie humoru i ukraińską urodę. Dostałem od niego wspomnianą znajomość elementarza, bezwarunkową miłość i bogate życie duchowe (Dziadek uczył mnie i moją siostrę modlitwy). Moim pierwszym wymarzonej zawodem był zresztą ksiądz. Ostatnio dowiedziałem się zresztą od ciotki, że to nieprawda - według niej chciałem być albo filozofem, albo śmieciarzem. A zostałem psychologiem.

W pewnym sensie psychologii nauczyła mnie moja Matka - ofiara własnego układu nerwowego i nieszczęśliwego małżeństwa, caryca pasywnej agresji, fanka zgrzytania zębami i migren. Matka wtajemniczyła mnie w świat paranormalny: jako tłumacz z zawodu mówiła językami, dosłownie i w przenośni. Raz na jakiś czas dostawała ataku i rozpoczynała seans. Krzykiem oznajmiała, że nie ma siły, bo jest jedynie „durną wariatką, która wychowała dwie żmije na własnym łonie”. Słowa latały wtedy wszędzie, a ja - młode medium - chwytałem się ich jak tonący brzytwy, analizowałem mimikę i brzmienie głosu. Czasami na umęczone skronie Matki spływały przepowiednie. „Pierdolnę drzwiami i nie wrócę”, uchylała rąbka tajemnicy młodym żmijom. Wiele lat później moja Siostra powiedziała mi, że z bezsilności miała wtedy ochotę walić głową w ścianę. Ja „pierdolnąłem drzwiami” w wieku 15 lat, co dopełniło moją inicjację w paranormalny świat. Rok wcześniej Matka waliła swoją głową w kubek przy gościach.

Mimo tych traumatycznych wspomnień uważam Matkę za dobrego, kochającego rodzica. Nauczyła mnie autentyczności, serca do ludzi i słuchania się intuicji. Nieświadomie, ale tak to już w psychologii bywa. Kochała i kocha, bo przeszliśmy próbę czasu oraz udane terapie (ja z Siostrą po jednej, Matka dwie). Dzięki swojej własnej przestałem ją postrzegać jako niezrównoważoną i tłamszącą; zacząłem doceniać jej trud i wybaczać porażki. Również tą, którą było małżeństwo z Ojcem.

Podobno sukces ma wielu ojców, ale mój od zawsze chciał być na wyłączność. Miał być podziwiany i rozumiany, nawet kosztem faktów i okoliczności. Pamiętam,

że moja terapeutyczna intuicja zaczęła się wykluwać właśnie w trakcie telefonicznych rozmów z nim. Jako gimnazjalista starałem się zrozumieć i oddać Ojcu jego wewnętrzne paradoksy. Po 10 latach, ukończonych studiach magisterskich i rozpoczętej podyplomówce wiem, że terminy, których rozpaczliwie wtedy szukałem to „gaslighting”, „rozszczerzenie” i „narcystyczne zaburzenie osobowości”. Skoro Ojciec miał mieć białe dłonie i czyste zamiary, cała reszta świata musiała się pokryć brzydką, śmierdzącą czernią. Epicentrum zła była moja Matka, ja z kolei nigdy nie przestałem być w jego oczach bezmyślnym pionkiem. Moja osobowość należała do jego znielowanej żony, z kolei orientacja – do jej ojca, groźnego i nielubianego rywala. Moje oczy, wygłodniałe bliskości, należały do Ojca, chociaż nigdy tak tego nie widział.

Z perspektywy czasu myślę, że mój Ojciec nie chciał mi nigdy zrobić krzywdy. Przeciwnie, w swoim ograniczonym rozumieniu bliskości pragnął mi przekazać wyłącznie to, co najlepsze. Chciał uczynić ze mnie mężczyznę, żeby ochronić mnie przed rzeczywistością, która jego samego boleśnie okaleczyła. Jego własny ojciec powiedział mu: „Prawdziwy mężczyzna zachowuje spokój nawet, gdy pali mu się pod tyłkiem”. Oprócz tego Dziadek pił, bił i rzucał siekierą we własne dzieci. Ojciec miał chyba dobry refleks, bo zdążył się przed nią uchylić. We własnym domu siekiery nie trzymał – jako mieszczanin ze społecznego awansu musiał się odciąć od rolniczych korzeni. Do ukatrupienia mojej Matki użył więc własnych rąk zaciśniętych na jej szyi. Krew z krwi – ja także mam dobry refleks, bo Matka przeżyła. Ojciec zachował spokój i w sądzie utrzymywał, że „złapał ją wyłącznie za szlafrok”. A po rozprawie wrócił do nauczania dzieci w liceum.

Przed trwającym lata maratonem przemocy psychicznej i fizycznej mój Ojciec dał mi się poznać także od tej lepszej strony. Czasami jawił się jako ekscentryczny filozof, znawca sztuki albo skarbnica wiedzy narcystycznie strzegąca swoich tajemnic. Szedł przez życie niezrozumiany. Niezdarny w kontaktach społecznych, zawsze wolał poniżać, czym zaskarbiał sobie strach, który błędnie interpretował jako szacunek. Nie pamiętam, żeby miał stałą grupę kolegów. Popołudnia spędzał zamykając się samotnie w salonie. Wypijał dwa piwa i zasypiał przy National Geographic, czasami przy pornosie. Matka spała osobno w ich wspólnej sypialni. Po tym, jak usiłował ją udusić, ze strachu zaczęliśmy spać razem. W nocy nasłuchiwałem kroków Ojca i marzyłem o zemście.

W naszym czterokondygnacyjnym domu fundamenty trzęsły się od lat. Trząśł się nasz mały pinczer i trząśłem się ja. Wtem, pośrodku nocy – lawina. Wszystko się sypie i zmienia nazwy. Matka to kurwa, ojciec to cham. Tyle łapię w locie. Jak pies pasterski odciągam Ojca od Matki, inicjując tym samym akcję ratunkową. W złości uczę się na pamięć piosenki „Chodzi lisek koło drogi”, żeby w myślach wyśpiewać to Ojcu. Kiedy w przedpokoju wyśpiewuję mu, że pójdzie do więzienia, jeśli nadal będzie krzywdził własną rodzinę, dostaję z otwartej dłoni w twarz tak mocno, że upadam na ziemię. Gdy zwierzam się Matce, że szukałem w Internecie pojęcia „toksycznej zazdrości”, o której wspomniała dzień wcześniej, odwdzięcza się wyznaniem, iż z braku sił chciała wjechać samochodem pod tira. Tę nową przyjaźń przypieczętowują moje dziecięce

fantazje, w których leżymy martwi na łożu kwiatów jak nieszczęśliwi kochankowie. Wiem, że to nie moje myśli, ale czyje emocje?

Matka zabiera mnie i moją Siostrę z domu parę miesięcy po tym, jak sama się wyprowadza. Jej prorocstwo o „pierdolnięciu drzwiami” sprawdza się po 18 latach. Ojciec zostaje sam w domu zasypanym lawiną. W trakcie jednej z rozmów telefonicznych panikuję i proszę go, żeby się nie zabijał.

I tak oto, pośród gruzów życia, jakie dotychczas znałem, rozkwita pierwszy pęd dziecięcej seksualności. Nie pamiętam dokładnie kiedy, ale przypuszczam, że mniej więcej pół roku przed (a może po?) wybuchem konfliktu między rodzicami. Miałem 12 lat, kończyłem szkołę podstawową. W białej, galowej koszuli grałem w pierwsze animowane gry erotyczne, jeszcze heteroseksualne. Na początku z dziecięcej ciekawości, potem coraz częściej z młodzieńczego przymusu. Pamiętam pierwsze suche orgazmy i stopniowe uzależnienie od błogiego uczucia nirwany. Po dziś dzień po dobrym seksie potrafię dostać bólu głowy – mój wrażliwy układ nerwowy nie może znieść przebodźcowania. Parę miesięcy zajęło mi zastanawianie się, czy na filmach porno bardziej pociąga mnie aktorka, aktor, czy może interakcja między nimi. Czasami zasłaniałem połowę ekranu i zastanawiałem się, co jest ekscytującego na twarzy kobiety pożądanego mężczyzny. Chcę jej czy chcę *być* nią? A gdybym zasłonił tę drugą połowę? Czy ja pożądam pożądanego mężczyzny?

Po wielu dojsiach doszedłem i do wniosku: mam przejebane. To jednak mężczyźni. Coś w pewnym momencie kliknęło i moja umęczona psychika, skuty hormonami mózg i penis spotkały się w jednym miejscu. Pamiętam obsesję na punkcie pewnego pornosa – być może to był właśnie ten definiujący moment? Dwóch mężczyzn odwiedza swojego wuefistę w jego mieszkaniu i na jego prośbę prężą mięśnie. Ich białe bokserki, do których trener każe się rozebrać, kontrastują z opalonymi, umięśnionymi ciałami. W pewnym momencie nauczyciel zsuwa z nich bieliznę i rozpoczyna się scena seksu oralnego. Te dwadzieścia pięć minut na wiele lat zdefiniowało moje wyobrażenie o bliskości między mężczyznami. Od początku identyfikowałem się z pasywnym wuefistą – za wszelką cenę chciałem być dominowany, adorowany przez pozostałych dwóch greckich bogów. Dobrze oświetlonych, naoliwionych i chętnych. Istniejących tylko w mojej fantazji, bo małomiasteczkowa rzeczywistość nie napawała optymizmem. Byłem dość cichym, zniewieściałym gimnazjalistą, co irytowało niektórych chłopców. Czasami padałem ofiarą żartów, szykan. Jeden chłopak z równoległej klasy chyba wyczuł moją odmienność, bo przez pewien czas wyładowywał na mnie swoje problemy ze złością. Raz, gdy ironicznie odpowiedziałem mu na zaczepki, podniósł z trawnika masywny kij i przyłożył mi nim w bok głowy. Przerażony i upokorzony, zapisałem się szkolnej społeczności w roli ofiary. Żeby poradzić sobie z emocjami, zacząłem seksualizować agresję i strach w kontaktach z innymi mężczyznami. Im bardziej byłem zły na kolegów, tym bardziej skrycie ich pożyłem; jednocześnie bałem się bliskości, bo ta mogła mnie zdradzić. Niezainteresowany typowo „chłopięcymi” tematami, lawirowałem więc gdzieś na obrzeżach szkolnego mikrokosmosu, wzdychając do co przystojniejszych nastolatków. Z tylnych

ławek wypatrywałem obojczyków, owłosionych łydek, pierwszego zarostu na zuchwie. Czasami trafiał się zarys penisa w szkolnej przebieralni. Raz na jakiś czas słyszałem, że ja albo któryś z kolegów jest „pedałem”. Nie do końca rozumiałem, co to znaczy, ale zawsze przechodził mnie wtedy dreszcz. Stopniowo wchłaniałem świadomość, że świat mnie nienawidzi. W Internecie długo czytałem na swój temat – z początku katolickie bzdury o tym, że pójdę do piekła i takie tam. Pamiętam parę miesięcy czegoś w rodzaju depresji, szamotania się samego ze sobą. Załamywania rąk, zakrywania twarzy po każdym orgazmie. Żalowałem za grzechy jak każdy katolik – z egzaltacją, ale bez postanowienia poprawy. Po nocach robiłem research – kolejnych pornosów i skrawków tożsamości. Serce śmieje mi się teraz na wspomnienie młodego chłopca, którym wtedy byłem, w sekrecie pożerającego wzrokiem podstronę „Homosexuality” na Wikipedii. Matka z Ojcem pracowali wtedy na 1,5 etatu, więc poupychali mnie na różne zajęcia pozalekcyjne; jak na 12-latkę naprawdę nieźle znałem angielski, więc mogłem bezwstydnie zanurzać się w dwóch źródłach – polskich i zagranicznych. Polski fundamentalizm konfrontowałem z amerykańskimi vlogerami. „Zakaz pedałowania” z Ellen DeGeneres. „Zero tolerancji” z kampanią „It gets better”. Dzięki dwujęzyczności dokonywałem kulturowego przekładu własnej natury; byłem dla siebie ekspertem i nowicjuszem w jednym. Być może właśnie wtedy zrozumiałem istotę negocjowania rzeczywistości. Przez wiele lat byłem w swojej głowie bardziej „gay” niż „gejem”. Dla młodego chłopca było to jak wejście do gabinetu luster. Zawarłem cyrograf: moja dusza za najpiękniejsze odbicie. A potem, z duszą na ramieniu, po prostu czekałem.

W międzyczasie różne skrawki wspomnień, emocji i przeczuć zaczęły wypełniać nowo powstałą przestrzeń w mojej głowie. Od zawsze niepokoiła mnie myśl, że jestem 男同志, czymkolwiek by 男同志 nie było. Moim pierwszym doświadczeniem, które w retrospektywie mogę powiązać z homoseksualnością, był wstyd. Już jako przedszkolak instynktownie czułem, że należy wstydzić się przed grupą listy życzeń do Mikołaja zawierającej typowo dziewczęce zabawki. Zawsze chciałem bawić się lalkami i namiętnie oglądałem „Czarodziejkę z Księżycą”. Pamiętam scenę ze sklepu, w której Ojciec próbuje mnie namówić na wybór figurki czerwonego wojownika, a Matka – różowej wojowniczkę Power Rangers. Wspomnienie to symbolizuje dla mnie różne podejścia rodziców do mojej wrażliwości i ekspresji. Matka przyjmowała ją ze spokojem (i dozą lęku, do którego przyznała mi się po moim coming-outcie), Ojciec chciał je zmienić. Matka pieszczotliwie mawiała na mnie „Maryla” (niejako żeński odpowiednik mojego imienia), Ojciec przeciwstawiał „bohatera”, jakim chciał mnie widzieć, „panikarzowi”, którym zazwyczaj się okazywałem. Podczas jednej z rodzinnych wycieczek do pobliskiego zamku zrobił mi zdjęcie, na którym w jednej dłoni trzymam zabytkowy miecz, zaś w drugiej – ogromnych rozmiarów tarczę. Pamiętam, że zdjęcie było bardziej jego pomysłem – ja wolałbym zdjęcie z różową gimnastyczką wstęgą, na punkcie której miałem obsesję (efekt oglądania „dziewczego” anime na niemieckiej satelicie). Luźne podejście do płci kulturowej prezentuję do dziś – namiętnie dbam o skórę, używam korektora pod oczami i damskiego antyperspirantu

(męskie moim zdaniem śmierdzą). Jako licealistę śmieszyło mnie zamieszanie wokół „potwora gender” – jeszcze przed zapoznaniem się ze znaczeniem terminu, uosabiałem je. „Gender jest wszędzie, proszę sobie wyobrazić heteroseksualną parę: policjantkę i malarza”, tłumaczyłem przekornie mojej terapeutce, która w trakcie procesu zaczęła sugerować mi nieświadomą biseksualność. Być może moja biografia, w szczególności wątek uczuciowego trójkąta z rodzicami i fakt posiadania młodszej siostry, mógł dać jej podstawy do powątpiewania w „prawdziwość” mojej orientacji; dla mnie jednak homoseksualność stanowiła naturalne, chociaż trudne do akceptacji przedłużenie mojej natury. Wątpię, żeby szczęśliwsza historia rodzinna mogła realnie wpłynąć na mój stosunek do kobiet. Ich piersi, pośladki i uda mógłbym podziwiać jak rzeźby w muzeum. Męskie torsy i podbrzusza podziwiam w sypialni.

Parę lat temu natknąłem się na pojęcie „nonkonformizmu dziecięcego”, według badań naukowych będące najsilniejszym i najwcześniejszym obserwowalnym predyktorem homo- i biseksualności. To dziwnie brzmiące określenie pozwoliło mi wreszcie odetchnąć z ulgą i zrozumieć, dlaczego przez wiele lat mały, zbliżowaciał od środka „Marcin” stał na równi z „Marylą”. Trochę jak dwa rodzaje perfum, które mogę nosić według upodobań. Odmienne w oczywisty sposób, jednak wciąż rozbrzmiewające na tej samej skórze. Sensu nabrały suknie balowe z prześcieradeł, peruki z ręczników i parę tygodni z liceum, kiedy śmiertelnie przerażony nie wiedziałem, czy chcę *być* Arianą Grande, czy tylko *być taki, jak* ona. Mimo że uważam się za osobę cispłciową, kwestia pojemności i elastyczności mojej tożsamości płciowej (a także jej naturalnego związku z moją orientacją seksualną) do dziś pozostaje dla mnie zagadką, przynajmniej w warstwie świadomej. Na takim zwierzęcym, przedwerbalnym poziomie rozumieniem i czuję. Na dzisiaj mi starcza.

Wspomniane przeze mnie wspomnienie o Arianie Grande dosyć dobrze ilustruje zamęt, jaki panował w mojej głowie przez trzy burzliwie produktywne lata liceum. Jako gimnazjalista miałem dobre oceny, więc zaaplikowałem do jednej z lepszych szkół w kraju, regionalnej „kuźni talentów”. Uczęszczanie do elitarnego liceum wiązało się z przeprowadzką do miasta wojewódzkiego i zamieszkaniem w internacie, co w tamtym okresie wydawało mi się równie ekscytujące, co ryzykowne. Nieświadomie, chcąc uciec przed sytuacją w domu, zamieniłem jeden patologiczny system na drugi. Stres związany z kłótniami i przemocą rodziców z zamkniętymi oczami zamieniłem na niewyspanie i regularny ból brzucha – bez większej różnicy. Klasa maturalna śni mi się zresztą do dziś (tak poznaję, że nie radzę sobie z napięciem). Wyśrubowane standardy i uciekającą młodość osładzały mi poczucie przynależności do elitarniej jednostki, trening umiejętności społecznych w internacie i te parę godzin dziennie, które w spokoju mogłem przeznaczyć na eksplorowanie własnej tożsamości. Oferta zajęć pozalekcyjnych była przytłaczająca: mogłem wybierać spośród samookaleczania, palenia konopi indyjskich, pierwszych kontaktów seksualnych, joggingu, nauki filozofii, pierwszych coming-outów przed znajomymi, „zerowania” taniego piwa na nadrzecznych wałach i jednego spontanicznego wyjścia z ciała w czasie grypy, które rozbudziło moje duchowe (a tak naprawdę eskapistyczne) potrzeby. Potrzeby

seksualne ostatecznie rozbudziła marihuana – moja pierwsza i najtragiczniejsza miłość. Pamiętam, jak podczas ferii zimowych w klasie maturalnej zjarałem się tak mocno, że uznałem znieawidzonego kolegę z klasy (o którym słyszałem „brązowe” pogłoski) za bardzo, ale to bardzo atrakcyjnego chłopaka. Naturalnie umięśniony, z twarzy przypominał mi niestety „połączenie Schwarzeneggera z kobietą” (jak to triumfalnie ogłaszałem znajomym na papierosie). Mimo tego chęć utraty dziewictwa przewyciężyła, więc – siedząc w oparach młodzieńczej głupoty – wynegocjowałem rzeczywistość, w której J. staje się moim chłopakiem. Flirt w internecie okupiony był dreszczykiem emocji; odbywał się za pomocą półsłówek, znaczących spojrzeń i ambiwalentnych komunikatów na Messengerze. Po paru miesiącach godów doszło do pierwszego zbliżenia. A potem kolejnego. I kolejnego. I kolejnego. Radość trwała przez parę miesięcy; zresztą to dzięki tej pustej, kompulsywnej przygodzie przeprowadziłem się do stolicy na studia. W międzyczasie zdaliśmy sobie sprawę, że regularny wytrysk to za mało, żeby posklejać relację. Każde z nas poszło w swoją stronę, a moje złamane serce oddałem Warszawie.

To właśnie w sercu kraju – brudnym, brzydkim i betonowym – po raz pierwszy odkryłem sam siebie. Dzięki studiom psychologicznym zacząłem się konfrontować z grubą warstwą nieświadomych przekonań, która ciążyła na mnie jak mokry sweter. Rozbudzone w liceum zainteresowanie filozofią i psychologią przeobraziło się na uniwersytecie w silną motywację do pracy pomocowej. Między wykładami nawiązywałem pierwsze przyjaźnie i z wypiekami opowiadałem o swoich planach zostania terapeutą – marzeniu niemal każdego sparentyfikowanego dziecka. Po maturze i pierwszym roku wyjechałem na parę miesięcy na wyspy brytyjskie, gdzie pracowałem jako kelner. Szczególnie ten drugi wyjazd negatywnie odbił się na moim zdrowiu psychicznym; chcąc ratować podupadłą samoocenę, znalazłem sobie po powrocie Obcokrajowca z penisem równie długim co lista wymówek, przez które nie mógł wejść ze mną w relację. Wieczory spędzaliśmy na paleniu marihuany, przekomarżaniu się i uprawianiu namiętnego seksu. Obcy był dla mnie i kulturowo, i emocjonalnie, więc chcąc ratować podupadłą samoocenę, wybrałem się w końcu na terapię. Po trzech miesiącach regularnych sesji skończyłem relację z Obcokrajowcem, a złamane serce oddałem terapeutce.

Na drugim roku studiów zaangażowałem się też w działalność jednego z warszawskich NGO-sów działających na rzecz społeczności LGBT+. Wtedy byłem zbyt młody, żeby dostrzec wartość w cegielce, którą dokładałem do emancypującej się społeczności osób nieheteronormatywnych w kraju – chciałem po prostu czuć się potrzebny i zdobywać warsztat, który wykorzystam do pracy z ludźmi. Pamiętam nasze poruszenie, gdy PiS doszedł do władzy; usłyszałem wtedy od naszego mentora: „Nie będzie wolnych wyborów”. Wzruszyłem wtedy ramionami i po raz dwudziesty danego dnia odpaliłem Grindra. Za dnia na kozetce odkrywałem nowe fakty o sobie, zaś nocą testowałem je w towarzystwie przypadkowych mężczyzn. Moja miłość do marihuany i przygodnego seksu opierała się na tym samym mechanizmie: skoro bliskość była zagrażająca, zagrożenie mogło dać mi bliskość. Moja długa tradycja erotyzowania

agresji zapewniła mi wspomnienia mniej więcej 30 partnerów seksualnych oraz niezliczonych upsychotycznień po zielisku (w większości „negocjowalnych”, paru duchowych i dwóch wymagających farmakoterapii). Obu uciech zabraniała mi terapeutka; o mefedronie od święta nie wspominałem.

Pierwszą metaforą, którą podzieliłem się z terapeutką na konsultacji, było uczucie tkwienia w powoli zamykającej się nade mną klatce. „Mam pięć lat, żeby coś z tym zrobić – potem skończę studia, wejdę w dorosłość i będzie za późno”, powiedziałem jej przerażony. Przenośnia ta całkiem dobrze opisuje mój proces akceptacji własnej orientacji w odniesieniu do rosnącej wrogości wobec mniejszości w kraju. Warszawa na zawsze będzie moją złotą klatką. To właśnie tutaj od momentu pierwszych coming-outów (Matka – akceptuje, Siostra – akceptuje, z Ojcem zerwałem kontakt) rozważałem gdzieś z tyłu głowy ewentualność wyjazdu. Gdy zaczepiono mnie pod gejowskim klubem w samym centrum miasta („Gdzie leziesz, pedale?” / „Excuse me?” / „Yyh... Fuck?”), na parę dni straciłem grunt pod nogami.

Gdy jednak po raz pierwszy poszedłem na warszawską Paradę Równości, byłem przekonany, że to tu jest moje miejsce na ziemi. Stąpałem po nim dumnie i twardo, otoczony bezwarunkową miłością. Gdzieś na horyzoncie majaczyła Ziemia Obiecana, ale przecież zawsze wracałem, snując tylko w złości plany ucieczki. To właśnie tu przeszedłem metamorfozę ze zniewieściałego młodzieńca w pewnego siebie, młodego mężczyznę. Zdobyłem doświadczenie w pracy, relacjach i łóżku. Poznałem miłość – być może życia – a wraz z nią odpowiedź na pytanie, jak to jest po prostu wystarczać. Tak jak umiałem, byłem szczęśliwy.

A potem mnie zatrzymali. Do tej pory nie mogłem się zmusić do szczegółowego opisu mojego „letniego lockdownu”, więc po prostu przekleję tutaj relację z sierpniowych wydarzeń, którą opublikowałem w mediach społecznościowych równo tydzień po całej chorej, bezprawnej akcji:

„Jak rozpętałem drugą wojnę światową” – tak zatrzymanie mnie oraz 47 innych osób podczas piątkowej łapanki policyjnej podsumowała moja siostra, gdy w sobotni wieczór oglądaliśmy w telewizji relację z ostatnich wydarzeń. O ile rozumiem intencję żartu i uważam go za całkiem zabawny, po namyśle stwierdziłem, że nie zgadzam się z analogią, na której jest oparty. Po pierwsze, słowo „wojna” sugeruje pewnego rodzaju (wmawiany mi przez panów policjantów na komendzie) symetryzm – równowagę sił, której nie dostrzegam w starciu realizującej kampanię nienawiści wobec mniejszości seksualnych partii oraz grupy przechodniów, obserwatorów i, w końcu, aktywistów. Po drugie, to nie ja rozpętałem tę „wojnę”, bo nie byłem uczestnikiem piątkowych starć z policją po zatrzymaniu Margot. Poruszony całą sytuacją, o której dowiedziałem się z portalu społecznościowego, postanowiłem przyjść na miejsce zdarzenia dopiero po jego zakończeniu. Kierował mną w większości zgubny instynkt młodego psychologa („Może ktoś potrzebuje pomocy?”) – odwagi więc nie miałem więcej niż jeden mały okruc, który zaniósł pod otulony tęczową flagą pomnik Kopernika. Przystanąłem pod nim na chwilę, zszokowany eskalacją przemocy i obserwowałem pojedyncze poruszone osoby. Niektórzy żywo dyskutowali, inni ponuro milczeli. Po krótkiej chwili

atmosfera wokół zmieniła się, ktoś obok mnie wykonał niepokojący ruch, a ja sam zostałem złapany za nadgarstek i zaprowadzony do radiowozu. Bez podania podstawy zatrzymania, uprzedniego nakazu rozejścia się, bez możliwości powiadomienia bliższych i prawnika. Co stało się z moim okrucieństwem odwagi, może sobie wyobrazić każdy empatyzujący czytelnik.

Empatia to pełnowartościowy kanał poznania, o czym dowiedziałem się na kursie dla psychoterapeutów. Możliwość wejścia w buty drugiego człowieka to z jednej strony przywilej dostępny niewielu. Z drugiej jednak, równie niewielu jest w stanie udźwignąć brzemień empatycznego odczuwania – jeżeli przyrównać je do butów, to do ciężkich i niewygodnych. Jako wykształcony, wyoutowany, mieszkający w stolicy kraju gej myślałem, że mam dużo empatii do samego siebie i społeczności ludzi, z którą połączyła mnie moja orientacja seksualna. Przez kolejne lata lawirowałem pomiędzy niewygodnym upolitycznieniem kwestii praw społeczności LGBT+ i swoim kwitującym życiem prywatnym. Oburzałem się na postępującą antagonizację społeczeństwa względem mniejszości, ale jednocześnie wykorzystywałem dostępne mi zasoby w celu zapewnienia sobie wygodnego życia. Od wypierania poczucia zagrożenia moje powieki stały się ciężkie oraz sennie. Nie było mi duszno, dopóki nie oddychałem powietrzem innych – wyzywanych, pobitych, w końcu martwych. Myślałem, że jestem bezpieczny. Do czasu. Po wepchnięciu do dołka policyjnego na 20 godzin i postawieniu bezpodstawnych zarzutów zdałem sobie sprawę, że luksus bycia niewidzialnym został mi odebrany. Upolityczniona została nie tylko moja przynależność do mniejszości, ale także tożsamość. Niczym dla bohatera „Procesu”, wciągnięcie do policyjnej furgonetki symbolizuje moją inicjację w senny koszmar politycznej agendy. Oprócz praw odmówionych mi podczas zatrzymania, odebrano mi jeszcze jedno, podstawowe prawo – prawo do obojętności.

Myślę, że moja historia jest ważna, ponieważ bliżej mi do Kafkowskiego Everymana niż odważnego aktywisty. Przez splot absurdalnych okoliczności zostałem wbrew swojej woli wciągnięty w polityczną intrygę. Mój okrucieństwo odwagi – zgnieciony raz policyjnym butem – będzie teraz latami mielony przez żarna systemu. Piszę te słowa dlatego, bo jestem głęboko przekonany, że okruszek każdego empatyzującego czytelnika może lada dzień stać się moim. Jego obojętność – moim bezprawiem. Jego niewidzialność – moim Procesem. W policyjnej furgonetce nie starczy powietrza na „ale”, bo zarówno ja, jak i Ty, Czytelniku, żyjemy w dusznych, radykalnych czasach. Duża część z nas dyszy w maskach, kontemplując każdy, potencjalnie śmiertelny oddech. Za radykalnym strachem musi iść radykalna empatia – nie mamy wyboru. Dlatego proszę o równie radykalne wsparcie. Na nowe czasy powstało nowe, jedenaste przykazanie: „Nie bądź obojętny”. Dla każdego z nas niebycie obojętnym może oznaczać coś innego: rzetelną wiedzę na temat mniejszości seksualnych, wygrany głos w dyskusji na Facebooku, zawieszenie tęczowej flagi na swoim oknie. „Nie być” można też w swoich butach. Obce obuwie – zazwyczaj nie w swoim rozmiarze – uwiera i ociera, wymuszając uważność. Idąc w nieswoim cięższej nadepnąć na nieswój okruszek. A to obojętne nigdy stać się nie może.

Teraz jest październik – dwa miesiące później. O samym zatrzymaniu śnię po dziś dzień. W pewnym sensie, bo tak naprawdę śnię o cichym pukaniu do drzwi. Wyobrażonym, dopowiedzianym – po mnie. Zabiera mi przestrzeń, kurczy mi kawalerkę do wymiarów trumny, na której kazali mi spać na dołku. Głowę kurczy mi do rozmiaru, który dopuszcza więzienny depozyt; „walcz lub uciekaj” się tam niestety nie mieści. A odgłos, cichy i mały, z łatwością prześlizguje się z czeluści piekieł. Wiem, że nie istnieje, a mimo wszystko zaraz jestem na nogach. W zasadzie to jestem nogami, naprężonymi ze strachu, skoro głowę mam w depozycie. Ze strychu nie ma dokąd uciekać – to pułapka tyleż architektoniczna, co metafizyczna. Winda do zaświatów, która zatrzymała się między piętrami. Za pięć dni z kawalkiem zawiezie mnie do Czyścica na pierwsze posiedzenie sądu w mej absurdalnej sprawie. Być może ciche pukanie to odgłos młotka. Nadchodzi jesień i gdy po raz kolejny się ściemnia, przestaję pytać.

Pamiętnik Magdy

Ur. w 1974 r. w Lublinie, lesbijka,
mieszka w Warszawie.

Miała na imię Agnieszka. Miałymy po 6 lat i chodziłyśmy do tego samego przedszkola. Bardzo mi się podobała, ale gdzieś w tej dziecięcej głowie tłukło się, że za dziewczynkami mogą biegać tylko chłopcy. Więc zdejmowałam spódniczkę i udawałam, że rajstopki to są spodnie, ja jestem rycerzem, a patyk to mój miecz.

Prawdziwa świadomość, że podobają mi się dziewczyny, przyszła pod koniec podstawówki. Nosiłam ubrania jak chłopak, nie miałam sukienek ani spódnic. Na podwórku grałam z chłopakami w nogę i w kapsle, podbierałam rodzicom papierosy. W Polsce upadł komunizm, ja natomiast walczyłam ze wstydem. W latach 90. homoseksualizm był tematem tabu. Moje rodzinne miasto Lublin było pełne kościołów i studentów m.in. KUL-u, ale nie gejów i lesbijek (przynajmniej nie w świadomości jego mieszkańców). Do dnia dzisiejszego niewiele się zmieniło.

W liceum poznałam swoją pierwszą miłość. Najładniejsza dziewczyna w całej szkole. Chłopaki za nią szaleli. Moja przewaga nad nimi polegała na tym, że byłam poważna, nie śmiałam się z debilnych nastoletnich dowcipów i potrafiłam słuchać. Oczywiście nasz związek ukrywałyśmy przed wszystkimi, ale i tak szeptali. Nie pamiętam w jaki sposób nasi rodzice się o nas dowiedzieli, ale wtedy zaczęły się kłopoty. Zabroniono nam się spotykać. Zostałam uznana za prowodyrkę sprowadzającą porządne uczennice na złą drogę. Moja matka drwiła ze mnie, nie miałam wsparcia w nikim z rodziny. W tamtych czasach nie było komórek i internetu. W Lublinie nie działały żadne branżowe knajpy. Nie było gdzie się spotykać ani z kim porozmawiać. Często uciekałyśmy z lekcji, żeby móc spędzić ze sobą czas. Szwendałyśmy się po mieście, gdy było ciepło, a w zimę jechałyśmy najczęściej do mieszkania którejś z nas. Pamiętam jak pewnego dnia niespodziewanie wcześniej wrócił jej ojciec, schowałam się do szafy i czekałam, aż wyjdzie po zakupy albo przysnie po obiedzie. Takich sytuacji miałyśmy wiele. Po jakimś czasie zorientowałam się, że w kioskach można kupić branżowe pismo „Inaczej”. Wychodziły tam różne ogłoszenia, dziewczyny się szukały. W ten sposób poznałyśmy kilka osób. Dzięki temu mogłyśmy trochę wejść

w przyjazne środowisko i poznać ludzi z całego kraju. Najlepiej wspominałam wyjazdy na tzw. „biwaki”. Były to zorganizowane przez działaczy Lambdy wyjazdy nad jezioro Krzywe koło Olsztyna. W lecie, z plecakami i namiotami jechałyśmy stopem na Mazury. Przyjeżdżali geje i lesbijki z całej Polski. W końcu mogłam pogadać o wszystkim i uprawiać seks bez stresu, że ktoś się dowie. Jeździłam tam co roku. Tam też straciłam dziewczynę.

Skończyło się liceum i skończył się mój związek. Dusiałam się w Lublinie, dusiałam się w jednym mieszkaniu z rodzicami. Wsiadłam w pociąg i pojechałam do Warszawy. Był rok 1998.

Dostałam pracę w biurze rachunkowym. W Lublinie skończyłam Policealne Studium Rachunkowości, więc jedyne, co mogłam robić, to pracować jako księgowa. Zarabiałam 500 zł – najniższą krajową. Wystarczyło na wynajęcie pokoju w mieszkaniu dwupokojowym wraz ze znajomym gejem. Mieszkanie było obskurne i pełne karaluchów. Na jedzenie już niewiele zostawało, żywiłam się głównie zupkami chińskimi i parówkami. Ale byłam szczęśliwa. To miasto dało mi anonimowość, pracę i znajomych. Tutaj poszłam na studia na filozofię, na ówczesny ATK, mimo że nie byłam wierząca. Rasko i Paradise były moim drugim domem.

Z rodzicami straciłam kontakt, matka nie chciała mnie znać, a ojciec nie umiał jej się sprzeciwić. Nie uznawała mojej orientacji. Uważała, że to moje widzimisię. Wstydziała się mnie. Tak bardzo chciała się móc mną pochwalić, a wzbudzałam w niej tylko obrzydzenie. Po dwóch latach dotarło do niej, że jeśli nie zmieni swojego nastawienia, to straci córkę. A ja już wiedziałam, że to mit, że rodzice bez względu na wszystko kochają swoje dzieci.

W Polsce bardzo powoli następowały zmiany mentalności. Miałam dziewczynę, której rodzina wpadła w szal, gdy dowiedziała się, że jej córka jest z kobietą. Brat mojej dziewczyny zadzwonił do mojego szefa i zagroził, że powie wszystkim klientom, których obsługuję, że jestem lesbijką. Po 6 latach zostałam wyrzucona z pracy. Człowiek, którego traktowałam jak ojca, wyrzucił mnie na zbity pysk. Nasz związek nie przetrwał, moja partnerka nie była tak twarda jak ja. Jednak zanim to się stało, miałyśmy plany, żeby stworzyć rodzinę. Kupiłyśmy mieszkanie i myślałyśmy o dziecku. Na stronach internetowych dla gejów i lesbijek dałyśmy ogłoszenie, że szukamy pary gejów, którzy marzą tak jak my, żeby zostać rodzicami. Wydawało nam się, że dziecko powinno mieć ojca, że dla dobra tego malucha warto udawać przed całym społeczeństwem, że ma „normalną” rodzinę. Teraz wydaje się to absurdalnym pomysłem, ale w tamtych czasach nikomu nie przyszłoby do głowy, że gej czy lesbijka mogą wychowywać dzieci. Jedynym sposobem, żeby zająć w ciążę było pozyskanie od mężczyzny nasienia i zaaplikowanie sobie materiału bezpośrednio przez pochwę strzykawką. W necie i pismach branżowych krążyły ogłoszenia: „oddam spermę”, „poznam chłopaka, który odda parze dziewczyn nasienie”. Większość mężczyzn chciała to zrobić bezpłatnie. Myślę, że liczyli na ekscytujący seks z parą lesbijek. Jednak prawdziwy seks z mężczyzną nie wchodził w rachubę. Spróbowałyśmy raz. Nie udało się, a nasz związek niedługo potem się zakończył.

Moje życie to było ukrywanie się i kłamstwa. Nikt o mnie nie wiedział, nikomu z pracy o sobie nie powiedziałam. Trudno jest tak żyć. Bałam się, że stracę kolejną pracę, że ludzie będą gadać za moimi plecami i się ze mnie śmiać. Byłam nieśmiała, pełna kompleksów i lękliwa. W końcu odważyłam się powiedzieć o sobie koleżance z pracy. To, jak zareagowała, zmieniło moje życie. Dziękuję Ci, Lidka, że wzruszyłaś tylko ramionami i powiedziałaś – „przecież ja wiem i co z tego, dla mnie to żaden problem”. Dotarło do mnie, że te wszystkie moje strachy nie mają żadnych podstaw, że ludzie mnie lubią i nie ma dla nich znaczenia, jakiej jestem orientacji. W wieku 30 lat poczułam, że moje życie nabrało sensu, że mogę być tym, kim jestem i nikt z tego powodu się ode mnie nie odwróci. Poczułam się, jakbym dostała nowe życie. Obiecałam sobie, że już nigdy nie będę kłamać ani niczego udawać.

Wtedy poznałam dziewczynę z dzieckiem i mężem. Nie była szczęśliwa w tym małżeństwie. Rozwiodła się, rodzice kupili jej mieszkanie, a my wyremontowałyśmy je i zamieszkaliśmy we trójkę. Wydawało mi się, że to jest właśnie to. Miałam partnerkę, dziecko i dom. Zarabiałam całkiem nieźle, stać nas było na wakacje za granicą i wyjście na obiad do restauracji. Jej syn był mały, a ja pokochałam go jak własne dziecko. Idylla. Do tej pory nie wiem, dlaczego się skończyło. Nie umiałam sobie z tym poradzić. Miałam myśli samobójcze, paliłam papierosa za papierosem. Trafiłam do psychiatry, który dał mi leki i skierował do terapeuty. Czułam się oszukana i samotna. Psycholog otworzył mi oczy na kilka spraw – że nadal jestem uzależniona od tego, jak ludzie na mnie patrzą i co o mnie myślą, że nie dbam o siebie, o swoje samopoczucie, że chcę tylko zadowalać innych, a to w dłuższej perspektywie mnie unieszczęśliwia.

Na gadu-gadu zaczęłam dziewczynę. Jesteśmy razem od 9 lat.

Przez ten czas w naszym kraju wiele się zmieniło. Ruszyły Parady Równości. Moja mama brała udział w tej w Lublinie, gdzie bojówki prawicowe i zwykli chuligani rzucali petardami i kamieniami w uczestników. Rodzice przeszli niesamowitą metamorfozę, jeśli chodzi o stosunek do osób homoseksualnych. Moja mama stara się, jak może, żeby wynagrodzić mi lata, gdy odwróciła się ode mnie. A ja jestem jej za to wdzięczna. Odwiedzamy moich rodziców przy różnych okazjach. Mama uwielbia naszą córeczkę i jest szczęśliwa, że Maja mówi na nią – babcia, mimo że nie ja ją urodziłam.

W Warszawie Parady to piękne, kolorowe święto. Też zakłócanie przez homofobów, ale na szczęście dobrze chronione przez policję. Na Marszu byłyśmy dwa razy razem z naszą córeczką. Po raz pierwszy, gdy miała rok. Pchałyśmy wózek, a do nas podchodzili różni uśmiechnięci ludzie i gratulowali nam i dziękowali, że przyszłyśmy razem. To naprawdę cudowne uczucie, gdy otaczają nas życzliwi ludzie. Po raz drugi poszłyśmy na Paradę, gdy córka miała dwa lata – biegł taki szkrabik wokół nas i wymachiwał tęczową flagą. Ludzie robili jej zdjęcia.

Decyzję o in vitro podjęłyśmy wspólnie. Osobno żadna z nas nie zdecydowałaby się na dziecko. Razem poszłyśmy do kliniki leczenia bezpłodności. Nikt nas o nic nie pytał. To był jeszcze ten czas, gdy Polska nie miała uregulowanych spraw związanych z in vitro. Procedura była bardzo droga i niezmiernie uciążliwa dla ciała

mojej partnerki. Musiała brać tony leków, a przez całą ciążę zastrzyki w brzuch. Za pierwszym razem się nie udało – płód obumarł w 7 tygodniu ciąży. To był trudny okres. Zrobiliśmy sobie półroczną przerwę. Udało się za drugim razem. Zdążyliśmy w ostatniej chwili przed wprowadzeniem ustawy zabraniającej stosowania in vitro u kobiet samotnych, bez partnera płci męskiej, który musi być ojcem. Mamy zamrożone zarodki, których nie możemy wykorzystać. Mój kraj zabrania mojej partnerce wykorzystać swój materiał genetyczny, zabrania jej zostać matką. Czasami zastanawiam się, czy nie złożyć pozwu do Trybunału Europejskiego przeciwko własnemu krajowi. Mam lęki związane z naszą córką. Co się z nią stanie, gdyby moja partnerka umarła albo nie mogła opiekować się dzieckiem? Przecież ja – według prawa – jestem dla niej obcą osobą i nikogo nie obchodzi, że jesteśmy rodziną, że wychowujemy ją wspólnie i dbamy razem o jej potrzeby. Gdy myślę o tym, mam ochotę krzyczeć z bezsilności. Wszystko właściwie teraz kręci się wokół tej małej dziewczynki. Chodzi do przedszkola i jak na razie nikt jej nie dokucza, ale znam dziewczyny, które przechodzą już piekielko. Ich córeczka jest wyśmiewana, bo nie ma ojca. Maja raz zapytała o tatę, gdzie jest. Odpowiedzieliśmy, że nie wszystkie dzieci mają ojców. Więcej nie pytała, ale wiem, że temat będzie wracał. Obiecałyśmy sobie, że nie będziemy jej oszukiwać i wymyślać historii. Nie zrobiliśmy nic złego, żeby okłamywać własne dziecko. Wiele osób, także homoseksualnych, odradzało nam mieć dzieci. Bo społeczeństwo nie jest gotowe, bo będzie córka miała ciężko, że będą jej dokuczać. Jednak ja uważam, że nie można się bać. To moje życie i nikt nie ma prawa odbierać mi radości z bycia rodzicem.

Gdy zaczęła się pandemia, pracowałyśmy zdalnie z domu, a córka nie chodziła do przedszkola. Praca z dzieckiem w domu to mordęga. Mieszkanie w bloku i brak możliwości wyjścia chociażby na chwilę na powietrze dokuczało nam najbardziej. Maja większość czasu siedziała przed telewizorem, żebyśmy mogły popracować. Patrzyłam na to dziecko i widziałam, jak się uwstecznia gapiąc się w monitor. Kupiliśmy dom na wsi razem z dużą działką. Musimy go wyremontować i za rok mam nadzieję, że już tam będziemy mieszkać. Cieszę się, że Maja będzie miała psa, o którym marzy, że będzie mogła biegać od rana do nocy po dworze, że będzie miała kontakt z naturą. Znowu powróciły obawy o to, jak przyjmą nas ludzie. Dużo mówi się o wsi, że tam mieszkają osoby o bardzo konserwatywnych poglądach. My obie jesteśmy niewierzące, a Maja nie była ochrzczona. Znajomi uważają, że jesteśmy bardzo odważne, bo nie boimy się wejść w zupełnie inne środowisko. Ale ja już się nie boję. Wiem, że całą nagonkę na osoby homoseksualne nakręca ta władza. Wiem, że ludzie tacy nie są. Wrogość bierze się z niewiedzy. Poznałyśmy właścicieli tego domu, który kupiliśmy i ich rodzinę. Przyjęli nas bardzo serdecznie, nikogo nie obchodzi, że jesteśmy razem. Pomagamy sobie nawzajem, my im dajemy ubrania po Mai, oni nam koszą trawę.

Wiem, że mam szczęście. Bo mam przyjaznych ludzi wokół siebie, mam rodzinę, która nas wspiera, mam świetnego szefa i ludzi w pracy, przed którymi nigdy nie musiałam niczego ukrywać ani udawać, mam pieniądze, na które ciężko pracuję.

Dlatego chciałabym podziękować im wszystkim teraz:

Kochanie – za to, że jesteś przy mnie, mimo że rozrzucam skarpetki i jestem tyranem.

Majeczko – za to, że dajesz mi tyle szczęścia jak nikt inny przedtem i że mogę być rodzicem.

Mamo i tato – za zrozumienie i że zawsze mogę na Was liczyć.

Teściowo – za bezwzględną miłość do nas obu.

Doktorze – za opiekę nad nami w trakcie ciąży i sprowadzenie naszej córeczki na świat – nigdy tego panu nie zapomnę.

Dziękuję wszystkim moim znajomym, przyjaciółom, ludziom z pracy – za to, że jesteście.

Bo to, że wszyscy istniejecie, oznacza, że ten kraj będzie kiedyś przyjazny dla wszystkich ludzi.

Pamiętnik Niny

Cis kobieta, lesbijka, ur. w 1996 r. w małym mieście (do 50 tys.) w województwie warmińsko-mazurskim, mieszka w Warszawie.

Dzieciństwo i rodzina

Pochodzę z małego miasta na północy kraju. Wychowywałam się w rytmie polskiego rapu i techno lat dziewięćdziesiątych i wczesnych dwutysięcznych. Mieszkałam w szarym bloku, niebiesko-szarym. Ja, dwójka moich braci, matka i ojczym. Nasze mieszkanie było brzydkie, koło czterdziestu metrów kwadratowych, trzy małe pokoje, ciupka łazienka i wąska kuchnia. Styl PRL-owski, boazeria na ścianach, meblościanka w dużym pokoju, wykładzina, zielona kuchnia i linoleum, żeliwna wanna i niedziałający piecyk gazowy. Ogólny syf, jak to w tych starych mieszkaniach bywa. No i zero prywatności, każdy siedział sobie na głowie, ściany były cienkie, no i ani ja, ani mama i ojczym nie mieliśmy normalnych drzwi do pokoju. Tylko takie harmonijkowe. W łazience nie można było się zamykać, żeby się gazem nie zaczadzić. W kuchni w ogóle nie było drzwi. Jedyny pokój, w którym można było mieć trochę prywatności, to był pokój moich braci, którzy wyprowadzili się na dobre dopiero jak kończyłam gimnazjum.

Jeden z braci jest ode mnie starszy o 9 lat, drugi o 10. Moja matka przez większość czasu nie miała nad nimi kontroli. Często wynosili z mieszkania różne rzeczy, które można było sprzedać. Byli dość przebiegli, bo zabierali tylko te przedmioty, których nieobecności na początku nie było widać, np. mój złoty medalik z komunii, swoje walkmany, kable, ładowarki, stare telefony – rzeczy, których miejsce było gdzieś głęboko w szufladzie. Bo liczył się szacunek ludzi ulicy i trzeba było zaszpanować na dzielni markowymi ubraniami, na które nie mogliśmy sobie pozwolić. Kradli też pieniądze od matki albo od ojczyma, zdarzało się, że zabierali kasę z mojej skarbonki. Wielokrotnie uciekali z domu do swojego ojca, często imprezowali, przychodzili pijani do domu. No i wtedy najczęściej były awantury. Czasem przyjeżdżała

do nas policja. Jak mój najstarszy brat przychodził pijany, to rzucał się na matkę i ojczyrna. Drugi miał słabą głowę, więc jak się napił, to tylko rzygał na okna sąsiadów, czasem od kogoś dostał w mordę na mieście. Ja natomiast byłam spokojna i grzeczna, bo nie chciałam mojej mamie robić stresu. Nigdy nie wychodziłam przed szereg. Zawsze przychodziłam do domu przed wyznaczoną godziną, przestrzegałam zakazów i nakazów, nigdy nie wychodziłam bez pozwolenia. Nie mówiłam o swoich obawach, żeby tylko matka się nie denerwowała. Nauczyłam się wyładowywać emocje w samotności, a o problemach rozmawiałam z koleżankami. Rodzina nigdy nie była dla mnie wsparciem.

Jeśli chodzi o mojego ojca, to mieszkał na wsi ze swoją żoną – mieli agroturystykę. Czasem mnie do siebie zabierał, ale w końcu przestał, nie wiem czemu. Do tej pory nie mam z nim kontaktu. Z moim ojczymem matka związała się jeszcze przed moimi narodzinami, jak była w ciąży. Przemyczał papierosy z Rosji, pracował też przy remontach. Był alkoholikiem, ale przynajmniej nie bił, co czyniło go lepszym od byłego męża mojej mamy a ojca moich braci. No i miał jakąś pracę. Ojczyrna nie lubiłam, moi bracia wręcz go nienawidzili. Był wredny, narcystyczny i rządził w naszym domu, co nam się nie podobało. On i moi bracia często się wyzywali. Ja z czasem też zaczęłam go wyzywać. Mimo że za nim nie przepadałam, to czasem kryłam go przed matką, kiedy pił. A pił codziennie. Niespecjalnie się z tym krył, chyba uważał, że byłam głupim dzieckiem i nie wiedziałam, co się dzieje. Raz zabrał mnie na działkę, gdzie napił się z sąsiadem. Potem totalnie napruty wsiadł za kierownicę, całą drogę jechał slalomem. Wyładowaliśmy w rowie. Matce powiedziałam dopiero, jak byłam dorosła.

Ogólnie zawsze było u nas krucho z kasą, mimo że moja mama miała wysokie stanowisko jak na małomiasteczkowe standardy – była kierowniczką w GUS-ie. Jednak na początku lat dwutysięcznych zamknięto oddział i została zdegradowana na stanowisko ankieterki. Jeździła po rolnikach i zadawała im pytania. Zajmowała się zbieraniem danych. Zarabiała najniższą krajową, duża część szła na paliwo, bo zakład jej za to nie zwracał. Razem z ojczymem otworzyli kwiaciarnię, choć oboje kompletnie nie znali się na prowadzeniu własnego biznesu, nie mieli też pojęcia o kwiatach. Kwiaciarnia nie przynosiła zysku, za to pochłaniała coraz więcej pieniędzy. W końcu zawinęli biznes. Ojczym zaczął chorować na cukrzycę, przestał chodzić do pracy, pił i palił coraz więcej. Bardzo często lądował w szpitalu. W pewnym momencie całkowicie wysiadła mu trzustka, miał różne powikłania od picia alkoholu. Potrzebne były pieniądze. Mama zaczęła wyjeżdżać co kilka miesięcy do Niemiec, opiekowała się starszymi ludźmi, zresztą nadal to robi. Ona jeździła za granicę, a ja zostawałam sama z ojczymem i braćmi. Kiedy wyjechała pierwszy raz, miałam koło 12 lat. To był też czas, kiedy mój biologiczny ojciec zerwał ze mną kontakt. Bez żadnego uzasadnienia. Zostałam więc opuszczona przez dwie osoby, które były mi najbliższe.

Moja mama pisała nam listy z Niemiec, bo to były czasy, kiedy za połączenia zagraniczne płaciło się sporo. Do tej pory mam jeden z nich. To był list, w którym

przekazywała mi odpowiedzialność za szeroko pojęty porządek w domu. Miałam pilnować facetów, nie klócić się z nimi i wyprowadzać naszego pieska Brendę. Jej zdaniem byłam jedyną rozważną osobą w domu i to ja powinnam przejąć jej obowiązki. Byłam wtedy w podstawówce. Pamiętam, że nie radziłam sobie z sytuacją, w jakiej mnie zostawiła. Chciałam spełnić jej wymagania, ale żaden z moich domowników nie traktował mnie poważnie. Kiedy moi bracia byli w domu, to słuchali rapu i disco polo – od kiedy pamiętam. Puszczali Rychu Peję, WWO, Topleś na cały regulator – cały blok słyszał, że reprezentuję biedę, uważaj jak tańczysz, bo życiowy parkiet bywa śliski, ale damy radę, no i nikt nie da ci tego, co sąsiadka z naprzeciwka. A przede wszystkim to HWDP. Jak kazałam im ściszyć, to wyganiali mnie z pokoju. Ojczym miał to gdzieś, więc byłam zostawiona sama sobie.

Dość boleśnie wspominam też powroty ze szkoły. Bardzo nie chciałam wracać do domu, wracałam chyba tylko dlatego, że musiałam zadbać o naszą psinkę. Za każdym razem modliłam się, żeby ojczym był trzeźwy, żeby było co jeść, żebym mogła odrobić lekcje, żeby mnie wpuścił do domu, bo czasem nie miałam ze sobą kluczy. Moi bracia szwendali się gdzieś po podwórku i wracali wieczorami albo w ogóle nie przychodzili do domu. Nie raz stałam pod drzwiami, szukałam go po mieście. Ciągle miałam w głowie, że trzeba wyprowadzić psa, że mój biedny pies jest tam zamknięty sam, albo, co gorsza – z nim. Nie potrafiłam się uczyć w takich warunkach, dlatego też w podstawówce miałam złą średnią, do szkoły często chodziłam nieprzygotowana do zajęć. Tylko mama pomagała mi przy lekcjach, ale jej nie było.

W domu nie mieliśmy zwyczaju rozmawiać o problemach. Wszystko zamiatało się pod dywan. Nikomu nie mogłam zadawać niewygodnych pytań, seks był u mnie w domu tematem tabu. Dowiadywałam się o nim z hakerskich filmów pornograficznych, które mój ojczym trzymał w szufladzie albo z rapsów puszcanych przez moich braci. Łatwo się domyślić, jakie miałam wtedy wyobrażenie o tych sprawach. Kobiety to kurwy, a faceci mogą z nimi robić, co chcą. Kiedy moja mama wracała, nieraz słyszałam, jak uprawia seks z ojczymem. Na drugi dzień mówiłam, że ich słyszałam i nie mogłam zasnąć, ojczym zawsze ucinał temat: „było trzeba nie podsłuchiwać”. Matka milczała. Ona zawsze była neutralna, jeśli chodzi o wszystko, mało kiedy miała własne zdanie. Nie była chętna, żeby mi cokolwiek opowiadać. Nie przypominam sobie, żebyśmy miały jakieś rozmowy na temat miesiączki czy pierwszego razu.

Dziura

Z podstawówki do domu miałam jakieś pięć minut piechotą. Wystarczyło przejść przez ulicę Moniuszki, minąć pergolę śmietnikową i po prawej stronie już było widać mój blok, wtedy jeszcze szaroniebieski, potem pastelowo pomarańczowy z żółtymi paskami. Mój brat niedawno kupił od kolegi hakerskie Simsy za dwadzieścia złotych, więc postanowiłam zaprosić koleżankę z klasy do siebie. Chciałyśmy pograć sobie razem w życie. Od razu po zajęciach szybko pobiegłyśmy do

domu. Przeszliśmy przez ulicę, minęliśmy śmietniki, zadyszane dopadliśmy do klamki klatkowych drzwi. Wtedy jeszcze nie było domofonów. Wbiegaliśmy na pierwsze piętro. Oczywiście nie miałam kluczy, więc przez chwilę stałyśmy pod drzwiami. Otworzył ojczym w samych gaciach i koszulce. Spod koszulki wystawał woreczek z żółtą cieczą. Miał w brzuchu sporą, głęboką dziurę, do której ten woreczek był przymocowany. Śmierdziało od niego potem i alkoholem. Ale od niego zawsze tak dziwnie pachniało. W całym domu unosił się zapach dymu ruskich papierosów. Palił czerwone viceroye. Miał jednego w buzi. Zaciągnął się. *Cześć dziewczyny*, kaszlnął i podrapał się po tyłku. Weszliśmy do ciemnego korytarza. Ojczym wszedł do łazienki, nie zamknął drzwi, jak zwykle. Jako dziecko, nigdy nie wiedziałam, czy jest pijany, czy to przez chorobę był taki przydymiony. Ciężko mu było stać, zataczał się, no i zawsze był taki niesmacznie bezpośredni. Załatwiał się przy otwartych drzwiach, głośno pierdział i bekał, palił gdzie chciał, przy ludziach wkładał sobie rękę do majtek i się poprawiał. Nikt mu nigdy nic nie powiedział. Moja koleżanka знаła go, więc tylko się zaśmiała, kiedy zobaczyła, jak siada na toalecie i wyjmując gazetę. Jak miała zareagować? Byłyśmy tylko małymi dziewczynkami. Przeszliśmy przez pokój dzienny, który był jednocześnie sypialnią matki i ojczyma, weszliśmy do mojego pokoju i zasunęliśmy drzwi. Zza ściany słyszałyśmy głośne stękanie. Włączyłam Simsy. Komputer mieliśmy nie pierwszej nowości, więc zanim się wszystko załadowało, to minęło z pół godziny. Czekając, ciągle słyszałyśmy ruchy ojczyma. Snuł się po mieszkaniu szurając bazarowymi kapturkami o tanie panele. Zawsze szurał. W końcu szuranie ustało, skrzyknęły sprężyny w wersalce, ojczym westchnął. Nie doczepił się, więc mogłyśmy grać. Pamiętam, że się bałam. Że zaraz przyjdzie i na nas nakrzyczy, że za głośno się zachowujemy, albo że koleżanka już musi iść. Wciągnęłyśmy się w grę. Stworzyłyśmy rodzinę Simów, wpisałyśmy motherlode i doładowałyśmy im milion simoleonów. Kiedy dyskutowałyśmy o kolorach zasłon w jadalni, on syknął: *Nina, chodź tu*. Ja na to: *Zaraz*. Nie chciałam, bardzo nie chciałam wychodzić. *Nina!* Znów krzyknęłam: *No zaraz*. On ryknął: *Kurwa!* Aż podskoczyłyśmy na krzesłach. Odsunęłam trochę harmonijkę i wyrzesałam. Leżał na wersalce i grzebał przy dziurze w brzuchu. Worek z żółto-pomarańczową substancją leżał obok, na pościeli. Z dziury lała się krew z czymś żółtym. Była tak głęboka, że nie widziałam, co znajduje się na dnie. Moje oczy rejestrowały tylko czarną otchłań. Przykładał do niej gazetę, która była już zupełnie brudna. Trzęsła mu się ręka. Mi zrobiło się niedobrze. *Powiedz koleżance, że ma iść*. Koleżanka spojrzała na mnie, podniosła się z krzesła i weszła do pokoju dziennego. Zobaczyła ojczyma, ale starała się nie patrzeć w jego stronę, podobnie jak ja. Odprowadziłam ją do drzwi. Pamiętam wstyd, okropny wstyd i bezradność. Po tej sytuacji nie zapraszałam już koleżanek.

Marzenia

Od kiedy pamiętam chciałam być piosenkarką, bo bardzo lubiłam śpiewać. Z zamiłowaniem oglądałam Vivę polską i niemiecką, snując fantazje o swojej przyszłej karierze. Najbardziej lubiłam P!nk i Kelly Clarkson, podziwiałam dziewczyny z The Pussycat Dolls. Wymyślałam własne teksty piosenek do popularnych melodii i śpiewałam je matce. Ona zawsze mówiła, że fałszuję i że nie mam talentu. Śmiała się i do tej pory kpi, jak coś sobie śpiewam pod nosem. Marzyłam też, żeby grać na pianinie. Kiedy miałam kilka lat, matka zaprowadziła mnie do szkoły muzycznej w naszym mieście, ale nie przyjęli mnie. Bardzo długo to przeżywałam, miałam żal, że nikt nie dał mi szansy. Przecież miałam tylko kilka lat.

W podstawówce chciałam dostać się do chóru. Rekrutowała nas nauczycielka muzyki. Na pierwszej lekcji stworzyła grupki po trzy osoby i kazała śpiewać hymn Polski. Nie zostałam przyjęta. Zrobiło mi się bardzo przykro, bo potwornie mi zależało. Do końca podstawówki z zazdrością patrzyłam na osoby z naszego szkolnego chóru. Mieli czerwone togi ze złotym paskiem, występowali na wszystkich uroczystościach szkolnych, wygrywali konkursy. Uwielbiałam ich słuchać, nieważne co śpiewali. Za każdym razem byłam wzruszona. Dopiero w gimnazjum miałam możliwość zapisania się do chóru, ale brak pewności siebie, pielęgnowany przez wiele lat, spowodował, że szybko odeszłam. Wstydziałam się śpiewać, a ten wstyd pozostał ze mną do dziś. Śpiewam tylko przy mojej dziewczynie albo jak jestem sama. Muzyka gra w moim życiu ogromną rolę. Bardzo emocjonalnie reaguję na muzykę klasyczną i filmową. Słucham Vivaldiego, Czajkowskiego i Chopina ze ściśniętym sercem i łzami w oczach. Uwielbiam Ludovico Einaudi, Philipa Glassa i Hansa Zimmera. Doceniam poezję śpiewaną w wykonaniu Marka Dyjaka, Mirosława Czyżykiewicza, Ewy Demarczyk czy Edyty Geppert. Słucham polskiego rapu, to pozostałość po moich braciach. WWO, Hemp Gru, Peja Slums Attack, Taco Hemingway. Tańczę do Abby, Boney M., Britney Spears i Beyoncé. Najlepiej bawię się do muzyki lat 90. Ponad wszystko jednak uwielbiam polską muzykę alternatywną. Hey, Maanam, Bajm (stare albumy), Mira Kubasińska, Kult, Varius Manx – to są brzmienia, które kocham najmocniej.

W wieku gimnazjalnym, kiedy już wiedziałam, że nie będę piosenkarką, zapragnęłam być aktorką. Wydawało mi się to bardziej realne do spełnienia. Nie wszystkie aktorki umieją przecież śpiewać! Oczywiście nie miałam żadnego wsparcia ze strony rodziny. Nikt nie uważał, żeby to był normalny zawód. Dziadek radził, żebym lepiej przestała fantazjować i poszła na inżyniera, babcia natomiast radziła leśnictwo lub weterynarię. Matka, a jakże, nie miała zdania – dała mi wolny wybór. Wszystkim zależało jednak, żebym miała wykształcenie. Bo wykształcenie da mi pracę. Na przekór poszłam do liceum z profilem artystyczno-teatralnym. Okazało się, że aktorką też nie byłam wybitną, bo miałam cichy głos i mówiłam niewyraźnie. W przedstawieniach grałam zawsze role trzecioplanowe. Nie miałam charyzmy, ale na scenie starałam się jak mogłam. Nie udało mi się spełnić i tego marzenia.

Gimnazjum

Przez sytuację w domu moje oceny w podstawówce były średnie, zaczęły się polepszać w gimnazjum, ale i tak byłam przeciętniakiem. Chyba nawet nie wiedziałam, jak się uczyć. Wszystko mnie nudziło i szybko się rozpraszałam. Uważałam, że większość przedmiotów nie jest mi potrzebna do życia i nie warto przyswajać sobie wiedzy podręcznikowej. Raczej nie zwracałam uwagi na oceny, ale ukrywałam przed mamą, jak dostałam pałę. Czasem wagarowałam i pisałam sobie usprawiedliwienia.

Zawsze chciałam się jakoś wyróżniać, więc ubierałam się dość ekscentrycznie jak na normy małego miasta. Nosilałam się kolorowo, wszystkie moje spodnie były dziurawe. Wśród znajomych byłam raczej lubiana, za to nauczyciele za mną nie przepadali. Byłam w klasie z samymi dziewczynami, miałam kilka przyjaciółek. Czas gimnazjum był też czasem, kiedy zaczęłam odkrywać swoją seksualność. Na początku latałam za chłopakami, jak moje koleżanki, ale w pewnym momencie coś mi się przedstawiło. Chłopcy nie byli mną w ogóle zainteresowani, nie umiałam nawiązać z nimi kontaktu, więc szybko przestałam zwracać na nich uwagę. Nie podobało mi się to, że są tacy niemili, wydawali mi się obleśni. Miałam przecież koleżanki, które były bardzo ładne i mogłam z nimi na luzie porozmawiać. No i dziewczyny nie śmierdziały, nie dłuwały w nosach i nie śmiały się z jakichś idiotycznych rzeczy. Zastanawiałam się wtedy, po co mi w ogóle chłopak, skoro mam przyjaciółki.

Do mojej klasy chodziła jedna dziewczyna, z którą szczególnie lubiłam spędzać czas. Była bardzo otwarta i towarzyska, dobrze się uczyła, ładnie śpiewała – wszyscy do niej Ignęli. Wiktoria należała do grupki dziewczyn, które miały lepsze oceny i z nimi głównie spędzała czas na przerwach. Czasem z nią gadałam, trochę mnie onieśmielała. Na początku nie wiedziałam, że jestem w niej zauroczona. Myślę, że zrozumiałam to, kiedy usiadła razem ze mną w ławce na lekcji biologii. Siedziałam sama, a ona się do mnie dosiadła. Tego przedmiotu uczyła nas sroga nauczycielka, która miała bardzo mało cierpliwości do uczniów. Właśnie na tych zajęciach wpadła w jakąś nieopisaną furię. Huknęła z niewiadomego powodu, a Wiktoria skoczyła na krześle, chwyciła mnie za udo i ryknęła głośnym śmiechem. Coś poczułam, całe moje ciało przeszedł jakby prąd. Chyba wtedy zrozumiałam, że coś jest nie tak. Zaczęłam o niej coraz częściej myśleć, aż w końcu była obecna w mojej głowie non stop. Spędzałam z nią i grupką „lepiej uczących się” coraz więcej czasu. Wiktoria zaprosiła mnie nawet do siebie na sylwestra. Myślę, że nikt się nie domyślał, że coś do niej czuję, chyba dobrze to ukrywałam. Oczywiście nic z tej znajomości nie wynikło, ale po tym pierwszym zauroczeniu patrzyłam już tylko na dziewczyny. O chłopcach zupełnie zapomniałam.

W drugiej klasie gimnazjum przyszedł nowy rocznik. Już pewniej podchodziłam do nawiązywania kontaktów. Kolejna dziewczyna, która wpadła mi w oko, była młodsza o rok. Po szkole pisałam z nią na gadu-gadu, wymienialiśmy się linkami do ciekawych stron, muzyką, którą lubimy. Chyba nie była lesbijką, ale taki kontakt w zupełności mi wystarczył, resztę robiła wyobraźnia. Nie tylko ona mi się podobała,

z innymi dziewczynami też pisałam, rozmawiałam w szkole, ale nigdy ich nie podrywałam. Żyłam bardziej marzeniami, oglądałam dostępne filmy fabularne i seriale o lesbijkach. Na hakerskich stronach, w angielskiej wersji językowej był dostępny „The L Word”. Ten serial dał mi podstawową wiedzę na temat życia homoseksualnych osób. Po każdym odcinku dostawałam jakiegoś dziwnego, pozytywnego kopa. Chodziłam bardziej wyprostowana, pewniejsza siebie, czasem odczuwałam nawet dumę, że jestem inna. Wychodziłam na długie spacerzy z psem, podczas których marzyłam o życiu w Los Angeles, wśród homoseksualnych przyjaciół. Leisha Hailey, a w serialu Alice Pieszecki, była moim autorytetem, utożsamiałam się z nią i przysięgałam sobie w myślach, że kiedyś taka będę. Im więcej oglądałam i czytałam, tym mocniej utwierdzałam się w przekonaniu, że chyba jestem lesbijką. W tym samym czasie zaczęłam podziwiać Lady Gagę, która mówiła o sobie, że jest biseksualna. Słuchałam też Michaela Jacksona. Wzruszał mnie jego głos i te teksty! (tak, wiem, że pedofil, ale muzykę tworzył piękną). Pamiętam też, że prowadziłam wtedy dziennik i wydaje mi się, że to pozwoliło mi trochę uporządkować myśli i dojść do tego, co właściwie się ze mną dzieje. Dzięki tym zapiskom uświadomiłam sobie wiele rzeczy, bardzo mi to pisanie pomagało. Nikomu oczywiście nie zdradziłam, że jestem lesbijką. Wiedziałam, że jestem za młoda, żeby mieć pewność, więc wołałam to zachować dla siebie.

Często myślałam o sobie jako o kimś innym, niepasującym, czasem – wyjątkowym. W pewnym sensie cieszyłam się, że jestem homoseksualna. To mnie jakoś wyróżniało spośród tych wszystkich ludzi w moim mieście. Jednocześnie czułam się coraz bardziej wyalienowana. W myślach wiodłam alternatywne życie, a w dzienniku opisywałam rzeczywistość, która nigdy się nie zmaterializowała.

Miłość platoniczna

Było zimno, czas rekolekcji albo rorat (nie jestem dobra w te kościelne rzeczy). Wtedy miałam się przygotowywać do bierzmowania, więc musiałam chodzić na te msze o 6 rano we wtorki i czwartki, żeby pieczątki zebrać. Nie chciałam robić bierzmowania, bo już wtedy wiedziałam, że Bozia, Jezus i gadanie staremu, białemu pierdowi o swoich „grzechach” w konfesjonale, to nie dla mnie. Ale matka mi truła. *Co ludzie powiedzą, przecież tak nie wypada, masz iść, bo wszyscy idą.* Więc wstawałam przed 6 i maszerowałam do kościoła, *Jerzego* albo *Dużego*, jak go nazywali. Od razu po mszy szłam do szkoły. W szkolnej szatni byłam o 7:10. Najczęściej wyjmowałam książkę i czytałam do momentu, aż w szatni nie zjawiała się Elwira. A zjawiała się dość szybko, bo koło 7:20. To była dziewczyna rok ode mnie młodsza. Miała cygańską urodę, jasne oczy, ciemną skórę i długie, krucze włosy opadające na ramiona. W każdy wtorek i czwartek tylko my dwie byłyśmy w szatni tak wcześnie. Przez wiele tygodni spędzałyśmy ten czas w milczeniu. Wiele razy chciałam do niej zagadać, ale zawsze brakowało mi odwagi. W któryś z tych dni powiedziała do mnie *cześć, hej* – odpowiedziałam cichym

i drżącym głosem, a serce podskoczyło mi do gardła. Ona usiadła naprzeciwko mnie, wyjęła książkę i założyła na uszy wielkie niebiesko-żółte słuchawki. Ja z całych sił udawałam, że czytam. Pilnowałam swoich reakcji, ale i tak miałam wrażenie, że ona widzi moje rozgorączkowanie. Podniosłam wzrok i popatrzyłam na nią. Uważałam, żeby nie złapała mnie na gorącym uczynku. Czułam się, jakbym ją podglądała. Jakbym robiła coś niepoprawnego, niedozwolonego. Patrzyłam na nią przez kilka sekund, serce waliło mi jak nienormalne. Zrobiło mi się gorąco, dam sobie rękę uciąć, że byłam czerwoną jak burak. Po kilku sekundach odwróciłam wzrok, bo w tamtym momencie myślałam, że umrę, jak dalej będę na nią patrzeć. Myślałam, że mnie wewnętrznie rozsadzi, że te kołaczące serce wypadnie na podłogę. Trochę się uspokoiłam, *tylko spokojnie, wdech i wydech* i znów na nią spojrzałam. Tym razem mnie przyłapała, patrzyła tymi swoimi oczami prosto w moje, uśmiechnęła się, zdjęła słuchawki i zapytała: *Co czytasz?* Prawie się posikałam. Przeszedł mnie dreszcz. Zaczęło mi się przewracać w brzuchu, jakby wybuchł w nim wulkan. Lawa pomału zalewała każdy zakamarek mojego ciała. Fala uderzyła w twarz, dostała się do uszu. Ręce były tak mokre, że z trudem trzymałam książkę. Stopy błagały o wybawienie z butów, bo już były totalnie zalane. Język odmówił posłuszeństwa. Umysł dostał sraczki. *Jezus Maria, co czytam?! Czemu się pyta? Pewnie wyglądam okropnie. Po co się na nią gapiałam? Co mam powiedzieć? Podobam się jej? Czy po mnie coś widać? Czemu się tak patrzy? Ale ona ma ładne oczy.* Uśmiechnęłam się, przelknęłam ślinę i uniosłam książkę, tak aby mogła przeczytać tytuł na okładce. *O czytasz Pallo Koelo, fajne?* W czasach gimnazjalnych nie był to powód do wstydu. Co prawda nie rozumiałam nic z tych jego książek, ale nie przeszkadzało mi to, żeby odpowiedzieć, że *no bardzo fajne, takie filozoficzne.* Otrząsnęłam się z pierwszego szoku i cała uradowana rozmawiałam z Elwirą aż do pierwszego dzwonka. Potem zaczęłyśmy gadać na gadu-gadu i spotykać się na przerwach. Nigdy nie powiedziałam, że ją „lubię”, nie spotkałam się z nią poza szkołą. Bałam się. A co jakby się dowiedziała, że jestem lesbijką? Pewnie zerwałaby ze mną kontakt, nie chciałaby ze mną rozmawiać. Byłam przerażona takimi myślami. Za wszelką cenę chciałam uniknąć odrzucenia.

Wyprowadzka z domu i czasy liceum

Wcześniej zdecydowałam się wyjechać z rodzinnego miasta. Do liceum chodziłam już w Warszawie – z tego, co wiem, dziadek płacił za moje utrzymanie, no i dostawałam alimenty od ojca. Sama wybrałam sobie szkołę i bursę. Nikt za bardzo się nie interesował, jaki poziom ma ta szkoła i w jakich warunkach będę mieszkać. Dorośli mieli swoje sprawy. Dostałam się do klasy teatralnej w bardzo przeciętnej szkole na Woli i zamieszkałam w bursie, w której mało kto się przejmował podopiecznymi.

W wielkim mieście byłam wolna. Dosłownie. Wolna od opieki matki, wolna od zobowiązań, wolna od patologii i od tej małomiasteczkowości. Mogłam odetchnąć pełną piersią. Niestety, dość prędko się zachłysnęłam. Nikt w bursie nie kontrolował,

gdzie chodzimy. Wystarczyło wpisać się do zeszytu. Cel wyjścia, godzina powrotu. Kiedy chciałam wrócić później, wystarczyło poprosić o przepustkę. Każdy mógł ją dostać ot tak. W weekendy był jeden opiekun na cały budynek, bo dzieciaki zawsze wyjeżdżały do rodziny, więc było nas mało. Ja prawie zawsze zostawałam w bursie. Opiekun robił obchód koło 21. Potem czasem wymykałam się na całą noc.

W pierwszej liceum zaczęłam palić. Paliłam smakowe black devile – były dość drogie, a ja miałam mało pieniędzy. Więc moje skromne fundusze szybko topniały, często jadłam tosty i zupki chińskie na obiad w weekendy. Czasem też szłam do Auchan i jadłam tam bułki. Nie ukrywając, miałam poważny problem z kasą, bo zwyczajnie nie potrafiłam oszczędzać ani zarządzać swoim budżetem. Może czułam się w Warszawie swobodniej, ale w mojej głowie barierę stanowiły pieniądze. Nie było mnie stać na ubrania z sieciówek, wszystko, co nosiłam, było po kimś albo kupione w szmateksie. Miałam krzywe zęby i wysuniętą szczękę. Już wcześniej miałam kompleksy na punkcie mojego wyglądu, ale tutaj więcej ludzi zauważało moje niedoskonałości. Przezywano mnie „broda”, „krzywy ryj”, „szczena”, bo miałam przodozgryz. To był mój największy kompleks. Chciałam wyprostować zęby, pójść do fryzjera, kupić nowe ubrania, żeby ludzie w końcu zaczęli mnie akceptować. Chciałam mieć na to wszystko pieniądze. Aby zrekompensować sobie trochę braku w wyglądzie i odciągnąć uwagę innych od moich niedoskonałości, eksperymentowałam z wyglądem. Często rozjaśniałam włosy, a koleżanki farbowały mi je terpentyną na różne kolory. Różowy, niebieski, fioletowy. Mimo braku funduszy starałam się ubierać dość ekscentrycznie. Nosiłam sztuczne futro i martensy, okulary w dużych, grubych oprawkach. Miałam piercing w wardze. Koleżanka zrobiła mi go w szkolnej łazience za 20 złotych. Na szczęście długó go nie ponosiłam.

W liceum też oglądałam się za dziewczynami, ale nadal nie byłam pewna, czy jestem stuprocentową lesbijką. Coś w tym jest, że jak jest się hetero, to nie trzeba tego sprawdzać, w innym przypadku powinno się to zweryfikować. Nieraz myślałam, że to może tylko jakaś faza, że może mi się tylko wydaje, że jestem lesbijką? Może po prostu nie poznałam odpowiedniego chłopaka? Na szczęście ludzie w Warszawie byli bardzo tolerancyjni i otwarci. Wiele osób reagowało entuzjastycznie, kiedy mówiłam, że jestem biseksualna. Nie mogłam się jednak przyznać nikomu, pewnie też sama przed sobą, że jestem lesbijką. Był we mnie ten wstyd, poczucie, że nie jestem do końca normalna. Próbowalam spotykać się z dziewczynami. Poznawałam je przez Internet. Korzystałam z takich portali jak badoo.pl, kobietykobietom.pl i innastrona.pl, dziś znana pod nazwą queer.pl. Jednak moje poszukiwania często kończyły się fiaskiem. Wolałam latać za dziewczynami ze szkoły. Często byłam nieszczęśliwie zauroczona. Niepewnie nawiązywałam kontakty na żywo, bardzo się denerwowałam w bezpośrednim kontakcie. Jeśli dziewczyna wpadła mi w oko, to najpierw próbowałam ją znaleźć na stronach internetowych i rozpocząć relację wirtualnie. Tak znalazłam Kasię. Była biseksualna. I chyba nawet się jej podobałam, ale bardzo bałam się wyjść z inicjatywą. Kasia związała się z facetem, a ja szukałam dalej. W relacjach nie pokazywałam ciepłych uczuć. Byłam oschła. Dopiero wieczorami udawałam się do świata marzeń.

Odnajdywałam się w cierpieniu i melancholii. Lubiałam żyć fantazjami – w głowie stworzyłam sobie przytulną odskocznnię od rzeczywistego świata.

Wraz z przeprowadzką do innego miasta straciłam większość znajomych, ale utrzymywałam kontakt z moją przyjaciółką, którą znałam od podstawówki. Obie marzyłyśmy o bogactwie. Wpadła na głupi pomysł, a ja szybko go podchwyciłam. Wtedy wydawał mi się świetnym sposobem na zarobek. Sprzedaż dziewictwa. Cena – 10 tysięcy złotych. Uważaj jak tańczysz, bo życiowy parkiet bywa śliski.

Seks nigdy nie był dla mnie przeżyciem, nie łączyłam go z miłością, szacunkiem czy intymnością. Z koleżankami gadałam o tych sprawach, ale wszystko sprowadzało się do przyjemności, rozmiaru penisa, obaw przed ciążą. Dla mnie seks to było coś zwierzęcego, obrzydliwego wręcz. Dziewictwo więc nie było dla mnie skarbem. Jeśli mogłam je stracić i zarobić na tym, to czemu nie? Napisałam ogłoszenie i wstawiłam je na gumtree.pl. Teraz strony raczej blokują takie rzeczy, ale kilka lat temu było takich propozycji dość sporo. Pamiętam, że wprost napisałam, że chcę sprzedać dziewictwo i za ile. Zgłaszali się do mnie jacyś chłopcy i robili sobie jaja, ale odzywali się też dorośli mężczyźni. Negocjowali cenę, prosili o moje fotografie, wysyłali zdjęcia swoich penisów. Nie pamiętam, czy podawałam swój wiek, ale miałam piętnaście lat – to było na początku liceum. W końcu zgłosił się do mnie jeden facet, zgodził się zapłacić dziesięć tysięcy, wysłał swoje zdjęcia. Chyba miał na imię Zbyszek, był koło czterdziestki, łysy, krępej budowy. Pisaliśmy parę dni i umówiliśmy się, że przyjedzie po mnie pod Wola Park. Powiedziałam o tym współlokatorce z pokoju, nie powstrzymała mnie. Poszłam na to spotkanie. Podjechał białym mercedesem. Na początku uzgodniliśmy, że zrobimy to w hotelu, ale on w ostatniej chwili zmienił plany i zawiózł mnie do swojego mieszkania. Nie mam pojęcia, gdzie mieszkał, nie pamiętam drogi, czy o czymś rozmawialiśmy i na jaką dzielnicę mnie zawiózł. Pamiętam tylko, że było to strzeżone osiedle z podziemnym parkingiem. Jego mieszkanie było bardzo małe, miał tylko jeden pokój, kuchnię i łazienkę. Dał mi coś do picia i kazał usiąść na kanapie. Byłam przerażona, sparaliżowało mnie ze strachu. Wiem, że pokazał mi banknoty zwinięte w rulon, dziesięć tysięcy. Już wtedy wiedziałam, że mi nie zapłaci, ale bałam się uciec. Rozebrał mnie i rzucił na łóżko. Potem sam się rozebrał, nawet nie ubrał prezerwatywy. Ból był tak silny, że krzyczałam i płakałam. Byłam świadoma wszystkiego, co się dzieje, ale nie mogłam się ruszać, wyrwać się. Zakrywał mi usta ręką i mówił, żebym była cicho. Nie wiem, ile to trwało. Może z pół godziny. Po wszystkim odwiózł mnie na parking przy centrum handlowym, dał mi trzysta złotych i powiedział, że nie byłam dziewicą. Pamiętam, że próbowałam go przekonywać, ale wypchnął mnie z auta i odjechał. Poczulałam się jak szmata, nigdy nie czułam się tak podle. Bałam się, że znajdę w ciąży albo że zaraził mnie jakąś chorobą weneryczną. Na szczęście nic takiego się nie stało, choć bardzo długo zwlekałam z testem na HIV. Kiedy opowiadałam o tym moim bliższym koleżankom, śmiały się. Niektóre rozpoznały to dalej. Wtedy już kompletnie straciłam zaufanie do ludzi. Moja matka nie wie o tej sytuacji do tej pory. Przez wiele lat obwinałam się za to, co się stało, nie mogłam uwierzyć, że byłam tak głupia. Wzięłam na siebie całą odpowiedzialność.

Kiedy zdawałam do drugiej klasy liceum, straciłam miejsce w bursie, bo prze-rabiali ją na męską. Musiałam szukać lokum. Przez pierwsze pół roku mieszkałam w internacie na Pradze Południe, przy rondzie Wiatraczna. Było to miejsce zupełnie inne od tego poprzedniego. Panował rygor, trzeba było zachować nieskazitelną czy- stość w pokojach, opiekunki sprawdzały nawet kurze pod łózkami. Tam poznałam moją przyjaciółkę Natalię. Mieszkałam z nią w pokoju. Noce spędzałyśmy na długich, ciężkich rozmowach o dzieciństwie i wydarzeniach z naszego życia. Odsypiałyśmy między obiadem a kolacją. Choć nie wiem, jak bardzo lubiłam Natalię, to dusiłam się w tej bursie. Nie znosiłam, kiedy ktoś mi coś kazał, nie byłam przyzwyczajona do takiej kontroli. Nie było nawet mowy o wychodzeniu na imprezy, o każdym przewi- nieniu informowano moją matkę. Poza tym nasza druga współlokatorka działała mi na nerwy. Po pół roku wynajęłam pół pokoju w zapyziałym mieszkaniu na Woli. Na początku w pokoju mieszkała ze mną koleżanka z klasy, potem wprowadziła się do mnie Natalia. Miałam wtedy 17 lat. Jako że wcześniej nie miałam możliwości imprezo- wać, tak mieszkając w mieszkaniu znów mogłam robić, co chcę. Zaczęłam traktować swoje ciało z największą pogardą. Spotykałam się z facetami, nie wiem, czy po to, żeby się dowartościować, czy może żeby jeszcze bardziej sobie dowalić. Oczywiście spoty- kałam się z nimi na zasadzie towarzyskiej, nie zostałam prostytutką. Czasem stawia- łem się w niebezpiecznych sytuacjach, bo poznawałam ich głównie w Internecie, nie znałam ich, a niejednokrotnie wsiadałam z nimi do auta. To były pojedyncze randki, podczas których uprawialiśmy seks. Szybko jednak zrezygnowałam z takich spotkań. Nie czułam żadnego pociągu, nie czerpałam z tego żadnej przyjemności. Moje fanta- zje nigdy nie dotyczyły mężczyzn. Ciągle myślałam o dziewczynach.

W międzyczasie, jak jeszcze nie byłam pełnoletnia, podjęłam pracę w restauracji. Szef jasno dał mi do zrozumienia, że na kelnerkę się nie nadaję i posadził mnie na zmywak. Nie była to przyjemna praca, ale wołałam to niż rozdawanie ulotek. Przez dodatkowe źródło utrzymania poprawiła się trochę moja sytuacja finansowa. Poza tym jakoś w tym czasie zmarł mój ojczym, więc u matki z kasą też było lepiej. Dzięki temu mogła sfinansować moje leczenie ortodontyczne i przygotowanie do operacji ortognatycznej. W drugiej liceum założyli mi stały aparat, co dodało mi trochę pewno- ści siebie. To był początek długiej i wyczerpującej drogi leczenia się z progenii, która skończyła się dopiero na trzecim roku studiów. Im moje zęby stawały się prostsze, tym częściej chodziłam na randki z dziewczynami. Może to śmieszne, ale te zęby to był tak ogromny kompleks, że kiedy założyłam aparat, moja wartość podskoczyła niczym temperatura na Syberii w tym roku. Rozkręcałam się, zaczęłam pisać z wieloma dziew- czynami na raz. A umiałam pisać, jak nikt inny. Starłam się być jak najmniej banalna, moje pierwsze wiadomości były wyczerpująco długie, ale prawie zawsze spotykały się z pozytywnym odzewem. Uwielbiałam, kiedy odpisywały mi równie długo. Teraz sobie myślę, że w tych wiadomościach byłam naprawdę sobą. Nie wstydziałam się pisać co myślę, byłam autentyczna i charyzmatyczna. Na spotkaniach też starałam się taka być, ale nie zawsze to wychodziło, wiadomo. Weekendy spędzałam w klubach branżowych. Wieczorami marzyłam o związku, przytulając się do poduszki.

Dzień po

Obudziłam się, ale nie miałam siły wstać. Nawet mi przez myśl nie przeszło, żeby pójść do szkoły. Dzień wcześniej stałam się dziwką, kurwą, prostytutką. Wzięłam pieniądze za seks, za dziewictwo. Trzysta złotych. I co miałam zrobić z tymi pieniędzmi? Miałam ochotę je wyrzucić do śmietnika, oddać, jak najszybciej się ich pozbyć. Siebie też miałam ochotę wyrzucić do śmietnika, bo czułam się jak śmieć. Moja wartość skurczyła się do rozmiaru orzeszka, a nienawiść do siebie osiągnęła apogeum. Rozejrzałam się po pokoju, moich współlokatorek już w nim nie było. Wtedy jeszcze nie miałam smartfona, a Nokię 6300 bez Internetu. Sięgnęłam po starego laptopa i weszłam na Facebooka. Pierwsza informacja, jaką zobaczyłam na tablicy: *Kasia zmieniła status na „w związku z...”*. Nie wytrzymałam, rozbeczałam się, jak dziecko. *Już nie dam rady, nie wytrzymam na tym świecie.* Kasię znałam ze szkoły. Latałam za nią przez kilka tygodni, bardzo mi się podobała. Żeby jej zaimponować, zaczęłam słuchać Marylina Mansona, mocnych, mrocznych brzmień, które dziś przyprawiają mnie o gęsią skórkę. Raz Kasia zaprosiła mnie do siebie, kiedy w domu nie było jej rodziców. Jechałam autobusem linii 171 z walącym sercem, byłam tak szczęśliwa, że nawet nie potrafię tego opisać. Ten dzień spokojnie zaliczał się do najlepszych w moim życiu. Kiedy weszłam do jej mieszkania, moja radość osiągnęła szczyt. Czułam się, jakbym osiągnęła nieosiągalne. Nie mogłam uwierzyć, że Kasia mnie do siebie zaprosiła. Wyobrażałam sobie ten moment wiele razy, ale nie spodziewałam się, że kiedykolwiek mógłby się urzeczywistnić. Wypiłyśmy razem piwo, gadałyśmy o różnych rzeczach. Bawiła się swoimi długimi, jasnymi włosami, patrzyła mi w oczy opowiadając o koncertach i wróżeniu z kart, kilka razy mnie dotknęła. Prawie jej nie słuchałam, nie mogłam się skupić, bo byłam tak podekscytowana. Siedziałam u niej z dwie godziny. Przytuliłam ją na do widzenia. Nie miałam odwagi jej pocałować. Wyszłam cała w skowronkach. Myślałam, że może coś z tego będzie. W moich fantazjach już byliśmy razem. Dalej pisałyśmy i dalej gadałyśmy na przerwach w szkole, ale już mnie nigdzie nie zapraszała. Okazało się, że Kasia nie była zbyt cierpliwa, z czasem zaczęła tracić zainteresowanie. Kiedy tego dnia zmieniła status na Facebooku, poczułam się, jakbym dostała pięść w twarz. Wtedy serce pękło mi po raz pierwszy, choć przecież nawet nie byliśmy razem. Ba! Nawet nigdy jej nie dotknęłam, nie pocałowałam. W tamtym momencie zawalił mi się świat. Mój wewnętrzny głos syczał mi nienawistnie do ucha. *Nic dziwnego, że związała się z facetem. Ty jesteś brzydka, nic nie warta, a do tego jesteś kurwą. Kto by chciał być z kurwą?*

Studia w Katowicach

Po maturze zaczęłam chodzić ze starszą ode mnie o kilka lat dziewczyną. Poznałyśmy się przez Internet. Przez kilka miesięcy pisałyśmy do siebie długie elaboraty, potem zaczęłyśmy się spotykać, na początku tylko jako koleżanki. Nieporadnie próbowałam

z nią flirtować, za wszelką cenę chciałam wyjść z friendzonu, w którym tkwiłyśmy. Pierwszy raz próbowałam kogoś poderwać i w końcu się udało. To była pierwsza dziewczyna, z którą się przespałam. Seks nie był zbyt dobry, a ja szybko zaczęłam tracić zainteresowanie, więc jak na horyzoncie pojawił się ktoś ciekawszy, od razu z nią zerwałam. Ewelinę też poznałam przez Internet. Była ze Śląska. Ja mieszkam w Warszawie, ale nic mnie w niej nie trzymało. Na studia mogłam iść gdziekolwiek. Jak wspomniałam wcześniej, byłam średnią uczennicą, więc przeciętnie też zdałam maturę. Nie miałam zbyt dużego wyboru, ale też nie wiedziałam co mam robić w życiu. Nie zależało mi szczególnie na żadnym uniwersytecie. Złożyłam papiery do Katowic, bo akurat tam był kierunek, który mnie zainteresował, no i tam mieszkała Ewelina. Dostałam się na kognitywistykę oraz na doradztwo filozoficzne i coaching. Wybrałam, na swoje nieszczęście, to drugie.

W lipcu pojechałam na zwiady do Katowic. Miałam zobaczyć mieszkanie i trochę się zaaklimatyzować. Nigdy wcześniej tam nie byłam. Myślałam, że to jakieś zadupie, gdzie wszyscy chodzą z czarnymi od węgla twarzami. Na dworzec wyszła po mnie Ewelina. Zakochałam się od pierwszego wejrzenia. I w niej, i w Katowicach. Zaprowadziła mnie do mojego przyszłego mieszkania, okazało się, że mieszka po drugiej stronie ulicy. Ten tydzień był najpiękniejszym tygodniem w moim życiu. Ewelina oprowadziła mnie po Katowicach, pokazała najlepsze miejscówki. Pojechalśmy nawet w góry. Zaplanowała każdy dzień. Nie mogłam uwierzyć, że ktoś się tak dla mnie postarał. Czulałam się jak w raju, no tego się nie da opisać. Wróciłam do rodzinnego miasta z bólem serca. Bardzo za nią tęskniłam. Przez cały sierpień nie mogłyśmy się spotykać, bo ona była na wojażach.

Klamka zapadła, znalazłam dziewczynę marzeń, nadszedł moment, żeby wyoutować się przed matką. Zareagowała wzorowo. Powiedziała, że kocha mnie bez względu na wszystko. Przed resztą rodziny nie musiałam się outować. Ojczym już wtedy nie żył, z braćmi nie utrzymuję kontaktu, a dalszej rodzinie powiedziała matka. Powiedziała chyba każdej osobie, którą zna. Jej wszystkie koleżanki to akceptują, traktują jak naturalną rzecz. Mój dziadek i babcia też wiedzą i mają takie samo podejście. Akurat w tej kwestii dostałam dużo wsparcia, choć chyba powinnam napisać, że po prostu wszyscy potraktowali to jak normalną sprawę. Bo w końcu o to chodzi, żeby traktować to jak coś normalnego. Nie potrzebuję przecież akceptacji. Tak jak heteroseksualne osoby tego nie potrzebują. Po prostu z zasady wszyscy są z tym ok. Bardzo to słabe, że homoseksualne osoby w ogóle powinny powiedzieć, że są homoseksualne. Że to się nazywa coming out czy wyjście z szafy. Właściwie samo to nazewnictwo, moim zdaniem, cechuje odmienną orientację seksualną jako nienormalną. Homoseksualiści siedzą zamknięci w szafie do momentu wielkiego wydarzenia, jakim jest coming out, a heteroseksualiści nawet nigdy w niej nie byli. Spodziewałam się, że bliscy zareagują neutralnie, bo co prawda o tym się nie mówiło, ale nikt nic do gejów nie miał. Wiem, że wiele osób LGBT+ nie doświadczyło takiej akceptacji.

Moja matka zaczęła coraz częściej wyjeżdżać za granicę i nie miała możliwości opiekować się naszym psem, więc we wrześniu wzięłam naszą dziewięcioletnią

suczkę i wyjechałam na Śląsk. Tam przeżyłam swoje pierwsze love story. Myślałam, że znalazłam miłość swojego życia, że będziemy razem już na zawsze. To było nieopisane uczucie. Nie mogłam uwierzyć, że ktoś tak ładny i mądry mógł mnie pokochać. Przedstawiłam Ewelinę swojej matce i dziadkom. Ona przedstawiła mi swoje siostry, z którymi od razu złapałam kontakt.

Większość czasu spędzałyśmy w łóżku, gadałyśmy o przyziemnych sprawach. Brakowało mi trochę dyskusji filozoficznych i poważnych rozmów, ale wtedy o tym nie myślałam. Wyznałyśmy sobie miłość po dwóch miesiącach znajomości, po czterech ona ze mną zerwała. Nie mogłam w to uwierzyć. Nie byłam tym, kim ona myślała, że jestem. Ona natomiast była kimś dla mnie idealnym. Moja nadzieja na miłość odeszła wraz z Eweliną. Płakałam za nią przez dwa lata, a przez prawie trzy byłam sama. Ogoiliłam się na tyso. Nie chciałam się z nikim wiązać ani nawet spotykać. W Katowicach Ewelina była mi jedyną bliską osobą, kiedy się rozstałyśmy, zostałam sama. Pamiętam, że wtedy byłam tak zagubiona, że bez przekonania zwróciłam się w stronę Boga. Ewelina chodziła do kościoła dominikanów i jak byłyśmy razem, to raz mnie zaprowadziła na mszę. Nie wyglądało to tak, jak w takim zwykłym kościele. Kazania były bardzo empatyczne, chór ładnie śpiewał, jakoś nie panowała tam taka atmosfera męczeństwa i nieszczęścia. Po rozstaniu przez kilka tygodni chodziłam dość regularnie, nawet poszłam do spowiedzi, która też wyglądała zupełnie inaczej. Wypowiadałam się ze sprzedaży dziewictwa. Pamiętam, że płakałam, kiedy pierwszy raz od niepamiętnych czasów przyjęłam opłatek. Prawdę mówiąc, chodziłam tam bardziej dla Eweliny niż dla Boga. Wtedy łapałam każdą okazję, żeby ją zobaczyć. W pewnym momencie Ewelina przestała przychodzić na nabożeństwa, wtedy skończyłam swoją przygodę z kościołem.

Pierwszy rok w Katowicach mieszkałam ze znajomą, która była mitomanką. Ludziom na studiach opowiadała niestworzone historie o mnie. Wymyślała sobie choroby, dostawała jakichś ataków, kiedy nie zwracałam na nią uwagi. W końcu się zabrała i wyjechała, zostawiając mnie z dwupokojowym mieszkaniem na utrzymaniu. Byłam już w takim stanie, że na gwałt potrzebowałam wsparcia. Wszłam na swoje stare konto queerowe i zaczęłam szukać koleżanek. Tak poznałam Poleę, a później Kołę, które uratowały mnie przed załamaniem. Miałam oczywiście znajomych na studiach, ale nasze rozmowy kręciły się wokół intryg, plotek, kto się z kim prześpał. Bez końca trwała licytacja o największą sensację. Nie było tam miejsca na moje wyznania. Te osoby żyły plotkami, nie ufałam im.

Kiedy współlokatorka się wyprowadziła, zaczęłam mieć duże problemy z mieszkaniem, bo pośredniczka robiła jakieś przekręty. Nie mogłam się wynieść, moja kaucja przepadła, kiedy wprowadziła się nowa współlokatorka, musiałam wpłacać kaucję po raz kolejny. Rachunki były niebotyczne. W Warszawie też wynajmowałam mieszkanie i nigdy nie płaciłam tyle za media. Wtedy moja matka zaczęła jeździć do Szwajcarii, więc zarabiała o wiele lepiej. Nie chciałam się jednak narzucać i brać od niej więcej pieniędzy, niż powinnam. Uważałam, że ja zawiniłam z tym mieszkaniem, bo przecież sama sobie takie wybrałam. Żeby trochę matkę odciążyć, zatrudniłam się

na zmywaku w klubie. Pracowałam na czarno w weekendy, czasem po dwanaście, trzynaście godzin – całe noce za najniższą krajową. To była bardzo męcząca i niewdzięczna praca. Bo prócz naczyń musiałam sprzątać też toalety. A wiadomo, jak one wyglądają w klubach. Taka praca wpłynęła źle na moje poczucie wartości. Uważałam, że do niczego innego się nie nadaję i nic nie umiem. Zwolniłam się po kilku miesiącach, kiedy udało mi się przeprowadzić w inne miejsce.

Po 5 latach przygotowywałam, w marcu 2017 roku przeszłam operację ortognatyczną w Szpitalu Miejskim w Olsztynie. Przez pierwsze dwa tygodnie po zabiegu siedziałam w dziadków, potem, kiedy opuchlizna zesza i nie musiałam brać silnych leków przeciwbólowych, wróciłam do Katowic. Rekonwalescencja trwała około 3 miesięcy. W tym czasie jadłam wyłącznie papki dla dzieci i piłam soczki. Było warto, bo w końcu pozbyłam się kompleksów związanych z wyglądem, doczekałam się prostych zębów i poprawnego zgryzu. We wrześniu założyłam konto na Tinderze i tam bardzo szybko poznałam moją aktualną dziewczynę. To nie było Lovestory, nie zakochałam się w niej od pierwszego wejrzenia. Miłość uderzyła we mnie dopiero po jakimś czasie, ale za to ze zdwojoną siłą. Nasz związek od początku był trudny i burzliwy, obie musiałyśmy włożyć mnóstwo pracy, aby wyglądał tak jak teraz. Przeprowadzałyśmy długie, poważne i nieraz bolesne rozmowy. Obie dużo musiałyśmy zmienić w swoich zachowaniach, bezustannie podważałyśmy swoje stare przekonania, które wyniosłyśmy z domów. Byłyśmy z dwóch różnych światów – ja wychowana w patologii i chłodzie, ona w domu pełnym wsparcia, ale i nadopiekuńczości. Ciężko było znaleźć nam wspólny język, w wielu sprawach się nie zgadzałyśmy. Tematy rodzinne były najcięższe, bo dla mnie rodzina nie miała żadnej wartości, dla niej – najwyższą. W końcu się dotarliśmy i znalazłyśmy złoty środek. Miłość zrodziła się z przyjaźni. Dziś nie ma w naszym związku tematów tabu, otwarcie rozmawiamy o seksie, choć mi idzie to jak krew z nosa. Wiemy o sobie absolutnie wszystko i obie akceptujemy siebie nawzajem.

Na trzecim roku, kiedy wróciły mi siły po operacji, zatrudniłam się w Biedronce. Miałam zajęty każdy dzień od 5 rano do 22 wieczorem, bo studiowałam dziennie. Praca w Biedrze była tak samo ciężka i niewdzięczna jak moje dwie poprzednie. Musiałam dużo dźwigać i znosić wiele nieprzyjemnych sytuacji. Ludzie są naprawdę podli i potrafią wyrzeć się na obcą osobę bez żadnego konkretnego powodu. Na szczęście dziewczyny ze sklepu wiedziały, jacy są ludzie i nigdy mnie nie obwiniały za te awantury. Najgorsze były tygodnie z naklejkami. Jak, nie daj Boże, zapomniałam wydać komuś naklejek, to byłam wyzywana od najgorszych. Ludzie wyliczali, ile mam im dać, jak dałam za mało, to od razu: *Gdzie jest kierowniczką? Proszę natychmiast zadzwonić po kierowniczkę!* Te Świeżaki to był jakiś koszmar. Przepracowałam tam cztery miesiące i obiecałam sobie, że na kasę już nigdy nie wrócę. W 2018 obroniłam licencjat.

Cały okres studiów w Katowicach wspominam jako czas największych przemian. Właśnie wtedy przestałam przejmować się swoim wyglądem, poznałam dziewczynę, z którą jestem do tej pory, zaczęłam skupiać się na poszukiwaniu siebie, przeszłam na wegetarianizm. Wydoroślałam. Już nie ubierałam się aż tak ekscentrycznie, przestałam

niszczyć sobie włosy farbowaniem. Mimo że studia były nietrafione, to dały mi sporo. Na pewno rozpały we mnie chęć do poszukiwania odpowiedzi. Musiałam czytać dużo tekstów filozoficznych, po które z własnej woli bym raczej nie sięgnęła. Dopiero wtedy odkryłam, jaką wartość ma wiedza. Pierwszy raz w życiu dostałam stypendium naukowe. Udało mi się opublikować moją pracę licencjacką, z czego jestem cholernie dumna. Właśnie w Katowicach poznałam ludzi, którzy zaakceptowali mnie i moją historię.

Dwie przyjaciółki

Umówiłam się na spotkanie z Polą, poznałam ją na queerze. Wydawała się fajna, dobrze mi się z nią pisało. Najpierw poszliśmy do baru, a potem zaprosiłam ją do siebie. Po drodze kupiliśmy w Żabce kilka cydrów Miłosławskich i paczkę fajek. Od początku mówiłam jej prosto z mostu, że nie chcę seksu ani związków, chcę po prostu z kimś pogadać. Ale tak po ludzku, nie o dupie Maryni. O ważnych sprawach, o swoich przemyśleniach, o zepsutym świecie. A że gadało się nam dobrze w knajpie, mi kończyła się kasa, to lepiej było przenieść się do tańszego lokalu. Kiedy weszliśmy do mieszkania, moja sunia od razu podbiegła do Poli i zaczęła na nią skakać ze szczęścia. Witaa ją, jakby się znały od lat! Całą noc puszczałyśmy piosenki Maanam, Miry Kubasińskiej, Edyty Bartosiewicz, Varius Manx i Heya, stare albumy Bajmu. Przegadałyśmy wiele godzin. Pierwszy raz poczułam z kimś taką więź. Nigdy wcześniej nie gadało mi się z nikim tak dobrze. Stałyśmy się najlepszymi kumpelami. Poznała mnie ze swoją przyjaciółką – też lesbijką. We trzy chodziłyśmy na darmowe koncerty, wystawy i do klubów, lażyłyśmy na eventy organizacji LGBTQ+ i na parady równości. Byłyśmy nierozłączne. Te dwie laski zmieniły moje życie. Przejmowały się losem zwierząt, były wrażliwe, nie obgadywały innych, nie żyły sensacjami i tym, jaka jest dziś pogoda. Wychodziły ponad utarte schematy, ponad stereotypy. Dzięki nim przeszłam na wegetarianizm, zaczęłam być bardziej świadoma. Nie gadały o penisach, analu i robieniu loda. W końcu mogłam z kimś pogadać o swoich byłych, o dziewczynach, które mi się podobają, o rzeczach, których nie rozumieją heteronormatywne osoby. Nie musiałam tłumaczyć, jak lesbijki uprawiają seks bez penisa i czy jestem w związku tą męską, czy tą bardziej kobiecą. Miło było mieć przyjaciółki, które mnie rozumieją. Drogi moje i Poli szybko się rozeszły, ale nigdy o naszej przyjaźni nie zapomnę.

Powrót do Warszawy

Moja dziewczyna skończyła studia, a ja po obronie licencjatu kontynuowałam naukę na drugim stopniu. W pierwszym semestrze pojechałam na Erasmusa do Czech. To był ważny test dla naszego związku, który obie ledwo zdałyśmy. Ja chciałam szaleć, chodzić na imprezy, poznawać ludzi, podróżować z nowymi znajomymi, a ona była

zazdrosna, bo siedziała w domu sama. I w ogóle jej się nie dziwię, ale wtedy mnie to bolało. Uważałam, że ogranicza moją wolność. Często się kłóciłyśmy, płakałam jej do słuchawki każdego wieczora. Byłam między młotem a kowadłem. Czulałam, że nie korzystam z Erasmusa w stu procentach i się za to obwiniałam. Z drugiej strony miałam poczucie winy, że za mało czasu poświęcam mojej dziewczynie.

Kiedy wróciłam, zdecydowałam, że nie chcę już studiować na UŚ-u. W porównaniu do uczelni, na której studiowałam w ramach programu, poziom na naszym polskim instytucie filozofii był żenujący. W dodatku dowiedziałyśmy się, że moja psina jest chora na raka. Skończyłam pierwszy rok i razem z moją dziewczyną podjęłyśmy trudną decyzję. *Wyprowadzamy się do Warszawy!* Obie za tym miastem nie przepadałyśmy, ale wiedziałam, że jeśli chcemy się rozwinąć i zdobyć jakieś doświadczenie, znaleźć dobrą pracę, to musimy się z Katowic wynieść. No i Brenda potrzebowała specjalistycznej opieki, o którą w Katowicach było ciężko. Nie chciałam rozstawać się ze Śląskiem, czułam się tam jak w domu. W lipcu zapakowałyśmy się do wozu przeprowadzkowego i wyjechałyśmy, jeszcze zanim dostałam się na studia, zanim znalazłam jakąś pracę. Zależało nam na ogródku i parterowym mieszkaniu ze względu na chorego psa. Cudem udało nam się wynająć takie mieszkanie Żoliborzu. Na szczęście moja dziewczyna miała już nagrany robotę, ja musiałam się trochę pomęczyć z takim ubogim CV, ale w końcu i mnie zatrudnili w korpo. Wzięłam, co mi dali, bo potrzebowałam pieniędzy. Korpo wydawała mi się lepsza niż praca na kasie czy w restauracji. Nie jest to moja praca marzeń, bo zajmuję się rzeczami administracyjnymi w firmie ubezpieczeniowej. Wiem jednak, że to tymczasowe rozwiązanie i że na pewno nie będę tego robić długo.

We wrześniu dostałam się na studia na UW. Byłam zadowolona, bo wszystko poszło zgodnie z planem. Zamieszkałyśmy w zielonej dzielnicy, w fajnym mieszkaniu, obie zarabiałymy dość dobrze. Normalnie można byłoby już zbierać na wkład własny, potem zaciągać kredyt na mieszkanie, kupić auto. No my takich planów wtedy nie miałyśmy i nadal nie mamy. Na kredyt się nie nastawiamy, bo obie jesteśmy przeciwnie zadłużaniu się na całe życie. Nigdy nie rozumiałam osób, które biorą sobie kredyt na trzydzieści albo i więcej lat. W dodatku na mieszkanie w Warszawie, gdzie wiadomo, że płaci się za powietrze i prestiż, a nie za metry. Jak już miałybyśmy coś kupować, to na wsi, w ciepłym kraju, z kawałkiem pola uprawnego, a nie w polskiej betonowej dżungli. No i nie za pieniądze, których nie mamy. Przez to, że moja matka była zawsze zadłużona, postanowiłam, że ja nigdy nie będę taka nieodpowiedzialna. Przecież nie wiadomo, co może się w życiu przydarzyć. Wolę wynajmować i mieć tą wolność, że mogę stąd wyjechać, kiedy chcę, bez żadnych konsekwencji. A chcemy wyjechać i to jak najszybciej! Nie ma co się zakopywać, jak jest się jeszcze młodym. Mogę tworzyć dom w wynajętym mieszkaniu. Oczywiście, przeszkadza mi to, że właścicielka nie pozwala nam wyrzucić mebliścianki, ale to nie jest koniec świata. Moja dziewczyna zrobiła nam kilka mebli, resztę przywiozłyśmy ze sobą z Katowic. Obie czujemy się tu jak u siebie.

W Warszawie od początku wiodłyśmy bardziej odpowiedzialne życie niż w Katowicach. Zamieszkałyśmy same, razem, bez żadnych współlokatorów, ja uniezależniłam

się finansowo od matki, a więc zaczęłyśmy obie zarabiać na własne utrzymanie. Nasz pies chorował, a my jeździłyśmy z nią po weterynarzach na badania, dawkowałyśmy leki, podłączałyśmy jej kroplówki. Kochałam tego psa nad życie. Może to głupio zabrzmie, ale Brenda była jedynym członkiem mojej rodziny, na którym mogłam polegać. Spędziłam z nią trzynaście lat. Uśpiłyśmy ją 30 grudnia 2019 roku, została pochowana w ogródku u moich teściów. To była jedna z najtrudniejszych decyzji, które podjęłam w życiu. Nie wyobrażałam sobie codzienności bez psa, więc szybko zdecydowałyśmy się na nowego zwierzaka. Po kilku wizytach w schronisku zaadoptowałyśmy Mirę, która jest najukochańszym pieskiem na świecie.

Teraz

Bardzo lubię nasz kwadrat. Choć jest trochę peerelowski i wszędzie jest pełno sierści psa. Mam nadzieję, że w przyszłości zawsze będziemy trafiać na takie mieszkania. Ogród jest wybawieniem w czasie pandemii. Lubię leżeć na hamaku i czytać, lubię ucinać sobie krótkie drzemki na świeżym powietrzu, pracować przy roślinkach. Jak się okazało, jestem domatorką. Nie lażę po klubach, wolę wypić dobre wino na kanapie przed telewizorem albo zrobić małą domówkę w gronie znajomych. Czasy imprezowania mam już za sobą. Oczywiście czasem pójdziemy do klubu, ale muzyka musi być odpowiednia. Czyli hity lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, dziewięćdziesiąte i wczesne dwutysięczne też są super, ale dzisiejsza muzyka jakoś mnie nie porusza. Chyba że rap, na to jeszcze mam tolerancję. Moja dziewczyna też nie lubi lazić po klubach. Najwięcej czasu spędzamy razem, ale zdarza się, że zapraszamy do siebie znajomych. Zadajemy się tylko z ludźmi, którzy nie mają problemów z naszą orientacją i naszym sposobem życia. Większość z nich to osoby świadome, mające podobne poglądy do naszych. Myślę, że znajomych heteroseksualnych mamy tyle samo co homoseksualnych. Nie widzę między tymi znajomościami wielkiej różnicy, ale to pewnie dlatego, że zmieniło się moje podejście do relacji. Wcześniej desperacko szukałam akceptacji w oczach innych, chciałam być lubiana, modelując się i wykręcając, tak żeby każdemu się przypodobać. Dziś nie potrzebuję uznania każdego człowieka chodzącego po ziemi. Nie muszę nikomu nic udowadniać. Przez wiele lat płęć miała duże znaczenie w kontaktach z innymi, ale dzięki kilku kolegom, z którymi złapałam nić porozumienia, nie patrzę na mężczyzn tak samo jak kiedyś. Dalej jednak łatwiej mi nawiązywać kontakty z kobietami.

Moich przyjaciół traktuję jak rodzinę, której ja za bardzo nie miałam. Uważam, że więzy krwi nie zobowiązują mnie do niczego. Oceniam rodzinę tak jak innych, niespokrewnionych ze mną ludzi, dlatego nie utrzymuję kontaktu z moimi braćmi, nie odzywam się też do własnego ojca, do matki dzwonię raz na jakiś czas. To są ludzie, którzy przez swoją nieświadomość i ignorancję zadali mi wiele ran. Wszystkim służyłam za worek treningowy, bo byłam najmłodsza i nie potrafiłam się bronić. A tłumaczenie, że nie wiedziało się inaczej, nie jest żadnym usprawiedliwieniem. Bo jak się

nie wiedziało, to trzeba było się dowiedzieć. Najbliższą rodziną jest dla mnie moja dziewczyna i nasz pies, a nie osoby, które są ze mną spokrewnione. Na miano rodziny trzeba sobie u mnie zasłużyć.

Nigdy nie byłam zżyta ze społecznością LGBT+. Nie działałam na rzecz naszych praw, nie angażowałam się w żadne akcje. Choć mam kilku znajomych, którzy są zagorzałymi aktywistami, to nigdy nie dałam się w to wciągnąć. Z moją dziewczyną chodzimy na marsze równości, czasem na jakieś wydarzenia organizowane przez KPH czy Fabrykę Równości, wpłacamy pieniądze. Jedyne aktywizmy, który uprawiałam i uprawiam, to działanie na rzecz zwierząt. Ludzie sobie jakoś poradzą, zwierzęta się nie obronią. Byłabym słabą działaczką LGBT+, bo zupełnie nie wierzę w to, że w Polsce może coś się zmienić. Uważam, że nasza sytuacja jest przegrana, nie dostaniemy tu związków partnerskich ani legalizacji małżeństw, nikt nie chce, żebyśmy adoptowali dzieci. Jedyna partia, która wspiera LGBT+, to Zjednoczona Lewica, która ma tu kilka procent poparcia. Wolę stąd wyjechać niż się w cokolwiek angażować, bo to walka z wiatrakami. Moim zdaniem jako obywatelka Polski powinnam mieć takie same prawa jak inni obywatele. Powinnam móc wziąć ślub z osobą, którą kocham, powinnam móc dzielić z nią majątek i wiedzieć, co się z nią dzieje, kiedy jest w szpitalu, powinnam móc zaadoptować dziecko. Jak nie, to nara, pojedę tam, gdzie będę miała takie same prawa jak inni ludzie. Bo to jest coś, o co nie powinnam walczyć. Niby z jakiej racji? Ja muszę, a inni nie?

Doświadczyłam kilku nieprzyjemnych sytuacji związanych z moją orientacją, chyba jak każda homoseksualna osoba w Polsce, choć zawsze starałam się tego unikać. Nigdy nie wyglądałam jak stereotypowa lesbijka, więc też mało kto o tym wiedział. Starałam się nie pokazywać, że nią jestem. Zawsze kończyło się na przewiskach i obraźliwych uwagach. Nigdy na nie nie odpowiadałam. Kiedyś bardzo to przeżywałam, ale dziś mam to gdzieś. Przez sytuację polityczną w naszym kraju jestem naprawdę zdenerwowana i już mi wszystko jedno, czy ktoś zobaczy, czy jestem homoseksualna, czy nie. Jestem zmęczona ukrywaniem się, biernością i staniem w kącie, podczas gdy politycy mnie odczłowieczają. Nigdy nie czułam się Polką i zawsze za Polskę się wstydziłam. Nie chodzi tylko o podejście do osób LGBT+, ale też o politykę klimatyczną, lekceważenie zagrożeń związanych z globalnym ociepleniem i ogólną nieświadomość społeczną. Urodziłam się w patologii, przeszłam wiele traum, a mimo wszystko staram się żyć świadomie i ekologicznie, jestem weganką, każdego dnia staram się podejmować dobre decyzje, podczas gdy nawet osoby ze środowiska akademickiego mają takie rzeczy w głębokim poważaniu. Przez swoje przeżycia jestem surowa wobec ludzi i podchodzę do nich podejrzliwie. Czuję się tu bezsilna wobec tego ogromu nieświadomości i wygodnictwa. Robi mi się niedobrze, kiedy oglądam wiadomości, kiedy patrzę na tą obłudną elitę, która nie robi nic, aby ratować świat. Mieszkanie tu jest nieznośne i bardzo bolesne.

Podjęliśmy decyzję, że wyprowadzimy się do Danii, a kiedy uzbieramy odpowiednią ilość pieniędzy, kupimy we Włoszech winnicę i założymy tam wegańską agroturystykę. Marzymy o długich podróżach rowerem z naszym psiakiem u boku. No

oczywiście jeśli wcześniej świat się nie skończy. W międzyczasie chcę pisać o ekologicznych podróżach, o życiu osób LGBT+ w Polsce, o globalnym ociepleniu i wegańskim jedzeniu. Dziś to są moje cele, choć nie zapomniałam o swoim dziecięcym pragnieniu. Nadal mam nadzieję, że uda mi się spełnić marzenie tej małej, zagubionej dziewczynki.

Moje życie często dawało mi kopniaka w brzuch, ale pomału się zbieram i nie rezygnuję z marzeń. Oczywiście boję się każdego dnia. Boję się, że zostanę pobita, bo jestem lesbijką i kobietą, boję się, bo moje CV wygląda śmiesznie przy CV innych osób, boję się, że nie dostanę pracy za granicą, że nie nauczę się języka, że nie dam rady. Boję się, że moje studia nie zapewnią mi pracy, bo przecież teraz każdy ma magistra. Boję się, że zachoruje nasz pies, że umrze. Boję się, że moja dziewczyna mnie zostawi, że znów będę sama jak palec, że nikt mnie nie złapie, kiedy znów spadnę w otchłań przeszłości. Boję się wojny, ocieplenia klimatu, przeludnienia i walki o zasoby. Boję się, że zabraknie wody w kranach, że ktoś podpali moją winnicę, której jeszcze nie mam. Boję się, że moje nieistniejące jeszcze dzieci będą musiały walczyć o przetrwanie, że nie dożyją dorosłego życia. Boję się śmierci. Boję się ludzi. Boję się, że stracę wszystko, ale staram się o tym nie myśleć. Dziś jestem szczęśliwa. Mam co jeść, mam gdzie mieszkać, jestem ze wspaniałą dziewczyną, a nasz pies jest przekochany. Mam wystarczająco dużo pieniędzy, żeby spełnić wszystkie potrzeby z nawiązką. Chodzę na terapię i próbuję przerabiać swoje traumy. Staram się pokazywać siebie przy innych, chcę być sobą zawsze, nie tylko przy mojej dziewczynie. Pomału zdejmuję wszystkie maski, które nawarstwiły się przez wiele lat. Nie chcę się już więcej wstydić swojej historii.

Wierzę, że w bardziej tolerancyjnym i rozwiniętym kraju moje życie będzie jeszcze lepsze. Że nie będę czuła już tego strachu i w końcu odetchnę pełną piersią. Że w końcu będę normalna.

Polityka i religia

Ani polityka, ani religia nie grały w moim życiu dużej roli. Wychowałam się w rodzinie niepraktykujących katolików. Choć wiadomo, wszystkie sakramenty trzeba było odhaczyć, no bo tak się powinno robić. W Boga nie wierzę i chyba nigdy nie wierzyłam. Pamiętam, że jako dziecko przed pierwszą komunią miałam jedną spowiedź, po której już nie chciałam chodzić do konfesjonału. Ksiądz mnie opierdzielił z góry do dołu, już nawet nie pamiętam za co. Popłakałam się i ze łzami w oczach odmawiałam pokutę. Dostałam zdrowaśki i jakąś modlitwę, której nie znałam. To było dla mnie tak traumatyczne przeżycie, że nie poszłam do spowiedzi nawet przy bierzmowaniu ani przy dwóch chrztach moich chrześnic. Od polityki też trzymałam się z daleka. Moja matka startowała na radną gminy z ramienia PO i pracowała w komisjach wyborczych, ale w domu nigdy nie rozmawialiśmy o polityce. Wydaje mi się, że w moim domu to nigdy o niczym nie rozmawialiśmy. Temat polityki pojawił się w moim życiu,

kiedy poznałam moją dziewczynę. Ona uważa, że trzeba interesować się wszystkim po trochu i warto wiedzieć, co się dzieje w naszym państwie i na świecie. Przyznałam jej rację. Wiem, co się dzieje w polityce, ale psuje mi to humor, więc teraz świadomie próbuję ograniczać negatywne informacje, które do mnie docierają. Patrząc wstecz i porównując Polskę sprzed kilku lat do Polski pisowskiej, wiadomo – dziś jest publiczne przyzwolenie na ataki wymierzone w LGBT+. Kiedyś było utajone, ale to przyzwolenie było zawsze, niezależnie od rządzącej partii politycznej. Potrzeby i prawa osób LGBT+ były zawsze spychane, nieważne kto rządził. Może jak z polityki odejdą te wszystkie stare pierdy, które są tam tylko po to, żeby zgarniać hajs, to coś się zmieni.

Pamiętnik Łukasza

Ur. w drugiej poł. lat 80. w małym mieście (do 15 tys. mieszkańców), trans mężczyzna. W dzieciństwie mieszkał na wsi, teraz mieszka w Poznaniu.

Jesteś ze wsi, z rozbitej rodziny jesteś babochłopem nikt cię nie pokocha, to słyszałem przez całe dzieciństwo. Gdy teraz myślę o sobie z tamtych lat z czasów dzieciństwa chce mi się płakać, a z drugiej strony myślę dlaczego ludzie są tacy bezduszni i okrutni.

Urodziłem się pod koniec lat osiemdziesiątych w małej polskiej miejscowości. Rodzice byli ze sobą bo tak trzeba a po 3 miesiącach od ślubu ja się pojawiłem. Potem kolejna 3 dzieci i rozwód bo ile można ze sobą żyć z przymusu. Zawsze miałem wrażenie że matka jednak kocha ojca nawet czasem bardziej niż nas a on kochał tylko siebie. Byłem najstarszy z rodzeństwa toteż miałem najwięcej obowiązków wszyscy pokładali we mnie nadzieję chcieli córki mądrej pracowitej posłusznej i starałem się w pełni spełniać te oczekiwania. Wczesne dzieciństwo wspominam dobrze sielsko trochę na głębokiej i religijnej wsi gdzie nie ma telewizji i wszystko kręci się wokół kościoła i świąt. Dużo czasu spędzałem na dworze bawiłem się w co chciałem ubierałem jak chciałem i dopiero kiedy matka wysłała mnie do szkoły spostrzegłem że coś ze mną nie tak. Moje dresy nie podobały się dziewczynka zabawy w wojnę czy gra w piłkę budziły niechęć koleżanek, chłopcy wyśmiewali mnie że chcę być jak oni że wyglądam i zachowuję się jak chłopak chociaż jestem dziewczyną. To były złe czasy cała szkoła podstawowa niekończące się szykany i wyśmiewanie dręczenie i przemoc fizyczna. Pamiętam kiedy kuzyn wracając ze szkoły nazwał mnie babochłopem i uderzył w brzuch. Płakałem wracając ze szkoły miałem może 9 lat i już wtedy chciałem umrzeć. Ludzie zastanawiają się dlaczego dzieci popełniają samobójstwa? Mnie przy życiu w tamtych czasach trzymało tylko rodzeństwo odpowiedzialność za nich. Matka po rozwodzie załamała się zaczęła pić. To dobijało mnie jeszcze bardziej, ale miałem cel wyrwać się z tego życia. Czasem bałem się iść do szkoły wejść do autobusu pełnego prześmiewczych uśmiechów i głupich tekstów. Dzieci

wytykały mnie palcami. Ktoś ze starszych dzieciaków powiedział że wyglądam jak babochłop wszyscy wybuchali śmiechem. Dlatego ze wszystkich sił starałem się być niewidoczny nic nie mówić znikać w tłumie być nikim. W tym czasie miałem również dwóch najlepszych kolegów. Jeden syn kolegi rodziców dobry chłopak szanował mnie i lubił takiego jakim byłem. Drugi był traktowany przez rówieśników podobnie jak ja i w wieku 17 lat powiesił się w stodole. Trzymaliśmy się razem przez całą podstawówkę i gimnazjum, przy nich byłem prawdziwy realny normalny nie wytykali mnie palcami i nie osądzali. W gimnazjum zauważyłem że podobają mi się dziewczyny nie wiedziałem jak to sobie wytłumaczyć, z jednej strony czułem się chłopcem uwięzionym w ciele dziewczyny a z drugiej strony może mi się wydaje może po prostu jestem lesbijką? Bałem się odrzucenia po raz kolejny przez ludzi nic nikomu nie mówiłem wymyślałem historię o chłopaku w którym się kocham z którym chodzę na randki. A ja w snach wyobrażałem sobie że rodzę się jako chłopiec i mam żonę dzieci dom pracę... Podkochiwałem się w koleżance z klasy ale ona widziała we mnie jedynie powiernicę swoich sekretów. W tym czasie zmarła moja babcia która jako jedyna pomagała matce w wychowaniu dzieci i zostałem sam z masą dodatkowych problemów. Po powrocie do domu zajmowałem się zakupami sprzątaniami lekcjami. Jak matka piła to i gotowaniem a po wszystkim czytałem książki i wyobrażałem sobie że jestem ich bohaterem silnym beztroskim i przystojnym. Czasem kiedy wieczorem leciał film o tematyce LGBT chowałem się w pokoju przyciszałem maksymalnie TV i oglądałem z wypiekami na policzkach. To były moje chwile radości których nikt nie mógł mi zabrać. Do technikum poszedłem z własnej woli. Wszyscy z klasy gimnazjum szli do liceum a ja chciałem się od nich uwolnić i zacząć wszystko od nowa. Codziennie do szkoły chodziłem 5 km w jedną stronę. Ale tak się cieszyłem że tam chodzę że nawet mróz i śnieg mi nie przeszkadzał. Woląłem iść tam z gorączką niż zostać w domu pełnym chłodu i potępienia. Moje życie zaczęło się zmieniać na lepsze zostałem przewodniczącym klasy a potem szkoły ludzie zaczęli mnie szanować pozdrawiać rozmawiać. Chociaż nadal siedziałem w szafie. Wieczorami chodziłem po ulicach ubrany jak chłopak i modliłem żeby nikt mnie nie zaczepił. Miałem grono koleżanek które lubiły spędzać ze mną czas a ja odprowadzałem je do domu przynosiłem kwiaty komplementowałem. Czułem się jak normalny facet. Czytałem wtedy dużo książek o homoseksualizmie wszystkie artykuły całą prasę która była w bibliotece publicznej. Do szkolnej biblioteki nie chodziłem bałem się że ktoś się dowie. Tak minęły 3 lata technikum ekonomicznego. W ostatnim roku przyznałem się przyjaciółce że wolę dziewczyny, nie była zdziwiona. Poczulem się pewniej. Poczulem się lepiej ale nadal coś we mnie tkwiło dręczyło sny ciągle się pojawiały widziałem w nich faceta. Nie miałem z kim w tamtych czasach porozmawiać. Myślałem że bycie mężczyzną jest dla mnie nieosiągalne. Takie rzeczy dzieją się tylko w amerykańskim kinie. A tu w Polsce? U mnie na wsi? Byłem załamany jak mam żyć kim być? Czułem się udręczony.

Dopiero pójdzie na studia wyzwoliło mnie, nowe życie nowy ja. Nowi znajomi akceptowali mnie takim jakim byłem, miałem dziewczyny. Zaczęły się imprezy nikt

nie patrzył na mnie dziwnie, nie dręczył psychicznie. Na studiach poznałem wielu ludzi podobnych do mnie wyrzutek którzy ukrywali się w wesołym tłumie studentów, gejów, lesbijki, osoby trans. Byłem pierwszy raz zadowolony, ale ciągle coś w środku dręczyło mnie i doskwierało. Pamiętam ten dzień jak najlepsze urodziny. Oglądałem bzdurne filmiki ze znajomymi w akademiku. Dzień był deszczowy, a ja siedziałem na łóżku z dziewczyną i przypadkiem trafiłem na filmik o Nim. Uczestnik reality show wyznaje przed kamerami że był kobietą. Szok siedziałem jak osłupiały jakbym pierwszy raz po kilku latach odosobnienia usłyszał ludzki głos. Wtedy zrozumiałem, że jestem jak on, że żyję nie swoim życiem i w środku jestem mężczyzną. Patrzyłem na tego przystojnego, umięśnionego gościa i nie wierzyłem, że jest naprawdę. Długo bałem się powiedzieć to mojej dziewczynie. Kilka tygodni trwało zanim nabrałem odwagi, ale przyjęła tą informację dość dobrze. Powiedziała że będzie mnie wspierać. Bałem się nieco co teraz jak zacząć skąd wziąć pieniądze? W Internecie znalazłem stronę i forum, gdzie ludzie tacy jak ja mówili od czego zacząć, jak wygląda cała procedura, gdzie mam się udać po pomoc. Przeczytałem wszystkie posty w jedną noc. Oglądałem filmy o tematyce trans, pochłaniałem książki. Chciałem wiedzieć wszystko żeby przygotować się jak najlepiej do całego procesu. Byłem taki podekscytowany mojej radości nie było końca. Najpierw seksuolog. Poszedłem do tego samego co bohater Reality show był w Poznaniu na miejscu, miał dobre opinie – zaryzykowałem. Rozmowa z nim nie była przyjemna wręcz odstraszała czułem się bardziej jak zwierzę z setką durnych i intymnych pytań. Badanie psychologiczne, potem lekarz prowadzący, tym razem trzeba było jechać aż do Warszawy, dla mnie dzieciaka z małej wioski była to wyjątkowo długa podróż. Jednak lekarz okazał się sympatyczny i bez większego problemu otrzymałem pierwszą receptę święty gral każdego transa. Szedłem z nią do apteki jak z najcenniejszą relikwią w końcu będę sobą. Zmiany nadchodziły powoli najpierw głos potem wąsy broda. To był najgorszy okres. Ludzie patrzyli podejrzliwie nie wiedząc jak mają się do mnie zwracać. Gdy wyciągałem dokumenty na stare dane w sklepie albo na uczelni patrzyli z politowaniem jakbym był ciężko chory albo niepełnosprawny. Przybrałem na masie chodziłem na siłownię. Wtedy zdecydowałem powiedzieć rodzicom wszak muszę ich pozwać w sądzie jeśli chcę zmienić dowód. Źle to przyjęli matka płakała ojciec wyrzucił mnie z domu. Czuję się fatalnie źle czuję się winny. Widziałem ich po roku później trochę bardziej pogodzeni z rzeczywistością ale ciągle nieufni i sfrustrowani moja wizytą. Matka kazała mi się ukrywać przed sąsiadami, żeby nie gadali. Kiedy wychodziłem z psem i szedłem wiejską drogą ludzie wychodzili z domów żeby sobie na mnie popatrzeć. Wtedy zrozumiałem że ze mną jest wszystko w porządku. To ludzie w Polsce są negatywnie nastawieni do każdego kto jest trochę inny. W sądzie załatwiałem wszystko sam, rodzice nie pojawili się. Nocą jechałem z narzeczoną do Wrocławia 5 min i po sprawie. Zadzwoniłem, powiedziałem załatwione. Matka rozłączyła się. Kolejne miesiące ciszy. W tym czasie załatwiłem dowód i pierwszą operację – mastektomię. Kolejne wizyty u lekarze tłumaczenie po co mi skierowania i badania. Kiedy ściągałem koszulkę czułem

ich skrepowanie. Czasem pytali po co to robię. Rodzina nie odwiedziła mnie w szpitalu nawet. Na sali zaprzyjaźniłem się z chłopakiem, któremu powiedziałem że mam deformację klaty, nie cierpiał LGBT wyrażał się z pogardą. Mogłem liczyć jedynie na narzeczoną, która w niedługim czasie zgodziła się zostać moją żoną. Znalazłem pracę najpierw fizyczną potem w sklepie jako doradca, szybko awansowałem na menadżera. Zaczął się nowy rozdział mojego życia i wreszcie czułem się spełniony. Rodzice odezwali się po roku, ale i tak mam z nimi słaby kontakt. Może po prostu nie chcę mieć wokół siebie toksycznych ludzi. Przyjaciół straciłem wielu. Najlepsza przyjaciółka ze szkoły średniej nie chciała mnie znać. Zyskałem nowych. Poznałem chłopaków podobnych do mnie miałem z kim pogadać wyżalić się poradzić. Teraz zmieniłem miasto mam nową pracę. Nikt nie wie kim jestem, nie domyśla się nawet a ja żyję życiem normalnego faceta męża ojca zięcia i jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Czasem kiedy widzę młodych transów z mojego miasta na forach, staram się pomagać im. Czasem wychodzę z nimi pogadać. Widzę zaszczutych przez społeczeństwo i medialną propagandę młodych bezbronnych ludzi i myślę sobie że kiedyś byłem taki jak oni.

Ada Łaniewicz

Pamiętnik lesbijki z powiatowego miasteczka

Ur. w 1960 r. w mieście powyżej 50 tys.
(dzisiejsze województwo łódzkie),
cis kobieta, lesbijka, mieszka w dużym mieście.

Trudno zacząć pisanie, gdy się wie, że całe życie zawrzeć trzeba na kilkunastu, może kilkudziesięciu stronach. Tymczasem pod koniec roku skończę 60 lat i trochę przez ten czas się zdarzyło. Zatem, zaczynam.

Moje dzieciństwo toczyło się w ponurych latach 60. Nie mogłam wówczas wiedzieć, że to lata opresji, gomułkowskiej Polski siermiężnej, muru oddzielającego nas od innego świata itd. Byłam pierwszym dzieckiem młodych rodziców, którzy nie mieli nic oprócz siebie i swojej miłości. Oboje z biednych rodzin w małym miasteczku. Zdali matury. Zaczynali dorosłe życie. Mama przez 2 lata próbowała studiów w Poznaniu. Przez rok była studentką medycyny, ale ta okazała się dla niej zbyt ciężka. Ojciec słał miłosne listy. Wróciła. On, tryskający energią, piłkarz po zawodówce. Szybko zrobił też maturę, a gdy kończyłam II klasę podstawówki, on kończył zaoczne studia na politechnice. Mama studiów nie skończyła. Przepracowała całe życie jako urzędniczka w lokalnym ratuszu. Oboje byli członkami PZPR, ale ciężko byłoby ich nazwać aparaczykami. Ot, młodzi, słabo wykształceni ludzie, którzy chcieli się trochę uczyć, mieć trochę lepszą pensję i życie. Awans społeczny zawdzięczali socjalizmowi, wyrastali w nim i ani się nie buntowali, ani nie gloryfikowali tego ustroju. Z dzieciństwa pamiętali II wojnę światową i to był dla nich najbardziej dramatyczny moment polskiej historii.

Dzieciństwo miałam spokojne, bezpieczne i radosne. Na pewno byłam otoczona miłością. Rodziców i dziadków (za strony mamy). Nikt mnie nigdy nie molestował, nie bił. W domu nie było przemocy. Ojciec z czasem coraz więcej pił, ale o tym opowiem później. Do podstawówki wychowywała mnie w zasadzie babcia, która sama

nie pracowała. Po trzeciej „przedszkolnej” próbie, mama zrezygnowała. Każdego dnia prowadziła mnie do babci, a tam stara przedwojenna kamienica i jej podwórko były całym moim światem. Babcia była półsierotą i półanalfabatką. Ledwo czytała, a nie miała wyjścia i musiała czytać mi na głos książki. Mimo braku wykształcenia miała dużo talentów, sporo wewnętrznej siły i pewien rodzaj charyzmy, który sprawiał, że w bliższej i dalszej rodzinie cieszyła się dużym autorytetem i szacunkiem. Jako dziecko po prostu ją uwielbiałam. Ona zaś zachłannie wykorzystywała naszą relację. Pracująca mama nigdy nie miała ani wówczas, ani już w późniejszym czasie tak bliskich relacji ze mną. Ojciec tradycyjnie nie wtrącał się do mojego wychowania. Nie wiem, czy tak mu było wygodnie, czy został przez babcię spacyfikowany. W każdym razie role w rodzinie były dość tradycyjnie podzielone. Owszem, gdy byłam starsza, ojciec chciał przelać na mnie swoje pasje. Uczył, a raczej próbował mnie nauczyć tego, co i jemu sprawiało przyjemność: żeglarstwo, narty, pływanie. Zabierał mnie na piesze rajdy górskie, gdzie zazwyczaj był królem towarzystwa. Wszystko to sprawiało bardziej przyjemność jemu niż mnie. Wszystkiego popróbowałam, ale przyznam, że mój ojciec w roli nauczyciela czegokolwiek kompletnie się nie sprawdzał. Dobrze, że to nie on uczył mnie jazdy samochodem, bo pewnie nigdy nie zrobiłabym prawa jazdy. A zrobiłam dość wcześnie, bo jeszcze przed maturą. Chodziło o to, bym mogła służyć za kierowcę, gdy on, już po kielichu, nie mógł usiąść za kółkiem.

Rodzice sporo czytali, ale były to lektury raczej lekkie. Mama kupowała ambitniejsze książki, z serii „Nike”, ale mam wrażenie, że raczej kolekcjonowała je w bibliotece. Ojciec mógł dziesiątki razy wracać do „Ogniem i mieczem” lub „Winnetou”. Posiadał fantastyczną umiejętność bardzo szybkiego czytania, której niestety nie odziedziczyłam po nim. W domu były też gazety. Przynosiła je mama. Z „Przekroju” czerpałam pierwszą wiedzę o teatrze, modzie, podróżach. Nie było wspólnych wyjść czy wyjazdów do kina lub teatru. Owszem, pamiętam jakiś teatrzyk kukiełkowy, na który zabrała mnie mama. Pamiętam wizytę w cyrku. To już z ojcem. Ale pamiętam też koncerty, bo dzięki mamie, która jako urzędniczka „od cenzury” otrzymywała darmowe zaproszenia na występy artystów, którzy odwiedzali nasze miasto, oglądałam „na żywo” pięknych panów i piękne panie znane z telewizora.

Ojciec był zapalonym sportowcem i kibicem. Zabierał mnie na treningi. Byłam szczęśliwa i dumna. Kilkudziesięciu dorosłych facetów biegalo za jedną piłką po boisku, a ja, mała dziewczynka, w tym samym czasie miałam taką samą piłkę tylko dla siebie i kopałam ją na bieżni obok.

Moi rodzice byli raczej biedni, ale po troszeczkę się dorabiali. Na pewno nigdy nie chodziłam głodna z tego powodu, że brakowało jedzenia, czy na jedzenie. Mama twierdzi, że miałam dwie spódniczki, które na zmianę prała, żebym zawsze była czysta. Było jej przykro, że nie może mnie ładniej ubierać, ale dla mnie wówczas to nie był problem. Dostawałam zabawki i to takie, jakie chciałam. Były dwie lalki, w tym jedna „zagraniczna”, z paczki od ciotki z RFN. Ta „ciotka” to babci niemiecka przyjaciółka z czasów przed wojną, która przez jakiś czas przysyłała nam paczki, a w nich towary budzące zachwyty: pomarańcze, kolorowe papierki, w które owe pomarańcze

były zawijane, masło orzechowe, błyszczące ozdoby na choinkę i lalka mrugająca oczami z kompletem ubranek. Lalka była ok, ale chyba bardziej przywiązana byłam do misia robiącego za lemura. Lemur to była moja ulubiona postać z książki „Awantura o lemura”, do czytania której przymuszałam wciąż babcię. Pluszowego lemura w tamtych czasach nikt nie produkował, więc niewielki, dość szkaradny misiek robił za lemura. Poza tym miałam też czerwonego mercedesa z napędem na tylne kółka. Zdaje się, że to była dość droga zabawka. Pamiętam radość – moją i rodziców – gdy kupili mi... szablę. Była mocowana na jakichś paskach na biodrach i ramieniu. Chyba o niej marzyłam i w końcu dostałam. Potem był plastikowy pistolet na strzałę, a mama z wyprawy do sanatorium, gdy miałam 7-8 lat przywiozła mi pistolet na kapiszony. To już był rarytasik. Zatem rodzice nie ograniczali mnie do „dziewczęcych” zabawek. Pod tym względem było, jak chciałam. Dziś można powiedzieć, że „genderowo”. Ojciec, zanim się urodziłam, liczył raczej na syna, cieszyły go więc moje upodobania do męskich zabaw. Wspólnie uwielbialiśmy oglądać „Bonanzę” i „Zorro”. On miał chyba takie podejście, że im więcej nabędę umiejętności i sprawności typowo męskich, tym łatwiej będzie mi w życiu jako kobiecie. Pamiętam, że jako dość małą dziewczynkę uczył mnie, jak kopnąć boleśnie w łydkę, gdy ktoś mnie zaatakuje.

Moja rodzina była dość tradycyjna. Mama całe życie pracowała zawodowo, a po pracy zajmowała się domem. Ojciec, mimo że sam skończył studia, nie motywował mamy do tego, by po odchowaniu mnie też zaczęła studiować. On po pracy realizował swoje przyjemności i pił wódkę z kumplami. Ona była troskliwa, kochająca i dbająca o mnie i w ogóle o organizację domowego życia. Mimo że czułam ogromną miłość mojej mamy i jej opiekę, nigdy się z nią nie zaprzyjaźniłam, nie stała się moją powiernicą. Nie mam pojęcia, co by się stało, jak potoczyłoby się moje życie, gdybym w wieku np. 16 lat powiedziała: mamo, ja chyba wolę kobiety, może jestem lesbijką? Z perspektywy czasu, cieszę się, że w latach 70. ubiegłego wieku nie zawierzyłam tej tajemnicy rodzicom. Myślę, że oni wówczas kompletnie nie byli gotowi na taką wiedzę i nie potrafiliby mi pomóc. Być może nawet wyrządziliby mi mimowolnie krzywdę.

Przez 9 lat życia byłam jedynaczką. Marzyłam o starszej siostrze, ale pojawił się młodszy brat. Póki się nie urodził, bardzo się cieszyłam, że będę miała rodzeństwo. Pamiętam upalny lipiec 1969 r. Rodzice obudzili mnie nad ranem, ok. 3-ej. Chcieli, żebym i ja zobaczyła historyczny moment lądowania człowieka na księżycu. Mama poprosiła mnie, żebym usiadła blisko niej i się przytuliła, bo nie mogła wziąć mnie na kolana. Na kolanach spoczywał jej ciężarny brzuch. Po trzech tygodniach na świecie był już brat.

Bardzo źle się chował. Wciąż płakał. Nie chciał jeść. Każde karmienie, przewijanie, jakakolwiek czynność, to były lzy i wrzaski. Mama chodziła przemęczona. Pomagała babcia. Ojciec? Żył swoim życiem. Oczywiście kochałam braciszka. Choć podobno bywałam o niego zazdrosna. Z czasu, gdy był niemowlakiem, został mi uraz do dzieci i przeświadczenie, że odchowanie dziecka to męka i brak czasu na cokolwiek innego. Do momentu opuszczenia rodzinnego domu i wyjazdu na studia miałam z bratem bardzo dobry kontakt. Wiele czasu spędzaliśmy razem. Oczywiście dominacja starszej

siostry go nie ominęła. Były też momenty grozy. Mało nie stracił życia, gdy rzuciłam w niego „Akademią pana Kleksa” w twardej okładce. Lubiłam go przytulać i całować. Był taki delikatny i miły w dotyku. Ta więź się skończyła, gdy pojawiła się w jego życiu dziewczyna, potem żona. Przez ponad 20 lat miałam z nim bardzo powierzchowny kontakt. Poprawiło się dopiero po jego rozwodzie.

Ośmioletnia podstawówka minęła normalnie. Wydaje mi się, że tamta szkoła i tamci nauczyciele nauczyli mnie najwięcej, choć i tam zdarzały się pedagogiczne pomyłki. Miałam fajną klasę z dość dużą ilością inteligentnych, bystrych dzieci. Bywały z nami kłopoty wychowawcze, ale bez przesady. Przez całą podstawówkę nie miałam bliskiej koleżanki. Nigdy z żadną nie stanowiłam tzw. papużek nierozłączek. Zawsze byłam trochę z boku. Z początku to był brak uspołecznienia, wynikający z tego, że nie chodziłam do przedszkola. Później, to zapewne świadomość, że jestem trochę inna od reszty sprawiała, że byłam lekko wycofana. Lubiłam obserwować ludzi z boku. Tak mi zostało.

Byłam szczęśliwym dzieckiem z pokolenia wychowywanego bez telewizora. Do czasu. W II klasie podstawówki, gdy mama wyjechała na jakieś szkolenie, ojciec wziął mnie do sklepu i kupiliśmy telewizor, Atol. To miał być prezent dla mamy, ale był głównie dla niego. Z czasem uzależnił się kompletnie od TV. Ten pierwszy telewizor, czarnobiały, popsuł się po kilku dniach. To na jego ekranie zobaczyłam piosenkarkę, Halinę Kunicką. I to była miłość, oczarowanie i fascynacja na lat kilkanaście.

Muszę poświęcić temu wątkowi nieco więcej czasu, bo mam świadomość, że uczucia, jakie żywiłam do Kunickiej, ukształtowały moją wrażliwość, estetykę, zamiłowania, a w końcu uświadomiły mi, że kocham kobiety.

Halina Kunicka jest rówieśniczką mojej mamy. Może fascynacja jej osobą wyniknęła z podświadomej tęsknoty do pięknej, idealnej, popularnej matki? Nie umiem tego ocenić, powiązać. Mogę za to z całą pewnością stwierdzić, że Halina Kunicka była pierwszą kobietą, którą pokochałam. Była moim żeńskim ideałem. Przez pierwszych kilka lat znałam ją tylko z ekranu TV i oczywiście śpiewanych piosenek. Znałam je wszystkie. Kupowałam kolejne jej płyty. Wyprosiłam od rodziców najpierw gramofon, a później (już jako nastolatka) magnetofon. Gdy dostałam pierwszy kasetowy magnetofon... popłakałam się ze szczęścia. W każdej sobotniej gazecie przeglądałam uważnie program TV na cały tydzień i wyszukiwałam, kiedy może występować. To było moje święto. Po jakimś czasie moje uwielbienie skutkowało tym, że znałam autorów i autorki piosenek, które śpiewała Kunicka, wiedziałam, dla kogo i co piszą, komponują. Zaczęłam czytać recenzje teatralne, które pisał do „Przekroju” L. Kydryński, mąż Kunickiej. Nie mogłam być na tych przedstawieniach, ale wiedziałam, które teatry odwiedzał wspólnie z żoną. Poznawałam więc repertuar tych teatrów, znałam ich adresy, dyrektorów i zespoły aktorskie. Gdy Kunicka sięgnęła po repertuar polskich poetów, przeczytałam wiersze Leśmiana, Broniewskiego, Brylla. Dzięki niej, gdy powiedziała mi (to już, gdy byłam na studiach), że czyta „Lęki króla Salomona” E. Ajara, natychmiast wchłonęłam całą twórczość Romaina Gary, itd.

Chyba w liceum zaczęłam pisać do niej listy. Moja radość, gdy odpisała na jeden z nich, sięgała zenitu. W euforii chodziłam z tydzień lub dłużej. Zbierałam nie tylko płyty, ale i wycinki prasowe, zdjęcia, a okładka jednej z płyt była przez parę lat zatknięta za szybą biblioteczki, bym w każdej chwili mogła podnieść oczy i patrzeć w Jej piękne oczy.

Kunicka była wyidealizowanym bóstwem. Mogę powiedzieć, że myślałam o Niej z czcią i nigdy nie traktowałam jako podmiotu erotycznych westchnień. Nigdy też nie przyznałam się Jej, że jestem lesbijką, choć miałam okazję wielokrotnie z Nią rozmawiać. To trwało naprawdę nieprzyzwoicie długo, bo jeszcze w trakcie studiów.

Uczucie do artystki, która była poza moim zasięgiem sprawiło, że kolejną miłość do kobiety przyjąłam jak coś naturalnego. W każdym razie nie zdziwiłam się, że znów padło na kobietę, a nie mężczyznę. Sytuacja banalna, bo tym razem była to nauczycielka i wychowawczyni w I klasie liceum.

Uczyłam się dobrze. Najłatwiejsza była dla mnie matematyka. Lubiłam chemię i biologię. Robiłam za to skandaliczne błędy językowe. Nie lubiłam nudnej historii, pełnej wojen i wodzów, oraz prac ręcznych. W młodszych klasach wszystkie prace na drutach, szydełku, z igłą w rękę wykonywała za mnie babcia. Były cudnie dopracowane i nauczycielka wiedziała, że to nie moje dzieło, więc dostawałam tróje za to tylko, że praca była wykonana. Najbardziej nienawidziłam jednak nauki języków obcych. Wbijanie słówek do głowy szło mi wyjątkowo opornie.

Los sprawił, że w liceum nie przyjęto mnie do klasy matematyczno-fizycznej, do której składałam podanie (nie było wówczas egzaminów, tylko konkurs świadectw), ale do klasy z rozszerzonym programem języka rosyjskiego. W latach 70. ubiegłego wieku język rosyjski to był obciach i nikt nie chciał się go uczyć. Klasę – w dodatku żeńską – dyrektor szkoły, erotoman, alkoholik i seksista utworzył, by przypodobać się Komitetowi Wojewódzkiemu PZPR. Wychowawczynią została młoda, energiczna rusycystka. Wpadała do klasy i przez 45 min. biegała po niej mówiąc do nas wyłącznie po rosyjsku. Nie od razu mi się spodobała. Początkowo nawet jej nie lubiłam. Bałam się jej, z trudem uczyłam się z lekcji na lekcję. W końcu jednak sytuacja się odmieniła. Jest teoria, która mówi, że uczeń czy się chętnie, gdy lubi nauczyciela. Zaczęłam się więc uczyć tego rosyjskiego jak szalona. Po półtora roku swobodnie wysławiałam się w tym języku. Niestety, wówczas moja wychowawczyni zaszła w ciążę, urodziła córkę i... nie wróciła już do naszej szkoły.

To kolejne uczucie wciąż jeszcze nie zapaliło mi lampki w głowie. Jego plato niczność, niewinność, tak jak w przypadku H. Kunickiej, wydawało mi się czymś naturalnym. A że była to ponownie kobieta? Wyjaśnienie było proste. W starszych kobietach szukałam wciąż siostry, której nie miałam. Koleżanki, rówieśniczki kompletnie mnie nie interesowały. Jednocześnie czułam, rozumiałam, że z moją miłością do Kunickiej, potem do wychowawczyni, nie powinnam się obnosić. Zauroczenie Kunicką przyszło w wieku 8-9 lat. Od tego czasu wszyscy wiedzieli, że to moja ulubiona piosenkarka. Jednak w tamtych czasach takie fascynacje były czymś naturalnym. Dziewczyny miały grube zeszyty z wycinkami i zdjęciami swoich ulubionych

aktorów, aktorek, piosenkarek i piosenkarzy. Mniej więcej w wieku 14 lat odkryłam, poczułam, że Kunicka to moja miłość. I chyba od tego właśnie momentu zaczęłam wieść – w pewnym sensie – podwójne życie. Mogłam zachwycać się głośno Kunicką, jej piosenkami, kreacjami, ale nigdy nikomu nie zwierzyłam się, że Ją kocham. Gdy w moim życiu pojawiła się fascynacja wspomnianą wychowawczynią, nie było mowy, bym o tym uczuciu z kimkolwiek rozmawiała. To była moja najgłębsza tajemnica, która uświadamiała mi wówczas tylko to, że jestem trochę inna od moich rówieśniczek, klasowych koleżanek.

Słowo lesbijka było tajemnicze, ekscytujące. Nie wiem, gdzie i kiedy po raz pierwszy je usłyszałam. Przeczytałam za to w encyklopedii zdrowia, która była w domu. To była jednak jakaś odległa egzotyka. Nikt nie spotykał na ulicach lesbijek ani gejów. Zresztą w czasie, gdy chodziłam do podstawówki i liceum, nie używano się słowa gej. Być może gdzieś żyli, ale nie w moim mieście. A jednak? Kiedyś usłyszałam, jak mama mówi o jakiejś kobiecie, którą znała, że jest „właśnie taka” i że mieszka z inną kobietą. Nadstawiłam uszu, ale niczego więcej się nie dowiedziałam. Po jakimś czasie mama w rozmowie z kimś mówiła, że się „takich brzydzi”. Mowa była o lesbijskach. Od tego czasu wiedziałam na pewno, że nie będę się dzieliła z moją mamą wiedzą na temat moich uczuć i fascynacji. Tak dotarłam do końca liceum.

Liceum to był też czas pierwszych randek. Wydawało mi się wówczas oczywiste, że pojawi się w moim życiu chłopak, mężczyzna, którego pokocham. Taka była naturalna kolej rzeczy. Wszystkie filmy i książki, jakie znałam, były o tym. Sądziłam więc, że i ja kiedyś wyjdę za mąż, będę miała dzieci, a raczej jedno dziecko. Miałam nawet wybrane dla nich imiona. Córka – Halina, co oczywiste, po Kunickiej. Syn – Boromeusz. To było imię jednego z bohaterów książki mojego dzieciństwa, „Kuba znad Morza Emskiego” Natalii Rolleckkowej. Oczywiście liczyłam, że to będzie córka. Co do ideału mężczyzny, w tamtym czasie nie miałam sprecyzowanego gustu. Podobał mi się np. Roger Moore, ale chyba raczej postaci, które odtwarzał, a nie on sam.

Tymczasem w I klasie pojawił się... K. Był synem jednego z moich nauczycieli. Miał tak jak ja krzywe zęby i był dość nieśmiały. Przychodził po mnie w niedzielę po obiedzie i szliśmy na spacer. Nie wiem, ile czasu to trwało, ale chyba nie za długo, bo on miał w maju maturę i musiał się uczyć. Potem brał udział w rejsie, z którego dostałam jedną czy dwie kartki, a potem wyjechał na studia i tyle. Chyba spacerowaliśmy trzymając się za ręce, ale się nie całowaliśmy. To, że zniknął z mojego życia, przyjąłam z ulgą. Nie zdziwiłam się, że serce mocniej mi nie zabiło. Cóż, to był pierwszy chłopak. Na uczucie miałam jeszcze czas.

Kolejnego poznałam dzięki Dorocie, koleżance z ławki. Byłyśmy ze sobą dość zżyte. Ona bywała u mnie w domu, ja u niej. To ona pożyczyła mi „Klaudynę” Colette. Uwielbiałam zadziorność Klaudyny, a lesbijskie wątki tej książki doprowadzały mnie do kołatania serca. Zaczytywałyśmy się „Klaudyną” podczas szkolnych przerw. To była taka nasza dziewczynska fascynacja.

D. nie miał z nią nic wspólnego. Znał się z Dorotą od najmłodszych lat, bo ich rodzice się przyjaźnili. Poznałam go właśnie u niej. Zaczęliśmy się spotykać. I znów

tylko spacer, trzymanie się za ręce, pocałunki w policzek. Nie mogłam zaprosić go na studniówkę, bo dyrektor wymyślił, że dziewczyny mogą przychodzić na studniówkę jedynie z uczniami lub byłymi uczniami naszej szkoły. D. chodził do liceum elektrycznego. Żeby „ktoś taki” mógł przyjść na bal, trzeba było specjalnej zgody dyrektora. To było poniżej mojej godności. Pamiętam, że w dniu studniówki poszliśmy z D. do kina na „New York, New York”. Liza Minnelli była wtedy w szczytowej formie, warta tysiąca studniówek.

Jako mężczyzna D. mi się nie podobał. Szybko zorientowałam się, że nic do niego nie czuję. Nie chciałam mu jednak tego mówić. Nie miałam odwagi. Wiedziałam, że go żartuję. Po maturze mieliśmy popłynąć we czwórkę w 10-dniowy rejs Wisłą. Na pokładzie nasza dwójka, jego przyjaciel i siostra. Szczęśliwie dla mnie moja mama wówczas zachorowała. Miała operację ginekologiczną. Biegałam do szpitala. Miałam pretekst, by nie płynąć. D. się zmarwił, ja poczułam ulgę. Po latach pomyślałam, że pewnie rozpoczęlibyśmy tam współżycie, które mogło się skończyć źle, czyli ciążą, a ciążę na pewno bym usunęła. Poza tym, kompletnie nie miałam ochoty na seks z D. Sama myśl o tym mnie brzydziła.

Gdy byłam w klasie maturalnej, Michalinie Wisłockiej udało się opublikować „Sztukę kochania”. Mama miała znajomości w księgarni. Kupiła mi książkę i jednocześnie pozbyła się obowiązku tłumaczenia skomplikowanych relacji damsko-męskich oraz metod antykoncepcji. Przestudiowałam „Sztukę kochania” pilnie. To była niezbędna wiedza przed wejściem w dorosłe życie i opuszczeniem domu rodzinnego.

Studiowaliśmy z D. w różnych miastach. Nasze kontakty mocno się ograniczyły. Nawet przyjeżdżając do rodzinnego miasta, często się mijaliśmy. Jego pochłonęła studencka aktywność, co przeplacił gruźlicą. Później w jego rodzinie mówiono, że zostawiłam go z powodu tej gruźlicy, tymczasem ja odwiedzałam go w szpitalu i cieszyłam się, że z powodu choroby nie możemy się całować.

Był stan wojenny. Listy w obu kierunkach przychodziły ocenzurowane. Pisało się wtedy często. Nigdy nie skłamałam i nie napisałam mu, że go kocham. Podczas jakiegoś spotkania, D. zaczął snuć plany na przyszłość. Mówił mi, że ma sztabkę złota, która zostanie przerobiona na obrączki. Ślub weźmiemy po studiach, wcześniej będą zaręczyny. Ta wizja mnie przeraziła. Po pierwszym, dość ciężkim roku studiów w trakcie stanu wojennego, myślałam o tym, że czas zacząć żyć, poznawać, próbować, smakować, a ktoś chce mnie sprowadzić do roli narzeczonej, a potem żony? Wytycza ścieżkę, po której mam stąpać, tymczasem ja nie wiem jeszcze, jaką ścieżkę wybiorę. W tym czasie zaliczałam praktyki w jakiejś zapadłej wsi. Stamtąd wysłałam list do D. z informacją, że z nim zrywam. To tam zjawił się najszybciej jak mógł. Usłyszał ode mnie to, co wcześniej przeczytał. Cierpiał. Poważnie się rozchorował. Też cierpiałam wiedząc, że go skrzywdziłam. Poczułam też jednocześnie ogromną ulgę. Byłam wolna. Mogłam szukać dalej swojej drogi. Po kilku latach dowiedziałam się, że D. znalazł dziewczynę. Wzięli ślub. Mają dwoje dzieci. Ucieszyłam się. Mieszkamy daleko od siebie. Od tamtego czasu widzieliśmy się zaledwie kilka razy. Któregoś razu, podczas spotkania, o które poprosił, powiedziałam mu, kim jestem i że cieszę się, że tak się

skończyło, bo mogłam go dużo bardziej skrzywdzić. Nasze małżeństwo na pewno by się rozpadło. Nie był zszokowany. Mam dowody na to, że w jego sercu wciąż jest odrobina miejsca dla mnie.

Przez całe liceum byłam najlepszą uczennicą w klasie. Nie było to zbyt trudne, bo klasa składała się ze zbieraniny tych, które nie dostały się do wybranych klas o innych profilach. Przez ten rosyjski nauczyciele nas w większości nie lubili, choć nie było naszą winą, że trafiłyśmy do tej klasy. Mimo dobrych ocen miałam jeden słaby punkt. Język polski. Polonistka mnie nie cieriała, uważała za nierozgarniętą. Na koniec I klasy groziła mi dwójka. Dopiero interwencja dyrektora sprawiła, że dała mi spokój, ale do matury traktowała jak zło konieczne. Język polski w jej wydaniu to była porażka, ale ja tego wówczas nie rozumiałam. Rozumiałam tylko, że żadna ze mnie humanistka. Rodzice w tym względzie nie dawali mi wsparcia, bo nie potrafili ocenić poziomu mojej wiedzy, predyspozycji. Gdy nadszedł czas wyboru studiów, wiedziałam, że studia humanistyczne i artystyczne odpadają. Ojciec odradzał politechnikę, bo – jak mówił – najgorsza praca to zakład produkcyjny. Medycyna nie wchodziła w grę, bo myśl, że musiałabym dotykać obcego człowieka, w dodatku chorego i może czasem brudnego, wywoływała u mnie mdłości. Drogą eliminacji doszłam więc do studiów rolniczych. Wybrałam Wrocław. Warszawy bałam się. Tzn. nie tyle Warszawy, co siebie w Warszawie. Tego, że zamiast się uczyć, będę łąziła po teatrach lub przesiadawała pod kamienicą, w której mieszka Kunicka.

Wybór kierunku okazał się błędem. Zdałam sobie z tego sprawę już na II roku studiów, ale właśnie nastął stan wojenny, rodziców wiele kosztowało utrzymanie mnie w obcym mieście. Nie chciałam ich zawieść, a nie byłam w stanie zmienić kierunku i jednocześnie podjąć jakąś pracę. Studia skończyłam w pierwszym możliwym terminie i z piątką na dyplomie. Potem wielokrotnie powtarzałam, że ta pomyłka kosztowała mnie 11 lat życia. Pięć lat studiów i sześć lat pracy w firmie, która była jakimś socjalistycznym reliktem. Wszystko to razem bardzo mocno zaważyło na moim zawodowym i prywatnym życiu. Gdy jednak rozpoczynałam naukę we Wrocławiu, nie miałam o tym wszystkim zielonego pojęcia. Nauki było dużo. Ludzie w grupie i na roku fajni. Wrocław, mimo socjalistycznej szarości, barwny i ciekawy. Już w czasie II roku dziewczyny zaczęły zachodzić w ciążę i wychodzić za męża. Pewien wykładowca powiedział nam, że po to z reguły studiujemy, żeby złapać męża. Dziś takie seksistowskie odzywki chyba by nie przeszły. 40 lat temu były na porządku dziennym. Trochę rozglądałam się za chłopakami, bo presja otoczenia działała. Wspomniany D. był daleko. Wiedziałam, że jeśli tylko się zakocham, to o nim zapomnę, ale jakoś nie mogłam się zakochać. Mijał rok za rokiem, a ja byłam wolna. W dodatku dziewica. To mnie dręczyło, ale wiedziałam, że nie prześpię się z nikim, jak się nie zakocham, a o zakochaniu nie było mowy.

Chyba na II roku studiów zaczęłam pisać wiersze. Nie trwało to zbyt długo, a sama twórczość nie była najwyższych lotów. Była głównie o tęsknocie do miłości. Pisałam tak, by z treści nie wynikało, że obiektem westchnień jest kobieta. Niezłe opanowałam tę sztukę kamuflażu.

Na „Konfrontacjach filmowych” wyświetlano film węgierskiego reżysera Karoly Makka z polskimi aktorkami, „Inne spojrzenie”. Czytałam o tym filmie w tygodniku „Film”, z trudem zdobyłam karnet na „Konfrontacje”. Oglądałam „Inne spojrzenie” z wypiekami na twarzy i ściśniętym gardłem. Pamiętam, że podczas sceny erotycznej, siedząca obok mnie młoda kobieta, chichotała, a mnie zapierało dech. Pamiętam też moje zaskoczenie i zniesmaczenie, gdy po latach czytałam wywiad z J. Jankowską-Cieślak, która wspominała pracę nad filmem i mówiła, jak cierpiała, podczas kręcenia tych scen. (W trakcie pisania tych wspomnień w „Replike” ukazał się wywiad z Jankowską-Cieślak. Zrehabilitowała się nim w moich oczach. Poza tym to świetna aktorka.)

Grom spadł na mnie pod sam koniec studiowania. To był już V rok, za chwilę obrona i powrót do rodzinnego miasta. Podjęłam już wtedy decyzję, że wracam. Wrocław był cudowny, ale dostanie mieszkania było wtedy całkiem nierealne. Wynajmowanie kosztowało krocie i nie było na kieszeń stażystki. Rodzice nie mieli nic przeciwko temu, bym wróciła do nich. Mnie myśl o powrocie do prowincjonalnego miasteczka przerażała, ale nie widziałam innej drogi usamodzielnienia się. Poza tym Kunicka wytłumaczyła mi, że prowincja to stan naszego umysłu. Nieważne, gdzie się żyje, ważne, jak się żyje i z kim to życie dzieli. Nie było wówczas w moim życiu większego autorytetu niż ona. Zanim wróciłam do rodzinnego miasta, zakochałam się. Tym razem w koleżance z roku. Po raz pierwszy była to więc realna osoba, na wyciągnięcie ręki. Tak mi się przez moment wydawało, bo ona też nie kryła pewnej fascynacji moją osobą. Pochodziła z zamożnej, ale bardzo tradycyjnej wiejskiej rodziny. Była przy tym gorliwą katoliczką. Myślę, że bardzo bała się tego uczucia. Wiedziała, że rodzina tego nie zaakceptuje. Oczekiwali na pewno, że wyjdzie za męża i będzie miała dzieci. I tak też się stało. Odtrąciła mnie, gdy tylko zaczęła odczuwać pożądanie. Bała się, że to ją pochłonie, uciekła przede mną, a ja byłam gotowa pojechać z nią na drugi koniec Polski. Zostałam więc sama z tym nieskonsumowanym uczuciem. Wtedy też zrozumiałam, dotarło do mnie, że zawsze będę pragnąć wyłącznie kobiety, że moje przyszłe życie chcę układać tylko z kobietą. Ale jak to zrobić, gdy takich kobiet jak ja jest zapewne niewiele? Gdzie i jak ich szukać? Jestem lesbijką, powtarzałam w myślach i nawet nie śmiałam głośno wymówić tego wstydliwego słowa. Cóż dopiero powiedzieć o tym innej osobie. Miałam 24 lata.

Cierpienie mnie rozsadzało. Myślałam nawet o samobójstwie, a było ono w zasięgu ręki, bo mieszkalam na 12-tym piętrze wieżowca. Największą potrzebą było wtedy nie znalezienie obiektu miłości, kobiety, która odwzajemni uczucie, ale podzielenie się z drugą osobą największą tajemnicą. Była też potrzeba akceptacji ze strony drugiego człowieka.

Zawsze wierzyłam w kobiecą intuicję. Ona podpowiadała mi, co i kiedy zrobić, powiedzieć. Na powiernicę wybrałam koleżankę z roku, z którą wcale nie byłam zbyt mocno zżyta. Ona miała w sobie ciekawość drugiego człowieka i to przeważyło. Pamiętam nasze spotkanie w moim pokoiku na 12-tym piętrze. Z trudem wyrzucałam z siebie słowo po słowie. Ona słuchała uważnie. Zadawała wiele pytań. Na koniec

usłyszałam: nie rozumiem tego uczucia, nigdy taka nie będę, ale akceptuję cię taką, jaka jesteś. Jakże były mi potrzebne wtedy te słowa. Hanka została na zawsze moją przyjaciółką.

Ludzie zwracają uwagę na to, że mówię wolno. Mam spokojny głos. Myślę, że to wzięło się właśnie z tego, że gdy mówiłam o sobie, musiałam uważać na słowa. Uważać na żeńskie formy i końcówki. Używać form bezosobowych. Zanim więc powiedziałam głośno zdanie, musiałam „usłyszeć” je w głowie, jak zabrzmiałoby, aby było prawdziwe, naturalne, a zarazem, bym nie zdradziła się w nim z moją orientacją. Z czasem nabiera się wprawy, ale niespieszny sposób wysławiania się pozostał.

Sześć lat po studiach to był czas ewidentnie zmarnowany. Brak partnerki, brak możliwości ułożenia sobie życia, bardzo mnie to rozpraszało. W dodatku pracowałam w jakiejś śmiesznej firmie, w której nie było co robić, wszyscy pozorowali zaangażowanie, a co drugi facet tam zatrudniony był alkoholikiem. Wzrosty wydajności z hektara i ochrona zbóż oraz okopowych przed chorobami i szkodnikami kompletnie mnie nie interesowały.

Ojciec powtarzał, że nigdy nie żałuje przeszłości. Staram się postępować i myśleć podobnie, a jednak z tamtego czasu najbardziej żałuję, że nie nauczyłam się jakiegoś obcego języka. Wtedy to nie wydawało się jakimś kapitałem. Rodzice nie znali języków obcych. Dziadkowie ze strony ojca chodzili do niemieckich szkół w pruskim zaborze. Ponoć gdy chcieli ukryć coś przed dziećmi, porozumiewali się między sobą po niemiecku. Ale swoich synów tego języka nie uczyli. Zresztą po wojnie niemiecki był pogardzany. Był czas, że dziadek przychodził do nas niemal codziennie i grał ze mną w warcaby. Ogrywałam go równo, choć nie wiem, czy byłam od niego lepsza, czy dawał wnuczce fory. Mógł wtedy, tak przy okazji, uczyć mnie niemieckiego, ale też tego nie robił. Rodzice, gdy już chodziłam do szkoły, powtarzali: ucz się języka, ale chyba nie robili tego z przekonaniem, nie pilnowali i sami też nie dawali w tym względzie przykładu, a to właśnie przykład mógł podziałać stymulująco. Szkoda, że tego zabrakło, zwłaszcza przy pewnym moim braku zdolności w tym obszarze i opozycji wywołanej tym, że źle mówię. Skoro źle, to lepiej się nie odzywać. W każdym razie, jedyne czego w życiu żałuję i wstydzę, to brak umiejętności posługiwania się obcym językiem. Wkurza mnie kult angielskiego. To, że nacja, która dopuszczała się przez wieki supremacji wobec innych narodów, ciemniała, a swoje bogactwo budowała na krzywdzie innych, jeszcze była w stanie narzucić swój bełkotliwy język światu.

Pierwsze sześć lat po studiach, gdy umysł był jeszcze bardzo sprawny i chłonny mogłam poświęcić na język i niestety nie zrobiłam tego. W pracy udawałam pracę. Jak tylko była okazja, jeździłam do znajomych, do Wrocławia. I marzyłam: o miłości oraz własnym mieszkaniu. W tym czasie zaczęłam też... pisywać. Trzeba było mieć sporo szczęścia i jeszcze więcej odwagi, by w kiosku Ruchu poprosić i dostać „Magazyn kochających inaczej”. To w nim wydrukowano kilka moich opowiadań. Pisałam oczywiście pod pseudonimem, zachowując prawdziwe jedynie inicjały. Nie pamiętam, ile moich opowiadań ukazało się w „Inaczej”. I tak najlepiej wspominam to pierwsze. Miało klimat i nastrój, który lubię, który wydaje mi się – działa na zmysły.

Moje opowiadania nie były naszpikowane „momentami”, w ogóle nie było w nich opisów fizycznych zbliżeń, ale trudno odmówić im erotycznej aury. Pierwsze nosiło tytuł „Pod złotą kaczką”, a tytułowa złota kaczka była kawiarnią pachnącą rozgrzanym imbirem, w której popijało się żubrówkę z sokiem jabłkowym.

W II połowie lat 80. XX w. pojawiały się na rynku nowe tytuły prasowe, a wśród nich „TOP” – tygodnik wypełniony wyłącznie ogłoszeniami i miesięcznik „Relax”. Absolutną nowością w obu tych tytułach były rubryki „towarzyskie”. Wśród ogłoszeń tam zamieszczanych były i te spod znaku „pani pozna panią”. Kupowałam te gazety, przeglądałam uważnie ogłoszenia i tyle. One pozwalały nabierać pewności, że nie jestem jedyną. Nigdy sama nie zamieściłam nigdzie żadnego ogłoszenia, ale w końcu odważyłam się odpowiedzieć na jedno z nich. Miałam wówczas 27-28 lat.

Nadawczyni anonsu miała na imię, chyba, Ania. Błąkając się po pustyni uczuć nagle wpadła do jeziora obfitości. Na jej ogłoszenie odpowiedziało ponad 100 osób. Piszę „osób”, bo jak później się dowiedziałam, na tego typu ogłoszenia reagowali również panowie, a często panowie podający się za panie. Ania przytłoczona ilością gotowych do nawiązania znajomości kobiet, wpadła na pomysł, że pozna je w realu. Ponieważ pojedyncze kontakty zajęłyby jej wiele miesięcy, zaproponowała w konkretnym terminie, a właśnie zbliżało się lato, kilkudniowy pobyt nad morzem na polu namiotowym. Zapakowałam więc pożyczony jednoosobowy namiot i pojechałam. Gdy zbliżałam się na pole namiotowe serce waliło mi jak oszalałe. Oto po raz pierwszy w życiu miałam zobaczyć inne lesbijki i to, być może, w dużej liczbie. Nie pamiętam, ile nas stało na ten obozisk. Kilka, kilkanaście? Większość mocno mnie rozczarowała. Niechlujne, męskie, agresywne. Wiem, że zawiązała się tam jakaś parka. No i ja poznałam dziewczynę.

Nie mógł to być związek na dłużej, bo W. była rozwodzącą się matką dwójki dzieci. Te dzieci to było coś, co kompletnie nie mieściło się w projekcie na moje życie. Jeździłam przez kilka miesięcy do niej przemierzając pociągami kilkaset kilometrów i uprawialiśmy seks. To szło nam dobrze. Cała reszta już słabo. Intellektualnie byliśmy z dwóch różnych światów. Ona miała pewną wrażliwość, ale poza tym była dziewczyną po zawodówce. Inne życiowe potrzeby, inne aspiracje. Związek skończył się również dlatego, że ona wraz z dziećmi wyjechała w poszukiwaniu lepszego życia na stałe do Niemiec.

Rodzice byli zaniepokojeni tymi moimi wyjazdami. Nie podobał się im mój sposób życia, czuli, że coś przed nimi ukrywam. Dochodziło do słownych utarczek, ale jednak znosiliśmy się nawzajem. Miałam to szczęście, że rodzice nie wywierali na mnie presji, że oto powinnam już wyjść za mąż, urodzić dziecko, ułożyć życie. Nie szukano mi męża, nie słyszałam nigdy, że jestem starą panną. Zawsze szłam własną drogą i rodzice, nawet gdy nie byli zachwyceni, szanowali moje wybory. Ale mnie dusiło coraz bardziej to, że muszę z nimi mieszkać. W końcu wynajęłam od kuzynki kawalerkę.

Niedługo po tym nastąpiła sekwencja trzech istotnych zdarzeń: rzuciłam pracę, poznałam A. i kupiłam mieszkanie.

Pracę rzuciłam w najmniej korzystnym momencie. Właśnie w kraju zaczynało się bezrobocie. Nie dawałam już jednak rady tkwić w czymś, co nie miało sensu. Przez kilka miesięcy byłam nawet bezrobotna. Pobierałam zasiłek. Wyjechałam jeszcze do Niemiec, by spotkać się z W. Wracając do kraju wiedziałam, że już się więcej nie zobaczymy. W tym czasie zaczęłam też pisać artykuły do tygodnika, który ukazywał się w moim mieście. Tam wypatrzyli mnie dwaj młodzi, energiczni dziennikarze, którzy wówczas zakładali całkiem nową, pierwszą prywatną, gazetę. Zaproponowali współpracę. Po kilku miesiącach byłam już dziennikarką na etacie. O dziennikarstwie i w ogóle o pisaniu w moim życiu będzie jeszcze w dalszej części tych wspomnień.

Znów zaczęłam czytać anonse. Tak poznałam A., kończącą II rok polonistyki, studentkę. Spotykałyśmy się przez trzy lata raz u niej na stacji, raz u mnie, a gdy skończyła studia, zamieszkała wraz ze mną i przeżyłyśmy wspólnie 16 lat.

Fizycznie A. nie była w moim typie. 7 lat młodsza, niedojrzała jedynaczka. Miała jednak spokój i łagodność, które mnie ujmowały i dawała sobą kierować, co mi bardzo odpowiadało. Stworzyłyśmy zwykłą rodzinę. Pomogłam jej znaleźć pracę w mieście. Chciała uczyć w szkole średniej. Uczyla. Najpierw w technikum i zawodowce. Potem w liceum. Ja stałam się gwiazdą lokalnego dziennikarstwa, ona wciąż narzekała na szkołę. Nasze życie było najzwyczajniejsze na świecie. Praca, domowe obowiązki, wspólne wakacje, kot. Miałyśmy podobne upodobania, więc zdarzały się nam wyprawy do teatrów odległych od naszego domu o 100 i 200 km. A., mimo że miała prawo jazdy, nie siadała za kółkiem. Odwoziłam ją zazwyczaj do szkoły, a potem sama jechałam do redakcji. Kiedyś czekając na nią przed szkołą zobaczyłam grupkę uczniów i usłyszałam: o mąż pani A. przyjechał. Ubawił mnie ten tekst. Zwłaszcza, że był powiedziany z humorem. Chodziło raczej o żart, a nie o złośliwość. Tuż przed 40-tką kupiłam większe mieszkanie. Zarówno pierwsza kawalerka, jak i to drugie mieściły się w blokach. Ze strony sąsiadów nigdy nie spotkała nas złośliwość, agresja lub nieuprzejmość. Wręcz odwrotnie, miałyśmy bardzo dobre sąsiedzkie relacje.

Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, co ktoś o mnie mówi, i czy mówi. Jak jestem postrzegana. Żyłam, jak chciałam. Było mi dobrze, nikogo nie krzywdziłam i to było najważniejsze. Nie interesowałam się tym, czy inni się mną interesują. To był ich problem. Z czasem dotarło do mnie, że otoczenie wie, iż jestem lesbijką. Życie z kobietą pod jednym dachem nie pozostawiało wątpliwości. Wydawało mi się, że to jest taka sensacja na 5 minut. Potem każdy wraca do swoich problemów i zajęć. Jak ktoś ma swoje życie, to nie będzie się ekscytował życiem innych. Tak było 20 i 10 lat temu, ale w obecnej rzeczywistości, gdy zapisuję te słowa, Polska za sprawą polityków i kleru, się zmienia. Nie wiem, czy tak jest „na chwilę” i potem podążymy w kierunku, w którym podąża cywilizowany świat, czy zabetonujemy się na dłużej w tym absurdzie, jaki nastał. Pod koniec ubiegłego wieku nie mogłam uwierzyć w prognozy, że na ring wrócą populisci i konserwatyści. Uważałam, że to jakieś wydumane z palca analizy. A jednak tak się właśnie dzieje. Z jednej strony, nie da się z nas już zrobić Korei Północnej. Oknem na świat jest internet. Z drugiej strony, ilość informacji, która

obecnie do każdego z nas dociera i bombarduje, jest tak niewiarygodnie olbrzymia i nieselekcjonowana, że z wielu (z większości?) robi idiotów.

Wracam do 16 lat spędzonych z A. Rodzice nie przepadali za nią, ale jak powiedziała pewna znajoma dziennikarka: przecież cię kochają, to cię nie opuszczą, i tak się stało. Przez cały czas miałam z nimi kontakt i to dobry. Ojciec pomagał remontować mieszkanie. Często w niedzielę chodziliśmy z A. do rodziców na obiad. Gdy wyjeżdżaliśmy, rodzice opiekowali się kocicą. Mieszkałam blisko nich. Drugie mieszkanie kupiłam na tym samym osiedlu. Zawsze mogłam na nich liczyć, a oni na mnie. Nigdy jednak przez te lata nie padło słowo: lesbijka. Nigdy oficjalnie nie mówiłam o A., że to moja partnerka. Ani mama, ani ojciec nie zadali wprost takiego pytania. O tym się po prostu nie mówiło.

Nie sposób opisać szczegółowo tych wspólnych 16 lat. Byłyśmy związkiem partnerskim, choć większość obowiązków spoczywała na mnie, włącznie z pilnowaniem domowych finansów. Miałśmy wspólną kasę i nawet wspólne konto bankowe. Dwa ostatnie samochody, które kupiłam, też miały zarejestrowane dwie współwłaścicielki. Żyłyśmy skromnie, ale na wszystko co niezbędne starczało nam pieniędzy. Pracowałam dużo, jak to w prywatnej firmie. A. do nauczycielskiej pensji dorabiała korepetycjami. Żadna z nas nie lubiła gotować, obiady jadałyśmy poza domem. Najczęściej w szkolnych stołówkach. W sobotę gotowałyśmy same, tzn. zazwyczaj ja gotowałam, ale z chęcią jadałyśmy też na mieście. Nigdy nie chciałam mieć dziecka. W pewnym momencie, będąc już po 30-tce, A. zaczęła napomykać coś o dziecku. Temat szybko uciełam. Powiedziałam jej, że jeśli zechce, to oczywiście może urodzić, bo ja na pewno nie, ale raczej się wówczas rozstaniemy. Szybko porzuciła myśl o dziecku.

W 2005 r. znalazłam informację o Akademii Tolerancji, tygodniowym spotkaniu dla kobiet działających w ngo, fundowanym i organizowanym przez krakowską EFKE. Zgłosiłam się i zostałam zakwalifikowana. Było nas ponad 20. Hetero, bi, homo. Kato-liczki i ateistki o różnym kolorze skóry. Okazało się, że jestem w tej grupie... najstarsza. Większość była tuż po studiach lub jeszcze w ich trakcie. Pracowałyśmy bardzo intensywnie. Przewinęło się w roli prowadzących i wykładawców wiele ciekawych postaci, m.in. dr Jacek Kochanowski. Historię feminizmu przedstawiała dr Sławka Walczewska. Największe wrażenie zrobiły na mnie zajęcia z autoprezentacji prowadzone przez piekielnie inteligentną Maję Brankę. To tam po raz pierwszy głośno przed publicznością mówiłam o sobie: jestem lesbijką. Miałam 45 lat!

Nie pamiętam, gdzie znalazłam anons Ani Laszuk, że przygotowuje książkę o lesbijkach i szuka do niej bohaterek. A. początkowo sceptycznie odnosiła się do pomysłu wzięcia udziału w tym projekcie. Jednak przekonałam ją, że to będzie niszowa pozycja, że nie będzie tam naszych zdjęć ani nawet imion. Miałśmy okazję gościć Anię w naszym domu. Wcześniej znałam tylko jej głos z radia. Jako prowadząca „Komentarze” w TOK FM Ania była znakomita. Podczas rozmowy zgrywała nasze wspomnienia na dyktafon. Chyba nawet w pewnym momencie oddzielnie od każdej z nas. Miałam żal do samej siebie, że to nie ja wpadłam na pomysł takiej książki. Bardzo się polubiłyśmy z Anią. Pamiętam, że spotkałyśmy się później w jakimś klubie na warszawskiej

Pradze. Byłam też na warszawskiej premierze książki „Dziewczyny, wyjdźcie z szafy”, jako jedna z jej bohaterek. Gdy w radiu, jakoś tak latem, zabrakło Ani, czułam, że dzieje się coś złego. Dwa tygodnie przed jej śmiercią obawy potwierdziła wspólna znajoma. Powiedziała tylko, że jest z Anią bardzo źle. Zmarła w październiku. Następnego roku zgłosiłam gotowość przygotowania panelu dyskusyjnego o związkach partnerskich podczas Kongresu Kobiet, poświęconego pamięci Anny Laszuk. Wzięła w nim udział m.in. Ewa Wanat, ówczesna redaktorka naczelna TOK FM. Niestety wszystkie aktorki, którym zdarzało się zagrać role z motywem lesbijskim, odmówiły udziału w panelu.

Z A. przeżyliśmy kawał dobrego życia. Nie miałyśmy kryzysów, nie kłóciłyśmy się, nie zdradzałyśmy. Można powiedzieć – wzorcowa para. Moje uczucie zaczęło jednak wygasać. Powodów wiele. Obie miałyśmy skłonności do tycia. Ja całe życie się odchudzałam. Gdy ona zaczęła tyć, śmiałam się, że jak przeskoczy 80 kg, to ją zostawię. I tak się stało, ale odeszłam nie z powodu kilogramów. Nie zamierzam się usprawiedliwiać. Ten związek rozpadł się z mojej winy. Codziennosc niesie wiele problemów. Obie przechodziłyśmy momenty wypalenia zawodowego. A. poza tym była wciąż niezadowolona. Miałyśmy fajne mieszkanie, stabilne prace, zdrowie nam dopisywało. Miałyśmy siebie. Prowadziłam nasze małe gospodarstwo domowe i ona naprawę, poza pracą, niewiele miała na głowie. Ale i tak była wciąż nieszczęśliwa. Szukałam nowych wyzwań, żeby się nie pogrążyć w coraz smutniejszym miasteczku, w jakim przyszło nam żyć.

W wieku 47 lat dopadło mnie coś, czego bardzo obawiałam się przez całe życie. Zakochałam się w rasowej heterozyście. Była 10 lat młodsza ode mnie. Wróciła okaleczona do rodzinnego miasta. Została dyrektorką domu kultury, postawiła go na nogi i siłą rzeczy spotkałyśmy się na polu zawodowym. Spędzałyśmy ze sobą dużo czasu. Coraz więcej. Lubiliśmy nasze rozmowy, naszą wrażliwość. Wyznałam, że ją kocham. Postawiła jednak twarde granice. Nasz związek nie był możliwy, choć byłby wspaniały. To były piekielnie ciężkie chwile. Po tym epizodzie wiedziałam już, że będę szukała kolejnej kobiety, że jestem nieuczciwa wobec A., a ona w sumie na to nie zasłużyła.

Z moją aktualną partnerką jesteśmy razem od ponad 10 lat. Poznałyśmy się z ogłoszenia, ale tym razem internetowego. Cóż, minęło wiele lat od towarzyskich anonsów w „Relaksie”. Mieszkała 50 km od mojego miasteczka. Była rozwiedziona matką dwóch dorosłych córek. Gdy tylko stały się pełnoletnie, wzięła rozwód. W zamian za własne mieszkanie, zostawiła byłemu mężowi dom. Tym razem to ona stawiała mi twarde warunki. Bałam się radykalnej zmiany w życiu, ale miałam wybór: albo przenoszę się do niej, albo zrywamy.

Zostawiłam A. mieszkanie i wszystko, co w nim było. Zabrałam trochę swoich rzeczy, książek i płyt oraz samochód, bo ona i tak nie jeździła. Pieniądze z konta podzieliłam na pół. Jesteśmy w dobrych relacjach. Życzliwe wobec siebie ze względu na spędzone wspólnie lata.

Moja obecna partnerka to znów jedynaczka, 4 lata młodsza ode mnie, na emeryturze. Są w każdym kraju uprzywilejowane zawody i ona takowy wykonywała, stąd

wczesna emerytura. Nosimy to samo imię. Jesteśmy dojrzałe, z bagażem życiowych doświadczeń. W naszym wspólnym życiu bywały trudne chwile. Ona lubiła i coraz bardziej lubi spokój. Ja w poszukiwaniu nowych wyzwań zatracalam się w pracy lub działalności społecznej. To zazwyczaj bywało powodem nieporozumień, bo ona bardzo przeżywała moje aktywności, które – o czym jeszcze napiszę – kończyły się porażkami. Dość powiedzieć, że w wieku 55 lat zostałam bez pracy, co dla kobiety w tym kraju może być zabójcze. Nasz związek trwa i mam nadzieję, że tak zostanie już do końca naszych dni. Nie będę go opisywać. Jest dobrze. Osiągnęłam stan, o którym zawsze marzyłam. Starzeję się u boku kobiety, którą kocham, która wyznaje podobne wartości, jest wrażliwa, uczciwa, odpowiedzialna. Lubi porządek, kocha zwierzęta, wzrusza się słuchając dobrej muzyki, oglądając wartościowy film, czyta książki. Ma wady. Ja też mam wady. Dobrze nam ze sobą. Chciałabym, byśmy zawarły choć związek partnerski, bo z małżeństwem na pewno za naszego życia już się nie uda.

Teraz wróć do kilku tematów, których nie ujęłam, opisując życie. Zdecydowałam, że poświęcę im osobne miejsce. Bez rozwinięcia poniższych wątków ten pamiętnik byłby uboższy i nie pogłębiał wszystkich aspektów mojej tożsamości i jej kształtowania.

Przegląd Piosenki Aktorskiej

O Halinie Kunickiej napisałam wystarczająco wiele. Gust artystyczny, który jej zawdzięczam, sprawił, że lubiłam wykonawców śpiewających mądre teksty, rozumiejących, o czym śpiewają i mających opanowaną dykcję. Nic więc dziwnego, że podczas nauki we Wrocławiu trafiłam na Przegląd Piosenki Aktorskiej (PPA). Pierwsze przeglądy to były skromne konkursy z udziałem początkujących aktorów lub studentów szkół artystycznych. Ależ to była frajda! Pierwszy mój przegląd i od razu polska Liza Minnelli, czyli Maria Meyer, która zaśpiewała i zagrała w swojej karierze cały musicalowy repertuar, jaki można było zobaczyć na naszych scenach, a zaczynała właśnie na PPA. Niestety, studiowałam w stanie wojennym, który przerwał wiele artystycznych wydarzeń, w tym PPA. Gdy byłam na ostatnim roku, PPA wznowiono. Wygrała go wtedy nieznana szerokiej publiczności Edyta Geppert. Pożegnałam Wrocław, ale co roku wiosną zaglądałam na kolejne edycje PPA. Znajomi ze studiów organizowali bilety i wejściówki, o które było coraz trudniej, bo impreza robiła się popularna i znacząca. Po kolejnym PPA, gdzie nie udało się nam wejść na różne koncerty, napisałam list do dyrektorki organizacyjnej PPA. O tym, że to niesamowita impreza i w zamian za możliwość uczestniczenia w wydarzeniach PPA, mogłabym nawet zamiatać scenę. Po kilku miesiącach, pani dyrektor zadzwoniła do mnie i zaprosiła na rozmowę. W ten sposób trafiłam do biura prasowego PPA, które prowadziłam co roku przez 13 lat. Jeździłam wiosną na 10-12 dni do Wrocławia. Cały dzień siedziałam w biurze: odbierałam telefony, załatwiałam setki bieżących spraw, robiłam kawę lub herbatę wielu sławnym ludziom, a wieczorami biegłam na koncerty, spektakle,

recitale. Moja bezpośrednia przełożona, Monika Klubińska, wrocławska dziennikarka muzyczna oraz rzeczniczka PPA i wspomniana dyr. Ada Kostenko, to były dwie wspa- niałe, charyzmatyczne baby, które współtworzyły tę imprezę. Monika, a później paru innych zaprzyjaźnionych dziennikarzy, którzy co roku pojawiali się na PPA, wiedzieli o mojej orientacji. W tym środowisku nie był to jednak problem i powód do ostracy- zmu. Wśród tych ludzi nie musiałam się ukrywać. A., jeśli mi towarzyszyła, mogłam przedstawiać jako moją partnerkę.

Nie zwiedziłam całego świata, ani nawet całej Europy, ale PPA był dla mnie swoi- stym „oknem na świat”. Dzięki niemu przeżyłam tyle muzycznych podróży, wzruszeń, fascynacji, zachwytów, odkryć. Miałam okazję podziwiać na scenie wybitnych arty- stów i artystki. Poznawać muzykę i interpretacje, jakich nie doświadczy się za sprawą TV. Co roku z niecierpliwością czekałam na to artystyczne święto.

Kilka lat temu, będąc już w związku z moją obecną partnerką, pojechaliśmy na PPA do Wrocławia. Już nie pracowałam przy tej imprezie. Na jeden z koncertów weszliśmy za sprawą moich starych „przeładowych” znajomości. Na inny kupiłam bilety, jak każdy widz. Moja partnerka szła bez przekonania, bo nic jej nie mówiło nazwisko Ute Lemper. Po recitalu wyszła oniemiała. Nigdy wcześniej ani później nie widziałam takiego zachwytu na jej twarzy. Jej radość i euforia były warte każdych pieniędzy.

Seks

Zawsze był ważny. Nigdy nie był najważniejszy. Seks z kobietą to najwyższy stopień intymności. To delikatność, czułość, wzajemność, zachwyt. Ciało kobiety jest czułym instrumentem i odkrywanie jego tajników, uczenie się jego reakcji jest wspaniałym przeżyciem. To tyle, co chcę powiedzieć o seksie.

PS. Nigdy nie pragnęłam fizycznie mężczyzny. Byłam pewna, że stosunek z męż- czyzną, odbyty wbrew mojej woli, przepląciłabym chorobą psychiczną.

Kompleksy

Dlaczego kompleksy? Przez większą część życia zmagalam się z ich górą. Poczynając od wyglądu zewnętrznego. Zawsze uważałam, że jestem gruba i niezgrabna, a najbliżsi jeszcze mnie w tym utwierdzali. Nie lubiłam moich kobiecych kształtów. Maskowałam je workowatymi ubraniami. Wychowanie też zrobiło swoje. Od babci i mamy wciąż sły- szałam różne poucanki: nie siadaj tak, dziewczynki tak nie siedzą, dziewczynki sta- wiają mniejsze kroki, nie rozglądaj się, nie zakładaj takiej spódniczki, masz za grube nogi, twoim koleżankom jest w takiej dobrze, ale ty musisz nosić dłuższe. Miały jakąś obsesję na punkcie ubiorów. Pewnie wynik przed- i powojennej biedy, gdy strój był wyznacznikiem statusu. Mama prowadziła mnie do krawcowej, szyło się różne części

garderoby. Nienawidziłam tych wizyt, tego przymierzania. Dodam jeszcze, że do 10-11 roku życia nosiłam długie warkoczki, których też nienawidziłam. W końcu uprosiłam, by je ściąć. Całe życie mam krótkie włosy.

Nie spełniłam oczekiwań o córeczce w ładnych sukieneczkach, w pantofelkach na obcasach. Od 30 lat chodzę wyłącznie w spodniach. W nich czuję się naturalnie. Ubiór musi być wygodny. W sukni z dekoltem, w szpilkach i mocnym makijażu czułabym się, że jestem przebrana za obcą osobę.

Z ubraniem sobie poradziłam. Z poczuciem, że jestem gorsza, bo mniej umiem, mniej rozumiem, wolniej chwytam – żyłam bardzo długo. Tak byłam wychowana przez dom i szkołę. To miało niewiele wspólnego z moją orientacją, raczej z płcią. Dopiero jako dorosła dziennikarka zrozumiałam, że sukces osiągają w większości pewni siebie faceci. Miałam, pewnie jak większość kobiet, „wdrukowane” poczucie uległości wobec facetów zwierzchników. Podświadomie poddawałam się temu, to było poza kontrolą.

Wciąż musiałam udowadniać sobie i światu, ale jednak przede wszystkim sobie, że jestem od nich (facetów) lepsza, ale wciąż czułam, że na końcu i tak oni wygrywają. Biorą wszystko. Tyrałam w redakcji przygotowując co tydzień nowy numer tygodnika i jednocześnie pisząc po kilka artykułów tygodniowo. Właściciele nie kryli jednak radości, gdy zatrudniali kolegę. Wprost mówili, że polonista ze stażem dziennikarskim utrze mi nosa. Na dzień dobry dostał lepszą pensję niż ja. Jego teksty były długie i nudne, a w końcu w ogóle ich nie było, bo kolegą rządził alkohol. Jako sekretarz redakcji znosiłam ekscesy trzech kolejnych alkoholików, do których koledzy solidarnie wyciągali dłoń. Pili, ale współczucie ich nie omijało. Za to zbuntowana i wiecznie krytykująca świat lesbijka budziła jedynie irytację i złość.

O kompleksie z powodu braku znajomości języka obcego już pisałam. Ten jest we mnie cały czas i jako jedyny wydaje się być uzasadniony.

Pisanie

Pierwszy wydruk opatrzony moim imieniem i nazwiskiem to był list wysłany do „Synkopy”. „Synkopa” była dwumiesięcznikiem muzycznym, rozprowadzonym wyłącznie w prenumeracie. Byłam dumna. To działo się w liceum, gdy wspomniana wcześniej polonistka oddając klasówki powtarzała, że do pisania to ja talentu nie posiadam. Utwierdziła mnie na długo w tym przekonaniu, ale potrzeba przelewania na papier myśli była silniejsza niż jej sarkazm. Jeszcze w liceum prowadziłam obfitą korespondencję z dziewczyną, która również uwielbiała Kunicką. Już nie pamiętam, jak się poznałyśmy. Pewnie przez „Synkopę”. Na studiach były wspomniane wiersze, a potem to już wciąż coś pisałam. W wieku dwudziestu kilku lat pisałam do znajomych i przyjaciół po kilka listów dziennie. Pod koniec lat 80. zaczęła się moja przygoda z dziennikarstwem. Trwała ponad ćwierć wieku. Na początku wciąż pamiętałam, że „nie mam talentu do pisania”. Szybko okazało się jednak, że to, co tępiła polonistka, było

w dziennikarstwie moim największym atutem: umiejętność tworzenia krótkich, analitycznych tekstów, dowcipne, trafne pointy.

Praca w prywatnym, lokalnym tygodniku była specyficzna. Od początku trzeba było robić wszystko: pisać, pstrykać zdjęcia, łamać strony, robić korektę tekstów, wystawiać faktury za ogłoszenia. Na początku zachłysnęłam się tą robotą. Po sześciu jałowych latach wreszcie robiłam coś, co mi sprawiało frajdę. Cały czas byłam w ruchu. Poznawałam nowych ludzi. Uczylałam się. Pisałam, jak szalona. Nie zwracałam uwagi, że jestem wykorzystywana przez właścicieli, że oni zbijają kasę, bo dzięki moim tekstom nakład gazety rośnie. Mnie profity omijały, pozostawała radość tworzenia i uznanie czytelników. Lokalny dziennikarz musi pisać o wszystkim. Najlepiej szło mi patrzeć władzy na ręce. Skończyłam uniwersyteckie studia podyplomowe z zakresu zarządzania gospodarką lokalną i regionalną, by lepiej rozumieć samorządowe mechanizmy.

Pisywałam też do innych czasopism. Najdłużej współpracowałam z anglojęzycznym „The Warsaw Voice”. To za sprawą znajomej dziennikarki z Wrocławia, która w „WV” tłukła kasę. W „WV” nie chodziło o interesujące, pogłębione materiały dziennikarskie. Pisało się teksty pod reklamodawcę. Pieniądze były niezłe, ale praca paskudna.

Tak naprawdę wyżywałam się w lokalnym dziennikarstwie. Znałam moje miasto i ludzi, którzy nim rządzą, na wylot. Nigdy nie bałam się trudnych tematów. Nikogo nie oszczędzałam, gdy widziałam nepotyzm, nieuczciwość, nieuczciwość, lekceważenie innych. Będąc w pogardzanej mniejszości, stawałam w obronie jeszcze słabszych i bezbronnych. Nie próbowano mnie „kupić”, bo miałam opinię nieprzekupnej. Ludzie szli do mnie z trudnymi tematami, beznadziejnymi sprawami, gdy już nie widzieli znikąd ratunku. Śmiałam się, że odwałam robotę, którą kiedyś wykonywał komitet PZPR. Nigdy nie wysyłałam swoich artykułów na konkursy. Nie było mi to potrzebne. Nie miałam czasu. Wciąż trzeba było reagować na to, co dzieje się w mieście, śledzić różne wątki, szukać nowych tematów do opisywania.

Przed 50-ką, gdy mój związek z A. wchodził w fazę kryzysu, a ja w menopauzę, zaczęłam cierpieć na bezsenność. 1,5-2 nocne godziny bez snu poświęcałam na tworzenie sztuki teatralnej. Układałam fabułę i dialogi. Potem w wolnej chwili, w ciągu dnia, zapisywałam to, co w nocy stworzyłam. Pisanie sztuki pomogło nie zapaść w depresję, a efektem była... komedia. Nazwałam ją „Powiatowe związki partnerskie”. Wydrukował ją „Dialog”, ale niestety żaden reżyser nie pochylił się nad moim dziełem. W tym hermetycznym światku też łatwiej się przebić, gdy ma się „nazwisko”. To zniechęciło mnie do dalszego pisanie sztuk teatralnych.

Po skończeniu pracy jako dziennikarka potrzeba pisanie nadal we mnie tkwiła. Prowadziłam jeszcze przez jakiś czas bloga, w którym odnosiłam się głównie do sytuacji w moim miasteczku. Moi dawni, wierni czytelnicy czekali na te kawalki, które zresztą zapisywałam nieregularnie, z potrzeby i w odniesieniu do aktualnych wydarzeń w mieście i kraju. Prowadzenia bloga zaniechałam jakieś dwa lata temu. Wyniosłam się bowiem na dobre z miasteczka powiatowego. Coraz słabsza więc nie sprzyjała pisanie zaangażowanych testów, a na inne jak zawsze szkoda mi było czasu.

Religia

W tym kraju, żeby odkleić się od jedynie słusznej religii katolickiej, trzeba mieć twardego charakter i przepracować temat na własny rachunek. W moim domu rodzinnym do kościoła się raczej nie chodziło. Chodził dziadek ze strony mamy, ale uważane to było za przejaw braku własnego zdania i rozumu. Oczywiście posłano mnie do chrztu. Miałam wtedy 2 lata. Potem do I komunii św. Przed komunią chodziłam przez rok na religię. W jakiejś zapyziałej salce wychudzona zakonnica z anemią nie panowała nad gromadką rozwrzeszczanych dzieciaków. Na koniec zajęć dostałam obrazek robiący za świadectwo z błędem ortograficznym w moim nazwisku. Z komunii pamiętam czarny sweter mojej matki chrzestnej. Zarzuciła mi go na białą sukienkę, bo było okropnie zimno. I jeszcze zegarek, który dostałam na prezent, a który popsułam po 15 minutach. Już wtedy, przed komunią, spowiadanie się obcemu facetowi w szafie było upokarzające i okropnie traumatyczne. Po wakacjach powiedziałam w domu, że nie będę chodziła na religię i rodzice przyjęli to do wiadomości. W liceum doszłam do wniosku, że Bóg jest wymysłem ludzkiej wyobraźni, a ja jestem ateistką.

Niestety, na studiach obserwowałam wśród studentów i studentek religijne wzmożenie. W czasie strajku przed stanem wojennym do jednej z auli na naszej uczelni przyniesiono nawet krzyż i chyba codziennie odprawiano tam msze św.

W czasie stanu wojennego zdawaliśmy egzaminy w indywidualnym trybie. Byłam w złym stanie psychicznym, gdy szłam na egzamin z genetyki. Tymczasem stary profesor przyjął mnie jak dobrą znajomą. Nie było typowego egzaminu, tylko rozmowa m.in. o Bogu. O ironio, głęboko wierzący genetyk przekonywał mnie wtedy, że na świecie na skutek doboru naturalnego, pozostały tylko kobiety posiadające instynkt macierzyński i pragnące dzieci. Zatem i ja kiedyś urodzę dziecko, żyjąc u boku mężczyzny, który będzie godzien tego, by być moim mężem. Każdy dzień mojego dorosłego życia przeczy teorii starego profesora, ale wówczas poddałam się jego opowieści. Wyszłam z egzaminu w euforycznym nastroju i przez kolejne chyba 2 lata sądziłam, że wierzę w Boga. Potem mi na szczęście i na trwałe przeszło. W owym czasie nosiłam nawet na szyi srebrny łańcuszek z ukrzyżowanym orłem w koronie. Był to jednak bardziej wyraz obywatelskiego oporu wobec reżimu stanu wojennego niż oznaka religijnej wspólnoty.

W czasie dziennikarskiej pracy obserwowałam rosnącą nadobecność Kościoła katolickiego w życiu lokalnej społeczności. Tych nieporadnych pseudopolityków, którzy za przychylność kleru dopuszczali się każdej niegodziwości, bili im pokłony i pozwalali czerpać profity z naszego wspólnego samorządowego majątku. Na poziomie lokalnym to się zaczęło na długo przed dojściem PiS do władzy.

Z miejscowym klerem miałam osobiste rachunki. Za artykuł o kobiecie, którą ksiądz w czasie spowiedzi zbeształ za używanie wkładki domacicznej, zostałam wyklęta ze wszystkich ambon w mieście podczas niedzielnej mszy. Księża grzmieli do wiernych, że nie wolno czytać i kupować naszej gazety. Po tym incydencie nakład

znacząco wzrósł. Wystrzegali się więc później bezpośrednich ataków, ale wrogość została na zawsze. O tym, czym się skończyła, opowiem jeszcze w wątku poświęconym polityce.

W każdym razie moje – jak to się mawia – zmagania z Bogiem były być może intensywne, ale trwały krótko. Za to stawanie naprzeciw czarnej katolickiej sotni, zdeprawowanej, chciwej, gdy ma ona poparcie polityków i „ciemnego ludu” to wciąż starcie z Goliatem. Religię, każdą, uważam za największe oszustwo świata. Religie zarządzając ludzkim strachem i żądzami oraz kobiecą rozrodczością, pozwalają gromadzić pieniądze i sprawować władzę. Tyle.

Kongres Kobiet

W dzieciństwie byłam harcerką i to było ok. Nigdy nie należałam do partii politycznej ani na dłużej do organizacji społecznej. Wszystko do czasu. W 2008 r. odbył się w Warszawie pierwszy Kongres Kobiet. Chyba w „Wyborczej” przeczytałam zapowiedź tego wydarzenia. Zarejestrowałam siebie i A. i pojechałyśmy pod PKiN. Byłam zaskoczona widząc, jaki tłum kobiet ciągnie do Sali Kongresowej. W holu długie kolejki po odbiór identyfikatorów. Potem pełna „Kongresowa”. Nagle znalazłam się w świecie samych kobiet. Świecie spójnym i przyjaznym. W moim chyłącym się ku katolickiemu konserwatyzmowi miasteczku czułam się coraz bardziej wyobcowana. I to nie za sprawą mojej orientacji, ale za sprawą matek ciągnących dzieci do kościoła, pielęgniarek sprzeciwiających się aborcji do 12 tygodnia ciąży, nauczycielek, które tylko szeptem w zaufanym towarzystwie mówiły, że religia w szkole jest do d... Wtedy w „Kongresowej” okazało się, że kobiet o podobnym jak mój światopoglądzie, wrażliwości i determinacji, są tysiące. Szybko przystałam do KK. Trochę nie pasowałam do pierwotnej koncepcji, która zakładała jednoczenie aktywistek najpierw z miast wojewódzkich. Jednak entuzjazmu powiatowych miasteczek nie warto było gubić. Tak więc zaczęłam chłonąć feministyczną perspektywę postrzegania świata, która tylko dopełniała to, co już realizowałam w moim życiu. Istotą rozumienia historii świata kobiet i mężczyzn jest gender. Nic dziwnego, że Kościół i konserwatywni politycy tak boją się tej wiedzy i demonizują samo określenie. Dzięki Kongresowi, w którym aktywnie działałam do dziś, nie tylko poznałam mnóstwo wspaniałych, prawych i mądrych kobiet. Kongres wyzwolił we mnie społeczną aktywność i podniósł poczucie wartości. Na koniec, dzięki Kongresowi, pracuję jako urzędniczka samorządowa ds. równego traktowania. Gdy pierwszą ministram ds. równego traktowania została I. Jaruga-Nowacka, miałam nadzieję, że to pójdzie dalej i że za jakiś czas w każdym powiecie będzie obsadzone takie stanowisko. Potrzeba pójścia tą drogą była widoczna gołym okiem. Bardzo się pomyliłam. W skali kraju jest nas mało, garstka, a tam, gdzie PiS nastaje, likwiduje tę funkcję.

Coming out

Po raz pierwszy, jak wspominałam, dokonałam coming outu w wieku 23 lat przed koleżanką ze studiów. Od tego czasu coming out towarzyszy mi całe życie. Dokonuję go wciąż od nowa lub zastanawiam się, czy mam, powinnam, muszę się wyoutować. Problem jest wielopoziomowy, złożony, nieoczywisty.

W pracy, w życiu codziennym, w relacjach z obcymi nie myślę o tym, że jestem lesbijką. Żyjemy na tej samej ziemi, oddychamy tym samym powietrzem, musimy pić i jeść, żeby przeżyć, ale też zarabiać pieniądze, odprowadzać składki do ZUS i pamiętać, kiedy kończy się ubezpieczenie samochodu. Codzienne powierzchowne relacje nie wymagają outowania się, ani zastanawiania nad własnymi reakcjami, czy nad tym, jak postrzegają mnie inni. Jestem jaka jestem. Moja orientacja jest moją sprawą. Gdy idę do dentysty – moja orientacja jest moją sprawą. Kiedy idę do ginekologa – powinnam mu/jej powiedzieć, że nie rodziłam dzieci, ale też, że nie współżyję z mężczyzną i przy badaniu proszę o uważność. Muszę odnieść się do mojej orientacji, choć to nie jest komfortowe.

Gdy wchodzę w relacje pozazawodowe, w pewnym momencie zaczynam się zastanawiać, czy będę się outować. Wszystko zależy od kontekstu. W redakcji, w której pracowałam 27 lat, szybko połapali się, że jestem les. To za sprawą mojej nieroztropności. Pomyliłam dyskietki i zostawiłam szefowi nie tę z bieżącymi tekstami do gazety, ale z opowiadaniem do „Inaczej”. Moja orientacja jako dziennikarki nie była problemem, bo byłam kurą znoszącą złote jaja. Szefowie i jednocześnie koledzy, szybko zadbali, by ciekawostka na temat mojej orientacji dotarła do znajomych. Potem to się rozchodziło lotem błyskawicy. Można powiedzieć, że w moim miasteczku, kto chciał, to wiedział.

Jeśli poznaję kogoś, to zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że rozmowa zajdzie na tematy: masz rodzinę?, dzieci?, jesteś z kimś? Udawanie, że jest się w związku z mężczyzną, używanie męskiego imienia zamiast prawdziwego imienia partnerki to dziecinada. Można się tak bawić, gdy ma się 20 lat. Później albo nie wchodzi się w ten obszar, albo uznaje, że osoba warta jest zaufania, dojrzała, i wyznaje prawdę. Wszystko zależy od tego, z kim i jaka relacja ma nastąpić. Gdy uznaję (ocena trwa niekiedy bardzo krótko), że osoba warta jest prawdy, działam „na ostro”. Mówię, że mam partnerkę i oczekuję reakcji. Zwykle bardzo mnie interesuje to, co osoba zrobi z tą wiedzą. Jak zareaguje. Niektórzy muszą się oswoić, to trochę trwa. Bywają ludzie, którzy przyznają, że nigdy w życiu nie znali żadnej lesbijki, geja. Oczywiście teraz jest to coraz rzadsze. Miewałam znajome, którym imponowało to, że mogą się pochwalić przed innymi osobami, że są moim dobrymi znajomymi. Sądzę, że w ten sposób chciały zademonstrować światu swoją otwartość i nowoczesne podejście do życia.

W 2009 r. wydarzyło się jednak coś, co zaważyło na moim dalszym życiu. Po moim krytycznym i chyba dość złośliwym tekście w gazecie na temat miejskich władz, zareagował radny z PO, wiceprzewodniczący Rady Miejskiej. Alkoholik, który gdy w nocy się napił, otwierał komputer i wrzucał teksty. Napisał o mnie, że tępię władzę, bo sama

jako lesbijka nigdy nie będę mogła tej władzy sięgnąć. Nikt mnie nie wybierze, nawet na radną. Na koniec dodał: trzeba myśleć głową, nie jajnikami. Całe miasteczko skrupulatnie przeczytało tekst radnego. Moi szefowie skwitowali to wzruszeniem ramion: aż dziw, że dopiero teraz ktoś ci to zrobił.

Był piątek. Szliśmy na jakąś redakcyjną imprezę. Zanim wypiliśmy i zaczęłam się bawić, zadzwoniłam do Ani Laszuk. Ania powiedziała tylko: poczekaj, to jest temat, ale nie na jutro, tylko na poniedziałek. W poniedziałek informację o radnym, który ujawnił orientację seksualną lokalnej dziennikarki, pierwsze podało TOK FM. Potem do miasteczka ściągnęły regionalne i ogólnopolskie media. Biały jak ściana radny przepytywany w światłach kamery butnie i bełkotliwie coś tłumaczył. PO wyrzuciło go z partii, ale koledzy i kolesie pozostawili na funkcji wiceprzewodniczącego RM. O 22.30 wyłączyłam telefon, bo po emisji informacji w TVP 2 z Polski dzwoniли znajomi ze słowami wsparcia, a ja potrzebowałam ochłonąć po pełnym emocji dniu.

Najbardziej zapamiętałam telefon od pewnego prezesa, wspólnego znajomego, mojego i radnego. Chyba wtedy też był po alkoholu. Początkowo współczuł mi. Opowiadał, jaki to radny był niegodziwy, jak rządzi nim wódka. Na koniec poprosił, żebym się na nim nie mściła. To w sumie biedna ofiara nałogu z rodziną na utrzymaniu. Tak działa męska solidarność. Kobięca, niestety nie.

Nie pamiętam, czy to w ten pamiętny poniedziałek, czy dzień później jeden z bloków przedpołudniowych „Komentarzy” TOK FM był poświęcony „mojej” sprawie. Pamiętam, że Ania poprosiła o komentarze polityków, m.in. ówczesnego posła PO, Janusza Palikota. Wiedziałam wcześniej, że w radiu o określonej godzinie pojawi się temat. Zaprosiłam do siebie rodziców. Wspólnie wysłuchaliśmy „Komentarzy”. Tak odbył się mój coming out przed rodzicami. Miałam 49 lat. Rodzice cieszyli się, że wyszłam z tej sprawy z tarczą. Gratulowali, że okazałam się taka twarda.

Pointa tego wydarzenia okazała się tragiczna. W następnym roku były kolejne wybory samorządowe. Radny jak zwykle ubiegał się o mandat. Jotka, jaką mi urządził, nie spodobała się wyborcom. Bardzo nikła liczba osób głosowała na niego. Nie zdobył mandatu. Załamał się. Ponoć mocno pił. Zmarł pod płotem swojego domu w stanie upojenia alkoholowego. Koledzy próbowali jeszcze dedykować mu jakiś turniej piłkarski czy inną miejską imprezę sportową. Udało się to zablokować. Atmosfera obecnie jest taka, że być może jeszcze ufundują mu pomnik albo zostanie patronem jakiejś ulicy. To może być zemsta tych, którzy w moim miasteczku wciąż nie mogą pogodzić się z tym, że lesbijka przez dłuższy czas była sumieniem tej społeczności.

Opisałam dość szczegółowo tamte wydarzenia, choć niechętnie wracam do nich wspomnieniami. Przeraża mnie świadomość, że istnieją ludzie, których kompletnie nie interesuje to, jak bardzo mogą kogoś skrzywdzić, doprowadzić do tragedii. Gdybym miała inny charakter i inny bagaż doświadczeń, po wybryku radnego mogłam się załamać, popaść w nałóg lub targnąć na życie. On i ci, którzy mu kibicowali, nie mieli takich refleksji, że przecież dotknął najbardziej prywatnej sfery życia, że w ten sposób zranił nie tylko mnie, ale i moich bliskich, naraził na ryzyko ataków, utraty pracy itd. Był taki incydent, krótko po tym wydarzeniu, pewien przyjaciel radnego, lokalna

kanalia, zaczął interesować się pracą A. w szkole, czy aby nie krzywdzi uczennic. Na szczęście kilka osób, w tym dyrektorka szkoły, zareagowała szybko i właściwie. Sprawa w końcu ucichła.

Polityka

Słowa radnego wywołały u mnie refleksję, która doprowadziła do tego, że niewiele brakowało, a zostałabym pierwszą w historii tego kraju lesbijką prezydentką miasta. Ale po kolei.

W liceum, pod koniec lat 70., starsze roczniki próbowano werbować do PZPR, ale to był dla nas obciach, taki sam jak jęz. rosyjski. Historia zawsze podawana jest wg aktualnego zapotrzebowania politycznego. Już pisałam, że kompletnie nie obchodził mnie ten przedmiot. W tym czasie nie interesowałam się ani historią, ani współczesnym obrazem kraju. Człowiek w wieku kilkunastu lat interesuje się głównie sam sobą i odkrywaniem siebie na tle świata. Wstrząs przeżyłam w wieku 17 lat, gdy wspólnie z mamą (to był ten jeden z nielicznych wspólnych wyjść do kina) obejrzałyśmy, w niemal pustej sali kinowej, „Człowieka z marmuru”. Pomijając fakt, że po wyjściu z kina postanowiłam, wzorem filmowej Agnieszki granej przez K. Jandę, żywić się wyłącznie suchymi bułkami, coś tam zaczęło do mnie docierać, gdzie żyję i jak wyglądają mechanizmy władzy w przełożeniu na los zwykłego człowieka. Jednak w tamtym czasie, a był 1977 r., bardziej fascynowała mnie interpretacja Jandy utworu „Guma do żucia” niż historia i dalsze losy kraju.

Na studia trafiłam w gorącym okresie rodzenia się Solidarności i stanu wojennego. Zapisałam się do NZS, ale nie zaangażowałam się w jego działalność, bo jak wiele razy w przyszłości, koniunkturalizm działaczy, rozdźwięk między tym, co mówią, a tym, co robią, zrażał mnie do nich i do działania. Niemniej jednak brałam udział w studenckim strajku tuż przed stanem wojennym i chyba trzy tygodnie spędziłam śpiąc w śpiworze na podłodze uczelnianej auli. Stan wojenny podciął skrzydła nie tylko mnie, pozbawił złudzeń. Byłam zbyt niedojrzała, aby w tym czasie zaangażować się w działalność podziemną. Zagoniono nas do nauki, a bunt przejawiał się w noszeniu czarnych golfów 13. dnia każdego miesiąca. To był też czas lektur przemycających w plecakach z Francji, Anglii. Fatalnej jakości bibuła, tekst składany nonparem: Orwell, Gombrowicz, Mrozek, Miłosz, ale też „Tygodnik Powszechny” z zaznaczonymi ocenianymi tekstami.

Rozpoczynając pracę w miejskim, a z czasem powiatowym tygodniku, siłą rzeczy musiałam zainteresować się polityką. Uważałam i wciąż uważam, że na lokalnym szczeblu do solidnego zarządzania gminą czy też miastem nie są potrzebni politycy, tylko dobrzy gospodarze. Niestety, reprezentuję raczej odosobniony punkt widzenia. Pracując przez lata w prywatnej, niezależnej gazecie obserwowałam powolny upadek kultury politycznej i norm etycznych wśród ludzi, którym udało się dorwać do władzy. Zanim nauczyliśmy się, czym jest społeczeństwo obywatelskie, lokalni decydenci

robili wszystko, by kapitał społeczny nie wychylił się powyżej poziomu zero. Przez pierwsze lata dziennikarskiej pracy uznawałam, że jesteśmy wciąż w procesie transformacji i z kadencji na kadencję jakość zarządzania miastem będzie coraz lepsza, bo ludzie po prostu przyswoją wiedzę i mechanizmy. Czas pokazał, że bardzo się myliłam.

Pisząc do gazety, przeżyłam siedmiu prezydentów mojego miasta. O niektórych mogłabym napisać książkę, ale sumując, nie warci są tego, aby znaleźć się na kartach bardzo osobistego pamiętnika. Dość powiedzieć, że moje miasto nie miało szczęścia do władzy i do gospodarza. Paskudny tekst radnego wyzwolił jednak pewną myśl. A czemuż niby nie mogłabym być radną? Jako dziennikarka nie wyobrażałam sobie łączenia tych dwóch funkcji, ale przecież nie muszę być całe życie dziennikarką. Pojedynczy radny nic nie może i niewiele znaczy. Jeśli chce się coś zmienić, to trzeba iść na całość. Trzeba zostać prezydentką.

To była na pewno najtrudniejsza decyzja w moim dotychczasowym życiu. I początkowo myślałam nawet o wyłowieniu młodszej, energicznej, wyedukowanej kobiety, którą wypromuję poprzez gazetę. Ostatecznie przekonano mnie, że jestem najbardziej rozpoznawalną facetką w mieście. Rok zajęło mi budowanie własnego, niezależnego komitetu wyborczego. Byłam znana. Znałam problemy i życie miasta. Byłam aktywna społecznie, organizowałam lokalne Kongresy Kobiet. Nigdy nie należałam do żadnej partii. No i nie było na mnie haka. Nie można mnie było zaszantażować z powodu dzieci, męża lub innych członków rodziny, zatrudnionych w podległych miastu instytucjach. To powszechna praktyka w niewielkich społecznościach. Nikogo takiego nie miałam. Jedyne oręż, jakim była moja orientacja, został wytracony z rąk oponentów. Wszyscy już się o mnie dowiedzieli i przy okazji nauczyli, że przynajmniej głośno, nie należy o niej mówić, bo może się to źle skończyć. I tak postanowiłam spadać z wysokiego konia. W 2014 r. wystartowałam w wyborach samorządowych na fotel prezydenta miasta. Miałam 54 lata.

Byłam w gronie pretendentów do prezydenckiego fotela jedyną kandydatką. W pierwszej fazie kampanii nie traktowano mnie poważnie. Starzy partyjni wyjadacze byli przekonani, że dziennikarka lesbijka jest bez szans. Nie będę opisywać szczegółów kampanii, pracy, jakiej ona wymaga, gdy nie dysponuje się ani pieniędzmi, ani zapleczem w postaci struktur, a jedynie ma się wsparcie garstki ludzi, ich entuzjazm i wiarę, że się uda i zacznie budować normalne miasto. Gdy weszłam do II tury wyborów, pokonując czterech kandydatów, w tym urzędującego od ośmiu lat prezydenta, sytuacja uległa radykalnej zmianie. Moim kontrkandydatem stał się ówczesny poseł PiS. Bał się debaty ze mną. Debata zatem nie było. Za to dwa tygodnie dzielące głosowania były koszmarnie. Dla niego przegrana z lokalną lesbijką byłaby końcem politycznej kariery w PiS. Rzucono więc wszystkie możliwe siły i środki, by mnie pokonać. Po domach chodzili pisowscy agitatorzy, którzy tłumaczyli ludziom, że prezydentem miasta nie może być lesbijka. W konwencji wyborczej kandydata PiS wziął udział J. Kaczyński, który ponoć w wystąpieniu poświęcił mi dwa zdania, mówiąc o moich „specyficznych skłonnościach”. Sponsor kontrkandydata opłacił koncert A. Majewskiej

i W. Korcza w kościele. – Wnusi, ja bym może zagłosowała na tą panią, ale ksiądz mi powiedział, że nie przyjdzie na mój pogrzeb, jak będę na nią głosować – opowiadała mi znajoma o tajnikach negatywnej kampanii wobec mojej osoby. W wyborczą niedzielę w kościołach, przynajmniej niektórych, padały wprost słowa o tym, na kogo głosować, i straszenie moją osobą. Niewiele, ale jednak przegrałam. Robert Biedroń wygrał ten wyścig, ale jemu było łatwiej, bo kontrkandydat był z PO i kościół w Słupsku odpuścił, a wtedy jeszcze nie straszono LGBT.

O poziomie nowego prezydenta mojego miasta świadczy choćby to, że nie zaprosił mnie na zaprzysiężenie. Wróciłam do dziennikarskiej harówki. Nie było mi żal, że przegrałam. Było mi żal mojego miasta, że straciło szansę darmowej promocji, wybić się do nielicznej grupki miast progresywnych, odpartyjnięcia stanowisk, realizacji strategicznych celów przedstawianych w moim programie wyborczym, a najbardziej uczniów szkół nie mających szans na nowoczesną, rzetelną edukację. Mój ojciec, który zmarł na raka trzy dni po wyborach, cieszył się, że przegrałam. Wiedział, że w tej pracy bym się zatraciła i przeplaciła to zdrowiem.

Po roku były wybory parlamentarne. Zaproponowano mi w nich udział i trochę z rozpędu zgodziłam się na to. Dostałam „jedynekę” na liście Nowoczesnej. To był z mojej strony błąd, bo partia polityczna nie jest środowiskiem, w którym mogę się odnaleźć. Politycy nie potrafią nie kłamać, a ja jako dziennikarka całe życie musiałam ważyć każde zdanie, bo za pisanie nieprawdy grozi sąd i wyrok. Znów przegrałam. W moim okręgu potęgą jest Antoni Macierewicz. Od lat ciągnie listę.

Popularność, jaką przyniosło mi pisanie, a potem udział w wyborach, ciążyła moim szefom. Ludzie na ulicy kojarzyli tytuł gazety z moim nazwiskiem, a nazwiska właścicieli gazety nic im nie mówiły. To było dla obu panów nie do zniesienia. Poza tym było jeszcze coś. W redakcji koleżdy i koleżanki wiedzieli, że rozstałam się z A. i mam nową partnerkę. Obaj szefowie byli po rozwodach, jeden nawet dwukrotnie. Nie stanowiło to dla nikogo problemu. Mnie z moją odmienną orientacją tolerowano, ale lesbijka zmieniająca partnerkę? O, to było już zbyt wiele. Za ten krok spotkał mnie ostracyzm otoczenia. Oczywiście nie całego, ale tak to odczułam.

W redakcji nie było już dla mnie miejsca. Właściciele chcieli, abym całkowicie się im podporządkowała. Chcieli mnie poskromić i upokorzyć. To było dla mnie nie do zaakceptowania. Przez wszystkie lata współpracy miałam całkowitą swobodę w stosunku do tego, co piszę i jak piszę. Inaczej nie wyobrażałam sobie dziennikarstwa. Uciekłam na zwolnienie. Potem na zasilek rehabilitacyjny. W tym czasie próbowałam stworzyć własny powiatowy portal informacyjny. Nie miałam już jednak serca do mojego miasta, a jak się nie ma do czegoś serca, to nie ma sukcesu. Poza tym mieszkalam już 50 km dalej.

Rozstałam się ostatecznie z moim miastem. Mieszkam w mieście 10 x większym. Z jednej strony nie widzę różnicy w tym, jak toczy się życie codzienne. Z drugiej, mam komfort, że moja orientacja nie budzi żadnych emocji, nikt się nią nie interesuje, straciłam uliczną rozpoznawalność, co jest mi na tym etapie życia i sytuacji w kraju, na rękę.

Mieszkając w powiatowym miasteczku z radością zaangażowałam się w działalność Kongresu Kobiet, ale jakoś nie widziałam się w roli działaczki Lambdy czy też KPH. Byłabym zapewne jedyną w miasteczku. Zatem nie miało to sensu. Od wielu lat (10?) na znak solidarności ze środowiskiem noszę tęczowy silikon na przegubie ręki. Wpinam tęczową flagę w klapę żakietu. Mój wkład na rzecz społeczności LGBT to był też bój o fotel prezydentki. Była nim moja sztuka. Ale też np. udział w Żywej Bibliotece w charakterze „książki”. Bibliotekę uważam za bardzo pożyteczne działanie. Przede wszystkim każdy dzień mojego życia potwierdza, że mam takie same prawa jak pozostałe 95% społeczeństwa. Nie pozwolę sobie ich odebrać. Całe moje życie to świadectwo zmagania o godność i szacunek wobec tego, co robię i jak żyję. Udało mi się żyć według własnych reguł i mieć poczucie, że jestem wolnym człowiekiem, a raczej – bo człowiek to pojęcie abstrakcyjne – wolną kobietą.

Czas na zakończenie tego pamiętnika. Chciałabym móc dalej pracować. Jako przyszła emerytka mam też plany na własną działalność taką, by nie umrzeć z głodu na ZUS-owskim świadczeniu. Polityka jest strasznie wciągająca, ale już wiem, że będę się trzymała od niej z daleka. Gdybym się jednak zapędziła – poskromi mnie moja partnerka. Nie wiem, co z działalnością społeczną. Sytuacja w kraju nie daje powodów, by z radością i satysfakcją podsumowywać dotychczasowe życie. Lata rządów PiS, a zwłaszcza ostatni rok, dają dowód klęski wolnościowych hasel, wizji tolerancyjnego i otwartego kraju. Trzy dekady pracy zostały zaprzepaszczone. Mam tu na myśli również moje osobiste zaangażowanie i zmagania w czasie pracy w gazecie, edukowanie czytelników i czytelniczek. Ludzie nie chcą być lepsi i mądrzejsi, rozumieć, cieszyć się wolnością. Ludzka niepohamowana chciwość niszczy wszystko. I wciąż potrzebny jest im wróg, na tle którego mogą czuć się lepszymi, nawet jeśli jest całkiem odwrotnie. Geje i lesbijki idealnie wpisują się w wizerunek wrogów, bo są nie tylko inni, ale też nie potrafią walczyć na kije i kamienie. Skoro w 2020 r. doszliśmy do takiego stanu, tzn. że Polska na drodze do demokracji i nowoczesnego europejskiego kraju poległa. Pewnie sytuacja kiedyś się odmieni, ale już bez mojego zaangażowania, a być może w ogóle beze mnie.

Piotr Chlebus-Jancarczyk

kToś(ka)

Ur. w 1976 r. w Cieszynie. Trans kobieta, lesbijka.
Mieszka w Wiśle.

Mam na imię Piotr (choć imienia tego nie lubię, a tym bardziej z jakimikolwiek zdrobnieniami). Przed urodzeniem miałem być podobno dziewczynką – szkoda, że już wtedy to się tak nie ułożyło. Przyszedłem na świat w środę. Pół godziny po „westernowskim” południu. Może to i dobrze, przynajmniej trupa nie było. Pif-paf. I tych przelatujących przez drogę suchych traw. Choć od jakiegoś czasu przebrzmiewa w mych uszach charakterystyczna muzyka przed pojedynkiem (ponoć to od stresu piszczy mi w uszach). Urodziłem się pośladkowo – poród ten jest do dzisiaj traktowany jako poród najwyższego ryzyka. Cóż, nikt nie mówił, że życie jest usłane różami a jedzenie bułek nie pomaga kobiecie by poród był łatwy. W dodatku zaraz po urodzeniu obsiakałem pielęgniarkę. Według personelu medycznego zaznażyłem swoje podejście do świata: że będę miał wszystko w *upie i będę olewał wszystko. Cóż, kolejna niesprawdzona wyrocznia i wszędobylski chichot losu.

Aktualnie mam 44 lata, pracuję (jeszcze – zobaczymy co będzie po wyborach) od ponad 17 lat w bibliotece. Jestem żonaty i mam wspaniałą, 11-letnią córkę, która jest jakby moją kopia, moim prawdziwym ja (np. mówi: tata, jak wychodzimy razem do sklepu, a czemu oczy masz niepomalowane, albo: tata, a widziałaś?). Ukończyłem studia wyższe o specjalności edukacja filozoficzno-społeczna. Wraz ze starszym o 4 lata bratem byliśmy wychowywani przez mamę. Mój ojciec był podoficerem Milicji Obywatelskiej, niestety popełnił samobójstwo (zastrzelił się w domu z broni służbowej), gdy miałem 7 lat. Wspominam o tym dlatego, że mój brat nie wykazuje rozważań odnośnie swojej tożsamości płciowej – czyli mogę zaryzykować stwierdzenie, że względem „pewnej” części społeczeństwa jest on normalny. Przynajmniej do teraz nie poruszaliśmy tego zagadnienia.

Od dzieciństwa (okres szkoły podstawowej) dobrze się czułem w ubraniach przeznaczonych dla płci przeciwnej od mojej „zastanej”. Chciałoby się rzec, że w kobiecych ubraniach czuję się dobrze, jak we „własnej skórze” – z tym, że nie czuję się w niej dobrze. Więc napiszę, że czuję się w nich naturalnie.

Koledzy czasem zauważali moją odmienność (?) w zachowaniu i mówili, że siedzę jak panienka czy chodzę jak sarenka. Tyle że to był dla mnie naturalny sposób siedzenia i nie odbierałem tego jako coś niewłaściwego, a oni nie krytykowali tylko stwierdzali z uśmiechem fakt. Natomiast o mym „naiwnym” romantyzmie – jak to życie brutalnie zweryfikowało – nie wspomnę. Wszakże to uniwersalna – taka uniseks – „przypadłość”. Moja mama ukuła stwierdzenie, że jak nie wiedziała gdzie jestem, to wystarczyło odszukać grupkę dziewczyn i była pewna, że wśród nich będę ja. Ale nie tylko z dziewczynami lubiłem spędzać czas, kolegów też miałem. Bawiłem się żołnierzykami, pluszakami itp. Jednak to z dziewczynami miałem lepsze relacje. Z nikim nie rozmawiałem o tym, że wolę nosić damskie ubrania i że się w nich dobrze czuję. Kiedy pozwalały mi okoliczności, w domowych pieleszach ubierałem czy to sukienki czy spódnice. Raz mama „przyłapała mnie” na tym, że chodziłem w rajtkach, ale nie zrobiła mi bury.

Nie obnosiłem się z tym na zewnątrz, poza rozjaśnionymi na jasny blond moimi włosami. Teraz ponownie zapuszczam długie włosy – nim wyłysię, ach zakola lecą – gdyż były moim marzeniem (długie włosy, a nie zakola). Jednak zawsze ktoś stał na przeszkodzie mówiąc, że w spiętych włosach wyglądam jak dealer. Nie raz dostałem – za długie włosy – w technikum przysłowiowy „prezent”, jaki otrzymali w kawale Marsjanie od Polaków. Raz brat nie mogąc znieść mych długich włosów zabrał mnie do renomowanego fryzjera. Jaka była mina mego brata, gdy zobaczył, jak fryzjer nie zrobił mi męskiej fryzury, ale coś na kształt dłuższego „boba”, z grzywką wyprostowaną prostownicą, to możesz sobie wyobrazić. Wyglądałem jak rasowa blond modelka, tzn. model. Jestem szczuplej budowy ciała – przydałoby się trochę tłuszczu tu i ówdzie – w miarę długie i zgrabne nogi (które wkurzają moje koleżanki z pracy), mam 173 cm wzrostu, chociaż pierwotnie 176 cm w dowodzie, mały tyłek i płaski biust – to ostatnie próbuję tuszować nosząc czasem protezy piersi. Moje rozeznanie w protezach niestety przydało się, gdy moja serdeczna koleżanka z pracy zachorowała na raka piersi i musiała poddać się mastektomii. Razem przeglądaliśmy biustonosze i protezy.

Kilka lat temu miałem w pracy „coming out” – reakcje koleżanek nie były negatywne. Rzekłbym, że dyplomatycznie zaakceptowały. Pomagają mi czasem w makiżu czy ogarnąć fryzurę (zapleść warkocze). A jak z czasem jest zainteresowanie moją osobą w mediach społecznościowych to zaczęły mówić, że to dzięki nim jestem sobą jako Tosia. A tak, jedna moja koleżanka z pracy „ochrzciła” mnie imieniem Tosia. Uznała, że ono mi pasuje i tak zostało. Czasem wołają na mnie Tocha – to gdy ujawnia się mój specyficzny „wredny” (?) charakterostyl – a czasem, jak chcą coś po mnie, to wołają Antoinette, co brzmi według nich tak jakby „światowo”. Ot, czasem mówią, że jako Tocha to jestem taka typowa bitch (szwagierka użyła określenia: typowa

„biurwa”). Koleżanki także stwierdziły, że wystarczy, iż ubiorę buty na obcasach czy spódniczkę, to wtedy widać, że jestem szczęśliwa i radosna.

W pracy ponoć ciężko poznać moją biologiczną płęć przez telefon i czytelnicy, gdy z nimi rozmawiam, zwracają się do mnie per Pani. Miło mi jest z tego powodu i skutkuje to czasem zabawnymi wydarzeniami. Na przykład czytelniczka, która rozmawiała przed chwilą ze mną przez telefon, przychodzi po książki. Obsługuje ją moja koleżanka i ta Pani mówi, że rozmawiała z taką Panią i miały być książki dla niej odłożone. Później koleżanka lata po pracy rozpytując, z kim owa czytelniczka rozmawiała. Dopiero na koniec się zreflektowała, że to ze mną. Natomiast nie spotkałem się z negatywnymi odczuciami wśród czytelników – przynajmniej nic mi oficjalnie o tym nie wiadomo. W pracy byłem świadkiem pozytywnych reakcji. Począwszy od zawstydzenia czytelniczki, że to ja mam pomalowane paznokcie, a ona „taka stara baba” nie ma zrobionych i że jak wróci do domu to sobie pomaluje. Zdarzyło się też, że czytelniczka, gdy odeszła po tym jak ją obsłużyłem, wróciła i powiedziała mojej koleżance, że ja to muszę mieć odwagę, że mam pomalowane paznokcie, a ona zawsze marzyła, by zafarbować sobie włosy, jednak zawsze się bała, „bo co ludzie powiedzą”. Raz czytelniczka radośnie oznajmiła: o mamy taki sam kolor paznokci. Jednak przytrafiła mi się jedna reprimenda od czytelniczki. Powiedziała: a to dlaczego nie mam pomalowanych paznokci? Fakt nie miałem wtedy – teraz mam, czerwone hybrydy, zalaminowane rzęsy i zrobione brwi, a jutro idę na hybrydy na stopy. Tak, temat paznokci ciągle na topie, bo to one rzucają się w oczy, jak obsługuję czytelników – a przeważnie jestem w dziale gromadzenia i opracowania zbiorów.

Co do ubioru – niestety jeszcze nie mam aż takiej odwagi, aby wyjść na luzie tak ubrany „na miasto”. Jesienią i zimą mogę sobie pozwolić na chodzenie w butach na obcasach i spódniczkach, gdyż mogę je zakryć dłuższym swetrem a obcasy giną w śniegu. Zdarzyło mi się wyjść zgrabniej ubranym do pracy mając rozpuszczone włosy i masz ci los, kierowcy trąbili na mnie (to znaczy, jak mnie widzieli tylko z tyłu). Ciekawe jakie mieli miny, gdy obejrzelisi się za mną. Kiedyś wracałem w wysokich obcasach z autobusu do domu. Przejście 2,5 km zajęło mi ponad godzinę, z nogi na nogę, kręcąc tyłkiem.

Dwa lata temu miałem w pracy bolesny wypadek. Przytrafił mi się ciężki atak tężyczki – kwestia braku mikroelementów i małego nawodnienia oraz dużej ilości spożytej Coca-Coli – piłem ją od dzieciństwa. Była dla mnie jak woda. Mogłem spokojnie wypić Coca-Colę czy Pepsi i iść od razu spać. Teraz już jej nie tknąłem od tego czasu. A tak, po kawie też mi się automatycznie zaczyna ziewać. Też jej już nie piję. W skrócie, podczas ataku w bólu, gdy pożegnałem w myślach się z wszystkimi, padłem „trupem”. Ocknąłem się jak wprowadzali mnie do karetki, gdzie miałem drugi „zgon” po ataku hiperwentylacji. Obudziłem się na SORze. Lekarze nie wiedzieli, co mi to było, a atak padaczki wykluczili. TK głowy wykazał niewielką torbiel podpajęczynkową. Byłem na konsultacjach u neurologa i kardiologa – wszystko w porządku. Wyniki krwi, moczu książkowe – jak na mój wiek. Jedynie jakieś zmiany w płucach od przebytego w dzieciństwie

obustronnego, bezgorączkowego zapalenia płuc, aż kardiolog zapytał mnie czy sobie „popalam” – przeleciał aparatem do USG moje płuca. Powiedziałem, że nie. Jednak nie dawało mi to spokoju, więc zapytałem doktora, czy coś złego mam w płucach? A to się okazało, że doktor kojarzy mnie, a ja jestem artystyczną duszą, a artyści lubią sobie popalać. Od tego wypadku w pracy nabawiłem się nerwicy lękowej przed ponownym atakiem, jednak już z dnia na dzień jest coraz lepiej. Można powiedzieć o niebo lepiej.

Powiedziałem mamie o wszystkich moich przemyśleniach, sytuacji w domu – żona nie akceptuje mojego prawdziwego ja (czy jak to nazwać „wewnętrznego rozdarcia”). Że lepiej by było jakbym faktycznie był kobietą, tak jak się czuję. I mama zaakceptowała to. Pewnie nie było jej łatwo. Po tym wypadku przeraziłem się, co by było jakby to sanitariusze, czy to w szpitalu zobaczyli, że mam pomalowane paznokcie oraz damską garderobę i nie daj Boże biust. Rozdałem i wyrzuciłem większość mojej garderoby (zostawiając sobie dwie pary butów na obcasach – córce się spodobały – i kilka spódniczek). Postanowiłem, że zostanę „Piotrowiczem”, bo inaczej byłby „śmiech na sali”, że taki „dziwak” się trafił, jakby mnie się znowu co przytrafiło. Nawet w pracy uczciliśmy ciastem pożegnanie z Tosią.

Jednak po pewnym czasie i to nie aż tak długim ponownie ubrałem się jak Tosia. Nie mówię, że to jest silniejsze ode mnie, jednak powiedziałem sobie czemu mam tłumić w sobie to co czuję i w czym się dobrze czuję. Przecież nie wiadomo, ile jeszcze pożyję – rozmyślania po wypadku – zawsze robiłem tak jak inni chcieli, bo tak wypadało. Wreszcie najwyższy czas zacząć być sobą i nie bać się tego pokazać. Przecież nie robię nikomu na złość ani tym nie krzywdzę (?). Tak, było powitalne ciasto. „A rzyć zostaje za winklem” – cytując klasyka.

Czekam na wydanie transKARTY – kolejny mój krok milowy do „normalności”.

Zacząłem ponownie malować paznokcie, ale już nie chowam palców przed wzrokiem innych – w pracy jak mam ochotę chodzę w obcasach, tunikach, spódniczkach. Mam pomalowane oczy. Lecz jak wspomniałem powyżej, niestety moja żona nie akceptuje mnie takiego jakim jestem, a przecież chyba to jest ważne jakim się jest człowiekiem, a nie jak się wygląda? Nie wspiera mnie, bym coś zrobił w kierunku aby skorygować pleć. Uważa, że ją okłamałem, nie mówiąc jej tego jakim jestem. Gdyby to było takie proste i miałbym wtedy na tyle odwagi i wsparcia – och gdyby mieć takiego osobistego demona Luciego jak z bajki pt. „Rozczarowani”, który ponad dekadę temu by mi powiedział: „zrób to, zrób to” – to sam bym się nie pakował z nią w żaden związek.

A ja chcę być wreszcie sobą.

Tylko kim jestem? Naczytałem się już dawno literatury na temat tożsamości płciowej, robiłem z ciekawości test i psychotesty, quizy dotyczące płci mózgu (wychodzi, że mam dominujące cechy kobiece). Czytałem różne fora internetowe. Zastanawiałem się czy może chodzi tutaj o transwestytyzm fetyszystyczny? Ale nie ubieram się z pobudek seksualnych. Ubieram się, bo w nich czuję się swobodnie. Owszem,

podobają mi się kobiety, ale podobno nie należy mieszać pojęcia tożsamości płci z preferencjami seksualnymi.

A może faktycznie dać sobie na wstrzymanie i iść w diabły z nie wiem jak to nazwać... z „przebierankami”? A jeśli faktycznie jest nadzieja, że moje odczucia są prawdziwie prawdziwe, a nie wytworem chorego umysłu to czy jest sens w moim wieku?

Żona powiedziała, żebym szedł porozmawiać z lekarzem. Bo widzi, że ja się męczę i ona się męczy.

Tylko fajnie by było jakby mnie akceptowała takim jakim jestem. A tak jakby się okazało, że mogę skorygować pleć to bym musiał się wynieść z domu (i jak tu przeżyć rozstanie z córką, a mamy bardzo dobry kontakt – przynajmniej dzięki mnie wie, że można się malować i nosić spódniczki – żona nie lubi się malować). Według mnie, po 13 latach „obserwacji” stwierdzam, że moja żona idealnie by się sprawdziła jako samotna osoba i w dodatku jako typowy facet.

Do teraz mówi, że mnie nie zna i nie wie na przykład co mi kupić na prezent.

Czy może „zaczynać pośladki” ale bez wyrzekania się z dotychczasowych „upodobień” i poczekać na rozwód do pełnoletności córki a wynieść się z domu jak tylko pozwolą mi warunki finansowe (mieszkam w domu u teściów)?

Twardy orzech do zgryzienia.

Zatem napisałem do psycholog z „Transfuzji.org”, czy z mojego zagmatwanego listu da się wywnioskować co to jest ze mnie za osoba? Bo na razie to tak mówiąc kolokwialnie „ni to pies, ni to wydra”? Nawet nie wiem czy mam pisać jako „on” czy „ona” by było poprawniej. Oficjalnie on czyli Piotr a nieoficjalnie, ale prawdziwie, Tosia czyli ona.

Wiesz co, dostałam odpowiedź. Zauważ, że napisałam teraz to jako ona. Ot taki mój uśmieszek w twoją stronę gdy będziesz to czytać. Ja po przeczytaniu listu od pani psycholog chodzę prawie cały czas uśmiechnięta, powodując podejrzliwy wzrok u części rodziny – pamiętasz tę scenę z filmu „Nigdy w życiu!” jak Judyta przychodzi do pracy po udanym seksie? O to też taką mam minę jak ona. W pracy mówią mi koleżanki, że chodzę jak nakręcona. Warto napisać do psycholog, powiedzieć co leży nam na sercu. Jak jeszcze tego nie zrobiłaś/zrobiłeś to na co czekasz. Piotr zwlekał z tym tyle lat. Nie bądź jak Piotr. Nie trać, żadnej swej chwili życia.

Chciałabym napisać Ci, że ze mną jest wszystko w porządku i jestem normalna. Powiedzmy, że znaczy się normalna w moich odczuciach bo fakt, że mam ciało niesynchronizowane z moją duszą to nie jest „normalnie” normalne. Ale takie coś zdarza się.

Po lekturze listu od pani psycholog, zakładamy u mnie albo transseksualizm albo to drugie co się zwie transwestytyzm o typie podwójnej roli. Aż musiałam sobie wygoogłować co to znaczy transwestytyzm o typie podwójnej roli – czegoś takiego nie znałam. Wiem, wiem, mogę powiedzieć – ot blondynka ze mnie (żona powiedziała mi z wyrzutem, że jakiś znajomy zapytał ją: jak tam twoja blondyneczka? To znaczy jej, nie moja).

Wracając do analizy listu. Wikipedia wymienia, posiłkując się książką Stanisława Pużyńskiego pt. „Klasyfikacja zaburzeń psychicznych i zaburzeń zachowania w ICD-10. Badawcze kryteria diagnostyczne”, że jest to „zaburzenie zachowania z grupy zaburzeń identyfikacji płciowej charakteryzujące się przebieraniem się w ubiory płci przeciwnej bez motywacji seksualnej”.

Czy podchodzą pod tą definicję wszystkie kobiety, które chodzą ubrane ot na przykład w spodnie (w ponoć męską część garderoby), dla przykładu moje koleżanki wolą chodzić w spodniach i dziwiły się, że ja wolałam w zeszły piątek w spódniczce obsługiwać czytelników? O albo aktorzy starożytnego teatru? To też coś z nimi „nie teges”? – i nie mam na myśli faktu, że już nie żyją.

Jak bym miała się w tych dwóch klasyfikacjach odnaleźć – innych przyjaznych terminów dla „laików” nie ma? Ludzie uwielbiają wprost klasyfikować, nadawać nazwy różnym różnościom. Wtedy czują, że posiadli „panowanie” nad tym czymś. Coś jak z imieniem demona. Znasz je to masz nad nim panowanie. Fakt, czasem to pomaga.

Chociaż, w sumie co ja się będę nad tym zastanawiała – aż powiało Scarlett O’Harą. Czy wielbłąd – to zwierzę jeszcze wystąpi w tym tekście – zastanawia się czy ktoś klasyfikuje go do ssaków parzystokopytnych czy w ogóle się nad tym zastanawia?

Wątpię – jak to miała – w młodej młodości – w zwyczaju mawiać moja córka. Jest po prostu sobą. Zostawię to na czas diagnozy „na żywo”. Teraz jest inaczej – teraz jest koronawirus.

Oj tak, życie w nie swojej skórze jest bardzo trudne. To cierpienie prawie 24 godziny na dobę (minus czas na spanie). Patrzysz się w lustro i masz siebie dość. Osoba, która tego doświadczyła albo taka która posiada wysoką empatię jest w stanie zrozumieć drugą taką osobę. Jak patrzę w lustro od dołu do szyi – w ubraniu – to nie jest źle, gorzej jak popatrzę na głowę, która zewnętrznie zupełnie nie pasuje do całości. Koleżanki żartują w pracy, że będą cierpieć na rozdwojenie jaźni i będą wymagać opieki psychologicznej. Gdy się patrzą na mnie – właśnie od dołu i tyłu wyglądam jak kobieta. Jak popatrzą na głowę to już nie.

Wspomniany wcześniej „wypadek w pracy” sprawił, że uzmysłowiłam sobie, że w każdej chwili moje życie może się skończyć. Może nie dzisiaj, nie jutro. Ale nie jestem nieśmiertelna i dlatego mam w swoim życiu nie być szczęśliwa. Za jakie grzechy. No chyba, że bym chciała zostać świętą z tego cierpienia. Wyobrażasz to sobie? Święta Antoinette. Ta co poświęciła swoje życie by dogodzić innym – chociaż nie mam nic przeciwko dogadzaniu – ale o sobie też nie należy zapominać.

Pewnie może się wydawać, że mój „coming out” to takie szast-prast, proszę siadać – dziękuję postoję, przyszło mi łatwo. Ech, to wychodzenie z szafy było i jest okupione nerwami, nieprzespanymi nocami, stresem (zważywszy, że mam brodę). Ale prawda, z coraz mniejszymi nerwami (kwestia pewności siebie i poczucia wartości), a brodę skracam z tygodnia na tydzień, z dnia na dzień a miałam pokaźną. Ba, nawet byłam ambasadorem firmy produkującej kosmetyki do brody i wygrywałam konkursy dla brodaczy. Wiesz, broda niezbyt pasuje do szpilek. Ale kto tam brodatemu zabroni.



Dwa autoportrety Tosi (ze zbiorów prywatnych Autorki)



Portret Tosi (wykonany przez Roberta Heczko, ze zbiorów prywatnych Autorki)

Jakbym jej nie miała to, od biedy, byłoby ciut lżej (make-up czyni cuda ponoć). Jednak na razie ją mam, gdyż córka wpierw prosiła, abym ją zapaściła, bo będę wyglądał jak Św. Mikołaj i przez to będzie dostawać więcej prezentów a bez brody mówi, że wyglądam fatalnie.

Pewnie coś w tym jest – wciąż przydałoby mi się więcej tłuszczu niż dalej te moje 7,6% ooch... Wrrr, jak już o tym wspomniałam mam szczupłą budowę ciała – nie tylko temu, że nie przepadam za jedzeniem. Tutaj z żoną się zgadzamy: ona uważa, że seks może nie istnieć a ja, że jedzenie. Jako że zajmuję się genealogią rodzinną, wykonałam badania genetyczne z których się dowiedziałam (poza kwestiami przydatnymi w genealogii – jestem zachodnią słowianką – haha, jeju wyobrażasz sobie jakbym tak wyglądała jak Cleo w teledysku „My Słowianie”? Cały świat by leżał u moich stóp), że między innymi mam zwiększoną odporność na uzależnienie od narkotyków, parę dobrych genów długowieczności czy fakt, że trudniej mnie zahipnotyzować – ach, żegnaj możliwości poznania kwestii reinkarnacji – to mam genetycznie budowę ciała, którą charakteryzują się biegacze długodystansowi.

Wiesz, chcę Ci jeszcze coś wyznać, że jest ktoś kto wierzy we mnie, że może mi się udać z tranzycją, a moim marzeniem byłoby gdybym przeszła całą tranzycję i żebyś funkcjonowała jako kobieta. I to bez względu jak potoczą się relacje z moją żoną – chociaż dążę do tego by były w porządku. Chociaż to, że jej nie powiedziałem wcześniej to już pewnie nie jestem „w porządku”. Chcę przejść leczenie hormonalne. Boję się operacji – a i zapewne mnie na nią nie stać. Ja tam tylko raz w szpitalu byłam jako pacjent a kilkanaście razy jako osoba wizytująca (na przykład brrr widok kostnicy wieczorem nie jest miłym widokiem).

Korekta prawna płci w Polsce, z tego co się kiedyś orientowałam, wymaga SRS i pozwu rodziców. Po kiego cziora ktoś wpadł na pomysł aby pozywać rodziców? Przecież to jest absurdałne.

Jakby to oni mieli jakąkolwiek moc sprawczą nad wyborem płci nienarodzonego dziecka.

A może by tak pozwać na świadka „Stworzyciela”? To już byłoby coś. Ale to w Polsce nie przejdzie. Na razie nie przechodzi mi przez myśl fakt, że bym musiała w sądzie pozywać moją mamę. Ona też w życiu nie miała i nie ma lekko a tu jeszcze bym takie coś jej zaserwowała. Chyba, że by do tego podeszła jako, ot taki wymóg, kwestia formalności. „This could work!” – jak powiedział Tom Hanks w filmie „Cast Away”.

Z ojcem nie ma „problemu” z wspomnianych na początku przyczyn, natomiast ojczym nie będzie brany pod uwagę. Teraz muszę znaleźć seksuologa, który by podjął się mej diagnozy. Poszukam takiego sympatycznego, profesjonalnego i z empatią (jak domniemywam) podobną do psycholog do której napisałam. Ciekawe czy jest ktoś taki w mojej okolicy?

A i jak się to ma do wizyt w czasie ogłoszonej pandemii?

Wyobraź sobie, że pozwoliłam sobie wydrukować mój list oraz odpowiedź od pani psycholog i przedłożyłam mojej mamie (fakt, koleżanki w pracy też przyswoiły

te treści – w sumie obnażyłam się przed bliskimi). Ach to życie na krawędzi... Żonie powiedziałam, że dostałam od psycholog odpowiedź na mój list. Widać było, że dotarła do niej ta wiadomość. Po paru dniach zapytałam czy nie jest ciekawa jak brzmi odpowiedź i że mam wydrukowane dla niej by sobie ją przeczytała. W sumie to ona była iskrą motywu do tego bym wreszcie spięła pośladki i napisała do psycholog. Powiedziała, że domyśla się, bo co może „psycholog” takiego powiedzieć. Pewnie, że będzie namawiał do „coming outu” i żebym jej nie zawracał głowy, bo ma inne ważne sprawy. A, że psycholog to zawsze tylko widzi z jednej strony i że i tak nie wie co ja takiego napisałam w liście. Powiedziałam, że nie ma sprawy i dam jej przeczytać mój list. Cóż, na tym się skończyła rozmowa – oba listy wydrukowane leżą spokojnie. Wychodzi na to, że jeśli ona nie chce widzieć problemu to go nie ma.

Dla komfortu psychicznego, parę tygodni temu skontaktowałam się z firmą Amoena (produkującą protezy piersi) z prośbą o dobranie odpowiedniego modelu i rozmiaru piersi dla mnie. Wyjaśniłam co i jak, że to dla mnie i w jakiej sytuacji się znajduję. Dostałam profesjonalną i miłą odpowiedź, która zaowocowała dalszą korespondencją i złożeniem zamówienia nowych piersi dla Tosi. Będę miała idealny biust w rozmiarze 80C (szkoda, że nie naturalny, chyba zamówię soję w sosie pomidorowym). Ma przyjść w przyszłym tygodniu razem z biustonoszem. Czekam jak na szpilkach... (o to jest dobre określenie – jak na szpilkach – bo ja lubię chodzić w obcasach).

Zastanawiam się, jakby miała wyglądać moja ścieżka korekty. Co pierwszej musiałabym uczynić, jakie przedsięwziąć kroki. Do kogo pójść, ewentualnie później się dowiem jakie badania? Co i jak się przygotować? Chyba że całe moje życiowe marzenie spali na panewce po wizycie u seksuologa? Chociaż teraz to i tak nie wiadomo jak się rozwinię sytuacja z koronawirusem.

O co mogłabym jeszcze psycholog zapytać? Poleciała mi spotkanie w grupach wsparcia. A co się robi na takich grupach wsparcia? Czy to jest w formie coś jak forum internetowe? Żonie by pewnie się przydała taka obecność na grupie wsparcia dla bliskich osób – ale obstawiam, że „nie pójdzie na to”.

Obym się myliła. Jak był artykuł o mnie i mojej pasji (fotografii a dokładniej chodzi o moje zdjęcia z okładkami książek) w lokalnej gazecie to żona i moja teściowa nie odzywały się do mnie przez parę dni z tego powodu. Jedynie teść z radością wkroczył do domu z gazetą i triumfalnie ogłosił, że jestem w gazecie. W radiu i gazecie ostatnio znowu byłam z okazji mojej ogólnopolskiej wygranej w konkursie fotograficznym na temat „Bibliotekarz inny niż myślisz” – tyle, że oni nie słuchają radia, a i z tego co widzę, chyba tej gazety też zaprzestali czytać.

Zobaczę jak się będzie kształtowała dalej relacja z żoną – w sumie o naszych relacjach można by zarazem i długo i krótko opowiadać. Chociaż czasem widzę, że niestety szkoda czasu aby o tym rozmawiać. Ileż to ja już razy miewałam i mam ochotę wyjść z tego domu i nie wracać. Tyle, że przez wzgląd na córkę tego nie zrobiłam.

Zastanawiam się jak o tych sprawach porozmawiać z córką? Bo to, że ja maluję paznokcie i mówią na mnie Tosia – to nie odbiera tego jak coś „niepożądanego”, ale właśnie jakby jej powiedzieć, że się źle czuję w tym ciele i że czuję się jako kobieta? Czy to może być tak dziecinnie proste, że wystarczy tylko wprost powiedzieć prawdę o moich odczuciach? Chociaż każdy pewnie może podważyć moje stwierdzenie, bo jak niby mam wiedzieć, jak się „czują kobiety” skoro mam biologicznie ciało mężczyzny? Chyba, że kluczowym stwierdzeniem będzie „czuję się”, ale wtedy to może by mnie dyplomatycznie wysłali do sanatorium bez klamek. Azaliż kwestia kobiety i mężczyzny nie sprowadza się tylko do ciała ale i duszy.

Jak sądzisz?

A propos, wracając do „ścieżki rozwoju” to sądy w Polsce wymagają coś takiego jak SRS, by uznać człowieka za pełnoprawną kobietę, czy mężczyznę. Owszem, przyznaję, przeszkadza mi to „coś w dole pomiędzy w normalnym rozmiarze” w noszeniu obcisłych sukienek bez konieczności spłaszczania. Ale czy to nie jest bardziej drastyczna ingerencja w organizm niżeli terapia hormonalna? Co jak pójdzie coś nie tak albo nasłyszałam się tyle nieszczęśliwych kobiet, którym tak fatalnie zszyli ciało po porodzie, że strach i żal...

Niedawno podawano, że pewien miliarder poddał się operacji członka, co prawda powiększającej, i zmarł z tego powodu. Jak myślisz czy to prawda, że po operacji korygującej narządy płciowe, trzeba albo uprawiać często seks albo spać z taką coś jak rozpórką pomiędzy nogami? A co by było ze mną, skoro mam pociąg do kobiet to chyba by bardziej mi się jednak przydało, abym zostawiła członka. Tyle, że z członkiem nie przyjmują, haha, w Sądzie nie uznają prawnie mnie jako kobietę (chyba to tylko w Polsce?). Pewnie się boją, że kobiety będą miały większego niż oni. Ale czasem i tak mamy „większe jaja” niż faceci. Dla przykładu w pracy koleżanki twierdzą, że jak czuję się kobietą to trzeba iść na całość, łącznie z SRS. Inaczej widzą to tak, że jestem wyzwaniem dla psychoterapeuty i mój przypadek przysporzy psychologowi dużego bólu głowy (Twój ból jest lepszy niż mój) oraz zostanie uznany za #hotchallenge2020 i może być powodem do zmiany pracy przez psycholog. Inaczej one sobie tego nie wyobrażają.

Sprawa mojego członka... czy jest mi obojętny? Jasne, że wołałabym go nie mieć, ale się boję że coś pójdzie nie tak, boję się bólu i operacji. Jest też kwestia finansowa (na dzień dzisiejszy nie jest do przeskoczenia dla mnie – a bazuję na kosztach z paru lat). Czy można np. wyjechać za granicę i tam zostać uznanym prawnie za kobietę bez przechodzenia SRS? A może strach przed bólem jest jak ze strachem przed tatuażem. Boisz się bólu, ale jesteś „podeksycytowana” i tak go dajesz sobie go zrobić, a mam kilka.

Oj tam, z członkiem czy bez i tak czuję się wewnątrznie kobietą a kwestie prawne – patrz kwestia wielbłąda – a nie mówiłam, że będzie jeszcze wspomniane to kuczowe zwierzę. No popatrz, teraz to zauważyłam. Idealne dla mnie zwierzę: wielbłąd – to coś jak ja. WielBŁĄD natury.

Takie są moje przemyślenia, a pewno są jeszcze sprawy o których nie wiem. Jednak jestem dobrej nadziei – a ta podobno umiera ostatnia i jest matką głupich.

Ale zawsze matką.

Skoczów, 23 czerwca 2020

Tosia

p.s. Minęło już trochę czasu od mojego wpisu. Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku. Jestem mądrzejsza. Wiesz, korespondowałam z drugim psychologiem ze Stowarzyszenia „Tęczówka”. Nawet się z nim spotkałam osobiście. Przegadałyśmy ponad 3 godziny. Uznała, że jestem jak najbardziej normalna. Powiedziała mi, że w pierw mam iść do seksuologa i to on będzie prowadził moją tranzycję. Na początek czeka mnie wystawienie opinii. Opinia taka trwa czasem i pół roku, chociaż są i tacy „specjaliści”, którzy wystawią w 15 minut i od razu przepiszą Ci hormony. To się nazywa profesjonalizm. Ja jednak chcę aby opinia była wystawiona na spokojnie, zważywszy na fakt, że nie potrzebuję „na gwałt” hormonów. Owszem one bardzo pomogą mi, jednak nie chcę robić nic w pośpiechu, gdyż nie chcę sobie zaszkodzić. Jak mawiają, co nagle to po Diable. Jedyny minus, że dobry seksuolog jest oddalony o wiele kilometrów ode mnie a ja jestem niezbyt mobilna. W dodatku dalej jest koronawirus więc może się okazać, że seksuolog nie przyjmie osobiście a za pomocą „teleporady”. Ja tam wolę się w cztery oczy spotkać. Dowiedziałam się, że SRS nie jest wymagane. Nawet jest zakazane przed prawną korektą płci. W dodatku mają wyjść znowelizowane przepisy, w których to nawet prawne uznanie płci nie będzie wymagało podjęcia leczenia. Wystarczą opinie, gruntowne zapewne, lekarzy. Nie trzeba nawet usuwać nieszczęsnego członka, a jedynie jądra przez wzgląd na możliwość zaistnienia raka podczas terapii hormonalnej.

Kwestia z żoną zbytnio się nie zmieniła. Uznała, że jestem „samolubny” i myślę tylko o sobie – przez to, że rozmawiałam z psychologami – i stwierdziła, że ona umówi się do lekarza psychologa w Bielsku-Białej. Zapytałam, czego oczekuje od tej wizyty? Powiedziała, że nie wie a ja przecież też nie „wiedziałem”. A co jak psycholog powie jej, że ze mną dalej jest w porządku? Żona pewno oczekuje tego, że psycholog mnie „odwiedzie” od moich własnych odczuć. Wczoraj wytknęła mi, że co to tak emanuję seksualnością (sposób poprawiania włosów, styl zachowania i poruszania się). A jak chodzę uśmiechnięta to od razu jest podejrzliwa.

Sytuacja w Polsce nie jest za różowa od ostatnich wyborów prezydenckich. W zatrważającym tempie obserwuję „nagonkę” na osoby LGBTQ+. Wytykanie, wyśmiewanie, czy ataki cielesne i obracanie kota ogonem staje się codziennością. A wszystko to za przyzwoleniem jaśnie nam aktualnie panujących. Do tego doszły samobójstwa osób prześladowanych, zaszczutych przez „prawdziwych prorodzinnych Polaków”. Źle się dzieje w państwie duńskim. Jednak ja dalej wciąż chcę być wreszcie sobą i żyć normalnie. Czy będzie to mnie i innym dane? Bo nic nie jest piękniejszego od życia z sobą w harmonii. Wtedy czujesz, że możesz góry przenosić. Acha, dalej pracuję w bibliotece. To już 18 lat.

Skoczów, 5 października 2020

Andrzej

Jabłka z musztardą

Nazywam się Andrzej. Urodziłem się w 2001 r. Mam 19 lat. Od urodzenia mieszkałem w małym mieście na południu Polski. W czerwcu 2020 napisałem maturę i skończyłem liceum. Od paru miesięcy mieszkam w Krakowie, w którym zacząłem studia. Obecnie identyfikuję się jako osoba homoseksualna, co wcale nie jest dla mnie prostą kwestią.

Tytuł tych wspomnień jest dla mnie ważny i jest symbolem mojego strachu z powodu orientacji.

W moim rodzinnym mieście od zawsze mieszkaliśmy pod tym samym adresem. Na moją rodzinę składają się rodzice i dwie starsze siostry. Do tej pory jestem z nimi bardzo związany. Gdy byłem młodszy, rodziców często nie było w domu z powodu pracy, żyliśmy w niewykończonym domu, więc starali się oni to jakoś naprawić. Potem, gdy miałem około 12 lat, tata zaczął wyjeżdżać za granicę i widywałem go jeszcze rzadziej. Przełożyło się to na to, że miałem więcej obowiązków w domu uznawanych za „męskie”. Nigdy nie potrafiłem odnaleźć się w kwestiach technicznych, jednak rodzina miała oczekiwania względem mnie, żebym zastępował tatę. Było mi przykro z tego powodu, bo czułem się w jakiś sposób winny swojej nieporadności.

Zawsze byłem bardziej związany z mamą. Jako dziecko nie interesowały mnie zainteresowania, które stereotypowo przypisuje się chłopcom (samochody czy wojsko). Nie miałem też marzeń jak większość dzieci, o byciu w dorosłości strażakiem czy astronautą. Ciekawiła mnie przyroda, kochałem zwierzęta i przebywanie na powietrzu. Bawiłem się z moimi siostrami w szkołę i podobne zabawy, nie mieliśmy w okolicy innych rówieśników. Pamiętam, że pierwsza sytuacja, którą mogę teraz jakoś powiązać z homoseksualizmem, wydarzyła się w dość wczesnym dzieciństwie – mogłem mieć jakieś 5-6 lat. Rodzice, gdy nie było ich w domu, zostawiali nas u cici, która mieszkała niedaleko. Pewnego razu wujek pokazywał nam swoje zdjęcia, mi bardzo spodobało się to, na którym był w wojsku i stał w grupie

mężczyzn bez koszulek. W przedszkolu zadawałem się w większości z dziewczynami, byłem grzecznym dzieckiem, a chłopców cały czas upominały opiekunki. Nawet gdy raz chciałem pójść do chłopaków, to opiekunki wypominały mi potem, że byłem niegrzeczny.

W szkole podstawowej dołączyłem do harcerstwa, to dość mocno wpłynęło na moje życie. W drużynie, do której należałem, przeważały dziewczyny. Od razu właśnie z nimi złapałem kontakt. W środowisku wyłącznie chłopaków nie czułem się dobrze. Zauważali to też inni i zwracali mi uwagę.

Wolałem śpiewać, gdy inni chłopcy fascynowali się bronią i wojskowością. Ja za to od stosunkowo młodego wieku byłem pacyfistą. W tym środowisku był dość duży podział na rzeczy, które robią dziewczynki i te, które robią chłopcy. Po jakimś czasie i paru rozmowach z opiekunami (którym nie podobało się to, że jestem cały czas w żeńskim towarzystwie) próbowałem przebywać dłużej z chłopakami, jednak było to dla mnie męczące. Czułem, że tam nie pasuję, nie bawiły mnie ich żarty, nie odpowiadał wojskowy sposób bycia. Harcerstwo, do którego należałem, było mocno związane z Kościołem, mieliśmy swojego kapelana (na swoich portalach społecznościowych cały czas obrażał i nadal obraża osoby LGBT), przeważały w nim osoby o poglądach bardzo konserwatywnych. Sam przyswoilem te poglądy, do ok. 16 roku życia można mnie było nazwać osobą mocno prawicującą, byłem też mocno wierzący (choć właściwie nigdy nie czułem obecności Boga). Harcerstwo zaszczerpiło mi wiarę w ideały i chęć pomocy innym (zawsze wpajała mi to też mama).

Kolejna sytuacja homoseksualna, jaką pamiętam, miała miejsce jeszcze w szóstej klasie. Gdy przeglądałem Internet na telefonie, trafiłem na homoseksualne porno. Nie wiem sam dlaczego, ale pokazałem to koledze. Wieczorem dostałem smsa od jego ojca, w którym napisał, że kolega powiedział mu o tym, co mu pokazałem i że jutro pójdzie z tym do mojego wychowawcy. Nigdy wcześniej się tak nie bałem, cały się trząsłem. Nie mogłem zasnąć ze stresu, byłem przerażony tym, że moi rodzice mogliby się dowiedzieć o tym, co robię. W nocy zjadłem jabłka z musztardą, żeby wywołać ból brzucha, gdy to nie zadziało, udawałem przed rodzicami chorobę. Udało mi się nie pójść do szkoły, ale to wcale mnie nie uspokoiło. Gdy do niej wróciłem, od strony nauczycieli nie poniosłem żadnych konsekwencji (chyba ojciec kolegi jednak nie poszedł do szkoły), jednak mój „kolega” zdążył rozpowiedzieć o tym, co widział, klasie i stałem się obiektem żartów praktycznie do końca szkoły. W szkole podstawowej miałem „dziewczynę”, nie czułem do niej nic, mimo tego że się całowaliśmy. Byłem z nią parę dni, chociaż wizja jej przesadnej bliskości jakoś mnie odpychała. Miło było mieć dziewczynę, bo każdy ją miał, jednak nie było „tego czegoś”.

W gimnazjum oglądałem homoseksualne porno, jednak nie myślałem wtedy o sobie jako o geju. Uważałem, że to przejdzie. Klóciło się to przecież z tym, w co wierzyłem, więc chyba wolałem to wyprzeć. Pamiętam sytuację, gdy mój tata przeglądał mój telefon i spytał mnie o homoseksualną pornografię, którą tam znalazł. Myślałem, że zapadnę się pod ziemię ze wstydu i strachu, zachowałem jednak zimną krew i skłamałem, że to musiało być przez jakiegoś wirusa. Było mi bardzo wstyd, gdy musiałem

pod naporem rodziców iść do spowiedzi i opowiadać o tym, co robiłem. Zresztą z tego co pamiętam, nigdy nie przyznałem się tam do oglądania właśnie homoseksualnego porno. Miałem mocne wyrzuty sumienia, że wciąż to robię, uważałem siebie za kogoś złego, brudnego, zwłaszcza że czytałem o „sodomii” jako o jednym z najgorszych grzechów. Odbierałem homoseksualizm jako karę, nie mogłem zrozumieć, dlaczego to ja będę miał trudniej w życiu, myślałem nawet, że nigdy nikogo nie pokocham i do końca życia zostanę samotny. W gimnazjum byłem dość typowym nastolatkiem o poglądach prawicowych (jednocześnie będąc homoseksualistą), interesowałem się „żołnierzami wyklętymi” i Armią Krajową, byłem przeciwny uchodźcom i LGBT. Myślę, że byłem wtedy „kryptogejem”, że moje poglądy wynikały z braku akceptacji samego siebie.

Do prawdziwej rewolucji w moim życiu doszło w 2017 r., 3 lata temu. Na wyjeździe ze znajomymi graliśmy w podchody nocą, było ciemno, niewiele widziałem, przez co spadłem z ok. 5 metrów na kamienie. Bardzo się bałem, wzywałem pomoc, miałem twarz umazaną we krwi. Nie mogłem uwierzyć, że to się dzieje, prawie fizycznie to słyszałem. Dopiero po chwili poczułem potworny ból i wrażenie, że nie czuję nogi. Moi znajomi przybiegli mi pomóc, wezwali karetkę. Po przyjeździe do szpitala i prześwietleniu dowiedziałem się, że mam złamania kręgosłupa, nogi i czaszki oraz urazy stawów. Przez parę kolejnych tygodni nie mogłem spać z powodu ogromnego bólu, koła mnie morfina. Już w szpitalu zacząłem wątpić w moje dawne ideały, wartości i Boga. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego mnie to spotkało, przecież starałem się być dobrym człowiekiem. Moi dawni znajomi mnie zostawili, byli parę razy w szpitalu i to (jak się potem dowiedziałem) tylko dzięki mojej siostrze. Przez ok. 2 miesiące byłem niesamodzielnym, przez prawie 9 miesięcy nie wychodziłem z domu. Przez ten czas zaczęły się pojawiać myśli o bezsensie świata, o samobójstwie, zaczął dochodzić też do głosu tłumiony od dawna homoseksualizm. Pojawiła się też myśl, że skoro moje życie może być takie krótkie, to nie warto nikogo udawać. Wtedy tak naprawdę dotarło do mnie, że jestem gejem. Była to dla mnie ulga i częściowo to zaakceptowałem. Stałem się też zdecydowanie bardziej tolerancyjny, bo życie jest jedno i nie można go tak po prostu psuć komuś przez własne poglądy. Myślałem też wtedy o wyjściu z szafy, jednak wiedziałem i wiem nadal, że moja rodzina nie przyjęłaby tego pozytywnie. Uważam, że to w dużej mierze przez ich przywiązanie do religii. Mama, która jest mi najbliższa w rodzinie, mówiła kiedyś przy mnie, że homoseksualizm jest jakiegoś rodzaju zaburzeniem i powinno się to leczyć. Naprawdę trudno żyje mi się z myślą, że osoba, którą bardzo kocham, nieświadomie nie akceptuje mnie takim, jakim jestem. W liceum zacząłem poznawać innych gejów przez Internet, na początku na forach i odpowiednio daleko, bo bałem się rozpoznania. Początkowo wiązało się to u mnie z dużymi emocjami, trząsałem się z przejęcia. Spotykałem się też z chłopakami na Snapchacie. Potem zacząłem używać aplikacji takich jak Tinder, jednak wiązało się to z dużym stresem, bo ta aplikacja była już dużo mniej anonimowa. Znajomości z portali nigdy nie przerodziły się w spotkanie w realnym świecie.

W liceum przez większość czasu nie miałem żadnego męskiego obiektu westchnień. W 3 klasie doszło do mojego pierwszego zbliżenia. Stało się to z kolegą, którego znałem od dawna. Idealizowałem go mocno, nie mogłem się doczekać wiadomości od niego, gdy nie odpisywał, bałem się, że napisałem coś nie tak. Nie wiedziałem, że właśnie chyba to było zakochanie. Jeśli tak, to podkochiwałem się w nim przez lata. Pomagałem mu, bo miał problemy, za którymś razem się przytuliliśmy, zaczęliśmy całować, a potem wszystko poszło błyskawicznie. Powtarzaliśmy to jeszcze parę razy, jednak zarówno on jak i ja mieliśmy z tego powodu wyrzuty sumienia, myśleliśmy, że robimy coś złego. Zresztą nawet teraz uważam, że gdyby wyszło to poza naszą dwójkę, to byłby to ogromny skandal w małym mieście. Po jakimś czasie przestałem mu odpisywać na wiadomości, nie chciałem się już spotykać. To było dla nas toksyczne, po każdym spotkaniu oboje mieliśmy poczucie winy i obiecywaliśmy sobie, że do tego już nie dojdzie. Obecnie nie utrzymujemy już prawie kontaktu. Pozostałe relacje męsko-męskie ograniczały się jedynie do kontaktu i „zbliżeń” przez Internet. Tylko raz umówiłem się na randkę z chłopakiem poznanym przez Tindera. Mieliśmy spotkać się w kawiarni w moim mieście. Przyszedłem na umówiony czas, denerwowałem się, czekałem ok. godzinę, ale nie pojawił się. Gdy próbowałem się z nim skontaktować, okazało się, że mnie zablokował. Po tej sytuacji ciężko było mi się pozierać.

Dopiero gdy przeprowadziłem się do Krakowa, poznałem innego mężczyznę, do którego coś poczułem, zakochałem się drugi raz. Poznaliśmy się przypadkiem w galerii sztuki, jego interesował obraz O. Boznańskiej, mnie „Szał uniesień” Podkowińskiego, pod którym się spotkaliśmy. Rozmawialiśmy o malarstwie, było to dla mnie niezwykle przeżycie. Gdy skończyłem zwiedzanie, postanowiłem na niego poczekać. Poczulem (chyba jakoś za pomocą intuicji), że on też jest gejem. Okazało się, że też nie byłem mu obojętny. Zaczęliśmy rozmowę, jednak za bardzo się ona nie kleiła, bo nadal stresuje mnie spotkanie z mężczyzną na innej płaszczyźnie niż koleżeńska.

Poszliśmy do baru, nie mogłem się napatrzeć w jego piękne, jasne oczy, do tej pory je widzę. Poszliśmy na spacer, zaczęliśmy spontanicznie całować się w bramie, było cudownie, zbliżyliśmy się w parku. Było namiętnie i naprawdę romantycznie. On jednak był z Mazowsza, a w Krakowie jedynie na jeden dzień. Teraz bardzo tego żałuję, ale nie spytałem go nawet o imię, bo nie chciałem się angażować, podświadomie chyba się tego boję. Bez imienia nie mam nawet właściwie możliwości, by go szukać. Tego samego dnia wrócił do domu, a ja już w mieszkaniu zacząłem za nim tęsknić, jego twarz nie mogła opuścić moich myśli. Przychodziłem parę razy w miejsce, gdzie się spotkaliśmy, w weekend i dokładnie tydzień później, o tej samej godzinie. Próbowałem go znaleźć przez grupy LGBT na Facebooku, przez Instagrama, ale na nic to się zdało. Dalej za nim tęsknię, choć już prawie straciłem nadzieję na to, że kiedyś go jeszcze spotkam. Mam sobie za złe, że nie zadbałem o tę relację, może byłbym teraz szczęśliwym człowiekiem?

Dalej dosyć często nachodzą mnie myśli samobójcze, nie odczuwam radości, mam wrażenie, że nigdy nie będę szczęśliwy jako gej w Polsce, że nawet jeśli kogoś

znajdę, to będziemy musieli się ukrywać. Do tego dochodzi też coraz częściej pity alkohol, papierosy, imprezy, kiedyś samookaleczenia. Staram się maskować to, co czuję, mój znajomy nawet kiedyś powiedział mi, że ja nie mogę mieć problemów, bo zawsze jestem taki uśmiechnięty. Nigdy nie korzystałem ze specjalistycznej pomocy, bo wstydę się tego i staram się być (szczególnie po wypadku) niezależny i samodzielny. Nie mam zresztą pieniędzy na terapię, a moi rodzice uważają psychologów za szarlatanów.

Coraz częściej słyszę okropne wiadomości związane z tematyką LGBT. Gdy wróciłem w rodzinne strony i poszedłem z mamą do kościoła, by nie robić jej przykrości, usłyszałem z ambony porównanie LGBT do bolszewików i to, że trzeba z nimi walczyć, jak dawniej walczyło się z ZSRR. Chciałem stamtąd natychmiast wyjść, ale mama została tam sama. Bardzo mnie dotknęła ta sytuacja, szczególnie że parę dni wcześniej mój znajomy został pobity tylko dlatego, że miał kolorową torbę do ćwiczeń. Przeraza mnie kraj, w którym żyję. Czuję, że narastająca nagonka na osoby nieheteronormatywne odbija się w końcu na mnie. Powszechny, bezkarny hejt w Internecie, pobicia, bezpośrednie obrażanie na ulicy tylko dlatego, że nie jesteśmy hetero i mamy odwagę o tym mówić. Nie rozumiem nienawiści. Nie rozumiem tego, jak ktoś może chcieć mnie skrzywdzić tylko dlatego, że kogoś kocham. Chciałbym, by ludzie patrzyli na mnie na pierwszym miejscu jako na człowieka i oceniali mnie nie ze względu na to, że jestem gejem, tylko ze względu na to, jakim jestem dla nich człowiekiem. A zawsze starałem się być dobrym dla innych i jeśli tylko mogłem, to pomagać.

Gdy byłem już w Krakowie, dokonałem pierwszego coming outu przed najbliższą przyjaciółką. Obawiałem się tego momentu, jej reakcji. Zbierałem się do tego trochę czasu, w końcu powiedziałem jej na jednej z imprez w klubie, gdy byliśmy tylko w dwójkę: „I'm gay”. Po polsku jakoś nie mogło mi przejść to przez gardło. Przyjęła to, zaskakująco dla mnie, dobrze i powiedziała, że już się wcześniej domyślała, tylko bała się zapytać, żeby mnie nie obrazić. Kolejnego wyjścia z szafy dokonałem przed najbliższymi znajomymi na portalu społecznościowym. Bardzo się stresowałem. Reakcje były jednak dobre, parę osób nawet zaproponowało mi wsparcie. Od mojego znajomego geja dostałem wiadomość, że to najlepsza rzecz, jaką dzisiaj przeczytał. Boli mnie to, że nie mogę być szczery przed swoją rodziną, że gdy znajdę chłopaka, nie będę mógł go przedstawić rodzicom jako osoby, z którą chcę wiązać przyszłość. To, że mało kto wie o mojej orientacji, jest dość problematyczne. Myślę jednak, że nie jestem jeszcze do końca gotowy na pełny coming out. Ostatnio zorientowałem się, że moja koleżanka oczekuje ode mnie czegoś więcej, czegoś czego nie mogę jej zaoferować. Nie chcę jej ranić, próbuję udawać, że tego nie widzę i trzymać dystans.

Z osobami niehetero mam kontakt jedynie przez internet, choć zamierzam to w najbliższym czasie zmienić. Staram się być dla wszystkich dobry i nikogo nie skreślać, pomagam często w akcjach charytatywnych, bo uważam, że tak mogę chociaż trochę naprawić świat. Inspiracją do tego jest tytułowa bohaterka z mojego ulubionego filmu – „Amelia”. Lubię słuchać muzyki zaangażowanej w sprawy społeczne np. Marii Peszek, czy zespołu Lao Che, którzy w swoich tekstach nawiązują do równości

i tolerancji. Wierzę w to, że dzięki wzajemnej życzliwości i braku wrogości uda nam się zbudować nowy, lepszy świat. Chyba najważniejszy w piosence jest dla mnie tekst. Obecnie mieszkam w mieszkaniu w Krakowie, które dzielę z 6 współlokatorami. Nie można w nim liczyć za bardzo na prywatność czy intymność – przez ściany z „kartongipsu” słychać zdecydowanie za dużo. Moi współlokatorzy nie wiedzą o tym, że jestem gejem, planuję jednak ich poinformować o tym, gdy wypłynie temat, po to by w przyszłości nie dochodziło do dwuznacznych sytuacji i by wiedzieli że ten uśmiechnięty chłopak, który do mnie często przychodzi, to nie kolega, a mój partner. Nie wyglądam raczej na stereotypowego geja. W liceum zacząłem tylko kręcić włosy, co jest chyba dość nietypowe, zmieniłem też trochę ubiór na bardziej elegancki, jednak nie wyzywający. Nadal otaczam się raczej kobiecym towarzystwem, moja najbliższa przyjaciółka Ania (ta, przed którą dokonałem pierwszego coming outu), wyznała mi ostatnio, że podobają się jej też dziewczyny. W „realu” nie mam znajomych otwarcie identyfikujących się jako osoby nieheteronormatywne, takie osoby poznaję przez Internet, teraz mam już jednak większą śmiałość, by komunikować się też z nimi przez ogólne portale społecznościowe. Stosunkowo łatwo znaleźć mi było gejów w celu poznania na Instagramie, jeden nawet bardzo mi się spodobał, lecz raczej bez wzajemności. Nie byłem jeszcze, ale mam w planach pójść z przyjaciółką do klubu dla osób LGBT, w sumie ten pomysł padł z jej strony po moim coming outcie. Okazała się ona dla mnie naprawdę dużym wsparciem. Pomógł mi też znajomy gej, którego poznałem przez Instagrama, to właśnie on zachęcił mnie do opisania tutaj swoich przeżyć, za co jestem mu niezmiernie wdzięczny.

Spojrzenie całościowo na moją historię pokazało mi moje życie w innym świetle oraz to, że to jaki jestem teraz, tworzyło się przez naprawdę długi czas. Chciałbym zaangażować się w walkę o prawa osób LGBT, o moje prawa, by moim znajomym, którzy mnie nierzadko wspierali i mnie samemu żyło się lepiej. Mój stosunek do partii politycznych po romansie z prawicą jest raczej ostrożny, jednak gdy widzę niesprawiedliwość, to chciałbym móc jakoś na nią realnie zareagować. Obecnie utożsamiam się raczej z poglądami lewicowymi.

Marzę o tym, by Polska stała się w końcu krajem bez nienawiści, gdzie nie rozdrapuje się historii, lecz patrzy na to, by nie powtórzyła się ona w przyszłości. Mam nadzieję, że w ciągu najbliższych lat nasz kraj wróci na odpowiednie tory prowadzące do Europy. Mimo niepokoju powodowanego ciągłymi aktami nienawiści ze strony społeczeństwa i rządu wierzę głęboko, że jeszcze będę mógł tu żyć i kochać bez strachu.

Doma**Drogi lesbijski pamiętniczku!**

Ur. w 1996 r. w Gdańsku, cis kobieta, lesbijka, mieszka w małym mieście w województwie pomorskim.

Czas zwany dzieciństwem i młodością

Urodziłam się w dzień kobiet (08.03.1996) i dlatego teraz jestem lesbijką i feministką. Moi rodzice poznali się na drodze neokatechumenalnej. Jest to radykalna wspólnota religijna, która podlega pod kościół katolicki. Neokatechumenat lubi się chwalić tym, że został zatwierdzony przez katolickiego papieża, więc nie jest to sekta (formalnie, ja mam inne zdanie w tej kwestii). Tam wszyscy są swoimi braćmi i siostrami, spotykają się co najmniej dwa razy w tygodniu na liturgię i eucharystię, ale poza tym uczestniczą w różnych wydarzeniach pomiędzy tym, to znaczy w przygotowaniach do liturgii, spotkaniach braci w domach na modlitwie, wyjazdach i tak dalej. W takim środowisku się wychowałam, więc jak byłam wystarczająco stara (miałam 13 lat), weszłam do mojej własnej wspólnoty neokatechumenalnej (w której byłam bez rodziców). Należało tam wypełniać pewne etapy wiary, żeby wbijać na kolejne poziomy. Fajne to założenie, jak taka gra, że trzeba zdobyć pewne osiągnięcia, żeby coś odblokować. Na przykład moi rodzice odblokowali już pełen pakiet. Ich nagrodą jest to, że jak umrą, to zostaną pochowani w specjalnej białej szacie. Osobiście uważam, że to zabawne. Toteż na przykład ja musiałam przeżyć dzień ciszy i nie odzywać się słowem przez jeden dzień (to nie takie trudne, razem z koleżankami wspólnotowymi robiłyśmy kalambury i bawiłyśmy się świetnie), żeby być bliżej boga, musiałam mówić o swoim największym krzyżu przy braciach (okłamałam wszystkich, powiedziałam, że moim największym krzyżem są kompleksy), oddać wszystkie pieniądze, jakie miałam przy sobie na wspólnotę i zapomnieć innym wszelkie długi. Całe szczęście, że byłam biednym dzieciakiem, to nie miałam zbyt wiele do stracenia. Ja akurat odeszłam z tej organizacji w momencie, jak powinnam była sprzedać

swoją najcenniejszą rzecz i oddać pieniądze dla biednych (ten etap chyba nazywał się „Ojciec nasz” – z tego co pamiętam, ale głowy nie dam). Nie dokonałam tej transakcji, zamiast tego porzuciłam wspólnotowe życie. Moja siostra natomiast dała mi swój odtwarzacz mp3 za 15 złotych, bo to był jej najcenniejszy przedmiot, czyli zrobiła to, co miała, i mogła kontynuować religijną przygodę. Odtwarzacz ten mam do dzisiaj, jak byłam młoda, to słuchałam na nim na przykład Nirwany i Tokio Hotel. Jak zapytałam rodziców, co oni zmonetyzowali, kiedy lata temu byli na tamtym etapie drogi, to odpowiedzieli, że mikrofalówkę. Za 100 złotych. Ogólnie to prawdopodobnie pójdę do piekła, bo nie można wynosić informacji ze wspólnoty do świata zewnętrznego pod karą grzechu ciężkiego. Ale nie szkodzi, możliwe że i tak byłabym potępiona na wieki za lesbijstwo.

To pewnie wcale tak nie brzmi, ale życie wspólnotowe było bardzo absorbujące dla młodego dzieciaka, cały czas coś się tam działo, przez co nie miałam czasu na koleżanki ze szkoły, bo wiecznie byłam zaangażowana w religijne sprawy. W szkole nie wspominałam, że jestem w neokatechumenacie, czułam, że inni mnie nie rozumieją, więc miałam mroczny sekret przed znajomymi (pierwszy raz komuś spoza neokatechumenatu opowiedziałam o tym będąc dopiero w liceum i wtedy poczułam, jak ogromny ciężar ze mnie spłynął). I tylko głupio było mi cały czas odmawiać kolejnego wyjścia do kina, bo oczywiście miałam akurat jakąś liturgię z braćmi. Na liturgiach odbywało się na przykład dzielenie słowem. Każdy mógł powiedzieć, jak się czuje w związku z tym, co usłyszał, jak słowo biblijne odnosi się do jego życia. Było to całkiem ekscytujące. Ludzie wywlekali na świat swoje cierpienia i wszelkie obrzydliwości i mówili, jak grzeszą, jak szatan nimi miota, jak nie mogą przestać, ale że czują, że Jezus w tym słowie do nich mówi: „Odwagi, wróć do mnie”. Ja najbardziej lubiłam, jak pewna kobieta raz na jakiś czas opowiadała, że znowu zboczyła ze ścieżki chwały, że znowu sypiała z kobietą. Wtedy było to dla mnie wstrząsające i niezmiernie ciekawe.

Już w podstawówce googlowałam frazy: „test na aseksualizm” (wtedy jeszcze używałam końcówek „izmy” do określania orientacji seksualnej, ale wtedy było to powszechne), „czy jestem lesbijką?” itp. Ogólnie bałam się, że chyba nie podobają mi się chłopcy, toteż uznałam, że skoro nie będę z chłopcem, to nie będę z nikim i uważałam się za aseksualną. Modliłam się do boga, żebym taka nie była, bo wydawało wtedy mi się to straszne. I samotne. Ale modliłam się o dużo różnych głupich rzeczy, na przykład, żebym kiedyś wyszła za Billa Kaulitza z Tokio Hotel. Wydaje mi się, że bóg nie istnieje, bo Bill Kaulitz poślubił inną.

Mam czworo rodzeństwa. Wiadomo, we wspólnocie ludzie mają zazwyczaj sporo potomstwa. Im więcej tym lepiej, tym większa miłość do boga. A antykoncepcja to grzech. Całe szczęście, że jest nas tylko pięcioro. Rodzice nie pomyśleli, że skoro są na przykład biedakami, to takie rozmnażanie się nie jest do końca najetyczniejsze na świecie. Albo że skoro mają obydwójce genetycznie słabą kondycję zębów, to niefajnie będzie ją przekazywać kolejnemu pokoleniu. Kto wie, może w latach dziewięćdziesiątych się nie rozważało takich rzeczy. Odziedziczyłam będę i beznadziejne zęby.

W każdym razie często powtarzam, że skoro moi rodzice mają aż pięcioro dzieci, to powinni byli się spodziewać, że któreś im nie wyjdzie. Pechowo dla mnie, bo tym nieudanym dzieckiem jestem ja, Doma, hejka. Z tego, co wiem, to tylko ja jestem osobą nieheteronormatywną wśród rodzeństwa. Moja siostra na przykład kiedyś we wspólnocie musiała chodzić po obcych domach i głosić słowo boże (to był jeden z etapów do przejścia). Zapukała do drzwi pewnego chłopaka i opowiadała mu o Jezusie. Dziś są oni małżeństwem (to znaczy siostra i ten pewien chłopak, nie Jezus, chociaż wiadomo, Jezus powinien być obecny w każdym małżeństwie), mają synka. Moi starzy są uszczęśliwieni, to tak powinna wyglądać prawdziwa rodzina. Czasem jest mi przykro, że rodzice mnie nie kochają, ale nie szkodzi. Nie każdy musi kochać swoje dziecko.

Jeżeli chodzi o edukację seksualną, to już tłumaczę, jak to wyglądało w moim domu. Rodzice chyba nie poczuli się do odpowiedzialności, żeby uświadamiać mnie w czymkolwiek. Pewnie uznali, że niewiedza uratuje moją cnotę i zabezpieczy przed wszelką seksualną przemocą. Albo nie myśleli o tym wcale. Nie wiem, przepraszam, tak naprawdę zdaję sobie sprawę, że rodzicom też na pewno było trudno i że chcieli swoje dzieciaki wychować jak najlepiej. Natomiast faktem jest, że nie usłyszałam od nich za wiele, jeśli chodzi o cielesność i tak dalej, ale nie szkodzi, bo jak byłam bardzo młoda (chodziłam do zerówki, musiałam mieć jakieś 7 lat), to znalazł się inny nauczyciel. Bawiłam się z siostrą lalkami, które akurat były kobietami sukcesu, a ich mężowie wypłynęli w długi rejs. Moja Barbie patrzyła smutno w okno i myślała o swoim ukochanym i z tej ogromnej tęsknoty zaszła w ciążę. Wydawało mi się to całkowicie normalne. Cały czas słyszałam, że dzieci powstają z miłości, myślałam, że ogromna tęsknota się kwalifikuje. Wtedy w pokoju pojawił się mój brat, obśmiał to, co zobaczył, i wyjaśnił, że to działa inaczej. Dał mi jakieś tam informacje o ludzkiej anatomii, zostałam uświadomiona o tym słynnym penisie w waginie, ale szczerze powiedziawszy nie jestem pewna, jak dokładną wiedzę mógł mi przekazać dziewięcioletni chłopak, natomiast był to jakiś początek. Co do reszty informacji na temat seksualności, cielesności, tożsamości i tak dalej, musiałam je znajdować sama, na edukację szkolną w tym zakresie też nie mogłam zbyt liczyć.

Mój moment, kiedy naprawdę zrozumiałam, że nie jestem hetero, miał miejsce pod koniec podstawówki. Rozmawiałam wtedy z ówczesną najlepszą przyjaciółką (obecnie nie utrzymuję z nią kontaktu, ona wciąż jest we wspólnocie, a ja odcięłam się od dawnego towarzystwa najlepiej, jak potrafiłam). Obie uwielbiałyśmy serial „BrzydUla”. Byłyśmy zauroczone Markiem Dobrzańskim, granym przez Filipa Bobka. Wzdychałyśmy do jego piękna, że och, ależ on cudownie wygląda w garniturze, och, jak bym chciała, żeby wyszedł z tych krzaków (obok których wtedy przechodziłyśmy) i mnie pocałował. I kiedy ta przyjaciółka mówiła, że cieszyłaby się, gdyby Filip Bobek teraz z nią uprawiał seks w tych krzaczorach, byłam szczerze zdziwiona. Bo zrozumiałam, że jej się naprawdę on podoba, że on dla niej naprawdę jest atrakcyjnym człowiekiem. Że niektóre dziewczyny nie mówią, że jakiś chłopak jest piękny, bo tak

się tylko mówi, ale naprawdę tak czują. No cóż, od tamtego momentu jestem lesbijką, winię za to Filipa Bobka.

Tak naprawdę to czekała mnie jeszcze długa droga do samoidentyfikacji. Przez kilka lat uważałam się za aseksualną. Czasem, kiedy miałam bardziej gejowe momenty, to mówiłam o sobie aseksualna, homoromantyczna. Zdarzało mi się twierdzić też, że jestem homoseksualna, aromantyczna. A także aseksualna i aromantyczna. Różnie. Wszystko to mi się mieszało i różnie siebie postrzegałam. Pamiętam, jak nocowałam u jednej koleżanki, którą poznałam w internecie. Pokazywałyśmy cycki jakimś laskom na omegle (takiej stronie internetowej, na której ludzie się na przykład masturbują). I ja wtedy mówiłam, że boję się, że jestem aseksualna. Ona mnie wyśmiała, powiedziała, że na pewno nie. Bardzo się przestraszyłam, że coś jest ze mną nie tak.

W liceum zaczęłam mówić sama o sobie (ale tylko przed sobą i najbliższymi znajomymi), że jestem osobą queerową. Wtedy nie byłam jeszcze pewna wszystkiego. Wiedziałam tylko, że chcę odejść ze wspólnoty i tak też zrobiłam. Niestety jestem wpisana we wspólnotowej księdze życia, więc po dziś dzień, kiedy moi byli bracia zaczynają liturgię, to wyczytują z tej księgi osoby, za które się modlą. I modlą się również za *** (ta typiara to ja, jak coś, tak informuję, bo może nie jest to wystarczająco jasne). Co za koszmar. Wydaje mi się, że przez to, że wspólnota zrujnowała mi dzieciństwo, to mam dość nieprzyjemny stosunek do jakiegokolwiek religii. Staram się nie być uprzedzona. Mam nadzieję, że nikt nie poczuje się urażony tymi wypiskami, proszę pamiętać, że to tylko paplanina jakiejś tam durnej lesbijki. I mieć na uwadze całą systemową przemoc, jakiej ze strony kościoła i jego hierarchów doświadczają osoby nieheteronormatywne.

W liceum poznałam dziewczynę. Wyglądała jak filmowa Bella ze „Zmierzchu”. A wiem, co mówię, jestem fanką „Zmierzchu”. Kiedyś byłam w kinie na maratonie tego arcydzieła kinematografii. W przerwie szybko wypalałam z koleżanką czekoladowe fajki, bo to były te czasy, kiedy smakowe papierosy (i to w dodatku nie tylko mentole) były legalne, a potem biegłam z powrotem na salę kinową, żeby gapić się na wampiryzce. Pisałam też fanfik oparty na zmierzchowym świecie. Tylko u mnie wszystkie wilkołaki były dziewczynami. Lesbijski włochaty romans. Nieco tragiczny, bo Dżekoba została przez Sam odtrącona, a cała reszta watahy musiała przyglądać się tej dramie, bo wilkołaki dzielą się swoimi myślami, nawet kiedy tego nie chcą, kiedy są w zwierzęcej postaci. Sprzyjało to wspólnemu myślowemu karaoke (moje wilkołaczyce uwielbiały piosenki Shakiry), ale było kłopotliwe, gdy ktoś przeżywał sercowe rozterki.

Pamiętam, jak pierwszy raz minęłam tę dziewczynę podobną do Belli na szkolnym korytarzu i usłyszałam jej głos. Krzyczała głośno do swojej koleżanki: „Gówno, gówno!”. Byłam pod wrażeniem. Zakumplowałam się z nią potem. Ona miała nastawienie aktywistyczne do życia, działała na rzecz ekologii i zwierząt i równości. Imponowała mi. Chyba byłam zakochana. Rozmawiałyśmy razem o tym, że fajnie, gdyby nauczycielki francuskiego i niemieckiego były parą. Obie irytowałyśmy się prawackimi chłopcami z naszej klasy. To ona pierwsza mi mówiła, że powinnam uciekać

od wspólnoty i moich rodziców. Pamiętam, jak miałam złamane serce, bo okazało się, że miała dziewczynę i prosiła mnie o radę, co kupić jej na święta. Uznała, że kocyk z kapturem będzie idealny. Zazdrościłam.

Kiedyś siedziałam u niej, u tej dziewczyny, najpiękniejszej dziewczyny na świecie, w domu. Razem przygotowywałyśmy jakieś rzeczy na ekologiczny projekt, paliłyśmy i słuchałyśmy Ewy Demarczyk. Kilka lat później, w 2020 Ewa Demarczyk zmarła. Mój ojciec puszczał jej muzykę w samochodzie, chyba w ramach jakiegoś upamiętnienia tej artystki, kiedy akurat jechaliśmy do babci, a ja wtedy byłam bardzo zajęta myśleniem o moim pierwszym poważnym zauroczeniu. Bycie lesbijką jest bardzo absorbujące. To przez rozmowy z tamtą dziewczyną postanowiłam pójść na psychologię. Bo ją to pasjonowało. I mnie również zaczęło. Obecnie nie mam z nią kontaktu. Ona wyjechała za granicę i ma się tam świetnie, podobno odnalazła swoją bratnią duszę, bardzo mnie to cieszy. A ja robię tutaj, w Polsce, magisterkę z psychologii. Czy odnalazłam swoją bratnią duszę, to nie wiem, ale na pewno spełniam się na studiach.

Uczęszczałam na religię, powiem szczerze, że było to nieco traumatyczne przeżycie. Dość zabawnie jest słuchać, jak siostra zakonna wyśmiewa wszelkie wierzenia, poza swoimi, i nazywa je nielogicznymi. Nawet pojechałam na pielgrzymkę maturalną. Ta dziewczyna, w której byłam zauroczona, jechała tam również. (Zabawnym faktem jest to, że moja obecna dziewczyna także tam była, mimo że nawet nie chodziła do mojej szkoły, ale niestety wtedy się jeszcze nie poznałyśmy. Chociaż może to i lepiej, nie jestem pewna, czy wtedy byśmy się polubiły, chyba jeszcze nie byliśmy na siebie gotowe). Obie nie poszłyśmy do komunii świętej i ominęłyśmy razem jakąś mszę. Od tamtej pory chyba nie byłam już w kościele, nie licząc jakichś pogrzebów i ślubów. Po tej pielgrzymce jedna osoba napisała na swoim internetowym profilu, że poczuła na tym wyjeździe boga, że ją uleczył z jąkania. Potem w szkole na religii ten człowiek miał o tym opowiedzieć, ale niestety, zaczął się jąkać. Musiało to być dla niego rozczarowujące. Z takich istotnych wiadomości, to jeszcze na lekcji religii jedna typiara podzieliła się swoim przemyśleniem, że seks homoseksualny to tak właściwie jak ruchanie konia. Siostra zakonna nie zaoponowała. Mniej więcej tyle wyniosłam z tych lekcji.

Na studniówkę zaprosił mnie kolega. Odmówiłam. On się nie poddawał i ponawiał zaproszenie raz za razem. A ja tylko mówiłam: „NIE!!!” i starałam się go unikać. Specjalnie jeździłam późniejszym pociągiem niż on. Moje znajome mnie namawiały, żebym dała mu szansę, jedna osoba nawet zaproponowała, że da mi trochę marihuany, jeśli się zgodzę i nie złamię mu serca. A ten kolega poprosił siostrę zakonną, tę, która uczyła nas religii, żeby się wstawiła za nim u pana boga i że może dzięki temu pójdę z tym kolegą na studniówkę. Modły nic nie dały. Byłam nieugięta i poszłam sama. Na studniówce bawiłam się tak sobie, najbardziej się cieszyłam, że ta dziewczyna, w której się zauroczyłam, była odziana w piękny garnitur (i wyglądała olśniewająco) i podzieliła się ze mną swoją wiśniówką.

Czasy już raczej obecne, tak zwana: dorosłość

Jak poszłam na studia, to wyobrażałam sobie psychologię jako kierunek, na którym ludzie są tolerancyjni. Myślałam, że to powinno być dość oczywiste. Skoro chcesz pomagać ludziom, czuć się dobrze ze sobą i się rozwijać, to powinno się ich rozumieć i akceptować. Ale okazało się, że musiałam wysłuchiwać jakichś homofobicznych tekstów na imprezach z ludźmi z kierunku. Raz jedna dziewczyna powiedziała: „Słuchajcie, ja mam nadzieję, że nikogo tutaj nie urażę. Czy ktoś tu jest homoseksualny?”. Nie powiedziałam nic, wtedy jeszcze nie outowałam się wszystkim, teraz robię to z automatu. „Bo ja uważam, że homoseksualizm to choroba”. Pokłóciłam się z nią wtedy. Poza tym zdarzało mi się słyszeć jakieś rasistowskie obrzydliwości, byłam zadziwiona. Pamiętam, jak jeden kolega ze mną rozmawiał. On był bardzo religijny i lubił mówić o bogu. A ja lubiłam mówić o tym, jak czuję się zraniona przez kościół (często byłam wtedy pijana, bo działo się to na imprezach, i wtedy używałam dość agresywnych i wulgarnych słów, niektórzy pewnie mogli to odbierać jako atak). On próbował zmienić moje podejście do kościoła i świata. Powiedział, że jeśli kiedyś będę czuła się źle, to mogę wypowiedzieć jego imię, a jego anioł stróż mi pomoże. Jeszcze nie skorzystałam z tej oferty, zachowałam ją sobie na czarną godzinę. Po pierwszym roku studiów i rozczarowań zrobiłam sobie rok przerwy, dziekanę. A kiedy powróciłam do nauki, to mówiłam już o tym, że jestem lesbijką każdemu, kogo spotkałam. I już nikt nigdy nie zaoferował mi pomocy od swojego anioła. Teraz otaczam się ludźmi, którymi chcę się otaczać, czuję się lepiej.

W mojej rodzinie nie miałam wsparcia. To znaczy, nigdy sama nie wyoutowałam się rodzicom. W pewnym momencie życia (jakoś w drugiej klasie liceum) opuściłam wspólnotę. Rodzice myśleli, że wciąż wierzę w boga, ale po prostu nie chcę okazywać tego na drodze neokatechumenalnej, a w zwykłym kościele. Jak skończyłam 18 lat, przestałam i do zwykłego kościoła chodzić, rodzice jakoś to przelknęli. Wtedy byli bardziej zajęci moim bratem, który miał pewne problemy. A ja jeszcze wtedy (potem się to zmieniło) byłam raczej cicha i nieśmiała i bezproblemowa, nikt się po mnie nie spodziewał jakiegoś lesbijstwa i innych lewackich obrzydliwości. Krótco po tym zrezygnowałam z uczestniczenia w domowych wspólnych modlitwach. I przestałam jeździć na paschę, coroczne największe święto, które polegało na tym, że od nocy do jakiejś siódmej rano odprawiało się magiczne rytuały, w tym chrzczenie dzieci, zanurzanie ich w balii pełnej wody. Tłum wtedy śpiewał: „Pograżył w wodach morza konia jeźdźca jego” i wszyscy się cieszyli. Teraz noc paschy jest moim świętowaniem odejścia ze wspólnoty. Lubię się upić w tym czasie w domu i być smutną. Ostatnią noc paschalną spędziłam z moją dziewczyną. Puszczaliśmy jej neokatechumenalne pieśni. A potem uprawialiśmy seks.

Kiedy były jakieś tam wybory do parlamentu chyba, matka zapytała mnie, na kogo głosuję. Odpowiedziałam. A ona na to: „Ale to jest lewica! Oni są za aborcją!”. Wtedy zrozumiała, że bardzo się różnimy. Przestałam jeść mięso. Obecnie nie jem zwłok od pięciu lat i jestem niezmiernie z tego powodu uszczęśliwiona. Jak byłam młoda,

uwielbiałam bajkę „Aparatka”. Teraz jestem tak fajna jak Sharon Spitz, bo stosuję dietę wegetariańską jak ona, a chłopcy? Wspominam o nich rzadko! Kiedy pojawiły się wielkie kontrowersje związane z tym, że debatowano nad ustawą antyaborcyjną, brałam udział we wszystkich czarnych protestach w mojej okolicy (a trochę ich było). Pamiętam, jak w jakiejś rodzinnej kłótni matka mówiła, że jestem niepoważna, bo nie mam nic przeciwko aborcji, a jakoś pająka nie zabiję, a muszę go wynosić w kubeczku na balkon. Wtedy mnie to rozbawiło, obecnie raczej smuci, że żyjemy w innych światach, mimo że mieszkamy w tym samym domu. Zaczęłam wyglądać nietypowo. Farbować włosy na nienormalne kolory, malować jakieś obrazki na mordzie, ubierać się krzykliwie. Obwieszałam pokój tęczą, opowiadałam o moich queerowych znajomych i o pobytach w gejowskich klubach. Brałam udział w marszach równości (trójmiejskich, ale też raz pojechałam na to wydarzenie do Warszawy). Ale nigdy nie wyznałam mojej matce: „jestem lesbijką”. Natomiast ona pewnego razu zaprosiła mnie na rozmowę. Powiedziała, że ta koleżanka (dziewczyna, moja przyszła żona, kobieta, z którą jestem w związku) nie może u nas nocować. Że przecież jak moja siostra miała jeszcze tylko narzeczonego (a nie męża), to on również nie mógł tu spać. A poza tym to ona sobie nie życzy, żebym w domu naszym robiła jakieś aktywności, jakich ona by nie aprobowała, bo w tym domu są zasady. I gdybym mogła się tak nie obnosić na osiedlu, bo moja najmłodsza siostra i tak często się bije z rówieśnikami, więc gdybym mogła nie dokładać jej kolejnych problemów, bo jeszcze będą ją koledzy wyśmiewać. Trochę złamało mi to serce. Z ojcem nie rozmawiałam o tym temacie nigdy. Wiem tylko, że z resztą rodziny on o mnie plotkuje i wypowiada takie bzdury jak: „Ja o niej od dawna wiedziałem, jak sobie zrobiła tatuaż, to już byłem pewny”. Ale to dosyć zabawne, jestem przekonana, że mój ojciec niczego się nie domyślał przez lata, przecież ten wcale ze mną nie rozmawia i nie pamięta, ile mam lat. Jedna ciotka na przykład wypowiedziała taką uwagę, że współczuje mojej matce tych jej dzieci, bo jej syn to taki dziabdziać (nie będę wyjaśniać, dlaczego ciotka tak uważała, to nie ma znaczenia), a Doma homo. To znaczy, nie słyszałam tego. Przekazała mi to kuzynka, z którą akurat mam dobre relacje. Wścieklałam się i nie chciałam spędzać z rodziną wigilijnego stołowania się. Powiedziałam matce, że jeśli zaprosi moją dziewczynę, to może rozważę przebywanie z nimi w to ważne dla nich święto. Matka nie odezwała się już na ten temat słowem. Reszta rodziny powiedziała, że spędzam święta z koleżanką.

Moją dziewczynę (najśladszą najukochańszą) poznałam poprzez aplikację randkową Tinder. Miałam tam w opisie profilu napisane: „Mój znak słoneczny to ryby, więc nie polecam sb” (oczywiście chodzi o znak zodiaku, już wyjaśniam: ryby są najgorsze, poza tym mam Mars w rybach i to na to zwałam wszelkie niepowodzenia życiowe, jak ktoś jest zainteresowany moim całym natal chartem, to bardzo chętnie go podeślę wszystkim chętnym). Jak piszę w internecie, ale i rozmawiam z ludźmi w tak zwanym życiu realnym, to często używam „sb” zamiast „się”, „siebie” i „sobie”, to tak, żeby wszystko było jasne. Moja obecna dziewczyna napisała do mnie wtedy: „pewnie czujesz się jak ryba w wodzie” i dała jakieś wodne emotki. A ja na to, że nie do końca, bo ja to właściwie potrafię pływać tylko żabką i to jeszcze tak, żeby nie zanurzać

głowy, bo trochę mnie to przeraża. I odrobinę pieskiem, ale pływanie pieskiem jest męczące. Ona potem mi powiedziała, że zdziwiła się, że odpisałam na taki gówniany tekst na podryw. I to jeszcze długą wiadomość. No cóż, cieszę się, że spodobał jej się ten rzetelny opis moich umiejętności pływackich. Na pierwszą randkę poszliśmy na kawę i wystawę sztuki, a po tym na picie z jej znajomymi. Było to dosyć zabawne, bo oni pytali, od jak dawna się znamy i jak długo jesteście parą, a to była nasza dopiero co pierwsza randka. Na drugim spotkaniu ona oprowadzała mnie po swoim mieście. Zwiedzałyśmy kalwarię i przydarzył się dość ciekawy moment, bo nagle w naszą stronę zaczął iść tłum ludzi coś tam mamroczących. My byłyśmy głośne i roześmiane i dopiero po chwili ogarnęłyśmy, że ten tłum to nie jest jakiś tam przypadkowy tłum ludzi, ale że to ich mamrotanie to modlitwa. Trafiliśmy na drogę krzyżową. Szybko się stamtąd ewakuowałyśmy. Czułam się świetnie, jakbym uciekała przed zombiakami w czasie apokalipsy.

Pewnego dnia odwiedzałam kumpelę, pomagałam jej przytargać zakupy do domu. Kiedy stałyśmy w windzie, zadzwoniła do mnie wtedy jeszcze nie moja dziewczyna. Radośnie wyrecytowałam jej całą listę zakupów, wszystko, co kupiła ta koleżanka, której pomagałam z zakupami.

- Nienawidzę zakochanych osób - z jawnym obrzydzeniem oznajmiła mi kumpela, kiedy już skończyłam telefoniczną rozmowę - Kiedy teraz będziesz się widzieć ze swoją dziewczyną?

- Ona nie jest moją dziewczyną - oponowałam.

Jeszcze tego samego wieczora pojechałam ją odwiedzić. Tuż przed zasypianiem powiedziała, że musi ze mną porozmawiać. Zakrywałam łeb poduszką, bo się bałam i nie wiedziałam, co bym chciała usłyszeć. „Doma, zajełabam się w tobie po chuj”, po tym oświadczeniu zaczęłyśmy oficjalnie być razem. Wyznała mi miłość (to znaczy, nie jakieś tam zajebanie po chuj, a taką miłość prawdziwą) po jakimś pół roku, tuż po tym zaczęła z nerwów recytować fragment ze „Shreka”. Odpowiedziałam, że ją kocham. Obecnie jesteśmy 1,5 roku razem i planujemy wspólną przyszłość. Myślę, że jest spore prawdopodobieństwo, że jest ona miłością mojego życia (niestety gwiazdy uważają inaczej, bo jej znak słoneczny to waga, nasza kompatybilność nie jest najwyższa, czasem mnie to autentycznie smuci).

Obecnie mam 24 lata. Studiuję psychologię. Robię magisterkę o feminitywach, o tym, jak są postrzegane, jak używanie feminitywów zmienia (i czy w ogóle) nasze widzenie rzeczywistości. Marzę o tym, żeby skończyć już studia i każdemu kazać nazywać mnie magistram. Interesuję się kulturą drag queen, szczególnie pasjonują mnie baby przebrane za baby. Mam nadzieję, że sama niedługo też zacznę w tym działać. Jak na razie ogoliłam sobie brwi i dorysowuję w ich miejsce na przykład jakieś krzyżyki, to chyba mój początek kariery dragowej. Jestem feministką, LGBT aktywistką, uczestniczę we wszelkich wydarzeniach w okolicy na rzecz osób nieheteronormatywnych i spraw, które uważam za istotne. Na przykład jedna z profesorów mojej uczelni brała udział w cieszącym się złą sławą wśród niektórych ludzi happeningu na marszu równości w Gdańsku w 2019 roku. Happening ten polegał

na tym, że pewne osoby miały na głowach tęczowe aureole, a w pochodzie szli też ludzie niosący waginę na kiju, która swoim wyglądem przypominała symbole religijne. W związku z tym pewni panowie zorganizowali protest przeciwko tej profesorce za szerzenie lewackich ideologii na uniwersytecie. Brałam udział w kontrze do tego, bo uważam, że symbolizm nie jest zarezerwowany tylko dla katolicyzmu, a tęcza nie obraża. Ponadto religia katolicka jest też religią osób LGBT+, nie rozumiem, jak ktokolwiek mógłby poczuć się tym urażony. No chyba, że jest uprzedzony do osób nieheteronormatywnych i uważa ich istnienie za coś, co nie przystoi. Poza tym nie sądzę, że powinno się karać ofiary systemowego prześladowania, kiedy te zrobią pokojową prowokację w ramach odwetu (bo nie było nic przemocowego w tym wszystkim). W każdym razie, byłam tam i wyrażałam głośno swoje zdanie. Kiedyś też (jesień 2019) w Gdańsku swój wykład miał poprowadzić znany profesor Nalaskowski, który wslawił się homofobicznymi tekstami, przyrównującymi osoby homoseksualne do gwałcicieli. Razem z dziewczyną udałam się tam, gdzie wykład ten miał się odbyć, jako że było to wydarzenie ze wstępem wolnym. Chciałyśmy w razie jakichś krzywdzących słów oponować. Natomiast pewni mężczyźni zastąpili nam drogę przed drzwiami. Powiedzieli, że tak, wstęp jest wolny, ale dla ludzi myśli konserwatywnej. Zasugerowali, że powinniśmy odmówić kilka zdrowasiek, to może nas wpuszczą i przyczepić sobie antyaborcyjne przypinki, które mieli ze sobą. Ponadto powiedzieli nam, że nie wyglądamy jak ludzie dobrej woli i żebyśmy lepiej nie patrzyły w lustro, bo się przestraszymy. I zrobili popisówkę z panami policjantami, którzy pilnowali wydarzenia. To znaczy, tuż przy nas dali im rękę w geście jakiegoś powitania, ale jestem pewna, że chodziło o pokaz siły. Ponadto biorę udział w typowych demonstracjach, na przykład na rzecz edukacji seksualnej. Jak była głośna sprawa związana z ruchem Black Lives Matter, to również brałam udział w wydarzeniu z tym związanym w geście solidarności. Obecnie (sierpień 2020) odbywało się wiele protestów związanych z Margot. Byłam i tam. Pojechałam nawet do Starogardu Gdańskiego, w którym to powstało pierwsze wydarzenie typu proLGBT, nazywało się Solidarny Starogard (13.08.2020). Miasto to znane jest ze środowisk nacjonalistycznych, dlatego uznałam, że muszę wspierać tam równościowe inicjatywy dopiero co raczkujące. Wraz z ludźmi ze stowarzyszenia na rzecz osób LGBT+, którego jestem wolontariuszką, wybrałam się tam. Faktycznie, kontra była potężna. I agresywna. W Gdańsku obecnie ludzie, którzy chcą wyrazić sprzeciw wobec prorównościowych wydarzeń, to raczej niewielka grupka typków w koszulkach i krawatach, silących się na intelektualny ton, który ma zakryć nienawistne stwierdzenia. Natomiast nie są oni straszni pod takim względem, że nie obawiam się przy nich o moje fizyczne bezpieczeństwo. A w Starogardzie Gdańskim kontra była niesamowita. Pełno chłopów krzyczało, że chłopak, dziewczyna, normalna rodzina. I ich naprawdę policja musiała powstrzymywać, żeby się na nas nie rzucili i oddzielać ich policyjnym murem. Kiedy wracałam z tego wydarzenia, pewien mężczyzna z kontry napadł na moją grupkę i zaczął wrywać jednej osobie flagę LGBT. Ktoś agresorowi psiknął gazem pieprzowym w oczy. To był pierwszy raz, jak widziałam na żywo użycie gazu pieprzowego.

Głośno krzyczę o moje prawa. To znaczy, kiedy przebywam poza domem, bo tutaj mam zakaz mówienia o takich rzeczach. Kiedyś podczas obiadu mój ojciec coś wspominał o dwóch kobietach wychowujących razem dziecko. Matka go uciszyła, bo nie powinno się poruszać takich tematów przy rodzinnym stole. Poczulałam się okropnie, jakbym była takim tematem. To znaczy, proszę mnie źle nie zrozumieć, ja z moją partnerką nie wychowuję dzieci. Wciąż mieszkam z rodzicami. Jestem biedna, moja partnerka jest biedna (może to czyni nas tak dobraną parą), ale mamy plan na życie i jeśli wszystko się powiedzie, powinnyśmy niedługo opuścić homofobiczne domy rodzinne (to jest, mieszkania, obie jesteśmy dziewczynami z blokowisk). Ach, bo jej matka również nie akceptuje naszego związku. To jest, mówi, że szanuje mnie jako osobę, ale na przykład brzydzi ją, że używam u niej w domu kibla i ręczników. Obecnie nie odwiedzam mojej dziewczyny, kiedy jej matka jest w domu. Teraz mamy taką taktykę, że wpadłam do niej, kiedy jej rodzicielka jest na nocce w pracy. Wtedy tam śpię i o szóstej rano wracam do siebie. Bardzo to męczące, chciałabym móc normalnie spędzać czas z moją dziewczyną. Ale chyba nie można mieć wszystkiego. Można mieć na przykład nic.

No, ale wracając, pomówmy jeszcze o mnie. O tej obecnej mnie, kolorowej, głośnej lesbijce. Zbieram lalki Monster High, uwielbiam je, jak ktoś chciałby się swoich starych lalek pozbyć, to proszę pamiętać, że przyjmę każdą monsterkę. Otworzyłam dla nich w moim pokoju lesbijski azyl. Ach, bo każda moja monsterka jest lesbijką. Poza tym naprawdę interesuję się psychologią, myślę, że w tej niszy, w której siedzę (jestem na specjalizacji międzykulturowej i rodzaju), będę świetna. Chcę wziąć ślub z moją typiarą. Tutaj, w Polsce. Zaprosić wszystkich na wydarzenie, powiedzieć, że to ślub, wesele, weselicho, ochajać się symbolicznie (zamiast księdza będzie potężna piękna drag queen) i mieć potem queerową imprezę. Jeszcze żadna z nas się nie oświadczyła, ale ja i moja dziewczyna już tworzymy wykaz tego, jak powinna wyglądać nasza uroczystość. Stworzyłyśmy listę gości (ostatnio musiałyśmy z niej wykreślić jedną osobę, z którą się śmiertelnie pokłóciliśmy). Mamy zapisane, kto nam co ugotuje/upiecze (bo to będzie jak najbardziej składkowa impreza, w końcu przypominam, że jesteśmy biedne, aha, i wszystko będzie wegańskie). Chcę, żeby moja rodzina się zirytowała, że jak to, jak mogę robić takie rzeczy. Niech się mnie wstydzą i wydziejczą i nie chcą mnie znać. Czasem pragnę, żeby w końcu coś do nich dotarło, żeby zobaczyli, jak cykam się tu żyć, jak irytuje mnie, że nawet własna matka nie chce ze mną mówić o mnie, że tak naprawdę mnie nie kocha. Bo to nie jest tak, że dla zabawy ze sobą wszędzie noszę gaz pieprzowy (dostałam go w prezencie świątecznym od mojej ukochanej) i że jestem cała przestraszona, jak tylko jakiś obcy mężczyzna odezwie się do mnie w jakimkolwiek temacie. Ostatnio przez przypadek typ mnie szturchnął w pociągu i przeprosił. Byłam przerażona. Wydaje mi się, że przez to, że tyle chłopów groziło mi przemocą (jeden typek nawet sugerował gwałt naprawczy, jakiś inny gadał obłeśne rzeczy i bez zgody tykał mnie po kolanach, ktoś tam dał na mnie mordę: „LGBT KURWA!”, a jeszcze inny krzyczał, że robię z siebie potwora z bagien, że jak mogę mieć takie włosy), to trochę się cykam mężczyzn tak ogólnie. Ale staram się być groźna, chodzić dziarsko. Chwalę się moimi pięknymi, czystymi, pachnącymi włosami

pod pachami wszędzie i kłócę się z jakimiś mężczyznami, że wcale nie jestem obleśna i jak oni chcą, to niech sami gołą nóżki, pachy i dupy. Jak siadam naprzeciwko facetów w pociągu, to rozkraczam nogi szeroko, żeby zaznaczyć dominację, nie wiem, trochę mi głupio, że czuję się w obowiązku robić takie rzeczy.

Czas na zabawny przerywnik, anegdotę. Pamiętacie, jak mówiłam, że odziedziczyłam po rodzicach słabą kondycję zębów? No to kilka tygodni temu byłam u dentystki (piszę to, kiedy jest 27.08.2020, nie wiem, przypomniało mi się, że w pamiętniku się chyba zapisuje daty). Weszłam do gabinetu, zapytałam może nieco niemądrze: „Heh, rozumiem, że powinnam już zdjąć z twarzy maseczkę?“, na co usłyszałam chłodne: „A jak inaczej mam ci robić zęby?“. Jestem jednostką dość wrażliwą (tak naprawdę to bywam totalną beksą, nie jestem z tego dumna, obwiniam o to moje Słońce i Mars w rybach), więc od razu się zestresowałam, zrobiło mi się głupio, usiadłam na fotelu. Zaczęłam wyjaśniać problem.

- Coś mi się wytworzyło w buzi. Myślę, że jakiś ropień?

- Ropień? Dlaczego używa pani medycznego terminu? Najpierw powinna pani nauczyć się jego znaczenia - odpowiedziała.

- Ach, okej - starałam się mówić spokojnie i rzeczowo, ale już byłam cała zdenerwowana i mogło to nie wyjść tak, jak bym to sobie wymarzyła - Zrobiła mi się taka rzecz w buzi.

- Rzecz w buzi? - jej ton był ewidentnie kpiący.

- Rzecz z ropą w buzi. Tak myślę.

- Może to pokaż, bo nic nie da się zrozumieć. „Rzecz w buzi”..

Otworzyłam jąpę, otrzymałam znieczulenie. Dentystka zaczęła mi robić ząb. I kiedy tak siedziałam na tym fotelu, już nieco podenerwowana, to ona nagle spojrziała na mnie i rzekła:

- A może pani pomyliła gabinety?

- Słucham? - zapytałam, kiedy akurat nie miałam żadnego narzędzia ani żadnych łap w jamie ustnej.

- Może pani zamiast do gabinetu kosmetycznego na depilację, przyszła do dentystycznego? - zlustrowała wzrokiem moje rozłożone na fotelu nogi i dodała - Jeszcze nigdy w całej mojej karierze klientka nie przyszła do mnie z nieogolonymi nogami. Jest pani antygolenie?

- No, nie gołę nóg - odrzekłam zbyt oniemiała, żeby zareagować asertywnie na takie nieprofesjonalne pytania.

- A pachy? Pach pani też nie goli?

- Nie gołę - wpadłam w pułapkę. Powinnam była nie odpowiedzieć, wyśmiać ją, zareagować jakkolwiek. Doskonale o tym wiedziałam nawet już wtedy, ale zamiast tego przyzwalalam na traktowanie mnie w sposób niezbyt uprzejmy. Jest to jakaś alternatywa.

- To będzie pani zjawiskiem na plaży! - skwitowała humorystycznie.

Może to dziwne, ale mi wtedy wcale nie było do śmiechu. Trochę płakałam, ale udawałam, że to przez borowanie, mam nadzieję, że moje niebywałe aktorskie

umiejętności dały radę. A wiadomo, nic mnie nie bolało, miałam w końcu znieczulenie, za które zapłaciłam chyba dodatkowe 30 złotych. Kiedy już było po wszystkim, dentystka poinformowała mnie: „Teraz godzina bez jedzenia i picia. Ale dla pani to nie będzie problem, bo jak widać pani chyba nie je”. Wysłałam stamtąd szybko i się rozpłakałam. Zadzwoiłam do dziewczyny, żeby ta się pogniewała za mnie na całą tę sytuację i powyzywała mi tę dentystkę. Na nią zawsze mogę liczyć, kiedy ja chcę tylko płakać z niesprawiedliwości, ona się święcie oburza w moim imieniu, przeklina i wyzywa wszystkich, którzy zachowali się w stosunku do mnie nieprzyzwoicie. Poczulałam się nieco lepiej.

Obecnie chyba nie mam poważnego problemu z jedzeniem. Kiedyś, wydaje mi się, było gorzej. Obwiniam za to patriariat i kapitalizm. Już w podstawówce stosowałam jakieś głupie diety, przed snem robiłam 180 brzuszaków. Zaczytywałam się w blogach typu proana. Przestałam słodzić napoje, porzuciłam smarowanie pieczywa masłem. Przez lata stosowałam na zmianę diety, a w czasie, kiedy akurat się nie odchudzałam, to objadałam się tak, że potem nie mogłam się ruszać. Nigdy nie poszłam z tym do żadnego specjalisty. Nie jestem pewna, czy moi rodzice zdawali sobie sprawę, że miałam problem. Teraz od kilku lat jem raczej zwyczajnie, nie liczę obsesyjnie kalorii, nie ćwiczę po każdym posiłku, wciąż nie słodzę kawy i herbaty, ale to chyba dobrze. Z masła często nie korzystam, ale to ze względów takich, że staram się ograniczać produkty odzwierzęce, mam nadzieję, że niedługo przejdę na całkowity weganizm. Ale mimo to czasem wchodzę na wagę i cieszę się niebywale, kiedy jestem najchudsza w mojej karierze. Albo odczuwam przygnębienie, kiedy na przykład ważę kilogram więcej niż zwykle. Wiem, że muszę przestać, tym bardziej, że jestem chuda, więc nie mam żadnego powodu pragnąć ważyć mniej. A nawet gdybym nie była, to nie ma nic złego w grubości, ale w mojej głowie to wcale tak nie wygląda. Racjonalnie zdaję sobie z wielu rzeczy sprawę, ale chyba siedzą we mnie głębokie uprzedzenia dotyczące tego, jak moje własne ciało powinno wyglądać. Toteż mimo tego, że cała siedzę w ruchach typu „body positive” i wspieram je i kocham całym sercem, to wewnątrz mam jeszcze nierozwiązane sprawy, którymi być może powinnam się zająć. I irytują mnie wieczne komentarze mojej matki, że jestem chudzielcem, że Tatra Marina (kot, którego przygarnęłyśmy z ulicy ostatnio) jest wychudzona jak ja. Myślę, że dlatego tak ta ostatnia uwaga dentystki mnie zabolala.

Chciałabym zaznaczyć, że to nie jest tak, że przydarzają mi się same smutne rzeczy. Mam wielką mordę i ogromne zębiska (są naprawdę ładne, szkoda, że ich kondycja jest taka beznadziejna, o czym mam nadzieję, że wszyscy już wiedzą) i zazwyczaj idę przez życie z uśmiechem (wielkim wyszczerzem, który zajmuje mi mniej więcej całą twarz). Moja dziewczyna, jak wspominała naszą pierwszą randkę, to powiedziała, że jej wrażenie po tym było takie, że, ojej, ale Doma ma wielki ryj. No, ale wracając do tematu. Teraz po prostu czuję się gorzej, bo sytuacja się skumulowała. LGBT-fobiczna nagonka medialna, fizyczne ataki na ludzi z mojej społeczności, koronawirus. Ale tak na ogół to żyję sobie całkiem przyzwoicie. Nagrywam filmiki z moimi

lalkami. Na przykład takie, w których opowiadam, że powinnam zostać człowiekiem roku w nagrodę za to, że dałam odrzuconym lalkom Monster High dom i schronienie przed szykanowaniem. Czasem rysuję jakieś bzdury i się irtuję, bo za każdym razem okazuje się, że nie umiem rysować. Chodzę na imprezy klubowe i tańcząc do białego rana (och, ależ to obleśnie brzmi, proszę mi wybaczyć, bardzo chciałam użyć tego określenia). Kiedyś, kiedy spędzałam noc w klubie, poznałam tam człowieka. Byłam dosyć pijana i akurat zirytowana, więc opowiadałam o tym, jak Jezus zrujnował mi życie. Zaczęłam wspominać wspólnotę. Okazało się, że ta osoba za młodu również była na drodze neokatechumenalnej i miała podobne odczucia co do tej organizacji co ja. Czulałam wtedy euforyczne uniesienie. Razem tańczyłyśmy specjalny wspólnotowy taniec (bo neokatechumenat ma swój układ taneczny, który składa się z jednego kroku powtarzanego w kółko, bracia wykonują go po każdej bardziej uroczystej eucharystii) do jakiejś klubowej piosenki. Nie mam pojęcia, co wtedy leciało. Mam nadzieję, że „Toxic” Britney Spears.

Poza tym nadmienię (to tak jeszcze w związku z miłymi rzeczami, jakie przydarzają mi się w życiu), że mam trzy koty, które dają mi dużo radości. Pierwsza w domu pojawiła się Misiówka Florentyna. Kuzynka kiedyś poinformowała mnie, że jakaś znajoma jej osoba chce oddać z hodowli koteczkę, bo ta urodziła się z wadą wzroku i prawie nie widzi. Razem z siostrami namówiłam rodziców, że musimy ją przyjąć do nas, że tak trzeba, bo przecież to powszechnie znana prawda, że chorych trzeba w dom przyjąć. Nie jestem pewna, czemu się zgodzili, przez lata byli przeciwni zwierzakom większym niż królik. Nazwaliśmy ją Misiówka Florentyna. To imię ma bardzo długą tradycję, już wyjaśniam. Jak moja matka była w trzeciej ciąży (ja już wtedy istniałam na tym łożu padole, jestem ich drugim dzieckiem, pierwszą córką, najbardziej nieudaną), zapytała mojego brata (który wtedy miał 3 lata), jak chciałby nazwać swoją siostrzyczkę, która niedługo się urodzi. Brat odpowiedział bez zawahania: „Misiówka!”. Nie wiem, dlaczego rodzice nie skorzystali z tej błyskotliwej sugestii i nazwali swoje dziecko inaczej. W każdym razie po latach nasz kot uzyskał to dumne rodowe imię. A Florentyna to już nie wiem. Matka mówiła, że swojemu potomstwu dała tylko po jednym imieniu, to niech koty za to cierpią i mają po dwa. Potem dorobiliśmy się jeszcze Filomeny Mirabelle (mamy ją z jakiejś fundacji, wygląda jak obwieś, ale moja rodzicielka każdemu wmawia, że Filomenka Mirabelle ma takie szlachetne rysy) i Tatrę Marinę (mnie bawi, że kot ten nazywa się jak piwo, natomiast rodzicielka uważa, że to tak ładnie, od gór do morza). Ta ostatnia, jak przybyła do nas (została złapana z dworu), to była w okropnym stanie. Skóra i kości. Zarobaczona (w jej odchodach znajdowały się takie obleśne glizdy wyglądające jak żywy makaron). A w dodatku, jak się potem okazało, ciężarna. Trzeba było zaprowadzić ją na kastrację aborcyjną. Matka mówiła, że będzie się musiała z tego wypowiadać.

Marzę o tym, żeby zarobić już tyle pieniędzy, żeby stać mnie było na utrzymanie się gdzieś poza domem rodzinnym. Chcę terapię psychologiczną i mieszkać gdzieś, no nie wiem, gdzie byłabym szanowana lub coś. Z moją dziewczyną planujemy, że

za jakieś trzy lata pewnie opuścimy ten kraj. Zrobiłyśmy sobie listę miejsc, które rozważamy. Nie jesteśmy zbyt oryginalne, najbardziej myślimy o Holandii. Chciałabym, żeby wszyscy za mną tęsknili. Ale boję się, że może odczują ulgę. Obecnie liczę na to, że w związku z koronawirusem i tym, że na przykład moja uczelnia oferuje zajęcia tylko zdalne, to studenci z daleka nie będą już mieszkać w Gdańsku, więc może stanieją ceny mieszkań/pokoi. Ale nie wiem, nie znam się na tym, po prostu byłoby fajnie. Bo mam już bardzo dość mieszkania z rodzicami, którzy udają, że temat nieheteronormatywności nie istnieje. Ja ogólnie uważam, że jeśli człowiek już się rozmnaża, to powinien założyć taką opcję, że jego dziecko może być na przykład LGBT. Ale niestety, moi rodzice nie wpadli na taką możliwość. Co dziwne, bo jestem pewna, że w latach dziewięćdziesiątych istniały lesbijki. No ale pewnie można było o tym nie wiedzieć. I teraz tylko głupio im przed sąsiadami, że ich córka wygląda tak krzykliwie. Matka mi mówiła, że powinnam brać pod uwagę jej uczucia. I że ona nie chce, żeby za naszymi plecami sąsiedzi gadali, że jak ja wyglądam. Wiem, że pewnie brzmię jak zbuntowana nastolatka, którą nie jestem (24 lata, przypominam), ale mam w sobie ogromne pokłady żalu.

Teraz ogólnie żyję w czasach pandemicznych. Bardzo dużo płaczę. Myślę, że trochę się wypaliłam, bo cały czas biorę udział w demonstracjach w związku z LGBT (obecnie jest w Polsce nagonka na osoby nieheteronormatywne, członkowie rządu nazywają moją społeczność ideologią, obklejone propedofilskimi informacjami ciężarówkami jeżdżą po miastach i z głośniczka głoszą homofobiczne bzdury, aktywistka za zniszczenie takiej ciężarówki i szarpaninę z kierowcą dostała 2 miesiące aresztu w oczekiwaniu na proces, obecnie ataki na LGBT są wzmożone, na policję czasem słabo można liczyć i no, tak ogólnie to tak se sytuacja, przysięgam, że wiem na ten temat bardzo dużo, ale jestem tak bardzo zmęczona, że ten skrót musi wystarczyć), kłócę się w internetach z ludźmi, którzy uważają, że może powinnam przestać już prowokować i to wcale nie jest tak, że mam tak źle. Aha, no i przecież to LGBT obraża cały czas katolików. Toteż muszę tłumaczyć, że to bzdury, bzdury i stop bzduram, a w zamian słyszę obrażanie i wyśmiewanie. Dużo płaczę i myślę o tym, jak nienawidzę tej sytuacji, w której się znajduję. Kiedy dowiedziałam się, że aresztują Margot (aktywistka związana z komitetem Stop Bzdurom, to ona dostała zapobiegawczo 2 miesiące aresztu), siedziałam w pociągu, właśnie jechałam do mojej dziewczyny (ona mieszka w sąsiednim mieście, 8 minut kolejką) na farbowanie włosów (po chyba ponad roku w różu postanowiłam zmienić kolor na zielony, byłam podekscytowana), oglądałam stream z tego, co się działo w Warszawie (ja mieszkam w małym mieście niedaleko Trójmiasta) i płakałam. Całe szczęście, że maseczka niemal całkowicie zasłaniała mi ryj, to może współpasażerowie się nie skapnęli, że jestem beksą.

Kolejny semestr uczelniany spędzę w domu w związku z koronawirusem. I cieśzę się, bo nie będę musiała jeździć każdego dnia na uczelnię (mój dojazd tam trwa 1,5 godziny), ale z drugiej strony boję się, że nie dam tu rady, bo tak nienawidzę być razem z rodziną. Jeszcze niedawno, kiedy mogłam spokojnie wychodzić z domu i nie

bać się, że ktoś mi nachucha w mordę koronawirusem, to starałam się tu wracać tylko na spanie. A tak chodziłam po jakichś pubach z koleżankami, śpiewałam karaoke na imprezach (z moją dziewczyną opanowałyśmy do perfekcji numer „All the Things She Said”, byłyśmy fenomenalne, nasz widok zapierał dech w piersiach, prawdziwe gwiazdy estrady), a teraz nie mam aż tylu możliwości na unikanie domu. Czasem się zastanawiam, czy moja rodzina również chce mnie unikać tak mocno jak ja ich. Nie wiem.

Ogólnie to czasem się czuję, jakby całe moje obecne życie było performancem. Bo jak tylko wychodzę z domu, a wyglądam dość nietypowo (z powodów estetycznych, lepiej się ze sobą czuję, kiedy jestem taka piękna, a poza tym chyba całkiem lubię szokować swoim wizerunkiem, no i nie chciałabym, żeby ktoś pomyślał, że mogę być na przykład hetero), to już zwykła jazda pociągiem jest statementem. Bo nagminnie zdarza mi się słyszeć niechciane komentarze. To, że nie golę nóg, już dla niektórych jest prowokacją, a moje włosy pod pachami sięją zgorzenie. Jak opublikowałam zdjęcie, na którym było widać, że jestem kobietą owłosioną, otrzymałam setki (i nie jest to przesada) wiadomości od mężczyzn bardzo niemiłych. Na przykład, że fuj, pewnie śmierdzą śledziem, albo że teraz już żaden mężczyzna na mnie nie spojrzy (ucieszyłam się, mam nadzieję, że nie jestem atrakcyjna dla żadnego typu). Jak idę przez miasto z moją dziewczyną za rękę, to często ktoś nas zaczepia. Ostatnio jakiś typek krzyknął za nami: „lesbianki” („lesbianki” to moje absolutnie ulubione określenie). Jak siedziałam na łące z moją bubą i wtulałam się do niej, podszedł do nas chłopak i zasugerował, że powinnyśmy się całować, a on sobie popatrzy. Wiadomo, jesteśmy lesbijkami dla przyjemności mężczyzn. Nienawidzę tego.

Dzień z życia: 28.08.2020

Pojechałam do Gdańska spotkać się z przyjaciółką, której nie widziałam od ponad pół roku.

Siedziałam w pociągu sama, miała mi towarzyszyć moja dziewczyna, ale ta spóźniła się na pociąg. Powiedziała, że dołączy do nas później. Kiedy jechałam tym przepięknym środkiem transportu, przeczytałam, że na jakiejś konferencji polskiego episkopatu został wydany oficjalny dokument nawołujący do prowadzenia terapii konwersyjnych. Oczywiście wszystko zawoalowane pseudomądrymi słówkami. Rozplakałam się. Wspominałam już, że jestem beksą?

Posłuchałam opowieści mojej przyjaciółki o tym, jak u niej w domu występują kłótnie przez wzgląd na różne podejście do wychowania psów. Ja i moja typiara (która do nas dołączyła) odwdzięczyłyśmy się mówieniem o tym, jakie kłótnie istnieją u nas w domach przez to, że nasze matki mają inne podejście od nas do wychowywania kotów. Poza tym kazałyśmy tej mojej przyjaciółce oglądać „Chłopaków z baraków” (drodzy czytelnicy, zróbcie sobie przysługę i też zapoznajcie się z tym tekstem kultury). Wypaliliśmy po dwa papierosy (niemalże miętowe, bo ja i moja dziewczyna

kupujemy zapachowe wkładki, które się wkłada pomiędzy rzędy fajek, dzięki czemu papierosy nabierają bardzo delikatnego miętowego zapachu).

Jak wracałyśmy do mieszkania mojej dziewczyny (jej matka miała nockę), to przeczytałam, że Margot została wypuszczona. Miała być 2 miesiące w areszcie. Przesiedziała 3 tygodnie, po czym sąd uznał, że areszt był bezpodstawny. Ucieszyłam się, ale nawet nie jakoś bardzo euforycznie. Nie miałam siły.

Zjadłyśmy wege rosół. Nie wiem, jak to się zaczęło, ale tematem naszej rozmowy stały się pogrzeby.

- Ty masz jeszcze spoko sytuację, bo jak ja umrę, to Mati na pewno ciebie o tym poinformuje. I będziesz mogła na mój pogrzeb przyjść.

Mati to brat mojej ukochanej. Jestem z nim w dobrych stosunkach. Bardzo lubię gościa, jest słodki, miły, kochany.

- No jo, twoja matka pewnie byłaby przeszczęśliwa, że wbiłam. Pewnie by uznała, że psuję uroczystość.

- No i co, w dupie to mam. Przyjdiesz i będziesz się rzucać dramatycznie na trumnę. Na pewno miałabyś wsparcie u Matiego. Moglibyście się wciąż spotykać po mojej śmierci.

- Tak? - zaśmiałam się - Po co? Żeby ciebie wspominać i mówić tylko o czasach, jak jeszcze żyłaś? Na pewno nie byłyby to traumatyczne spotkania ani dla mnie, ani dla Matiego. Nie no, ja myślę, że bym się już potem z Matim nie spotkała. Pewnie czasem byśmy sobie coś polajkowali na Facebooku i to tyle.

- Ja bym miała gorzej, bo z twojej rodziny nikt by mnie nie poinformował o pogrzebie. A jakbym napisała do twoich sióstr, to one pewnie też nie chciałyby mi dać informacji. Musiałabym pewnie się dowiedzieć, gdzie i kiedy będzie pogrzeb, z jakiejś ulotki wywieszanej na twojej klatce schodowej.

- Jezu, pewnie zrobiliby mi neokatechumenalną ceremonię - skrzywiłam się na tę myśl. Ja wiem, że pogrzeby są przede wszystkim dla uśmierzenia bólu żałobników, ale i tak nie chciałabym, żeby moje zwłoki brały udział w tego typu wydarzeniu.

- Przyszłabym tam i zrobiła rozpiardol. Krzyczałabym: „Jak mogliście włożyć jej stanik?! Doma nie nosiła staników!”, wrzuciłabym flagę tęczową do trumny, naplułabym do dziury, do której trumna miałaby zostać włożona i krzyczałabym: „To wy ją zabiliście! To przez was nie żyje!”

- Pewnie miałabym normicki makijaż i obleśne zwyczajne ciuchy. Ej, jak umrę, to powiedz mojej matce, że w szafie trzymam suknię ślubną, to żeby mnie w nią ubrali. Bo nie mówiłam matce, że se kupiłam suknię, nie chciało mi się tłumaczyć.

- Szkoda sukni, żeby szła do piachu. Jak umrzesz, to ją sobie wezmę. Szkoda zmarnować tych 50 złotych.

Tę kreację znalazłam w lumpeksie, to tak tylko w ramach wyjaśnienia. Pasuje na mnie idealnie. Przepiękna, olśniewająca w vintage stylu. Nie mogę się doczekać, aż wykorzystam ją do ślubnej lesbijskiej sesji zdjęciowej.

Dzień z życia: 29.08.2020

Znajoma osoba poinformowała mnie, że była kiedyś na pogrzebie swojej trans koleżanki, którą ksiądz misgenderował nawet po śmierci i w kazaniu opowiadał jakieś bzdury o tym, że nawet zagubione owieczki trafiają w końcu do Chrystusa. Zrobiło mi się głupio, że wczoraj tak przeżywałam, że nie zrobią mi alternatywnego makijażu do trumny i pewnie ubiorą w jakieś mało ciekawe zwyczajne lachy, kiedy obecnie pewnie mnóstwo osób pośmiertnie jest przywdziewanych w ciuchy, które powodowały za życia dysforyczne uczucia, a ich tożsamość nie jest respektowana nawet po śmierci. Obłeśny świat.

Pojechałam odwiedzić moją dziewczynę, bo znowu jej matka miała nockę w pracy. Zostałam odebrana z dworca (co miłe i słodkie). Słysłyśmy sobie za łapkę i gadałyśmy prawdopodobnie o tym, że ciekawe, czy pewna zmiana skórna przy ustach mojej ukochanej to opryszczka czy też nie (ja obstawiam, że nie, ale niestety, wpisałyśmy objawy w internet i ten zawyrokował, że to opryszczka). Kierowałyśmy się do apteki, żeby kupić maść na to cholerstwo na wszelki wypadek. Mijałyśmy jakąś grupkę młodzieży. Wyglądali, jakby chodzili do liceum. Na pewno byli młodszy od nas, ale nie takie totalne dzieciaki. Typowe nastolatki. W każdym razie jeden chłoppek stamtąd krzyknął w naszym kierunku: „Jebać LGBT!”. Tak po prostu. To, co było urocze, to że ja i moja dziewczyna miałyśmy jednakową reakcję i w tym samym czasie pokazałyśmy środkowy palec i krzyknęłyśmy „Wypierdaj!”. Powiem szczerze, że przeraża mnie, że ostatnio z takimi okrzykami spotykamy się częściej niż wcześniej. Dlaczego ktokolwiek myśli sobie, że jak zobaczy człowieka, to dobrym pomysłem jest krzyknienie do niego, żeby go jebać. Trochę trudno mi zrozumieć pewne mechanizmy. Mam nadzieję, że mimo to będę dobrą psycholożką, w końcu nie muszę wszystkiego wiedzieć.

Ustawiłyśmy nasz związek jako widoczny na Facebooku. Czekałyśmy może na jakąś kłótnię ze strony rodziny mojej dziewczyny (bo oni lubią jej niemiło komentować rzeczy związane z LGBT), ale na próżno. Nikt nas nie obrażał pod tym postem. Ach, i gdzie te bitwy w internecie, kiedy człowiek potrzebuje się trochę poirytować i poemocjonować?

Mowa końcowa

Dziękuję za przeczytanie mojej historii. Mam nadzieję, że zapiski te okażą się jakkolwiek pomocne dla kogokolwiek i że przejawiają jakąś tam wartość historyczną/socjologiczną. Nie wiem, może ktoś na przykład się ze mną utożsamia, albo pomyśli: „Ojej, miałam tak samo”, dzięki czemu poczuje, że nie jest sama, co też byłoby super. Liczę na to, że okaże się, że jest wiele lesbijek, które odkryły swoją tożsamość dzięki Filipowi Bobkowi. A tak na poważnie, to proszę pamiętać, że jestem tylko jedną lesbijką. Nie odpowiadam za całą wielogłosową społeczność LGBT. Mam też społeczne przywileje

w pewnych kwestiach (na przykład przez wzgląd na to, że jestem biała, cisplciowa, neurotypowa, moje ciało znajduje się raczej w kanonie normatywności i tak dalej), więc na pewne rzeczy mogę nie patrzeć z najszerzej perspektywy. Dlatego proszę przyjmować moje słowa z pewnym krytycyzmem, dziękuję serdecznie.

Cieszę się, że napisałam ten pamiętniczek. Kiedyś naprawdę skrupulatnie zapisywałam dzieje mojego życia. Od pierwszej klasy podstawówki do pierwszej klasy liceum prowadziłam pamiętniki, zapisałam ich naprawdę wiele. Ale niestety, straciłam wszystkie, bo podczas któregoś emocjonalnego kryzysu dramatycznie spaliłam je na wiór i tańczyłam wokół ich prochów. Żart. Wyrzuciłam je do osiedlowego śmietnika. W każdym razie, uważam, że to, że napisałam to wszystko, jest pewnym osiągnięciem. A to miłe, bo nie mam ich jakoś szalenie wiele w życiu. Najważniejszą rzeczą chyba jest to, że dzięki mnie moja dziewczyna polubiła bajkę „Młodzi Tytani: Akcja!”, a przypominam, że bajka ta jest obleśna, więc to poważna sprawa. No i na studiach dobrze mi idzie, wydaje mi się, że jestem całkiem mądra. Mam nadzieję, że mój promotor podziela to zdanie w tej kwestii. No, a poza tym to zamówiłam dla dziewczyny serce Kondrakaru (to taki magiczny naszyjnik z bajki W.I.T.C.H, moja ukochana jest fanką), portret jej kota Filemona i urocze majtki z brokatową cipką. Dam jej to wszystko na urodziny i liczę na to, że typiara się szczerze ucieszy. W tamtym roku kupiłam jej dwie lalki monster high (a to nie jest takie łatwe, bo lalki te nie są już produkowane, trzeba szukać używanych w dobrym stanie) i zrobiłam dla nich łóżeczko z kartonu. Kiedy byłam w pracy (sprzedawałam pamiątki, na przykład jakieś muszle z naklejonym napisem „Sopot”, super biznes), a nie było za dużo klientów (bo już sezon się kończył), kazałam współpracownicy razem ze mną szyc poduszeczki dla lalek. Robiliśmy sobie wyścig szycia. Bawiłam się wybornie. Potem dałam mojej ukochanej tę uszytą z miłości pościel, no i ogólnie cały prezent. Przyznam się szczerze, że jestem beznadziejna w szyciu, ale tej współpracownicy szło świetnie! Aha, i żebyśmy wszyscy mieli jasność sytuacji, moja dziewczyna urodziła się w ten sam dzień co Lech Wałęsa (ale wiadomo, rok się nie zgadza). A ja w dzień kobiet i dlatego teraz jestem lesbijką i feministką.

Epilog (01.10.2020)

Ogólnie, jeśli pytacie, jak mi się żyje, to już odpowiadam. Znalazłam sobie pracę. W te wakacje przyznaję, że raczej byłam smutna i nie robiłam za wiele, to jest nie zarabiałam monet. Natomiast jako że jestem osobą dość finansowo biedną, to taki styl życia był dość destrukcyjny dla moich finansów (życie na oszczędnościach, jak się okazało, niestety sprawia, że oszczędności topnieją, szok). Musiałam znaleźć robotę, tym bardziej, że strasznie mam dosyć mieszkania z rodzicami. Niezbyt odpowiadają mi zasady panujące w tym homofobicznym domu. Czasami fantazjuję o tym, że pozywam ich o alimenty i mam stały dochód za to, że istnieję. Nie zrobiłabym tego, bo stawiam, że by mi tego nie wybaczyli, ale co se marzę, to moje. Najgorsze jest to, że nie mam pojęcia, kiedy i czy kiedykolwiek będzie mnie stać na własne lokum. Obecnie

sprzątam zakład zajmujący się dietami pudełkowymi. To znaczy, to jest to, czym się zajmuję, jestem osobą sprzątającą. Całkiem spoko, bo przynajmniej, dzięki temu, że mam tam obiad pracowniczy, to odżywiam się lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Zawsze są dostępne wege opcje, a czasem są nawet tylko i wyłącznie wege. Takie dni to moje ulubione dni, bo reszta pracowniczek i pracowników płacze, że omg, jak oni się tym najedzą, a ja mam mega wybór i mogę cieszyć japę i na przykład zdecydować, czy chcę wege szaszłyki czy makaron ryżowy z sosem. Fajne, podoba mi się. No, a poza żarciem to zarabiam więcej niż minimalną na godzinę, czyli ekstra. Moje standardy zostały spełnione. Żałuję, że w tym obleśnym kapitalistycznym świecie muszą być one takie niskie, ale cóż, obecnie nic na to nie poradzę.

Mojej dziewczynie prezent się spodobał. Powiedziała, że nie mogła sobie lepszego wymarzyć. Cieszę się, że dzięki sercu Kondrakaru to ona teraz jest strażniczką portali i dba o bezpieczeństwo tego ziemskiego padolu.

A tak na pożegnanie podzielę się najmiłą rzeczą, jaka mi się wczoraj przydarzyła. Wracalam wymęczona z pracy. Spojrzałam w telefon i zobaczyłam, że dostałam smsa następującej treści:

„ALERT RCB

Uwaga! Dziś (30.09) bardzo silna baba sprzątająca wraca z pracy. Znajdź jej bezpieczne schronienie. Pilnuj jej, ponieważ jest najwspanialsza i najkochańsza na świecie”.

Pamiętnik Kordiana

Ur. w 2001 r. w Przemyślu, trans mężczyzna, gej.
Mieszka w Warszawie.

Jak napisać wstęp do historii swojego życia

Hej, jestem trans chłopakiem z konserwatywnego miasta na Podkarpaciu. Mam 19 lat i rozpoczynam w tym roku naukę na uniwersytecie. Jest październik 2020 roku i czuję, że ktoś mnie kiedyś zabije. Zwyczajnie, za bycie trans. Jestem o tym przekonany. Jeśli czytając to, myślicie, że przesadzam – posłuchajcie. Tym pamiętnikiem chcę pokazać, jak może wyglądać bycie osobą trans. Wszyscy trans ludzie mają inną historię: w innym momencie uświadamiają sobie swoją tożsamość płciową, w innym momencie robią coming out lub w ogóle go nie robią, zmieniają styl ubierania lub nie mogą go zmienić, doświadczają dysforii lub euforii. Jednak najczęściej w mediach spotykam się ze stereotypową trans osobą – taką, która wiedziała od zawsze, była gotowa o tym powiedzieć rodzicom w wieku kilku lat, która chce przejść wszystkie operacje itp. Myślę, że część osób na pewno utożsamia się z takimi postaciami, jednak ja nigdy nie jestem w stanie w tym odnaleźć siebie. Dlatego, nie przedłużając:

Od początku tranzycji do pozwania rodziców

W moim małym rodzinnym miasteczku żyłem do rozpoczęcia nauki w liceum, do którego uczęszczałem w dużo większym mieście. W tamtym okresie (pod koniec gimnazjum) uświadomiłem sobie, że jestem trans. To znaczy, pomyślałem, że na pewno nie jestem dziewczyną, a potem spędziłem około dwa lata bijąc się z własnymi myślami, które za wszelką cenę chciały mnie przekonać, że sobie to wszystko wmówiłem. Bo przecież ja nie mogę być trans, nie spełniam wszystkich „wymogów” narzuconych trans ludziom przez społeczeństwo i nie wiedziałem o tym od zawsze. Teraz rozumiem, że to była konsekwencja m.in. absolutnego braku edukacji seksualnej w Polsce,

braku rozmów z rodzicami, braku reprezentacji w mediach. Zinternalizowana transfobia była zasiana we mnie – podobnie jak w wielu trans ludziach – przez dorosłych obecnych w moim życiu. Dzisiaj nie obwiniam ich o to, ponieważ to nie ich wina, że polski rząd nie chce edukować obywateli o sprawach związanych ze społecznością LGBT+.

Do dzisiaj mam wrażenie, że poznałem siebie zupełnie przypadkowo. Coś we mnie drgnęło, gdy po raz pierwszy obejrzałem filmik jednego z amerykańskich youtuberów, który zrobił coming out jako trans chłopak. To samo uczucie wracało, gdy obserwowałem moich internetowych trans znajomych. Dopiero po kilku miesiącach byłem w stanie ubrać to uczucie w słowa. Za kolejne parę miesięcy byłem gotowy postawić pierwsze, małe kroki w tranzycji – ścięcie włosów (jeden z najszcześniejszych dni w moim życiu!), powiedzenie kilku przyjaciółom, że nie jestem dziewczyną, powolna zmiana stylu ubierania się. Przez brak trans ludzi w przestrzeni publicznej, w filmach, serialach, którym początek tranzycji zajął równie długo, co mi, przez długi czas czułem, że tylko udaję i nie jestem trans. Z perspektywy czasu widzę, że to były bardzo duże zmiany, do których musiałem się przyzwyczać.

Dopiero dwa lata po tym byłem w stanie powiedzieć rodzicom. Byłem przekonany, że zostanę przez nich wyrzucony na ulicę. Nawet jeśli wiedziałem, że nigdy by mi tego nie zrobili. Zbyt wiele razy słyszałem o LGBT+ nastolatkach pozbawionych dachu nad głową po coming outcie. Jeśli jesteś trans i robisz komuś coming out, to najczęściej masz nadzieję tylko na to, że nie zareagują agresywnie. Że nie zostaniesz bez domu. Że nie zostaniesz zabity. Neutralna reakcja to tak naprawdę najlepsze, na co mogłem liczyć w tamtym momencie. Sam coming out do rodziców był bardzo emocjonalny i niezbyt udany. Dopiero po jakimś czasie ich podejście zaczęło się polepszać i aktualnie jest lepiej niż kiedykolwiek mogłem sobie to wyobrazić. Ale zaraz po coming outcie byłem gotowy zerwać z nimi kontakt. I chcę, żeby inne trans osoby wiedziały, że to też jest opcja. Nie jesteś złym dzieckiem, jeśli nie chcesz mieć nic wspólnego z rodzicami, którzy nie akceptują prawdziwego ciebie, znęcają się nad tobą poprzez misgenderowanie i deadnaming. Masz prawo do godnego życia, a rodzinę – wbrew powszechnej opinii – można sobie wybrać i otaczać się przyjaciółmi, którzy będą cię kochać za bycie sobą.

Coming out w szkole rozciągnął się na mniej więcej pół roku. Tym razem również nastawiłem się na obojętną reakcję ze strony nauczycieli i uczniów. Przez większość czasu było w porządku, ale tylko przez to, że przyzwyczailem się do bycia pytanym o to, do której łazienki chodzę, czy będę mieć tę i tamtą operację, czy już zacząłem testosteron. Przyzwyczailem się, że cisplciewi koledzy i koleżanki nie będą mnie traktować jak człowieka, który zasługuje na prywatność i szacunek. Chodzenie do szkoły, kiedy wszyscy wiedzą, że jesteś trans, jest alienujące. Chłopcy nie chcieli się ze mną kolegować w ten sam sposób, co z innymi, bo nie byłem w ich oczach chłopakiem. Dziewczyny mnie po prostu ignorowały, a jeśli nie, to traktowały mnie nadal jak „jedną z nich”. Nieważne do kogo bym się nie odezwał w szkole, każda interakcja była kompromitująca i powodująca dysfориę. Jedyna naprawdę jawna i dobitna transfobia,

która miała miejsce w mojej klasie, to dyskusja pomiędzy dwójką uczniów a nauczycielem, który bronił trans ludzi, natomiast uczniowie jawnie przyznali się do bycia transfobami. Jakoś to zostało ze mną przez całe liceum i do końca nauki wiedziałem, że nie ma dla mnie miejsca w tym towarzystwie. Dlatego jedynym sposobem szukania przyjaciół dla mnie jest znajdowanie ich w internecie. Nawet jakby ktoś okazał się transfobem, nie jest w stanie mnie skrzywdzić. Tak znalazłem grupę bardzo dobrych znajomych i chłopaka. Dla tęczowej młodzieży to normalne mieć znajomych mieszkających 300 lub 3000 kilometrów dalej.

Przez ostatni rok zdobyłem diagnozę, zacząłem testosteron, miałem jedną operację i pozwałem moich rodziców. Do tego ostatniego – tak właśnie wygląda proces zmiany dokumentów przez trans osoby w Polsce. Nieważne, ile masz lat – żeby zmienić oznaczenie płci w dowodzie, zgodę muszą wyrazić twoi rodzice. Spotkałem na swojej drodze trans chłopaka, który musiał poczekać, żeby jego rodzice zmarli, aby mógł zmienić swoje dokumenty. Tak właśnie wygląda rzeczywistość wielu trans ludzi w tym kraju. Zrywamy kontakt z transfobiczną rodziną, a potem tylko czekamy na ich śmierć, żebyśmy my mogli zacząć żyć.

I jak wygląda ta rzeczywistość

Zdobycie diagnozy w moim przypadku sprowadziło się do wydania bardzo dużej kwoty pieniędzy, która zdecydowanie przyspieszyła proces zazwyczaj trwający ok. pół roku. To nie zmienia jednak faktu, że nadal był to proces niesamowicie upokarzający, frustrujący i dołujący. Jedną z wielu rzeczy, które musiałem zrobić, aby dostać diagnozę, było wypełnienie kilku długich testów z pytaniami, które dla mnie nie mają nic wspólnego z tożsamością płciową. Po co musiałem odpowiadać na pytania związane z moją orientacją, z moimi upodobaniami seksualnymi? Mówię o tych niepoważnych pytaniach w dużych ogólnikach, bo faktyczne cytaty byłyby w tym pamiętniku zbyt obrzydliwe. Wypełnianie tych kwestionariuszy było traumatyczne i wtedy zrozumiałem, że już nigdy nie będę miał prywatności. Każda napotkana osoba w szpitalu, w szkole, w urzędzie musi znać całą moją historię, aby pomóc mi z danym problemem. To wszystko przez to, że nadal mam deadname w dowodzie. Każdemu muszę się ujawnić i liczyć na to, że otrzymam neutralną reakcję, a nie agresywną.

Moja rzeczywistość teraz to strach przed chodzeniem do lekarza, do urzędu, do szkoły, jeżdżeniem komunikacją miejską, pociągami, chodzeniem na WF, na basen. Zaniedbywanie własnego zdrowia jest mniej ważne niż to, czy czuję się bezpiecznie. W wyżej wymienionych sytuacjach nigdy nie czuję się komfortowo – czy to przez to, że muszę pokazać komuś dowód z deadnmem, czy przez to, że ktoś może zobaczyć blizny po mojej operacji. Bycie trans wykluczyło mnie z uczestniczenia w życiu. Tak być nie powinno, jednak w tym kraju naprawdę nie widzę na ten moment innego sposobu, aby przetrwać. Wiele trans ludzi teraz jawnie mówi o byciu trans, są dzielni i waleczni – z czego się cieszę. Jednak ja nie jestem jeszcze w tym samym miejscu,

co oni. Na razie nadal czuję, że jestem tylko problemem dla każdego, kogo spotykam i że powinienem się po prostu usuwać z drogi. Nie chodzę do klubów, nie chodzę na siłownię, nie chodzę do biblioteki. Nie chcę zamawiać żadnych paczek na własne imię, nie chcę podpisywać umów na mieszkanie. Dopóki wszystkie te rzeczy wymagają ode mnie tłumaczenia i usprawiedliwiania swojej egzystencji zupełnie obcym osobom, dopóty będę ich unikać.

Tranzycja to najbardziej wyczerpujący proces, o jakim jestem w stanie pomyśleć. Ciągnie się latami, każdy jej punkt jest niesamowicie dehumanizujący, upokarzający, męczący i niesamowicie drogi. W Polsce nie ma „transgender clinics” takich jak w Anglii czy USA, które pomogłyby mi w jakimkolwiek stopniu z tranzycją. Nikt nie pomoże mi znaleźć odpowiednich lekarzy blisko mnie, ani nie nauczy wstrzykiwania testosteronu. Moja rzeczywistość w Polsce to niesamowita samotność we wszystkim, co muszę zrobić i niechętnie nastawienie lekarzy i urzędników, których proszę tylko o wykonanie ich pracy. Moja rzeczywistość to pisanie 30 maili do wszystkich nauczycieli o tym, że mam na imię tak i mam takie zaimki i modlenie się, żeby nie okazali się transfobami, którzy obleją mnie na koniec semestru za nic. Moja rzeczywistość to niechęć do korzystania z toalety gdziekolwiek poza domem. Dysforia społeczna niszczy moje życie codziennie i jest mocniejsza niż jakikolwiek inny rodzaj dysforii.

Moja rzeczywistość to też strach przed śmiercią. Od 22% do 43% trans ludzi w ciągu swojego życia próbowało się zabić. Myśląc o tych procentach, nie dziwię im się zupełnie. Nie mówię tego z brakiem empatii i współczucia. Mówię to ze zrozumieniem ich sytuacji. Nie dziwię się trans ludziom, którzy odebrali sobie życie. Tranzycja w Polsce, w takiej formie, w jakiej teraz istnieje, wszechobecna transfobia i nagonka na ludzi LGBT+ często powodują u mnie myśli samobójcze. Przez siedem pierwszych miesięcy 2020 roku w Ameryce zostało zamordowanych więcej trans ludzi, niż przez cały 2019 (źródło: National Center for Transgender Equality). To są informacje zwrotne, które otrzymują trans ludzie. Wiemy, że możemy być zabici za samo egzystowanie. Jeszcze gorzej mają trans ludzie o innym kolorze skóry niż białą. Na całym świecie obserwujemy aktualnie wzrost skrajnie prawicowych tendencji i to oddziałuje na wszystkie mniejszości etniczne, seksualne oraz osoby transpłciowe. Tak wygląda nasza rzeczywistość – strach, brak siły do walki, brak miejsca dla nas w społeczeństwie, brak zrozumienia, brak pomocy (czy to od cis i hetero ludzi, czy od cis niehetero osób).

Jak polubiłem siebie

Skłamałem w tytule podrozdziału – nadal się nie polubiłem. Ale przeżyłem kilka momentów, w których zrozumiałem, że jestem sobą, we właściwym ciele (nie, nie zgadzam się z narracją mówiącą o tym, że jako trans chłopak jestem uwięziony w ciele kobiety), na właściwej drodze i przy właściwych osobach. Te momenty nigdy nie trwają zbyt długo, ale będę o nich pamiętać do końca życia. Jeden z nich

to Marsz Równości w czerwcu 2019 roku w Warszawie. Chodzenie przez ulice, trzymając za rękę mojego chłopaka, śpiewanie do Britney Spears – nie wyobrażam sobie innego miejsca, w którym chciałbym się wtedy znaleźć. Patrzenie w lustro kilka dni po mastektomii i uświadomienie sobie, że z odbicia patrzy na mnie prawdziwy chłopak. Pierwsze kilka razy, gdy załamał mi się głos po rozpoczęciu terapii hormonalnej. Pierwsze kilka razy, gdy kasjer do mnie powiedział „Proszę Pana”. Zazwyczaj takie małe rzeczy pozwalają mi chociaż na chwilę się zatrzymać w tym chaosie, który nazywamy tranzycją, abym mógł sobie uświadomić, że rzeczy faktycznie zmieniają się na lepsze.

Jak być zarazą w czasie zarazy

Chcę poświęcić podrozdział mojemu życiu podczas pandemii, ponieważ w 2020 roku zaobserwowałem coraz bardziej agresywną nagonkę na społeczność LGBT+ w Polsce. Poza tym kwarantanna łączy się dla młodych osób z nauką zdalną, pozostawianiem w domu z często nieakceptującymi rodzicami. Na szczęście uniknąłem lekcji przez wideokonferencje z deadnamem, na który musiałbym patrzeć przez kilka godzin dziennie, ale zdaję sobie sprawę z tego, jak wiele trans nastolatków w Polsce jest w gorszej sytuacji ode mnie. W internecie spotkałem się z wieloma osobami, które doświadczyły więcej misgenderowania na Zoomie, niż się to działo przed lockdownem. Czy to przez to, że na żywo nauczycielom lepiej wychodzi pamiętanie o takich rzeczach, czy przez to, że online mniej osób poczuje obowiązek włączenia mikrofonu i wstawienia się za daną trans osobą. Pandemia zdecydowanie wpłynęła na zdrowie psychiczne osób LGBT+ na całym świecie, w tym moje. Kompletna izolacja od moich przyjaciół, których miałem wcześniej szansę zobaczyć na co dzień lub np. co miesiąc, przy których czuję się najbezpieczniej, jeśli chodzi o rozmawianie na istotne dla mnie tematy, sprawiła, że ogólnie czułem i czuję się gorzej, w porównaniu do stanu sprzed pandemii.

Lockdown sprawił również, że ostatecznie zrozumiałem, że nie ma w Polsce miejsca dla mnie. Z większych wydarzeń, które uderzyły we mnie, jako transpłciową osobę, mogę wymienić: wybory prezydenckie i dehumanizowanie społeczności LGBT+ przez A. Dudę, niesłuszne zatrzymanie Margot i „żarty” o gwałcie w więzieniu, D. Piontkowski mówiący o ludziach, którzy nasprejowali imiona ofiar homofobii i transfobii na ścianie gmachu ministerstwa edukacji: „To są barbarzyńcy i idioci, którzy nie potrafią uhonorować polskiej tradycji i zabytków w Polsce i to należy jednoznacznie potępić”, rzecznik Praw Dziecka M. Pawlak mówiący o tym, że edukatorzy seksualni „dają dzieciom środki na zmianę płci”, P. Czarnek, który powiedział: „Ci ludzie nie są równi ludziom normalnym”. Mógłbym wymieniać w nieskończoność, ale te sytuacje zostały akurat ze mną na dłużej. Jak to jest codziennie słyszeć nową tyradę o społeczności LGBT+ któregoś starego hetero dziada, rządzącego tym krajem? Po tylu latach dla mnie to codzienność, do której już się przyzwyczaiłem. Czasem mnie to dotyka, ale

głównie jestem przygotowany na takie słowa od ludzi w Polsce. Nie widzę miejsca ani czasu na poprawę naszej sytuacji w Polsce, zanim będzie za późno. Jeśli już nie jest za późno – strefy wolne od „ideologii LGBT” już istnieją i są dofinansowywane przez rząd. Ludzi LGBT+ wrzuca się do aresztu z łapanek ulicznych i nie daje się dostępu ludziom z zewnątrz do informacji o miejscu ich przebywania (posłanki Razem działające na rzecz Margot i innych zatrzymanych w wakacje 2020). Już jesteśmy ideologią, nie ludźmi. Już jest za późno.

Zakończenie

Postaram się być zwięzły w tym zakończeniu – chcę dać parę wskazówek czytelnikom, skoro już jestem przy głosie. Jeśli jesteś osobą cispłciową – nie pytaj nigdy o deadname, nie pytaj do jakiej łazienki chodzę, nie pytaj jakie miałem operacje, nie pytaj jakie będę mieć operacje, nie pytaj co mam między nogami, nie pytaj o to jak uprawiam seks, nie mów, że trudno ci zapamiętać moje zaimki/imię, nie ignoruj transfobicznych zachowań swoich przyjaciół, reaguj na transfobię wymierzoną we mnie, bo to zawsze ty będziesz mieć ważniejszy głos od kogoś uważanego za coś mniej wartościowego niż człowiek. Jeśli jesteś lekarzem – edukuj się w sprawach związanych ze społecznością LGBT+, jeśli jesteś nauczycielem – wspieraj swoich tęczyowych uczniów jawnie i przed innymi nauczycielami, jeśli jesteś rodzicem – kochaj swoje dziecko. Mógłbym tak pisać w nieskończoność, ale podsumuję to wszystko tym zdaniem: jeśli jesteś człowiekiem – zachowuj się jak człowiek.

Bartłomiej Dębniak

Pamiętnik

Ur. w 1997 r., gej, wychowywał się i mieszka w Gdańsku.

Mój drogi pamiętniczku..... Tak chyba powinienem zacząć, lecz to nie jest słodkie, cukierkowe opowiadanie o 23-letnim chłopcu z Gdańska. To jest prawdziwa historia o dorastaniu, odkrywaniu siebie, akceptacji, problemach jak i o kolorach życia.... Ale zaczynając od początku....

Marzec, 1997

Stało się. Płacz, krzyk i oto jestem. Mały czerwony człek o imieniu Bartek. Rozwijam się dobrze, bo duży ze mnie chłop. Jedyne moje zajęcia to jedzenie, spanie, no i oczywiście płacz :D Już nigdy więcej moje życie nie było tak bez troskie hahaha :D Rozwijam się dobrze, choć późno zaczynam mówić, czego konsekwencje wyjdą później hahaha :D (gęba to mi się nigdy nie zamyka) :P

Urodziny, 2002

Moje 5. urodziny. Nie pamiętam za wiele, prócz przyjazdu mojej babci i prezentu od niej!!! Dostałem moją pierwszą, a zarazem ostatnią spódnice!!!! Odkąd pamiętam, uwielbiam kobiety w pięknych, długich, kolorowych, wzorzystych sukniach. Nawet miałem swoje lalki Barbie, które zawsze miały najpiękniejsze suknie. Kolorowanki też zawsze dostawałem w księżniczki, bo tylko takie kolorowałem hahaha :D Już za czasów bycia małym dzieckiem, zawsze gdy przyjeżdżałem do babci, ubierałem jej spódnice. Uwielbiałem się w nich kręcić, patrzeć jak falują. Mogłem tak godzinami. Teraz gdy chce się mieć dzieci z głowy, daje im się telefon lub włącza bajki. Mi wystarczyło

dać spódnicę hahaha :D Tydzień po urodzinach zniknęła... Do dnia dzisiejszego nie wiem co się z nią stało...

Lato, 2003

Wyjazd taty. Było ciężko, lecz zrobił to dla Nas, dla naszego dobrobytu. Do tej pory pamiętam łzy, żegnanie w drzwiach, oczekiwanie na telefon... To jest moment, kiedy moja mama staje się bohaterką. Sama zaczyna wychowywać dwójkę dzieci (mam brata 3 lata starszego), do tego pracuje i zaczyna budowę domu. Nikt mi w tym momencie nie powie, że kobiety to słaba pleć...

Szkoła podstawowa

Jedyne, co pamiętam z tego okresu, to wianuszek dziewczyn dookoła mnie oraz dziesiątki uwag w dzienniczku ucznia. Tak, byłem lowelasem. Z każdą dziewczyną z mojej klasy chodziłem plus się całowałem hahaha :D Taki ze mnie donżuan :D A uwagi, to była kwestia tego, że moja wychowawczyni mnie nie lubiła!!! 95% procent uwag była za gadanie... Ale czy to moja wina, że jestem ciekawski i towarzyski? Nie... :P Byłem zawsze dobrym uczniem. Nauka nigdy nie sprawiała mi problemu. Inaczej było z WF-em hahaha :D Nigdy nie lubiłem ćwiczyć na tych zajęciach. Ale na to jest prosta odpowiedź. Nie lubię piłki nożnej, a u mnie w klasie tylko w to się grało.... Nie oznacza to jednak, że nie uprawiałem sportu. Chodziłem na basen oraz trenowałem taniec towarzyski. To tam po raz pierwszy miałem styczność z innością, wolnością, kolorem, jak i otwartością. Piękni ludzie, kolorowe stroje, ruchy sensualne oraz bliskość dwojga ludzi. Coś pięknego, innego, dającego do myślenia. To jest też okres, gdzie zaczynam buszować po Internecie szukając pierwszych informacji na temat seksu, ale jeszcze hetero. Było to coś dla mnie ciekawego, podniecającego. Ale wydaje mi się, że głównie chodziło o tę adrenalinę, która towarzyszy podczas robienia czegoś nielegalnego. Szósta klasa podstawówki jest okresem, gdzie zgłębiam wiedzę na temat erotyki. Niestety, cała wiedza którą wtedy czerpałem, pochodziła z Internetu. Nie miałem w szkole edukacji seksualnej, a moi rodzice nie rozmawiali na „te” tematy. Dopiero kilka lat później chcieli mi tłumaczyć, skąd się biorą dzieci :P Wtedy też po raz pierwszy mam styczność z takim pojęciem jak orientacja seksualna. Nagle okazuje się, że ludzie nie żyją tylko i wyłącznie w związkach heteroseksualnych!!! To jest moment, gdy zaczynam myśleć... 12 lat, tyle mam, gdy pojawiają mi się pierwsze myśli związane z mężczyznami... Ale zaczynając od początku. Podczas gdy oglądałem porno (oczywiście heteroseksualne), bardziej moją uwagę przykuwał facet, jego tors, nogi, penis. Uważałem, że to nic złego, do momentu, aż pewnego razu chłopacy z mojej klasy zaczęli rozmawiać o porno, o tym, co oglądają itd. Ja siedziałem cicho i się przysłuchiwałem. Wtedy okazało się, że każdy z nich zwraca uwagę na kobietę, jej piersi, pochwę. Mnie

to nigdy nie interesowało. To był dla mnie pierwszy sygnał jak i znak, że może coś jest nie tak... I tak całą szóstą klasę zgłębiłam temat seksualności, orientacji i zastanawiam się sam nad sobą. Z nikim o tym nie rozmawiam. To jest moment, w którym kończy się moje w miarę spokojne życie. Kolory odchodzą i nadchodzi ciemność.

Gimnazjum

Nowa klasa, nowe osoby, nowi nauczyciele. Pierwszy semestr upływa mi w miarę spokojnie. Poznaję nowe osoby, zawężają się grupki. To jest też moment, w którym po raz pierwszy słyszę wyzwiska na swój temat. Peđał, ciota, cwel, ciepłak, homoś. Boli, boli i to bardzo. Na tamten moment, nie zdaję sobie sprawy, dlaczego tak się dzieje. Dopiero teraz zaczynam zastanawiać się nad tym, czy może jednak nie jestem hetero. Ponieważ podczas oglądania porno, fantazjowania, jednak więcej uwagi poświęcam facetowi niż jego partnerce. Natomiast mam cały czas w głowie wartości wpojone przez rodziców. Marzę o żonie, dwójce dzieci, pięknym domu i dobrej pracy. Mam już nawet wstępny zarys mojego wesela... Nadal z nikim o tym nie rozmawiam, trzymam to w sobie.

Druga klasa = czerń, ból, krew, samotność

Jest to dla mnie najgorszy okres w życiu. Nawet w tym momencie, gdy o tym piszę, czuję jak narasta we mnie stres, jak czuję się nieswojo. Nie przepracowałem jeszcze tego do końca. Plus, mało osób wie o tym, co się wtedy działo. Może gdy o tym napiszę, pomoże mi to trochę. Tego nie wiem, ale będę szczery. Więc od początku. 1 września, pierwszy dzień szkoły. Hałas, harmider, wszędzie pełno uśmiechniętych twarzy. Wchodzimy do klasy i tam jest On. Siedzi w ostatniej ławce. Ma na sobie czarną skórę, białą koszulę bez kołnierzyka i okulary przeciwsłoneczne. Nie widać jego oczu, ale każdy wie, że lustruje każdego po kolei, gdy wchodzimy do sali. Nie odzywa się ani słowem. Na koniec rozpoczęcia, wychowawczyni mówi, że będziemy mieć nowego kolegę w klasie. W tamtym momencie zapada wyrok na mnie. Ale o tym oczywiście dowiaduję się po kilku tygodniach... Pierwsze dni szkoły przebiegają normalnie. Lekcje, przerwy, pogadanki, nauka. Nic specjalnego. Wszystko zaczyna się po około dwóch tygodniach. Teraz, z perspektywy czasu myślę, że On po prostu obserwował, badał teren. Na samym początku był bardzo cichy, lecz wzbudzał mega duże zainteresowanie w całej szkole. Dlaczego, odpowiedź jest prosta. Jest wnukiem byłego prezydenta Polski. Każdy się zastanawiał, co taka osoba robi w szkole publicznej, a nie prywatnej? Proste, z poprzedniej został wydalony. Po około miesiącu szkoły, zaczął się rozkręcać. Okazało się, że pali papierosy, lubi alkohol, wrywanie lasek nie jest mu obce plus jest bogaty. Tym imponował chyba chłopakom z mojej klasy, ponieważ po miesiącu miał już bardzo duże grono znajomych. Każdy chciał

się z nim trzymać, bo dzięki niemu miał dostęp do darmowych fajek czy też procentów. Nie był już sam, miał już swoją paczkę znajomych. Wtedy obrał sobie mnie za cel... Zaczęły się przewiska, popychanie, szturchanie, robienie głupich żartów, upokarzanie. Chłopacy mu wtórowali. Cała klasa się ode mnie odwróciła, wszyscy znajomi. Ponieważ każdy, kto stanął po mojej stronie, stawał się Jego ofiarą. Każdy nowy dzień był dla mnie coraz gorszy. Z każdym dniem miałem coraz mniej chęci przychodzić do szkoły. Zaczęły się wagary, opuszczenie w nauce, zamknięcie się w sobie. Z nikim o tym nie rozmawiałem. Raz poszedłem do wychowawczynie powiedzieć, co się dzieje. Usłyszałem: „Koloryzujesz, to są tylko głupie, niewinne żarty”. Nie wiem, czy żartem jest plucie, oblewanie wodą, zabieranie i niszczenie rzeczy prywatnych, popychanie, kopanie, bicie, niszczenie kogoś psychicznie, dręczenie. Dla mnie nie, ale niech każdy sam to oceni. Pamiętam to jak dziś, był 5 styczeń. Byłem sam w domu, nikogo nie było. Miałem już dość tego wszystkiego. Wyszedłem na balkon, wziąłem młotek do ręki, poszedłem z nim do łazienki. Roztrzaskałem jednorazową maszynkę do golenia, aby mieć żyletkę. Wszedłem do wanny i... Nie miałem jaj, aby to zrobić, raz a porządnie. Skończyło się na kilku kreskach, na kilku pojedynczych strużkach krwi. Patrząc na to teraz, myślę, że był to krzyk rozpacz, błaganie, aby ktoś to zauważył, aby mi pomógł. Takie ciche wołanie o pomoc. Nikt nie pomógł, nikt nie zauważył. Jak zauważył, to nie zareagował. Nie mam żalu do swoich rodziców. Taty nie było, a mama musiała zadbać o dom, mieszkanie, dzieci i jeszcze o samą siebie. Też miała bardzo zły okres w swoim życiu. Tak przeżyłem do końca roku. Oczywiście, nadal byłem Jego wrogiem, wrogiem chłopaków. Ale przestałem na to reagować. Wyzwiska, bycie traktowanym jak worek treningowy stały się dla mnie normalnością. Chciałem po prostu przeżyć każdy dzień i tyle. Oczywiście, zdarzyło mi się jeszcze kilka razy pociąć, jak widać nieskutecznie. Myślę, że idealnym podsumowaniem mojej drugiej klasy gimnazjum jest fakt, że ja nadal nie znałem swojej orientacji seksualnej. Nie wiedziałem, czy jestem gejem czy może bi. Wiedziałem, że na pewno nie jestem hetero.

3 klasa = pewność siebie, siła, walka

Wracając do szkoły po wakacjach, byłem pewniejszy siebie. Całe lato spędziłem w lesie, na Kaszubach. Dużo czasu spędziłem rozmyślając, czytając książki, różnego rodzaju poradniki. Zacząłem budować siebie od wewnątrz. Również bardzo dużo dał mi czas spędzony z moim tatą. Pomimo tego, że o niczym nie wie i nie jest tego świadomy, pomógł mi. On jest oazą spokoju, nigdy z nikim się nie kłóci i jest bardzo mądry życiowo. Wieczory spędzone z nim przy kominku, czy poranki z wędką w rękę, dużo mi dały. Po powrocie do szkoły nie chodziłem już ze spuszczoną głową. Potrafiłem się postawić, odpyskować, rzucić ripostą. Moi dawni znajomi, z którymi trzymałem się, zanim mnie zostawili, próbowali mnie przeprosić. Już w czasie wakacji pisali, dzwoniли. Do tej pory nie wiem, co się takiego stało, że nagle się odsunęli od Niego.

Ale nigdy nie byliśmy już tak blisko. Owszem, rozmawialiśmy, uśmiechaliśmy się, ale ja cały czas pamiętałem i pamiętam, co się stało i jak się zachowali. Koniec roku zbliżał się wielkimi krokami. Odliczałem jak głupi do dnia, kiedy będę mógł opuścić mury tej szkoły. Pamiętam, że był równy miesiąc do zakończenia roku szkolnego. Dostałem SMS. Dokładniej, sex sms. Okazało się, że mój kochany kolega wstawił w moim imieniu seks ogłoszenie na portalu gejowskim. Podał mój numer, wstawił zdjęcie. Wiadomości nie było końca. Owszem, podłamało mnie to, ale nie ugiąłem się. Tę siłę dała mi tylko i wyłącznie świadomość tego, że za kilka dni koniec roku i już nigdy go nie spotkam. Tak też się stało. Koniec roku, świadectwo w rękę i wolność!!!

To był też moment, kiedy uświadomiłem sobie, że jestem gejem. Nie chciałem patrzeć już na kobiety w porno. Chciałem widzieć tylko i wyłącznie piękne, męskie ciała z dużymi, grubymi, prostymi, jędrnymi penisami.

Liceum

To jest bardzo ciekawy okres w moim życiu. Z jednej strony bardzo ekscytujący z powodu pierwszej miłości, poznawania swojej seksualności, spotkania fantastycznych osób na swojej drodze. Zaś z drugiej strony bardzo ciężki i trudny. Ale to jest głównie związane z moją wewnętrzną metamorfozą. Z osoby niepewnej, niewyoutowanej, nieśmiałej przekształciłem się w bardzo pewnego siebie, odważnego, świadomego geja, który kroczy przed siebie z uśmiechem i podniesioną głową! Teraz nasuwa mi się pewne powiedzenie, które sobie powtarzam. „Padleś, powstań, popraw koronę i zapierdalaj”. Teraz tak wygląda moje życie. Ale do tego było długo, kręta droga.

Przychodząc do liceum, nie znałem nikogo w swojej klasie. Wszyscy byli dla mnie nowi. Nikt nie znał mnie, mojej historii. Dzięki temu mogłem zacząć na nowo, z czystą kartą. Od samego początku zakumplowałem się z jedną dziewczyną i chłopakiem. Już po miesiącu tworzyliśmy ośmioosobową paczkę. Przez całe liceum tak się trzymaliśmy. To były też pierwsze osoby, którym powiedziałem o sobie. Ja poczułem ogromną ulgę, bo w końcu mogłem z kimś o tym porozmawiać. Oni byli szczęśliwi, że im o tym powiedziałem. Oczywiście wiedzieli o tym, ja im tylko to potwierdziłem hahaha :D Zresztą do tej pory jedna dobra znajoma mi powtarza, że choćbym ubrał najbardziej męski strój na świecie, mundur czy ortalion, to i tak będę wyglądać jak gej hahaha :D Cały czas się zastanawiam o co jej chodzi hahaha :D

Do mojego liceum przyszło razem ze mną kilka osób z mojego gimnazjum, w tym również z mojej byłej klasy. Te kilka osób, które były współodpowiedzialne za spierdolenie mi życia za czasów gimnazjum, również i tutaj, w nowej szkole próbowało to zrobić. Jednak nie za bardzo im to wyszło. Po pierwsze, to ja byłem już o wiele dojrzały, pewny siebie oraz uczyłem się tego powoli, aby opinię ludzi, którzy się dla mnie nie liczą, mieć po prostu gdzieś. Po drugie, na ludziach w liceum nie robi już wrażenia to, jak ktoś na korytarzu krzyknie pedał czy tam ciota. Raczej nikt nie zwraca na to uwagi. Po trzecie, miałem swoich nowych znajomych. Młode, otwarte, tolerancyjne osoby,

które jak tylko słyszały, że ktoś zaczyna mi dokuczać od razu stawały w mojej obronie. W taki oto sposób pod koniec pierwszej klasy liceum miałem nareszcie święty spokój. Moi oprawcy dali sobie w końcu święty spokój. W końcu mogłem poczuć normalne, szkolne życie.

W szkole miałem święty spokój, moi znajomi wiedzieli o mojej orientacji, szanowali to, akceptowali, więc nie czułem się dziwny, wyobcowany. Do pełni szczęścia brakowało mi tylko i wyłącznie znajomości z innymi osobami takimi jak ja. Na początku liceum nie znałem jeszcze żadnych portali czy też apek gejowskich. Nie wiedziałem, że coś takiego istnieje. Denerwował mnie fakt, iż nie znam żadnego innego geja. Teraz już wiem, że znałem. Lecz nie byłem tego świadomy. Zacząłem szukać w necie jakiś chatów, aby móc z kimś popisać. Znalazłem. Wiem, że już dziś nie istnieje, ale wtedy nawet dużo osób tam wchodziło. Zacząłem tam wchodzić, pisać. Zagłębiać się w ten świat. Zazwyczaj każdy szukał na seks, ale trafił się wyjątek. K – bo tak będę o nim pisać – był inny. Pierwszego dnia, gdy się spisaliśmy, pisaliśmy ze sobą kilka godzin. Zero pytań o seks, o rolę w seksie, fetysze itp. Zwykła zapoznawcza rozmowa. Na koniec dnia podaliśmy sobie mejle, aby spisać się w przyszłości. Nie minęło 20 minut, a już był od Niego mejl. Po tygodniu intensywnego pisania i motylach w brzuszku spotkaliśmy się. Podjechał po mnie i pojechaliśmy na spacer. K był bardzo przystojnym facetem. Brunet, lekki zarost, delikatnie ciemniejsza karnacja, mniej więcej mojego wzrostu, szczupły, do tego starszy. Jednym słowem, bardzo atrakcyjny mężczyzna. Od pierwszego spaceru spotykaliśmy się prawie rok. Było cudownie. To z nim przeżyłem swój pierwszy raz. Zaufałem mu. Wiedziałem, że nie zrobi mi krzywdy. Tak też było. Zadbął o mnie, był bardzo delikatny.

Dzięki temu wspominam to bardzo dobrze. Nie mam złych doświadczeń z pierwszym razem jak większość osób. Później, za każdym razem gdy się kochaliśmy było cudownie, romantycznie, bez bólu. Czułem, że o mnie dba i się troszczy. Niestety, nagle nasza sielanka się skończyła... Pewnego ranka odwiózł mnie do liceum, a sam pojechał do pracy. Wchodząc do szkoły, pamiętam jak dziś mojego ostatniego SMS do niego o treści „Spaghetti na obiad?”. Do dnia dzisiejszego czekam na odpowiedź. Na początku myślałem, że ma dużo pracy, dlatego się nie odzywa. Ale przyszedł wieczór i nadal cisza. Zadzwoiłem, włączała się poczta głosowa. W międzyczasie słyszałem gdzieś z wiadomości czy Internetu, że na trasie do jego pracy był śmiertelny wypadek. Zakodowałem to, ale nie zwróciłem na to zbyt uwagi. Po dwóch dniach milczenia i poczty głosowej pojechałem do niego pod blok. Wiedziałem doskonale, o której wychodzi do pracy więc wiedziałem, że aktualnie powinien pić kawę przy TVN24. Idąc pod klatkę, mijam parking, na którym nie widzę jego samochodu. Było to dziwne, ale poszedłem dalej. Stałem przed drzwiami jego klatki i zacząłem szlochać. Na drzwiach była klepsydra z jego imieniem i nazwiskiem... Nie mogłem tego zrozumieć. Jak to się mogło stać. On, młody, rozważny, rozsądny, spokojny – nie żyje!!! Stojąc przed tymi drzwiami we łzach, podeszła do mnie jego sąsiadka, która wracała z zakupów. To od niej się dowiedziałem co się stało. K zginął w wypadku, po tym jak odwiózł mnie do szkoły. W drodze do domu odnalazłem ten artykuł o wypadku. Opis

samochodu, trasa, wiek ofiary się zgadzał. Wtedy wiedziałem już, że to nie są głupie żarty. K nie żyje. W taki sposób zostałem sam, bez niego. Do dnia dzisiejszego za nim tęsknię i czekam na odpowiedź, czy spaghetti zjemy dziś na obiad...

Liceum to okres osiemnastek. Jedną z nich pamiętam nadzwyczaj dobrze. 3 stycznia 2015 roku, impreza urodzinowa koleżanki. Jak zwykle szykujemy się ze znajomymi i jedziemy wszyscy razem. Pierwsze sto lat, pierwszy toast i zabawa się zaczyna. Połowy gości nie znam. Nagle wchodzi On. Niższy, ciemne włosy, z zarostem, w bordowych spodniach i szelkach. Nasz wzrok od razu się spotyka i wymieniamy uśmiechy. Zabawa trwa nadal, leje się alkohol, jest dużo śmiechu. W końcu po kilku głębszych zaczynamy rozmawiać. Okazuje się, że jest ode mnie młodszy i przyszedł z dziewczyną. Mi to nie przeszkadza, rozmawiamy dalej. Wymieniamy się kontaktami i idziemy dalej się bawić. Następnego dnia dziękuję mu za imprezę, rozmowę i w taki sposób nawiązuje się rozmowa. 21.02.2015 oficjalnie stajemy się parą. Zerwał dla mnie z dziewczyną, otworzył się na nowe doznania. Związek trwał ponad 1.5 roku. Były wzloty i upadki, ale to chyba jak w każdym związku. Teraz z perspektywy czasu potrafię powiedzieć, że dużo ja zawiniłem w tym związku i nie doceniłem tego, jakim był człowiekiem. Ale jak to się mówi, człowiek uczy się na błędach. Wiem, że aktualnie jest w szczęśliwym związku i realizuje się zawodowo. To jest dla mnie najważniejsze. W tym momencie, muszę wspomnieć jeszcze jedną, bardzo ważną i przełomową datę w swoim życiu - 14.02.2015 roku. Jest wieczór, wróciłem do domu po walentynkowej randce. Mama siedzi w salonie i oglądała TV. Zrobiłem nam herbatkę i się do niej dołączyłem. Oglądaliśmy jakiś program, w którym był motyw gejowski. Nagle moja mama się na mnie spojrzała i zapytała - czy ja też jestem taki jak Oni (chłopacy z tego programu). Byłem tak zaskoczony, że bez zastanowienia się odpowiedziałem tak. W tym momencie zrobiłem coming out. Mama już nic więcej nie powiedziała. Rozplakała się i zamknęła w sypialni. Herbatę dokończyłem w samotności... Nie wiem, czy byłem na to gotowy, ale zapytała się, to odpowiedziałem. Teraz, patrząc na to, uważam że dobrze się stało. Mama płakała dokładnie przez 9 dni. Tyle czasu się do mnie nie odzywała i mnie unikała. To było dla mnie coś najgorszego. Nie wiedziałem, co mam myśleć, czego mam się spodziewać. Ale nic więcej mi nie pozostało, jak czekać. Po tych 9 dniach mama zaczęła zadawać mi pytania. Tak małymi krokami zaczęliśmy rozmawiać. Mama miała typowe obawy, to znaczy czy będę potrafił sobie w życiu poradzić, czy społeczeństwo mnie zaakceptuje, czy rodzina nie będzie mieć z tym problemu itd. Oczywiście, musiałem mamę trochę wyedukować. Musiałem jej wytłumaczyć, co to jest homoseksualizm, że to nie jest choroba, że nie będę się przebierał za kobietę i nie myślę o tranzycji. Tak, krok po kroku, mama oswajała się z myślą, że ma homoseksualnego syna. Teraz jest cudownie. Moja mama poznała każdego mojego faceta, zaprasza ich na obiady, drinka czy święta. Z moim ostatnim facetem nawet byliśmy wspólnie z rodzicami na wakacjach za granicą. Ale do tego dojdę za chwilę, wszystko po kolei. Jeszcze tylko dodam kwestię taty. Tata dowiedział się od mamy, bo aktualnie był za granicą. Gdy wrócił do Polski, to zapytał się mnie tylko, czy jestem tego pewien, że wolę chłopców. Odpowiedziałem mu jednym

prostym zdaniem „A czy ty zawsze byłeś pewien, że wolisz kobiety?” Na tym zdaniu, nasza rozmowa się zakończyła. Oczywiście mój tato mnie wspiera i akceptuje.

Do 2018 roku byłem w sumie w trzech związkach. Oczywiście żadnego z nich nie żałuję. Każdy z nich wniósł coś innego w moje życie. Przez ten czas mocno kształtowała się moja osoba, mój charakter. Poznawałem się na nowo, odkrywałem rzeczy, o których nie miałem pojęcia. W tym czasie nauczyłem się być bardziej szczerym, asertywnym, pewnym siebie i twardo stąpającym po ziemi. W tym okresie równie mocno zmieniała się moja seksualność. Na początku byłem bardzo zamknięty na świat dotyku, zabawy, rozkoszy. Z czasem zacząłem się przełamywać, otwierać i co najważniejsze pozbywać kompleksów. Dzięki temu mogłem zacząć odkrywać świat seksu na nowo. Oczywiście, do dnia dzisiejszego mam kompleksy, z którymi nie potrafię sobie poradzić. W międzyczasie ukończyłem liceum jako najlepszy chłopak z klasy i poszedłem na studia. Studia to jest inny stan umysłu. Tam nikt nie żyje życiem innych ludzi, jest bardzo duża otwartość i tolerancja. Przynajmniej ja trafiłem na taki kierunek i na taką grupę. Już na pierwszych zajęciach wyszło, że jestem gejem. Nie pamiętam, w jaki sposób to się stało, ale miałem już „ten” problem z głowy. Oczywiście na nikim nie zrobiło to wrażenia i nie był to żaden problem.

Był to też okres, w którym wydarzyło się kilka nieprzyjemnych sytuacji w moim życiu. Pierwsza jest dla mnie najbardziej traumatyczna, której konsekwencje ciągną się aż do dziś. Poznałem pewnego chłopaka, który mega mi się spodobał. Randkowaliśmy ze sobą pewien czas, aż do jego urodzin. Zrobił domówkę, zaprosił znajomych. Impreza była super. Goście dopisali, jedzonko smakowało, alkoholu wystarczyło. Po imprezie położyliśmy się spać. Wtedy On stwierdził, że skoro ma urodziny, to powinienem mu się oddać. Oczywiście nie miałem takiego zamiaru, więc stwierdził, że skoro ma urodziny, to weźmie to, na co ma ochotę. Był ode mnie silniejszy, a alkohol dodatkowo zrobił swoje... W ostatnim momencie jego totalnie nieświadoma przyjaciółka mnie uratowała. Weszła do naszego pokoju. On ze mnie zeskoczył i mnie zostawił.... Od tamtej pory mam mega duży problem z dotykiem. Muszę pierw komuś zaufać oraz oswoić się z jego ciepłem.

Tak jak pisałem, jestem dumny z tego, że jestem gejem. Uważam, że to jest mój ogromny atut. Nie boję się iść z podniesioną głową, z tęczałą flagą wśród ludzi. Bo dlaczego mam się bać, dlatego że jestem „inny”? Ja tak nie uważam. Jestem takim samym chłopakiem jak większość moich rówieśników. Właśnie dlatego jeśli mój partner ma ochotę iść przez miasto, centrum handlowe za rękę, z przyjemnością chwycę go za dłoń. Niestety, nie każdemu to się podoba. Kiedyś właśnie z tego powodu zostaliśmy poszarpani i opluci przez jednego mężczyznę. Nic wtedy nie zrobiliśmy, bo się baliśmy. Ten facet był mega agresywny i powaliłby nas jednym uderzeniem. Poszliśmy po prostu przed siebie, trzymając się nadal za rękę. Nie wiedzieliśmy, że możemy to zgłosić na policję, dlatego tego nie zrobiliśmy. Była to sprawa, którą opisała „Replika” na swoim fb. Właśnie przez ten post wyoutowałem się publicznie całej rodzinie jak i wszystkim znajomym. Do tej pory wiedziały nieliczne osoby o mojej orientacji. Oczywiście tego nie ukrywałem, ale też nie miałem potrzeby mówienia każdemu

o tym, że jestem gejem. Jak ktoś się zapytał, to potwierdzałem i tyle. Gdy „Replika” opisała całe zdarzenie, skomentowałem je. Nie pomyślałem o tym, że moja aktywność pojawi się u mnie na wallu i każdy z moich znajomych na fb zobaczy, co napisałem. Zadzwoniła do mnie moja najlepsza kuzynka z zapytaniem, co jest na moim fb? Bo jej siostra, która o mnie nie wiedziała, dopytuje się właśnie, czy jestem gejem. Było lekkie przerażenie, szok, ale musiałem jakoś zareagować. Oczywiście nie miałem zamiaru usuwać tego, co napisałem. Wystosowałem ogólną wiadomość, gdzie potwierdziłem swoją orientację, związek jak i fakt, że opisana historia przez „Replikę” jest prawdziwa. Poszło, opublikowałem to na swoim fb i poszedłem spać. Rano miałem wiele lajków, pozytywnych komentarzy. Ani jednej złej wiadomości nie otrzymałem. Oczywiście, z czasem gdzieś do mnie dochodziły słuchy, że ktoś coś mówił o mnie itd., ale tym się nie przejmowałem i nie przejmuję nadal. Tyle złego doświadczyłem w życiu, że nauczyłem się mieć twardą dupę i nie przejmować się zdaniem osób, które się dla mnie nie liczą.

Na przestrzeni tych wszystkich lat, bardzo się zmieniłem. Jako syn, brat, znajomy, przyjaciel, partner, kochanek czy wróg. Nabrałem pewności siebie, zacząłem słuchać wewnętrznego Ja, zacząłem budować świat wokół siebie na własnych zasadach oraz coraz bardziej wiem, czego chcę i czego oczekuję od innych. Dzięki temu stworzyłem zasady, na których się opieram, i które pozwalają mi żyć w zgodzie z samym sobą. Są to dla mnie bardzo własne zasady, bo dzięki nim uporządkowałem swoje życie. Zerwałem kontakty z toksycznymi osobami, pracuję nad wzmocnieniem obecnych znajomości i staram się piąć do przodu. Podczas tych wszystkich zmian miałem przy sobie mojego partnera. Byliśmy ze sobą dwa lata. Bardzo mi pomógł zrozumieć pewne rzeczy oraz spojrzeć na niektóre sytuacje z dystansem. To był dla mnie pierwszy prawdziwy związek. Pomieszkiwaliśmy razem, wspieraliśmy się i tworzyliśmy naszą małą pedalską rodzinę :P Moja cała rodzina go poznała i nie miała z nim żadnego problemu. Jeździliśmy razem na wakacje, spędzaliśmy święta, byliśmy zapraszani na obiady rodzinne czy też wesela. Było to dla mnie coś nowego i bardzo wyczekiwanego. Bardzo chciałem stworzyć związek na wzór hetero, tzn. szczerzy, z pasjami, szcunkiem, bez osób trzecich. Ale nigdy w życiu nie jest kolorowo. W moim nastał mrok. Alkohol, przemoc, zazdrość, łamanie zasad, niszczenie kogoś od wewnątrz. Nie było łatwo. Nie jestem osobą, która szybko się poddaje. Lubię wyzwania i zawsze szukam rozwiązania, jak można coś naprawić. Walczyłem o to bardzo długo, ale walka zawsze musi wyjść z dwóch stron. Nie można samemu zbudować drogi łączącej dwoje różnych ludzi. Trzeba ją budować razem. U mojego partnera „budowlańcy” się spóźnili, dojechali, gdy moi skończyli....

Teraz przyszła jesień, piękny czas, świat staje się pełen kolorów. Jestem singlem, mam nową pracę i patrzę z uśmiechem w przód. Koronawirus mi nie stanie na drodze do szczęścia. Jedyne co może, to mały, smutny pan w rządzie, ale myślę, że i z tym sobie poradzimy!

Kinga Kosińska

Pozdrowienia z mojej samotności

Ur. w 1982 r., kobieta hetero, która przeszła korektę płci; dorastała i mieszka w Czeladzi.

Mama i tata zawsze bardzo mnie kochali. Okazywali to pobjażaniem, uległością i zwyczajnie o tym mówili. Z tatą często się mocowałam. Było między nami jakieś napięcie. Siadałam na nim okrakiem i siłowałam z nim na ręce, a potem przykładalam jego twarz do mojej. Policzki mnie piekły od tarcia o jego zarost. Gdy zrobiłam coś nie tak, często mama się na mnie zamachiwała z kapciem, co mnie dzisiaj bawi, ale nigdy nie doszło do sfinalizowania tej przemocy. Zasłaniałam się rękami i prosiłam, żeby nie biła.

Na podwórku dzieciarnia spotykała się na skakanie w gumę, zabawę w chowanego czy podchody. Czulałam się wtedy częścią tej społeczności. Raz ktoś obcy przechodził i powiedział do mnie i młodszego kolegi, że to dziwne, iż chłopaki grają w babskie gry. W przedszkolu byłam uważana za bardzo grzeczne dziecko. Raz, kiedy byłam niegrzeczna, dostałam od pani mocne lanie pałeczką do grania w bębenek zabawkę, ale to nie była zabawa.

Bywałam zafascynowana koleżankami. Podziwiałam ich urodę, wdzięk, chciałam być taka jak one. Raz ktoś zrobił zdjęcie mnie i jednej z dziewczynek, jak zbieramy kwiatki na przyprzedszkolnej łące. Śmiali się, że oto para zakochanych. Byłam bardzo blisko z tą koleżanką, odwiedzałam ją w domu, bawiłyśmy się w różne gry. Kiedy się przeprowadziła do innego miasta, poczułam się opuszczona. Podobnie opuścili mnie moi przyjaciele, którzy mieszkali dwa piętra niżej. Dwaj młodszy chłopcy i dziewczyna. Na podwórku trzymaliśmy się razem. Potem nie mogłam się odnaleźć. Nie miałam się za bardzo z kim bawić. Ich funkcję częściowo przejęła rodzina pochodzenia romskiego. Dwie siostry i chłopak. Też dużo wagarowali. Nie mieli wielu kolegów i to nas łączyło. Później się ode mnie odsunęli, jak reszta rówieśników.

Do szkoły poszłam z dużym entuzjazmem. Dość szybko zgasł, gdy zaczęto się ze mnie nabijać. Miałam większą głowę i dokuczano mi. Pomalu stawałam się odszczepieńcem. Zaczęłam słuchać dużo muzyki. Zawsze byłam na nią wrażliwa. Oglądałam Tęczowy Music Box i Pana Tik Taka. Mieli wspaniałe piosenki, ich treść wzbogacała dzieciinną wrażliwość.

Nie cierpiałam zajęć wychowania fizycznego. Byłam oferłą. Ciągłe wymigiwałam się złym samopoczuciem, a gdy to już nie pomagało, wtedy zaczynałam wagarować. Dokuczanie rówieśników zaczęło zniechęcać mnie do relacji towarzyskich. Lubiłam spędzać czas sama. Kilka razy gdy wagarowałam, rodzice przyłapywali mnie, wracając czasami wcześniej z pracy. Tłumaczyłam, że zwolnili nas wcześniej z zajęć. Nie zawsze wypadało to wiarygodnie. Na wywiadówkach mama dowiadywała się o moich licznych nieobecnościach i była zła. Czula, że jest jakiś problem, ale ja się wstydiłam tego, że dzieci się ze mnie śmieją, wołałam milczeć. Raz zaprowadziła mnie do psychologa. Ten kazał mi narysować szkołę, co zrobiłam, po czym on stwierdził, że nie ma tam w ogóle dzieci, na tym rysunku, i muszę czuć się bardzo samotna.

Kiedyś szłam z rodzicami chodnikiem, trochę ich wyprzedzając. Tata rzucił uwagę, że chodzę jak panienka, mama się zaśmiała. Próbowałam skorygować to potem. Bardzo podobało mi się to, jak chodzą modelki na pokazach mody, chciałam być taka jak one. Poskutkowało to tym, że wkrótce wszyscy zaczęli zwracać uwagę na mój chód. Ćwiczyłam przed lustrem, aby dawać nogi naprzód, z takim rozkrokiem, jak chłopcy. Na niewiele się to zdało. Dostałam ksywę „panienka”. Podziwiałam popularne piosenkarki jak Mariah Carey czy Edyta Górniak. Marzyłam, że też śpiewam i jestem popularna. Tymczasem zostałam osiedlowym pedałem z za dużą głową.

Z biegiem lat zaczęli podobać mi się chłopcy i ogarniało mnie bardzo silne pożądanie. Szybko zaczęłam dojrzewać płciowo, bo już w siódmej klasie szkoły podstawowej. Owłosienie na rękach i nogach stało się intensywne, urosło mi jabłko Adama i wyskakiwały okropne pryszcze. Oczywiście zaczęto na mnie mówić „pryszczata morda”. Raz dostałam przy wejściu do szkoły tak silnego kopniaka w tyłek, że mnie totalnie oszołomiło. Nikt nic nie powiedział, bo to było naturalne.

Uciekłam dwa razy z domu. Błądziłam bez celu, miałam tyle nieobecności i nie wiedziałam, co z tym dalej począć, no i nikt mnie tak naprawdę nie znał i nie lubił. Nad ranem wracałam do domu, ale już szukała mnie policja. Było spore zamieszanie i wszyscy ludzie ze szkoły się dowiadywali, co umacniało moją pozycję dziwaka. Pamiętam, jak szłam drogą, było już ciemno a ja szłam nie wiedząc dokąd. Byłam jak najdalej od... siebie. Tak, wiem, że to niemożliwe, ucieczka przed sobą. Próbowałam łykać tabletki mojej mamy, ale zawsze tylko mnie mdliło i wymiotowałam. Raz o mało nie wysadziłam w powietrze mieszkania, bo odkręciłam wszystkie kurki w kuchence. Zapukali sąsiedzi zaniepokojeni zapachem. Musiałam szybko wietrzyć.

Opuszczałam lekcje, podrabiałam zwolnienia z wychowania fizycznego, potem musiałam to wszystko nadrabiać i byłam odpytywana kolejno ze wszystkich przedmiotów. Na szczęście miałam dobrą pamięć i wkuwanie szybko mi szło. Tydzień później już nic nie pamiętałam. Kazano mi założyć specjalny zeszyt, w którym wychowawca

zapisywał każdego dnia, czy byłam obecna na wszystkich lekcjach. Mama to potem dokładnie sprawdzała.

Wstydziałam się chłopaków, onieśmielali mnie, wyzywali, bałam się. Jednocześnie wzbudzali we mnie dzikie pożądanie. Bardzo dużo się masturbowałam. Miałam wtedy jednego kolegę, który trochę mnie bronił. Pochodził z biedniejszej rodziny i chyba rozumiał bardziej życie. Jego starszy brat był niepełnosprawny, a matka chorowita i bardzo prosta intelektualnie. Często widywaliśmy ją na ulicy, gdy mówiła coś podniesionym głosem sama do siebie. Nasze drogi rozeszły się wraz z ukończeniem podstawówki.

W tamtym czasie zaczął we mnie dojrzywać wielki smutek, którego przyczyn nie byłam w stanie sprecyzować. To było coś więcej niż odrzucenie przez ludzi i poczucie bycia kozłem ofiarnym. Czułam, że coś jest ze mną nie w porządku, że nie ma dla mnie miejsca w tym świecie. Uciekałam od tego w muzykę. Czułam się strasznie samotna.

Do liceum zawodowego dostałam się w sumie przez przypadek, bo nie miałam na siebie w ogóle pomysłu. Mój wychowawca zasugerował mamie, żebym udała się do poradni pedagogicznej w naszym mieście. Tam zrobiono mi test na inteligencję i doradzono, abym zdecydowała się na klasę dyspenseryjną w liceum w Sosnowcu. To był dla mnie nowy początek w pewnym sensie. Nikt mnie tam nie znał. Większość klasy stanowiły dziewczyny, ze mną chłopców było zaledwie pięciu. Poczułam ulgę. Zakumpłowałam się z dwiema dziewczynami i znajoma kardiolog załatwiła mi zwolnienie z zajęć wychowania fizycznego. Razem z tymi koleżankami jeździłyśmy na koncerty, lubiły mnie, a ja je. Nigdy nie czułam takiej przynależności a przynajmniej nie od czasów wczesnego dzieciństwa. Później dowiedziałam się, że podkochiwały się we mnie. Ja wtedy fantazjowałam, że jestem dziewczyną bez twarzy i przeżywałam wszystkie sytuacje, które mi się wydarzyły, tak jak powinny wyglądać, gdybym tylko była tym, kim powinnam. Nie nazywałam tego jednak. Przez koleżanki poznałam dwie inne dziewczyny. Spotykałyśmy się na imprezach. Z Ewą byłam najbliższą. Skumałam z czasem, że jej na mnie zależy jak na facecie. Wykorzystywałam to trochę. Próbowałam wmówić sobie, że jednak jestem facetem i nigdy nie będzie na to żadnej alternatywy. W końcu pewnego dnia się całowałyśmy, ale ja spanikowałam i starałam się jak najszybciej z tego wykręcić. Ona to wyczuła i nie miała pretensji. Stało się więc na przyjaźni.

Czasami jakaś starsza osoba brała mnie za kobietę pytając przykładowo o godzinę. Bardzo mi się to podobało. Miałam wtedy już długie włosy, które wiązałam w koński ogon. Wciąż pamiętam, jak we wczesnym dzieciństwie rodzice mnie zmuszali do obcinania włosów. To był dla mnie koszmar. Marzyłam o długich włosach. Zbuntowałam się pod koniec podstawówki. Na komers poszłam już z długimi. Pamiętam, jak bardzo wyobcowana czułam się na tamtej imprezie. Szłam na nią i wracałam z niej samotnie, podczas gdy inni łączyli się w wesołe grupki. Studniówka wyglądała już inaczej. Miałam swoją paczkę, z którą trzymaliśmy się razem. Poszłam na nią z Ewą. Tak naprawdę marzyłam o pięknej sukni i makijażu, ale to było bardzo głęboko schowane

pragnienie. Staralam się po prostu dobrze bawić w swoim garniturze i męskiej koszuli pod krawatem. Czułam się lubiana, to mnie wzmocniło, choć poza zaufanym kręgiem zdarzały się wyzwiska, ale nie poddawałam się temu tak jak za czasów podstawówki. Pamiętam, że gdy wracałam ze szkoły w Sosnowcu i wkraczałam do swojego miasta, to często brakowało mi tchu. Tam życie było inne, bo nikt nie wiedział, jak bardzo mnie gnębiono.

Nie wiedziałam kompletnie, co ze sobą począć po skończeniu liceum. Stało się na tym, że zdawałam na filozofię na Uniwersytecie Śląskim. O dziwo dostałam się i w październiku zaczęłam uczęszczać na zajęcia. Nie wiedziałam jeszcze, że ten miesiąc przesądzi o całym moim życiu, a może właśnie czułam to i powiedziałam sobie: teraz albo nigdy.

W mojej grupie był Patryk, trzymaliśmy się razem i szybko zakochałam się w nim. Podobało mi się zresztą wielu chłopaków wtedy. Zaczęłam zadrećcać się tym, że oni nigdy na mnie nie spojrzą tak, jakbym tego chciała. Dotarło do mnie wtedy, że nie chcę zaczynać przynależności do kolejnej społeczności jako mężczyzna. Podskórnie czułam, że muszę coś postanowić, ale nie wiedziałam za bardzo co. Kim ja właściwie jestem? W Katowicach kupowałam gejowską prasę pornograficzną typu „Adam” i magazyn „Inaczej”. Byłam coraz bardziej napalona, szukałam dla tych emocji ujęcia. Jednak w fantazjach nie widziałam siebie jako mężczyzny. Bardziej skupiałam się na adoracji męskiego ciała potencjalnego partnera.

Przestałam w końcu chodzić na zajęcia i oznajmiłam mamie, że rzucam studia. Tata wtedy stał jakby z boku mojej egzystencji, przyglądał się milcząco z miną wymownie oznajmijającą fakt, że nie spełniam raczej jego oczekiwań. Nigdy nie był dla mnie wzorcem męskości. Wszelkie reperacje domowych usterek były od zawsze na głowie mojej mamy. Raz pamiętam, że zmusił mnie, żebym wyszła i w końcu pograła przed blokiem w koszykówkę. Pod presją wyszłam i włączyłam się po okolicznych polach. Totalny wyrzutek społeczny.

Pewnego razu coś we mnie pękło. Pokazałam mamie numer magazynu „Inaczej” i powiedziałam, żeby sobie poczytała. Nie zrozumiała i zapytała, co to wszystko znaczy. Wydukałam, że podobają mi się chłopcy i czuję się ogólnie źle, nie wiem, co w przyszłości będzie ze mną. Po paru dniach oglądając wspólnie program „Rozmowy w toku” z udziałem transseksualnych osób oznajmiłam, że to dotyczy również mnie. Ustaliłyśmy, że muszę iść do specjalisty. Wiem, że liczyła na to, że on stwierdzi, iż mam po prostu zaburzenia psychologiczne. Seksuolog stwierdził, że jeśli mi zależy, to mogę zostać zdiagnozowana przez psychologa, który z nim współpracuje. Zaczęłam jeździć na spotkania z nim. Trwało to półtora roku. Nie pracowałam wtedy. Otrzymywałam rentę socjalną ze względu na wrodzoną wadę serca. Co ciekawe, czułam, że staję się częścią marginesu społecznego, że już zawsze od tego czasu przyjdzie mi funkcjonować na obrzeżach społeczeństwa.

Wizyty u psychologa w Katowicach były męczące, on przekładał spotkania, zbywał mnie. Ja byłam niecierpliwa, czułam się jak w potrzasku. Chciałam tu i teraz utwierdzenia mnie w moich wyborach. Chciałam stać się kobietą jak za dotknięciem

magicznej różdżki. Marzyłam o tym, jak cudownie będzie nie mieć wreszcie penisa, którego tak bezlitośnie wykorzystywałam do zaspokajania swoich popędów, czując jednocześnie rozkosz i odrazę do samej siebie. Chciałam mieć piersi i czuć na sobie wzrok mężczyzn. To było dla mnie ważne. Ludzie mają mnie widzieć jako kobietę, bo ja nią jestem. Tak ma wyglądać moje życie!

Spotykałam się wtedy z moimi dwiema koleżankami. Najczęściej odwiedzała mnie Ewa i to przed nią dokonałam listownie coming outu na temat bycia gejem, a potem już osobiście przed nimi na temat chęci bycia w pełni kobietą. Zaakceptowały to. Trwała przy mnie jednak praktycznie tylko Ewa. Tak na co dzień to siedziałam w domu i czekałam na cud. On nigdy nie nastąpił. Kuracja hormonalna okazała się trudna. Moje ciało ciężko na nią reagowało, nie byłam zadowolona z efektów. W tamtym czasie wstydziłam się pokazywać na osiedlu w typowo kobiecym stroju. Stawiałam raczej na styl unisex i ludzie poza moim miejscem zamieszkania często przyglądali mi się skonfundowani, zastanawiając się pewnie, czy jestem kobietą, czy mężczyzną.

Pragnęłam mieć pochwę, wcielić się również w rolę genderowe kobiety. Powolny rozwój piersi dawał mi pewną satysfakcję, ale czułam głównie gniew na życie, na lekarzy, że nie potrafią mną odpowiednio pokierować lekami i wciąż w swoich oczach wyglądałam jak mężczyzna. Brzydziłam się siebie, uderzałam swoje ciało próbując się ukarać za sam fakt takiego pokręconego istnienia.

W końcu nadszedł dzień wydania odpowiedniej diagnozy i odbyła się pierwsza rozprawa w sądzie. Przebiegła dość sprawnie. Ja i rodzice wypowiedzieliśmy się kolejno, po czym skierowano mnie na badanie przez biegłego do Warszawy. Ta wizyta również poszła raczej gładko, ale pamiętam, że na ulicy pytając o coś przechodnia on zwrócił się do mnie w formie męskiej, co bardzo mnie zabolalo. Testy biegłego jednak przeszłam pozytywnie i przy kolejnej rozprawie uznano mnie za osobnika płci żeńskiej. Na operację w Gdańsku umówiłam się szybko po wydaniu nowego dowodu osobistego. Tamten lekarz patrzył na mnie podejrzliwie, nie byłam typowym według niego przypadkiem, chyba za mało kobiecym. Typowe stroje kobiece kręciły mnie średnio. Ja chciałam transformacji fizycznej. Robiłam sobie delikatny makijaż, aby ukryć ślady zarostu i by twarz wydawała się bardziej delikatna. To jednak według mnie wtedy przynosiło mierne efekty. Lekarz jednak uznał diagnozę. Operacja odbyła się bardzo sprawnie. Nie było wielkiego bólu. Czułam silne uderzenia adrenaliny. Osiągnęłam przeciw swój cel. Okazało się, że jestem dość płytka, ale nie myślałam wtedy jakoś szczególnie o współżyciu seksualnym. Byłam zadowolona, że wreszcie mam upragnioną pochwę.

Chciałam rozpocząć nowe życie. Ogromnie tego pragnęłam, byłam głodna spełnienia się społecznie w roli kobiety. Zdecydowałam się zdawać do studium o kierunku pracownik socjalny. Udało mi się przejść prosty egzamin i rozpoczęłam naukę. Szybko jednak zorientowałam się, że coś jest nie tak. Ludzie patrzyli na mnie podejrzliwie, gapili się, wcale nie ukradkiem, na moje krocze. Wpadłam w panikę, poczułam, że odkryli moją historię, a ja nie chciałam, aby tak było. Pragnęłam uczestniczyć

w życiu na równych warunkach z innymi kobietami. Wtedy zaczęłam być już na serio ucieczkowa. Rzuciłam szkołę i pomału pogrążałam się w coraz większej depresji. Cała tranzycja wydała mi się w moim przypadku jedną wielką katastrofą. Nie widziałam dla siebie drogi w życiu. Podjęłam próbę samobójczą. Próbowałam sobie podciąć żyły. Wylądowałam w szpitalu psychiatrycznym. Krótco po wyjściu z niego połknęłam dużą ilość tabletek psychotropowych i ponownie tam wylądowałam. Pamiętam jedną z pacjentek w szpitalu szczególnie. Robiła mocny make up, miała szlafrok w kolorze ostrego różu i kładła się na brzegu łóżka, tuląc głowę do małego radyjka, które nadawało rzewne Złote Przeboje. W jakimś stopniu wiedziałam wtedy, że po swojemu stanę się taka sama jak ona. Rodzice byli załamani. Odwiedzali mnie w szpitalu, wspierali. Coś we mnie pękło i rozumiałam, że nie mogę im tego zrobić ponownie. Podjęłam leczenie, które trwa nieustannie do dnia dzisiejszego.

Po jakimś czasie moje ciało, gdy mijaly miesiące po operacji, zaczęło się coraz bardziej przekształcać w stronę kobiecą. Sylwetka przybrała kobiecych kształtów, biust się uwydatnił. Zaczęłam robić zabiegi depilacji laserowej twarzy, co poprawiło jej wygląd, skubałam brwi pincetą. Dostrzegłam światelko w sobie, które dodało mi wtedy sił. Leczenie farmakologiczne antydepresyjne również zrobiło swoje.

Nie miałam pracy, czułam się jak obciążający bagaż dla moich rodziców. Postanowiłam więc wziąć się w garść i zaczęłam szukać jakiegoś zajęcia. Wylądowałam na hali produkcyjnej. Ta praca, choć monotonna, dawała mi zapomnienie, poczułam się częścią czegoś większego. W zakładzie pracowały oprócz magazynierów same kobiety. To sprawiało mi satysfakcję. Zaczęłam bardziej o siebie dbać, dobierałam makijaż pod kątem ubioru. Czułam się jedną z kobiet i wreszcie nabrałam powietrza w płuca. Byłam tam akceptowana. Wychodziłam na spotkania towarzyskie po pracy z ludźmi, którzy nie mieli pojęcia o mojej historii. Niestety towarzyszył temu lęk, czy do tej pracy w innym mieście nie trafi w końcu ktoś, kto mnie rozpozna i jak na to zareagują kobiety ze mną pracujące. Pamiętam jak raz, gdy wysiadłam z autobusu wracając z pracy, usłyszałam za sobą głos młodego mężczyzny. Ty przerobie jebany. Nie odwróciłam się. Przy innej okazji znowu. Nigdy nie będziesz kobietą. Ty jebany przerobie. Zawsze będziesz pedałem. Ten sam głos, nie odwróciłam się ponownie. Jego towarzysz go uspokajał, aby już przestał. Bardzo mnie to bolało. Pamiętam też raz, gdy szłam na przystanek do pracy, a przy tej drodze jest górka, jak na jej szczycie stało kilku chłopaków i zaczęli do mnie krzyczeć. Chodź, wydupczę cię. Pedał! Była zima, zaczęli we mnie rzucać bryłami śniegu, które roztrzaskiwały się pod moimi stopami. Szłam równo, nie przyspieszałam, aby nie dać im satysfakcji. Modliłam się, aby we mnie nie trafili. Tamtego dnia, gdy wróciłam do domu, rozplakałam się bardzo gorzko. Byłam totalnie roztrzęsiona. Dlaczego oni mi to robią? Przecież ja nic nikomu nie zrobiłam. Normalnie żyję i pracuję. Bałam się, co będzie dalej. Następnego dnia na przystanek odprowadził mnie tata. Później to się już nie powtórzyło. Tata nabrał do mnie zaufania, nasze relacje stały się spokojne, przeplatane momentami czułości. Czułam się z rodzicami dobrze i bezpiecznie. Nie chciałam nigdzie wyjeżdżać, nie chciałam uciekać. Myślałam, że sama nie dam sobie rady, że jestem za słaba.

W tamtym czasie szukałam osób trans. Poznałam przez kolegę z katowickiego stowarzyszenia osób lgbt starszą ode mnie Annę, z porażeniem mózgowym dziecięcym. Bardzo mi imponowała swoją siłą. Jednak czułam wciąż, że jestem gorsza, a inne trans kobiety są o wiele silniejsze. To utrudniało mi relacje z nimi. Przez ten krąg poznałam Sebastiana, trans mężczyznę. Jak to się mówi, od słowa do słowa zaczęliśmy się spotykać. Zawsze marzyłam o wysokim brunecie. Życie jednak wszystko weryfikuje. On był niższy ode mnie, drobnej postury. To z nim straciłam dziewictwo. Wszedł we mnie swoją przerośniętą lechtaczką, a ja poczułam bardzo boleśnie wtedy, że jestem kobietą. Przy nim czułam się atrakcyjna, dla niego chciałam taka być. Wszystko było dopięte na tip top. Choć to szybko się skończyło, to zostawiło we mnie trwałe ślad. Długi czas później znowu wdałam się w romans z mężczyzną trans. Doszłam do wniosku, że chyba tylko oni potrafią mnie zobaczyć prawdziwą. Mój target. Znowu szybko się skończyło, a ja przyrzekłam sobie, że już nigdy nie pójde tą drogą. Był też Marcin, heteroseksualny cis mężczyzna. Nie mógł we mnie wejść, robił sobie dobrze trzymając mnie za piersi. Czułam się brudna jak wiele kobiet. Jak narzędzie do zaspokojenia męskich potrzeb. Od tego czasu jestem samotna. Marzę o wielkiej miłości, jednocześnie tkwiąc w przekonaniu, że realia nigdy nie musną tych pragnień. Jest we mnie dziewczyna nietknięta przez nikogo, uwielbiana sztukę. Chcę ją chronić za wszelką cenę. Czasami mam wrażenie, że tylko ona mi została.

Pewnego razu do mojej pracy przyjeły się siostry bliźniaczki, o zgrozo w ogóle do siebie niepodobne. Zaczęły mi się uważnie przyglądać, coś im nie pasowało. Masz taki niski głos, nigdy takiego nie słyszałam. Jesteś mieszańcem. Powinnaś być facetem. Nie знаły mojej historii, ale były zwyczajnie bezczelne. To spowodowało zgrzyt i wytrącało mnie z równowagi. Staralam się być silna, ale irytowało mnie dogłębnie to, jak ludzie beztrudnie próbują mnie oceniać i wpływają na moje samopoczucie. Tak bardzo walczyłam o siebie, a byłam wciąż jak liść na wietrze trącony podmuchami ludzkich słów. To bardzo bolało. Po wielu perturbacjach odeszłam z tamtej pracy. Wyjechałam na parę miesięcy do UK pracując tam w hotelu jako pokojówka i pomoc kuchenna. Nie było lekko, byłam fizycznie zmęczona, co wpływało na mój wygląd. Dyżury trwały od rana do późnego wieczora z przerwami, które przesypiałam wypruta z sił. Patrząc w lustro, ubrana w fartuszek bez makijażu i z podkrążonymi oczami wyglądałam żalśnie. Zakochałam się wtedy w swoim szefie, czego nie potrafiłam ukryć. Skłonna do romantycznych uniesień, przeplatanych żądzą w kierunku mężczyzn, pozostałam do dzisiaj. To tylko kwestia moich wyobrażeń. Dziś w istocie żyję jak zakonnica. Wykonuję pracę zdalną, robię transkrypcje. Pozwala mi to poniekąd być panią swego losu, jednak skazuje na swoistą izolację społeczną. Przynajmniej nie jestem poddawana wiecznym osądom. To było takie męczące. Już tyle razy tego doświadczałam, że nie chcę więcej. Mam dość! Wadą jest, że nie mam ubezpieczenia zdrowotnego, a dochody są bardzo nieregularne. Jeszcze próbowałam się dostać na filologię rosyjską, lecz nie udało mi się. Zawsze marzyłam, by śpiewać, bo głos mam nie najgorszy. Jednak po telefonie na uczelnię, gdy po głosie pani uznała mnie za mężczyznę, uznałam, że to nie ma sensu. Kobieta z męskim głosem śpiewnym, to chyba nie może się udać.

Cały czas poszukiwałam. Miałam okresy bardzo długiego bezrobocia, kiedy to czułam się pasożytem społecznym, walczącym o siebie z moją wierną siostrą depresją. Czytałam, szukałam w książkach inspiracji, miewając silne ciągoty samobójcze. Najbardziej interesowały mnie pisarki i poetki, które zginęły śmiercią samobójczą jak Sylvia Plath, Anne Sexton czy Virginia Woolf. Czułam z nimi pokrewieństwo dusz. Książki pozwalały mi się wznieść ponad brutalne realia. Zaczęłam odbudowywać swoją relację z Bogiem. Doszłam do wniosku, że może to, iż nadal jestem, istnieję, zawdzięczam właśnie Jemu. Stałam się fanką Jezusa, jego inkluzywności. Dzięki znajomej trafiłam na grupę, obecnie Fundację Wiara i Tęcza. Poznałam tam ludzi, którzy tak jak ja pielęgowali w sobie piękno i poszukiwali duchowości oraz harmonii ze światem. Pozytywną relację nawiązałam głównie z gejami, których tam poznałam. Są dla mnie wsparciem do dziś. Wyjeżdżaliśmy na wspólne rekolekcje. Lubiłam nasze rozważania i modlitwy, no i w końcu byłam wśród ludzi. To, że jako jedyna byłam tam po korekcie płci, stanowiło o wyszczególnieniu mnie jako swoistego rodzyńka. Schlebiali mi to. Znowu byłam częścią jakiejś społeczności, przynależałam do czegoś większego. Zrozumiałam, że Bóg jest po mojej stronie, niezależnie od tego, co twierdzą władze kościelne i pravicowi działacze oraz politycy. To stanowi do dziś ważny punkt w mojej historii. Otworzyłam się na inne punkty widzenia, zmadrzałam i dojrzałam duchowo. Teraz już się nie udzielam, ale do dzisiaj mogę liczyć na ludzi, których tam poznałam i czasami wspomagają mnie nawet finansowo drobnymi kwotami, za co jestem im bardzo wdzięczna.

Byłam wtedy bardzo aktywna na facebooku, w ten sposób utrzymując kontakt z ludźmi spoza mojego regionu. Umieszczałam tam miniatury literackie. Ludzie mnie dopingowali, abym szła tą drogą, co doprowadziło do publikacji mojej pierwszej książki „Brudny róż”. Jest to opowieść stricte autobiograficzna. Teraz pisząc ten tekst na nowo, po latach próbuję stawić czoło swojemu życiu i nie jest to przedruk tej książki. Nie została przyjęta z entuzjazmem. Pomimo wkroczenia na arenę polityczną wizji IV RP i nastrojów skrajnie prawicowych, moje wyznania nie zostały zauważone nawet przez media typowo lewicowe. Umocniło mnie to wtedy w przekonaniu, że moja historia nie jest wcale niczym szczególnym. Rozczarowało mnie to, że książka ma mało recenzji i kiepsko się sprzedaje. Walczyłam z sobą i z tym, czy jest sens dalej pisać. Jednak wewnętrzny imperatyw tworzenia zwyciężył i doprowadził do powstania drugiej książki „Beza”. Opowiada ona historię kobiety z zespołem Downa, która ma marzenia podobne do moich, jest niejako zniewolona społecznie i seksualnie. Również została przyjęta dość chłodno, co ostudziło moje aspiracje literackie na jakiś czas.

Pamiętam jak raz z grupą Wiara i Tęcza wybrałam się na Paradę Równości w Warszawie. To było dość mocne doświadczenie. Niosłam baner z wielką dumą. I znowu poczułam, że należę do czegoś większego, jestem częścią społeczności. Czułam, że właśnie tam powinnam być, dokładnie w tym miejscu. Moje poglądy zawsze były dość lewicowe, ja sama dążyłam do jak największej wolności własnej. Choć wiecznie byłam zniewolona przez własną psychikę. Chciałabym, aby ludzie mogli się samorealizować, kochać i uzewnętrznić to, co im w duszy gra. Boli mnie, że wielu ludzi tak wciąż nie

myśli. Ja pomimo trudnych przeżyć dostałam wiele wsparcia. Przede wszystkim od rodziców i osób LGBTQ+. Nie wiem, jak bez nich dałabym sobie radę i wytrzymała do momentu, w którym znajduję się obecnie.

Dom to dla mnie schron przed brutalnością realiów, często zbyt trudnych do udźwignięcia. Urządziłam swój pokój w celowo kiczowatym stylu, aby nadać mu przytulności, może chcąc ukoić moją wewnętrzną dziecięcość. Jest zagrożony bibelotami, książkami, płytami winylowymi i CD, tym, co buduje treść mojego istnienia oraz pozwala uciec przed jego bólem. Niedawno zmarł mój ukochany Tata. Pamiętam, jak kiedyś złościłam się na to, że jestem do niego tak fizycznie podobna. Dziś jestem z tego dumna. Kiedyś buntowałam się przeciwko temu, że nie spełniam jego oczekiwań, odsuwałam się od niego mentalnie. Uważam za niesamowite to, że w końcu znaleźliśmy nić porozumienia i ukojenia w rolach ojca i córki. Pokochał mnie jako swoje dziecko już bezwarunkowo, zburzył miłością mury między nami. Okropnie za nim tęsknię. Ten ból jest czasami nie do zniesienia. Nasza relacja w ostatnich latach była pełna czułości i bliskości. Chciałoby się, aby to trwało i trwało. To był prosty człowiek, nie czytał, nie oglądał filmów. Jednak w swoim wnętrzu był w stanie stawić czoła największym i najtrudniejszym zagadnieniom. Był mi męskim ramieniem i oparciem. Spieraliśmy się jedynie w temacie tego, że nie chcę już normalnie chodzić do pracy i wolę pracę zdalną. Nie mieściło mu się to w głowie, że można nie chodzić normalnie do pracy. Mama jest bardziej wyrozumiała i stara się zrozumieć motywy, które mną kierowały i kierują.

Ewa zniknęła z mojego życia lata temu, choć była mi najbliższa. Nasze drogi się rozeszły brutalnie wskutek tego, że zaczęła sypiać z Marcinem, na którym mi również zależało. Ot samo życie. Zresztą przepaść mentalna między nami stała się i tak nie do zniesienia. Z nikim innym nie udało mi się zbudować podobnej relacji. Ludzie gdzieś tam są obecni w moim życiu, ale za szybą internetu, telefonu. Nie umiem budować relacji, często wciąż czuję się rozczarowana, nierozumiana. Zastanawiam się, jaki wpływ na to mają moje doświadczenia. Nie udzielam się towarzysko.

Teraz żyję z mamą samotnie. Nie mam specjalnych marzeń. Może chciałabym dalej wydawać książki. Mimo wszystko. Czai się we mnie również pragnienie śpiewania. Och, aby wydać płytę. Na ile jest to odrealnione, a na ile możliwe, już sama nie wiem. Często zaciera mi się granica pomiędzy marzeniami, pobudzoną wyobraźnią a rzeczywistością. Być może celowo ją odrzucam. Może nie mam talentu i jestem tylko niespełnioną neurotyczką z trzęsącymi się rękami i wiecznie spoconymi dłońmi. Odrzutem fabrycznym. Czasami mam wrażenie, że cała jestem jednym wielkim brakiem. Ostatnio często śnią mi się wykłady na uczelni z treścią wyzwolenczą, dzikimi tańcami i prowokacjami skłaniającymi do myślenia. Chciałabym dotrzeć do centrum swojego istnienia i wgryźć się w jego rdzeń.

W świecie, gdzie coraz więcej osób deklaruje się jako non-binary, ja tęsknię wciąż za kobiecością bez żadnych obciążeń. Nie chcę być pomiędzy, choć próbowałam sobie to wmawiać. W istocie pragnę wcielić się w typowo genderowe i biologiczne role kobiece. Może chciałabym urodzić dziecko, bez całej tej zawilej przeszłości. Jestem

strasznie zeschizowana, ulegam gwałtownym emocjom. Trochę przeraża mnie, że takie osoby jak ja wylądują na śmietniku historii, bo wszystko staje się coraz bardziej relatywne, a my dążymy do operacji i w ogóle omijamy trochę nurt akceptacji ciała, jakim jest. Na przykład termin urodzona w męskim ciele uważany jest za błędny. Ja się z tym nie zgadzam. Ja uważam się za urodzoną w złym ciele. Były momenty, kiedy chciałam zdrapać z siebie skórę. Teraz akceptuję swoje ciało, ale tęsknię za tym, że nie będzie ono biologicznie kobiece w pełnym wymiarze. Myślę, że w sumie jestem dosyć trudnym człowiekiem i trudno byłoby komuś ze mną wytrzymać. Zatem sama. Z wyboru, a może takie jest istotnie moje przeznaczenie. To boli, ale już chyba nie potrafię inaczej. Żyję głównie dla mamy, aby jej dodawać otuchy i nie odejść przed nią, zaopiekować się nią. Jest nam czasem bardzo wesoło. Lubimy się. I z tej samotności Was pozdrawiam.

Pamiętnik aromantycznej asekualnej cis kobiety

Ur. w 2000 r. w Szczecinie,
aromantyczna asekualna cis kobieta.

Tak, jestem LGBT, a właściwie jestem „+”, czasami myślę, że to za dużo na bycie osobą hetero i zdecydowanie za mało na przynależność do środowiska osób tęczyowych. Jestem asekualna i aromantyczna. Jestem niewidzialna. Gdy wybuchły protesty w Stonewall, czy walczono wtedy także o moją orientację? Przecież nie doświadczam dyskryminacji na co dzień, nie grozi mi przemoc fizyczna, w końcu nikogo jeszcze nie pobito za chodzenie po ulicy nie trzymając nikogo za rękę. Nie muszę także wychodzić z szafy z miłości do drugiej osoby, moja seksualność/romantyczność nie wpływa bezpośrednio na sytuację mojej rodziny czy znajomych, w końcu nie robię „tego z dziewczyną”, nie jestem kontrowersyjna, media zwykle milczą o takich jak ja.

Mrok

Zacząło się mniej więcej, gdy miałam 12 lat, koleżanki miały pierwszych chłopaków, pojawiały się pierwsze zauroczenia, wtedy jeszcze nie zwracałam na to uwagi, myślałam, że to nie mój czas, że jestem po prostu zbyt dziecinna albo że wolę skupić się na nauce. Nikt wtedy nie wspominał o gejach i lesbijkach, a co dopiero o dalszej części skrótu LGBT+, byłam przekonana, że fascynacja płcią przeciwną kiedyś się pojawi.

W gimnazjum czułam się dużo bardziej zagubiona, pojawiła się burza hormonów, pierwszy raz usłyszałam o innych orientacjach seksualnych. Wychowywałam się w rodzinie, dla której religia katolicka stanowiła ogromną wartość, o gejach rozmawiało się tylko w kontekście „pedałów” albo wcale. Oprócz ogromnego kryzysu emocjonalnego, pojawiły się problemy rodzinne – na kilka lat mój świat runął w gruzach.

Od dziecka mieszkalam tylko z mamą, miałam kontakt z konserwatywną rodziną – babcią, wujkiem, osobami, które zwykle uważa się za dalszych krewnych. Ojciec

pojawiał się sporadycznie, czasem przyjeżdżał, aby pobawić się w rodzinie, czasem, aby pokazać mi jak niedoskonała jestem. W dzieciństwie myślałam, że to normalne, że wychowanie polega właśnie na tym, aby być całkowicie podległym rodzicowi. Byłam zapatrzona w ojca całą sobą, marzyłam o choćby najmniejszym przejawie miłości czy uwagi z jego strony, ciągle jednak słyszałam, że jestem źle wychowana, ograniczona, brzydka, niewarta miłości. Obiecywał wspólne zamieszkanie, lecz tylko, gdy się zmienię, nigdy nie zdefiniował tego pojęcia, ono wystarczyło żeby wywołać we mnie nie tylko respekt, ale i pragnienie stworzenia pełnej rodziny, której przecież nigdy przedtem nie doświadczyłam. W 2015 roku zdiagnozowano u niego nowotwór, ojciec stał się częstszym gościem w naszym mieszkaniu, podjął leczenie, zdominował moją mamę do tego stopnia, że była ona na każde jego zawołanie. Bezkarne krzywdził psychicznie i ją, i mnie.

Mniej więcej w tym samym czasie odkryłam pojęcie aseksualności, poczułam jakby wszystkie moje wątpliwości dotyczące orientacji seksualnej wskoczyły na swoje miejsce. Podniosło to też znacząco moją pewność siebie. Orientacja romantyczna nadal jednak pozostawała dla mnie wielką niewiadomą. Przeżyłam związek zarówno z mężczyzną, jak i z kobietą, w obu przypadkach czułam się osaczona, przytłaczały mnie zachowanie typowe dla par, nie lubiłam okazywania czułości, czy to w domu, czy w miejscach publicznych.

Potem przyszedł kolejny koszmar – zostałam zgwałcona. Nie potrafię dokładnie opisać tamtego wydarzenia, za każdym razem kiedy próbuję to tego wrócić, czuję się, jakbym oglądała całą sytuację z perspektywy osoby trzeciej. Poczułam się zniszczona. Brudna. Wszystkie problemy i kompleksy wróciły na nowo. Naruszono moją seksualność, moje poczucie tożsamości, moje bezpieczeństwo. Do dziś osoby, które o tym wiedzą, mogę policzyć na palcach jednej ręki.

(Od)Buduję swoje ja

Odkąd pamiętam, mama była moją przyjaciółką, czasem śmieję się, że wygrałam na loterii, bo kto może się pochwalić, że mieszka z najlepszą kumpelą od urodzenia? Jest to jednocześnie jedyna osoba z mojej rodziny, przed którą dokonałam coming outu. Zapamiętam ten dzień do końca życia, byliśmy na wakacjach, szliśmy plażą, a ja prosto z mostu powiedziałam jej o swojej aseksualności. Nie słyszała wcześniej o tym pojęciu, zareagowała ze zdziwieniem, ale też ciekawością i co najważniejsze z pełną akceptacją.

Czasy liceum zapowiadały się fantastycznie – zakończyłam kontakt z toksycznym ojcem, trafiłam do dobrego (katolickiego!) LO, poznałam paczkę ludzi, których zaczęłam nazywać swoimi przyjaciółmi. Szkoła wymagała ode mnie gorliwej wiary, która w tamtym czasie była przeze mnie mocno kwestionowana, bierzmowanie przyjąłam niechętnie, bardziej za namową rodziny niż z własnej nieprzymuszonej woli. Moi przyjaciele jednak, wychowani w rodzinach, gdzie katolicyzm był jednym z głównych

filarów egzystencji, utrzymywali mnie w przeświadczeniu, iż na pewno przeżywam tylko chwilowy kryzys, który, prędzej czy później, minie. Znając nieprzychylny stosunek znajomych do LGBT+ bałam się nie tylko wyjścia z szafy, lecz nawet tego, że uznają mnie za sojuszniczkę osób nieheteronormatywnych, a co za tym idzie, zasłużę na ostracyzm nie tylko w ich gronie, ale także w całej szkole. Utkwiła mi w pamięci szczególnie rozmowa z jednym z moich kolegów, padło pytanie, co zrobiłby, gdyby jego przyszłe dziecko okazało się gejem lub lesbijką – usłyszałam, że chciałby powiedzieć, że nadal by je kochał, ale nie chce kłamać. Miałam ochotę się rozplakać, ale przecież lepiej mieć przyjaciela w kimkolwiek niż pozostać całkiem samą, nieprawdaż?

Teraz

Jestem osobą. Jestem studentką prawa. Jestem mamą dwóch kotów ze schroniska. Jestem córką. Jestem wegetarianką. Jestem przyjaciółką. Jestem feministką. Jestem asekualna. Jestem artystką. Jestem melomanką. Jestem człowiekiem. Jestem nieidealna. Jestem aromantyczna. Mam tatuaże. Jestem sobą. Walczę o swoje zdrowie. Nie jestem oziębła. Nie jestem zboczona. Nie jestem pedofilką. Jestem LGBT+. Kocham ludzi. Jestem kochana. Dbam o swoje ciało. Dbam o innych. Dbam o planetę. Codziennie się uczę. Słucham i staram się zrozumieć, zanim ocenię. Znam swoją wartość. Podróżuję. Odczuwam strach. Płaczę. Mam gorsze i lepsze dni. Nie jestem ideologią. Dużo żartuję i się śmieję. Marzę. Staram się być szczęśliwa.

Odkąd poszłam na studia, odrzuciłam od siebie wszystkie toksyczne elementy swojego życia, przyjaźnię się z mamą oraz garstką osób, które kocham i przy których nie obawiam się być sobą. Skupiłam się na edukacji, zrozumiałam, że bycie w związku to nie przymus, że nie muszę czuć się gorsza lub wybrakowana z powodu mojej orientacji romantycznej i seksualnej.

Jestem złożona z wielu aspektów, jestem asekualna i aromantyczna, to jest część mnie, część, do której przywiązuję dużą wagę, jednak składam się też z wielu innych płaszczyzn, przez które można mnie oceniać. Mam wady i zalety. Nikt nie ma prawa zarzucać mi, że jestem złym człowiekiem tylko i wyłącznie dlatego, że nie jestem heteroseksualna. Nikt nie ma prawa odbierać godności, zarówno mnie, jak i innym osobom spod tęczowego parasola.

Pamiętnik Bartka

Ur. w 2003 r., homoseksualny mężczyzna,
mieszka na wsi.

Moje najwcześniejsze wspomnienia odnośnie mojej orientacji seksualnej sięgają 1 klasy gimnazjum. Już wtedy czułem, że jestem nieco inny od większości – wrażliwy, empatyczny, interesujący się sztuką oraz muzyką. Zupełne przeciwieństwo moich kolegów. Czułem się przez to bardzo samotny i niezrozumiany. Często słyszałem docinki w swoją stronę odnośnie tego, czy jestem „chłop czy baba”, mimo to, że moja uroda jest typowo męska i raczej nie odstaję tym od innych mężczyzn. To był chyba najbardziej burzliwy czas w moim życiu. Zacząłem zauważać, że oglądam się za chłopakami, że podziwiam ich ciała, ale starałem się to jak najmocniej wypierać. Moje otoczenie wówczas było bardzo pobożne oraz tradycjonalistyczne. Co chwilę dostawałem pytania, czy jakaś dziewczyna mi się podoba, czy już jakąś mam itp. Zawsze odpowiadałem, że oczywiście że mi się podoba, ale jej nie mam. Okłamywałem samego siebie chcąc, aby kłamstwo powtarzane 1000 razy stało się w końcu prawdą. Z racji tego, że moje środowisko (jak już wspomniałem), było dosyć pobożne, ta pobożność nie umknęła także mi. Mimo to, że wówczas uważałem się za 100% hetero chłopaka, od czasu do czasu po prostu kładłem się do łóżka i zaczynałem płakać po szkole, kiedy znów mimowolnie obejrzałem się za jakimś chłopakiem, czyli zgrzeszyłem. Cierpiałem przez to niemiłosiernie, nie potrafiłem tego zaakceptować, że mógłbym się okazać tym, kim jestem dzisiaj. Nastal czas drugiej gimnazjum, hormony zaczęły buzować coraz silniej. Poznałem pewnego chłopaka – został moim najlepszym przyjacielem, lecz patrząc teraz z perspektywy czasu chyba był dla mnie kimś więcej niż najlepszym przyjacielem. Po prostu wtedy był to dla mnie „najbardziej legalny” tytuł, który mogłem nadawać osobie, która znaczyła dla mnie wszystko. Na początku było fajnie – przyjaźń kwitła. Niestety mój przyjaciel popadł w skrajność. Jego poglądy stały się skrajnie prawicowe. Mimo to, że nie uważałem się za homoseksualną osobę, ranił mnie swoimi przemyśleniami notorycznie. Można powiedzieć, że był to w pewien sposób syndrom sztokholmski. Mimo to dalej znaczył dla mnie wszystko i byłem w stanie zrobić dla niego wszystko. Przez niego, a właściwie dla

niego, zacząłem być zapalonym wierzącym chrześcijaninem (takim jak on), zatraciłem przez to część siebie. Po prostu to nie było w moim stylu. Zatraciłem wszelkie prawdziwe ja, które zakopałem w odmętach mojego mózgu, tylko po to, żeby być jak najbliżej mojego przyjaciela. Minął rok kompletnego zatracenia siebie. Nastąpiła 3 klasa gimnazjum – klasa, która wywróciła moje życie do góry nogami. Moje prawdziwe ja w końcu zaczęło się odzywać. Nie wytrzymałem. Udawanie kogoś innego niszczyło mnie od środka. Ciągłe udawanie, pilnowanie się, oglądanie się za dziewczynami na pokaz, to po prostu mnie zniszczyło. Jako że traktowałem go jako najbliższą osobę, wyznałem mu, że uważam, że jestem biseksualny i bardzo się boję, że mnie nie zaakceptuje. Powiedziałem, że jestem biseksualny, no bo przecież wtedy masz wybór, możesz żyć „po bożemu” i wybierać tylko dziewczyny... Ku mojemu zaskoczeniu powiedział, że wszystko jest okej i mnie akceptuje. Poczulem ogromną ulgę, ale nie trwało to zbyt długo. Nie wiem dlaczego na messengerze był zupełnie innym człowiekiem, a w szkole znów innym... Na drugi dzień zaczęło wszystko się sypać. Ciągłe podteksty w moją stronę na temat lgbt, przykre żarty itp. Tak wyglądała od tego momentu moja codzienność, przez parę szkolnych miesięcy. Osoba, która była dla mnie wszystkim, po prostu się nade mną znęcała. Kiedyś wyciągnąłem go na spacer, chciałem wszystko obgadać... Wiecie czego się dowiedziałem? Że ranię Boga i Bóg się mną brzydzi. Najważniejsza osoba w moim życiu powiedziała mi (osobie głęboko wierzącej), że Bóg się mną brzydzi i przez to mam rozumieć, że chyba mój przyjaciel też... Prześladowanie nie ustąpiło, trwało do samego końca szkoły. Wycofałem się z wszelkiego życia publicznego, nie rozmawiałem z nikim, przestałem czerpać radość z mojego życia. Miałem myśli samobójcze. Na szczęście gimnazjum się skończyło. W wakacje poznałem pewną nową osobę, jak się później okazało – także homoseksualną. Rzuciła ona zupełnie inne światło na moje życie i na szczęście przyćmiła wcześniejsze wydarzenia. Po gimnazjum wybrałem liceum, ale nie było jakie – liceum artystyczne. Dzięki temu poznałem wiele wspaniałych ludzi, którzy do dziś mnie wspierają i nie wyobrażam sobie bez nich życia. Wracając, gdy przez wakacje poznałem tego pewnego chłopaka, coś się we mnie zmieniło, w końcu nieświadomie (bo wtedy nie uważałem się za geja) trafiłem w swoje środowisko. Czułem się jakoś tak dobrze, zrozumiany itp., chociaż nie wiedziałem dlaczego. Może dlatego, że po raz pierwszy od trzech lat ktoś miał podobne zainteresowania co ja oraz podobne poglądy i spojrzenie na życie. Nasza relacja rosła w siłę, ale niestety znów do rangi przyjaciela. To wszystko moja wina, gdybym od razu wiedział i określił się wobec niego, że jestem gejem, prawdopodobnie miałbym dzisiaj chłopaka, ale niestety tego jeszcze wtedy nie wiedziałem... Nie wiedziałem też wtedy, jakie to uczucie, gdy kogoś kochasz, dlatego ponownie myślałem, że ja po prostu bardzo go lubię. Minęło parę miesięcy naszej znajomości i nagle pewnego dnia, gdy rozmyślałem o moim życiu, doszedłem do wniosku, że moje życie to kłamstwo. Ciągłe okłamywanie się. Raz a porządnie stwierdziłem: Jestem gejem. Mój pierwszy coming out był właśnie przed tym chłopakiem (także gejem), którego poznałem w wakacje. Niestety gdy już to do mnie dotarło, on dalej traktował mnie jako przyjaciela, a ja nie miałem odwagi powiedzieć mu, że

chyba czuję coś więcej do niego. Minęły święta, sylwester, nastąpiła pandemia. Dla mnie najgorszy okres w moim życiu, nie przez tę izolację, wtedy byłoby wspaniale, a przez to, że wydarzyło się tak wiele i tak wiele złego.... W marcu napisałem do niego: Hej, chyba coś do Ciebie czuję. Niestety odpisał, że on chce tylko przyjaźni, bo przyjaźń jest wieczna, a chłopaków się zmienia i że nie chce mnie tracić... Dalej tego nie rozumiem... W kwietniu stwierdziliśmy, że musimy się w końcu zobaczyć. Jako że autobusy nie za bardzo kursowały, poszedłem piechotą do niego (tam i z powrotem 25 km). Nie wiem skąd ta siła, może właśnie z tego uczucia, które do niego żywiłem... Na miejscu dużo rozmawialiśmy i spacerowaliśmy. Byliśmy w lesie. Stwierdziliśmy, że zrobimy piknik. Rozłożyliśmy koc na ziemi i się na nim położyliśmy. Nagle stało się coś, o czym śniłem dniami i nocami – On się do mnie przytulił, i to tak mocno, a następnie mnie pocałował. Powiedział, że bardzo mnie kocha. Oczywiście wszystko odwzajemniłem. Byłem najszczęśliwszym człowiekiem na Ziemi. Tak minęło nasze całe popołudnie – na pocałunkach i przytulankach. Wróciłem do domu, mijały kolejne dni, czułem w powietrzu, że coś jest nie tak. Miałem rację. Po trzech tygodniach od naszego spotkania, napisał mi, że się pomylił. Rozumiecie? Pomylił się... Śmiech na sali... Człowiek, który sam z siebie przytulił się do mnie, pocałował mnie, powiedział, że mnie kocha i jeszcze, że muszę mu obiecać, że za niedługo się spotkamy, pomylił się... Nie kocha mnie. Nie rozumiałem, po co było to wszystko. To mnie zniszczyło. On mnie zniszczył. Zabawił się moimi uczuciami. Popadłem w rozpacz, popadałem w nią tym bardziej, kiedy zaczął mnie unikać, „ghostować”, doszło nawet do tego, że zaczął odlajkować moje zdjęcia na profilach społecznościowych. Naprawdę tego nie rozumiem, przecież musiał sobie zadać ten trud, wejść na mój profil, scrolować zdjęcia i je odlajkować... Po co to robił? Pewnego dnia wygarnąłem mu to wszystko. Nagle, z dnia na dzień, zniknął. Nigdy już nie odpisał, nie zostawił żadnej wiadomości pożegnalnej, po prostu mnie zablokował wszędzie, gdzie się dało. Potraktował mnie jak śmiecia, a przecież nie znaliśmy się parę tygodni, tylko rok... To był gwóźdź do trumny, codziennie płakałem, zamykałem się w łazience i wylewałem morze łez. Nigdy nie planowałem zrobienia coming outu rodzicom, ale wtedy doszedłem już do takiego etapu, że było mi wszystko jedno, czy mnie wyrzucą z domu, czy zabiją, czy zrobią cokolwiek. Czułem się tak źle, tak bardzo nie mogłem już tego ukrywać, co się stało, że zrobiłem to. Najpierw mamie, potem tacie. Nigdy nie chciałem już do tego wracać. Najcięższa rozmowa w moim życiu. Zawsze postrzegałem rodziców jako chłodnych w tych sprawach, na szczęście się pomyliłem. Mama zareagowała dosyć lekceważąco, twierdząc że może mi się jeszcze odmieni, ale powiedziała że gdyby nie, to i tak mnie kocha. Tata spisał się w tej sprawie o wiele, wiele lepiej. Nie podważał mojego zdania i po prostu powiedział, że jestem jego dzieckiem i mnie kocha. To mi przyniosło ogromną ulgę, lecz i tak z moim stanem wyłądowną u psychologa. Nie potrafiłem sobie poradzić z tym rozstaniem. Dobilo mnie też to, że mama zaczęła zgłębiać temat i na pierwszy ogień wpadły jej jakieś artykuły o homoseksualizmie z jakiejś katolickiej strony... Była ona dosyć krzywdząca, gdyż mówiła, że wszystko da się odwrócić i że istnieje terapia... To jest doskonały przykład, jak wielką

szkodliwość czynią takie strony. Wystarczy, że ktoś nie ma kompletnie pojęcia na ten temat i natrafi na taką stronę, no i pierwsze wrażenie zostaje już wyrobione, na nie-szczęście te krzywdzące wrażenie. Całe szczęście przemówiłem jej do rozumu. Teraz od czasu do czasu, rodzice okazują mi wsparcie poprzez np. wyśmiewanie ludzi i polityków, którzy atakują społeczność lgbt. Czuję się wtedy trochę niezręcznie, bo cały czas mam z tyłu głowy, że jeszcze parę miesięcy temu pewnie marzyli o wnukach, a tu taki zonk. Nie lubię o tym z nimi rozmawiać, ale dzięki temu mam poczucie, że mnie kochają. Pomimo tych wielu cierpień jestem tak naprawdę ogromnym szczęściarzem, otrzymałem coś, czego wiele moich kolegów lgbt nigdy nie otrzyma - wolności w swoim własnym domu, to że mogą być w nim sobą i już się nie kryć. Bardzo mnie to smuci i chciałbym, żeby mogli oni czuć się tak swobodnie jak teraz ja. Chciałbym podziękować jeszcze raz moim rodzicom oraz przyjaciółom (tym prawdziwym), którzy dalej są, którzy mnie tolerują i pomagają w trudnych chwilach. Kocham was wszystkich.

Anna Nadar „Bułka” Na przekór

Urodziłam się 21 lutego 1995 roku w Szczecinie – dużym mieście na skale kraju, mieście wojewódzkim, a co najważniejsze – mieście blisko zachodniej granicy Polski. W momencie pisania tego pamiętnika mam 25 lat, jestem więc młodą osobą, aktualnie mieszkam z dala od Polski, w południowo-zachodniej Francji, więc bez obaw mogę pisać i publikować moje wspomnienia. Bez obaw dotyczących ostracyzmu społecznego, ewentualnych gróźb, bez obaw również z uwagi na obecną sytuację społeczno-polityczną w kraju nad Wisłą, Kraju Kwitnącej Cebuli, jak to zwykło się mówić w moim otoczeniu. Nie etykietuję się, etykiety nie są mi do niczego potrzebne i o ile z jednej strony pozwalają się określić, o tyle z drugiej tworzą grupy, podgrupy, podziały i rozłamy w społeczności. Jednak jestem gdzieś pośród queeru, gdzieś pośród LGBT+. Gdzieś w tym plusie.

Wczesne dzieciństwo

Z mojego wczesnego dzieciństwa pamiętam dość niewiele, wiem, że byłam cichym i spokojnym dzieckiem, takim, któremu jak da się kredki, kolorowanki, lalki, misie, samochody – zajmie się sobą w ciszy, trzeba tylko pamiętać o nakarmieniu. Wychowywała mnie jedynie matka, która z tak zwanym ojcem rozwiodła się tuż po moich narodzinach, zaledwie po paru miesiącach małżeństwa wymuszonego ciążą z wpadki. Tak zwanego ojca się bałam, mimo że praktycznie nigdy go nie widziałam, poza przyjęciem w nocy z ochroniarzami i groźbami. Miałam wówczas 3 lub 4 latka. W dorosłym życiu mamusia uraczyła mnie opowieścią, że „powstałam” w momencie, jak się rozstawali i poszła w sumie oddać klucze, ale w sumie jeszcze raz się ze sobą przespali. Pamiętajcie, że mówimy o połowie lat 90., więc kontekst dużego miasta wojewódzkiego ma niewiele do rzeczy.

Moja matka większość mojego dzieciństwa nie pracowała, sporo opiekowała się mną babcia mieszkająca na tym samym osiedlu. Mieszkałam w typowym, szarym bloku z płyty (który na początku lat 2000 ocieplono i przemaalowano na różowy!), miałam jeden pokój z mamą. Mieszkania, w którym mieszkałam z matką, nigdy nie uważałam za swój dom. Czułam się tam obco, nieswojo, lękliwie. Należało ono do mojego tak zwanego ojca, ale mieszkaliśmy tam decyzją sądu czy jakoś tak. Całe dzieciństwo słyszałam, że niedługo się wyprowadzimy stamtąd i żyłam tymi nadziejami. Marzyłam o własnym domu, o własnym pokoju, który byłby kolorowy z przewagą różu. Często wyobrażałam sobie, że mieszkam w ogromnym domu, jakby pałacu znanego z bajek, gdzie mam swoje piętrowe łóżko, z którego mam zjeżdżalnię na dół, gdzie z każdego piętra można zjechać zjeżdżalnią, gdzie mam basen, ogród. Gdzie jestem u siebie, czuję się bezpiecznie. Co urodziny przy zdmuchiowaniu świeczek marzyłam o domu. O ile w tym mieszkaniu zatapiałam się w marzeniach oraz rysowałam, o tyle u babci czułam większą swobodę i bezpieczeństwo, robiliśmy teatrzyki, szyłyśmy lalki, ubrania dla nich i inne rzeczy. Zabawki były po prostu dla dzieci, nie było tego ścisłego, genderowego podziału na chłopięce i dziewczęce, toteż miałam zarówno lalki Barbie, jak i samochody, którym robiłam wyścigi. Nigdy nie chciałam „jak mama” malować się czy też przebierać w jej ubrania, jak często robią małe dziewczynki. Chociaż malowanie paznokci na wakacje podobało mi się, było poniekąd ich symbolem.

Niestety relacja między moją matką a jej matką, czyli właśnie moją babcią, była od zawsze napięta i trudna. Od zawsze pamiętam kłótnie i wyzwiska, inicjowane przez moją matkę, kobietę o bardzo trudnym charakterze, byłam wpłytywana w różne gry, gdzie na przykład moja matka miała w planach iść na dyskotekę, a ja nagle o 21 miałam mówić babci, że jestem strasznie śpiąca i zmęczona i chyba muszę u niej zostać na noc. Byłam nocnym markiem, więc ja i spanie o 21 nie szło w parze. Choć z drugiej strony babcia się mnie pytała na przykład, co robi mama. Babcia jest osobą bardzo łagodną, ciepłą, pełną miłości, niekłótniwą, chętnie się mną zajmowała, ale chyba czasem chciała moją matkę sprowadzić na ziemię. Każdy w sumie chce mieć swoje życie. Dziadek w tamtym czasie pracował jako budowlaniec, w sumie nic dziwnego, skoro dziadkiem został w wieku 48 lat. Najczęściej wracał po południu, ale bywały okresy, że nie było go tygodniami, kiedy to jeździł na budowy do Niemiec, Norwegii czy gdzie tam jeszcze. Dziadek zawsze zabierał mnie na spacer do pobliskich terenów leśno-działkowych (tak je nazwijmy; w okolicach Osiedla Arkońskiego sporo tego było) i zbieraliśmy poziomki, jagody, jabłka i co tam jeszcze się dało. Poza tym był jeszcze wujek, młodszy brat mojej mamy, który z babcią i dziadkiem mieszkał jakoś do połowy/końca mojej podstawówki. Pracował naprzeciwko domu, czasem zabierał mnie na zakupy, żebym mogła sobie wybrać jakieś ubrania, gdyż najczęściej chodziłam w ubraniach po kuzynce (nie narzekałam). Poza tym miał komputer, więc czasem bawiliśmy się w didżejów jakimś programem oraz rysowałam w programie Paint. Jako dziecko nie miałam znajomych w moim wieku, stąd większość czasu spędzałam właśnie sama, pod opieką wspomnianych tu dorosłych. Bałam wychodzić się sama

na podwórko, byłam (wciąż jestem) nieśmiała, nie umiałam nawiązywać kontaktów z rówieśnikami. Dobrze bawiło mi się samej ze sobą, robiłam wspomniane już teatryki, odgrywałam komiksy z gazetki „Barbie”, robiłam wyścigi samochodowe, sporo rysowałam. A, no i grałam w piłkę nożną na play station u mojego wujka, choć moje pojmowanie jej było dość oryginalne, bo na przykład starałam się strzelić jak najwięcej samobójów. Gdy inne dzieci podchodziły do mnie i pytały się „Jak się nazywasz?”, to uciekałam, moja matka mówiła, że zachowuję się jak dzikus. Byłam typowym samotnikiem, pustelnikiem.

Pierwszy kontakt z informacją, że istnieje coś poza cisheteronormą, miałam już jako dziecko dzięki dość popularnemu serialowi „Seks w wielkim mieście”. Moja mama go oglądała, czasem oglądałam wraz z nią, a często był po prostu gdzieś w tle, gdy ja się bawiłam. Wbrew pozorom serial jest o przyjaźni, a nie o seksie, toteż moja matka nie zabraniała mi go oglądać czy gdzieś się chować. Jednym z bohaterów jest tam przyjaciel Carrie, Stanford, który jest gejem. Ponadto Samantha wchodzi w relację z jakąś dziewczyną. Tak oto dowiedziałam się o istnieniu różnych preferencji, pamiętam, że nie pytałam o nic, po prostu przyjąłam do wiadomości, że świat taki jest.

Z czasów dzieciństwa mam takie wspaniałe wspomnienia jak wyjazdy z Polski. Szczecin od granicy z Europą Zachodnią dzieli zaledwie kilka-kilkanaście kilometrów, jest swoistym oknem na Zachód. Moja matka szukała partnera zza Odry, toteż często jeździłam do Niemiec czy Holandii, głównie do Heerlen. Moja matka pokazała mi, że świat może być inny niż jest w Polsce. Uwielbiałam te wyjazdy, uwielbiałam te tygodnie spędzone w innym świecie, świecie kolorowym, przyjaznym, uśmiechniętym. Czułam się tam dobrze, bezpiecznie. Ogromna różnorodność – i nie chodzi mi tu o wybór słodczy czy żelków w osiedlowym sklepiku! Gdy chodziłam po mieście, widziałam tę wspaniałą różnorodność pośród ludzi – wiele odcieni kolorów skóry, różne stroje, różna ekspresja. Podobało mi się to, że świat jest taki bogaty i że można to pokazywać. Sklepy wystawiały swoje produkty przed lokale bez obaw o kradzież. Już wtedy czułam, że jest jakaś różnica między Polską a Europą Zachodnią, choć nie do końca umiałam to wyrazić, ubrać w myśli czy słowa.

Bliskość Szczecina do zachodniej granicy dawała też możliwość na częste wypadki do Niemiec, na jednodniowe wycieczki do Berlina, Poczdamu i innych miast. Pamiętam, że w telewizji pokazywali kiedyś słynną berlińską Love Parade – podobała mi się ta radość, żywiołowość, feeria barw, wówczas zapragnęłam wziąć w tym udział, mimo że nie wiedziałam, co to za rodzaj wydarzenia. Był kolorowy, jego tematyką była miłość i to mi wystarczyło.

Raz byłam na wycieczce we Francji, konkretnie w Paryżu i w Disneylandzie. Atmosfera francuskiej stolicy zachwyciła mnie, było w niej coś pociągającego, energetyzującego. Samo miasto bardzo urokliwe, gwarne, z niesamowitą dla mnie wieżą Eiffla. Lubię punkty widokowe, lubię patrzeć z góry na miasto, mieć je u stóp. To był moment, w którym zapragnęłam tam wrócić, zapragnęłam zamieszkać poza Polską, a najchętniej w haussmannowskiej kamienicy koło tego symbolu Paryża.

Podstawówka

Z początku poszłam do szkoły rok wcześniej, jako pięciolatka do zerówki dla dzieci w tym wieku. Moja matka zawsze uważała, że w Polsce dzieci zbyt późno idą do szkoły i marnują swój potencjał. Owo poczucie „niemarnowania potencjału” towarzyszyło mi przez wiele lat, praktycznie całe dotychczasowe życie. Był to moloch na Zakolu, gdzie były dzieci i młodzież od zerówki dla pięciolatek do końca gimnazjum. Nie podobało mi się w tej szkole, głównie z powodu niekompetentnej wychowawczynie, która z byle powodu na nas wrzeszczała, mówiła, że za karę się teraz nie bawimy czy też raz zamknęła mnie samą w sali, bo nie chciało jej się czekać, aż moja spóźniająca się matka mnie odbierze. Nie bywałam tam zbyt często, a jak już – bawiłam się sama. Pamiętam, jak raz jakiś chłopiec chciał mnie pocałować, uciekłam z płaczem. Do dziś nie rozumiem, dlaczego dorośli śmieją się z takich incydentów, banalizują je, nie podkreślają wagi obopólnej zgody nawet na coś, wydawać by się mogło błahego, jak pocałunek w policzek. W tej szkole rozpoczęłam pierwszą klasę podstawówki jako sześciolatka, jednak z powodu ciągłego stresu wkrótce przestałam tam chodzić i poszłam potem wraz z moim rocznikiem do innej szkoły, wówczas 64 na Rayskiego. Zanim to nastąpiło, miało miejsce pasowanie na pierwszaka, podczas którego, w ramach elementu edukacyjnego, postanowiono przedstawić dzieciom ważne numery alarmowe – do policji, pogotowia i straży pożarnej. Chłopcom dano wybór – strażak czy policjant – dziewczynki musiały być pielęgniarkami, nie było mowy ani o wyborze, ani o rezygnacji. Pamiętam, że bardzo mnie to zabolowało – automatyczne przypisanie do czegoś, co mi nie odpowiada. W ramach protestu nie powiedziałam mojej kwestii, ale chyba nikt nie zauważył, gdyż była wypowiedziana grupowo. Więcej z tej szkoły nie pamiętam, nie żałuję, nie obiecuję poprawy. Za to w kolejnej, nr 64, było o wiele lepiej. Nawet miałam tam koleżanki i kolegów.

Na początku podstawówki, gdzie dzieci często identyfikują się jako bohaterowie ulubionych bajek, często dziewczynki jako księżniczki z bajek Disneya, chłopcy jako jacyś wojownicy, ja nie identyfikowałam się z żadną postacią. Nie lubiłam tych przesłodzonych bajek z księżniczkami, nie lubiłam tych historii miłosnych, każda podobna do innej, gdzie zawsze jest biedna białogłowa i z opresji ratuje ją książę z bajki. Wolałam oglądać „Toma i Jerry’ego”, „Chojraka”, „Flinstonów” czy „Johnny’ego Bravo”. Koleżanki wówczas marzyły o książkach z bajki, o ślubach i białych sukniach, a ja nie. Zarzekałam się, że nie wezmę nigdy ślubu. Myślę, że z tym wieku nie znałam wielu pojęć, ale już czułam, że nie pasuję do świata, że jestem trochę inna. Skoro wszystkie koleżanki o tym marzą, a ja nie, to coś jest na rzeczy. Ja chciałam zostać piosenkarką, malarką, artystką. Zawsze byłam wrażliwa na cierpienie zwierząt, więc jako dziecko widziałam się jako weterynarz, który ratuje zwierzęta, głaska je, uzdrawia. Potem się dowiedziałam, że ta praca wygląda trochę inaczej, a że ja mdleję na pobraniach krwi i jest mi niedobrze, jak widzę jakieś rany, to zarzuciłam ten pomysł. Ale artystką chciałam być nadal.

Uczennicą byłam cichą, spokojną, pilną. Lubiłam szkołę przez całą edukację. Zawsze dobre oceny, odrobione zadania domowe. Każdą lekcję oddzielałam od innych szlaczkami. Mój zeszyt był na tyle kolorowy, że pani Lucynka, wychowawczyni klas 1-3, zwróciła mi kiedyś uwagę, że mam pięknie prowadzony zeszyt, ale trochę zbyt kolorowy. Mimo całej mojej sympatii do pani Lucynki nie rozumiałam tego. Z perspektywy czasu mam wrażenie, że Polacy i Polki uwielbiają szarość, monotonię barw. Szare budynki, szare niebo, stonowane ubrania. Ja od zawsze uwielbiałam kolory, ubierałam się najbardziej kolorowo jak było to możliwe, uwielbiałam tęczowe ubrania i dodatki, uwielbiałam wzory. Jeśli, droga osobo czytająca, kojarzysz pstrokato ubraną osobę, to mogłam być ja! Poza tym często nakładałam wszystkie naszyjniki i bransoletki, jakie miałam. Pierścionków nie lubiłam i dalej nie lubię, a uszy przekłułam dopiero po I Komunii Świętej, ale w podstawówce nie można było nosić kolczyków W OGÓLE, mając wkręcane był to przejaw buntu. Ta szkoła była całkiem sympatyczna pod względem uczących mnie nauczycieli, tylko dyrekcja, rada rodziców czy jaki tam czort, który wprowadził te zakazy i mundurki na długo przed obowiązkiem mundurków, który na szczęście trwał tylko rok i przypadał akurat na szóstą klasę. Mundurki traktowałam jako atak na moją osobistą wolność, jako zakaz samoekspresji, jako zszarzenie świata, zabicie różnorodności, koloru. Co prawda wówczas mówiłam, że nie podobają mi się i są brzydkie, ale to pewnie kwestia dojrzałości, znajomości pojęć i otaczającego świata, w tym wieku dopiero zaczyna się poznawać wiele rzeczy. Zaskakiwało mnie, jak ludzie akceptowali nakaz mundurków, że im to nie przeszkadzało. Ja znowu czułam się przypisywana do jakiejś grupy.

Na początku jakoś dogadywałam się z innymi uczniami i uczennicami, ale szybko zauważyłam, że mam trudność w utrzymaniu relacji. Tworzyły się pary/grupy przyjaciółek, a ja nie miałam takiej swojej najlepszej przyjaciółki. Chłopcy trzymali się tylko ze sobą. W efekcie najczęściej siedziałam sama w ławce, co jakiś czas dosiadał się do mnie jakiś kolega czy koleżanka, bo moje zajęcze serce dawało ściągać i odpisywać. Matka mi powtarzała, że tak jest, bo jestem zdolna i kujonem, przedstawiała te cechy w pozytywnym świetle, zaznaczając, że takich ludzi nikt nie lubi z zazdrości, zawiści. Wzrastałam więc w poczuciu wyjątkowości i inności, myśląc, że podstawą tego jest tylko i wyłącznie moja zdolność do przyswajania szkolnej wiedzy.

Na początku lat 2000 nie było jeszcze tej atmosfery „szatańskich i pogańskich obrządków”, toteż w pierwszej klasie pani Lucynka zorganizowała nam zabawy andrzejkowe – nic nadzwyczajnego. Pamiętam, że wszyscy się cieszyli i ekscytowali, licytowali, kto szybciej weźmie ślub, w koledze/koleżance z klasy upatrywali przyszłego męża lub przyszłą żonę na podstawie przebitego imienia. A ja? Gdy była ta zabawa z ustawianiem butów w kolejce i przenoszeniem ich z tyłu na przód aż do momentu, gdy jakiś przekroczy próg, a jego właściciel(ka) jest osobą pierwszą w kolejce do ślubu, popłakałam się, wpadłam w histerię i odmówiłam udziału w zabawie. Nie zostało to uszanowane, więc pani wychowawczyni sama przestawiała mojego buta. Zrozumiałam, że mój sprzeciw nie jest brany pod uwagę, więc zapłakana,

niezainteresowana i bierna brałam udział w kolejnych. W laniu wosku wyszły jakieś mazy, już nawet nie pamiętam jakie. Przy przebijaniu szpilką serca, gdzie z drugiej strony były wypisane imiona (oczywiście dziewczynki przebijały to z imionami chłopców i vice versa), wbiłam je bezemocjonalnie byle gdzie, nawet nie wiem, co i czy przebiłam, nie interesowało mnie to, chciałam, żeby ten dzień zakończył się jak najszybciej. Ani inne dzieci, ani dorośli nie rozumieli mojej reakcji, ale czy naprawdę było tak trudno uszanować czyjąś niechęć do brania udziału w zabawie? Jeśli czyta to jakaś osoba pracująca w szkole, mam do Ciebie prośbę – jeśli ktoś nie chce brać udziału, uszanuj to! Zapytaj, dlaczego, ale nie wiem, czy siedmioletnie dziecko będzie w stanie powiedzieć coś więcej niż „Nie chcę”, „Nie podoba mi się”.

Kolejna trauma z czasów szkolnych – Walentynki. Osobiście do dziś nie lubię tego święta i go nie obchodzę, mimo że jestem w związku. Jest ono czysto konsumpcyjne, kocha się kogoś cały czas, a nie jeden dzień w roku. Wyznac uczucia też można zawsze. W Walentynki jest to dość banalne. Otóż w Walentynki chyba w każdej szkole działa poczta walentynkowa. Możesz wrzucić swój liścik, a potem w trakcie lekcji przychodzą listonosze i rozdają. Zawsze się bałam, że ktoś mi to wyśle, jednocześnie czując się wykluczona, gdy dostawali wszyscy poza mną i kilkoma uczniami wykluczonymi z powodu ich niedostatecznej higieny (tak było w przypadku mojej klasy, ale jakiś podział na grupy, żeby była ta wykluczona, jest wszędzie, kryteria mogą się zmieniać), mieszanka myśli i odczuć trudna dla dziecka, w wieku nastoletnim zdystansowałam się. Pamiętam to pobudzenie, zainteresowanie innych, kim był autor liściku, który dostała koleżanka, licytacja, kto ma największe powodzenie (bo przecież niektórzy dostawali po kilka).

W szkole było jednak coś wspaniałego – od początku angażowałam się w teatrzyk szkolny, nasz się nazywał „Zielony Gaik”. Uwielbiałam wcielać się w przeróżne role – być zającem? Pewnie! Babcią Balbiną? Jak najbardziej! Zapragnęłam wówczas zostać aktorką i to marzenie towarzyszyło mi długo. Teatr odgrywał też inną rolę dla mnie – był swoistym sposobem na życie. Już od wczesnego dzieciństwa, co zresztą już wspomniałam, byłam czasem zmuszona odgrywać coś i niekoniecznie była to tylko zabawa. Pomyślałam, że może na tym polega życie – na odgrywaniu różnych ról. Z biegiem lat coraz bardziej wcielałam to w życie, najbardziej w czasach nastoletnich, o czym, droga osobo czytająca, dowiesz się później.

Szkola jest też tym miejscem, gdzie po raz pierwszy przypisują Cię do grupy „dziewczynki” lub „chłopcy”, gdzie świętuje się Dzień Kobiet i Dzień Chłopaka. W moim domu się ich nie obchodziło, więc pierwszy raz się z nimi spotkałam właśnie w szkole. Abstrahując od tożsamości płciowej, obchodzenie Dnia Kobiet w wieku 7 czy 8 lat jest konfundujące. Poza tym widzę tu pewną nierówność – za pojęciem „kobieta” kryje się osoba dorosła, dojrzała, a chłopak – młodzik, lekkoduch. Nie ma Dnia Mężczyzn i Dnia Kobiet, nie ma też Dnia Chłopaka i Dnia Dziewczyn, jest Kobiety i Chłopaka. Utrwalamy stereotyp, że przedstawiciel płci męskiej jest niedojrzały, może być lekkoduchem, wewnątrz dzieckiem czy nastolatkiem, za to przedstawiciel płci żeńskiej ma być poważny, dojrzały, dorosły. Dajemy dzieciakom nie tylko pakiet

genderowy (w końcu w szkole było się albo chłopakiem, albo dziewczyną), ale też dodatkowy bagaż stereotypów związanych z płcią. Ponadto dziewczynki mają być grzeczne i posłuszne, mają lubić dzieci i chcieć ich w przyszłości, mają interesować się modą i urodą. Chłopcy zaś mogą psocić, dokuczać, interesować się sportem. Jak nie wpadasz w te stereotypy, to wypadasz ze społeczeństwa już na starcie. Tak było w moim przypadku. Może i byłam grzeczna i cicha, ale cała reszta mi nie pasowała i potrafiłam mówić o tym głośno, acz kulturalnie. Interesowałam się królikami, gdyż na początku podstawówki dostałam moją króliczkę Speedy. Zawsze słyszałam, że jeszcze zapragnę dzieci i męża, że przyjdzie czas na zainteresowanie chłopakami, a wraz z nim – wyglądem, sposobami na zwracanie uwagi płci przeciwnej. Kiedyś dostałam zestaw do malowania się, taki typowy dla dziewczynek. Co z nim zrobiłam? Oddałam mamie! Nigdy się nie malowałam, nie chciałam tego robić, a na pytania rodzieli, dlaczego, odpowiadałam że jak będę pracować w cyrku, to się będę malować. Inną moją bolączką było przyzwolenie dorosłych na dokuczanie chłopców, nazywane „końskimi zalotami”. Mnie to jakoś szczególnie nie dotknęło, ale niektóre koleżanki owszem i starałam się stawać w ich obronie. Byłam wzorową uczennicą, toteż nauczyciele dawali mi dyskretne uwagi, żeby tego nie robić. Nie można przecież nic publicznie zarzucać ideałowi do naśladowania, a jednak trzeba jakoś to zrobić. Nie rozumiałam tego, przecież jak ktoś jest niemiły, ciągnie za włosy, sznurek mundurka, zabiera rzeczy czy maże po czyimś zeszyście, to raczej trzeba go przywołać do pionu, a nie się uśmiechać. W ten oto sposób przekazujemy kolejnym pokoleniom, że „nie” wcale nie oznacza „nie” i że jednym wolno więcej, innym mniej z racji posiadanych chromosomów.

Począwszy od czwartej klasy zaczęłam dostrzegać coraz silniejszy podział na grupy dziewczynki-chłopcy. Nie potrafiłam się w nim odnaleźć, czułam się tak, jakbym była poza tymi grupami. Ludzie zaczęli odkrywać powoli, czym jest seks i fascynowało ich to, choć w tamtej epoce przybierało to formę śmiechów, no ale w tym wieku to dojrzałością się nie błyszczy. Mnie ten temat w ogóle nie interesował, wszelakie formy zbliżeń wydawały mi się obrzydliwe, ohydne, nie chciałam o nich słyszeć, myśleć, rozmawiać ani w przyszłości uprawiać. Nie rozumiałam tego żywego zainteresowania czymś, w moim mniemaniu, tak odstręczającym. Oczywiście w rozmowach szkolnych była jedyna, słuszna konfiguracja, czyli cisheteroseksualna kobieta i cisheteroseksualny mężczyzna. Odrzucało mnie nawet na myśl przytulenia się do kolegi, choć do koleżanek przytulałam się często, no ale wśród dzieci to nic dziwnego. Mimo zamiłowania do tańca (chodziłam nawet kilka lat do Ogniska Balletowego), unikałam szkolnych dyskotek z powodu pojawiających się tam utworów do tańczenia w parach (wiadomo jakich), niestety matka zmusiła mnie do pójścia na dwie klasowe dyskoteki. A że moją wychowawczynią była ekscentryczna, starej daty pani od muzyki, to puszczała nam walce i inne utwory do tańczenia w parze, nie było nawet żadnej Shakiry czy Madonny, mimo że przynieśliśmy płyty. Przesiedziałam całe te dwie dyskoteki na krześle w oczekiwaniu na odbiór przez matkę. Kilka koleżanek cieszyło się ogromnym powodzeniem w tańcach, inne nie, co powodowało

placz i smutek u tych drugich. Niestety mój smutek został znowu mylnie zinterpretowany jako spowodowany brakiem próśb do tańca, toteż pani wychowawczynie zachęciła chłopców do poproszenia tych dziewcząt, które siedzą. Towarzyszki krzesłowe się ucieszyły, ja się popłakałam i wybiegłam z sali, przesiedziałam jakiś czas na korytarzu, wróciłam do sali jakoś przed końcem dyskoteki. Potem już moja matka zaniechała zmuszania mnie i uznała, że jestem dziwna. Po pewnym czasie zaczęły się pojawiać pierwsze zauroczenia, koleżanki się zakochiwały, koledzy reagowali na takie insynuacje śmiechem, ale w Złoty Myślach¹ pisali tej czy owej koleżance, że ją kochają (niech pierwszy rzuci kamieniem ten, co nigdy nie czytał Złoty Myśli przy wpisywaniu się komuś!). Znowu pojawiło się niezrozumienie, nie wiedziałam, dlaczego koleżankom podoba się ten czy tamten chłopak, czemu wszystkie wzdychają do Karola czy Tomka. Dla mnie to byli koledzy z klasy, z którymi można było na luzie pogadać. Zaczęłam się zastanawiać, czy można sobie wmówić taki stan. Może to kwestia woli, może jak ktoś jest po prostu moim kolegą, to wystarczy chcieć, coś pomyśleć? Próbowałam, nie udało się. To samo tyczy się zauroczenia ulubionym aktorem czy piosenkarzem. Nigdy mi się to nie zdarzyło. Lubiłam twórczość, nie osobę, która była mi obca.

Koleżanki z niecierpliwością czekały na rosnące piersi, każda chwaliła się tym, że nosi już pierwszy stanik, licytowały się w rozmiarach. Moim marzeniem było, żeby mi nie urosły, to akurat się spełniło i jestem szczęśliwie płaska, wbrew zapewnieniom wielu dorosłych, w tym mojej matki, że mam przez to kompleksy. Nie miałam, nie mam pojęcia, co kieruje ludźmi, że chcą innym je wmawiać. Stanika nigdy nie nosiłam. Kiedyś jedna ciocia dała mi pierwszy stanik mojej kuzynki, która z niego już wyrosła. Wrzuciłam na tył szuflady i nigdy nie nałożyłam. Zaklejałam plastrami sutki, by mi nie wyszły, by nie były sterczące, podziałało na jednego. Modliłam się, żeby moja dziecięca, neutralna figura się nie zmieniła, żeby moje biodra nie urosły – to na szczęście również zostało wysłuchane. Każda też oczekiwała na moment „stania się kobietą”, czyli na pierwszy okres. Ja ciągle miałam nadzieję, że nigdy to nie nastąpi, niestety ta prośba nie została wysłuchana i pewnie jak większość posiadających macicę męczę się z tym od szóstej klasy. Koleżanki się chwaliły, ja to ukrywałam, one świętowały ten dzień, ja płakałam. Mama mi gratulowała, ja nie wiedziałam czego. Tego, że teraz co miesiąc będę cierpieć? Tego, że czuję się obrzydliwie? Tego, że jest to niespójne ze mną, obce? Okres w moim domu nie był tabu, nie ma to więc żadnego związku. Był traktowany jako naturalne zjawisko, neutralnie. Pojawiające się owłosienie nie przeszkadzało mi, dopóki matka mi nie powiedziała, że trzeba się golić,

1 Dla ludzi nie z mojego pokolenia: Złote Myśli to były zeszyty, w których na pierwszej stronie pisało się listę pytań i potem dawało znajomym, żeby odpowiedzieli na pytania, a kartkę z odpowiedziami włożyli do koperty. W założeniu kolejne osoby wpisujące miały tylko odpowiadać na pytania i dokładać swoją kartkę do koperty, odpowiedzi miały być do czytania tylko przez właściciela/właścicielkę Złoty Myśli, no ale wiadomo, że w ustronnym miejscu czytało się odpowiedzi poprzedników i poprzedniczek. Ja swoich nie miałam, bo nie wiedziałam, po co mi to, ale chętnie wpisywałam się innym.

bo jest to okropne, będę wyśmiewana przez wszystkich, dopóki nie zaszczepiła mi tej obsesji bycia gładką, bez włosów, zupełnie jak wyretuszowane modelki z reklamy depilatorów. Podobny przekaz był w popularnych w tamtym czasie czasopismach dla nastolatek typu „Bravo Girl” czy „Dziewczyna”, które kupowałam dla dodatków (jak już wspominałam, uwielbiam błyskotki). Tam również nie brakowało historii o tym, jak Krysia chciała iść na plażę i mama uratowała ją depilatorem, dzięki czemu mogła wyjść. Matka zaczęła mi zwracać uwagę, żebym nie chodziła z telefonem czy dokumentami w kieszeniach „jak chłopak”, ale żebym nosiła torebkę „jak dziewczyna”. Nie rozumiałam, dlaczego nie mogę robić czegoś w zgodzie ze sobą, a muszę w sprzeczności ze sobą, ale w zgodzie z przyjętymi normami. Zaczęłam traktować życie jako teatr – może mamy pewne role do odegrania? W taki sposób o wiele łatwiej było mi poradzić sobie z tym, co działo się wokół mnie począwszy od okresu dojrzewania. Otoczka wokół dojrzewania jest toksyczna.

Myślę, że w tamtym momencie zaczęłam coraz bardziej dostrzegać moją inność, którą z początku uważałam za coś nie w porządku, a w przypadku grup każda inność jest wykluczana, nawet jeśli jest to niezainteresowanie jakimś tematem. Zaczęłam coraz bardziej zatapiać się w lekturę. Czytałam wszystko, co wpadło w ręce – lektury szkolne, jakiś kryminał z kotem w roli głównej. Poza tym rozwijałam moje pasje twórcze i artystyczne – rysowałam, robiłam biżuterię, lepiłam z gliny na zajęciach w Pałacu Młodzieży. Zaczęłam być coraz bardziej z boku społeczności, ale nie przeszkadzało mi to, mogłam w spokoju czytać i rysować. Nikt mi nie dokuczał, bo może i byłam kujonem, ale dawałam odpisywać zadania domowe i ściągając, więc nikt z taką osobą zadierać nie chce, bo skąd potem weźmie zadania z polskiego czy matematyki? Pod koniec podstawówki pojawiało się coraz więcej konkursów, zachęcana przez rodzicielkę startowałam we wszystkim, co się dało, co dorzuciło cegiełkę do muru ja – społeczność szkolna. Chociaż przygotowania i konkurs z polskiego z elementami historii wspominam dobrze, sporo się nauczyłam, bardzo mnie to zainteresowało. Nie udało mi się zostać laureatką, jedynie finalistką, ale dzięki dobrze zdanym egzaminom wstępnym dostałam się do mojego gimnazjum marzeń – numer 42 z nowo otwartą klasą dwujęzyczną z językiem francuskim.

Gimnazjum

Pod koniec podstawówki wydawało mi się, że brak relacji z rówieśnikami jest spowodowany moją pasją do nauki, toteż logiczne dla mnie było, że jak pójdę do szkoły, gdzie są egzaminy wstępne, do szkoły dla kujonów, to lepiej się dogadam. Nie myliłam się. W ramach przygotowania już od stycznia poprzedzającego rozpoczęcie gimnazjum został zorganizowany kurs francuskiego, który nie zobowiązywał ani nie gwarantował dostania się do klasy, ale już można było co nieco poznać język i być może przyszyły ludzi z klasy. Do dziś żywo pamiętam, jak raz leżałam rano w łóżku, obudziwszy się przed budzikiem, akurat byłam sama, bo był to okres, gdy moja matka

pracowała, i wyobrażałam sobie, że jak skończę liceum, to wyjadę do Francji, będę artystką, częścią bohemy na Montmartre. To gimnazjum było dla mnie ogromną szansą.

Rzeczywiście nawiązałam relacje przyjacielskie, miałam nawet niewielką paczkę znajomych – Marysię, Daniela, Jacka i Anię – naszym „rytuałem” było wyjście na pizzę i potem spacer do Parku Kasprowicza. Gadaliśmy o życiu, o szkole, o naszych rodzinach, o planach, ogólnie o wszystkim. Było dużo śmiechu i pozytywnej energii, po raz pierwszy czułam, że mam przyjaciół. Dużo gadałam z Danielem, robiliśmy często projekty do szkoły. Kiedyś pojechałam mu pożyczyć zeszyty, mnie się wydawało, że przyjaciele tak robią, ale dorośli mają jakąś fiksjację na punkcie zauroczeń i randek, toteż moja matka wysunęła wniosek, że coś między nami jest. A ja po prostu miałam dobrego kumpla. Może ktoś kiedyś mi wytłumaczy, dlaczego pożyczenie zeszytu kole-dze, który był chory czy złamał rękę, w wieku lat 10 jest aktem przyjaźni, a w wieku 13 lat – aktem miłości? Zwłaszcza że moje notatki udostępniałam każdemu, kto chciał, trzeba się dzielić, tego nauczyła mnie babcia.

W dalszym ciągu lepiej dogadywało mi się z kolegami, choć koleżanki często mi się zwierzały i przychodziły po porady, również miłosne. Zawsze chętnie wysłuchi-wałam, pocieszałam dobrym słowem, starałam się znaleźć jakieś rozwiązanie. Dość oryginalnym pomysłem jest dawanie porad miłosnych bez własnego doświadczenia, ale wszyscy byli zadowoleni, może po prostu ludziom brakowało wysłuchania bez zarzucania o złamanym sercu osoby wysłuchującej i chłodnego spojrzenia na sprawę. Wciąż nie rozumiałam, dlaczego wszyscy się zakochują, dlaczego Iza co chwila ma inną miłość życia, dlaczego Iwona wzdycha do kolegi z osiedla, a niektórzy chłopcy czy dziewczyny mają wianuszek adoratorów/adoratorek wokół siebie, wszyscy w zgo-dzie z cisheteronormą. Nie rozumiałam, co to znaczy przystojny chłopak/mężczy-zna. Dalej nie wiem. Temat LGBT+ w ogóle się wtedy nie pojawiał, poza śmiechami z wyspy Lesbos przy okazji poznawania poezji Safony na języku polskim.

Mama, ciotki i wujkowie przy każdej okazji (najczęściej urodziny czy święta) pytali się mnie, czy mam już chłopaka, czy mi się jakiś podoba. Na moje przeczące odpowiedzi wszyscy byli zdziwieni, dopytywali „Nie podoba Ci się Daniel/Krzysiek/Tomek/...?! On jest taki przystojny, jakbym była w Twoim wieku...!”. Powtarzali, że jeszcze mi się zmieni, potem zaczęli uważać mnie za dziwadło. Moja mama często mówiła, że jestem niedotykańska, gdyż nie lubiłam, jak mnie za bardzo się dotykało czy przytulało, zawsze słyszałam „No a w dzieciństwie to taka przylepa byłaś!”. Potem zaś były insynuacje, że jak ja będę kiedyś w przyszłości miała chłopaka/męża/part-nera, to czy też będę taka niedotykańska, że jestem dziwna, nikt nie chce być z takim dziwadłem, choć z drugiej strony złotą myślą było „Każda potwora znajdzie swojego amatora”. Dość konfundujące, nieprzyjemne komentarze. Nie widziałam się wów-czas w żadnym związku, zaczęłam planować, że znajdę taką pracę, żeby co rok-dwa musieć zmieniać miejsce zamieszkania, wtedy zrzucę mój stan cywilny na pracę i ludzie jakoś to przyjmą do wiadomości. Albo pójdę do zakonu i będę miała święty spokój od tego całego gderania i spotkań. Zakonnicy przecież by się nie pytali, jak

u niej z kawalerami, czyż nie? O, a raz jedna ciocia na informację, że nie umiem gotować i nie chcę się nauczyć, zapytała zdziwiona, jak w takim razie znajdę męża i co on będzie jadł, na co odpowiedziałam, że nie szukam, a w razie co są restauracje. Ciocia miała wówczas około 40 lat, mieszkała chyba całe życie w Szczecinie. O wiele bardziej postępowe i mniej wtrącające się były siostry mojej babci. Przynajmniej miałam 3 lata starszą kuzynkę, dość kochliwą i często zmieniającą chłopaków, więc jak komuś brakowało życia, to mógł pogadać o jej związkach i chłopakach, a ja mogłam mieć spokój. Te pytania były jednym z powodów mojej niechęci do uczestnictwa w świętach, nawet jeśli chodziło o moje urodziny.

Moja matka miała jakąś okresową obsesję. Zaczęło się jakoś w 4-5 klasie podstawówki, kiedy to przed każdym wyjściem, nawet godzinnym obiedzie u babci, kazała mi brać ze sobą podpaski. Nie cierpiałam ich nosić, nie chciałam, żeby ktoś je zauważył. Nosilałam je jednak, nie chciałam się wyklócać. Potem, jak ten koszmar się zaczął, czyli zaczęłam miesiączkować, to każdy okres zapisywałam i kazała prowadzić mi kalendarzyk oraz zbierać je, sama pokazała mi swoją bogatą kolekcję. Po co był mi kalendarzyk – pojęcia nie mam, to nie ma sensu nawet z medycznego punktu widzenia, gdyż przez około 2 lata okres często jest nieregularny. Mój mimo upływu czasu dalej wskazywał nieregularności, więc moja hipochondryczna mama zaczęła ze mną biegać po lekarzach. I tu zaczyna się drugi akt dramatu. Musiałam chodzić do lekarzy dziecięcych, których z definicji jest mało, często jeden na województwo, więc nie można było ot tak sobie zmienić na innego, bo innego nie ma. Zaczęło się od ginekologa. Pani ginekolog na dzień dobry nawrzeszczała na mnie, że niedokładnie się myję (wizyta w połowie dnia, więc myłam się wieczorem dnia poprzedniego), oczywiście jak każdy chciała mi wmówić anoreksję – bo byłam chuda. Wszyscy lekarze w Polsce wmawiali mi anoreksję na podstawie mojej wagi i figury, to nic, że miałam taką urodę i że normalnie jadłam, co tam, że anoreksja jest chorobą psychiczną, a nie metaboliczną. Moja matka też z tym walczyła i mówiła, że normalnie jem, normalne porcje i zawsze taka byłam, to trochę uciszało lekarzy. Wróćmy do pani ginekolog. Zbadała mnie dość boleśnie, na siłę wkładała palce i jakieś ustrojstwa, po czym skwitowała, że okresu mieć nie będę, bo nie mam „Minimalnej wagi okresowej, która wynosi 45 kg” – ważyłam wtedy 10 kg mniej, a ta teoria była autorska tej pani. Wyszłam zapłakana, pani z rejestracji przeprosiła za panią doktor i powiedziała, że ona taka jest. Właściwa osoba na właściwym miejscu, nie ma co. Moja mama się nie poddawała w walce o mój regularny okres, więc odwiedzałam endokrynologów, reumatologów, gastrologów... Przy okazji znajdowano nieznaczące odchyły jakichś pomiarów, co przy tej ilości badań nie dziwi. Ogólnie do kogo nie szłam, każdy uważał, że powinnam przytyć, gdyż „Potem nie będziesz mogła zajść w ciążę i z płaczem przyjdiesz”. Gdy szłam w zaparte i mówiłam, że nie chcę mieć dzieci, to słyszałam „Każda tak mówi, a potem chce i jest płacz”. Tak więc w wieku 14 lat lekarze sugerowali mi, że moim jedynym marzeniem, celem i dążeniem jest rozmnażanie się i nie wiem, czego chcę od życia, skoro temu zaprzeczam. Czasem mam wrażenie, że w Polsce leczenie osób AFAB – ang. Assigned Female At Birth,

osoby o przypisanej płci żeńskiej przy urodzeniu – sprowadza się do zadbania o ich płodność. Ciekawe, że jak koleżanki z klasy deklarowały w tym okresie chęć posiadania potomstwa w przyszłości albo rozważania o ciąży (oczywiście za kilkanaście lat), to nikt się ich nie pytał, czy na pewno tego chcą. Nie muszę chyba dodawać, że całe te wycieczki po lekarzach, teksty o ciąży i dbanie o okres powodowało u mnie ogromny dyskomfort, chęć ucieczki stamtąd, jeszcze większe marzenie o tym, żeby okres zniknął raz na zawsze. Nie dość, że przeszkadzał mi sam fakt miesiączkowania, to jeszcze musiałam poruszać ten temat z innymi. Czułam się koszmarnie. Jak kiedyś przez kilka miesięcy nie miałam okresu, to czułam się szczęśliwa, a moja matka drażyła ten temat i szukała jakiegoś schorzenia. A może po prostu moja niechęć do okresu była na tyle silna, że go zatrzymała? Nie wiem. Lekarze ostatecznie nic nie znaleźli.

Moja mama była zawiedziona, że nie będzie ze mną chodzić na dyskoteki rwać chłopaków, że każde zakupy ubraniowe to dla mnie katonga, że nie chcę się malować, mimo że by mi pozwoliła. Podkreślała to często, dodając przy tym, że pewnie koleżanki by chciały i mamy im nie pozwalają. Często zabierała mnie tam, gdzie szła sama – na koncert, do kina. Lubiałam chodzić do kina, ale część z tych wyjść była nie w moim guście, nie miałam ochoty iść na koncert wykonawcy, którego nawet nie znałam, ale sprzeciwy wiązały się z jej fochami i argumentami: „Nie doceniasz, ja dla Ciebie żyły wypruwam, inni by chcieli mieć taką mamę!”, więc chodziłam bez słówka komentarza. Była też chyba zawiedziona, że nie przedstawiam jej żadnego chłopaka, choć często podkreślała, że jakbym miała, to nie muszę się kryć i mogę jej opowiadać o pocałunkach, na co ja stwierdzałam, że nie planuję takiej wymiany śliny. Miałam pełno pryszczu, przyjąłam do wiadomości moją brzydotę, moją pooraną twarz. Nie chciało mi się nic z tym robić, nie chciałam iść do kosmetyczki, by cierpieć dla wykreowanych sztucznie ram estetyki i piękna. Wyglądowo stosowałam swego rodzaju tumiwizizm, moim stylem było „co z szafy wypadnie”, do którego skrupulatnie, acz szybko dobierałam biżuterię, którą sama robiłam. Większość ubrań miałam albo po kuzynce, albo w prezencie na urodziny czy święta, albo zakupione przez mamę, czasem brałam coś z jej szafy i na przykład zakładałam kilka rozmiarów za duży sweter jako sukienkę, a spódnicę spinałam agrafką. Chyba minimum normy trzymałam dzięki chodzeniu w butach na obcasach.

Moja mama kupowała wiele czasopism dla kobiet i kiedyś w jednym z nich natrafiłam na artykuł o „białych małżeństwach”. Nie było tam napisane wprost o aseksualizmie, niemniej zaczęłam się zastanawiać, czy mnie to też nie dotyczy i doszłam do wniosku, że tak. Poczulałam ulgę, że są tacy ludzie jak ja i że można tak żyć. Poczulałam ulgę, że niechęć do seksu jako takiego, brak zainteresowania tym tematem, brak pociągu do innych osób nie jest nienormalny. W artykule osoby opisywane wspominały, że spotykają się z ostracyzmem, z wytykaniem palcami, z insynuacjami, że pewnie coś im się nie powiodło w życiu erotycznym, co nie przeszkadzało mi, już przywykłam do mojej łatki dziwaka. Z tego też powodu nie podzieliłam się z nikim tym odkryciem. Nie szukałam też więcej na temat aseksualności, gdyż większość

czasu przed komputerem, który zagościł w domu w czwartej klasie, spędzała moja mama, z pasją oddając się dyskusjom na forach i różnych portalach. Moje korzystanie z komputera było ograniczone do odrabiania lekcji czy do pisania ze znajomymi poprzez popularne wtedy Gadu-Gadu, przez fakt mieszkania w jednym pokoju niestety najczęściej miało to miejsce pod jej okiem, często też ona pisała za mnie do innych. Moją intymną przestrzeń miałam więc tam, gdzie nikt nie ma wglądu – w moich myślach.

Powodowana ambicjami mamy, zaczęłam chodzić na kółko chemiczne i angażować się w uczestnictwo w konkursach. Odbiło się to na moim życiu społecznym, gdyż przez wzgląd na ilość nauki i czas poświęcony przygotowaniom zarówno w domu, jak i w szkole (na czas przygotowywań do konkursów osoby biorące udział były zwalniane), moje relacje z moimi dotychczasowymi przyjaciółmi zaczęły się luzować, niektóre powoli rozpadać, zaczęłam powoli wypadać ze społeczeństwa. Każdą wolną chwilę poświęcałam nauce, nie było więc czasu na poznawanie siebie, na rozwijanie innych aspektów, nawet na zainteresowania. Przestałam uczestniczyć w zajęciach plastycznych z braku czasu. Byłam pracowita, potrafię przyswoić na pamięć dowolną ilość wiedzy, więc odnosiłam sukcesy w konkursach. Moja mama była zadowolona, byłam wysyłana na więcej konkursów, więc spędzałam coraz mniej czasu z moimi rówieśnikami. Zacieśniła się wtedy moja więź z koleżanką z klasy, Agatką, która również była wykluczona ze społeczeństwa ze względu na swoje pasje zoologiczne, botaniczne i muzyczne, ze względu na życie w swoim świecie. Rozumiałam jej żywe zainteresowanie chomikami, gdyż sama jak najęta potrafiłam gadać o królikach i między innymi z tego byłam znana w podstawówce. Do maili z lekcjami coraz częściej dochodziły maile z rozważaniami o świecie, z recenzjami i rozmowami o książkach, z wymianą poglądów, spostrzeżeń. Gdy wracałam na lekcje, spędzałam z nią sporo czasu i się zaprzyjaźniłyśmy. Ta przyjaźń trwa do dziś i jest dla mnie niezwykle ważna. Pozwoliła mi dostrzec, że potrafię wchodzić w jakieś relacje z ludźmi.

W pierwszej gimnazjum chodziłam jeszcze na religię, gdyż prowadził ją sympatyczny, młody diakon. Śpiewaliśmy piosenki, opowiadał nam trochę o życiu księży, o święceniach. Wtedy (rok szkolny 2008/2009) nie było boomu na LGBT+ i aborcję jak obecnie, był za to na sekty i egzorcyzmy, więc kiedyś puścił nam jakiś filmik, który był bardziej zabawny niż przerażający. Większość czasu pytał się nas, kim chcielibyśmy zostać w przyszłości, pozwalał nam robić zajęcia o subkulturach, na których dyskutowaliśmy. Raz było nawet o satanistach. Ogólnie religia to były takie luźne zajęcia, gdzie można było odrobić zapomniane lekcje, powtórzyć coś na sprawdzian czy obejrzeć jakiś film. Do tego podnosiło to średnią, bo wszyscy mieli 5 lub 6. Potem go wyświęcili i przenieśli na drugi koniec miasta, więc od drugiej klasy była starsza pani katechetka, a zarazem katolicki seksuolog. Już po paru zajęciach zrezygnowałam, była dość przerażająca, miała jakąś negatywną energię. Do tego religię traktowała jako pełnoprawny przedmiot, a nie chciało mi się dokładać biblioznawstwa do sporej już ilości nauki, więc wypisałam się. To nie było nic dziwnego w tej szkole, bo na religię nie chodziło też kilka innych osób – czy to z powodu ateizmu, innej

wiary czy braku chęci. Potem tylko klasa dzieliła się smaczkami. Raz była dyskusja o homoseksualizmie i padały jakieś negatywne zdania, na co Daniel zapytał się, jak to się ma do właśnie przeczytanego tekstu o szacunku do drugiego człowieka – pani uznała, że nie ma czasu na takie dyskusje i kończy temat. Innym razem padło pytanie o stanowisko Kościoła w przypadku, gdy życie osoby w ciąży jest zagrożone właśnie przez ciążę i kogo wtedy należy ratować – dorosłą osobę czy niesamodzielny płód? Również pani zakończyła temat i przeszła do kolejnego. Uczyła moją klasę też w liceum i wtedy włączył się jej tryb edukacji do życia w rodzinie, ale nikt nie wziął tego na poważnie. Kartki, gdzie były powinności męża wobec żony i żony wobec męża wywołały śmiech. Pokazała mi je Agatka i również nie mogłam przestać się śmiać. Były tam wypisane takie kwiatki jak „Żona powinna przynieść mężowi kapię po powrocie do domu” czy „Mąż po powrocie do domu powinien pogłaskać żonę, winien głaskać ją co najmniej 2 razy dziennie”. Agatka uznała, że więcej to ona swojego psa głaska. Nie wiem, czy ta pani myślała, że ktoś weźmie to na poważnie, ale było sporo lekcji na takie tematy.

Kurs angielskiego

Od początku gimnazjum jeden miesiąc wakacji spędzałam w Empiku na intensywnym kursie języka angielskiego, gdyż moja mama kładła nacisk na naukę tego języka, a mojej klasie przypadła niezbyt wymagająca nauczycielka. Po trzeciej klasie gimnazjum było wiadomo, że w liceum będzie inna, gdyż ta pani brała mniej zaawansowane klasy licealne, a ja wybierałam się do klasy przyrodniczej, która miała międzywydziałowy angielski. Zamierzałam pójść na hiszpański. Przeznaczenie sprawiło, że grupa nie zebrała się, toteż zaproponowano mi kurs angielskiego w warunkach prawie indywidualnych, bo była tam zapisana jedna osoba. Pierwszego dnia weszłam do sali przed zajęciami, przygotowałam się, czekałam na rozpoczęcie zajęć. I wtedy zobaczyłam ją – najbardziej zjawiskową osobę. Bił z niej ogromny urok, miała czarujący uśmiech, czarny top i dżinsową miniówkę. Przykuła moją uwagę, aura wokół niej była energetyzująca. Pamiętam, że wtedy chciała otworzyć butelkę wody i wstała, by pójść na skraj sali, gdyż na poprzednich zajęciach był mały wypadek i zawartość butelki skończyła na stole i ubraniach, ach te gazowane napoje! Na tych zajęciach byli jeszcze jacyś ludzie, którzy więcej się nie pojawili (poza prowadzącym rzecz jasna!). Od następnego dnia jeździłam do Empiku wcześniej, byłam tak po 16, mimo że zajęcia były na 17, z cichą nadzieją, że Kasia też będzie wcześniej. Tak też było. Nie wiedziałam, co wtedy popychało mnie do tego, ale czułam, że muszę. Szybko się okazało, że trochę nas łączy – oboje startowaliśmy w konkursach z chemii. Różnic było więcej – ja wyglądałam jak mały hipis, ona – metalówka. Jestem młodsza o rok, dopiero we wrześniu miałam iść do liceum, a Kasia właśnie skończyła pierwszą klasę w słynącym z klasy bio-chem-fiz i chemii II LO. Słuchałam starego rocka, indie rocka, nie znałam zespołów metalowych, Iron Maiden nie znałam w ogóle, ale

z bliżej mi nieznanego, nieracjonalnego powodu po odsłuchaniu jakiegoś utworu powiedziałam, że znam, mimo że brzmiało mi to na totalne trzaski. Kasia była w Bractwie Małych Stópek², ja myślałam, że to jakaś nieformalna grupa ludzi lubiących czy mających małe stopy. Ona była anti-choice, ja zaś – pro-choice. Świetnie nam się gadało, często byłam częstowana suszonymi jabłkami, które tak mi zasmakowały, że praktycznie zawsze je chrupaliśmy. Mimo różnic w niektórych poglądach nie sprzeczyliśmy się, wymienialiśmy się zdaniem, dyskutowaliśmy i szliśmy dalej. Same zajęcia miały niesamowicie szybko. Wymieniliśmy się numerami telefonów, Gadu-Gadu i kontami na Facebooku, przy czym zaznaczyłam, że nie korzystam zbytnio z tego ostatniego.

Moja mama zawsze szukała informacji na temat nowo poznanych ludzi, internet jej to umożliwiał. Już po kilku zajęciach wyszukała, że moja nowo poznana znajomość była „zaledwie” finalistką konkursu z chemii i że jej mama wykłada na ZUT. Znalazła też, do jakiego liceum uczęszcza, czym chciała mnie przekonać do zmiany liceum. Nie chciałam, wolałam wolność i luz w mojej szkole niż rywalizację w II LO.

Liceum

W 2011 poszłam do IX LO, przy którym mieściło się moje gimnazjum. Rok szkolny się zaczął, przyszedł czas na nową klasę. Jakoś zapamiętałam imiona, nie łudziłam się, że się zintegruję. Większość mojej poprzedniej klasy poszła do profilu francuskiego, do przyrodniczej poszło kilka osób, między innymi Daniel, więc miałam z kim spędzać przerwy i z kim siedzieć na zajęciach. Z racji konkursów z chemii od listopada do kwietnia praktycznie nie chodziłam na lekcje, całe dni spędzałam na zapleczu chemicznym, chodząc jedynie na sprawdziany i donosząc wypracowania. W kwietniu była przerwa wielkanocna i egzaminy gimnazjalne, w maju – majówka i matury. Łatwo policzyć, że mój kontakt z klasą był niewielki. Częściej też wolałam podejść pod salę klasy B i spędzić przerwę z Agatą. Z Kasią co jakiś czas pisałam smsy czy rozmawiałam przez telefon. Zaproponowałam jej pójście do kina na „Skóra, w której żyję” Pedro Almodóvara – uwielbiam tego reżysera! Film ten zahacza o transpłciowość, podobnie jak kultowe już „Złe wychowanie”. Emocjonalny, zaskakujący, z dozą tajemnicy wywarł na mnie ogromne wrażenie, choć też ta transpłciowość przeszła jakoś w tło, bokiem, mimo że to główny wątek! Kasia była nim lekko speszona, może przez wzgląd na swoje poszukiwania? „Złe wychowanie” widziałam kiedyś w dzieciństwie, może w gimnazjum. Też nie zarejestrowałam tej transpłciowości. Dopiero przy ponownym oglądaniu, zaledwie parę miesięcy temu, zrozumiałam ten film. W listopadzie na pierwszym etapie Olimpiady Chemicznej spotkaliśmy się ponownie, w końcu oboje startowaliśmy, wymieniliśmy zaledwie kilka zdań, tyle było czasu przed konkursem. Miesiąc później spotkaliśmy się na kolejnym konkursie. Tu mieliśmy więcej

2 Jakby ktoś nie wiedział – to grupa antyaborcyjna.

czasu na porozmawianie, choć zostałam przywitana tematem „okropne EMU-kapcie”, które były warunkiem uczestnictwa w konkursie z racji przeziębienia. Zaczęliśmy częściej wymieniać się smsami, czasem pisaliśmy na Gadu-Gadu (choć bywało, że moja matka pisała za mnie).

W końcu zostałam zaproszona na noc, tak po koleżeńsku. Wsiadłam w starego PKS-a, gdzie nawet nie wiedziałam, jak skasować bilet, gdyż kasownikiem był tam niepozorny dziurkacz. Przejechałam trasę niczym po rollercoasterze i gdy zobaczyłam znak Kościno, dałam znać, że chcę wysiąść. Wsiadłam, PKS odjeżdża, a ja po lewej widzę znak Dołuje, a po prawej – Kościno. Myślę sobie, że za wcześnie wysiadłam, moje połączenia zostają bez odbioru, więc idę przed siebie. Spytałam się napotkanej osoby, czy idę w dobrym kierunku, w czym zostałam utwierdzona. Idę po asfaltowej, dziurawej i zabloconej drodze, gdyż zima w Szczecinie i okolicach to błoto, plucha, śniegodeszcz, jak nazwałam ten specyficzny rodzaj opadów. Idę pod gęstymi drzewami, gdzie jest ciemno, mimo że jeszcze dzień. Widzę mojego PKS-a jak zawraca. No nic, idę dalej. Drzewa się kończą, pojawiają się popegeerowskie zabudowania. W końcu udaje mi się dodzwonić.

– Gdzie jesteś?

– No wysiadłam przy tym znaku i Cię nie było, wydawało mi się, że za wcześnie wysiadłam, więc poszłam dalej. Tu jest taki stary, niski i ceglany budynek...

– Poszłaś do starego Kościna!

– ???

– Musisz wrócić, spotkamy się po drodze.

No więc wracam, spotkaliśmy się po drodze. Okazało się, że dobrze wysiadłam, bo przystanek znajduje się zaledwie kilkaset metrów od domu, a mój gospodarz zapomniał telefonu z domu i dopiero na przystanku się zorientował. No ale dotarłam na miejsce. Siedzieliśmy sami cały dzień w domu, wyszliśmy na krótki spacer z psem. Pochłonęłam pół blachy ciasta i naleśniki. Do późna słuchaliśmy muzyki (w końcu posłuchałam Iron Maiden) i gadaliśmy, tematy nam się nie kończyły, czas gnał nieubłaganie. W końcu nastąpiła pora spania, zostałam ugoszczona w pokoju obok. Pamiętam, że rano zwróciłam uwagę na seksowny tyłek i biodra, które wydawały się poruszać w rytm muzyki, emanując tym samym czymś pociągającym i energetyzującym. Niestety nastąpił czas powrotu. Od tego momentu coraz więcej ze sobą rozmawialiśmy, ale napięty kalendarz konkursowy nie pozwalał mi na spotkania. Po raz pierwszy czułam, że jestem dla kogoś najlepszą przyjaciółką – i ja czułam to samo wobec tej osoby.

Po paru miesiącach ponowiłam wizytę, tym razem jednak byli obecni rodzice i młodsza siostra. Oczywiście pojechałam ubrana w kwiecistą bluzkę i to nie spodobało się rodzicom, o czym dowiedziałam się później. Podczas smażenia naleśników ojciec przepytiał mnie z sentencji po łacinie, a że byłam świeżo po sprawdzianach z łaciny w szkole, to akurat te znałam. Ale na znajomości modlitwy po łacinie odpadłam. Dość oryginalny i niespotykany sposób na zapoznanie się z nową przyjaciółką swojego dziecka. Od tego człowieka poczułam chłód, intuicja ostrzegła

mnie przed nim, radziła unikać, nie wchodzić w dyskusję. Jeszcze wtedy nie wiedziałam, przed czym mnie ostrzega. Dopiero potem dowiedziałam się, że rodzice należą do bardzo konserwatywnego, niekiedy uznawanego za sektę, Bractwa Świętego Piusa X. Na szczęście mogliśmy zamknąć się w pokoju i rozmawiać do woli, rozmowa szeptem trwała do późnych godzin nocnych, wręcz porannych. Pamiętam zwierzenia dotyczące kompleksów związanych z biodrami czy udami – wówczas myślałam, że to takie zwykłe, nastoletnie kompleksy. Pamiętam, że wcześniej wstałam i, nie chcąc nikogo budzić, usiadłam na krześle i podziwiałam piękno tej osoby, jak pięknie, spokojnie śpi. Bywałam tam jeszcze kilka razy, za każdym z nich jednocześnie chciałam uciec jak najszybciej z tego domu, epatował jakąś złą energią, jak i zostać jak najdłużej z tą osobą, do której przyjeżdżałam. Dla której tam przyjeżdżałam.

W trakcie rozmów odkrywałam, jak bardzo przeznaczenie nas ku sobie kierowało od najmłodszych lat. Jednym z moich pierwszych wspomnień z dzieciństwa jest to, gdy siedzę na zjeździe nad basenem kulkowym w KFC, podziwiam coś i nagle ktoś mnie z niej spycha. Jest to również wspomnienie Kasi, tyle że to ona była tą osobą, która mnie popchnęła. Inne przecięcie się ścieżek życia – gdy jeździłam na wakacje, powierzałam moją króliczkę pani ze sklepu zoologicznego. Speedy nie była zsocjalizowanym zwierzątkiem, była nieufna, potrafiła ugryźć. Do tego samego zoologicznego chodziła Kasia, Speedy dawała się jej głaskać, podchodziła sama. O podobieństwie nie ma mowy, gdyż byłam o wiele drobniejszej postury i miałam blond włosy, a ona – brązowe. Później mieszkaliśmy praktycznie obok siebie, dzieliło nas małe osiedle domków jednorodzinnych, ona często bywała tam na spacerze ze swoim psem, ja zaś nie wychodziłam na podwórko. Teraz pojawiła się ta chemia.

Nasze szkoły były oddalone od siebie 10 minutami spaceru, w tym 5 minut stania na światłach, i miały różnicę w dzwonekach 15 minut, toteż często byłam odbierana z lekcji lub przynajmniej odwiedzana na przerwie pomiędzy nimi. Ja zaś jeździłam na 8, nawet gdy miałam na 9, i spędzaliśmy ten czas razem w II LO, bo gdy tam dzwoniło na lekcje, ja wyruszałam i na spokojne zdążałam na swoje. Kasia nie lubiła co niektórych lekcji, więc czasem na nie nie szła i pisaliśmy usprawiedliwienia. Zawsze się ze mnie śmiała, że ja to taka grzeczna i nie wagaruję. Tak już miałam. To w jej szkole poznałam po raz pierwszy jakieś osoby LGBT+, a konkretnie dwóch gejów – Kamila i Janka. Nie byli parą, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Od poznania każdego z nich nastąpiło pewne, społeczne przełamanie we mnie – to byli ludzie, z którymi z łatwością nawiązywałam kontakt, czułam się bezpiecznie i w pełni wyluzowana. Nie miałam zbyt wielu okazji na spotkania z nimi, ale za każdym razem był to przyjemnie spędzony czas. Z cisheteronormą nie potrafiłam być tak wyluzowana, zawsze czułam się spięta, obca, choć nie wiedziałam dlaczego. Jest to coś ponad wiedzę o byciu lub niebyciu cisheteronormą, nawet jak nie wiedziałam tego z początku o innych poznanych osobach, nawet jak jeszcze nie do końca wiedziałam o sobie, to właśnie z osobami nieheteronormatywnymi łąpałam dobry kontakt. O dziwo poruszałam z nimi te same tematy, co z resztą społeczeństwa, wcale nie gadaliśmy o naszych preferencjach

seksualnych czy tożsamości, to były takie zwykłe, życiowe tematy jak szkoła, książki, filmy, dyskusje na temat wydarzeń dookoła nas.

Chemia była dobrym pretekstem do spędzania czasu razem. Z punktu widzenia mojej matki to była dobrze trafiona znajomość przez wzgląd na wspólne zainteresowania i możliwości wciśnięcia się w świat nauki. W wakacje 2012 kilka tygodni spędziliśmy razem na ZUT, gdzie realizowaliśmy, z pomocą doktorantki, projekt na konkurs. Dużo rzeczy robiło się samo, trzeba było czekać, co było okazją do siadania w kącie i rozmów. Doskonale się uzupełnialiśmy – ja nie lubiłam pracy w laboratorium, a Kasia owszem, więc to ona wykonywała większość brudnej roboty, ja notowałam. Pracę pisaliśmy wspólnie, choć część redakcyjna leżała po mojej stronie, ale lubię pisać i redagować, więc wykonałam to z przyjemnością. Pracę wysłaliśmy, a po pewnym czasie dostaliśmy informację, że została przyjęta. O wiele bardziej cieszyła mnie perspektywa kilku dni razem niż fakt awansu do finału.

W Szczecinie w sierpniu jest taka impreza, co się nazywa Pyromagic. W jeden weekend, wieczorami na Łasztowni są pokazy sztucznych ogni wraz z akompaniamentem muzycznym; przyciąga ona sporo ludzi. Po raz pierwszy szłam na nią bez matki, właśnie z Kasią, gdyż akurat miała wówczas urodziny. Spotkaliśmy się sporo wcześniej, zjedliśmy babeczki, pospacerowaliśmy i potem ruszyliśmy na poszukiwanie miejsca. Udało się je znaleźć na zboczu Wałów Chrobrego i usiedliśmy. Jestem zmarzluchem, więc dość szybko wieczorny chłód dał mi się we znaki. Mimo ogólnej awersji do bliskości i dotyku, Kasia przytuliła mnie i oboje siedzieliśmy pod jej kurtką. Było mi o wiele cieplej. Zaczęliśmy sobie żartować, że ktoś uzna nas za parę, że zrobi nam zdjęcie i będziemy okładką jakiegoś tęczowego czasopisma. Bawiło nas to. Wówczas jeszcze nie wiedzieliśmy pewnych rzeczy o sobie, ale może przeczuwaliśmy?

W liceum zaczęłam zaczytywać się w powieściach erotycznych, pierwszą z nich były „Zwrotnik Raka” i „Zwrotnik Koziorożca” Henry’ego Millera. Dalej poszły różne powieści Philipa Rotha, Anaïs Nin czy Michela Houellebecqa. Tego ostatniego przeczytałam większość powieści, choć po którejś opisy erotyczne powszechnieją, przejadają się. Ile można czytać o stosunkach seksualnych cisheteronormatywnej pary czy też o trójkątach, zwłaszcza że opisy te były dość naturalistyczne, suche, bez budowania intymności, bliskości, bez skupienia się na wewnętrznych przeżyciach. Miller nie porwał mnie, za to w powieściach Rotha zaczytywałam się nie ze względu na wątki erotyczne, ale przez niezwykle interesujące, wciągające historie o jego alter ego, Zuckermanie, i o żydowskim świątku w New Jersey. Dzięki niemu zafascynowałam się literaturą żydowską. U Nin pojawiały się wątki lesbijskie, jej twórczość była bardziej subtelna, delikatna, emocjonalna. Żadna z tych książek nie powodowała u mnie podniecenia, nie pobudzała wyobraźni do tworzenia własnych fantazji, czytałam to tak samo jak inne książki, pozbawione wątków erotycznych. Wzruszył mnie za to jeden film – „Córka botanika”. Niezwykle subtelna, emocjonalna historia o zakazanej miłości między dwiema dziewczynami, które – choć znały jej cenę – poddały się jej. Mimo że w tamtym okresie dalej uważałam się za osobę aseksualną, ten film mnie poru-

szyl do łez, co nie zdarzało się nigdy wcześniej i nie było spowodowane to jedynie zakończeniem filmu, a jego całością.

Bycie w klasie przyrodniczej męczyło mnie, nie lubiłam ani biologii, ani fizyki, dużo czasu musiałam poświęcać na naukę tego materiału, który przecież mogłam poświęcić na przygotowania do konkursów. Wykorzystałam to jako argument w rozmowie z mamą do przeniesienia się do klasy francuskiej, decyzję podjęłam w przededniu rozpoczęcia drugiej klasy. Rok szkolny rozpoczął się wycieczką klasową do Francji. Mimo powrotu do klasowej macierzy nie potrafiłam się ponownie zintegrować, wdroyć w życie klasy. Większość czasu wolnego spędzałam na samotnych spacerach i rozmowach w myślach. Miałam (i wciąż mam) wrażenie, że rozwinęliśmy jakiś rodzaj telepatii. Z powodu roamingu musieliśmy zawiesić nasze rozmowy i smsy. W trakcie wyjazdu często rozmawiałam w myślach, pragnęłam, żebyśmy byli tu razem. Po powrocie pojechałam do domu, przepakowałam walizkę i ruszyłam na dworzec, gdyż wybieraliśmy się razem, wraz z innymi szczecińskimi uczniami oraz moją nauczycielką od chemii, do Lublina na Ogólnopolskie Forum Młodych Chemików. Jechaliśmy kuszetką, było w niej przenikliwie zimno, co było pretekstem do przykrycia się jednym kocem i przytulenia. Wymagało to nie lada przełamania się, gdyż o ile ja byłam przytulaśną przylepą, o tyle Kasia stroniła od dotyku. Dojechaliśmy na miejsce i zgłosiliśmy się do jednego pokoju. W drugim były dwie inne dziewczyny, mieliśmy z nimi wspólną łazienkę i to by było na tyle kontaktu z nimi. Każdy, kto jechał kuszetką, wie, że nie da się w niej wyspać, toteż po przyjeździe położyliśmy się na drzemkę. Potem poszliśmy na pizzę, po drodze kupując sobie kolczyki-pacyfki – jedną parę zieloną, a jedną niebieską. Tej nocy poszliśmy spać do osobnych łóżek, ale na krótko. W środku nocy obudziło mnie zapalone światło, spojrzalam się, a Kasia właśnie zrobiła sobie herbatę, gdyż nie mogła spać. Powiedziałam, żeby kładła się ze mną i idziemy spać dalej, bo rano czeka nas pobudka. Tak też uczyniła, przytuliliśmy się, szybko zasnęłam. Kolejne noce spaliśmy razem, na drugim łóżku spał bałagan, czyli wszystkie nasze rzeczy. Pamiętam jak dziś, że pewnego poranka otworzyła oczy i na wprost ukazała mi się pierś, drobna, delikatna, subtelna, podkreślona promieniami porannego słońca. Poczulałam ciepło i zamknęłam oczy. Całe wykłady rozmawialiśmy ze sobą, pisząc na kartkach, w trakcie prezentacji plakatów również, gdyż publika tego wydarzenia niezbyt wykraczała poza innych uczestników, ich opiekunów i organizatorów. Wieczory spędzaliśmy zamknięci w pokoju na rozmowach, przyjacielskim przytulaniu się, kojeniu lęków dotyczących rodziców. Nie mieliśmy ochoty na alkoholową integrację z innymi. W drodze powrotnej jechaliśmy pociągiem dziennym, w przedziale byliśmy z panią nauczycielką z innej szkoły, która sprawiała wrażenie zakłopotanej. Otóż, przez większość czasu leżeliśmy na siedzeniach przytuleni do siebie. Do dziś pamiętam minę absolwentki z mojego liceum, która jechała tam towarzysko, gdy nas zobaczyła – szczęka jej opadła i mało się nie potknęła z wrażenia!

Już wkrótce mieliśmy okazję spędzić kolejną noc razem, tym razem u mojej babci. Szliśmy w niedzielę do teatru, PKS kończył swój serwis dość wcześnie, a Kasia

nie miała ochoty wracać do domu. Byłam już na czarnej liście jej rodziców, powiedziała więc, że spędza noc u kogoś innego. Ktoś mógłby zapytać, dlaczego nocleg u babci? Ano dlatego, że byłam świeżo po najeździe tak zwanego ojca, który dobił się do mieszkania, moja matka pojechała na weekend do ówczesnego chłopaka, a ja bałam się zostać sama w domu. Zresztą w moim domu był „wieczny remont” – był to argument przedstawiany znajomym jako wyjaśnienie, czemu nie mogą mnie odwiedzić. Tak naprawdę chodziło o dość specyficzne warunki lokalowe. Moja babcia nie miała z tym problemu, po teatrze przygotowała nam kolację i poszła z dziadkiem spać, a my do pokoju gościnnego. Babcia sama uznała, że będziemy spać razem w łóżku pod jedną kołdrą – czy była to jej babcina intuicja, czy po prostu doświadczenie, gdyż jako dziecko spała z siostrami w jednym łóżku i zawsze tak się nocowało u koleżanki. Kolejnego dnia dostaliśmy śniadanie, drugie śniadanie i pojechaliśmy do szkoły. Przy kolejnej wizycie babcia skomentowała „to kawał baby jest, a Ty taka drobna Anulka, dobrałabyś sobie jakąś drobniejszą koleżankę, bo wy razem jak Flip i Flap wyglądacie, jedna duża, druga mała. A to trzeba tak dobrze w witrynie wyglądać!”

Kolejną okazją do spędzenia nocy razem był Sylwester 2012. Rodzice i siostra Kasia jechali do jakichś znajomych, ona przekonała ich cudem, żebym mogła przyjść. Już wtedy mnie nie lubili, za co – pojęcia nie mam. Wydawać by się mogło, że grzeczna, pilna uczennica to idealna przyjaciółka dla dziecka według rodziców. Mniejsza o to. Matka przygotowała nam przekąski i pojechali. My spędziliśmy wieczór na rozmawianiu i oglądaniu filmów przytuleni na kanapie. Obejrzeliliśmy „Cząstki elementarne” i „Władców Móch”. Ten pierwszy film jest adaptacją książki o tym samym tytule, nie dorównuje jej jednak. O północy wyszliśmy pooglądać fajerwerki, po czym poszliśmy spać w jednym łóżku, dla bezpieczeństwa zamykając drzwi w pokoju i ustawiając budzik. Zasnęliśmy przytuleni, rano obudził nas telefon od rodziców, że wracają, więc w pośpiechu się ubraliśmy, pościeliliśmy łóżko i otworzyliśmy drzwi – słowem zrobiliśmy wszystko, by wyglądało to na przyjacielskie siedzenie na łóżku i rozmawianie. Udało się, nikt nas nie nakrył. To były nasze tajemnice, nikomu nie mówiliśmy o naszej bliskości.

W lutym mojej matce przestała się podobać nasza relacja, gdyż jej zdaniem przez to „zawaliłam olimpiadę”, czyli nie dostałam się do finału i tym przekreśliłam jej nadzieje na bycie trzykrotną laureatką. Zrobiła mi za to ogromną aferę, zabroniła mi spędzać tyle czasu na rozmowach z Kasią. Nie liczyło się to, że w innych konkursach miałam osiągnięcia, że nasza praca została przyjęta do finału. To było za mało. Już wtedy od jakiegoś czasu, chyba od końca gimnazjum, startowałam w konkursach dla mojej matki, za każdym razem modląc się, by mi się udało i by była zadowolona. Oczywiście dla mojej matki grałam rolę zadowolonej i zaangażowanej w konkursy. Niestety jej zdaniem zbyt wiele czasu poświęcałam na wysłuchiwanie i rozwiązywanie czyichś problemów, a za mało na naukę, mimo że zawsze wracałam od razu po lekcjach i siadałam do książek, weekendy spędzałam na kole chemicznym i w książkach. Kasia mogła swobodnie rozmawiać tylko na spacerze z psem, ja zaś byłam tej

możliwości trochę pozbawiona, gdyż mogłam rozmawiać z telefonu matki, a z powodu braku swojego pokoju – w kuchni, gdzie nie było drzwi. Inne drzwi niż wejściowe nie były zamykane, co ograniczało intymność. Prywatne rozmowy prowadziliśmy sms-ami, tych miałam nieograniczoną ilość. Z czasem zrobiłam użytek z Facebooka i część rozmów prowadziliśmy tamże. Popularne Gadu-Gadu nie było dostosowane do ówczesnego telefonu (to jeszcze nie czasy smartfonów!), za to Facebook był na niego dostępny. Tam przenieśliśmy najbardziej prywatne rozmowy. Nierzadko na Gadu-Gadu ustawiała status „niewidoczny” i pisała „dobranoc” by nie wzbudzać podejrzeń mojej matki, a rozmowa trwała w najlepsze na drugim kanale. Trudno rozmawiać, gdy obie strony są pozbawione prywatności lub gdy jest ona mocno ograniczona, ale daliśmy radę.

Wkrótce, bo w marcu, jednak mieliśmy trochę czasu dla siebie. Nawet wyrwany jeden dzień z powodu wspólnego wyjazdu na konkurs był niesamowity. Jednym z nich był wyjazd do Poznania na zaledwie jeden dzień. Potrafiłszy mieć głupawki z byle powodu, porozumiewaliśmy się spojrzzeniami. Z perspektywy czasu mam wrażenie, że moja nauczycielka od chemii dostrzegła, że coś pomiędzy nami jest. Kolejnym naszym wyjazdem był ten do Warszawy, mieliśmy tam zaprezentować przygotowaną w wakacje pracę. Moja matka wcisnęła się jako opiekun, na szczęście miała wówczas chłopaka w Warszawie, więc całe dni jej nie widywaliśmy, gdyż spędzała je wraz z nim. My mieliśmy te 3 dni dla siebie. Prezentacja szła nam gładko, wieczory spędzaliśmy w pokoju na przytulaniu się i rozmowach. Po raz pierwszy doceniłam przedziwne rozwiązanie zastosowane w Ibis Budget, czyli dwa pojedyncze łóżka złączone ze sobą – nie było wyjścia, by nie spać razem. Zarówno przed wyjazdem, jak i w trakcie, cały czas nachodziły mnie nieznanne mi dotąd marzenia – byśmy się pocałowali. Nie miałam za sobą takich doświadczeń, ale nie chciałam tego robić z powodu zyskania go, a po prostu – z powodu naszego uczucia i relacji. Nie byłam w stanie się odważyć ani na zasugerowanie, ani na – tym bardziej – sam pocałunek. W konkursie udało nam się zająć trzecie miejsce, z czym była związana nagroda pieniężna, której żadne z nas nie zobaczyło. Chociaż Kasia w pewnym stopniu tak, bo częściowo kupiła za to laptopa. Nie miała własnego konta, więc pieniądze poszły na to jej rodziców. Jeśli chodzi o mnie – miałam własne konto, ale to moja matka nim dysponowała. Po powrocie do Szczecina udzieliliśmy wywiadu lokalnej gazecie.³

Kwiecień i maj to czas, gdzie było sporo wolnego od szkoły z powodu egzaminów gimnazjalnych i maturalnych. Kasia przygotowywała się do swojej pod czujnym okiem rodziców, ja zaś ten czas spędziłam sama, gdyż moja matka wybyła do Warszawy. Miałam czas i przestrzeń dla siebie. Czułam rodzące się, rozkwitające we mnie uczucie. Zaczęło do mnie powoli docierać, że chyba jestem lesbijką, skoro podoba mi się dziewczyna i coś do niej czuję. Natrafiłam przypadkiem na przepiękny film – „Pocałuj mnie”. Opowiada on historię dwóch przyjaciółek, które

3 <https://szczecin.naszemiasto.pl/mlodzi-naukowcy-ze-szczecina-zdobywaja-nagrody/ar/c1-2772900>

w pewnym momencie odkrywają, że łączy je coś więcej niż przyjaźń. Wzruszył mnie, uznałam, że będzie to dobra sugestia, pewien rodzaj testu, za pomocą którego będę wiedziała, czy i nasza historia zakończy się jak filmowa. Jej ten film też przypadł do gustu. Potem ona znalazła inny uroczy film „Pokój w Rzymie”, również o lesbijkach. Subtelny, z nutką erotyzmu, ale też i wzruszający, zwłaszcza na koniec, gdy okazuje się to być ulotną, zaledwie jednorazową przygodą. Postanowiłam wziąć rzeczy w swoje ręce i poszliśmy po moich lekcjach do pizzerii. Powiedziałam, że muszę coś powiedzieć. Nie zebrałam się jednak ani w trakcie pizzy, ani po niej. Wróciłam do domu i zbierałam się w sobie dalej. Zająłam się odrabianiem lekcji, potem innymi rzeczami, w końcu poszłam się myć. Po wyjściu z łazienki oboje byliśmy na Facebooku, więc zebrałam się i wyznałam, co czuję. Powiedziałam o miłości, ale też o obawie, czy zawsze będziemy razem, gdyż potrzebowałam pewności miłości na zawsze. Serce waliło jak szalone, odpowiedziała mi, że też mnie kocha i postaramy się zrobić wszystko, by było na zawsze. Poczulałam ulgę, poczułam ogromną radość, szczęście, ciepło. Nie wiem, jak udało mi się zasnąć, może ze zmęczenia. Kolejny dzień w szkole minął mi szybko, byłam cała w skowronkach, radosna, ogarniała mnie euforia, odliczałam czas do końca lekcji, do naszego spotkania. Uczucie zakochania, uczucie spełnionej miłości, miłości ze wzajemnością jest przepiękne, wspaniałe, niesamowite, trudne do opisanania, trzeba to przeżyć i każdemu tego życzyć. Nie czułam potrzeby ani chęci mówienia o tym matce, Kasia tym bardziej nie chciała wspominać o tym swoim rodzicom. Nie przejmowaliśmy się tym jednak. Czerwiec to koniec roku szkolnego, jeszcze nie ma zadań na kolejną edycję olimpiady, więc miałam sporo luzu. Zaczęliśmy jeździć nad jezioro Głębokie najczęściej, jak się dało. Ja swojej matce mówiłam, że idziemy na piknik, a ona – że na przejażdżkę rowerową, co nie było kłamstwem. Pierwsze nasze spotkanie po wyznaniu było dla mnie oczekiwaniem na bliskość, oczekiwaniem na pierwszy pocałunek, no ale wokół ludzie, nawet na zazwyczaj pustej polance byli. Sama obecność ukochanej osoby już była niesamowita, unosząca. W kolejny weekend znaleźliśmy bunkier na uboczu, kawałek za pobliskim stawem. Ścieżka dalej była błotnista, co w połączeniu z miejscem za bunkrem dawało nam intymność. I znowuż ja musiałam wykonać ten pierwszy pocałunkowy krok, a że byłam totalnie zielona, to zderzyliśmy się zębami. Ogólnie pierwsze pocałunki są zabawne, bo zderzacie się zębami, podgryzacie, a i tak są fajerwerki, radość i miłość płyną w was. Z czasem nabraliśmy wprawy. Ten bunkier to było nasze tajne miejsce, gdzie mogliśmy się przytulać, całować, leżeć razem, nieśmiało dotykać. Rozmawiać o nas, o naszej wspólnej przyszłości. Mieliśmy w planach, że Kasia teraz pojedzie na studia do Warszawy, a ja dołączę za rok. Później planowaliśmy wyjazd z kraju. Najwięcej czasu jednak spędzaliśmy na cieszeniu się obecną chwilą, terażniejszością. Reszta była nieistotna.

Obudziła się we mnie seksualność. Po raz pierwszy w życiu miałam ochotę na takie zbliżenie się do kogoś. Wymienialiśmy się fantazjami, które ja pisałam w ukryciu podczas kąpieli. Używałam swojej wyobraźni do kreowania scenariuszy miłosnych uniesień, choć przekartkowałam jedną pozycję literacką znaną przez

moją ukochaną osobę – „Seks lesbijski. 101 pozycji” Jude Schell. Ta pozycja bawiła nas, wiele różniło się przełożeniem ręki i uznałam, że autorka nie ma wyobraźni, skoro potrafię wymyślić coś lepszego. Raz miałam bardzo przyjemny sen o charakterze erotycznym właśnie z moją miłością życia, obudziłam się w środku nocy i napisałam o tym smsa wraz z opisem. Potem leżałam w błogości i słuchałam nocnego śpiewu ptaków, nie chciało mi się spać, mimo że czekał mnie dzień w szkole. Jakoś zasnęłam, rano byłam wyspana, wypoczęta, radosna, ale też zniecierpliwiona – kiedy będziemy mogli być tak blisko? Drobne pieszczoty pojawiały się, gdy mogliśmy się ukryć w piwnicy lub strychu w II LO czy też podczas naszych pikników za bunkrem.

Niestety chęć kontroli była silniejsza i rodzice zabronili jechania jej do Warszawy na studia, wykręcając się argumentem finansowym, całkowicie niewiarygodnym, biorąc pod uwagę ich status. Bardzo źle przyjąłem tę wiadomość, wręcz z lekką wrogością, nieco pobudzaną przez moją matkę. Może i nie wiedziała, że jesteśmy razem, ale wiedziała, że planujemy iść razem na tę samą, warszawską uczelnię w celu robienia kariery naukowej. Padaly argumenty o wygodnictwie, konformistycznej postawie, sprzedaniu się, które pod wpływem emocji przekazywałam w smsach. Potem się dowiedziałam, że nie miała wyboru. Bez pieniędzy, bez możliwości ich dorobienia, bez szans na pomoc socjalną ze strony uczelni (bo skoro rodzice są tak dobrze sytuowani, to się nie należy, nawet jak grosza od nich się nie widzi). Do tego dołożymy szantaż emocjonalny i mamy sytuację bez wyjścia. Na szczęście szybko się pogodziliśmy i nie nadszarpnęło to naszego związku.

Osiągnięcie w konkursie dało nam niesamowitą szansę. Zagadaliśmy do profesora Politechniki Warszawskiej o możliwość zrealizowania pracy na kolejną edycję, do Krajowego Funduszu na Rzecz Dzieci o sfinansowanie kosztów pobytu i dojazdu i udało się! Mieliśmy przed sobą miesiąc razem w Warszawie! Sami, bez co chwila dzwoniących rodziców, bez mojej matki, która często usiłowała się wprosić na nasze spotkania, z dala od ludzi, którzy mogliby na nas donieść rodzicom. Odliczaliśmy dni do wyjazdu, potem godziny, minuty. Spotkaliśmy się dopiero na dworcu w Warszawie, gdyż ja jechałam ze Szczecina, a ona od babci ze wschodniej Polski. W Warszawie noclegi były zapewnione w hotelu asystenckim, nam przypadł kompleks z 3 pokojami, łazienką i aneksem kuchennym. Wybraliśmy pokój, gdzie rolę łóżka pełniła rozkładana kanapa, żeby móc razem spać. Pokój ten był z założenia jednoosobowy, ale każdy wie, że w takich miejscach meble są przypadkowe. Jeden pokój zajmowała znajoma, którą poznałam kiedyś na jakichś warsztatach, ale po 2 dniach się ulotniła do innego pokoju. Nie wiem czemu się nas przestraszyła, nie byliśmy straszni. Plotka głosi, że zobaczyła na stole w naszym pokoju długopis w kształcie kaktusa i się jej to skojarzyło z wibratorem. No i kto myśli ciągle o jednym – LGBT+ czy cisheteronorma? My po prostu lubimy takie rośliny jak kaktusy, więc nie mogłam nie kupić takiego długopisu. Nie narzekaliśmy, całe mieszkanie dla nas! Fakt, w Warszawie odkrywaliśmy siebie, swoje ciała, seksualność. Dla mnie były to pierwsze doświadczenia, czułam się niesamowicie szczęśliwa, że właśnie znalazłam tę jedyną osobę, z którą chcę dzielić

moją intymność, z którą chcę być tak blisko. Dawało mi to dużo sił do życia. Na sam akt miłosny wymyśliśmy takie określenia jak mizianie czy macanie, zaś na orgazm – latanie. Nasze mizianie było subtelne, delikatne, naturalne. Latanie zaś intensywne, po czym następowała błogość, poczucie rozplywania się. Po raz pierwszy czułam chęć i swobodę rozmawiania o tym, ale tylko z moją ukochaną osobą. Dzieliliśmy się fantazjami, by potem je zrealizować. Dla mnie seksualność jest czymś intymnym, czymś, co dotyczy tylko osób będących w relacji. Czuję pewien dyskomfort, gdy mam poruszyć ten temat z kimś innym niż moja miłość życia. Nie wynika to z domu ani z pruderyjności, tak po prostu mam. Żeby nie było – zrealizowaliśmy projekt, codziennie chodziliśmy do laboratorium i spędzaliśmy tam kilka godzin. Potem szliśmy na spacer na miasto, na bubble tea, do zoo, do Łazienek, do teatru na adaptację „Kompleksu Portnoya” Philipa Rotha. Robiliśmy biżuterię, zrobiliśmy sobie tęczowe bransoletki na znak naszej miłości. Sporo aktywności się działo. Skupialiśmy się na tym, co jest tu i teraz. Niestety nieuchronnie zbliżał się koniec wyjazdu, już i tak raz przedłużonego o kilka dni. Powrót był smutny – zaczynał się rok szkolny, będzie mniej czasu dla nas, a z racji studiowania w miejscu pracy matki trudniej będzie niepostrzeżenie gdzieś pójść.

Po powrocie od razu pojechałam na wycieczkę klasową w góry, gdzie wieczory spędzałam samotnie z książką lub pisząc z Kasią. Całkowicie wypadłam z obiegu społecznego, ale nie przejmowałam się tym, miłość dodawała mi skrzydeł. Potem wróciłam na lekcje i pewnego dnia nastąpiła tragedia. Najpierw dostałam smsa, czy mogę ją przechować przez jakiś czas. Zdziwiło mnie to, gdyż wiedziała poniekąd, w jakich warunkach mieszkam i że nikogo nie zaprasza się do tego mieszkania. Na moje pytania nie dostawałam odpowiedzi, choć z reguły szybko odpisywała. Później na Facebooku dostałam wiadomość, że ma przerabane, nie zdążyłam odpisać, gdyż konto zostało usunięte. Nie wiedziałam, co się dzieje, zaczęłam się denerwować, martwić. Nie miał mnie nawet kto wesprzeć. Czułam, że coś złego się stało. Półśłówkami, urwanymi smsami, krótkimi rozmowami telefonicznymi przeprowadzanymi podczas spaceru z psem udało mi się dowiedzieć, że jej rodzice włamali się na konto na Facebooku, przeczytali wszystkie rozmowy, padły wyzwiska od puszczalskich. Powyciągali pisane przez nas fantazje erotyczne, czytali to z obrzydzeniem, z wyrzutem. Kazali jej zerwać ze mną znajomość, zabronili nam się spotykać, rozmawiać, jakkolwiek kontaktować. Jej rzeczy wylądowały w garażu, były wyrzucane przez okno. Kolejne 3 tygodnie przeżyłam jak we śnie, praktycznie nic z nich nie pamiętam. Powiedziałam jej, że nie odpuszczę, że damy radę, że wszystko się uda, tylko żeby mnie nie zostawiała, nie przekreślała. Udało się. Zaczął się nowy etap.

Od początku roku szkolnego nosiłam codziennie zrobioną przez moją ukochaną osobę tęczową bransoletkę, co nie umknęło uwadze Agaty. Gdybym miała ją raz na jakiś czas – nic dziwnego, nosiłam wiele kolorowych rzeczy, ale codziennie? Między lekcjami podzieliłam się z nią tą radosną, acz z rysą smutku, nowiną. Cieszyła się ze mną i ze mną współczuła sytuacji z rodzicami, potępiając ją, no bo jak można dorosłej osobie tak zakazywać i nakazywać. Co mnie lekko zdziwiło to fakt całkowitego

wsparcia mimo religijności Agaty, ale jak sama zacytowała „W domu mego Ojca jest pokoi wiele”, co też oddawało moje podejście do sprawy. Jestem wierząca, ale wierzę trochę po swojemu, odrzucam wiele teorii i podstaw w Kościele. Nie chcę być ze wspólnotą, która mnie odrzuca i która pretenduje do bycia jedynym słusznym głosicielem słuszych założeń. Wykluczanie innych nie idzie w parze z chrześcijaństwem według mnie. Dla mnie chrześcijaństwo jest religią miłości, religią dobra, religią pozytywną. Taki idzie przekaz z „Miłujcie się”, „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego”. Nigdy nie miałam zgrzytów między moją (wówczas) orientacją a wiarą, religią. Skoro taką mnie Bóg stworzył, to taką mnie kocha, proste. Przez pewien czas prowadziłam rozmowy na ten temat z moją ukochaną osobą, która jednak uważała, że bycie (wówczas) lesbijką jest czymś złym, bo tak mówi Kościół, taki jest główny, narzucany zresztą, dyskurs. Nie zgadzałam się z tym, myślę, że to dlatego, że religijność taką wykreowałam sobie sama, w moim domu nie było nawet krzyża. Był za to tarot, wahadelko, książki o numerologii, zaklęciach i tym podobne. Moja mama chodziła do kościoła ze mną w podstawówce począwszy od drugiej klasy, czyli komunijnej, potem przestała. Przez ten czas chodziłyśmy do oo. dominikanów, dość otwartych i odmiennych jak na ówczesną czasoprzestrzeń. Były radosne piosenki, była siostra z gitarą, były rozmowy i scenki między ojcem a dziećmi. Były festyny. Moja parafia na Broniewskiego, jak zresztą wiele innych, krytkowała ich podejście i postawę, o wiele bardziej ludzkie i mniej zatechłe niż ich. Argument, że cała moja klasa idzie do I Komunii Świętej tamże, był nie do odrzucenia i udało mnie się tam przepisać. Do bierzmowania potem nie poszłam, wzięłam sobie do serca to, co mówił ojciec – że trzeba do tego pójść, jak się jest gotowym, a nie byle odbębnić, że trzeba mieć czas. Nie czułam tej potrzeby, nie miałam również czasu na uczestnictwo w tylu nabożeństwach i spotkaniach, mniej licznych niż w innych parafiach, miałam wtedy sporo nauki na głowie. Moja babcia chodziła tylko z koszyczkiem, choć najczęściej towarzyszył mi dziadek. Babcia odmawiała pacierz wieczorem, nauczyła mnie „Ojcze Nasz”, „Zdrowaś Maryjo” i „Aniele Stróżu” i to by było na tyle przejawów. Przez spory okres myślałam, że zawsze trzeba się modlić tymi formułkami, z biegiem czasu zaczęłam składać własne modlitwy i tak robię do dziś. Wiara jest dla mnie czymś osobistym.

Po tych 3 tygodniach spotkaliśmy się w miejskiej bibliotece przy Placu Żołnierza Polskiego. Sama biblioteka jest na piętrze i przed nią jest pusty korytarz. Usiedliśmy tam, poleciały łzy. Przytulaliśmy się tak długo, jak było to możliwe. Ustaliliśmy, że będziemy wymyślać kody, które będą wiadomością oznaczającą, że można rozmawiać, żebym wiedziała, że to ona. Niestety w przeszłości zdarzało się, że rodzice, zwłaszcza ojciec, zabierali jej telefon, nawet już po 18, czytali rozmowy (z biegiem czasu nauczyła się wszystko kasować w powrocie do domu), pisali do znajomych. Odróżniałam kto pisze, bo każdy z nas ma jednak charakterystyczny styl pisania. Ustaliliśmy też kody na dzwonienie, miały być znakiem, że jest na spacerze i można gadać. Kody zmienialiśmy dość często, w zasadzie codziennie. Poza tym, żeby móc rozmawiać, nawet gdy nie można (np. gdy jest w domu), pisaliśmy w małych

notatnikach – miałam ich pełno z czasów dzieciństwa, z początków lat nastoletnich, gdyż były częstym dodatkiem do wszystkiego – czasopism, jogurtów, do nagród za konkursy itp. Pisałam i ja, i ona. Na każdym, teraz już o wiele rzadszym, spotkaniu, wymienialiśmy się nimi. Strony, które Kasia przeczytała, paliła na łące podczas spaceru. Notesy nosiła w drugim dniu kostki, nie do znalezienia, jeśli się nie wiedziało o jego istnieniu. Z biegiem czasu do naszych kodów dodaliśmy kod na czaty. Wchodziliśmy wtedy na czat na WP, Interię i inne portale, zawsze pod ustalonymi nickami i pisaliśmy. Plusem tego rozwiązania jest to, że nie zostawia śladu, a nie wiadomo, do jakich narzędzi śledzących są zdolni tak apodyktyczni rodzice. Było mi ciężko, ale o wiele większą miałam nadzieję na lepszą przyszłość. Można by zapytać – ale dlaczego tyle stawania na głowie? Ano dlatego, że o ile moja matka żyła swoją warszawską miłością, o tyle jej ojciec pracował z domu, a matka na uczelni, na tym samym wydziale, na który zapisała swoje dziecko. Do tego została opiekunem jej roku... Pierwsza wiedziała o ocenach, pierwsza byłaby poinformowana o nieobecności Kasi na zajęciach. Musiała więc chodzić na wszystkie. Ponadto, chyba nie ma tam za wiele do roboty, skoro codziennie wozila ją na zajęcia i po zajęciach od razu zawozila do domu. A i ojcu zdarzało się w przeszłości zamykać dom tak, że nie dało się wyjść. Do tego dołożmy sąsiadki-plotkary, które całe dni chodzą od Galerii Kaskada do Galaxy (a akurat obie w centrum, niedaleko mojej szkoły) i gdy zauważą dziecko sąsiada, to lecą powiedzieć, że widziało, z kim, kiedy i co się działo. Nie zmyślam, tacy ludzie istnieją.

Trzeba było też jakoś odkręcić sprawę z konkursem. Otóż w ferworze akcji ojciec Kasi z jej maila napisał do opiekującego się nami profesora, że ceduje na mnie całą pracę i mam ją sama robić. Profesor nie za bardzo zrozumiał, co się stało, więc zapytał się mnie. A ja, bez wdawania się w szczegóły, powiedziałam, że jej rodzice mnie nie lubią i są dość apodyktyczni, ale będzie dobrze. Kasia jakoś ich przekonała, że będziemy robić pracę razem, ale osobno. No praca wyszła, została wysłana na dwa konkursy, na obu została zaakceptowana. Może i ci ludzie są pomysłowi w sposobach kontroli, ale z „łączeniem kropek” mają problem, nie widzą drugiego dna. I dobrze.

Nasze spotkania zostały zredukowane do jednego w tygodniu. Wtedy wypadał wfi Kasi. W pierwszym semestrze chodziła na konie, a stadnina znajdowała się kawalek za moim domem, toteż odbierała mnie z lekcji i jechaliśmy tam razem. Od spotkania do zajęć były jakieś 2-3 godziny. Tak wiele i tak niewiele, by się przytulić, porozmawiać, poczuć smak ust, wymienić notesami. W drugim był to nordic walking, który miał miejsce w weekend. Przychodziłam, wiele osób przychodziło z kimś towarzyszącym spoza uczelni. Potem znaleźliśmy schronienie u cioci Ewy (ciocia Kasi), która mieszkała w tamtejszych okolicach i chętnie przyjmowała nas na obiad. Dla rodziców Kasia szła sama do cioci, na przelomie jesieni i zimy ciocia została wtajemniczona w sprawę. To był też rok, w którym na Eurowizji wystąpiła Conchita Wurst. O jaka wrzawa była w świecie rzeczywistym i wirtualnym! Jako osoba wrażliwa na sztukę, totalnie nie rozumiałam, dlaczego ludzi tak boli performance

artystyczny – już abstrahując od pojęć orientacji i tożsamości płciowej – zrozumienie formy sztuki w narodzie nie występuje. Mi podobał się wokal i utwór, samą postać uznałam za intrygującą. Raz u ciotki Ewy zapętlaliśmy konkursowy utwór przez całe popołudnie. Nauczona, że lepiej siedzieć cicho, nie odzywałam się, gdy moja matka się bulwersowała mniej więcej w takim tonie „Czy to chłop jest, czy baba? No jaka prowokacja, nazywa się Muszelka Kielbasa. Co to ma być?! Wygrywa za bycie dziwadłem”.

Oboje dostaliśmy nagrodę Ministra Edukacji Narodowej. Uroczyste rozdanie miało miejsce w urzędzie, zaproszono uczniów, mogli przyjść rodzice czy nauczyciele. Byłam już pełnoletnia, więc żadnemu nauczycielowi nie chciało się iść na nudną pogadankę i krótkie rozdanie dyplomów. Planowaliśmy, że spędzimy trochę czasu razem po rozdaniu, niestety w ostatniej chwili ojciec mojej ukochanej uznał, że z nią pójdzie. Szybko dostałam informację, że ze spotkania nici. Posmutniałam, ale rozumiałam, że lepiej nie dolewać oliwy do ognia. Jakie to było bolesne i ciężkie, być w jednej, tyciej sali, siedzieć blisko siebie i móc powiedzieć sobie oschłe „Cześć”. Ojciec mnie zignorował całkowicie. Plusem tej nagrody była kwota i fakt, że musiała wpłynąć na osobiste konto nagrodzonej osoby. Moja ukochana mogła to odłożyć na swoje konto, 3 tysiące na start dawały realną szansę na ucieczkę ze Szczecina, pozwoliły jej później na zakup biletu i przeżycie miesiąca.

W drugim semestrze miały też miejsca nasze wyjazdowe konkursy. Po raz pierwszy pojechaliśmy w lutym do Poznania. Załatwiliśmy sobie noclegi, bo oczywiście nie dało się dojechać w dniu konkursu, rodzice Kasi uwierzyli, że mamy osobne pokoje i będziemy ze sobą w kontakcie tylko w trakcie prezentacji. Tyle czasu sam na sam, ciała stęsknione za dotykiem, dusze za miłością i bliskością. W pociągu obejrzeliliśmy sobie „Życie Adeli” – jak dla mnie fenomenalny, piękny i czuły film. Pokazywał piękno miłości między dwiema dziewczynami, pokazywał też to, że nie ma w tym nic złego, że gdzieś jest świat i ludzie, którym to nie przeszkadza, nie szokuje, którzy to akceptują. Konkurs był gdzieś w tle – ale przykładaliśmy się! Udało nam się przejść do finału, co oznaczało 4 dni razem! Po kilku tygodniach pojechaliśmy do Warszawy na 3 dni na ten drugi konkurs. Tym razem jako opiekunka pojechała moja nauczycielka od chemii – organizator miał chyba dość rodziców i zastrzegł, że jako opiekun może przyjechać jedynie nauczyciel. Pamiętam, że profesor-promotor mówił w superlatywach o łączącej nas współpracy, na co pani od chemii napomknęła „Moim zdaniem łączy je coś więcej niż projekty”. Profesor chyba puścił to mimo uszu albo nie zrozumiał, nie wiem. Pani od chemii dość przenikliwie potrafiła analizować otaczający ją świat, sporo rzeczy potrafiła dostrzec. Podejrzewam, że w pewnym momencie zaczęła się domyślać, że jesteśmy razem, ale nigdy nic o tym nie mówiła, nie czyniła aluzji, jej podejście do mnie się nie zmieniło. Bardzo lubiłam i ceniłam panią, pani Basiu! Ostatnim naszym wyjazdem był finał pierwszego konkursu, który odbył się w Gdyni. Tuż przed nim nastąpił mały zgrzyt między nami, ponieważ mieliśmy jechać razem pociągiem – to zawsze 4 godziny więcej czasu. Niestety rodzice kazali jej iść na nic niewnoszące zajęcia na uczelni i jechać kolejnym

pociągiem. Poczułam się lekko odrażona, urażona, obraziłam się. Po przyjeździe do hotelu zamknęłam się w pokoju i udawałam, że nie dostaję smsów, że już jedzie, nie chciałam wyjść na dworzec. W końcu dotarła do hotelu; ja, jak gdyby nigdy nic, dalej siedziałam z książką, choć z trudem powstrzymywałam łzy. Oboje się popłakaliśmy, rzuciliśmy sobie w ramiona, przebaczyliśmy i po niesnaskach nie było śladu. Zamówiliśmy do pokoju pizzę, resztę wieczoru spędziliśmy w pokoju. Pokój dostaliśmy z łóżem małżeńskim, jak się dowiedzieliśmy w trakcie wyjazdu, tylko my taki mieliśmy, gdyż inni ludzie byli polokowani w pokojach dwuosobowych z łózkami pojedynczymi. O braku miejsca w hotelu nie było mowy, to ogromny Orbis w Gdyni tuż przy Teatrze Muzycznym. Mimo nieoutowania się, część ludzi (większość? wszyscy?) wiedziała, że jesteśmy razem. Ach te plotki...! Miałam to gdzieś, czy ludzie wiedzą. Nie widziałam potrzeby ujawniania się ludziom, z którymi dzieliło mnie jednorazowe uczestnictwo w konkursie. Sam czas konkursu to było zaledwie kilka godzin sesji plakatowej i wiele godzin jakichś mało interesujących warsztatów, z których się zerwaliśmy i poszliśmy na zwiedzanie Gdyni w asyście Krisa, świeżo poznanego przez internet znajomego. Oprowadził nas po centrum i bulwarach, ale mało co było widać z powodu mgły. Ostatniego dnia pobytu wyszło słońce i spędziliśmy ten czas na plaży, mamy uśmiechnięte i śliczne zdjęcia z tego przedpołudnia. Potem nastąpił powrót i płacz, bo to był ostatni konkurs w sezonie, do planowanego wyjazdu zostało kilka miesięcy. Po łzach jednak przyszedł czas na działanie i zaczęliśmy jakoś planować wyjazd.

Zaczęliśmy przeglądać oferty wynajmu pokoju i cóż, ceny trochę nas przygniotły. Często za znośną cenę były nory praktycznie poza Warszawą. Robiłam to w każdej chwili, gdy byłam sama w domu i miałam komputer do dyspozycji. Spisywałam na kartce numery telefonów, ceny i jakieś hasło, by dało się znaleźć ofertę. Planowaliśmy, że wyjedziemy w lipcu, tuż po sesji Kasi, tak by mogła przenieść się i kontynuować studia od drugiego roku w Warszawie. Jej rodzice lekko odpuścili kontrolę, mogliśmy się więc spotykać na Wałach Chrobrego, w kserze lub w mojej szkole. Mimo że w szkole nie okazywaliśmy sobie zbyt dużo uczuć, to mam wrażenie, że nauczyciele i niektórzy uczniowie wiedzieli. Byłam dość znaną osobą w mojej szkole z racji konkursów. Nikt jednak się mnie nie pytał, nie robił uwag. Miałam to gdzieś, czy ludzie wiedzą, czy nie, czy plotkują, czy nie. Jak ktoś ma na tyle nudny żywot, że zajmuje się czymś, to trudno! W końcu udało znaleźć się pokój, zapłaciliśmy (dość naiwnie, proszę tak nie robić!) kaucję przelewem i poculiśmy ulgę, a także zdziwienie – że tak szybko i gładko poszło, że to już.

Od zawsze miałam problemy menstruacyjne, ale pod koniec klasy maturalnej już przesadziły. Moja matka zapisała mnie do ginekologa. Chociaż miałam już 19 lat, wciąż w relacji z nią czułam się jak dziecko, myślałam, że muszę pytać o zgodę, że do lekarza to ona musi mnie zapisać i pójść ze mną. Ukrywanie związku było już dla mnie ogromną rebelią. Poszłam z nią do lekarza, do gabinetu weszłam sama. Tu pojawiły się schody. Musiałam powiedzieć lekarzowi, że sypiam z dziewczyną. O dziwo przyjął to bez komentarza, wykonał badanie USG, nic nie znalazł. Zapisał mi jakieś

leki i wyszłam z gabinetu. Powiedziałam mamie o wynikach i chciałam je schować do torby, ale ona je wzięła, patrzy się na USG⁴, potem na mnie i pyta „Czy już z kimś uprawiałaś seks?”. Mnie trochę wmurowało, powiedziałam, że tak i że z Kasią. Oczywiście zaczęły się pytania o to, kiedy, w jaki sposób i czy tak się w ogóle da, większość z nich przemilczałam, miałam ochotę zniknąć, uciec, schować się. Moja matka była zawiedziona, że nie została wtajemniczona ani w mój związek, ani w moje życie seksualne. Do dziś nie rozumiem, co kogo obchodzi czyjeś życie seksualne. Wzięta w krzyżowy ogień pytań powiedziałam, że w lipcu wyjeżdżamy i tu znowu pojawił się zawód i złość z jej strony – że jak to tak, za 2 miesiące wyjeżdżam. Myślałam, że się tego spodziewa, skoro od października miałam iść tam na studia, zaś od sierpnia miałam załatwione praktyki w Instytucie Chemii Fizycznej PAN. Całe życie zresztą słyszałam, jak to jej zniszczyłam życie, jak to nie może gdzieś iść czy jechać przeze mnie, stąd założyłam, że oczekuje tego kroku i ucieszy się. Niestety nie, ona myślała, że wyjedzie ze mną i ze mną wynajmie, oczywiście opłacane byłoby to z alimentów i mojego stypendium.

Kolejna wpadka była z rodzicami Kasi. Jakoś miesiąc przed planowanym wyjazdem dałam jej mój stary telefon. Zgodnie z naszym planem nie mogliśmy razem jechać, gdyż ja miałam być koło połowy czerwca w Warszawie na przygotowaniu do Międzynarodowej Olimpiady Chemicznej, w tym czasie miała sesję na uczelni. Telefon leżał schowany w dwóch torbach pod łóżkiem. Siedzę w domu, pakuję się do wyjazdu i nagle słyszę telefon, odebrałam i cisza. Piszę smsa – nic. Oddzwaniem – nic. Dzwonię na drugi, oficjalny numer i odbiera. Pytam się, czemu dzwoniła z drugiego numeru. Cisza. Popłoch. Okazało się, że była poza domem, a w domu była matka, która pewnie jak co dzień przeszukiwała pokój i znalazła telefon. Ojca na szczęście nie było, bo akurat wyjechał służbowo do Anglii, więc poza szantażem emocjonalnym nic nie mogło ją spotkać. Spakowała szybko rzeczy i pojechała do babci do Stargardu, gdzie była bezpieczna i skąd mogła pojechać tylko na egzamin na uczelnię. Ja musiałam jechać do Warszawy.

Warszawa

W Warszawie zakwaterowano mnie i pozostałych 3 chłopaków w hotelu Ibis Budget, z racji płci dostałam swój osobny pokój. Pojechałam z jedną walizką, gdyż po przygotowaniu miałam wrócić na kilka dni do Szczecina po rzeczy, moja matka nalegała na spędzenie czasu ze mną. Chodziłam na zajęcia i cały czas byłam w kontakcie z ukochaną osobą. Matka przyjechała po nią do Stargardu i zabrała ją do domu, chciała wysłać do katolickiego psychologa. Dla niej było to niepojęte, że można kochać dziewczynę, to na pewno jakieś opętanie czy coś. Robiło się coraz goręcej. W takich warunkach nie ma co liczyć na naukę i zdanie sesji, więc Kasia postanowiła

4 USG dziewicom wykonuje się inaczej niż nie-dziewicom.

zrekrutować się na pierwszy rok na Politechnikę Warszawską i przepisać, co się da. W środę akurat jej siostra miała jakieś rozdanie nagród, na które pojechała z matką, więc Kasia zapakowała walizkę, 2 plecaki, torbę na laptopa i pojechała na dworzec. Pociąg relacji Szczecin-Warszawa na starcie miał 3 godziny opóźnienia, a liczył się czas, więc wsiadła w pierwszy pociąg do Poznania, byle wyjechać ze Szczecina zanim matka wróci do domu. Na zajęciach nie mogłam używać telefonu, więc trzymałam kciuki i zerkałam na ekran, gdy się dało. Jak już odjechała ze Szczecina, poczułam ulgę. Kiedyś dojedzie. W Poznaniu bez problemu złapała pociąg do Warszawy i tak około 22-23 odebrałam ją z dworca Warszawa Zachodnia. Na dworcu się przykleiłam i nie mogłam odkleić, tak bardzo chciałam ją przytulić. Poszliśmy do hotelu, w którym miałam nocleg. Ogólnie ten hotel zawsze gości wszelakie warsztaty, wycieczki i inne i wielokrotnie spali w nim ludzie na lewo, chyba mają to gdzieś. Ach jakie szczęście i ulga, w końcu jesteśmy razem i nikt nas nie rozdzieli! Tuż po przyjeździe do hotelu zrobiłam mojej ukochanej osobie niebieskie włosy, ten sam odcień, co miała bohaterka „Życia Adeli”. Rano schodziłam na śniadanie i robiłam jej kanapkę na wynos, po czym wszyscy opuszczaliśmy hotel i spotykaliśmy się dopiero po zajęciach, czyli tak 18-19. Ale w Warszawie byliśmy bezpieczni.

Po kilku dniach w hotelu udało nam się odebrać klucze do mieszkania na Witołnie. Okolica bardzo przyjemna, dobrze skomunikowana, pokój z widokiem na peryferia Warszawy. Współlokatorami mieli być dwaj studenci, okazali się dwaj robotnicy w średnim wieku. Przyjeżdżali w poniedziałek na noc, kolejne dni nocowali i w piątek rano opuszczali lokum. Dla nich oczywiście byliśmy przyjaciółkami, które zaczynają razem studia – nic dziwnego. Ja w dzień jeździłam na przygotowania, a Kasia do pracy w Greenpeace, po powrocie jedliśmy kolację i szliśmy spać. W Greenpeace Kasia się wyoutowała, ale tam przyjęli to normalnie, cieszyli się czymś szczęściem. Poznałam tych ludzi – bardzo sympatyczni, czasem odwiedzałam ich w przerwie. Dzięki nim przeszliśmy na wegetarianizm, a potem szybko – weganizm.

Musiałam na kilka dni wrócić do Szczecina po rzeczy. W sumie tylko po to wróciłam, bo matka, tak nalegająca na wspólny czas, obraziła się na mnie i na całe dnie gdzieś wychodziła, czułam się jej obojętna, wręcz przeszkadzająca. Zapakowałam ubrania i książki w kilka kartonów i dzięki uprzejmości pana Maćka nadałam je w korzystnej cenie, sama zaś wróciłam do Warszawy z jedną walizką i kilkoma torbami.

Po powrocie postanowiliśmy zrealizować moje marzenie o adopcji królika. Udaliśmy się do Fundacji Królewskiej. Oli od królików nie wspominaliśmy, że jesteśmy razem, ale chyba jak przychodzą dwie osoby po królika, to raczej nie współlokatorzy. Akurat sporo królików było wtedy wydanych do domu, ale właścicielka fundacji czesała jednego, wówczas jeszcze Fernandeza. Był bardzo podobny do mojej Speedy, zakochałam się w nim. Po wy pytaniu się o nasze warunki lokalowe i czasowe uznała, że ten króliczek będzie dla nas idealny. Nie stanowiło problemu to, że chcę go odebrać po powrocie z Wietnamu, bo i tak czekała go jeszcze kastracja i szczepienia. Ucieszyliśmy się i zaczęliśmy kompletować wyprawkę. Udało

nam się znaleźć klatkę po okazyjnej cenie, więc przejechaliśmy się po nią, kupiliśmy miski, siano, żwirek i polecaną karmę. Wszystko czekało na naszego nowego członka rodziny. Postanowiliśmy go przechrzcić i nazwaliśmy Pinen. To taki związek w kształcie króliczka, pachnie sosnami. Poza tym całe dni siedziałam w pokoju i powtarzałam wiedzę przed wyjazdem, starając się nie wchodzić w interakcję ze współlokatorami, których się bałam. Po paru dniach poleciałam na 10 dni do Wietnamu, zwiedziłam Hanoi i okolice, przywiozłam brązowy medal i na dniach miałam zaczynać praktyki.

Zaczęły się schody ze współlokatorami. Wyrzucili nam mleko, wysypali bułkę tartą. Próby rozmowy nic nie dawały. Początkowo zgodzili się na to, żebyśmy mieli królika, po kilku dniach zaś mieli problem, ponieważ na podłodze w swoim pokoju rozlałam wodę, którą oni wzięli za siki. Zaczęli mówić o zapłaceniu kaucji, o dodatkowych opłatach do poniesienia. Nie przyjmowali do wiadomości, że kaucję już zapłaciliśmy temu panu, co dał nam klucze. Okazało się, że nie był właścicielem mieszkania, tylko ich znajomym, a właścicielem jest nie-wiadomo-któ. Sąsiadka powiedziała, że w tym mieszkaniu kiedyś mieszkali starsi państwo, potem zmarli i w posiadanie wszedł młody facet, który mieszka w Wałczu, ale od kilku lat go nie było, mieszkają ci dwaj panowie i co rusz mieszka ktoś inny, a to studenci na kilka miesięcy, a to inny robotnicy. W pewnym momencie weszli nam do pokoju i powiedzieli „My jesteśmy normalnymi, prostymi ludźmi i takich rzeczy nie tolerujemy!”, po czym wyszli. Nie outowaliśmy się im, mizialiśmy tylko pod ich nieobecność, więc nie mieli jak zobaczyć, że jesteśmy parą. Chyba że podglądali w nocy, nie wiem. Bo my spaliliśmy razem na jednym łóżku, mimo że do dyspozycji były dwa. Bałam się nieco tych panów, więc postanowiliśmy poszukać czegoś innego – byliśmy na miejscu, więc było to o wiele łatwiejsze. Dzwoniliśmy na ogłoszenia, gdzie były pokoje jednoosobowe z możliwością dla pary – ludzie na hasło „dla dwóch dziewczyn”, nawet bez wspomnienia o związku (przecież mogłyby to być dwie siostry albo kuzynki, nie?), rozłączali się. Udało nam się znaleźć pokój w domu przy ulicy Kanarkowej, tuż przy Lesie Kabackim. Może i dojazd gorszy, ale za to spokój i ogromna przestrzeń – pokój miał ponad 20m²! Królik też nie stanowił problemu, pani Jola miała trzy pieski. W weekend, pod nieobecność współlokatorów, zgarnęliśmy kilku znajomych i komunikacją miejską przewieźliśmy nasz dobytek na drugi koniec Warszawy. Zajęło nam to cały dzień, ale było warto. Na pożegnanie w poprzednim mieszkaniu zostawiliśmy „Replikę” i stos ulotek Lambdy i KPH.

Nowa pani właścicielka mieszkała na parterze, na piętrze jej córka z mężem i nastoletnimi dziećmi, a na drugim piętrze i poddaszu były pokoje na wynajem, nie wtrącała się w życie lokatorów, inni też żyli swoim życiem. Każde piętro miało łazienkę, a kuchnia dla wynajmujących znajdowała się w piwnicy, więc w ogóle nie wchodziliśmy sobie w drogę. Nawet dawała roczną umowę! Nasz pokój miał pełno szaf i 2 łóżka. Z początku spaliliśmy na jednym, a po pewnym czasie zrobiliśmy małe przemeblowanie i połączyliśmy je. Reszta wynajmujących raczej tam nocowała, a na weekendy wracali do domu, więc nie czuliśmy tej ilości ludzi. N., nastoletnia wnuczka

właścicielki, była ode mnie rok młodsza, czasami przychodziła do kuchni w czasie naszego gotowania na pogaduchy. Kiedyś wpadła do nas do pokoju i się nas wprost zapytała, czy jesteśmy parą, po czym sama się wyoutowała jako lesbijka i poopowiadała nam co nieco historii o warszawskim środowisku. Ja starałam się przechodzić do porządku dziennego z tym, że mam dziewczynę, toteż próbowałam wyjść z mojej strefy komfortu i mówić, że tak, mam dziewczynę, tak, jesteśmy razem. Moja ukochana osoba miała z tym jeszcze problem, co wynikało ze strachu na bazie społecznego i religijnego przekazu. Nicole zaskoczyła mnie swoją otwartością. Niemniej zaskoczyło mnie, że to widać, że jesteśmy parą i to na tyle, że po kilku spotkaniach jest to dostrzegalne, mimo że czułości, nawet przytulenie się, okazywaliśmy sobie tylko za zamkniętymi drzwiami.

Ja od rana do wieczora siedziałam w Instytucie, nie ujawniałam żadnych szczegółów mojego życia, nie widziałam takiej potrzeby, a trochę bałam się ostracyzmu. W końcu cisheteropary mogą powiedzieć, że były razem w kinie czy na spacerze, a ja musiałabym to ukrywać za zasłoną koleżeństwa. Po dwóch miesiącach powiedzieli mi „Dziękujemy, do widzenia” i tak skończyła się obiecwana praca i kariera naukowa. Trochę to przeżyłam, ale zaczynał się właśnie rok akademicki, myślałam, że może coś na uczelni uda mi się zakręcić? Nasiąkałam ambicjami mojej matki i czułam, że muszę robić tę karierę naukową w chemii, chociaż nie podobała mi się praca w laboratorium. Ciągle śmierdziało, ciągle moczy się ręce, a w laboratorium spędza wiele godzin dziennie. Odcięcie się od wpływu mojej matki było ciężkie, zważywszy że ni z tego, ni z owego przeprowadziła się do Warszawy. Przyjechała z ciężarówką rzeczy i wprowadziła na drugi koniec miasta. Parokrotnie pytała mnie się „Ale na pewno jesteś lesbijką? A może jesteś bi? Próbowowałaś kiedyś z chłopakiem? Ale jak wy TO robicie?”. Większość pytań zbywałam milczeniem lub zmieniałam temat. Czemu nikt się tak nie pyta w przypadku cisheterozwiązków, no dlaczego? Poza tym moja matka była zła, że „Zamiast skupiać się na nauce, to wijesz sobie gniazdko! Ona ciągnie cię na dno! I jeszcze ten królik, po co takie zobowiązania?”. Wiciem gniazodka było udekorowanie pokoju brelokami z wycieczek, a przynajmniej od tego zaczęła się ta afera. Zaczęłam dostrzegać, że głoszona przez nią tolerancja to puste słowa, w międzyczasie zaczęły docierać też do mnie inne skazy tej relacji i powoli zaczynałam odcinanie pepowiny. Chciałam mieć po prostu swoje życie, bez ciągłych, negatywnych komentarzy. Bez kierowania moim życiem, bez mówienia mi, co mam teraz robić, a czego nie. Rodzina dla mnie to ludzie, z którymi dobrze się czuję, którzy mnie kochają i akceptują taką, jaka jestem, z którymi mam jakąś więź. Więzy krwi to nie rodzina, bardziej niż wspólne DNA cenię relację, wzajemne zainteresowanie, wspieranie, bezwarunkową miłość czy przyjaźń. Bliżsi są mi niektórzy przyjaciele niż ciocia, którą widuję raz do roku przy okazji jakiejś rocznicy czy święta.

Na studiach przenieśliśmy się do tej samej grupy, żeby chodzić razem na zajęcia. Już po pierwszych dniach miałam przeczucie, że te studia nie są dla mnie i nie spodobały mi się, ale postanowiłam dać im szansę. Koszmarne zajęcia wynagradzało kilka poznanych osób. Jedną z nich był Stasiu. Już na pierwszych wspólnych zajęciach, po

zaledwie tygodniu uczelni, podszedł do nas i się zapytał, czy jesteśmy razem. Przytaknęliśmy, zdziwione, że to widać, po czym Stasiu się nam przedstawił i powiedział, że jest gejem, więc ma taki „gej-radar”. Świetnie nam się gadało, więc na dniach zaprosiliśmy go do nas na pizzę. Okazało się, że Stasiu kojarzył mnie z konkursów, że mieliśmy wspólnego znajomego, o dziwo również geja. Był bardzo wygadany, radosny, miał sporo pozytywnej energii i niezwyklej aury wokół siebie. Często spotykaliśmy się a to u nas, a to u niego. Sporo osób na studiach to były jednak konserwatywne dzbany, jak na polibudę przystało. Tam po raz pierwszy spotkałam się z osobami, które były dumne ze zdjęcia na tle płonącej tęczy na placu Zbawiciela, które w dyskusji o studenckim spotkaniu potrafiły otwarcie głosić nienawistne komentarze w stylu „Lewactwo wyzarło Ci mózg”. W sumie poza Stasiem to z nikim nie nawiązałam znajomości na tych studiach.

Stasiu aktywnie uczestniczył w grupie studenckiej Lambdy, Kasia również. Ja akurat byłam tam zaledwie kilka razy, mój introwertyzm i moje fobie społeczne skutecznie spychały mnie do domu. Ale nawet te kilka spotkań pozwoliło mi na poznanie ogromnej ilości osób, głównie gejów, ale też – jak potem się okazało – osób trans. Czasem chodziliśmy razem nad Wisłę na ognisko, czasem do jakiegoś baru czy knajpy. Co mnie zdziwiło – to było pierwsze środowisko, które nie miało problemu z tym, że nie piję alkoholu i nie usiłowali za wszelką cenę mnie do tego przekonać. A ludzie cishetero zawsze, co z nimi nie tak? Po prostu nie lubię alkoholu, nigdy nie paliłam i nie zamierzam, nie ciągnie mnie do tego, o innych używkach nie wspomnę. Uczestnicy spotkania najczęściej na „polambdzie”, czyli spotkanie po grupie, chodzili na piwo, ale też było ono tłem do spotkania, a nie jego celem. Kasia starała się przełamać moją fobię społeczną i czasem mnie wyciągać na spotkania. Najczęściej się przysłuchiwałam, ale czasem też co nieco wtrącałam. Jednak dyskusyjna grupa to było zbyt wiele na moje lęki.

Raz na Lambdzie były warsztaty z wiązania. Kasia, która zawsze była osobą bardziej otwartą na nowe doznania i eksperymenty, na nie poszła i wróciła z liną i wiedzą. Parę razy tego spróbowaliśmy, jednak nie porwało mnie to, zostałam przy moich preferencjach użytkowania tego, co natura nam dała. Wówczas miałam przeświadczenie, że trzeba się miziać codziennie, bo inaczej świadczy to o problemach w związku czy zanikającej miłości, wszędzie powtarzany mit „seks to dowód miłości” zostawia ślad. Mizianie w pewnym momencie stało się takim rytuałem przed snem, takim, który trzeba wykonać. Gdy zmęczenie brało górę, to kolejnego dnia przejmowałam się tym, że coś się dzieje. Jeszcze wiele czasu upłynie, zanim zmienię podejście.

To właśnie w tamtym okresie po raz pierwszy udałam się do klubu i to nie byle jakiego – do warszawskiego Glamu. Akurat tam odbywał się koncert Anji Orthodox, na który bardzo chciałam pójść. I to jeszcze w jakiej okazyjnej cenie – 10 zł! Koncert oczywiście się opóźnił, a ja, nienawykła do klubów, siedziałam przy stoliku z Kasią i Szamotem, również poznanym na Lambdzie. Stasiu wraz z Tomkiem (również z Lambdy) porwali mnie w pewnym momencie do tańca i świetnie się bawiliśmy.

Niezwykłe przypadły mi do gustu ściany pokryte futerkowym dywanem i różowe światło. Prawdziwy różowy świat. Sam koncert był udany, trwał ponad godzinę, po czym opuściliśmy z Kasią klub, atmosfera klubowa jest nie dla nas. Było dla mnie tam zbyt gwarno, zbyt tłoczno.

Rodzice mojej ukochanej nie odpuszczali. Ciągłe do niej pisali na Gadu-Gadu, wysyłali dziesiątki smsów, a gdy blokowała numer – kupowali nową kartę SIM i dalej bombardowali tekstami o grzechu, o obrzydliwościach, o braku szacunku do rodziców, o byciu w sekcie, pytaniu „Kto jest dziś mamusią, a kto tatusiem w waszej chorej rodzinie?” i całej masie innych bzdur. Raz w smsach ojciec groził mi, że mnie „zarżnie jak świnię”. Bałam się, chciałam zgłosić to na policję, ale policjant uznał, że skoro to rodzina, to mamy się dogadać i on może to przyjąć, ale od razu nam mówi, że nic z tym nikt nie robi. Niemoc policji mnie nie zdziwiła, lata wcześniej też nic nie mogli zrobić, gdy mój tak zwany ojciec wraz z ochroniarzami groził mi i mojej matce. Niestety Warszawa leżała im po drodze do paru destynacji, toteż zaczęły się najazdy. Raz wyszliśmy z zajęć i przed salką siedzi ojciec i dyktatorskim tonem mówi do niej „Idziesz ze mną na obiad”. Na nic zdały się odmowy, on powtarzał to dalej, mnie traktował jak powietrze. Na szczęście w tym budynku było trochę tajnych miejsc i przejść, więc zaczęliśmy uciekać. Ukryliśmy się i słyszeliśmy tylko, jak wydiera się do pani szatniarki, czy nas nie widziała. Kobieta nie rozumiała, o co chodzi, powiedziała, że nikogo nie widziała i ma sobie iść. W końcu wyszedł, odczekaliśmy trochę czasu i wyszliśmy bocznym wyjściem, dla bezpieczeństwa poszliśmy naokoło na przystanek. Innym razem, 11 listopada, matka zaczęła dzwonić jak opętana na domofon o 7 rano. Żeby uniknąć obudzenia całego domu, moja ukochana poszła jej otworzyć, a ta wdarła się do domu, weszła do kuchni, zadzwoniła do swojego męża i teatralnie zaczęła płakać, że w jakiej to norze żyje ich dziecko. Potem obraziła się, że nikt jej nie proponuje herbaty, a gdy ją dostała – to obraziła się za torebkę pozostawioną w kubku. Poszliśmy do pokoju i zaczęła gadać jakieś farmazony, wybiegłam z płaczem, potykając się o suszarkę na pranie i pobiegłam kilkadziesiąt metrów dalej, na skraj lasu. Było zimno, mokro. Miałam nadzieję, że pójdzie sobie, że Kasia po mnie przyjdzie i cały ten koszmar się zakończy. Przesiedziałam tam jakoś ze 2 godziny i wróciłam. W pokoju nikogo nie było, leżała kartka od mojego kotka, że wróci niebawem, bo matka ma pociąg po 13. Wróciła, ja na szczęście się nie przeziębiłam. Ten koszmar się zakończył. Skąd miała adres – nie wiedzieliśmy, dopiero po czasie dowiedzieliśmy się, że rodzice wynajęli detektywa. Kolejnym razem stanęli pod oknem domu (przypominam, mieszkała tam właścicielka, jej rodzina i sporo wynajmujących) i zaczęli się wydierać na całą ulicę, że tu przyjechali i ma wyjść. Udawaliśmy w pokoju, że nas nie ma, chyba w końcu ktoś ich pogonił i odetchnęliśmy z ulgą. Potem próbowali nasłać kuzynkę mieszkającą pod Łukowem. To była zabawna sytuacja. Pojechaliśmy na weekend pod Warszawę do Dolara. Jesteśmy sobie na tej wsi pod Lasem Kampinoskim i moje kochanie dostaje wiadomość od kuzynki „Otwórz mi drzwi!!”. Piszze, że nie ma jej w domu, jest u kolegi. „No otwórz mi!!”. W końcu przeszła przez bramę i jak gdyby nigdy nic wchodzi do domu. A tam

pani Jola zdziwiona, że kto to. Powiedziała jej, że ma opuścić jej posesję, a nie się wdzierać. Podziało.

Moja ukochana osoba w pewnym momencie podzieliła się ze mną dość szokującą informacją – mianowicie że chyba czuje się chłopcem. Powiedziała mi, że takie też spostrzeżenia miał Szamot, człowiek o dość przenikliwym spojrzeniu na świat, i stwierdził w trakcie rozmowy, że chyba jest chłopakiem uwięzionym w dziewczęcym ciele. Cała ta wymiana informacji była pisana na komputerze z racji obecności innych osób w tym momencie. Mieliliśmy wrócić do rozmowy, ale jakoś nie wróciliśmy. Po czasie odkryłam bandaż w szafce, gdy chowałam pranie, potem kilka razy w jej plecaku, gdy też czegoś szukałam tamże, za zgodą oczywiście. Owszem, wspominała mi, że nie lubi swoich praktycznie płaskich i nieistniejących piersi, ale żeby od razu bandażować? Powiedziałam, żeby tak nie robiła, gdyż to niezdrowe. Już nie chodziło mi o walory estetyczne, nic z tych rzeczy. Wydawało mi się (i słusznie), że takie krępowanie może prowadzić do problemów z oddychaniem, deformować żebra. Z jednej strony zaczęłam szukać o tym informacji, natrafiłam na jakąś dziwną stronę, na której przedstawiano transseksualizm jako chorobę psychiczną. Trochę mnie to przeraziło i dopiero długi czas później dowiedziałam się, że ta strona jest nierzetelna, a że była jednym z pierwszych wyników w Google... Z drugiej miałam myśli, że może to taki epizod. Co prawda kiedyś mi wspominała, że jest takim cudakiem, takie trochę 2w1, ale nie do końca to rozumiałam i zinterpretowałam jako bycie chłopczycą po prostu. Wówczas żadnej osoby trans nie znałam, jedynie wiedziałam o Annie Grodzkiej, która była wyśmiewana i ciągle ludzie jej wytykali poprzednie dane. Pamiętam, że raz była w programie u Tomasza Lisa i rozmowa zesłała jakoś na temat transseksualizmu. Byłam wtedy w liceum i polityka mnie nie interesowała, więc jedyne, co pamiętam z tego to komentarze mojej matki, w których łączyła pleć jedynie z chromosomami. Poza tym transpłciowe bohaterki pojawiały się czasem w filmach – czy to już we wspomnianych dziełach Almodóvara czy też obejrzanym kiedyś „Transamerica”, wybranym całkowicie przypadkowo w katalogu darmowych filmów na Kinoplex czy innej tego typu stronie. W tym ostatnim transpłciowość jest gdzieś w tle, pokazana komediowo, w żaden sposób negatywnie, ale jakoś nie rejestruje się tego. O wiele łatwiej wdrukowuje się bycie dziwadłem, przebierańcem, chorym psychicznie. Smutne, stygmatyzujące podejście. Poza tym kilka razy odwiedziłam Skłot Przychodnia i widziałam tam przelotnie trochę queerowych osób, ale wydawało mi się, że tacy ludzie istnieją gdzieś daleko, odległe, jest ich niewiele. Z jednej strony były to fascynujące postaci, z drugiej czułam się lekko niekomfortowo. Czy to przez atmosferę skłotów, które nie są jednak moim światem, czy przez to, że można złamać wszystkie znane normy, podziały i stereotypy, że ta osoba miała na to odwagę postanowiła się uwolnić i świat istnieje dalej? Znana beznadzieja z początku zawsze wydaje się lepsza niż nieznaną wolność, gdyż jest znana.

Gdzieś w tamtym momencie moja ukochana osoba zaczęła przedstawiać się jako Iryd, na cześć pierwiastka chemicznego, który robi kolorowe związki. Ten pseudonim był używany raczej przez znajomych, gdyż ja i tak zwracałam się „kochanie”, „misiu”,

„kotku”, praktycznie nigdy imieniem. Do tego powstał likaon narysowany przez jego znajomego Dolara. Skąd likaon? A no z naszych licealnych kodów. Ja czasem, zakochana w królikach, pisałam „kic kic”, ona zaś „tup tup”. Potem zaczęliśmy się zastanawiać, jakie zwierzę robi „tup tup” i okazało się, że likaon. Moja ukochana osoba zapragnęła skrócić włosy, co przy długości do pasa zawsze robi różnicę. Ścieliśmy jakoś do ramion. W sumie po eksperymentach z farbami, piankami koloryzującymi i rozjaśnianiem dobrze to włosom zrobiło. Raz poszła do kuchni i zostawiła laptopa z Facebookiem na wierzchu. Coś mnie podkusiło, żeby poczytać rozmowy z Dolarrem. Przeczytałam i nie dowierzałam. Moje kochanie pisało, że jest trans i że dłużej tak nie może i że w sumie zacznie coś robić, a ja albo to przyjmę, albo koniec, to ostatnie było też zachęcane przez interlokutora. Przeraziłam się. Miłość, o którą tak walczyłam, wydawała mi się wisieć na włosku. Tak intymny temat został podjęty ze znajomym, a nie ze mną. Zesłam drżąca, dygocąca i zapłakana do kuchni i zapytałam się, czy zamierza coś ze sobą zrobić i mnie zostawić. Przytuliliśmy się, uspokoiłam się i temat został zawieszony, tak samo jak jakiekolwiek działania. Moje kochanie obiecało, że wszystko mi opisze w zeszycie i da do przeczytania, gdyż wprost nie umie powiedzieć. Któregoś razu przy szukaniu czegoś w domu znalazłam czerwony notesik, gdzie przeczytałam te wyznania – o poczuciu bycia chłopcem od zawsze, o tym, że chciałby nazywać się Piotrek, na cześć Piotrusia Pana, którego fanem był w dzieciństwie, że cały czas kocha mnie tak samo i nic tego nie zmieni. Te kilka stron przyprawiło mnie o szybsze bicie serca, szybko jednak schowałam je tam, gdzie znalazłam, żeby nie zostać przyłapaną. Choć w mojej głowie cały czas brzęczały przeczytane tam zdania. Zachowałam tę informację w sekrecie.

Z kolei ja zapragnęłam mieć połowę włosów różowych, pomalowałam paznokcie po raz pierwszy od dzieciństwa i cieszyłam się z tego do momentu spotkania z matką, co nastąpiło kilka dni później. Spojrzała się na mnie z obrzydzeniem, powiedziała „Coś Ty ze sobą zrobiła? Popatrz na siebie!”. Zachciało mi się płakać, całą drogę powrotną płakałam i po powrocie ścięłam pomalowane końcówki (czyli tak do ramion) i zmyłam paznokcie, cały czas płacząc. Cały czas czułam, że to jednak matka i trzeba mieć z nią kontakt, z drugiej strony coraz bardziej czułam, jak to jest dla mnie bolesne i toksyczne.

Zbliżał się koniec roku akademickiego, moje chęci do kontynuacji tych studiów były zerowe, Warszawa stawała się coraz droższa, a mieliśmy dość 20-minutowego spaceru na przystanek i potem prawie godzinnej jazdy. Chcieliśmy w końcu mieć swój kawałek podłogi, a nie tylko pokój. Do tego dochodził fakt najazdu rodziców i obecności mojej matki, a także moje przeświadczenie, że poczucie bycia chłopcem zostało pobudzone poprzez znajomych. Miałam ochotę wyjechać z Warszawy. Nie wiedziałam, co mogę innego studiować, więc postanowiłam trwać w chemii i znaleźć uczelnię, która przyjmie mnie na zasadach przeniesienia się. Uznałam, że skoro po maturze UJ mnie zapraszał, jak zresztą każdego olimpijczyka, to jest to dobry plan. Postanowiliśmy wyjechać do Krakowa. Postanowiłam również odezwać się do Daniela, z którym kontakt urwał mi się po liceum. Chciałam mu się wyoutować, ale już wiedział. Skąd

– pewnie z plotek, Szczecin to w końcu wieś z tramwajami, każdy zna każdego albo kogoś, kto tę osobę zna. Przyjął to w porządku, co nie zdziwiło mnie, często stawał w obronie osób homoseksualnych, między innymi w kilku internetowych dyskusjach, i uważał, że każdy może kochać, kogo chce i być, z kim chce.

Udało nam się znaleźć mieszkanie na Starym Podgórzu, moje kochanie pojechało podpisać umowę pod koniec czerwca i mieliśmy miesiąc na zamknięcie spraw w Warszawie, planowaliśmy przeprowadzić się w sierpniu. Poszłam do CENT, gdzie zaczęliśmy oboje praktyki jakoś w lutym. Kasia była tam zaledwie kilka razy, po czym powiedzieli jej, że nie mają dla niej czasu. Mi wkrótce też zaczęli to mówić. Jak poszłam powiedzieć, że wyjeżdżamy, więc nie będę tam przychodzić, ucieszyło ich to, bo właśnie mieli mi wypowiedzieć współpracę – jakby było co, przychodziłam tam wolontaryjnie. Czy było to podyktowane homofobią, mimo że się nie ujawnialiśmy? Nie wiem, być może, plotki pewnie dotarły to nich. Sporo osób z PW tam jednak coś robiło, niektórym nawet płacili. Spotkałam tam kolegę z konkursów, który też robił tam coś więcej niż zmywanie. Niestety polskie chemiczne środowisko naukowe jest dość betonowe w swoich poglądach i podejściu do świata.

Tuż przed wyjazdem postanowiliśmy zorganizować wcześniejsze urodziny mojej ukochanej, żeby móc to świętować w gronie bliskich. Zasmuciło mnie, że na tak dużą grupę zaproszonych ludzi przyszło zaledwie kilka osób, miałam wrażenie, że większość wymigała się wymyślonymi wymówkami. Mimo małego grona bawiliśmy się wspaniale. Przyszła za to Franka – kolejna osoba poznana na Lambdzie. Świetnie nam się gadało, została na noc i rano opowiadała nam o swoich studiach – informatyce. To też ma znaczenie, ale później o tym. Franka pomogła nam przy przeprowadzce, a w zasadzie jej mama – to ona zawiozła nas z Pinenem i rzeczami na dworzec i pomogła wsiąść do pociągu. Jechaliśmy z 2 walizkami, królikiem i kilkoma małymi torbami, resztę wpakowaliśmy w kartony i nadaliśmy kurierem. To ogólnie bardzo tania i efektowna przeprowadzka, jak nie ma się mebli. Wszystkie ciuchy i książki tam wejdą, klatka królika też. Nie mogłabym zostawić naszego członka rodziny! Pinen spokojnie przejechał w pociągu, a ja byłam zachwycona krajobrazami w południowej Polsce.

Kraków

Po raz pierwszy miałam własne mieszkanie, byłam zachwycona tym faktem. Była osobna łazienka, przedpokój, pokój i kuchnia połączona z nim, ale jakby w oddzielnej wnęce. Meble standard IKEA, czyli wygląda, ale nie jest trwałe. Iryd od początku pracował w Greenpeace, nie było problemu z przeniesieniem się z ekipy warszawskiej do krakowskiej. W weekendy i po pracy zwiedzaliśmy nowe miasto, włączyliśmy się po mnogich uliczkach Starego Miasta. Po kilku dniach pobytu odwiedziła nas Franka, która akurat była u brata. Później w drodze powrotnej z wakacji wpadł do nas Stasiu na noc. Ja rozwijałam na nowo moje zdolności plastyczne, które

zaczęłam ożywiać kilka miesięcy wcześniej. Iryd postanowił⁵ rzucić studia i zapisać się na technika weterynarii, mnie bez problemu przyjęto na drugi rok na UJ. Już pierwszego dnia odezwała się do mnie Ania, przyjaciółka Stasia z liceum. Szybko załapałyśmy wspólny język. Była podobnego wzrostu i podobnej postury co ja, obie nosiłyśmy okulary, miałyśmy blond włosy do połowy pomalowane na różowo – całkowicie przypadkowo, tak już się poznaliśmy. Wszystko zdawało toczyć się normalnym trybem. Pod warstwą spokoju kryła się jednak burzliwość, niestabilność. Co jakiś czas w rozmowie między mną a Irydem wracał temat złego czucia się ze sobą, niemożności życia dalej w ten sposób, czyli jako dziewczyna. Niestety dalej bagatelizowałam ten problem, głównie ze strachu przed zmianą, ze strachu o to, jak to będzie, ze strachu, że mnie zostawi. Temat ten nie pojawiał się praktycznie nigdy na żywo, najczęściej w formie smsów. Wydawało mi się, że jak zmieni swój styl ubierania na męski i zetniemy włosy na wymarzonego irokeza, który wyszedł mi strasznie krzywo swoją drogą, to problem zniknie. Nie używałam już od jakiegoś czasu imienia mojej ukochanej osoby, zawsze zwracałam się wspomnianymi już zwrotami. Zastosowałam znany mi z czasów szkolnych sposób radzenia sobie z problemem – ignorowanie go i zatracanie się w akademickich zajęciach. Studia w tym „pomagały” bardziej niż szkoła, byłam pochłonięta dziesiątkami sprawozdań, które musiałam pisać i coraz bardziej zaczynałam nienawidzić studiów. Jesienią wybiło smogiem, co zniechęcało mnie do wychodzenia gdziekolwiek, tak szybko jak poko-chałam Kraków, tak szybko go znieawidziłam. Do tego dochodziły problemy, które – ktoś by się spodziewał! – nie zostały w Warszawie, a się spakowały i pojechały z nami.

Na początku października wprosiła się moja matka. Najpierw mówiła o weekendzie, po przyjeździe okazało się, że... wpadła na pomysł przeprowadzki do Krakowa, więc sobie pomieszka u nas kilka dni, poszuka pracy i czegoś do wynajęcia. Już widziałam te „kilka dni”. Nie paliła się zresztą do poszukiwań, gdy dawałam jej laptopa, by poszukała lub sama zaczynałam coś przeglądać, padał znany mi od dziecka argument – „Terroryzujesz mnie! Terrorystka!”. Na nic tłumaczenia, że nie może sobie tu ot tak mieszkać, że na dole jest cieć i jak właściciel się dowie, to będziemy mieć problem. Że ja muszę chodzić na studia, a Iryd do pracy, mamy 2 pary kluczy, a godziny nie pokrywają się, więc musi albo wyjść z nami – „A co ja będę rano robić? Zimno jest, wyganiaasz mnie na ulicę jak psa, zmarzłam wczoraj przez Ciebie!”, albo zostać w domu – „Ale ja chcę wyjść potem na spacer!”. Z początku przyjęliśmy ją jak najlepiej potrafiliśmy – kupiliśmy wykwintne jedzenie, Iryd jej przygotowywał posiłki,

5 Wiem, że w przypadku osób transpłciowych używa się preferowanej formy w odniesieniu do całości życia, a nie od momentu samopoznania czy outu. W tym przypadku na początku używałam form żeńskich przeplatanych z nijakimi nie z powodu transfobii tylko w powodu formy tekstu – pamiętnika – narzucającego chronologiczność. Zapytałam się Iryda, w jaki sposób powinnam pisać i również uznał, że tak, jak w danym okresie było, czyli na początku przedstawiał się jako dziewczyna – tak pisać, potem out – to już męskie formy. Sam zainteresowany nie ukrywa swojej transpłciowości, nie widzi problemu w opisywaniu go.

rozłożyliśmy materac welurowy. Nie pasowało jej, że materac leży koło klatki Pinena i wszędzie jest siano (norma przy króliku) – to nic, że nie było innego miejsca. Żadne lokum jej nie odpowiadało, o pracy nie wspominając. Jej wizyta zaczynała powoli odbijać się na mojej psychice, a już całkowicie przesadziła, gdy zaczęła mi znowu w sposób agresywny wytykać fakt bycia z Irydem (dla niej wciąż Kasią), zaczęła mnie wyzywać i obrażać. Powtarzała „Moje wysiłki co do Twojego wychowania i edukacji nie opłaciły się!”, „Jesteś niewdzięczna, jak Ty się zachowujesz/odzywasz do matki!” „Zobaczysz, [Iryd] zostawi Cię tak, jak psa przy wyprowadzce”. Jak stałam – w spodniach, t-shirtcie i klapkach – tak wybiegłam z domu i poszłam na ławkę na pobliskie bulwary. Przesiedziałam tam z godzinę, płakałam. Po godzinie wróciłam do domu, wzięłam telefon i zamknęłam się w łazience. Napisałam do Iryda, gdzie jest. On jeździł po mieście i mnie szukał. Nałożyłam buty, bluzę i wyszłam na spotkanie. Przytulił mnie, powiedziałam mu, że chcę, żeby matka sobie poszła, że mam jej dosyć. Kolejnego dnia byłam na uczelni do 18, Iryd wrócił z pracy po 17, moja matka wróciła chwilę później, zabrała swoje rzeczy i wyszła. Bez żadnego „Do widzenia” czy „Pocałuj się w dupę”, bez zamknięcia drzwi. Iryd dopiero po kilku minutach spostrzegł, że poszła. Dobrze, że Pinen nie uciekł! Po powrocie do domu zdziwiłam się, ale odczułam ulgę, że sobie poszła. Zablokowałam jej numer, nie miałam ochoty widzieć nigdy więcej kogoś, kto uzurpuje sobie prawa do decydowania o mnie, nie szanuje mnie, a akceptacja i wolny wybór to puste słowa. Przez kilka tygodni odczuwałam psychiczne skutki tej wizyty.

Zaczęliśmy z Irydem jednak się od siebie oddalać, coraz więcej czasu spędzał na samotnych przejażdżkach rowerowych, a przynajmniej tak mi mówił. Potem się dowiedziałam, że owszem, przejażdżka rowerowa miała miejsce, ale też jechał na grupę wsparcia dla osób trans czy spotkać się z kimś. Często moje smsy czy połączenia pozostawały bez odbioru, bardzo się martwiłam. Któregoś razu pojechał na Krakowską Masę Krytyczną i po dłuższym milczeniu chciałam zobaczyć, czy to z powodu długiej trasy, czy może są jakieś problemy, znalazłam więc to wydarzenie. A w nim był komentarz „Na pewno będę!” od osoby, która podpisała się jako Piotrek Iryd, a w zdjęciu profilowym miała rzeczoną już grafikę likaona. Coś zaczęło mi dzwonić, nie powiedziałam nic o tym Irydowi.

Jedna sytuacja bardzo mnie naznaczyła. Problemy finansowe zaczynały się powoli zarysowywać na horyzoncie, jednak w Krakowie grał ulubiony punkowy zespół Iryda, odłożył więc sobie na bilet. Koncert miał mieć miejsce na drugim końcu miasta w niedzielę, a w poniedziałek ja miałam na 8 zajęcia, a on – pracę. Uznałam, że skoro zaczyna się po 20, to około północy wróci z domu. Pojechał, na miejscu napisał mi, że jest, życzyłam miłej zabawy i czymś się zajęłam. Po jakichś 2-3 godzinach zapytałam, jak się bawi. Cisza. Pomyślałam, że pewnie głośno jest, ale czas mijał, a cisza trwała. Zaczęłam dzwonić, również bez odbioru. Pojawił się lęk. Znalazłam na Facebooku wydarzenie i zobaczyłam trochę zdjęć i podziękowań za udział. Po jakimś czasie dostałam smsa, że wszystko okej i żebym szła spać. Od razu oddzwoniłam, ale bez odbioru. Zaniepokoili mnie to. Grozy dodawały wrzaski

zza okna, chyba jakiś klient był niezadowolony z usług pani do towarzystwa. Minęła północ, postanowiłam pójść się umyć i iść spać, ale nie mogłam zasnąć, cały czas się martwiłam. Zaczęłam szukać numerów telefonów do szpitali, obsesyjnie odświeżać lokalne informacje, żeby wiedzieć, czy nie było jakiegoś wypadku drogowego – w końcu pojechał rowerem. Minęła pierwsza w nocy, potem druga. Co jakiś czas pisałam smsy, dzwoniłam. Ubrałam się w szlafrok i zaczęłam wyglądać przez okno, jedyne czym mogłam się zająć. Stałam tak z półtorej godziny, aż dziw, że się nie zaziębiłam w tę chłodną, zasmogowaną, listopadową noc. Płakałam, bałam się, że uciekł ode mnie, że mnie zostawił albo że coś się stało. W końcu, grubo po 3 w nocy zobaczyłam w oddali majaczącą, jadącą spokojnym wężykiem postać. To Iryd! Zamknęłam okno i bez sił położyłam się na podłodze i zaczęłam płakać. Wrócił mocno pijany, ale wrócił! Poszliśmy spać. Jak nietrudno zgadnąć po takiej nocy i 2 godzinach snu ledwo stałam na 8-godzinnych zajęciach laboratoryjnych. Na ćwiczenia nie byłam w stanie pójść, wróciłam do domu, zjadłam i poszłam spać. W głowie miałam tylko pytanie „Dlaczego moja ukochana osoba tak postąpiła?“, zaostriżyło mi to łęki i nawet kilkuminutowe spóźnienie zaczęłam odbierać jako opuszczenie mnie, jako sygnał, że coś się stało.

Kolejnym razem taka sytuacja miała miejsce po spotkaniu z jego znajomymi z pracy. Po paru godzinach dalej go nie było, a on nie wrócił, nie odbierał też połączeń, nie odpisywał na smsy. Znalazłam na Facebooku numer do jego koleżanki z pracy i napisałam, czy wszystko jest okej. Ona odpisała mi, że tak, ale że powinniśmy z Irydem porozmawiać. Nie rozumiałam, co się dzieje, bombardowałam smsami i połączeniami i nic. Po chwili dostałam lakoniczną odpowiedź od Iryda, że idzie po zapiekankę i że wraca. Byłam jednocześnie wkurzona i zmartwiona. Poza tym kupowanie zapiekanki na mieście, gdy dom jest tak blisko i mamy jedzenie, a w portfelu widać dziurę! Zaczynało śnieżyć, wyszłam na przystanek powrotny czekać na niego. Stałam zdenerwowana w spokojnie i delikatnie prószącym śniegu. Kontrast. Po dłuższym czasie zauważyłam, że wraca mostem. Pobiegłam się przytulić. Złość zniknęła, została ulga, nerwy schodziły.

Po raz pierwszy wprost o problemie porozmawialiśmy w Sylwestra 2015, trochę było to niefortunne z powodu goszczonego przez nas Stasia wraz z ówczesnym partnerem, ale zamknęliśmy się w łazience, a i im to jakoś nie przeszkadzało, mieli chwilę dla siebie – każda świeżo upieczona para to docenia. W trakcie naszego przeszło godzinnego zamknięcia więcej padło jednak zapewnień o tym, że wszystko będzie dobrze, o uczuciu, obietnic Iryda, że więcej nie będzie się ciąć, niż rzeczywistego poruszenia problemu. Od tej pory starałam się zwracać bezosobowo wobec mojej ukochanej osoby z perspektywą przedstawiania się na formy męskie, co było trudne, przyzwyczajanie robi swoje. Chciałam szczęścia mojej miłości życia za wszelką cenę, zadawałam sobie wtedy pytania, dlaczego tą ceną jestem ja, moje szczęście? Pamiętam jednak, jaką ogromną sprawiłam mu radość, używszy męskiej formy w smsie – nie wspominałam, że była to literówka, gdyż dostrzegłam, jak ważne to było. Nie wiedziałam jednak, co dalej, bałam się przyszłości.

Była to pewna forma zakwestionowania czy zburzenia jakiejś części mnie – już sobie ułożyłam to, że jestem lesbijką, ale nie mogę nią być, skoro dalej chcę być z osobą o tożsamości męskiej. Zaczęłam się zastanawiać, kim jestem? Wiedziałam, że nie jestem hetero ani bi, mężczyźni w ogóle mnie nie pociągali. Dziewczyny bardziej, choć jest to takie „podoba mi się” estetyczne, nieniosące nic erotycznego. Uznałam, że na mnie jest kategoria inne i sobie zostanę w tym plusie. Wizja seksu z mężczyzną odrzucała mnie, bardzo obawiałam się w tamtym momencie, że Iryd „zrobi sobie penisa”. Co wtedy byłoby z naszym, od jakiegoś czasu i tak stopniowo zapominanym, życiem erotycznym? Wiedziałam jednak, że kocham Iryda za to, jakim człowiekiem jest, a nie za wygląd, nie było mowy o zakończeniu związku, starałam się wszystko poukładać w mojej głowie, jednocześnie mając nadzieję, że kolejne, nieuchronne kroki nie nastąpią. Powoli zaczynałam akceptować sytuację, choć zdarzały się pewne zgrzyty, nie trwały nigdy dłużej niż kilka godzin.

Zaczęły się jednak inne problemy – finansowe. Z powodu ciąglego misgenderowania na ulicy i problemów z wynikami pracy Iryd porzucił swoją karierę w Greenpeace pod koniec 2015. Znalazł pracę na czarno w pobliskim sklepie z żywnością ekologiczną, po 2 miesiącach jednak właściciel odkrył, jak może mieć pracownika jeszcze taniej. Iryd znalazł pracę na zleceniu na ankietach, obiecywane premie jednak nigdy nie przychodziły, wszystko trafiało na konto lidera. Do tego przyszła nam niedopłata za prąd – ponad 2 tysiące do zapłaty w 3 ratach w kolejnych 3 miesiącach, oprócz standardowej, stułotowej opłaty miesięcznej. Rodzice nie wspierali Iryda, od wielkiego dzwonu wysyłali 100 zł z tytułem przelewu „Więcej dostaniesz, jak się odezwiesz/jak będziesz żyć normalnie” (czytaj: tak jak my chcemy), ale zawsze odsyłał te pieniądze z obawy, że potem przyjdzie im coś do głowy i będą z tego nieprzyjemności. 2 ciocie i babcia wysyłały mu pieniądze z okazji świąt czy urodzin. Iryd zaczął skipować, czyli jeździł ze znajomymi freeganami po śmietnikach sklepów i rynków po ich zamknięciu. Odkryliśmy, że sklepy wywalają ogromne ilości dobrego jedzenia! Przywożone skrzyniami warzywa i owoce znacznie odciążały nasz skromny budżet. Skipował wraz z innym transpłciowym kolegą, Czopkiem, ale też z cisheteronormatywną koleżanką, kto tam się akurat nawinał. Do tego pani w okolicznym warzywniaku sprzedawała nam za 1 grosz warzywa, które nie poszły. Do zakupu pozostawały nam strączki, mąka i pieczywo, jakoś nam się udawało na to znaleźć parę groszy po opłaceniu mieszkania, które pochłaniało praktycznie całą wypłatę. Moje oszczędności z klasy maturalnej i ze stypendium na pierwszym roku gwałtownie topniały. Nie mogłam liczyć na żadne stypendium uczelniane z powodu braku dokumentów, których nigdy nie miałam. Wpadłam w pewną lukę. Do stypendium socjalnego trzeba dać dochody rodziców. Nie miałam kontaktu z ojcem, więc nie miałam jego dochodów. Wtedy powinnam była dać zaświadczenie o alimentach, których nie dostawałam, na co pani z sekretariatu stwierdzała, że muszę dać akt zgonu lub zaświadczenie o nieściągłości alimentów przez komornika. Na nic tłumaczenia, że z przyczyn prywatnych nie chcę ciągać się po sądach z niestabilnym emocjonalnie człowiekiem, a nawet jeśli – to będzie trwać latami. Zarówno na PW, jak i na UJ rozkładali ręce.

Z kolei, żeby być uznanym za samodzielne gospodarstwo, to nie wystarczy mieszkać samemu i nie mieć grosza od nikogo. Trzeba też jednocześnie zarabiać więcej niż 1000 zł miesięcznie, ale mieć mniej niż 800 zł na osobę. To, że stanowiliśmy związek, nikogo nie interesowało, bo nie był sformalizowany. A że w Polsce się nie da sformalizować związku innego niż kobiety i mężczyzny... Naukowe nie zostało mi przyznane mimo wysokich ocen, co też jakoś bezsensownie uzasadnili. Kontakt z tzw. biologicznym ojcem nie miałam, alimentów albo już nie dostawałam, albo szły do mojej matki, na pewno ja ich nie widziałam. Moja matka grosza mi nie dawała. Podjęcie pracy przy zajęciach, gdzie albo ciurkiem miałam 8 godzin laboratoriów bez przerwy, albo byłam na uczelni od 8 do 20 z dwoma dwugodzinnymi okienkami, było niewykonalne, a w weekendy musiałam pisać te cholerne sprawozdania. Zaczęłam przeglądać rzeczy, które mamy w domu i sprzedawałam książki, ubrania i inne „graty z chaty” na OLX. W końcu do czegoś przydały mi się te nagrody książkowe za konkursy. W związku ze zmianą ubrań Iryda wszystkie stare, damskie ubrania poszły na sprzedaż na Vinted. Ubrania jeszcze mieliśmy, a jak czegoś bardzo brakowało, to korzystaliśmy z bogactwa kosza za 2 lub 3 zł w lumpeksach. Po raz pierwszy wybierałam sobie ubrania takie, jakie chciałam, mimo ograniczonego budżetu. Po raz pierwszy cieszyłam się na pójście do sklepu. W koszach za 2 czy 3 zł mogłam znaleźć pełno praktycznie nowych ubrań – zalety noszenia XXS i XS, masa ludzi kupuje te ubrania, by do nich schudnąć, po czym nie udaje im się i je wyrzucają. Swoją drogą nie rozumiem, dlaczego ludzie dążą do noszenia konkretnych rozmiarów, mimo że w obecnym wyglądają dobrze. Jakoś udawało nam się wiązać koniec z końcem, choć było to wyzwanie.

Nastąpiła Wielkanoc 2016. Słońce świeciło, słupki rtęci nie przekraczały jednak 15 stopni w dzień, w nocy spadało do 6-7, a nam akurat zepsuło się ogrzewanie, na co cieć, a potem i właściciel, rozłożyli ręce. Zrobiliśmy sobie sporo jedzenia i z zaskoczeniem patrzyłam na ogromny apetyt Iryda, dotychczas dość mierny. Resztę czasu spędzaliśmy pod 2 kołdrami i kocem i rozmawialiśmy. Opowiadał mi o sobie rzeczy, których do tej pory nie mówił – o swojej prawdziwej tożsamości. Usłyszałam sporo pozornie nic nieznaczących historii z dzieciństwa czy lat nastoletnich i wszystko zaczęło układać się w układankę pod tytułem transpłciowość. Objaśnił mi sporo różnych rzeczy, w końcu stały się dla mnie klarowne i zrozumiałe. Przeprosiliśmy sobie nawzajem – ja za bagatelizowanie sprawy i fochy, on – za niemówienie wprost i uciekanie przed tematem. Obiecałam, że będę starać się używać prawidłowych form i nowego imienia, ale trudno mi z nim było, więc zostałam przy „kochanie” i „kotku”, ale to nie stanowiło problemu. Po świętach w środę miałam zajęcia do 20, a on szedł po 20 na skipy, więc wiedziałam, że po powrocie nikogo nie zastanę. Zastałam jednak list. Od razu rzuciłam się do przeczytania – był od Iryda. Pisał w nim, że dłużej nie mógł już wytrzymać i kilka tygodni wcześniej zaczął hormony i zapewniał, że z jego strony nic się nie zmieniło wobec mnie, kocha mnie tak samo i ma nadzieję, że ja go też, chociaż zrozumie każdą moją decyzję. Napisałam mu szybko smsa, że jestem już w domu i przeczytałam, że wszystko będzie dobrze i żeby bezpiecznie

wrócił z „zakupami”. Po powrocie przytuliliśmy się. Nie spodziewałam się, że zacznie hormony w tajemnicy przede mną, choć rozumiałam ten krok. Zapewniłam o pełnym wsparciu, dopytałam się, co to za leki i na wieść o zastrzykach zastrzegłam, że robić ich nie będę. Mdleję na pobraniu krwi, nie czuję się kompetentna w ich robieniu. Okazało się, że robi je dzielnie sam. W kolejnych dniach opowiedział mi o wizycie u słynnego, krakowskiego doktora, o pierwszym zastrzyku robionym w gronie kolegów, którzy jechali na tym samym wozie. Ja się przyznałam do przeczytania czerwonego notesiku. On o nim zapomniał i uznał, że zgubił się przy przewodźce. Notesik gdzieś się zgubił, ale sam list mam do dzisiaj.

Z początku nie aktualizowałam wiedzy moich nielicznych znajomych, ale stawało się to coraz cięższe w rozmowach, więc w pewnym momencie napisałam nowiny Agacie, Danielowi i Ani ze studiów. Było mi dość trudno ująć to w słowa w taki sposób, żeby ktoś spoza tego światka zrozumiał, bałam się również odtrącenia mnie, ale udało się. Wszyscy przyjęli to do wiadomości bez niewygodnych pytań, zaakceptowali świat (i Iryda), jakim jest. Dalszych znajomych, z którymi dzieliło mnie wysyłanie sobie życzeń na święta czy z którymi po prostu chodziłam na zajęcia, nie informowałam. Ale nigdy nie miałam z tymi ludźmi bliższej relacji, nie przejmowałam się tym, czy plotki dotrą, czy też nie. Z matką nie kontaktowałam się od jej nieszczęsnej wizyty, więc nie informowałam jej tym bardziej. Odkąd Piotrek zaczął funkcjonować jako „on”, zyskał w końcu prawdziwych kolegów i przyjaciół. Nasze życie intymne też skorzystało na tym oucie, bo powróciło. Co prawda to bardziej ja otrzymywałam przyjemności, gdyż on nie chciał być dotykany w miejscach intymnych, satysfakcjonowało go moje spełnienie.

Z powodu wspomnianych już problemów finansowych, a także wraz z pojawieniem się nowych kosztów (hormony) i z majaczącymi na horyzoncie innymi (operacje), postanowiłam zmienić coś w swoim życiu, żeby wyjść z kręgu biedy. Wszelakie poradniki oszczędzania zakładały, że ma się z czego oszczędzać. Coraz więcej pojawiało się artykułów na temat tego, że programowanie to przyszłość, że są ciągle rosnące braki kadrowe, a pensje już na start takie, że głowa mała. Przypomniało mi się, z jakim zainteresowaniem o bazach danych mówiła Franka i że wcale nie przedstawiała tego jako coś trudnego, wręcz przeciwnie. Uznałam, że czemu nie. Odpaliłam jakieś darmowe kursy internetowe, znalazłam trochę darmowych poradników i na budżetowym laptopie zaczęłam się uczyć. Szybki rzut oka na oferty pracy, a także analiza kilku wątków na forach internetowych i kilku artykułów spowodowała, że zainteresowałam się robieniem aplikacji na Androida. Rzeczywiście, sporo rzeczy da się tam wyklikać i nie było to takie trudne, jak się wydawało. Poza tym programowanie dałoby mi szansę na szybką emigrację, bo są to umiejętności uniwersalne na cały świat. Myślałam o Australii, bo tam takie czyste powietrze i ciepło. Albo o Norwegii, bo też czyste powietrze. Smog dał mi się we znaki. No i moje kochanie miałoby lepszą opiekę medyczną i miałby na operacje.

Idylla nie trwała jednak długo i została przerwana przez wypadek. Spokojnie, wszyscy żyją i są cali. Już wspominałam, że moje umiejętności kulinarne ograniczają

się do podgrzania sobie zupy lub jednogarnkowego dania z dużą ilością sosu. Była sobota, Iryd poszedł na zajęcia na kursie technika weterynarii i zostawił mi zupę. Zgłodniałam, więc jak zwykle wyjechałam ją na kuchenkę elektryczną, przekręcam palnik, który zrobił się cały czerwony i wydał dźwięk jakby strzału. Żaden inny nie działał, żarówki też nie. Dzwonię do Iryda, odebrał – coming out poprawił umiejętności odbierania telefonu. Na szczęście skończył zajęcia i szybko wrócił do domu. Ciec myślał, że może to korki. No wybiło je, ale ich włączenie poskutkowało buczeniem kuchenki. Wyłączył ponownie i głowił się, co robić. Chciał sam, bez uprawnień, zabierać się do tego, na szczęście Iryd znał kolegę, który był elektrykiem. Ciec oddalił się z ulgą, choć nie wiem, czy bardziej przerażała go wizja odpinania kuchenki na kostkę, czy może my, potwory gender. Najpierw w kawalerce dla pary zamieszkały dwie dziewczyny, a teraz jedna wygląda jak nastoletni chłopak, tak się ubiera i używa męskich form, a do tego przechodzi mutację. Przyjechał rzeczony kolega i odłączył bezpiecznie kuchenkę. Uznał, że elektryka w tym domu to jakiś koszmar. Julia z kolei, pani inżynier ze środowiska LGBTQ+, powiedziała, że mogło pójść po kablach i może ulatniać się czad, należałoby przejrzeć całą instalację. Właściciel nie chciał o tym słyszeć, więc postanowiliśmy znaleźć nowe mieszkanie i następców na obecne. Teraz zrozumieliśmy, dlaczego poprzedni lokatorzy tak się cieszyli z opuszczenia tego mieszkania. Szybko znaleźliśmy chętnych, z mieszkaniem dla nas było gorzej, każde mieszkanie było cenowo poza naszym zasięgiem, mimo że Irydowi właśnie udało się znaleźć pracę na umowę o pracę (cud w Polsce) w IKEI na 3 miesiące z perspektywą na dłużej. Znaleźliśmy kawalerkę na Azorach – 1000 zł ze wszystkim, w tym prądem, tak piekielnie drogim w Krakowie. Pojechaliśmy na miejsce, ubrani jak typowa cisheteroza. Blok z płyty w porządku, a mieszkanie... Miało świeżo wymienione okna. Miało nową toaletę i przedpokój pomalowany w cegłę. Podłoga w pokoju była wylewką betonową przykrytą wylenią wykładziną i starym dywanem, poza tym była szafa ze sklejki na wysoki połysk i rozsuwana kanapa, która pewnie była starsza niż ja. W ciasnej kuchni był nowy zlew, ale stare szafki, w tym szafki wiszące używane jako podłogowe. Na szczęście kuchenka gazowa, więc to nie wybuchnie. W łazience poza toaletą była wanna. Lodówkę właściciel obiecał dowieźć. Wynajem na lewo. Z jednej strony chciało mi się płakać, a z drugiej wiedziałam, że na nic innego nas nie stać i lepiej nie mieszkać z instalacją jadącą na zwarcie od wielu miesięcy, co było przyczyną kosmicznej niedopłaty zimą, i możliwie przepaloną, wzięliśmy więc ją. Pan W. chciał tylko wiedzieć, jak nazywa się jedno z nas, żeby zgłosić administracji i powiedział, że jakby ktoś się pytał, to jesteśmy znajomymi jego córki. Opowiedział nam szczerą historię o sobie i tak naprawdę to on miał do stracenia, jakby ktoś się dowiedział o tym wynajmie, więc wzięliśmy to. Daliśmy moje dane, Iryd przedstawił się jako Piotrek i wróciliśmy się pakować. Kolejnego dnia pojechaliśmy do nowego mieszkania posprzątać, sąsiad Adam, typowy dres budowlaniec, pomógł mu wywalić stary dywan, a ja zajęłam się wycieraniem kurzy. Mimo kilku miesięcy na hormonach sąsiad nic nie podejrzewał i wszyscy mieli nas za zwykłą cisheteroparę. Nikt nie kwestionował Piotrka, gdy

ten się przedstawiał. Szach mat ci, co umieją rozpoznać osoby trans! Dzięki pomocy znajomych znajomej przeprowadziliśmy się w kilka kursów samochodem praktycznie nazajutrz sprzątaniami i tak w czerwcu 2016 zamieszkaliśmy na Azorach. Krakowskich Azorach.

Semestr studiów właśnie się kończył, zdałam go bez problemu, ale postanowiłam je rzucić w diabły i poświęcić się programowaniu. Przeprowadzka uświadomiła mi, ile mamy rzeczy, zaczęłam więc przygotowywać ich inwentarz w ramach przygotowań do emigracji. Sporo rzeczy dorzuciłam do kategorii na sprzedaż i to była moja druga aktywność po nauce programowania. Kanapa nie nadawała się do spania, więc wyrzuciliśmy ją i kupiliśmy materac na Allegro za 140 zł już z dostawą, najtańsze aukcje na Allegro to było coś wtedy, teraz to wszędzie zalewają nas produkty z Aliexpress. Zbliżały się również Światowe Dni Młodzieży i na ten czas właściwie Kraków mieli zamknąć. Wszyscy wiedzieli, że będzie to nie do życia. Postanowiliśmy z Irydem pojechać na wakacje. Od kilku lat na żadnych nie byłam. Znalazłam 10-dniowy nocleg w Czarnej Górze za 500 zł za dwie osoby i przejazd około 80 zł za naszą dwójkę w 2 strony. Czopek został wujkiem Pinena na ten czas, więc pomoc wzajemna to nie tylko kwestie dookoła LGBT+, ale też opieka nad królikiem! Dzień przed wyjazdem był ostatnim dniem pracy Iryda i przyszła smutna wiadomość – nie przedłużą mu umowy. Dyrekcja wykręcała się bzdurami w stylu „Podpierasz brodę ręką”, choć oboje przecuwaliliśmy, że transpłciowy pracownik jest dla nich niewygodny. Jaki inny argument dla osoby zawsze punktualnej i osiągającej najlepsze wyniki sprzedaży? Nie przejęliśmy się i pojechaliśmy na wakacje i tak. Dzięki pracy w IKEI przez 3 miesiące mieliśmy prywatne ubezpieczenie, więc on zrobił badania do tranzycji, a ja – różne inne, które odkładałam w czasie z braku ubezpieczenia, matka w pewnym momencie mnie wypisała. W górach pani właścicielka też wzięła nas za zwykłą cisheteroparę i nawet uznała, że nie będzie brać od nas dowodów, bo przecież jak się przedstawiliśmy, to jej wystarczy. Spodobało nam się odgrywanie zwykłych cisheteronormatywnych osób, całkiem dobra zabawa ten teatr. I widać, ile warte są zapewnienia LGBT-fobów, że „TO widać”. Wakacje były wspaniałe – piękna przyroda, przyjemne spacerowe trasy, dużo czasu razem. Mogliśmy odbudować to, co lekko się ukruszyło. Odżyliśmy naszą bliskość – nie tylko seks, ale też przytulanie się, pocałunki, chodzenie za rękę. Odkąd się wyoutował, to z wielką chęcią chodził ze mną za rękę czy przytulał mnie przy innych ludziach. Ja nigdy nie miałam problemu z przytulaniem się czy chodzeniem za rękę, cieszyłam się, że i u niego ten problem minął. Wakacje jednak dobiegły końca i trzeba było wrócić do krakowskiej rzeczywistości.

Daniel z kolei, widząc nasze problemy, polecił zapisanie się Piotrkowi do pewnej agencji pracy, przez którą jemu dobrze się pracowało w Szczecinie. Jobman istniał też w Krakowie i miał sporo współpracujących sklepów, tak więc Iryd został kasjerem w Tesco, Simply i Makro – gdzie tam akurat zmiana była. O dziwo, mimo tej samej umowy zlecenie, przez agencję dostawało się więcej pieniędzy. Ja zapisałam się na informatykę na Uniwersytet Pedagogiczny, żeby ładnie w CV wyglądało. Zaczęłam masowo wysyłać moją kandydaturę na wszystkie ogłoszenia w Krakowie,

potem też uderzałam bezpośrednio do firm. Julia próbowała mnie polecić u siebie, jednak bezskutecznie. Czasem dzwonił ktoś z HR i na krótkiej rozmowie się to kończyło.

Pieniądze również się kończyły, ale tu znowu z ratunkiem przyszła nam Julia, której nieobca jest idea pomocy wzajemnej – pożyczyła nam co nieco na mieszkanie, czasem przyszła do nas na obiad, uprzednio zrobiwszy zakupy tego, czego nie dawało się zeskipować. Julia była też naszą pralnią, gdyż nasze mieszkanie praktycznie nie miało i o ile ubrania można wyprać ręcznie, o tyle pościel czy ręczniki już ciężko. Często przychodziliśmy z Irydem do niej na Bronowice i pralka prała, a Julia opowiadała nam masę queerowych historii, zarówno o sobie, jak i o innych, nawet te zasłyszane. Wprowadziła mnie również w świat Linuxa, pomogła go zainstalować na naszym zdychającym już laptopie. Na początku grudnia wysłaliśmy pozew wraz z wnioskiem o zwolnienie z kosztów. W Polsce, w celu zmiany oznaczenia płci, czyli uzgodnienia jej, trzeba pozwać swoich rodziców na podstawie jakiegoś naciąganego paragrafu z Kodeksu Cywilnego. Bardzo nie chcieliśmy podawać naszego adresu, wiedzieliśmy też, że w najbliższym czasie wyjedziemy z Krakowa. Tu znowu uratowała nas Julia, używając nam swojego adresu jako korespondencyjnego i biorąc na siebie pełnomocnictwo i obowiązek odbierania przesyłek i skanowania ich Piotrkowi.

Nie mogąc znaleźć pracy w Krakowie, postanowiłam poszukać szczęścia w innych miastach – byle nie w Warszawie. Zaczęłam wysłać CV do trójmiejskich firm i był odzew! Miałam kilka rozmów telefonicznych, po których było milczenie, ale zostałam również zaproszona do 2 firm na rozmowę na żywo. Smog męczył mnie coraz bardziej, postanowiliśmy pojechać z Irydem na 3-4 dni do Trójmiasta, poszukać tam mieszkania, gdyż założyliśmy szczęśliwie, że dostanę którąś pracę. Przypomniało mi się, że kiedyś w Warszawie poznał queerową parę, która mieszka w Gdyni – Sav i Agaresa. Nie wiem, jak Iryd to robi, ale on zna masę ludzi, ja nie potrafię tak ot ich poznać, poza ludźmi ze szkoły – Danielem i Agatą – to reszta moich znajomych to jego znajomi. On zawsze gdzieś pójdzie i kogoś pozna. Zagadał do nich i bez problemu Agares nas przenocował, Sav akurat gdzieś wyjeżdżał. Przyjechaliśmy z walizką rzeczy, które zdeponowaliśmy u Agaresa, zaś pustą walizkę zabraliśmy ze sobą. Osoba będąca naszym gospodarzem pracuje w IT, co też utwierdziło mnie w przekonaniu, że można tam być jednorozcem i wszyscy mają to gdzieś. Swoją drogą jakiś dziwny zbieg okoliczności – zaczęłam o osobach trans mówić jako jednorozcach niewiele wcześniej niż Trans-fuzja zaczęła je umieszczać w różnych grafikach.

Pojechaliśmy do Gdyni tuż przed świętami. Czopek na ten czas przygarnął Pinena. Miałam ugrane 2 rozmowy, pomiędzy którymi planowaliśmy oglądać mieszkania. Na OLX niestety była mieszkaniowa pustka. Znalazło się co nieco, jednak trafiliśmy na dziwnych ludzi, bo jeden pan miał ogłoszenie, ale nie wiedział, czy chce wynająć, sporo było nieaktualnych. Jedno się znalazło, więc je wzięliśmy. Podpisaliśmy umowę będącą kartką papieru, gdzie odręcznie było napisane „Ja, pani XY, wynajmuję mieszkanie przy ulicy Morskiej pani AN”. Ci właściciele też nas wzięli za

cisheteronormatywną parę. Z drugiej rozmowy zadzwoniono dzień po niej i poinformowano mnie, że dostałam pracę. Byłam w takim szoku, że aż musiałam usiąść na schodach i z Piotrkim trochę tam posiedzieliśmy.

Wróciliśmy do Krakowa dzień przed Wigilią, od razu zaczęliśmy gotować barszcz i nastawiliśmy kotlety sojowe po grecku. Kolejnego dnia organizowaliśmy Wigilię w naszym małym mieszkanku dla naszych znajomych, którzy też nie mają rodziny, a genetyczna się nie liczy. Przyszła Jula, przyszedł też Racuch i Mania, stężenie LGBT+ przekroczyło normy pomiarowe. Każdy przyniósł coś do jedzenia, poza wspomnianymi potrawami były paszteciki z soczewicą, piernik i pomarańcze. Śpiewaliśmy kolędy, radowaliśmy się. Było to też pożegnanie z krakowskimi znajomymi, krakowskim życiem. Na 30 grudnia mieliśmy zakupione bilety do Trójmiasta, mimo że pracę miałam od lutego, gdyż chcieliśmy nowy rok zacząć w nowym miejscu. Po Wigilii trzeba było zacząć się pakować. Nie mieliśmy pieniędzy na wysłanie wszystkiego kurierem, więc kupiliśmy na Allegro 2 torby o najlepszym stosunku pojemność-cena, czyli dwie 200-litrowe torby materiałowe. Oprócz tego mieliśmy walizkę zakupioną przed wyjazdem w góry, dużą brązową torbę i niezliczone ilości toreb plastikowych i materiałowych. A ręce zaledwie dwie. Czarne torby były jak czarne dziury, niby wpakowaliśmy tam tyle rzeczy, a jeszcze się mieściły. W końcu udało nam się zapakować, materac zrolowaliśmy i owinęliśmy folią spożywczą, w klatkę królika wsadziliśmy dokumenty i inne rzeczy, by dobić do 30 kg – to była ta jedna paczka, na którą było nas stać i po którą pan kurier nie przyjechał. Na szczęście szybko znaleźli się znajomi, którzy ją przejęli i po dobieciu się do firmy kurierskiej została odebrana kilka dni później. A my z naszymi tobołkami – finalnie dwie torby po 200 litrów, jedna walizka 100 l, materac, brązowa torba, torba z laptopem, 3 plecaki, torba z IKEI i transporter królika, ja w kapeluszu z Wietnamu, wyruszyliśmy w drogę. Pan W. nas podwiózł swoim wanem na dworzec, naprawdę równy gość. Jakoś wpełchnęliśmy się do pociągu, a pana konduktora wbiło w podłogę. Powiedział, że nie można tak zastawić przedziału, ale nie był chętny na wyniesienie torby, więc Piotrek przeniósł je na przód wagonu, gdzie była lokomotywa i tam sobie przycupnął, a ja usiadłam na moim miejscu z królikiem pod nogami i plecakiem na kolanach. Współpasażerowie nam kibicowali mimo początkowych trudności, pan konduktor się obraził i sobie poszedł, a drugi powiedział, że musimy kupić bilety bagażowe, ale wagonu bagażowego i tak nie ma. W końcu nie przyszedł zrealizować tej transakcji. Po kilku godzinach dobiliśmy do Gdyni i jakoś wytarambaniliśmy się z pociągu. Byłam taka szczęśliwa, stawiając nogę na peronie jak nigdy! I w końcu wiatr i świeże powietrze. Dopelnieniem sceny była podeszwa, która odpadła mi od kozaka po wyjściu z pociągu. Stałam tak sobie z rzeczami, podczas gdy Piotrek wraz z kolejnym znajomym znajomego nosił rzeczy do jego samochodu. Po kilku kursach udało się, wcisnęliśmy się do auta i po paru minutach byliśmy na miejscu. Wnieśliśmy nasze rzeczy, byłam przeszczęśliwa. Rozprostowaliśmy materac, żeby było na czym spać, wypakowaliśmy pościel i inne, niezbędne rzeczy, puściliśmy Pinena, by rozprostował nogi, po czym zjedliśmy i padliśmy na materac.

Trójmiasto

Mieszkanie w Trójmieście było awansem lokalowym, gdyż składało się z małego pokoiku, który był naszą sypialnią, łazienki z pralką i prysznicem oraz sporego salonu z aneksem kuchennym. Poza szafkami kuchennymi i szafie w zabudowie nie miał mebli, ale znaleźliśmy darmowe krzesła i stół, więc można było żyć. Poza tym znajdowało się tuż nad biblioteką, co jest marzeniem dla takiego mola książkowego jak ja. Jobman w Trójmieście nie działał, więc Iryd w nowej „odsłonie” wrócił do Greenpeace. Ja wkrótce rozpoczęłam pracę. Szłam około 10 minut na przystanek SKM, wsiadałam na stacji Gdynia Stocznia i po półgodzinnej trasie wysiadałam na Wrzeszczu, skąd miałam około 10-15 minut spacerem do biura. Nie przybliżałam współpracownikom siebie i mojego życia, dla nich odgrywałam rolę zwykłej dziewczyny, która ma chłopaka, tak normalnie w ich pojęciu, w pojęciu ogólnospołecznym. W pracy rozmawiałam na tematy jej dotyczące lub się nie odzywałam, zatapiając się w słuchaniu muzyki. Już na początku spostrzegłam, że wcale dużo nie umiem, ale chyba zespół wyszedł z tego założenia i przyuczuli mnie do wymaganych zadań. Po kilku miesiącach trochę intensywnej pracy nastąpiła stagnacja i brak zadań, nierzadko przychodziło się do pracy i nie było nic szczególnego do roboty. Płacili mi za to, że jestem tam określoną ilość godzin i wykonam jakieś zadania w tym czasie, więc nie narzekałam na pojawiające się braki zajęć, zawsze można było otworzyć jakieś mądre artykuły i je przeczytać albo przynajmniej udawać. Wśród moich pracowników wzrósł wówczas poziom dyskusji, ja jednak dalej pozostawałam milcząca, czemu sprzyjało umiejscowienie mojego biurka. Pracowałam z samymi facetami, takimi normatywnymi – żony/dziewczyny, dzieci, mieszkanie na kredyt, gry, technologie – to były ich główne zainteresowania. W mediach nie było jakiegóż szczególnej nagonki na grupy społeczne, nie było tematów pobudzających do dyskusji poza reformą edukacji, więc też i dyskusje nie dotyczyły tych tematów. O wiele więcej mówiono o zmianach w firmie i o zaplanowanej na wrzesień przeprowadzce biura. A najwięcej to chyba o kredytach – każdy albo spłacał, albo przymierzał się do zakupu mieszkania na kredyt. Tu też pojawiło się niezrozumienie, dlaczego ja nie chcę kredytu, jak można nie chcieć kredytu. A samochodu też nie chciałam, to też było niepojęte. A ja lubię transport zbiorowy, cenię środowisko i nie lubię jeździć samochodem, a zagrożeniem dla ruchu jestem już jako pieszy, więc za kółkiem to wolę nie myśleć, bałabym się. Na urodziny jubilat przynosił ciasto, więc kiedyś oznajmiłam, że jestem weganą. Odpowiedzieli mi, że nie znają tak radykalnej osoby! To już był szok kulturowy!

Sąd w Szczecinie jest szybki, więc pierwsza rozprawa Piotrka przypadła na 22 lutego. Dość niefortunnie po moich urodzinach, które musiałam spędzić sama, gdyż już 21 musiał pojechać do Szczecina. Rodzice oczywiście byli przeciwko i wynajęli adwokata, który pisał wielostronicowe pisma. Zaczęli pisać wnioski o ubezwłasnowolnienie, o wezwanie kilku świadków, o odrzucenie opinii jako nierzetelnych i o całą masę niezwiązanych ze sprawą rzeczy. Jako poparcie swoich tez, że ich dziecko jest

normalną dziewczynką, wysłali ogromny album ze zdjęciami z dzieciństwa, gdzie były zdjęcia z urodzin czy świąt, a także zdjęcie ogromnej figury Maryi w domu i słynne już zdjęcie z jesiorem. To było zdjęcie z Wigilii, gdzie Piotrek miał może 4-5 lat i wraz z kuzynem stali przy stole, zaś na pierwszym planie był jesiorek na stole. Znając przebieg spraw w tym sądzie mieliśmy nadzieję na szybki koniec, jednak nie nastąpiło to. Dzień urodzin przesiedziałam w pracy ze ściśniętym żołądkiem, w domu ledwo zjadłam zupę i kanapkę, po czym poszłam spać. Kolejnego dnia denerwowałam się samą rozprawą, czułam poniekąd to, co czuł mój ukochany, nasza więź jest dość silna i często czujemy uczucia drugiej osoby, nawet na odległość. Bałam się również, że rodzice będą usiłovali go porwać, nigdy nie wiadomo, na co stać ludzi skrywających takie pokłady autorytaryzmu i agresji pod garniturem. Na szczęście Julia przyjechała z Krakowa do Szczecina jako świadek, więc to było jakimś gwarantem dla mnie. Nie czułam się na siłach psychicznie, by być świadkiem, by spotykać się z jego rodzicami, zresztą podważaliby to, gdyż podkreślali to cały czas, również w pismach do sądu, że to przeze mnie ich dziecko jest „nienormalne”, że jestem przemocowa, niezrównoważona i że to ja zmuszam do korekty płci dla swoich korzyści. Przed południem, tuż po rozprawie Piotrek zadzwonił do mnie i powiedział, że będą kolejne i że lecą z Julą na pociąg. Odebrałam ich po pracy z dworca w Gdyni, byłam dość niemila dla nich z powodu zmęczenia psychicznego i fizycznego, tak niestety funkcjonuję. Jednak ciepły posiłek i trochę przytulania poprawiło mój nastrój i moje samopoczucie. Wiadomo było, że będą kolejne 2 rozprawy w maju, dzień po dniu, gdyż będą wtedy wzywani świadkowie zaproponowani przez rodziców, w międzyczasie miało być przesłuchanie on-line Krzyśka, kolegi Piotrka z Krakowa, gdyż nie miał on ochoty na pokonywanie całej Polski pociągami, gdy mógł pomóc w sprawie na miejscu. Krzysiek jest kilkanaście lat starszy od nas, ma dzieci i jest wierzący, więc któregoś razu chciał wytłumaczyć rodzicom Piotrka, mając nadzieję na wspólne pole do rozmów jak rodzic z rodzicami, jak chrześcijanin z chrześcijanami, jednak po kilku tygodniach długich dyskusji poddał się, nic nie docierało i oni dalej jak zdarta płyta uważali „Kasia jest w sekcie przez tą całą Anię! Ona ją zmusza! Nie ma czegoś takiego. Czemu ONA nam to robi?!“

Lekko zawiedzeni i przerażeni przebiegiem sprawy żyliśmy dalej, zwłaszcza że na dniach mijał miesiąc pracy i miała przyjść pensja, i to taka, której nigdy wcześniej nie widziałam. W dniu otrzymania jej rozwalili mi się buty w drodze do pracy, więc po wyjściu z biura poszliśmy z Irydem na tournée po sklepach. Po raz pierwszy kupiliśmy sobie takie buty i ubrania, na jakie mieliśmy ochotę. Wróciliśmy do domu bogatsi o kilka ogromnych siatek i ubożsi o kilkaset złotych. Była wtedy moda na jednorożce, więc kupiłam chyba wszystkie koszulki, gdzie były obecne, uwielbiam jednorożce! Poza tym kupiłam uroczą sukienkę. Po kilkunastu dniach poszliśmy do innego sklepu i też zaopatrzyliśmy się w trochę ubrań, w końcu stare zaczęły się przecierać, a nie można chodzić ciągle w 4 bluzkach. Poza tym po raz pierwszy mogłam w sklepie kupić sobie takie jedzenie, na jakie miałam ochotę. Mogłam kupić lepszej jakości dżem, spróbować kremu z kasztanów czy kupić orzechy. Piotrek mógł sobie

kupić kielbaski sojowe. Po opłaceniu mieszkania pomimo tych wydatków i tak została jeszcze niezła sumka, którą zaczęliśmy odkładać na poczet przyszłych wydatków zdrowotnych i planowanej emigracji. Gdy było trzeba, dzieliliśmy się pieniędzmi – na przykład Julia straciła pracę i brakowało jej, więc bez problemu przelaliśmy jej pieniądze na pomoc w opłatach.

W Trójmieście odżyło moje życie społeczne, głównie dzięki Tolerado. Dzięki grupom wsparcia można poznać ludzi, można wymienić się informacjami, ale też otrzymać wsparcie. Poza tym działają oni na korzyść widoczności osób LGBT+, starają się prowadzić akcje edukacyjne, co jest nie lada wyzwaniem na polskiej ziemi. Grupa wsparcia dla osób trans, gdzie chodziliśmy od końca stycznia, była również nieocenionym wsparciem w tym trudnym czasie rozpraw. Poczulałam wtedy, że nie jestem sama, że masa ludzi przeszła przez ten proces, nawet jeśli mieli mniej wojujących rodziców. Każdego z nas w jakiś sposób dotknęła LGBT-fobia i ta jedność, ta solidarność dają ogromne wsparcie i siłę do kolejnego kroku, dają również okazję do uporania się z nierozwiązanymi dotąd problemami, do wygadania się. Spotkania miały miejsce zaledwie raz w miesiącu, ale to już było coś. Poznaliśmy tam A., Karolinę i Konrada, z którymi byliśmy w kontakcie poza spotkaniami. Od razu załapałam kontakt z ludźmi tam. Zwłaszcza zaprzyjaźniliśmy się z A. Często zapraszaliśmy go do siebie, gdyż oboje z Irydem wolimy spotkać się w domu przy cieście i herbacie czy dobrym obiedzie, co nasi goście zawsze doceniają. A. chętnie do nas przychodził, gdyż mógł wtedy odpocząć od swojej siostry i jej chłopaka, coraz bardziej zaczynałam uczestniczyć w rozmowach, a nie tylko im się przysłuchiwać. A. jest typowym gejem o przeteatralizowanych manierach, częstym bywalcem galerii handlowych, skąd dostał od nas przydomek Galerianka, sam zaś mówił o sobie kilometrówka – czyli taki gej, że na kilometr widać, że nim jest. Opowiadaliśmy sobie głównie o codziennym życiu, choć nie brakowało historii o nieszczęśliwych miłościach z przeszłości i teraźniejszości. Najczęściej spotykaliśmy się we trójkę, dalej jakoś nie umiałam ani sama poznać ludzi, ani sama się z nimi spotkać. Do tego część ludzi zapomniała, że telefon ma funkcję dzwonięcia i sms-owania, więc jak nie ma cię na Facebooku, to nie umieją się skontaktować, a ja świeżo usunęłam konto z powodu masy nieprzyjemnych wiadomości z mnogich fikcyjnych kont tworzonych przez rodziców Piotrka.

W Gdyni na Morskiej mieszkaliśmy 3 miesiące, gdyż właściciele zaczęli nam wypominać, że za dużo pierzemy, za dużo używamy piekarnika i inne rzeczy, mimo zapewnień, że możemy dopłacić ten nadmiar. Poza tym męczyły mnie ciągle awarie SKM, postanowiliśmy więc poszukać czegoś nowego. Znaleźliśmy dwupokojowe mieszkanie na Stogach z widokiem na Martwą Wisłę w cenie zbliżonej do obecnego lokum, więc przeprowadziliśmy się z pomocą Karoliny i jej samochodu. Mieliśmy wprawę w pakowaniu się, więc raz-dwa to uczyniliśmy i tak w kwietniu 2017 zamieszkaliśmy w Gdańsku. Mieliśmy sypialnię, łazienkę z wanną, przejściowy salon ze stołem i krzesłami i osobną kuchnię. Tramwaje jeździły częściej, więc szybciej byłam w domu, mimo zdarzających się awarii tramwajowych. Kupiliśmy

mi rower, Piotrek swój przewiózł z Krakowa do Trójmiasta za pośrednictwem znajomej, mogliśmy więc jeździć na wycieczki, gdyż była tam piękna trasa rowerowa. Zbliżał się maj, czas rozprawy, ale też czas marszu równości. Po raz pierwszy się na niego wybierałam. W Warszawie bałam się iść z powodu zawsze obecnych, niebezpiecznych kontrmanifestacji, w Krakowie akurat w dzień marszu był ogromny smog, a później ulewa, a także ataki kontrmanifestantów. Dopiero po fakcie dowiedziałam się, że można było jakoś zaangażować się w przygotowania, obiecałam sobie pamiętać o tym na przyszły rok. Na kilka dni przed marszem miały jednak miejsce rozprawy. Piotrek pojechał rano na pierwszą z nich, miał przenocować u znajomej i kolejnego dnia, po drugiej, wrócić do domu. Tę rozłąkę zniosłam o wiele gorzej niż poprzednią. Wmuszałam w siebie żupę, byle coś zjeść, starałam się posiedzieć jak najdłużej w pracy (godziny były elastyczne, więc nadmiar można było sobie odebrać innego dnia), co było trudne, gdyż nie było zadań do robienia. Oczekiwałam na informacje. Tym razem część wezwanych świadków odmówiła zeznań, zaś jedna kuzynka z ciotką naradziły się, co zeznawać, ale im nie wyszło, bo chcieli wspomnieć, że mieli niedawny kontakt, w czasach gimnazjum, które zeznali, że było w 2002 roku, kiedy to Iryd dopiero co zaczynał podstawówkę. Sąd chyba odrzucił te zeznania jako nic niewnoszące, odrzucił te zdjęcia z jesiotrem jako dowody i wyznaczył jednego biegłego, nie 5, jak żądali rodzice. Dobrze, że mój ukochany zna wszystkich wszędzie i pozapraszał znajomych w roli publiki, gdyż rodzice wraz z ciotką i kuzynką chcieli zabarykadować drzwi i go nie wypuścić, dopóki nie pójdzie gdzieś z nimi, na co nie miał ochoty i z pomocą znajomych wyrwali się z tej barykady. Odebrałam go z dworca w Gdańsku, padliśmy sobie w ramiona, ja cała zapłakana i zmęczona i pojechaliśmy do domu, gdzie zjadłam i poszłam spać, by odespać te nerwy. Teraz trzeba było czekać na wskazanie biegłego i umówienie się z nim.

Zaraz jednak był marsz, co odgoniło smutki. Ubrałam się kolorowo, we włosy wpięłam kwiaty i pojechaliśmy z Niną, również z grupy wsparcia, na marsz. W Polsce jednak lepiej iść w grupie na takie wydarzenie. Na miejscu spotkaliśmy wielu znajomych, kupiliśmy małą flagę, wzięliśmy też darmowe papierowe i wyruszyliśmy. Czułam się szczęśliwa, czułam się dumna z tego, że tu jestem, pośród tylu wspaniałych osób! Była muzyka, był Obóz Tęczowo-Radykalny z balonami w kształcie jednoróżców, było dużo radości i szczęścia. Ludzie machali flagami, tańczyli, skandowali hasła takie jak „Miłość! Równość! Tolerancja!”. Wesołe, radosne wydarzenie. Sama trasa marszu nie była długa – od okolic Zaspas SKM do Galerii Manhattan, ten czas płynął wolno, ale marsz też szybko się zakończył. Wzdłuż marszu cały czas „towarzyszyły” nam kontrmanifestacje – smutni, pełni agresji ludzie ubrani w koszulki z husarią, Polską Walczącą, idolami ONR, z białymi transparentami pełnymi nienawistnych haseł. Były oczywiście klasyki, czyli „Zakaz pedałowania” i „Tacy chcą edukować Twoje dzieci”. Wykrzykiwali coś w naszym kierunku, jednak śpiewy marszu równości były głośniejsze. Starłam się iść bardziej w środku, nie z brzegu, gdyż zdarza się, że kontrmanifestanci kogoś oplują czy szarpną. Próbowali się wdrzeć do nas, ale policja

ich powstrzymała. Marsz zakończył się podziękowaniami organizatorów, ale również nienawistnym, przeogromnym transparentem wywieszonym na pobliskim wieżowcu, treści już nie pamiętam. Coś, co mnie poruszyło, to to, że po pożegnaniu organizatorów w przeciągu zaledwie kilku minut marsz jakby rozpląnął się w powietrzu. Zniknęły flagi, ludzie się ulotnili. W kilka osób udaliśmy się w kierunku samochodu Niny, w duchu mając nadzieję, że nikt nas nie pobije, nie opluje, nie rzuci w nas niczym – słowem nie zaatakuje. W tym szybkim zniknięciu marszu widać i czuć było strach. Jak jesteśmy sporą grupą, jesteśmy silni, ale jak się rozdzielamy – to lepiej się wtopić w tłum. Naprawdę, nie wiem jak kilka tysięcy ludzi w przeciągu kilku minut się tak szybko rozeszło. Szczęśliwie dotarliśmy do auta i wróciliśmy do domu. Na marszu zaczęły mnie 2 dziewczyny z pracy, które pracowały w zupełnie innym zespole. W pracy później uśmiechaliśmy się do siebie porozumiewawczo, ale one też raczej kryły się z tym, że poszły na takie wydarzenie. Środowisko IT jest jednak dość konserwatywne społecznie i może akurat moi współpracownicy nie byli tymi, co wykrzykiwaliby hasła, ale niezbyt podobał im się „zgniły Zachód”, „multi-kulti” czy „lewactwo”. Koleżanki z marszu wkrótce zmieniły pracę, ale było to związane ze zmianami w firmie.

Sam coming out polepszył życie seksualne moje i Iryda, ale pozbycie się lęków finansowych dzięki znalezieniu pracy również dołożyło swoją cegiełkę. Częściej dochodziło do zbliżeń, ale jednak czegoś mu brakowało, zapragnął bowiem kupić sobie protezę strap-on 3w1, czyli do noszenia, zabawy i sikania. Po kilku tygodniach przyszła i cóż, należałoby ją przetestować. Nie podeszłam jakoś szczególnie entuzjastycznie do tego, ale nie było to coś, co mnie bolało, co mi przeszkadzało. Dalej uprawiałam seks z tą samą osobą, tylko z „elementem dodatkowym”, jak to określiliśmy. Przyjemnie mnie zaskoczyło owo „akcesorium do Iryda” (kolejne nasze określenie), jednak nie zostałam wierną fanką takiego rozwiązania, w przeciwieństwie do mojego ukochanego. Od tamtego momentu zabawki erotyczne to jego hobby. Na początku używaliśmy tego częściej, jak to z każdą nowością, poza tym dawało to spory komfort psychiczny mojej miłości, ale nie zapomnieliśmy o naszych poprzednich fantazjach i zabawach. Drobnym zgrzyt w naszej seksualności pojawił się po spotkaniu z panem biegłym, specjalistą w zakresie seksuologii i przestępstw seksualnych. Ciekawy wybór, czy transpłciowość została przestępstwem? Iryd nie chciał za dużo o tym rozmawiać, gdyż przez ponad 4 godziny czuł się molestowany tą rozmową, tak intymne pytania były zadawane. Dodajmy do tego miejsce spotkania, czyli salka przy parafii w Gdyni Cisowej i mamy niechęć do jakichkolwiek aktywności seksualnych na długi czas gwarantowany. Nie przeszkadzała mi ta chwilowa abstynencja, działałam w taki sposób, że często sama z siebie nie mam takich potrzeb, najczęściej jest ona wynikiem bliskości – czy to długiego przytulania się, czy to całowania, takie włączniki. Nigdy się nie masturbowałam, nie miałam takiej potrzeby, nie miałam też potrzeby odkrywania swojego ciała. Tak naprawdę moje ciało odkrywał Iryd, a ja odkrywałam jego. Teraz odkrywałam je na nowo. Hormony zmieniają ciało, to nie tylko pojawiająca się broda, gęstniejące owłosienie na nogach czy pojawiające się na brzuchu, to również

zmiany w obrębie genitaliów. Lechtaczka trochę wzrasta, co wraz z bujnymi włosami łonowymi zaczęło mi przypominać... mysz morską. Zaczęliśmy na nią mówić mysza i do dzisiaj tak mówimy. Chyba alternatywne określenia pozwalają pomniejszyć dysfориę czy też popracować nad pewnymi aspektami samoakceptacji. Pozwoliły mi też z większą otwartością mówić o moich potrzebach i fantazjach erotycznych, choć dalej ta sfera życia jest dla mnie bardzo intymna i dzielę się nią tylko z Piotrkim. Nie przeszkadza mi, jak ktoś porusza kwestie swojego życia seksualnego, nie przeszkadzają mi opowieści wielu osób wokół mnie, jednak sama nie chcę dzielić się moim doświadczeniem.

Jakoś w tamtym okresie, choć jest trudno wskazać mi z którym konkretnie, Iryd zaczął do mnie mówić Bułka, ja też o sobie zaczęłam mówić używając tego pseudonimu. Jest mi o wiele bardziej komfortowo przedstawić się jako Bułka niż moim imieniem, którego używam od urodzenia. Pod taką formą istnieję dla wielu znajomych, gdy o mnie Piotrek mówi, to mówi o Bulce. Poczulałam, że dość przypadkowy z początku pseudonim jest bardziej spójny ze mną. Już kilka lat wcześniej myślałam nad zmianą imienia na jakieś inne, nawet tak w użytkowaniu, w nieużywanym praktycznie nigdzie dowodzie może sobie być, co chce, ale jakoś żadne do mnie nie przemawiało. Przejście do bycia Bułką było takie naturalne, samoistne. Jak tak o tym bardziej pomyślę, to już w dzieciństwie chciałam nazywać się jakoś bardziej niekonwencjonalnie. Pamiętam, że byłam kiedyś na przedstawieniu baletowym wyższych roczników i zapowiadała je dziewczyna imieniem Delfina, wtedy tak mi się to spodobało, że chciałam się tak nazywać, co rozbawiło moją mamę i tyle w temacie. Teraz już tak nie chcę, teraz wolę Bułka. Jest to jakiś sposób wyrażenia mnie, moja własna kategoria wpadająca gdzieś do queeru. O wielu rzeczach, na przykład o ubraniach, teraz mówię, że są bułkowe lub niebułkowe. W tamtym okresie po raz pierwszy dobrze poczułam się w ubraniach, bo sama je sobie wybierałam – koszulki w jednorożce czy kwiaty, długie, kwieciste spódnice, kolorowe, proste spodnie. Żadnego podkreślania talii, biustu (na szczęście dalej płaskiego), nóg. Bez dekolców, koronek i innych damskich uduziwnień. Uwolniłam się od tego społecznego genderowania odzieży i zaczęłam kupować to, co mi się podoba. Najczęściej jednak na dziecięcym, bo jestem drobnej budowy i te ubrania są na mnie w dobrym rozmiarze. Czasem coś na damskim. Na męskim chciałam kiedyś kupić koszulkę, ale była o wiele za duża. Dalej moimi ulubionymi sklepami były lumpeksy i kosze za 3 złote, perełki można tam znaleźć. Wpisana w dowodzie płeć mi nie robi, to jakiś kawałek plastiku nieistotny dla mnie. Płeć jest taką samą kategorią tam jak wzrost czy miejsce urodzenia – jakaś rubryczka do wpisania, gdzie trzeba wybrać element z jakiegoś zakresu. Za to społecznie zmienia to o wiele więcej, może dlatego tak dobrze czuję się wśród innych ludzi ze środowiska, tam mogę być taka, jaka jestem, bez odgrywania sztucznie narzuconych ról. Aktorką w szkolnych przedstawieniach byłam bardzo dobrą, ale w życiu coś nie wychodzi, bo dalej wypadam ze społeczeństwa. Za to wpadam do społeczności LGBT+ i jest mi tu dobrze, komfortowo, przyjaźnie, czuję się wolna. Moja tożsamość czy orientacja, mój sposób bycia nie stanowią problemu. Możemy

się razem nabijać ze stereotypów, z toksycznej męskości i kobiecości dookoła, z tych sztucznych podziałów ról, cech charakteru, ubrań, kosmetyków i innych na bazie sztywno przyjętych kategorii. Odkąd zaczęłam chodzić na grupę Tolerado, zaczęłam coraz bardziej czuć się częścią tego środowiska, czuć się jak u siebie, jak w opisywanej wszędzie rodzinie. Daje mi to poczucie przynależności do jakiejś grupy, mam na kogo liczyć w razie ewentualnych problemów, osoby zawsze okazują zrozumienie i wsparcie najlepiej jak potrafią.

Któregoś razu w internecie natrafiłam na komiks na temat demiseksualności⁶. Przeczytałam go raz, potem drugi i wydawało mi się to znajome. Przecież to ja tak funkcjonuję! Poczułam ulgę, że takich osób jak ja jest więcej, że nie jestem takim dziwadłem, jak to słyszałam wiele razy. Zrozumiałam siebie, rozumiałam powód braku mojego pociągu do ogółu, a jego istnienie wobec Iryda, poznałam źródło moich problemów w relacjach z innymi ludźmi, w końcu stało się jasne, dlaczego nie działają na mnie wątki erotyczne w literaturze czy filmach. Poczułam również radość, gdyż ktoś nazwał to zjawisko, a nazwy zawsze przemawiają do ludzi bardziej niż opisy, ktoś zilustrował i przedstawił je w sposób niezwykle prosty, jasny i przystępny. Pojawiła się nadzieja, że w naszym przeseksualizowanym świecie, gdzie seks często jest produktem, jest towarem niczym gotowe danie, ludzie rozumieją tę ideę, przestaną szydzić z osób ze spektrum aseksualności, co dzieje się nie tylko poza środowiskiem, ale też i w samym środowisku LGBTQ+. Jest to bardzo przykre zjawisko – zamiast się wspierać, trzymać razem – robimy podziały. Od razu podzieliłam się tym komiksem i odkryciem z Irydem. Stwierdził, że rzeczywiście wszystko pasuje idealnie. Z nikim więcej nie podzieliłam się tą informacją, gdyż jestem osobą dość skrytą, nie czułam również takiej potrzeby – ludzie dookoła mnie wiedzą, że jestem z Irydem i czasem uważają nas za zwykłą cisheteroparę (jak na przykład w mojej pracy), ludzie ze środowiska wiedzą o jego transpłciowości i co myślą o mnie – pojęcia nie mam, ale nie obchodzi mnie to. Nie potrzebowałam dzielić się to informacją z obawy o zbagatelizowanie tego, wszak często uważa się, że spektrum aseksualizmu, w tym sam demiseksualizm, jest czymś nienaturalnym, pewnie wynikającym z braku odpowiednich doświadczeń. Nie miałam wówczas sił na takie dyskusje. Nie jest to tajemnica, więc jakby ktoś się mnie zapytał, to powiedziałabym tej osobie. W sumie teraz po raz pierwszy upubliczniam tę informację. Tak, jestem demiseksualna. Jestem demiseksualną Bułką.

Jakoś latem/jesienią na Tolerado przyszła oryginalna para – Łucjan i Zuza. Zuza siedziała cicho wpatrzona w swoje buty, a Łucjan gadał jak najęty, często mówiąc w superlatywach o Zuzi. To był czas, kiedy coraz mniej ludzi przychodziło na grupę wsparcia, zawsze byłam ja, Iryd, Konrad, Karolina, czasem przychodziło kilka innych osób, często jednak byli ludzie, którzy przychodzili jednorazowo. Nie przeszkadzało to nam, po grupie najczęściej kontynuowaliśmy spotkanie w jakimkolwiek pobliskim barze, pizzerii czy falafelowni. Po tym spotkaniu wracaliśmy tramwajem z Łucjanem

6 <https://planamag.com/confessions-of-a-demisexual/>

i Zużę, gdyż jako uczniowie Liceum Plastycznego mieszkali w bursie koło Galerii Madison. Szybko załapałam wspólny język z Łucjanem, Iryd też, i byliśmy w kontakcie. Odwiedziliśmy ich kilka razy w bursie, pokazali nam swoje potajemnie hodowane patyczaki. Dowiedziałam się, że w Plastyku można funkcjonować, jak się chce, to bardzo tolerancyjna szkoła była, jak na artystyczną przystało. Z racji innych trybów życia – oni w szkole średniej, my w pracy, nie mieliśmy zbyt wielu okazji do spotkań, bo w bursie trzeba było wrócić do 20, goście też byli limitowani... Jesienią za to poznałam Antka. Poznali się z Irydem w Krakowie, ale zmęczyły go studia w mieście Kraka, postanowił więc wrócić do rodzinnej Gdyni i tu zacząć jeszcze raz kolejne studia. Za pierwszym razem przestraszyłam się go – chudy, łysy człowiek, który w tak subtelny sposób parodiował typowe polskie postawy, na przykład jak typowy dres przykucnął i jadł ciasto, do tego komentując, że myślałam, że on tak na serio. Dopiero niedługo później się dowiedziałam, że on ma taki sposób bycia, że parodiuje wiele rzeczy. Antek przy okazji przywiózł nam pozostawioną u znajomych torbę rzeczy, większość z nich to były książki, które trafiły na sprzedaż na OLX. W dalszym ciągu, w ramach przygotowań emigracyjnych, sprzedawaliśmy zbędne przedmioty.

W Trójmieście zauważyłam powoli wzrastającą falę nienawiści. Kontrmanifestacja na marszu równości to coś oczywistego w Polsce, jednak mimo dobrego passingu Iryda, czyli uchodzenia w społeczeństwie za pleć odczuwaną, często słyszałam krzyki „Pedal” w transporcie miejskim w środku dnia czy też „Ej patrz, lesby!” na nasz widok na plaży w niedzielne popołudnie. Z biegiem czasu pojawiało się więcej takich krzyków. Zazwyczaj ignorowaliśmy je, oddalaliśmy się od autora, żeby go nie prowokować, gdyż w starciu z dressem spędzającym całe dni na siłce mieliśmy niewielkie szanse, a nigdy nie wiadomo, kiedy postanowi komuś przyłożyć.

Źle zaczynało dziać się w firmie. Wraz ze zmianą budynku weszła w życie zmiana centralnej dyirekcji gdzieś w USA czy UK, która postanowiła wprowadzić swoje porządki. Zaczęły się zwolnienia, co odbijało się na mojej psychice. Wszyscy podejrzewali, że nasz zespół jest kolejny do odstrzału, ponieważ nie wytwarzaliśmy nic nowego od dłuższego czasu. Staraliśmy się robić wszystko, co możliwe, by przetrwać tę burzę. Do tego został zatrudniony nowy członek zespołu, który był na ostatnim roku studiów, roczne doświadczenie, a rozporządzał wszystkimi i projektem, jakby był szefem. Wszyscy bali mu się sprzeciwić albo nie chciało im się i robili, co chciał. Mnie bardzo się czepiał z powodu swojej mizoginii, którą aż epatował. Wolę nie myśleć, co by było, gdyby wiedział więcej o mnie. Dotychczas mój zespół cenił mnie jako pracownika, cenił moją pracowitość i skrupulatność, nowy kolega czepiał się wszystkiego, nawet tego, że nie podoba mu się niemająca żadnego znaczenia nazwa pliku czy zmiennej. Praca zaczynała mnie coraz bardziej męczyć psychicznie, coraz częściej odliczałam czas do wyjścia, do weekendu. Próbowалаm czegoś szukać, niestety bez skutku. A nie mogliśmy ruszyć się z Polski, póki Iryd nie zmieni danych i póki nie podda się histerekomii z powodu ogromnej dysforii i pojawiających się problemów ze strony tych narządów.

Moja wrażliwa psychika została poddana kolejnej próbie. Postanowiłam dać szansę matce. Wymieniłam z nią kilka maili, ona zaś po kilku tygodniach przyjechała do Gdańska, mimo mojej prośby, by odnawiać kontakt stopniowo. Na szczęście nocowała w ośrodku pracowniczym, ogromna ulga. Nie musiałam jej outować Iryda, gdyż sama znalazła na Facebooku, chyba już wspominałam, że uwielbia przekopywać internet i śledzić innych. Spotkałam się z nią na mieście i rozmowa była trochę o niczym, a trochę w tonie „Dlaczego mi to zrobiłaś?”. Czułam się źle na tym spotkaniu, chciałam uciec. Myślałam, że moja matka się zmieniła, że coś zrozumiała, jednak były to tylko złudzenia. Pamiętam, że kolejny dzień był wolny w firmie, ale powiedziałam, że pracuję, żeby nie musieć się spotykać. Na szczęście przyjechała na krótko, więc szybko pojechała. Odchorowywałam spotkanie z nią, Iryd kupił mi krople walerianowe na uspokojenie, które od tego momentu nosiłam też do pracy, by ulżyły mi w stresie.

Na domiar złego w naszym mieszkaniu po pół roku naszej obecności pojawił się grzyb, a raczej był tam cały czas, tylko jakiś czas temu ktoś go zamalował i teraz się ujawnił. Nauczeni życia na wynajmie poinformowaliśmy właścicieli, że się wyprowadzamy za miesiąc, jak było w umowie wskazane, i zaczęliśmy szukać innego lokum. Ceny podskoczyły gwałtownie przez te kilka miesięcy, udało nam się jednak znaleźć kawalerkę na Przymorzu. Tym razem właściciel chciał dane obu osób, więc przy dowodzie Iryda z ciągle niezmienionymi danymi pojawiła się lekka konsternacja na twarzy, ale szybko spisał, co chciał, oddał i poszedł. Mieszkanie o takim samym rozkładzie, jak to na Stogach, ale bez sypialni, magia wielkiej płyty. Była w nim koszmarna wykładzina i stare meble, ale zostały one wyniesione do piwnicy, wykładzina zerwana, mieszkanie posprzątane i jakoś to wyglądało. Okno się nie otwierało, ale właściciel zarzekał się, że na dniach je wymieni. Zapakowaliśmy nasze graty i z pomocą Antka i komunikacji miejskiej przeprowadziliśmy się po raz kolejny. Po tyłu przeprowadzkach miałam już wprawę w szybkim i logistycznym pakowaniu się i wypakowywaniu. Każda przeprowadzka pokazywała nam ilość niepotrzebnych rzeczy, więc w nowym mieszkaniu jedna torba została „torbą na graty z chaty” i wrzucaliśmy tam wszystko na sprzedaż. Plusem tego mieszkania było bliskie sąsiedztwo A., więc od tej pory bywał u nas jeszcze częściej, czasem spotykaliśmy się na spacerze z jego psem. My zaś zaczęliśmy myśleć o powiększeniu naszej rodziny, czyli o adopcji drugiego królika, ale mając w perspektywie emigrację baliśmy się, jak to logistycznie będzie, więc ze smutkiem odsunęliśmy ten plan na później.

W tamtym okresie postanowiłam odezwać się do babci po około dwuletnim milczeniu. Kiedyś wydawało mi się, że do babci chodzę na obiad tylko dlatego, że matka mi każe, potem zrozumiałam, że i tą relacją poniekąd kierowała. Gdy odezwałam się po raz pierwszy w jej 69. urodziny, to rozmawiała ze mną, jak gdyby nigdy nic się nie stało. Początkowo dzwoniłam co kilka tygodni i mówiłam o pracy, o widzianym filmie w kinie, opowiadałam o moich królikach, zapewniałam, że jem i przybliżałam wegańską dietę. Babcia jest osobą o bardzo otwartym umyśle, tolerancyjną, niewtrącającą się w życie innych. Nie wyciąga brudów z przeszłości, nie magluje tematu

kilkuletniego milczenia. Kiedyś chciała ze mną porozmawiać o Piotрку, ale jakoś uciekłam od tematu, ona też nie drążyła, mam wrażenie, że sama się dowiedziała. Od kilkunastu miesięcy rozmawiamy jak najlepsi przyjaciele! Często rozmawiamy przez telefon czy za pomocą komunikatorów, w tym celu ostatnio kupiła sobie smartfona! Pokochałam na nowo moją babcię. Cieszę się, że w tamtym momencie przełamalam się i odnowiłam relację, zerwaną 2-3 lata wcześniej z bezpodstawnych obaw o brak akceptacji, nieco podżeganych przez moją matkę, z której to też powodu podjęłam tę decyzję, od dzieciństwa bowiem matka była zawsze w opozycji do babci, zawsze podkreślała jej wady, czasem dodając jakieś wymyślone. Mam wrażenie, że babcia kochała mnie zawsze tak samo i to się nie zmieniło. Zmieniała się jakość relacji, ale nigdy jej miłość. Z dziadkiem zawsze mniej rozmawiałam, ale też nie miał problemu, babcia pewnie mu wszystko jakoś wyjaśniła.

Moja matka nie zmieniła się, nie przemyślała niczego. Co jakiś czas pisałam do matki wiadomość czy też dzwoniłam do niej, chciałam powiedzieć, że byłam w kinie czy że jadłam coś dobrego, ona jednak robiła wycieczki do przeszłości i jak zdarta płyta powtarzała „Zostawiłaś mnie jak psa na wysypisku!”, „Ja przecież taka wspierająca byłam, poszłam potem na marsz równości”, „Dlaczego to zrobiłaś?”. Nie wiem, czym było owe „to”. Wyprowadzką na studia, które mi wybrała? Związkiem? Chęcią prowadzenia swojego życia? Trudno było do tego dotrzeć. Moja matka znowu zaczęła się ze mną kłócić, wytykać mi różne rzeczy z przeszłości. Bez zgody mojej i Iryda, bez konsultacji, z bardzo powierzchownym pojęciem o transpłciowości, zakomunikowała mojej babci, że Piotrek jest trans, po czym pochwaliła się tym i powiedziała, że babcia jest w szoku. Znając jej bezpardonowość i bezpośredniość, pewnie przekazała to w dość grubiański sposób. Moja babcia nie poruszyła potem ze mną tego tematu, mimo że od niedawna byliśmy w kontakcie. Starsze osoby wykazują większy poziom tolerancji niż ludzie w średnim wieku. Babcia Piotrka, osiemdziesięciolatka, z początku też była zdziwiona i złęczniona dzięki bezpardonowemu komunikatowi jego rodziców, ale potem obejrzała program w TVN Style na temat transpłciowości, gdzie wypowiedział się w sposób prosty i klarowny lekarz i uznała, że taki jest świat. Moja babcia chyba podobnie stwierdziła, jak jestem szczęśliwa i tak chcę, to dobrze. Zaczęłam limitować kontakt z matką, a kroplę przelewającą jej czarę goryczy był fakt, że na Święta Bożego Narodzenia zadzwoniłam z życzeniami do babci. To nic, że ona tam była i babcia przekazała życzenia wszystkim uczestnikom. Nie zadzwoniłam do niej i to była potwarz, zniewaga.

Tuż przed Bożym Narodzeniem, dosłownie kilka dni przed, miała miejsce ostatnia rozprawa. Biegły napisał długą, acz pozytywną opinię, więc postanowiliśmy pojechać razem na jednodniową wycieczkę do Szczecina. Wzięłam wolne w pracy aż do Nowego Roku, i tak nic się tam nie działo. W zimny, grudniowy dzień, a właściwie noc, pojechaliśmy na dworzec w Oliwie i wsiedliśmy do pociągu. Dojechaliśmy do Szczecina, dla bezpieczeństwa wszystkich zostałam powierzona koleżance w jej studio tatuażu, a Piotrek pojechał do sądu. Rozprawa trwała dosłownie kilkanaście minut, adwokat rodziców powiedział, że jego klienci wycofują się z kolejnych

wniosków, a sędzia wydała pozytywny wyrok. Nie, rodzice nie zaczęli nagle go kochać, po prostu w wyniku niezdrowego trybu życia – alkoholu, palenia, wieloletniej pracy w ciągłym stresie, tłustego jedzenia – jego ojciec dostał zawału kilka tygodni wcześniej i chyba wszyscy woleli skupić się na rekonwalescencji niż powiększać wysokie już koszty sądowe. Pozytywny wyrok był ogromną ulgą, nie byłam w stanie jednak skakać z radości, zbyt wiele nerwów mnie zjadało do tej pory. Piotrek przyjechał po mnie, poszliśmy coś zjeść i wróciliśmy do Gdańska. Teraz tylko musieliśmy czekać do uprawomocnienia wyroku, żeby być pewnym, że rodzice nie złożą apelacji.

Święta spędziliśmy sami, przygotowaliśmy sporo pierogów i zanieśliśmy ciasto samotnej sąsiadce. Dowiedzieliśmy się od niej historii o właścicielu mieszkania, a właściwie wynajmującym, który tymże właścicielem nie był, że poprzednicy mieszkali tam kilka miesięcy, a nie kilka lat i że od lat wszystkim mówi, że wymieni okna. A nieszczelne okna dawały się we znaki, gdyż zaczynały się siarczyste mrozy i rano, mimo kołdry i koca, wstawialiśmy zmarznięci. Wiatr powodował ciągle otwieranie się okna w kuchni, a w Trójmieście wieje ciągle. Do tego na początku stycznia gość przyszedł i zaczął nam mówić, że będzie musiał nam podwyższyć opłaty. Mieliśmy rozliczyć się z rachunków, których zawsze zapominał, więc powiedzieliśmy mu, że ostatni miesiąc mieszkamy i się wyprowadzamy. Czy było to podyktowane transformacją, czy bardziej chciwością – nie mam pojęcia. Miałam również dosyć codziennych problemów z linią tramwajową nr 8 – jak się nie wykołajała, to nie przyjeżdżała. Zaczęły się ponowne poszukiwania mieszkania. Uznaliśmy, że wolimy mieszkać w Gdyni, gdyż SKM jest o wiele godniejszym zaufania środkiem transportu niż tramwaje w Gdańsku.

Znaleźliśmy bardzo przytulne, słoneczne i tanie mieszkanie w centrum Gdyni przy ulicy Warszawskiej. Całe 19 m². Wchodziło się w przedpokój z aneksem kuchennym, po prawej był pokój, a przedpokojo-kuchnia prowadziła do tyciej łazienki, gdzie idealnie była wkomponowana wanna, pralka i wc. Znowu przy przeprowadzce mogliśmy liczyć na pomoc środowiska, tym razem Nina i Tymek użyczyli nam swoje samochody i prawa jazdy, udało nam się w 2 samochody zapakować wszystko i przeprowadzić się. Podczas jazdy Tymek obiecał pomóc w załatwieniu wizyty u endokrynologa, której Piotrek potrzebował, taka jest moc społeczności! Nina jeszcze z nami została i pojechaliśmy z nią na spore zakupy żywnościowe przy okazji. Potem jakoś upchnęliśmy to na tych włościach. Właściciele idealni – co miesiąc wysyłaliśmy im przelew i zdjęcia liczników, a oni co kilka miesięcy wysyłali nam ewentualną różnicę w zużyciu wody na podstawie rachunków. W ogóle nie przychodzili, nie komentowali naszego życia jak wielu poprzedników. Często mieliśmy jakieś tęczne przypinki czy flagi na szafce i właściciele przy okazji wizyty spoglądali na to nieprzychylnie. Oczywiście jak przy poprzednich wynajmach graliśmy cisheteronormatywną parę, dla bezpieczeństwa i żeby uniknąć ewentualnych nieprzyjemności, komentarzy, dyskryminacji w postaci „Takim nie wynajmujemy”.

Moja matka znowu przyjechała do Trójmiasta i zażądała spotkania się ze mną w moje urodziny. Ja zaplanowałam je zupełnie inaczej i nie miałam ochoty na to

spotkanie. Wróciłam szybciej do domu i spędziłam je z moim ukochanym. Moja matka zaczęła mi pisać po 20, że stoi pod biurem i nikogo nie ma, a ona ma dla mnie kwiatka. Zaczęła grozić, że zaraz wybiję szybę, żeby wejść i bałam się, że coś jej odbije i słowa przerodzą się w czyny. Na szczęście był ochroniarz, wziął kwiatka i obiecał przekazać nazajutrz, co też uczynił. Złęknioma i w poczuciu obowiązku zaprosiłam ją do nas na obiad kolejnego dnia. Jak zwykle się spóźniła, miała pretensje, zaczęła obrażać mnie i Piotrką, wysnuwać „Mogłabyś mieć NORMALNEGO chłopaka, jak już nie jesteś lesbijką” i mówić wiele innych nieprzyjemności. W końcu wyszła, a ja obiecałam sobie, że nigdy więcej się do niej nie odezwę, po tej wizycie popłakałam się, byłam cała roztrzęsiona, dygotałam, naruszyła moją bardzo kruchą na ten moment psychikę. Te wydarzenia – rozprawa, zawieruchy w pracy, próba kontaktu z moją matką – odbiły się na moim zdrowiu psychicznym. Coraz częściej czułam się złęknioma, zaczęły się pojawiać ataki paniki, często płakałam i uspokoić mnie jedynie mógł Iryd. W pracy zamykałam się w toalecie, żeby się uspokoić. Póki co chciałam sama pokonać problem za pomocą ziołowej herbaty i porad psychologów znalezionych w internecie. Poza Irydem nikt nie wiedział o moim samopoczuciu, dla świata grałam i udawałam, że wszystko jest w porządku.

Na początek marca Piotrek umówił się na histerektomię. Postanowił zrobić to metodą laparoskopową w Gdańsku. Mogliśmy pozwolić sobie na taki wydatek – ponad 7 tysięcy złotych – dzięki mojej pracy, cieszyłam się, że mogłam w taki sposób mu pomóc. Lekarz z jakiegoś osobistego powodu przełożył to na koniec marca tuż przed Wielkanocą. Wyrok zdążył się uprawomocnić, PESEL się zmienił, można było zmienić imię i nazwisko, żeby rodzice nas nie śledzili. Nazwisko wybieraliśmy razem, gdyż mieliśmy w planach ślub. Weekend przed pójściem do szpitala cały czas płakałam, nie mogłam powstrzymać łez, nie wiedziałam nawet dlaczego. W końcu we wtorek zawiozłam go do szpitala i poszłam do pracy, moje biuro widać było z okna, wystarczyło przejść przez ulicę. Po pracy przyszłam i znowu płakałam, siedziałam do oporu, dopóki pielęgniarki nie zaczęły mi dyskretnie sugerować, że pora iść. Wróciłam do domu, usiłowałam bezskutecznie coś zjeść, potem zająć się czymkolwiek, ale dostałam ostrego ataku paniki, miałam wrażenie, że zaraz dostanę zawału, serce mi wyskoczy, zemdleję, świat się zawali – trudno to opisać. Cały czas się trzęsłam, wręcz telepałam i nie mogłam tego powstrzymać. Piotrek nie spał, ale na odległość mało co mógł zrobić, smsy średnio mi pomagały, kąpiel i próba położenia się do łóżka też. Krople walerianowe nie działały, herbaty uspokajające również. Piotrek zadzwonił do Antka, czy ten mógłby przyjechać. Antek akurat się pakował i rano miał samolot do Anglii, ale zadzwonił do mnie, porozmawialiśmy chwilę i uspokoiłam się. Obiecał, że jak się ogarnie, to za godzinę może przyjechać, ale zaczęłam czuć senność i powiedziałam, że spróbuję zasnąć i będziemy w kontakcie. Rano podziękowałam za obecność i półprzytomna pojechałam do pracy. Nie mogłam się na niczym skupić, czekałam na znak od Iryda, że już jest po operacji. W końcu po 11 zadzwonił do mnie, powiedział, że żyje, wyartykułował powoli kilka komunikatów i poszedł spać dalej. Potem zadzwonił do mnie i powiedział, że panie pielęgniarki wyjątkowo

zgodziły się, żebym mogła przyjść do niego dzisiaj i poprosił „Kup mi wodę, ale słowiankę beauty, żebym potem był taki beauty!”. Kiedyś bardzo rozbawiło nas genderowanie wody mineralnej – była to woda w różowawej butelce z napisem „dla kobiet” i z nadrukowanymi korzyściami, jakie ma nieść jej wypicie – i chyba wtedy to mu się przypomniało. Słowianka beauty została wycofana, więc kupiłam wodę z żyrafką, która i tak spowodowała ogromną radość. Ogólnie obserwowanie kogoś, kto był po narkozie, jest dość zabawne, więc jednocześnie śmiałam się i płakałam. Przy nim miałam jakikolwiek apetyt, zjadłam więc cały hummus z Lidla i zagryzłam chrupkim pieczywem, po czym Piotrek zorganizował mi „opiekę” na dziś – spacer z Kasią i Olafem i ich psem. Spędziłam z nimi sporo czasu, potem poczytałam książkę i zasnęłam ze zmęczenia. Kolejnego dnia po pracy znowu siedziałam w szpitalu do późna, znowu zjadłam hummus i odliczałam godziny do odebrania Piotrka ze szpitala. Wzięłam w pracy wolne na owy piątek i na następujący tydzień. W piątek już rano byłam w szpitalu, po wszystkich formalnościach wróciliśmy SKM do domu, w końcu ze szpitala na stację dzieliła nas kładka, a w Gdyni od dworca do domu było niecałe 5 minut. Szybko wracał do formy, bo już kolejnego dnia dreptaliśmy z koszyczkiem wielkanocnym na święcenie pokarmów, jak to zwykle w Wielką Sobotę robimy, zaś w następnych dniach chodziliśmy na plażę posiedzieć. Te kilka dni spędzonych razem pozwoliły mi na odpoczynek psychiczny od coraz bardziej męczącej mnie pracy i atmosferze tamże.

Piotrek był już po rozprawie, teatr z udawaniem „tru transa” się zakończył, więc zaczął zapuszczać włosy, kilka razy koloryzował je na niebiesko. Niezależnie jednak od zmian wyglądowych coraz częściej misgenderowano go, czyli brano za kobietę, słyszał wyzwiska od pedałów. Kiedyś jechaliśmy razem do Antka na Cisową i miałam do niego się dosiąść w Gdyni Głównej, jednak w trakcie trasy z Gdańska (skądś wracał) zadzwonił do mnie lekko przerażony, gdyż w biały dzień, w komunikacji miejskiej, gdzie było sporo ludzi, jakichś dwóch typków zaczęło gadać między sobą coś w stylu „Ty, patrz, pedał, ale bym takiemu wpierdolił”, więc dla bezpieczeństwa przeniósł się na drugi koniec składu, do końca trasy razem jechaliśmy z duszą na ramieniu. Coraz częściej w mediach społecznościowych pojawiały się doniesienia o pobiciu gejų (najczęściej), często również w biały dzień, czasem wieczorami czy w nocy, ale jakie znaczenie ma pora! Sam fakt, że do tego dochodziło coraz częściej, że sprawcy czuli się bezkarni i na tyle pewni, że od słów przechodzili do czynów, był niepokojący. Innym razem siedzieliśmy sobie na plaży, przytulaliśmy się, może parę razy pocałowaliśmy – jak normalna para – i też w dzień, nagle z drugiego końca słyszę, jak jakieś nastolatki, maksymalnie gimnazjum-początek liceum, krzyczą przez pół plaży „Weź dziewczyno, co Ty robisz, zostaw TO COŚ!”. To było do mnie, poza nami byli jacyś pojedynczy ludzie. Odkrzyknęłam jedynie „Pierdol się”. Normalnie jestem bardziej elokwentna, ale z chamstwem nie ma co dyskutować. Dzieciak zamilkł, pewnie nie oczekiwał takiej reakcji. Chwilę jeszcze posiedzieliśmy, ale potem udaliśmy się gdzie indziej na spacer, nas była dwójka, a ich z dziesięciu, trudno przewidzieć, co się dzieje w takich szcątkowych procesach myślowych, jak

wpadasz na pomysł wydzierania się przez pół plaży nienawistnych komentarzy. Nigdy tego nie zrozumieję, co ludzi obchodzi czyjeś życie, najczęściej obcego przechodnia, anonimowego uczestnika komunikacji miejskiej? Mnie nie interesuje, co ci ludzie robią ze sobą, ich życie, ich sprawa. Nienawiść, homofobia, transfobia wzrastały, nastroje społeczne zmieniały się. Czy miała wpływ na to polityka? Nie wydaje mi się. Uważam, że zmiany idą od dołu, czyli coś zaczęło zmieniać się w społeczeństwie i przez to wypłynęli tacy, a nie inni politycy. W Polsce jest powszechna akceptacja nienawiści do drugiego człowieka, a zwłaszcza tego innego, i ona była, odkąd pamiętam. Polityka to brudna, kłamliwa gra i nie mam zamiaru się w nią angażować, poza tym politykom chodzi tylko o dorwanie się do koryta, potem mają wszystkich gdzieś i robią to, co chce lud, nie na odwrót. A lud chce pozbyć się inności, lud sam ma ogromne pokłady nienawiści i nietolerancji w sobie. Widziałam to codziennie w drodze do pracy – koło SKM Politechnika jest tunel, gdzie zawsze jest jakieś graffiti, z każdym miesiącem było coraz więcej neonazistowskich, antyuchodźczych haseł i symboli, jeśli pojawiały się jakieś antyfaszystowskie – od razu były zamalowywane. Z roku na rok pozycja Polski w rankingu ILGA Europe spada, Polska zawsze jest na podium nietolerancji. Ale to społeczeństwo takie jest, a dlaczego – nie wiem, jest to jakaś cecha wybitnie polska. Wybory pokazują zmiany w społeczeństwie, nie są ich przyczyną a skutkiem. Często obserwuję z podziwem działania organizacji LGBT+, z podziwem dla ich wytrwałości i cierpliwości pomimo fali nienawiści, pomimo przeszkód, niszczenia ich siedzib, pomimo ataków słownych i fizycznych. Parokrotnie chciałam się zaangażować, ale bałam się o siebie.

Wkrótce miał miejsce marsz równości 2018, mój drugi. Nawet po marszu było czuć gęstniejącą atmosferę. Było o wiele więcej policjantów, średnio na jednego przypadało 3 uczestników. Policjanci w pełnym uzbrojeniu, z pałkami, butlami, tarczami i innymi elementami, opancerzone radiowozy. Nawet marszowa platforma muzyczna się lekko zacinała. Atmosfera była o wiele mniej festynowa, mniej radosna. Czuć było lęk w powietrzu, walkę z nim, by jednak dobrze się bawić. Mimo wszystko na ustach uczestników był uśmiech, było machanie flagami, była radość, ale jakaś taka inna niż rok wcześniej. Zaczęliśmy w okolicach Forum, koniec był w okolicach Europejskiego Centrum Solidarności. Minęliśmy jedną kontrmanifestację, przy mecie marszu była kolejna, a może to ci sami ludzie, ale przenieśli się? Mimo zorganizowanego miasteczka na mecie, znów na koniec uczestnicy szybko ulotnili się, schowali flagi, zmyli malunki z siebie. Przeszłam się z Piotrkim po stoiskach kilku organizacji, ale również szybko się zwinęliśmy, żeby uniknąć ewentualnego kontaktu z obrońcami Prawdziwej Polskiej Tradycji. Na szczęście w SKM jechało jeszcze trochę ludzi z marszu, ale to chyba był jeden z ostatnich bezpiecznych transportów.

Dane zmienione, dowód zmieniony, lato się zbliżało, więc uznaliśmy, że weźmiemy ślub! Pod koniec maja udaliśmy się do urzędu i było mniej więcej tak:

- Dzień dobry, chcielibyśmy wziąć ślub.
- Dzień dobry, a kiedy państwo by chcieli?
- A jaki jest najbliższy termin?

- 28 czerwca, ale to czwartek...
 - Ale super, pasuje nam!
 - (lekkim zdziwionym głosem) To proszę tu wypełnić wnioski i jeszcze trzeba zapłacić.
 - A można tutaj?
 - Tak, w pokoju obok. Jakby państwo chcieli na przykład fotografa, to mamy tu takiego współpracującego... Chcecie państwo dokupić też szampana?
 - Nie, dziękujemy.
- Chwilę później:
- Proszę, tu dowód zapłaty.
 - To ja państwu tu zapiszę datę i godzinę.
 - Dziękujemy, do widzenia!

Cała sprawa zajęła nam kilkanaście minut, wliczając w to oczekiwanie z wnioskami. W tym czasie przysłała inna para i załatwiali jakieś formalności związane ze ślubem w kościele, dłużej je załatwiali niż trwanie całej naszej wizyty. Pani w urzędzie bardzo sympatyczna, pewnie niecodziennie przychodzą ludzie, którym wszystko jedno, kiedy ten ślub. Nigdy jakoś nie miałam problemu z urzędami, poza tym, że czasami zdarzają się tam niemili ludzie, robiący łaskę, że wykonują swoją pracę, ale są po równo niemili dla każdego. Po wyjściu z urzędu wyruszyliśmy na poszukiwanie stroju. Poszliśmy do pobliskiego Centrum Taniej Odzieży i znalazłam tam dwie, długie sukienki – jedną niebieską w kwiaty za 10 zł, a drugą cieniowaną od bieli poprzez fiolet do błękitu za 12 zł. Nie mogłam się zdecydować, to wzięłam obie, przecież i tak zamierzałam w nich chodzić latem. Piotrek znalazł pomarańczowe spodnie i w innym lumpeksie koszulę w kwiaty. Chcieliśmy dobrze się bawić, nie podchodzić do tego poważnie – ślubne bezy i garnitury to nie nasz świat. Ślub miał nam ułatwić funkcjonowanie na poziomie prawnym, miał dać nam prawo do wzajemnego ubezpieczania się, do zmiany mojego znieprawionego nazwiska i do traktowania nas jako jednostkę ogniska domowego. Między nami nic nie zmienił, bo byliśmy wówczas ze sobą od ponad 5 lat. Po ślubie planowaliśmy wesele na plaży i zorganizowanie konkursu na najlepszy strój. Jednym świadkiem został Antek, a drugim krakowski kolega Iryda, Tomek. Stworzyliśmy wydarzenie na Facebooku, zaprosiliśmy naszych znajomych i tyle z przygotowań. W pracy wzięłam ten czwartek i piątek wolne bez wspomniania, z jakiego powodu. Ostatecznie wybrałam sukienkę cieniowaną, lekko przerobiłam za długie ramiączka i była idealna, na tym zakończyły się przygotowania do ślubu. Na dzień przed Piotrek upiekł ciastka z truskawkami i kupiliśmy kilka butelek Dalmatino, czyli szampana dla dzieci. Każdy zaproszony i każda zaproszona miał(a) coś przynieść, gdyż nasz ślub był zorganizowany jako kuchnia składkowa. Dzień wcześniej przyjechała znajoma Piotrka z Krakowa, w dniu ślubu Franka i Magda z warszawskiej Lambdy, a także Aldona, przyjechało sporo osób z Krakowa, a z Trójmiasta przyszedł Antek, Łucjan z Zużą, Kasia z Olafem, druga Kasia z Igorem, Kinga, Nina... Ogólnie było koło trzydziestu osób. Nina się ucieszyła i została naszym fotografem, wzięła nawet z domu jakąś plakietkę „Prasa”. Ja wzięłam mój aparat i uznałam, że komuś dam na samą

ceremonię – dałam dziewczynie Tomka, Natalii. I po co mi profesjonalny, płatny fotograf? Gdy zapraszaliśmy Antka i się go zapytałiśmy, czy będzie naszym świadkiem, to odparł „Dobra, wezmę jakiś szlafrok”. I to nie był żart, gdyż przed salą ubrał się w... szlafrok Supermana! Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Poza tym był średnio-wieczny wojownik i dziewczyna w papilotach, ludzie z masą tęczyowych akcesoriów i motywów. Czekaliśmy na krzesłach aż nas zaproszą do sali. W sali ślubów w USC w Gdyni są 4 krzesła – dla pary młodej i świadków. Reszta może stać z tyłu lub usiąść na podłodze, tak część uczyniła. Pani urzędniczka zachowała pełen profesjonalizm, choć była rozbawiona. Była najbardziej elegancko ubraną osobą w tej sali, bo USC w Gdyni zapewnia darmowy akompaniament muzyczny na keyboardzie, a pan muzyk też ubrany był w jakiś zwykły t-shirt i spodnie, a cesał się chyba lata wcześniej. Ślub trwał z 10, może 15 minut, nuda ogólnie. Jakieś rzeczy gada pani urzędniczka, potem trzeba coś po niej powtórzyć, podpisać papiery i koniec. Obrączek nie mieliśmy, bo zamiast nich przekuliśmy sobie uszy i mamy takie same kolczyki. Wyprowadzili nas do jakiegoś pomieszczenia, po drodze minęliśmy kolejny, już taki zwykły ślub i im o mało szczęki nie opadły. Nie wiedzieliśmy, co mamy robić w tym pokoju i myśleliśmy, że to Escape Room, a to był pokój, gdzie można było napić się szampana, ponoć ludzie przynoszą swojego lub biorą tego urzędowego. Wywakuowaliśmy się i wpadliśmy na resztę gości, spóźnionych przy tak szybkiej ceremonii. Poszliśmy na plażę, rozłożyliśmy koce i ręczniki i zaczęliśmy jeść, pić Dalmatino i soki, rozmawiać i bawić się. Wykąpaliśmy się w morzu, bawiliśmy się z nowo kupionymi królikami Łucjana i Zuzy. Oni też wspaniale się ubrali, ale pociąg z Jastarni im się spóźnił i przyszli dopiero na wesele. Wszyscy nasi goście powiedzieli, że to było najlepsze wesele, na jakim byli! Siedzieliśmy tam prawie do północy, goście wychodzili, kiedy chcieli. To był wspaniały dzień! Potem napisali o nas artykuł na Queer.pl⁷. Jestem niezwykle dumna i szczęśliwa, że przeżyłam ten dzień tak, jak chciałam.

Po ślubie musiałam zgłosić zmianę nazwiska w firmie i poszłam po prostu do HR, przyniosłam zaświadczenie i szybko to załatwiłam. Kto kiedyś pracował w korporacji, ten wie, jaki długi mają język panie z HR, toteż wieści dotarły do mojego zespołu. No i byli zawiedzeni, że im nie powiedziałam, kiedy biorę ślub, gdyż wysłaliby poselstwo firmowe. Tylko był pewien kłopot – ja nie chciałam tam nikogo z firmy. Nie byłam zżyta z tymi ludźmi, to byli współpracownicy, z którymi można było pogadać o pogodzie czy filmie w kinie podczas jedzenia kanapki. To miała być impreza moja i Piotrka, na której mieliśmy czuć się wolno i swobodnie jak wszyscy nasi goście, wszyscy to byli nasi dobrzy znajomi, przyjaciele. Poza tym gwarantuję, że nie zrozumieliby konwencji imprezy, wszyscy ci, którzy byli po ślubie, robili klasyczne, polskie wesela, a nie hippisowsko-queerową imprezę na plaży. Zresztą na krótko przed moim ślubem leciał w TV jakiś ślub kogoś z brytyjskiej rodziny królewskiej i dyskutowali o tym, że taki piękny, że jak z marzeń, że wszyscy taki chcą. Jak im powiedziałam, że wolałabym

7 <https://queer.pl/news/201512/queerowe-wesele-na-plazy-w-gdyni>

na plaży ze znajomymi, to kolega skwitował „Oj nie rozumiesz, kiedyś zrozumiesz i zapragniesz”. Sam nie rozumie, że wiem lepiej, czego chcę. Szef zespołu uznał, że teraz jak już nie powiedziałam wcześniej, to przyniosę ciasto zespołowi. Przyniosłam wegańskie, szef przyniósł jakieś cukiernicze – i większość wegańskiego moja, bo kole-dzy wzgardzili. Nie rozumiem cisheteronormy nigdy. Dobrze, że zdjęć nie chcieli oglądać, bo nie wiem, co byłoby największym szokiem – brak standardowych, ślub-nych strojów, Antek jako świadek w szlafroku czy Łucjan w binderze, uprząży BDSM i czapce z wiatraczkiem? Uznaliby to za zamach na świętość ślubu – dla mnie święta to jest nasza miłość, a nie jakaś urzędnicza procedura.

W pewnym momencie nie dałam rady, moje łęki wzięły górę. Potrzebowałam specjalistycznej pomocy, nie miałam jednak sił ani energii na szukanie jej, obawia-łam się zbagatelizowania sprawy przez lekarzy, jak to często miało miejsce do tej pory. Piotrek znalazł polecaną na lokalnych lewackich grupach panią doktor, która przyjmowała w Gdyni prywatnie. Mogłam sobie pozwolić na taką inwestycję w sie-bie i z ogromnym wsparciem Piotrka poszłam na wizytę. Po raz pierwszy ktoś mnie wysłuchał i nie uznał, że zmyślam albo że taka wrażliwa jestem. Dostałam odpowied-nie leczenie oraz kontakt do psychoterapeuty, który przyjmował dwie minuty pieszo od mojego domu. Dzień po wizycie zostałam sama w domu, zaczęłam panikować, nie mogłam dodzwonić się do Piotrka, co spowodowało jeszcze większą panikę. Zadzwo-niłam do Antka i powiedziałam mu, że mam atak paniki. Zaczął ze mną rozmowę o planowanym wyjeździe i gadaliśmy tak do momentu otrzymania wiado-mości od Iryda, z jakoś 20 minut. Bardzo mi to pomogło, jestem wdzięczna za taką pomoc i zrozumienie. Później odważyłam się powiedzieć o problemie kilku bliskim znajomym i każdy zapewnił mnie o wsparciu. Dużo osób ze środowiska ma problemy natury psychicznej, życie w polskich realiach odbija się na nas, więc kiedyś spotka-łam koleżankę w poczekalni i później wielu znajomych uczęszczało do tej pani dok-tor. Powoli zaczęłam stawać na nogi dzięki farmakoterapii. Przyjmowane leki miały też bardzo pożądany przeze mnie skutek uboczny – wyłączają okres. Odetchnęłam z ulgą, w końcu nie mam kilku dni w miesiącu wyjętych z życia, koniec z poczuciem obrzydzenia, koniec ze złym psychicznym samopoczuciem z tego powodu. Chyba okres u mnie powoduje coś na kształt dysforii, a teraz zostałam uwolniona od tego całkowicie przypadkiem.

W sierpniu pojechaliśmy na wakacje do Czaplinka, oczywiście jak zwykle w trybie stealth, czyli udawania cisheteronormatywnej pary. Bardzo miło i sympatycznie było nad jeziorem, ja w końcu czułam się komfortowo w stroju kąpielowym, gdyż kupi-łam jednoczęściowy ze spódniczką – żadnych wycięć na talię czy brzuch, bez dekoltu i bez świecenia tyłkiem. Na wakacje wzięliśmy ze sobą 2 penisy – jeden to paker Piot-rka, a drugi ten do seksu, no bo jakby nas naszła ochota akurat na taki wariant. A ten paker był idealnym modelem, zrobiłam mu bogatą sesję zdjęciową podczas wycieczki kajakiem oraz w pokoju. Muszę się w końcu zebrać i to opublikować. Wyszło to przy-padkiem – mój ukochany to straszny bałaganiarz i kiedyś go zostawił na wierzchu, a ja ujrzałam w tym dobry kadr. Potem uznałam, że to całkiem dobra zabawa może

być i potwierdzam, była przednia. Skoro cismężczyźni robią zdjęcia swoim penisom i wysyłają, gdzie się da – co wiem dzięki wielu bliskim mi osobom używającym aplikacji randkowych – to czemu taki z silikonu miałby być gorszy? Pokazuje to w innym świetle akcję „robienia zdjęcia penisowi” – może to być nie tylko ordynarny sposób wyrażenia chęci przedsięwzięcia aktywności seksualnej, ale może być to urocze, zabawne, estetyczne. Taki performance artystyczny, lubię nadawanie nowych znaczeń.

W tym czasie Łucjan z Zuzą zamieszkali w Gdyni niedaleko nas, dzieliło nas kilkanaście minut spacerem, doskonała okazja na zacieśnianie znajomości! Łucjan miał do nas po drodze z pracy – gdyż mimo bycia w liceum musiał sam ponosić wiele kosztów – toteż często wpadał do nas. Zawsze przy tym go karmiliśmy, a on z chęcią zmywał nam potem naczynia, bo lubi. Zamawialiśmy razem zioła z zoologicznego dla uszatyh przyjaciół, piliśmy herbatę, jak przyjaciele. Pomogliśmy mu ogarnąć dojazd do lekarza w Warszawie i przyszedł do nas na pierwszy zastrzyk – tak oto krakowska tradycja przeniosła się do Trójmiasta. W Krakowie każdy trans robi zastrzyk przy kimś, do tego obdarowuje się tę osobę jakąś zabawną, ręcznie wykonaną kartką, najczęściej z narysowanymi penisami lub w fallicznym kształcie. Ta geograficzna bliskość wpłynęła na zacieśnienie się naszych więzi. Cieszyłam się, gdyż A. obraził się za jakąś pierdołę, trudno mi powiedzieć jaką, a forma grupy wsparcia po wakacjach zmieniła się, przestali przychodzić dotychczasowi uczestnicy i uczestniczki, a zaczęły inne osoby, bardziej przybrało to formę terapeutyczną niż towarzyską, odbywały się rzadziej z powodu niedyspozycyjności prowadzącej. Mogłam jedynie rozwijać istniejące już relacje. Łucjan był jednym z pierwszych wspólnych znajomych, z którym też sama pisałam czy się spotykałam, co pokazało mi, że potrafię utrzymać relację z kimś, że to nie z mojej winy miałam z tym problemy. Z kolei obserwacja dwóch dobrze bawiących się królików podczas wizyt u niego i Zuzy natchnęła mnie, żebyśmy jednak przygarnęli drugą parę uszu, transporter dalej będzie potrzebny jeden. Pojechaliśmy do sopockiego Uszakowa i Lio skradła nam serce.

Zaczęła się jesień, a wraz z nią szaruga i chandra. Chodziłam na terapię do przesympatycznego młodego człowieka, raz nawet naśmiewaliśmy się z homofobów krzyczących nienawistne hasła. Antek wrócił na rozpoczęcie roku akademickiego, więc też często do nas wpadał. Był kolejną bliską osobą zaraz obok Łucjana. Antek miał również ciekawe podejście do siebie, jak to kiedyś się określił – „Płeć: Antek, seksualność: Antek”, co w sumie oddaje moje podejście. Mam jakąś tam swoją seksualność, swoje poczucie tożsamości, które jest unikatowe i nie mogę go tak o wrzucić do worka z innymi pojęciami, nie mogę zaszufładować jakąś sztucznie stworzoną teorią. I jakby ktoś mnie się teraz zapytał o to, to sparafrazowałabym Antka – „Płeć: Bułka, seksualność: Bułka”. Całe to stwierdzenie wyniknęło ze wspomnień pierwszych pocałunków i doświadczeń seksualnych, z rozmowy o różnych niewygodnych dla nas normach społecznych. Piotrek z Antkiem rozkręcili Food not Bombs w Gdyni, czyli wydawanie posiłków bezdomnym. Zauważyłam, że sporo osób ze środowiska gdzieś działa, niekoniecznie ogranicza się to tylko do działalności

wokół LGBT+, często jest też pomoc zwierzętom, akcje dla bezdomnych, dla zwierząt – słowem dla każdego pomijanego w społecznym dyskursie. Ja również brałam w tym udział – zaprojektowałam plakat, a potem kroilałam warzywa. Antek i Iryd byli filarami te akcji, zdobywali warzywa, gotowali, wydawali. Z czasem dołączyli inni ludzie, Łucjan też się w to wciągnął. Gdy samemu odczuwa się dyskryminację, popycha to ku jakimś krokom, by ulżyć innym. Wszyscy jedziemy na tym samym wózku ostracyzmu. Jesienią miał miejsce Marsz Równych w Gdyni, na który nie poszłam ze względu na przeziębienie. Chciałam pójść, bo po pierwsze to manifestacja pięknych haseł o równości wszystkich, o miłości, ale też dlatego, że przemawiał tam Piotrek. Oczywiście kontrmanifestacji z ich „sztandarowymi” hasłami nie zabrakło, tym razem nawet przynieśli głośniki z jakąś neonazistowską muzyką, żeby zagłuszyć przemawiających. Mimo że Piotrek wtedy od jakiegoś czasu miał typową, męską fryzurę oraz czarną, zimową kurtkę – idealny obraz mężczyzny jesienią w Polsce – to bałam się o niego.

Adopcja Lio była dobrą decyzją nie tylko przez wzgląd na Pinena. Dawała mi dużo sił i radości. Jako bardzo kontaktowy królik była nieocenioną pomocą i wsparciem przy moich coraz rzadszych już atakach paniki, pomagała mi przetrwać stres i lęki. Przydawało się to zwłaszcza w oczekiwaniu na rozmowę o pracę, której to intensywnie od jakiegoś czasu szukałam. Zdecydowaliśmy się z Piotrkiem na Francję ze względu na moją znajomość języka, tryb życia Francuzów i tolerancyjność społeczeństwa. Byłam parę razy we Francji i podobało mi się tam, nie wierzyłam w te prawicowe bujdy o nieistnieniu Francji, o jej upadku, o wszechobecnych terrorystach i co tam jeszcze wymyślają. Z tych teorii śmiali się Francuzi poznani przez internet – jakoś nie czuli się sterroryzowani. Wybraliśmy kilka miast docelowych na bazie spacerów na Google Street View, głównie w zachodniej Francji, i wysyłanie CV poszło w ruch. Planowaliśmy wyjazd w lutym, tuż po egzaminach zawodowych na opiekuna medycznego. W końcu udało mi się dostać pracę od marca, nadszedł więc czas na planowanie wyprowadzki. Kupiliśmy duży, jeżdżący transporter, mieliśmy w domu dwie stulitrowe walizki, torbę na laptopa, brązową torbę i kilka plecaków. Kupiliśmy jeźdźki i trzeba było mieć na początek lutego tyle rzeczy, żeby się w to zmieściły.

W Wigilię zaprosiliśmy do naszego małego mieszkanka wszystkich tych, którzy nie mieli gdzie pójść. Przyszedł Łucjan, przyszła też Agata z Foodów (to nie ta z mojej szkoły), Kiri poznany na Żywej Bibliotece. Znowu zrobiliśmy kuchnię składkową, króliki biegały gdzieś pod stołem, my słuchaliśmy kolęd, jedliśmy i gadaliśmy. W tej edycji stężenie LGBT+ było o wiele niższe niż dwa lata temu, ale nie zamykam się przecież na jedną grupę ludzi. Łucjanowi daliśmy prawdziwie męski prezent – zestaw do golenia, śmialiśmy się, że to na nadchodzący porost pleśni, jak to ochrzciłam pojawiający się zarost u Iryda jakiś czas wcześniej. Po kilku dniach był Sylwester, którego spędziliśmy również u nas wraz z Łucjanem i Zużą. Nikt z nas chyba nie przepada za klubami, a na miejskim sylwestrze zawsze jest zimno, zawsze jest masa podchmielonych ludzi, na których trzeba uważać, i ostatnimi czasy grywa tylko disco polo.

Styczeń to było przygotowanie do wyjazdu – ogarnięcie noclegu po drodze, znalezienie mieszkania, odwiedzenie babć przed wyjazdem. Chciałam odwiedzić moją niewidzianą od 2014 roku babcię. Chciałam też odwiedzić dziadka, który od kilku miesięcy zmagał się z rakiem i rokowania były niezbyt optymistyczne. Udało mi się oboje zobaczyć, z obojgiem porozmawiać, choć była to krótka wizyta. Ciepło przyjęli Piotrkę, zresztą jego babcia też mnie ciepło przyjęła. Rodzice nam nie wyszli, ale babcie są bardzo w porządku. Po powrocie od babć ugadałam zwolnienie z pracy, czym nikt się specjalnie nie zdziwił i nie przejął, może nie chcieli pracować z osobą po kilkumiesięcznym zwolnieniu od psychiatry. Myślałam wtedy, że nie odpowiada mi firma, a nie cały zawód, toteż wizja pracy w innym miejscu nie przerażała mnie. Mieszkanie udało się wynająć na odległość, po zdjęciach nam się podobało i było dobrze dla nas zlokalizowane. Tak naprawdę zostało spakować się, Piotrek musiał zdać egzamin i można wyjeżdżać. Robiliśmy przymiarki, posegregowaliśmy rzeczy i co się dało, to sprzedaliśmy, resztę rozdaliśmy znajomym. Wiele rzeczy daliśmy Łucjanowi, który wziął, co chciał, a resztę puścił dalej w obieg. Dobry moment wybraliśmy – moment, w którym eskalacja LGBT-fobii przybrała ogromny rozmach, zaczynały się powoli strefy wolne od LGBT. Nie ma co dusić się w polskość. Mieliśmy dosyć nie tylko postaw homo- i transfobicznych, warunki mieszkaniowe i pracownicze również nas przytłaczały. Mimo dobrych zarobków sporą część pensji przeznaczaliśmy na tycie mieszkanie, wynajęcie czegoś o dobrym standardzie i normalnym wymiarze to grubo ponad minimalną, a do tego trzeba trafić z właścicielem. Co do pracy – obecnie pracowałam na umowę o pracę, ale zmiana firmy na inną była niemożliwa, wszyscy zatrudniali na samozatrudnienie. Piotrek od 5 lat turlał się po zleceniach między różnymi firmami. Koszty leczenia to był kosmos. Do tego wszechobecne zanieczyszczenie powietrza, które czasem pojawiała się w Trójmieście, choć chyba najrzadziej w całej Polsce. Degradacja na każdym polu – społecznym, zdrowotnym, pracowniczym, lokatorskim, środowiskowym.

Tuluza

Nastąpił w końcu wyczekiwany dzień wyjazdu. Pociąg z Gdyni do Berlina wyruszał tuż po 7. Biorąc pod uwagę nasze tobołki, postanowiliśmy zacząć zbierać się po 6. Przyszedł Łucjan, przyszedł Kiri i znosiliśmy powoli wszystkie rzeczy, jednocześnie sprawdzając, czy nic nie zostało w domu. Przyszedł właściciel, oddaliśmy mu klucze i wyszliśmy z budynku. Ja niosłam plecak i ciągnęłam króliki wraz z doczepioną na transporter torbą z ich rzeczami. Każda z pozostałych osób ciągnęła 1 walizkę lub jeździk z torbami, do tego Piotrek miał 2 plecaki. Cały nasz dobytek życia, poza małym kartonem z dokumentami i kilkoma książkami wysłanymi kilka dni wcześniej, zmieścił się w te kilka toreb. Dotarliśmy na peron, pociąg został podstawiony wcześniej i wsiałam z królikami zając miejsce. Nasze walizki wylądowały na półkach bagażowych. To był poniedziałek, więc sporo ludzi jechało z małą walizką

lub plecakiem, nie było kłopotu z zajęciem tych miejsc. To już, tyle razy przechodziłam obok tego pociągu w drodze do pracy i mówiłam sobie „Jeszcze tylko tyle a tyle czasu i jedziemy”. Pociąg ruszył, a my pomachaliśmy naszym pomocnikom. Podzieliłam się tym faktem z Danielem i Agatą i jechaliśmy. Po kilku godzinach dotarliśmy do Berlina, gdzie na dworcu czekał na nas Sav. Wraz ze swoim znajomym pomogli nam wyjść z pociągu i ruszyliśmy w kierunku ich domu, bowiem zgodzili się być naszym przystankiem z noclegiem. Sav z Agaresem sami jakoś półtora roku wcześniej jechali tym pociągiem, więc znali ból przeprowadzki. Niestety jedna walizka nie wytrzymała przeprowadzki i pękła, na szczęście nic się nie zgubiło i szybko zaopatrzyliśmy się w nową walizkę. Spędziliśmy z nimi świetne popołudnie, poopowiadaliśmy, co nowego u nas, opowiedzieli nam o życiu w Berlinie. Kolejnego dnia po 11 mieliśmy pociąg z Berlina do Frankfurtu nad Menem. Z pomocą naszych nieocenionych znajomych wsiedliśmy do pociągu, ale dalej musieliśmy dać sobie radę sami. We Frankfurcie mieliśmy godzinę na przejście połowy dworca, specjalnie tak dobrałam pociągi, żeby mieć zapas czasowy. Dotarliśmy na docelowy peron, Niemcy te perony mieli od razu przy zakupie podane, i czekaliśmy na nasz pociąg do Paryża. I tu pojawiły się schody – pociągi francuskie są piętrowe, a nasze miejsca były na piętrze. Z pomocą współpasażerów udało się wrzucić walizki na przeznaczone na to półki, króliki były pod moimi nogami, a plecaki pod nogami Piotrka i nad nami. Wyruszyliśmy. Jechaliśmy spokojnie aż do Strasburga, gdzie padł komunikat, że z powodu problemu z pociągiem czeka nas przesiadka, ale nowy podjedzie po drugiej stronie peronu. *Bienvenue en France!*⁸ Jakoś udało nam się wyjść z pociągu wraz z naszym dobytkiem, a w podstawionym usiedliśmy na dole, żeby na tę jedną stację nie dźwigać rzeczy. Potwierdzam, TGV jedzie szybko, aż czuć tę prędkość, czuć, jakby się leciało. Z opóźnieniem dotarliśmy do Paryża, wcześniej zamówiona taksówka okazała się małym autkiem i nie była w stanie nas zabrać, ale udało się znaleźć bagażową i dojechaliśmy bez problemu do Campanile koło dworca Montparnasse, skąd mieliśmy poranny pociąg. Noc była krótka, bowiem już po 5 czekała nas pobudka. Nasz ostatni etap podróży miał się zacząć około 6:50 i o 11 mieliśmy być w Tuluzie. Od hotelu do dworca było jakieś 700 metrów, więc uznaliśmy, że damy radę pieszo. Było pod górkę, ale z postojami dotarliśmy na dworzec przed czasem, a tu zaskoczenie – we Francji perony pojawiają się jakoś 15 minut przed odjazdem pociągu. Czekaliśmy na nasz, w końcu się pojawił – 23. Znowu mieliśmy miejsca na piętrze, ale z pomocą współpasażera daliśmy radę. Zapytał się nas, skąd jesteśmy, a na wieść, że z Polski i my na stałe, uśmiechnął się, powitał nas i powiedział, że bardzo dobrze, że wyjechaliśmy. Siedzimy szczęśliwi na naszych miejscach, pociąg ma już odjeżdżać, a stoi – „E tam, pewnie znowu opóźnienie”. Pojawił się komunikat o opóźnieniu. Potem kolejny. Potem o drobnym problemie technicznym, a finalnie – pociąg nie pojedzie, prosimy pojechać tym z peronu 2. Ogromne poruszenie w pociągu, znowu współpasażer pomógł nam wyjść z rzeczami i lecimy przez cały dworzec. Problem był taki, że

8 fr. Witamy we Francji!

to był pociąg jadący do Bordeaux, który przemianowali na Tuluzę, więc był już dość zapelniony. Uznaliśmy, że siadamy na schodkach tuż przy wejściu. Pociąg w końcu ruszył, a my trzymaliśmy kciuki, żeby dojechał na miejsce. Pani z agencji mieszkaniowej, która miała wydać nam klucze, nie zdziwiła się, że pociąg będzie miał przeszło godzinne opóźnienie. Obsługa pociągu była zatroskana, czy nam tu wygodnie, ale powiedzieliśmy, że tak i nie chce nam się iść przez 2 wagony z rzeczami na jakieś znalezione miejsce. Szczęśliwie kolejną stacją było Bordeaux, gdzie wysiadła większość ludzi, przenieśliśmy więc bagaże na półki i siebie na fotele. Czułam się szczęśliwa – moje marzenie o wyjeździe z Polski, o wyjeździe do Francji, właśnie się spełniało. Obserwowałam krajobrazy, tak inne od polskich. Mimo zawirowań z pociągami nikt nie był wściekły, obcy ludzie nawzajem sobie pomagali, obsługa pociągu dbała o komfort, szukali miejsc kilka wagonów dalej. W końcu dojechalismy do Tuluzy. Z pociągu odebrał nas człowiek poznany internetowo na queerowej grupie. Pomógł nam wyjść z pociągu, potem wyjść z dworca i zamówić taksówkę. Ja tam chciałam jechać autobusem, ale Piotrek uznał, że jestem szalona. Pojechalismy tą taksówką i dotarliśmy na miejsce. Spędziłam godzinę w moim nowym mieszkaniu z panią z agencji – razem przygotowywaliśmy raport o jego stanie.

To największe mieszkanie w moim życiu – 55 m², ma sypialnię, salon, łazienkę z wanną i ogromną kuchnię. Do tego dwa spore balkony. Poza szafami w zabudowie, szafkami kuchennymi, lodówką, pralką, blatami kuchennymi wraz z 2 krzesłkami barowymi, małą szafką pod telewizor i stołem nic tu nie było, co jest standardem w mieszkaniach we Francji, w końcu to lokator ma je sobie urządzić. Ucieszyłam się z tego, bowiem po raz pierwszy będę mogła nie tylko udekorować mieszkanie, ale też wybrać meble. Mogę w końcu poczuć się jak u siebie, mogę wyrazić siebie – uczynić je kolorowym. Powiesiłam kolorowe zasłony – każda jest inna, wybrałam sobie łóżko i kupiliśmy materac, to były priorytety. Z biegiem czasu kupiłam kaktusy, krzesła do stołu, znaleźliśmy darmowy stół balkonowy, który przemaalowałam na niebiesko. Zawiesiłam motylki wykonane na szydełku i dekoruję mieszkanie innymi szydełkowymi wytworami. Przemalowałam też ścianę w salonie na pistacjowy. To mieszkanie nie ma określonego stylu, ma taki mój styl. Jest szafka z IKEI na wysoki połysk, a obok są rattanowe krzesła. Niedługo dołączy do tego kanapa w papugi, ponieważ poprzednia, kupiona najtańsza, nie przetrwała próby króliczych zębów. Mam lampkę w kształcie królika oraz kartkę z jednorozcem z Marszu Równości. Wynajem we Francji jest bardzo popularny, to nie jest tymczasowe rozwiązanie w oczekiwaniu na kredyt jak w Polsce, jak je wynajmuję, to jest jak moje. Nawet w umowie jest to zaznaczone – mieszkanie mogę użytkować, meblować jak chcę, nie mogę podnajmować, ale goście mogą być ile ja chcę, nie mogę burzyć ścian, ale mogę je przemalowywać. Mam tu swoją bezpieczną przystań. Nie obawiam się, że z dnia na dzień przyjdzie właściciel, by zobaczyć, jak żyję czy też powie, że mam się wyprowadzać. To ostatnie mnie nie spotkało, jednak takie sytuacje miały miejsce w moim otoczeniu. Nie czuję się jak lokator gorszej kategorii, jak dziecko w pokoju, do którego zawsze mogą wejść rodzice, pozbawiając w ten sposób jakiejkolwiek prywatności czy intymności.

W Polsce wielokrotnie na wizyty właściciela nie tylko sprzątałyśmy kurze, ale też ukrywaliśmy różne elementy, na które mogliby krzywo patrzeć, jak na przykład flagę czy po prostu kolorowy przedmiot. Często przed opuszczeniem mieszkania, gdy jeszcze mieszkałam tam, a właściciel chciał jak najszybciej pokazać je innym, to może i się zapowiadał, ale wchodził, jak do siebie, jakby nas tam nie było. Raz jedni nas zrugali za nieumyty garnek w zlewie, a że przyszli w trakcie obiadu, to ich nie interesowało. Tu zdjęcia mieszkań są wykonywane, gdy jest ono puste. Tylko ja i Piotrek mamy klucze do mieszkania. Daje mi to gwarancję prywatności. Po raz pierwszy czuję się w tym mieszkaniu jak w domu, chociaż mój dom był zawsze tam, gdzie Iryd i króliki. Ostatnio znalazłam wycieraczkę z jednorożcem i tęczowym napisem Welcome, w kuchni powiesiłam tęczową flagę jako zasłonę i sąsiedzi dalej mówią mi „Bonjour”. Nie mam z nimi zażyłych relacji, ale zawsze się witamy, uśmiechamy, gdy trzeba – odbieram paczki za sąsiadów. Nikogo nie interesuje moje życie intymne, nikt nie komentuje.

Tuż po przyjeździe udaliśmy się z Irydem na spotkanie lokalnej grupy LGBTQ+. Było to lekko problematyczne, zważywszy na jego brak znajomości języka, ale było sympatycznie. Tutaj grupy spotykają się w miejskiej przestrzeni Espace diversités laïcité, która z zewnątrz ma namalowaną tęczową flagę i wiele kolorowych motywów. Nikt tego nie atakuje, a jest w centrum miasta. Spotkania mają raczej formę towarzyską, a przynajmniej na taką grupę trafiliśmy. Nie jest to terapeutyczne kółeczko. Przychodzisz, możesz coś zjeść, napić się, porozmawiać z innymi, pograć w gry. Można też uzupełnić zapas prezerwatyw, darmowych i finansowanych przez Ministerstwo Zdrowia. Po spotkaniu szliśmy do pobliskich klubów, czy to G-bar, czy to Bear's. Można tam się napić piwa, soku, zjeść coś – raz specjalnie przygotowali nam wegańskie kanapki – można też potańczyć. Te kluby też są w centrum miasta, nie są ukrytym portalem jak Glam w Warszawie. Przyjemniej mi się w nich bywało, gdyż nie mają tego klubowego charakteru. Jak jestem w takim miejscu, to wolę porozmawiać przy soku. Kluby też istnieją, ale nie byłam w nich, nie mój świat. W Polsce byłam przyzwyczajona do tego, że osoby LGBTQ+ trzymają się ze sobą nie tylko ze względu na wzajemne zrozumienie i wsparcie, ale też z powodu ostracyzmu społecznego. Tutaj jest to po prostu kolejna grupa znajomych – ludzie nie mają aż takich problemów z akceptacją rodziny czy przyjaciół szkolnych, studenckich, ludzi z pracy. Przez to mam lekki problem z nawiązywaniem trwalszych znajomości, choć temat do rozmowy znajdę zawsze. Za to tu też są gej-dramy, czyli filmy o gejach, ponadto istnieją lesbo-dramy, czyli filmy o lesbijkach, których we francuskim kinie jest więcej niż w polskim. Te określenia są chyba ogólnoswiatowe. Co roku zimą ma miejsce festiwal filmów LGBTQ+, w zeszłym roku przyjechaliśmy do Tuluzi akurat po jego końcu, w tym zaś z obawy przed wirusem nie poszłam, a kilka filmów chciałam zobaczyć. Kiedyś pewnie nadarzy się okazja. Przez całe to zamieszanie z wirusem od wielu miesięcy nie spotkałam się z nikim stamtąd, może kiedyś to się skończy. Mam tu znajomych, często spotykam się z Edgarem, też kilka osób było u nas w domu czy w parku na pikniku. Środowisko nie trzyma się tak kurczowo siebie jak w Polsce.

Różnicę w społeczeństwie widać na co dzień. Ani razu Piotrka nikt nie zmigenderował, choć ostatnio zapuszcza włosy i ma już sporą kitkę. Nikt nie krzyczy za nami „lesby” czy „pedały”, nie słuchać też pogardliwych odburkiwań czy pomruków. Chodzę kolorowo ubrana i co najwyżej ktoś mi powie, że ładnie wyglądam, ale nikt nie wygłasza seksistowskich komentarzy. Inną sprawą jest, że homofobia, transfobia czy seksizm, tak jak i inne formy dyskryminacji, są tutaj karane. Przestałam golić nogi – jest to moje naturalne owłosienie, nie przeszkadza mi – i bez obaw chodzę po mieście. W Polsce obcy ludzie potrafili skomentować „A fe, dziewczyna i nóg nie goli!”, „Ma pani nieogolone nogi!”. Po mieście chodzą tak queerowe osoby, jakie widziałam do tej pory na queerowych imprezach na skłocie – a tu chodzą, jak każdy inny człowiek i nikt im nie grozi, nikt nie drze się przez pół ulicy. Takie spostrzeżenia miał też Łucjan, który w przeciągu półtora roku był u nas dwa razy – był w szoku, że idzie osoba o dość androgynicznym wyglądzie w obcisłych spodniach, leżącej kolorowej koszulce, z kolczykami i kolorowymi włosami. I idzie, nikt nie zwraca większej uwagi, osoba też nie wydaje się być przestraszona. Łucjana też nikt tu nie misgenderował, co w Polsce zdarza mu się nagminnie. Na wieść, że jest się z Polski, słyszę „A to prawda z tymi strefami LGBT+? Dlaczego nikt nie protestuje?”, „A, Polska, to tam mają problem z gejami! Nie rozumiem dlaczego”, a często są to ludzie spoza środowiska, na przykład rolnik sprzedający warzywa na rynku, lekarz. Ani razu nie spotkałam się tu z LGBT-fobią u lekarzy, Piotrek też nie. Nie próbują wszystkiego naciągnąć jako winę transpłciowości, nie deklarują, że nie zajmują się TAKIMI problemami. Nie boję się powiedzieć, że mój partner seksualny jest trans przy wywiadzie lekarskim, w Polsce zawsze się bałam, stresowałam przed wizytą, spotykało się to często z westchnięciem lub stwierdzeniami „Skoro nie jest Pani w ciąży, to po co Pani przychodzi?”

Kluczowym wydarzeniem roku (tak jest nawet napisane na Wikipedii) jest Marsz Równości, czyli *Marché des fiertés* – dosłownie marsz dumnych. Ludzie tu są dumni z bycia częścią tego środowiska. Też zaczęłam odczuwać tę dumę, zastąpiła ona wieczny strach. Przed marszem jest miasteczko, gdzie można zaopatrzyć się we flagi czy akcesoria, są stanowiska stowarzyszeń, które też na początku wygłaszają przemówienia. Impreza trwa właściwie cały dzień, całe miasto robi się kolorowe, ludzie bez obaw jadą ubrani w tęczone ubrania czy flagi. Jest pełno platform z muzyką, ludzie machają flagami, tańczą. Przemieszczający się festyn. Policja w sumie jest po to, by blokować drogi, przechodzi się przez główne ulice miasta, jest jej o wiele mniej niż w Polsce. Po raz pierwszy widziałam tu ludzi ubranych jak na karnawał w Rio – czyli piórka i skąpa bielizna – czy też w skórzanych maskach od BDSM, ale nie widziałam jeszcze tych panów ze słynnego plakatu polskich kontrmanifestantów. Właśnie, nie ma tu kontrmanifestacji! W OGÓLE. Jak ktoś nie jest zainteresowany wydarzeniem, to w nim nie uczestniczy. Podczas tego marszu czułam się wspaniale, czułam radość, wolność, dumę z bycia tutaj. Czułam się też bezpiecznie. Gdy marsz dobiegł końca, czyli platformy zakończyły swoją trasę, to zabawa trwała dalej, dalej były tańce, śpiewy, ludzie po marszu szli posiedzieć nad rzekę, szli do klubu, na spacer, ale marsz

nie znikał nagle jak w Polsce. Lekko się rozplęwał po mieście. Chciałam zaangażować się w kolejne edycje marszu, ale z powodu wirusa w 2020 został odwołany. Zawsze coś, może za rok.

W tym roku marszu nie było, były jednak przykre wydarzenia w Polsce związane z represjami środowisk LGBTQ+, a zwłaszcza z zatrzymaniem Margot. Wzięłam karton, napisałam „Toulouse solidaire avec LGBTQ+ en Pologne”⁹, Piotrek kupił tęczaową flagę i poszliśmy na miasto. Zrobiliśmy kilka zdjęć, po drodze spotkaliśmy geja, który przyłączył się do nas, kilka osób mówiło nam „Miłego dnia” albo pytali się, czy jest manifestacja, dlaczego idziemy. Wyjaśniliśmy im powody naszej akcji. Z niepokojem patrzę na obecną sytuację w Polsce i cieszę się ogromnie, że wyjechałam, jednocześnie martwię się o moich znajomych. Wiem, że aktywizm daje siłę, ale trochę boję się, choć tutaj mniej. Nie mam też duszy aktywistki, prędeż edukatora. Staram się mówić, im więcej osób wie, tym lepiej. Może to wywrze jakąś społeczną presję i jakieś zmiany w polskiej mentalności nastąpią, choć od kilku lat te zmiany dążą do radykalności, do konserwatyzmu. Politycy są zmienni jak chorągiew na wietrze, robią to, co im się opłaca, jedyna nadzieja w zmianie ludzi. Choć póki co obserwuję jedynie masowy exodus moich znajomych ze środowiska. W ostatnich 2-3 latach kilkanaście osób wyjechało, ostatnie wydarzenia popchnęły kolejnych i kolejne do wyjazdu. Parę osób ma w planach, muszą jednak zamknąć pewne kwestie. Przykre to, że nie wszędzie da się żyć. Jestem optymistką, z optymizmem patrzę na moje życie, na moje życie we Francji i choć mam nadzieję na zmianę na lepsze w Polsce, to pesymizm tam bierze górę. Ja chciałam od zawsze wyjechać z Polski, wiele rzeczy mnie tam dusiło, ale nie każdy chce, a każdemu należy się godne, bezpieczne życie.

Aktualnie jestem na bezrobociu, gdyż po okresie próbnym pracodawca zakończył ze mną współpracę. Praktycznie od początku pracy we Francji chciałam zmienić mój zawód, pójść na jakieś studia, tym razem na interesujące mnie, pierwotnie planowałam łączyć je z pracą. Życie bywa przewrotne, na szczęście okres pracy we Francji i w Polsce otworzył mi prawa do zasiłku. Dzięki temu niedługo po zakończeniu mojej pracy było stać mnie na pokrycie niezbędnych wydatków, nie musiałam zaciskać pasa i jeszcze co nieco zostawało na koniec miesiąca. Może nie pozwoliło to na wyjazd na wakacje, ale nie musiałam już planować zakupu butów, jak miało to miejsce w Krakowie. Ze spokojem mogłam szukać mojej drogi. Z początku myślałam o kilku dostępnych dla bezrobotnych kursach, po stażu jednak lekko zwątpiłam w drogę doradcy zawodowego, zaś nieprzyjęcie mnie do centrum kształcenia postawiło sprawę jasno. Lekko się załamalam, potem jednak przyszło globalne zawieszenie, czyli koronawirus, podczas którego przemyślałam wiele rzeczy i zdecydowałam, że chciałabym pójść na studia. Piotrkowi niedawno udało się znaleźć pracę jako opiekun medyczny, dzięki czemu będziemy mieli z czego żyć i będę mogła zrealizować to marzenie. Być może w przyszłym roku uda nam się pojechać na wakacje.

9 fr. Tuluza solidarna z LGBTQ+ w Polsce.



Ślub Bułki i Iryda (ze zbiorów prywatnych Anny Nadar)



Wesele Bułki i Iryda (ze zbiorów prywatnych Anny Nadar)



Iryd i Bułka – zdjęcie z wesela
(ze zbiorów prywatnych Anny Nadar)

Demonstracja solidarnościowa
w Tuluzie (ze zbiorów
prywatnych Anny Nadar)



Przyszłość

Planuję pójść na literaturę i sztukę i chciałabym rozpocząć te studia w 2021. W tym roku rekrutacja już zakończona, do tego wirusowe zamieszanie nie nastraja do tego przedsięwzięcia. Chciałabym pisać książki, w głowie tli mi się wiele pomysłów od lat, zawsze jednak brakowało mi czasu i prywatności do zrealizowania tego. Uwielbiam czytać, lubię wymyślać różne scenariusze, różne historie, często bazując na moich przeżyciach czy opowieściach innych. Na pewno poruszyłabym tematykę queeru, choć nie ograniczałabym się jedynie do niej. Chciałabym również dalej rozwijać moje zdolności plastyczne, może kiedyś świat je ujrzy? Głównie rysuję i maluję pejzaże, czasem jakieś abstrakcje. Moje prace charakteryzują się bogatą kolorystyką, co odzwierciedla mnie. Sztuka zawsze dawała mi wolność, pozwalała mi wyrazić siebie, swoje myśli i odczucia. Przed wszystkim chcę być szczęśliwa, chcę kochać, spędzać jak najwięcej czasu z Irydem, zobaczyć piękno świata dookoła mnie – w moim regionie jest tyle niesamowitych miejsc wartych odwiedzenia! Chcę dbać o to, co dla mnie najcenniejsze – naszą miłość, która jest moją dumą, moją siłą do życia. Nigdy nie podejrzewałam, że kogoś takiego spotkam, że z tak wspaniałą i ciepłą osobą przyjdzie dzielić mi życie. Zawsze widziałam siebie jako samotną, smutną osobę. Najwspanialsze rzeczy przychodzą same, nieplanowane. Nie nastawiam się na nic konkretnego, jeśli chodzi o przyszłość. Może zostanę bibliotekarką albo nauczycielką? Miałam już wiele planów, czy to moich, czy to narzucanych przez innych, i nie zostały zrealizowane. W Tuluzie, póki co, podoba mi się, może zagrzeję tu na dłużej, może powędrujemy gdzieś indziej we Francji, czas pokaże. Na pewno nie wrócę do Polski, nie chcę walczyć o przeżycie każdego dnia, skoro tutaj mogę spokojnie żyć, bez obaw o utratę dachu nad głową, środków do życia, bez obaw o ataki słowne czy fizyczne powodowane wszechobecną nienawiścią, odradzającymi się ruchami faszystowskimi. Czuję się tu wolna i bezpieczna. Mam stały kontakt z Agatą, Danielem, Łucjanem czy moją babcią i to mi wystarczy. Czasem chciałabym spotkać się z tymi osobami osobiście, jednak nie zawsze ma się wszystko, co się chce, może kiedyś mnie odwiedzą, może kiedyś się spotkamy? Moją babcię też przeraża kierunek zmian społecznych w Polsce, rosnąca, wszechobecna nienawiść i choć z jednej strony brakuje jej mnie – ja zresztą też chciałabym czasem przyjść na obiad czy przynieść ciasto – to cieszy się moim szczęściem i bezpieczeństwem. Może odwiedzi mnie, jak skończy się ta pandemia. Na pewno nie chcę mieć dzieci, a tym bardziej być w ciąży. Zostanę przy królikach, które są dla mnie pełnoprawnymi członkami mojej rodziny. Zawsze chciałabym mieć jakieś uszate stworzenie, dać mu ciepły i bezpieczny dom. Ja to nie tylko część LGBT+, ja to również weganizm, twórczość artystyczna, zainteresowanie literaturą i wiele innych. Chciałabym rozwijać się w całości, rozwijać różne części siebie i nie zatracić nigdy więcej żadnej, jak miało to miejsce z częścią artystyczną przez lata licealne. Po prostu chcę być sobą.

Maksym Piekart

Gdyby Mama wiedziała

[Homoseksualny cis mężczyzna, ur. w 1993 r.
w Siedlcach, mieszka w Warszawie.]

Wstęp

Zbiór esejów *Gdyby Mama wiedziała* narodził się przed kilkoma laty, kiedy wraz z moją Mamą po raz kolejny doszliśmy do niewygodnych, acz koniecznych, rozmów na temat tego, czego przez lata ode mnie nie usłyszała. Na początku była to metoda na wyrażenie złości na brak mojego *normalnego* dzieciństwa, szybko jednak przerodziło to się w queer manifest, który był planowany jako zbiór tekstów dla rodziców osób LGBTQ+. Bo jak rozmawiać ze swoimi rodzicami, jeżeli oni myślą, że z sukcesem doprowadzili mnie żywego do dnia dzisiejszego, a ja im mówię, że przez lata chciałem skończyć swoje życie, że nigdy nie czułem się przez nich kochany, że uciekłem *przez nich* na inny kontynent, żeby tylko nie widzieć ich na jakiś czas?

 Nie, o takich rzeczach nie sposób mówić. Równie trudno o tym pisać.

 Pisanie tej pracy bardzo szybko przerodziło się w długie, nieplanowane sesje autoterapeutyczne, od których czasem świadomie, a czasem nie, uciekałem jak prawdziwy prokrastynator, którym jestem. Zawsze było coś ciekawszego, byleby nie otworzyć tego cholernego laptopa.

Wiele lat miałem mojej Mamie za złe, że nie widziała tego wszystkiego, co się ze mną działo. Nie widziała mojego płaczu, nie widziała ucieczek i systematycznego wycofywania się z życia rodzinnego. Że tyle mojej osobowości zostało przypisane „nastoletniemu buntowi”, a nie depresji ciągnącej się przez lata.

 Studia pedagogiczne zadziałały odwrotnie niż można by się spodziewać – zamiast zrozumienia, ofiarowałem mojej Mamie morze goryczy. Moje życie mogłoby wyglądać

zupełnie inaczej, gdyby tylko ktoś im o tym wszystkim powiedział. Ale nikt nie powiedział, albo oni nie słuchali. Lata studiów były prawdziwymi latami buntu – niezgody tak głębokiej, że nie mogłem przeżyć jednej rozmowy bez zarzucenia im, że to, czy tamto, jest ich winą.

Gniew. Och, tyle gniewu.

Dziennik to mój azyl, gdzie piszę, co myślę i jak o tym myślę. Szacuję, że około 8 lat zajęło mi wypracowanie pewności we własnym głosie. Na początku pisałem rzeczy ze skrytą nadzieją, że jak umrę, to mnie wydadzą i ogłoszą kolejnym z cudów świata. Że ktoś mnie odkryje i będzie narodowa żałoba, że żeśmy zignorowali taki talent!

Wraz z czasem zacząłem zauważać, że nie tylko nikt nie chce czytać moich tekstów, ale nawet ja sam byłem w stanie przeczytać ledwie jedną czy dwie linijki. Zapełniałem kolejne i kolejne zeszyty, a potem je zwyczajnie wyrzucałem (na początku romantyzowałem pisanie i oczywiście moje zeszyty miały swoje złote podium na półce z książkami, bo byłem przecież *wielkim artystą*). Pisanie *Gdyby Mama wiedziała* zaczęło się właśnie w jednym z tych zeszytów, a szybko przerosło się w prawdziwą obsesję poszukiwania osób winnych za moje liczne niedoskonałości i problemy. Niedumnie przyznam, że czerpałem przyjemność mogąc przypiąć bardzo konkretną pinezkę do konkretnej osoby, a wina była ulokowana w odpowiednim miejscu i czasie. Mogłem ponownie oddychać. Wszystko miało swoją przyczynę i skutek.

Świat oczywiście nie jest aż tak prosty (a szkoda!), co niestety rozumiem dopiero po latach doświadczeń jako pedagog i nauczyciel. Wszystko jest wypadkową wszystkiego i nie sposób było rozłączyć jedno od drugiego, żadna pinezka nie ma konkretnego miejsca, wina nigdy nie jest w 100% pełna. Porzuciłem więc pisanie i nawet odczułem ulgę, bo ile można dłużyć w swojej przeszłości?

Bardzo długo.

Taka jest moja odpowiedź po napisaniu tych tekstów. Bardzo długo i bardzo rozlegle.

Problem nieistotnych historii

Z mojej perspektywy dzieciństwo było lekko traumatyczne, aczkolwiek nie chcę robić z siebie ofiary. Im bardziej dorastamy, tym częściej ludzie otwierają się na nas ze swoimi historiami, które od *normalnej rodziny* niestety stanowczo odbiegają.

Doszliśmy do takiego etapu, że przemoc psychiczna czy fizyczna już nie podnosi nam brwi, a gwałty, wyrzucanie z domu czy nawet wysyłanie na „obozy korekcyjne” co prawda szokują, ale czy coś już na świecie nas tak *naprawdę* szokuje? Czy coś faktycznie jest tak niemożliwe, że nie możemy dalej chodzić do pracy, robić zakupów, przeglądać koty na YouTube?

Jeżeli historie kategoryzuje się na ważne i nieważne, a właśnie to robią media, tylko dreszczyk nowości czy wymiar niezrozumiałego okrucieństwa przyciągają kolejnych widzów. Jak więc mają się czuć osoby, których dotyka tragedia, ale tragedia nie aż tak tragiczna, żeby znaleźć się na pierwszej stronie gazety? A co gorzej – jak można się gniewać, że się nie jest na okładce, jeżeli tam jest historia osoby pokrzywdzonej na 12 większych i bardziej traumatycznych sposobów? Czym jest moje sporadyczne bycie bitym, w porównaniu do osoby, której wariat odciął rękę albo której wylano kwas na twarz?

Jak można porywać się na opisywanie swojego życia, jeżeli wiemy, że nasza historia nie jest ani nowa, ani szokująca, a jedynie *opowiedziana* i dostosowana do przekazywania dalej? Czy to wyraz megalomanii? Czy to narcyzm na miarę XXI wieku?

Biednych zdumiewają bólaczki bogatych. Chorych – bólaczki zdrowych. Zdumiewamy się, że osoba piękna jest zdolna do wypowiedzenia, że *wygląda dzisiaj jak paszтет*. Szokuje nas sportowiec mówiący o tym, że przybrał na wadze i *musi* schudnąć.

Problemów drugiego człowieka nie zrozumiemy. Dlaczego gwiazdy muzyki mówią o smutku, kiedy przecież oni mieli żyć *tym* życiem, które dla nas jest spełnieniem marzeń? Dlaczego ten awans, o którym marzyliśmy, wcale nie przyniósł nam tego ukojenia, które przecież miało być nam dane?

Nie wiem, czy moje sytuacje można nazwać skrajnymi. Była przemoc fizyczna? Tak, była. Była przemoc psychiczna? A i owszem. Ale czy nie miałem dachu nad głową? Czy nie miałem kieszonkowego i czy nie jeździłem co roku na wakacje? Zawsze miałem ubrania, telefon wymieniany co 2 lata, własny komputer i ogromną ilość czasu, którego moi rodzice nie zapełniali 4-godzinnymi ćwiczeniami na pianinie. Miałem opłacane korki z matmy i angielskiego (od podstawówki aż do końca liceum). Chodziłem na garncarstwo, zajęcia aktorskie, grę na pianinie. W podstawówce byłem także u psychologa, gdy sytuacja mentalna nie wyglądała najciekawiej.

Można by więc rzec, że nie było tak źle.

Więc skąd ta czelność, żeby przystępować do pisania tej pracy?

Pracowałem kiedyś w Sądzie Rodzinnym, więc o tragediach ludzkich swoje wysłuchałem i wiem, co *faktycznie* jest tragedią, co niszczy ludzi, związki i rodziny. Czy moja historia kwalifikuje się do stania obok tamtych? Czy poza samym faktem, że ją spisałem, czy coś czyni ją godniejszą przekazania dalej? Ile historii pełniejszych, szerszych, szerszych czeka by je zapisać?

Ten emocjonalny mix towarzyszy mi od pierwszej próby podjęcia się pracy nad tymi tekstami. Stałe uczucie, że moja historia nie jest wystarczająco ważna, że w obliczu sytuacji na arenie międzynarodowej (piszę to w 2020 roku, kiedy COVID-19 się rozkręca), czy nawet w Polsce (tutaj sytuacje z Margot, określanie ludzi LGBTQ+ jako ideologii, nieadekwatny wymiar sprawiedliwości itd., itd.), są ważniejsze sprawy do omawiania niż moje dywagacje na temat tego, jak jakiś chłopak mnie potraktował

w podstawówce. Nawet na sekundę nie przestaję myśleć o tym, jak nieistotne jest opisywanie tego, nad czym spędziłem już tyle godzin.

A jednocześnie doskonale wiem, jak istotny jest gatunek biografii, sam wielokrotnie odkrywałem siebie i swoje życie na nowo po przeczytaniu takich prac. Dowiadywałem się, czym moje życie mogło być, albo czym, chwała niebiosom, się nie stało. Upewniano mnie w przekonaniu, że jestem godny stania tutaj, że mogę zajmować tę przestrzeń. Czyż to właśnie nie słynny podcast *Tu Okuniewska* oraz *Ja i moje przyjaciółki idiotki* nie pozwoliły mi zrozumieć moich relacji ze sobą, swoją depresją, swoimi kochankami? Czy to nie biografia *Hunger* napisana przez Roxanne Gay (to nazwisko jest aż nader adekwatne) nie pomogły mi zrozumieć mojej relacji z własnym ciałem? Czy to nie filmiki na Instagramie czy YouTube, tworzone przez moich ukochanych autorów jak Erin Morgenstern, Leigh Bardugo, V.E. Schwab, nie pomogły mi zrozumieć, że każdy pisarz uważa swoją historię za głupi absurd, za kaprys białego człowieka?

Więc nie dla nagrody, nie dla sławy, a dla tych wszystkich osób, które myślą, że ich historie nie mają znaczenia – piszę. Może nasze historie faktycznie nie mają znaczenia i nikt ich nie przeczyta, albo co gorsze, ktoś je przeczyta i po prostu o nich zapomni. Ale czy to powinno nas powstrzymać przed stwierdzeniem, że one są *dla nas* ważne? Że dla nas one są *warte* opowiedzenia?

Z wymówką, że muszę być zorientowany na detale; z argumentem, że muszę przeanalizować siebie nie dla siebie, ale dla badań – piszę. Najszczerzej jak potrafię.

Rodzina

Struktura rodzinna

Mieszkaliśmy w domu na obrzeżach Warszawy. Byłem to ja, starszy o 2 lata brat, ojciec, Mama. Każdy miał swój pokój i komputer, co bardzo wspierało dystansowanie się każdego z członków. Była jednak zasada wspólnych obiadów w normalne dni tygodnia oraz wspólnych *wszystkich* posiłków w weekendy, czyli to nie jest tak, że całkowicie się izolowaliśmy.

Mama miała narzucone wszystkie obowiązki w postaci gotowania, prania, prasowania i opieki nad dziećmi. Ojciec zajmował się niewieloma rzeczami. W zasadzie to głównie pił i grał na komputerze. Wielki nieobecny mojego wychowania. To Mama wozila mnie na niemal wszystkie zajęcia dodatkowe, wydarzenia i moje zachcianki. Nie wiem, jak łączyła to z pracą na pełen etat w naszej firmie. Nie wiem, jak jakakolwiek kobieta jest w stanie to robić.

Mój brat wyprowadził się w 2012, czyli w wieku 20 lat, ja w 2013 w wieku lat 19. Rodzice rozwiedli się niedaleko potem – w 2015. Mama zamieszkała sama w Warszawie, a ojciec pozostał w naszym starym domu.

Z ojcem

Od razu o tym piszę, bo dla badaczy istotny będzie aspekt relacji z *moim pierwszym mężczyzną*. Zacznę więc od tego, że zgodnie z przewidywaniami z ojcem jesteśmy sobie bardzo dalecy. Na zabój podobni, więc chyba dlatego tak pomiędzy nami zgrzytało? Widzimy nawzajem swoje własne wady, jesteśmy swoimi lustrami. I chyba tak jak osoby z problemami ze swoim ciałem nie potrafią patrzeć w lustro w łazience, tak i my nie potrafimy patrzeć na siebie. Dodatkowo dochodzi oziębłość i toksyczna męskość, do której, chcąc lub nie, jesteśmy kulturowo warunkowani.

Kiedy wiedzieli, że jestem gejem? Jako osobę wiecznie ciekawską i piszącą swoje własne zeszyty, zawsze fascynowały mnie cudze pamiętniki. Co piszą? Jak to piszą? O kim piszą? Jak wybierają tematy? Więc gdy zobaczyłem pamiętnik mojej Mamy, to oczywiście mój nastoletni mózg nie myślał za wiele. Przeczytałem, że znalazła na pulpicie mojego komputera jakieś porno obrazki z facetami. Że powiedziała o tym ojcu.

Pod filmowe uczucie zapadania się gruntu pod nogami.

Z jednej strony rozumiem. Chciała ze swoim mężem porozmawiać o swoim synu. Gejostwo było przecież wtedy tabu, nikt nie wiedział, jak się tym zajmować i co z tym robić. Ba! To mogłaby być nawet historia jak do filmu – homofobiczny ojciec odkrywa, że ma syna geja i nagle staje na czele organizacji, która wspiera innych gejów.

No ale nie, tak się nie stało.

Historia urywa się na kilka lat, bo nikt się nie odezwał. Tak jak generalnie w sprawie wielu tematów w tamtym domu.

Generalnie jeżeli o to chodzi, to nie wiem co czuć. Żadne z nas nie było gotowe na tego typu rozmowę, więc może i dobrze, że do niej nie doszło? Nie chcę oceniać wyboru moich rodziców, bo wszystko da się usprawiedliwić i zanegować. Chciałbym urodzić się w domu, gdzie mówi się otwarcie i wszyscy się o siebie troszczą, ale to nie był mój dom. Nie fair byłoby wymaganie, żeby w tej sytuacji taki się stał.

Po wielu latach (coś około 2017/2018) spotkałem się z ojcem i starałem się zamknąć ten rozdział. Poszukać wyjaśnienia, dlaczego robił to, co robił. Nie potrafiłem wydobyć słów, a łzy tylko leciały i leciały. Dowiedziałem się z tej „konfrontacji”, że to mój ojciec czekał, aż to *ja* podejmę się tematu. Aż to *ja* zacznę rozmawiać. Wyszło na to, że on był skąpaną w słońcu przystanią z karaibską bryzą, no i że był gotowy podjąć się tematu, kiedykolwiek ja będę gotowy. Jakże szybko z głowy ulatują widokówki ludzkiej przemocy, jak szybko uwierzyłem mu, że faktycznie *to ja* powinienem zrobić pierwszy krok.

Ale jak zacząć rozmowę o byciu gejem, kiedy w domu mówi się tylko „cioty”, gdy najgorsza obelga to być „pedalskim”?

Drodzy rodzice – to tak nie działa. Nie można stworzyć toksycznego środowiska pełnego nienawiści, strachu i braku zrozumienia, a potem zrzucić winę na ofiarę takiej przemocy, że nie podjęła tematu. Argument „ty powinieneś podjąć temat” obowiązuje tylko wtedy, gdy jedynym ogranicznikiem jest opór osoby, która ma coś wyznać. Nie obowiązuje, gdy musimy to robić pomimo strachu przed atakiem

fizycznym, przed konsekwencjami systemowymi (w tym przypadku np. ograniczeniem komputera czy możliwości wyjścia z domu). Nie. Nazwę to po imieniu – oprawca zrzucający odpowiedzialność na ofiarę. To zachowanie manipulacyjne i uwłaczające. Ma także profesjonalną nazwę – gaslighting.

Z ojcem nie mogliśmy się porozumieć chyba na żadnym froncie. Całe dzieciństwo starałem się w jakiś sposób go zadowolić, ale z czasem zrozumiałem – nieważne co zrobię, ja zawsze będę dla niego rozczarowaniem. Niby kilka lat temu chciał próbować tego wszystkiego na nowo i chciał nawiązać kontakt. Dla mnie było jednak już za późno. Ja go zdołałem już wykreślić, więc kolejne próby rozmowy wyglądały jak następne manipulacje, jego kolejna rozgrywka. Nie wiem. Czuł, że przegrał? Rozwiedziony. Bez jednego syna. Z drugim ledwo, ledwo. Młody już nie jest, więc może jakiś kryzys?

Pisała do mnie jego była dziewczyna. Długie listy z prośbami, bym do niego napisał, że on łaknie kontaktu ze mną. Brzmiała jak moja Mama zaraz po rozwodzie – także chciała, bym mimo wszystko miał z nim kontakt. Wymazały wspomnienia przemocy, wspomnienia, gdy mówił im, że nie są jego warte, że są głupimi krowami. Tak, to są cytaty.

Zdumiewa mnie, jak szybko potrafimy o takich rzeczach zapominać. Jak łakniemy wybaczać innym ludziom. Jego była dziewczyna wysyłała mi długie mejle jeszcze kilka miesięcy po ich rozstaniu. Pisała, że do niego tęskni i jaki on był dobry, a w następnym akapicie, że on jej powiedział, że nigdy jej nie kochał i że jest za głupia, żeby być z osobą tak mądrą jak on.

Nie odpowiadam ani na mejle, ani smsy. Zablokowałem go. Staram się wykreślić z mojego życia. Czasem potrzebuję chwili by przypomnieć sobie, że miałem ojca. Że *mam* ojca.

Brat

Brat był i nadal pozostaje mi obcy. Żyjemy niby na tej samej ziemi, ale mam wrażenie, że jakoś nigdy nie spotkaliśmy się w tej samej rzeczywistości. Skubany, zawsze mi imponował. Angielski przychodził mu z taką łatwością, matematyka była pestką. Książek czytał mnóstwo, ale także rewelacyjnie grał w gry komputerowe (ustalmy, że to jest prawdziwy wyznacznik zajebistości). Wszystko zdawało mu się przychodzić łatwo, a przynajmniej *łatwiej* niż mi, podczas gdy ja wiecznie się pocilem i nie miałem co pokazać po tych wszystkich potach. Naturalnie moja obsesja bratem przejawiała się w formach zazdrości i zawiści, niezdrowej obsesji naśladowania, ale również i aktywnego negocjowania *wszystkiego* co robił.

Nie wiem, czy myślałem o nim jak o swoim wybawcy, czy obrońcy. Obracaliśmy się w różnych światach – zainteresowaniach, ale także rodzajach znajomości i osobowości przyjaciół. Poza cienką ścianą pomiędzy naszymi pokojami, a także kilkoma żartami z gier czy filmów animowanych, nie czułem z nim większych więzi. Po prostu *był*. I ja też po prostu tam *byłem*.

Pamiętam, jak czytał książkę *Ten obcy*. Znaczy, nie wiem, czy czytał, po prostu była u niego na półce. To zabrzmiało dziwnie, ale wtedy myślałem o tym *obcym* jako właśnie o moim bracie. Jakoś to po prostu pasowało. Jakub nie był mi bliski, był właśnie *tym obcym*. Zastrzegam, że książki nie czytałem, więc nie wiem, czy tę metaforę możemy poprowadzić dalej. Ktoś? Coś?

Nie był moją osobą od zwierzeń. Nie był też rozwiązywaczem moich problemów. Wiem, że musiałem go niebywale irytować. Nie miałem za bardzo własnego życia, a moja introwertyczna natura nie pozwalała mi poznawać za wielu ludzi. Siedziałem więc u niego w pokoju, komentowałem wszystko, co robił. Biliśmy się o cokolwiek, co pojawiło się w odległości 10 metrów. Czasem nawet w trakcie tych pojedynków miałem taki przeblysł, że ja nie wiem, o co walczę i w zasadzie po co. Robiłem to dla sportu, bo jemu na czymś zależało. Może po prostu potrzebowałem, żeby *ktoś* zwrócił na mnie uwagę? Bym był na tyle istotnym, żeby ktoś się musiał ze mną o coś bić? Bym był stroną konfliktu? Bym był niepomijalny.

Teraz rozumiem jego poirytowanie moją osobą i trochę mi imponuje jego możliwość samokontroli. Sam bym siebie nienawidził z tamtego okresu.

Jeżeli to czytasz, to szczerze przepraszam. Twój brat był bardzo, bardzo samotnym chłopcem.

Mama

Mama pozostaje niedokończonym równaniem, bo tylko z nią nadal relację utrzymuję. Jednocześnie jestem wdzięczny za te lata, gdy okazywała mi troskę i miłość, mimo że przez wiele lat tej miłości nie rozumiałem. A z drugiej strony jest we mnie wiele niezgody na to, co mówi, co robi. Nie wiem, czy jeżeli bylibyśmy sobie obcymi ludźmi, chciałbym, by była moją znajomą. O kurde, jak trudno się pisze takie słowa. I to jeszcze do innych do przeczytania. Ale taka jest prawda. Taka jest przynajmniej moja prawda.

Dorastając widzę, na jak niewiele można liczyć na tym świecie. Wszystko się zmienia, znajomi emigrują, związki się rozpadają, rządy rozczarowują, a wojny wybuchają. Mam jednak szczęście jakich niewiele, że moja Mama zawsze jest gotowa mi pomóc. I na serio nie przesadzam, gdy mówię *zawsze*.

Każdy szalony pomysł wspomóż. Przy każdej decyzji wyda opinię i nawet gdy się nie zgadzamy, to i tak wesprze. Przejedzie kontynent, by wspomóc mnie w trakcie kolejnego z moich załamań. Zaopiekuje się i nie wypomni w środku pandemii, że znów mieszkamy razem i że zajmują pół jej mieszkania. Gdy dzwonię zapłakany z mojej podłogi, że życie znów mnie przygniata, od razu wysyła na terapię i systematycznie pisze z pytaniami, czy wszystko jest ok.

Taką właśnie mam Mamę.

A jednocześnie, w pełnej szczerości, muszę powiedzieć, że przez całe dzieciństwo i początek dorosłości nie czułem się kochany. Nie wiem jednak, czy to nie wina tego,

że nie byłem tak rozwinięty emocjonalnie? Byłem zaopiekowany, to fakt, ale nie czułem się kochany i rozumiany. Może to wynik faktu naszych różnych języków miłości?

Musiały minąć lata, zanim zacząłem doceniać jej troskę, która nawet i teraz często pozostaje dla mnie do zrozumienia tylko post-factum.

Szkoła

Jesteś homosapiens czy heterosapiens?

Zabawne, ile wspomnień wynurza się podczas pisania tego tekstu.

W szkole podstawowej, na przerwie między lekcjami matematyki, Michał i Paweł podeszli do mnie rozchichotani na korytarzu. Zapytali się, czy jestem homo, czy hetero? Te słowa wcześniej obily mi się o uszy, ale byłem tylko dzieckiem w podstawówce – skupiałem się tylko na klockach Lego i bajkach na Fox Kids.

Nie chcę odpowiadać, bo podświadomie wiem, że to pytanie podchwytliwe. Czułem, że jakkolwiek odpowiedź będzie odebrana jako zła, ale teraz już grupka osób z klasy czekała na moją odpowiedź.

Znałem homosapiens z lekcji przyrody, więc mówię, że jestem homo.

Wszyscy wybuchają śmiechem i pokazują mnie palcem. Nikt nie potrafił mi wytłumaczyć, dlaczego tak się śmieją i dopiero po chwili ktoś mi powiedział, że homo to osoby, które no wiesz, z innymi facetami.

Natychmiast zaczynam wołać, że nie! Ja jestem normalny, nie jestem żadnym homo! Ja jestem normalny!

Egzamin Naturalny

Podczas Zajęć Zintegrowanych (kto wymyślał tę nazwę?) w podstawówce usłyszałem o egzaminie naturalnym. Że to bardzo ważny egzamin i że trzeba go zdać dobrze, żeby w przyszłości mieć dobrą pracę.

Panika. Zimna, włochata panika.

Oni będą wiedzieć. To jest wszak egzamin naturalny, to egzamin z natury. Oni się dowiedzą, że nie interesują mnie dziewczyny. To będzie po mnie widać. Ja nie jestem naturalny!

Unikałem tego tematu. Bałem się tego egzaminu naturalnego. Ile czasu mi zostało, zanim wszyscy się dowiedzą? Nie, nie chcę o tym myśleć. Jak tylko ktoś mówił o tym egzaminie, to od razu wychodziłem z rozmowy (fizycznie lub mentalnie) i się chowałem.

Dużo musiało minąć, nim zorientowałem się, że to jest egzamin maturalny. Że to kolejny egzamin z wiedzy.

Ta ulga. To rozluźnienie.

Nikt się nie dowie.

Targi książki

W ostatniej klasie szkoły podstawowej (tej z sześcioma klasami) mieliśmy fajne wydarzenie na zajęciach z języka polskiego – nauczycielka pozwoliła nam wybrać, jaka będzie następna omawiana przez nas lektura. Każdy miał przygotować krótką prezentację na temat swojej ulubionej książki, a potem, na zasadzie anonimowego głosowania większości, mieliśmy wybrać pozycję, którą wszyscy przeczytamy.

Czasem lubię sobie podumać, jakie procesy myślowe zaszły w naszych głowach.

Była to szkoła prywatna i w klasie mieliśmy tylko 13 osób.

Nie oddam za to ręki, ale myślę, że byliśmy mniej więcej po równo w proporcjach dziewczyny-chłopaki.

No w każdym razie – dochodzi do dnia targów i jedna z uczennic, Marta, przedstawia swoją książkę *Dziewczyny się zakochują* (nie wiem, czy kiedykolwiek widziałem równie brzydką okładkę). Pozycja zareklamowana jako książka *dla* dziewczyn o dziewczynach. No i o miłości, oczywiście.

W obliczu innych górnolotnych pozycji, czy to w formie żartu, a może po prostu w jakimś naturalnym przypiływie ciekawości albo przekraczania granic, większość chłopaków zagłosowała właśnie na tę książkę.

Co ja myślałem? Chciałem zobaczyć, co to ta miłość. Jak żyją dziewczyny. Chciałem poznać tę książkę i ten świat, a lepszej okazji przecież nie będzie! Jakby ktoś mnie przyłapał czytającego *Dziewczyny się zakochują*, to pomyślałby, że jestem dziwny i zniewieściały, a teraz miałem żelazny argument – ja *musiałem* to przeczytać. Argument, który recytowałem 10 razy będąc w Empiku, aby mieć pewność, że Pani *na pewno wie*, że ja jestem *normalnym* chłopcem.

Byłem tak szczęśliwy, że mogłem czytać książkę bez obaw o ocenę reszty ludzi. Zamknąłem się w pokoju i chłonałem całą historię jak nic wcześniej. Nie byłem typem specjalnie książkowym, więc to był faktycznie szok. Tak szybko to przeczytałem, że kiedy przyszedłem do szkoły na dzień omawiania lektury Marta spytała:

– I jak podobał Ci się koniec?

– Super! – odpowiedziałem chyba bardziej z odruchu, niż przemyślenia. W końcu znalazłem książkę mówiącą o *prawdziwej* miłości i nie kryłem zdumienia, że autorka jeszcze nie dostała Nobla. Toż to była najgenialniejsza powieść tego wieku! Tak rewelacyjna, że zakończenie było dla mnie lekko niezrozumiałe.

– I podobał Ci się ten wątek?

Jaki wątek? No chyba ten wątek romantyczny, ale to cała książka jest o tym, więc... o co chodzi? Wtedy doszła inna koleżanka i zapiszczała:

– O boże, tak! Ten wątek, jak on jest gejem!

ŻE CO?! ŻE JAK?! ŻE WHAT?!

Tam był gej?!

I ja? JA go nie zauważyłem?

Otwieram książkę, sprawdzam z Martą. Faktycznie. Faktycznie główny obiekt pożądania na koniec okazuje się być gejem. Wspomniane delikatnie, bo tylko trzymali się za ręce, ale wspomniane. Było. Jest. Jest *na papierze*.

Jak na szpilkach czekałem, aż omówimy książkę i dojdziemy do tego tematu. Do ostatniej kropli, do ostatniej sekundy, wyczekuję, aż polonistka do tego dojdzie. Dochodzi do końcowego podsumowania, a ja nie mogę z siebie wydobyć ani słowa. Nie poruszyliśmy tego! Nikt nie powiedział ani słowa o JEDYNYM ważnym momencie. Dla mnie także i pierwszym momencie, gdy zetknąłem się z gejami w literaturze!

Teraz może i mnie to nie dziwi. Za kontrowersyjne jak na tamte czasy? Albo może nauczycielka nawet nie przeczytała tej książki i dlatego nie wiedziała? Choć nadal myślę, że to ciekawe, że nawet w prywatnej szkole za grube pieniądze nigdy ten temat się nie przewinął. A skoro nawet tak biszkoptowa wersja jak „trzymanie się za ręce” nie była wygodna dla nauczycielki, to jaka by była?

Zakaz pedałowania

To było to wydarzenie, które trochę mi wyrzuciło życie do góry nogami. Trzecia albo druga klasa gimnazjum. Salezjańskiego gimnazjum, czyli prowadzonego przez księży. To tutaj po raz pierwszy zaczynam kwestionować boga.

Był tam jedyny nauczyciel WF-u, który sprawiał, że nie nienawidziłem chodzenia na te zajęcia. Nie wiem, czy świadomie rozumiał ilość kompleksów, z którymi się boryka otyły chłopak na etapie dorastania, ale widział i rozumiał. Był jedynym nauczycielem WF-u, który nie motywował mnie mówiąc, jak to jestem gruby i że kobiety woła mięśniaków. Pozwalał mi truchtać dookoła boiska, podczas gdy inni grali w piłkę nożną. Absolutnie złoty człowiek. Moja nominacja do Oscara dla nauczycieli.

Piłka nożna zawsze mi się wydawała zbyt brutalna i agresywna. Zbyt samcza. Jako powoli coraz bardziej świadomy gej wiedziałem też, że *nie powinno* mnie to interesować, więc też się nie starałem.

Co zabawne, a może i przewidywalne, wykształciłem specjalny fetysz piłkarzy. Do dziś wydają mi się do granic męscy, będąc w tych swoich strojach i cudacznym butach. Od lat staram się odczytać takiego patrzenia.

No ale wracamy do szkoły.

Pewnego dnia pojawiła się naklejka na wewnętrznej stronie drzwi od naszej szatni. Była to „klasyczna” naklejka głosząca *zakaz pedałowania*. Pamiętam, że byłem bardzo zdziwiony. Nie wiedziałem do końca, co to pedałowanie, a na rower to to trochę nie wyglądało. Jakoś podświadomie czułem, że to słowo oznacza to, co myślę, że oznacza, ale dopóki nie padło *to* słowo, nie byłem przekonany. Moje ciało zamarło.

Gej.

Nie czułem się częścią szkoły, ale też nie byłem z niczego wykluczany. Wtedy do mnie dotarło, że moja seksualność może stanowić konkretny problem dla innych ludzi.

Ja sam nie miałem jakiegось stanowczego stanowiska do swojej seksualności. A przynajmniej nie miałem do tamtego momentu.

Chłopaki przyklaskiwali i śmiali się, że nie!, nie chcą tutaj żadnych pedałów!

Może to zabrzmieć głupio, mówienie, że dokładnie pamiętam, co się wtedy działo w moim środku. Ale pewnych uczuć po prostu się nie zapomina. Zaginam się w środek, jak origami, składam się, umniejszam. Znikam.

A potem nie zajmowałem w ogóle przestrzeni. Nie byłem ciałem w szatni. Fizycznie odczułem narodziny czegoś nowego w moim ciele. Czegoś, co nie chciało się dzielić miejscem z niczym innym. Wtedy poznałem strach.

Wcześniej bałem się rodziców albo strasznego potwora w filmie. Teraz jednak odczułem, że ten potwór nie ma ramy fizycznej. Był wszechogarniający, bezcielesny. A najgorsze... że on *wiedział*. Wiedział, że ja to miałem wypisane na twarzy i *wiedział*.

Pan O. (nauczyciel WF-u) jak tylko zobaczył tę naklejkę, to zrobił się czerwony, jak nigdy jeszcze w życiu go nie widziałem. Był tak wściekły, jak tylko osoby, które nigdy się nie wściekają, się wściekają. Zaryczał jak lew. Kipiał oburzeniem. Gdyby mogło, to pewnie dymiłoby mu się z uszu.

– KTO TO ZROBIŁ?

Milczeliśmy, a ja w głębi duszy dziękowałem światu, że ktoś nie zabrania mi istnieć.

Gdy wyszedł, chłopaki zaczęli chichotać, że pewnie też jest gejem. Nie. Że on jest *pedałem*.

Dopóki nie zabrałem się za pisanie tej części, nie zdawałem sobie sprawy, jak istotne było dla mnie to doświadczenie. Jak ważne było dla mnie zachowanie Pana O. Przez moją *niefajną* sytuację w domu nie myślałem o szkole jako o kolejnym polu bitwy. Szkoła była nudna i trudna, ale nie była groźna.

Zrozumiałem, że najgorsze, co się może wydarzyć, to być pedałem.

Jezus też miał długie włosy

Ponownie jesteśmy w Salezjańskim Gimnazjum, miejscu prawdziwie porzuconym przez boga. Jest tam korytarz ze świeżą warstwą farby, ponieważ w nocy ktoś się włamał i nasprayował obraźliwy napis. *Co to za napis?* pytam kolejne osoby. Ustalenie zajmuje mi pół dnia.

Księżom nie podobało się, że niektórzy uczniowie nosili długie włosy. Oczywiście tylko *męscy* uczniowie, bo jak każdy wie – *prawdziwy mężczyzna* nie może nosić

długich włosów. Została więc oficjalnie wystosowana prośba do rodziców, by wszyscy chłopcy nosili krótkie włosy, jak na mężczyzn przystało.

Na ścianie napisano „Jezus też miał długie włosy”.

Wnętrze i kultura

Namiot

Pierwszy raz poczułem, że coś jest „nie tak”, gdy byłem we wczesnej podstawówce. Wprowadził się na nasze osiedle nowy chłopak, a wraz z nim aura tajemniczości i ekscytacji. Bo jak można mieć życie poza tym życiem, które ja miałem tutaj? Na tym malutkim osiedlu, gdzie była dosłownie dwójka dzieci – ja i mój brat.

Pamiętam, że wtedy w mojej głowie zaświtała myśl, że jest ładny. Ta twarz, te włosy, ahhh. Nie czułem tego wcześniej do faktycznego człowieka. Zazwyczaj były to postacie w kreskówkach czy z książek.

Mieliśmy przed naszym domem rozstawiony namiot, jeden z tych dziecięcych tworów w niedorzecznie neonowe kolory. Licha konstrukcja z rurek, która wymagała dociążenia kamieniami na brzegach, żeby nie odleciał. Było to moje centrum rozrywkowe na tamten czas, więc chciałem pokazać, *jak my się tu bawimy*. Ledwo co się tam mieściliśmy siedząc, a przecież nie mieliśmy więcej niż 8-9 lat.

Ponieważ heteronorma, to oczywiście zabawa w odgrywanie ról. No i bardzo chciałem, by on odgrywał ojca, kiedy ja, *hahaha hihih*, *ale to zabawne*, odegram matkę. Tak wiesz, *ironicznie i dla żartów*.

Często podpierałem swoją decyzję stwierdzeniami typu „hahaha, bo nie ma wyboru”. Szukałem systemowego rozwiązania dla mojej potrzeby przynależenia do kobiecej części heteronormy. A może po prostu do nie-męskiej części heteronormy?

Wystraszył się. Nie wiem, czy przesadziłem, czy coś? Pamiętam, że chciałem go pocałować, być przez niego całowanym. Chciałem, by istniał tylko ten namiot i my. Na zawsze.

Nie-bycie mężczyzną

Nigdy nie czułem spełnienia w męskiej części równania hetero. Może to zabrzmie trochę ekstremalnie, ale nie było takiego momentu w moim dorastaniu, bym choć przez sekundę czuł się, jakbym był mężczyzną, którego kreowały moja kultura i społeczeństwo.

Zawsze czułem dysonans podczas styczności z kulturą hetero, ale także, co było dla mnie zaskoczeniem, podczas zetknięcia z kulturą homo.

Już tłumaczę.

Anime – Seme i Uke

Duży wpływ miały na mnie japońskie anime i mangi, gdzie swobodniej poruszano tematy homo/trans, choć nadal pod czujnym okiem patriarchy i konserwatywnego podziału ról. W zasadzie było to dla mnie jedno z niewielu, jak nie jedyne, okno na świat gejów. Pornografii nie liczę – mówię generalnie o historiach, gdzie występowały pary jedнопłciowe bez kontekstu seksualnego

W japońskich historiach gejowskich istnieje dychotomiczny podział na *Seme* oraz *Uke*.

Seme jest klasyczną kopią naszego dobrze znanego hetero-faceta. Najczęściej jeszcze zupełnie nieświadomy swojego pociągu do mężczyzn. Jest (zawsze) muskularny, (zawsze) wysoki, (zawsze) bogaty, (zawsze) przystojny, i co dla moich rozważań najważniejsze – ZAWSZE TOKSYCZNY.

Pochłaniałem gejowskie anime (Yaoi – czyli z seksem, Shounen-ai – czyli bez seksu) i niestety to właśnie te wzorce były moim jedynym zetknięciem z kulturą homo do momentu liceum. W mojej definicji męskiego mężczyzny mieściły się więc tylko definicje toksyczne – chłód, dystans, odrzucenie emocji, bycie wiecznie napaloną seks-maszyną, dominująca osobowość, która zawsze dostawała, czego chciała, uprzedmiotowienie, kult muskularnego ciała. Czyli w skrócie – dostawałem heteronormę na talerzu.

Uke to pasywna część gejowskiego duo (bo oczywiście jedyna możliwa relacja to dominujący/uległy). Jest tym delikatnym chłopczykiem z zacięciem artystycznym, pępuszkiem puszystym, stokroteczką z idealną cerą i tym błyskiem w oku. Do tego jeszcze dodajmy tragiczną przeszłość z traumą i nasz Uke jest gotowy. By dopełnić swojej oczywistości, musi jeszcze tylko, bez *jakichkolwiek* podstaw, zakochać się w spotkanym Seme.

Może to wszystko nie byłoby takie złe, gdyby nie fakt toksyczności relacji, które są tam kreowane. Seks bez zgody, manipulacja emocjonalna, zdrady (bo Seme, jako prawdziwy samiec, oczywiście ma żonę/dziewczynę), brak umiejętności dialogu, rozwiązywanie problemów za pomocą seksu czy przemocy a nie rozmowy. Ogólnodostępność takiego przekazu sprawiła, że mój mózdek postrzegał te absurdalności jako rzecz nie tylko normalną, ale też pożądaną. Byłem więc ignorowany i traktowany jako seks-zabawka. Uważałem, że muszę (ugh!) oddać się mężczyźnie, by ten zaakceptował mnie takim, jakim jestem. Zakładałem, że seks na pierwszej randce nie jest niczym dziwnym, że to seks dopiero na drugiej albo trzeciej był czymś nienaturalnym. Byłem w stanie nie tylko zaakceptować, ale też poszukiwać poniżenia, ignorowania, krzyku i manipulacji.

Jedyne, czego nie byłem w stanie zaakceptować, to respektowanie moich potrzeb i granic. Wtedy z nudów odchodziłem.

Nie identyfikowałem się ani z Seme, ani z Uke. Obaj byli zbyt idealni, każdy zazwyczaj także i z traumatyczną przeszłością (gwałt, pobicia i próby samobójcze były filarem budowania każdej postaci). Nie było u mnie różowo, ale nie dochodziło do aż takich

wydarzeń. Nie byłem wystarczająco strauumatyzowany, żeby móc się identyfikować z tymi postaciami, a piękne ciała na ekranie nie pasowały do mojej nadwagi; umiejętności artystyczne Uke nie pasowały do moich bazgrołów na marginesach.

Będąc gejem nie czułem się gejem.

Bo skoro taka jest definicja geja, a ja nie wchodzę w definicję, to czym jestem?

Nie-bycie

Mama kiedyś mi powiedziała, że jest bardzo dumna, że nie jestem *ciotowaty*.

To miał oczywiście być komplement i na tamtym etapie dorastania nawet i taki był, choć jest to bardzo niepokojące, jak nawet w środku LGBTQ+ jest pełno uprzedzeń i natychmiastowych osądów. Pomyślałby kto, że to powinno być to jedno z tych bezpiecznych miejsc.

W kulturze gejowskiej jest jakiś rodzaj dumy, gdy uchodzi się za bycie hetero. A może inaczej – gdy uchodzi się za niewyglądającego na geja. Podświadomie chyba cały czas się nawzajem przekonujemy, że bycie gejem jest czymś zasługującym na ukrywanie. Ile razy sam cieszyłem się, że nie myślano o mnie jak o geju – czy to na płaszczyźnie zawodowej (wszak pracowałem przy edukacji dzieci, a dowodów na niechęć społeczeństwa do czegoś takiego jest co nie miara), czy to pół-zawodowej (szefowa mówiąca, że nie wstydzi się mnie pokazać, bo nie wyglądam jak *gejek*), czy to nawet i społecznej (chodząc po mieście odczuwam mniejsze ryzyko, że jakiś pijany dres się na mnie rzuci).

Bez dumy przyznaję, że o ile nie-wykrycie daje komfort życia i możliwość niebycia obserwowanym przez pryzmat społecznych oczekiwań, o tyle wykrycie mnie jako geja powoduje, że czuję się, jakbym źle rozegrał jakąś grę. Tyle mówienia o *self-love*, akceptacji i tolerancji, a ja zamęczam się wieczorami rozmyślając, jak mogłem coś inaczej powiedzieć, żeby nie było po mnie *tego* widać. Niektórzy czują silną potrzebę pochwalenia się, że oni *wiedzieli od początku*, że jestem gejem, co nigdy nie wiem, czy traktować jako przechwałkę czy wyzwanie. Może nie chodzi o samą treść, a o sposób, w jaki to mówią. Jakby czuli wyższość, bo nie zwiodłem ich moim zachowaniem (co chyba jest prawdą, bo podświadomie chcę ukryć moje gejostwo 24h/7 dni w tygodniu).

Chyba się zapętlam. Irytuję się, że się ukrywam, ale też gdy ktoś jest w stanie zrozumieć, że się ukrywam? Czy jest jakieś dobre wyjście z tej sytuacji?

Lubiłem damskie rzeczy, a przynajmniej lubiłem na nie patrzeć. Ciekawiły mnie. Moja podświadomość jednak nauczyła mnie bardzo rozłączać moją ciekawość i moje ciało – podziwiałem, ale czułem, że nie dla psa kielbasa. Ciekawiło mnie to, ale akceptowałem szybko, którą stawiała mi kultura. Sam też pilnowałem, by ta szyba się broń boże nie ruszyła. Nadal uwielbiam patrzeć na kobiety i doceniać ich ubiór, ale nie pozwalałam sobie na np. założenie damskich ubrań. Nie wiem, na ile wynika to z mojego poczucia estetycznego, a na ile z obawy, że ktoś zobaczy, obawy bycia tym gejem.

Wiele lat odrzucało mnie od kultury trans i osób uprawiających gender-bending, ale teraz wiem, że to była zazdrość o ich siłę i odwagę. Nie byłbym w stanie przebrać się w coś tak zwracającego uwagę i nie zapaść się pod ziemię. A oni, pomimo tych wszystkich niebezpieczeństw, nadal wybierali bycie sobą. Jeżeli to nie jest prawdziwa odwaga, to ja nie wiem, co nią jest.

Taki? Czyli jaki?

Czyli skoro nie ta ramka, to która?

Wchodzenie LGBTQ+ do mainstreamu pozwoliło nowym wersjom gejostwa na pokazanie się na Netflixie czy Youtube (teraz także i platformie Tik Tok). Nadal jednak jak na dłoni widać, że reprezentacja naszej społeczności w mediach jest bardzo odległa od realnego świata. Geje zafascynowani modą to fakt, aczkolwiek tylko wybiórczy i limitujący. Tak jak zwykli ludzie, mamy przedstawicieli LGBTQ+ w każdej branży, na każdym szczeblu kariery, z każdym typem ciała, w każdym wieku, z każdym paszportem.

Późno zorientowałem się, że geje to nie tylko piękni faceci w przedziale 20-30 (oczywiście pasyw drobno zbudowany i niższy, a aktywny jako wysoki mięsień), ale dosłownie każdy, kogo widać na lotnisku, w centrum handlowym czy w monopolowym pod blokiem.

No bo jak to?

Mówimy często o gej-darze, czyli fikcyjnej maszynie w naszym mózgu, która mówi nam, kto jest, a kto nie jest homo. A mój gej-dar był absolutnie świetnie przeszkolony, geja mogłem rozpoznać w 0.5 sekundy, ale tylko według przepisu, który dostarczyły mi mainstreamowe media. Jeżeli ktoś nie był modowym gejem, to dla mojej głowy gejem być nie mógł. Gej sportowiec? Niemożliwe. Gej niechodzący do klubów? Abstrakcja!

Kilka lat na aplikacjach randkowych dało mi jasną odpowiedź, że geje są wszędzie. To CEO w korpo, to rolnik, to nauczyciel tańca, to programista, to ksiądz (kto wie, ten wie), to kierowca tira, ale i także nasz kolorowy mainstreamowy gej-fashionista.

Chimamanda Ngozi Adichie podczas swojego wykładu *The Danger of a Single Story* mówi: „Problem ze stereotypami nie jest taki, że są nieprawdziwe, ale taki, że są niekompletne. Sprawiają, że dana historia staje się jedyną historią”. I choć wykład odnosił się do uprzedzeń oraz rasistowskich narracji, to trudno nie przełożyć tego na naszą kulturę gejowską.

Głęboko wierzę, że problem, który trzeba zwalczać, to pomysł, że istnieje jeden rodzaj geja – wegetariański rowerzysta z Warszawy. Z oczywistych powodów tylko taki był nam przedstawiany, ale chyba możemy już coś z tym zrobić. Każdy kolejny gej, który pokazuje się swoim hetero znajomym, to nadbudowanie pojedynczej historii, jaką mamy o gejach. Każdy coming out jest ważny. Wszystkie one nadbudowują mit rowerzysty.

Mamy Facebook, Tumblr, Tik Tok, Instagram, Snapchat i coraz łatwiej jest nam mówić o seksualności. Cudowne to uczucie, gdy mogę wejść na Youtube i widzieć, jak lista moich proponowanych filmów jest pełna twórców, którzy swobodnie wplatają tematy LGBTQ+ w swój content. Może jeszcze w tym życiu doczekam się pełnej akceptacji? A może to po prostu moja bańka ludzi, którymi się otaczam? Może to nie jest tak szerokie, jak myślę?

Trudno nie odnieść wrażenia, że wielu twórców powieści czy scenariuszy nadal nie otrzymało informacji o tym, że queerowa miłość nie musi być przedstawiana jako miłość męczeńska. I choć prawdą jest, że bardzo często ta miłość jest inna i trudna, to po latach przeprowadziłem jednoosobowy bunt męczeński.

Publiczna zgoda na miłość męczeńską

Już wielu się rozpisywało, jak to nasze społeczeństwo uwielbia idealizować umęczonych artystów, niezrozumianych geniuszy i miłość męczeńską. I kilka lat temu mógłbym powiedzieć, że faktycznie tak wygląda miłość gejowska. Że zewsząd otacza nas brak społecznego zrozumienia. Że filmy jak *Brokeback Mountain* to majstersztyk ukazania skomplikowanej miłości, że były to filmy potrzebne, by zobrazować ilość problemów, które istniały. Jednocześnie czułem zawsze sprzeciw – bo **nie istniały filmy z gejami w roli głównej i z happy endem**.

Teraz nie rozumiem, dlaczego klasyczny podział ról na *Seme* i *Uke*, jak w filmach *Call Me by Your Name*, czy *Płynące wieżowce*, nadal jest tak żywy. Wszędzie tylko te cholerne tragedie, rozpadające się związki, samobójstwa. *Płynące wieżowce* mocno mnie rozwścieczyły, bo jako jeden z nielicznych filmów o gejach, które lądują w kinach, kończyły się tragiczną (szok!) śmiercią (no zgadnij kogo) geja.

Czy to nie są realia osób LGBTQ+? Są. Moje pytanie jednak brzmi – dlaczego to są nasze *jedyne* realia?

Zmiana następuje powoli, bo mamy powolną kumulację historii pozytywnych: *Modern Family* tworzy (w 1/3) serial wokół związku osób homo, *Grace & Frankie* to produkcja, która jako oś historii wybrała moment, gdy dwóch mężów odchodzi od żon, by zostać oficjalnie jednopłciową parą. Ważnym jest także jeden z nielicznych filmów kinowych *Twój Simon*, stawiający za głównego bohatera nastolatka, który zaczyna odkrywać swoją seksualność (choć tutaj oczywiście poziom dramatyzmu sięga zenitu, gdy jego obiekt uczuć boi się wyoutować przed szkołą).

Nadal też czekam na pierwszą postać LGBTQ+ w filmie Disneya, Dreamworks czy Pixara. Mamy oczywiście postacie drugoplanowe, które (tylko w jednym zdaniu) napominają o swojej orientacji, ale w wielu krajach (w tym w Polsce) te fragmenty są cenzurowane albo usuwane przed wrzuceniem do kin. Czyli tak jakby nadal tego nie ma.

LGBTQ+ mają prawo wstępu tylko jako niewielkie filmy krótkometrażowe – *Out* czy *In a Heartbeat*, co podsumowuje, jak niszowy jest to nadal temat. Poczekamy jeszcze długo na nasz pierwszy kinowy film animowany z głównym bohaterem LGBTQ+.

Nie wspomnę już o skomplikowanej relacji, które twórcy filmów mają z kulturą queer – cechy nieheteronormatywne od lat są przypisywane tylko antagonistom. Słynnym przykładem jest użycie drag queen jako wzór do tworzenia złej czarownicy w *Małej Syrence*. Disney (i jemu podobne) nie tylko przez lata wypracowywał negatywne spojrzenia na osoby queer, ale teraz także boi się jakkolwiek temu zapobiec.

Pierwsze zetknięcie Disneya z otwartym LGBTQ+ zaczyna się w *Powodzenia Charlie* z 2014, live-action serial, gdzie w przedostatnim odcinku (bo odważyć się można dopiero na koniec) pokazane są dwie matki z dzieckiem. Oczywiście jedynie przez sekundę, jedynie jako tło, w żaden sposób nie dotykające głównych bohaterów.

Pierwszy gejowski pocałunek w bajkach Disneya pojawia się w kreskówce (bo live-action to chyba za duży krok) *Star vs. the Forces of Evil* w roku 2017. Tak. 3 lata temu. Oczywiście jedynie przez sekundę, jedynie jako tło, w żaden sposób nie dotykające głównych bohaterów.

I tak wywołało to internetową burzę, gdzie organizacja *One Million Moms* (znana z bojkotowania reklamy jedнопłciowych ślubów na Hallmark) protestowała przeciwko temu epizodowi mówiąc, że kusi do popełniania grzechów.

Pod koniec 2017 mamy jednak także pierwszą postać w live-action serialu dla nastolatków *Andi Mack* – chłopaka, który odkrywa, że jest gejem. Nie dojdzie jednak do pocałunku, a cały wątek urwie się po drugim epizodzie. Jest to jednak jakiś progres.

Na naszym lokalnym rynku wydawniczym promykiem nadziei miała być niedawno wydana książka *Red, White & Royal Blue*, która była reklamowana jako zabawna, odważna historia dwóch synów przywódców znaczących krajów – USA i Anglii.

W tej historii mamy rozwódkę z dwójką dzieci, która jest w niesformalizowanym związku z innym facetem i... jest prezydentem USA. Prezydent jest byłą żoną Meksykanina (co jest nader wymowne) i wszystko to całkowicie mieści się w świecie tej historii. Wszystko jest ok.

Przy takiej (nie oszukujmy się) fantazji pisarskiej, dziw bierze, że jednak dwóch gejów jest uznawanych za coś, czego społeczeństwo już nie będzie w stanie zaakceptować. Prowadzi to, oczywiście, do ukrywania związku i klasycznego ruchu pisarskiego w produkcjach queer, czyli *oni nie mogą się dowiedzieć*, co prowadzi do nieodzwonnych dramatów i nieporozumień.

Nie mogę i nie chcę móc spędzać czas z takimi historiami. To tak, jakby ktoś napisał książkę fantasy ze smokami i magią, zamkami oraz całą infrastrukturą, a jednak nikt jeszcze nie wymyślił butów. Tak to kurde nie działa.

Nie neguję faktu opresji społecznej. Wręcz przeciwnie – codziennie odkrywam nowe metody, w jakie opresja społeczna wpływa na życie każdego z nas. Jak wstyd i „lepiej nie kusić losu” potrafią nas sparaliżować, pozbawić chęci i sił. Byłem tam. Wiem, jak to potrafi wyglądać.

Jednocześnie tym bardziej nie rozumiem istnienia tej próżni historii szczęśliwych. Gdzie uciekają pisarzom te wszystkie wesołe momenty, których potrafimy

doświadczyć, które wiemy, że się zdarzają? Jeżeli LGBTQ+ mówią, że miłość jest piękna w każdej formie, to dlaczego filmy o nas to jedynie kompilacja tragedii i opresji?

Gdzie mamy szukać wzorów miłości, do których chcemy dążyć? Skąd mamy wiedzieć, jak nasze związki mogą wyglądać? Jak nie popaść w pułapkę toksyczności, jak nie mieć depresji, jak szukać rozwiązań, gdy nasi bohaterowie popełniają samobójstwo, biorą śluby z osobami przeciwnej płci, uciekają, albo ich historie są po prostu spychane z głównej osi fabularnej i często pozostają nierozwiązane?

Moment wyoutowania bądź jego brak: Czy jesteś osobą wyoutowaną?

Zapewne wiele osób coś podejrzewało już wcześniej, ale temat nie był poruszany, a ja także nie miałem parcia, by cokolwiek mówić. Przed najbliższymi – bratem oraz sąsiadem Krzyśkiem... przed nimi chciałem, ale nie jestem typem odważnego człowieka. Wspominałem im, że oglądam yaoi (gejowskie anime) oraz często napomykałem o gejowskich wątkach w filmach, ale nigdy nie powiedziałem niczego bezpośrednio. Miałem głębokie pragnienia porozmawiania o tym, powiedzenia tego komuś. Ludzie w Internecie to było za mało. Potrzebowałem człowieka.

Raz, nie pamiętam dokładnie kiedy, ale mój brat spytał się mnie „Czy ty jesteś...”

Te trzy kropki nadal mnie mordują. Nadal to jakoś boli. Żaden z nas nie chciał nawet wymówić słowa „gej”. Samo mówienie „gej” było groźne.

Udałem, że go nie usłyszałem. A ja, o mój boże, tak *bardzo* to usłyszałem.

Wiele razy się zastanawiałem, jak moje, a może inaczej, jak nasze życie by się potoczyło, gdyby któryś z nas był w tamtym momencie tę odrobinę odważniejszy. Gdybyśmy się tego tak paraliżująco nie bali.

Prawdziwym przełomem było liceum. Tutaj znalazłem moją ówczesną najlepszą przyjaciółkę, mówiliśmy o chłopakach, wymienialiśmy się memami z Internetu.

Nadal zdumiewa mnie wybór drugiej osoby, której powiedziałem. Dlaczego wybór padł akurat na Zużę? W obiektywny sposób była piękna – dobre proporcje, ułożony charakter, przyjazne nastawienie. Była moim pierwszym konfliktem wewnętrznym, bo jak osoba tak ładna, tak miła jak ona, może myśleć, że jest głupia, brzydka i biedna? Może to właśnie to? To, że była równie zagubiona, równie niechciana?

Była to impreza u bóg wie kogo, bóg wie gdzie. Jakiś magazyn przerobiony na miejsce dla skejtów. Oboje nie potrafiliśmy się odnaleźć w tłumie i imprezowej atmosferze, więc w przypiływie wieczoru poszliśmy na spacer i wylądowaliśmy... na sushi. Para 16-latków jedzących sushi w 2010. Warszawa potrafiła być cudownym miejscem.

I wtedy powiedziałem jej, że jestem... bi.

Bo przez gardło nie mogło mi przejść, że jestem gejem. To było wręcz jak obelga wobec samego siebie. Jak bardzo trzeba było być nikim, żeby być gejem? Jak bardzo się nie jest facetem, jeżeli lubi się coś takiego?

Byłem szczęśliwy komuś to mówiąc. Nawet jeżeli to nadal było kłamstwo, to było o wiele bliższe prawdzie. Było niemal jak sama prawda.

Tutaj dygresja, bo nie sposób o tym nie mówić. Byłem jej *pierwszym bi* – tekst, który usłyszę w przyszłości wielokrotnie – że jestem czymś *pierwszym bi*, czy jak w końcu zdobyłem się na szczerość ze sobą, *pierwszym gejem*. Zbieracze pokemonów, cholera.

Po Zuzie powoli pojawiały się kolejne osoby – zbieracze pokemonów i swoich *pierwszych gejów*, ale także osoby które np. nie mówiły nic i jakby ignorowały, co powiedziałem. Jedna znajoma przestała do mnie w ogóle pisać.

Reakcja, która była jednak dla mnie najdziwniejsza, była w autobusie 186 na moście Grota. Tak bardzo się to we mnie wryło, że dokładnie pamiętam, w którym miejscu mostu to było.

– *To fajnie. Ja też.*

Spodziewałem się zdziwień, wyparcia, odrzucenia. Ale nie spodziewałem się, że ktoś także może mieć taką „przypadłość”. Co gorsze – nie była w zachwycie, nie klaskała, nie zapytała, czy kiedyś pójdziemy na zakupy. Nic, na co mnie przygotowywały amerykańskie filmy i książki.

Była z tym totalnie normalna.

Z perspektywy czasu wiem, że to najlepsza z możliwych reakcji, ale na tamten czas było to dla mnie trochę jak cios w serce. Mój największy sekret, moja najważniejsza i ukrywana część mnie, diament mojej osoby... to było nieistotne. Coś na kształt zdrady. Tak to wtedy czułem.

Pierwszy raz zobaczyłem, że bycie gejem może być czymś zupełnie niefascynującym. Czymś normalnym. Wtedy mnie to nawet zabolalo, dzisiaj szukam tylko takich reakcji. Jeżeli ktoś zaczyna klaskać albo wypytywać o modę, to w głowie słyszę, jak gęsim piórem dramatycznie wykreślam ich z mojego życia.

Radykalne i niepotrzebne? Pewnie tak, choć wynika to również z doświadczenia. Taki typ ludzi często traktuje mnie jak pokemona do kolekcji, nowy rodzaj burgera w McDonalddie – ciekawostka, ale raczej tylko na raz.

Trudniej jest mówić o przykładach, gdy po powiedzeniu o mojej orientacji niektóre osoby w pracy np. przestawały ze mną rozmawiać na polu prywatnym i skupiały się tylko na zawodowym. Może to i lepiej niż wyrzucenie z pracy czy pobicie? Czy można na to narzekać, jeżeli w zasadzie nie dzieje się nic strasznego? Jest dziwnie i niefajnie z takimi osobami, no ale to nie jest tak, że i ja wszystkich kocham.

Komu mówisz o swojej nieheteronormatywności, a komu nie?

Chciałbym powiedzieć, że każdemu i że w ogóle się nie krępuję, ale to nie będzie prawda. Wstyd jest potężniejszą emocją, niż ktokolwiek chciałby przyznać.

O wyoutowanie pytam facetów, z którymi idę na randki. Mam (może lekko wykluczającą) regułę, że z facetami niewyoutowanymi się po prostu nie umawiam.

Często odpowiadają, że nie są wyoutowani, bo „Nie obnoszę się z tym. Kto wie, ten wie.”

Czy tylko dla mnie to brzmi jak zinternalizowana homofobia?

To w ogóle bardzo ciekawy rodzaj facetów. Tych, którzy myślą, że są takimi nie-stereotypowymi gejami, w zasadzie to oni są hetero, a z facetami to tylko jakieś tam pitu-pitu. Dumnie noszą swoją iluzję heteronormatywności. Uważają, że odkryli złoty środek, tajny przepis.

Kilka randek z takimi osobami od razu rozwiewa wątpliwości – będziemy niby parą, ale tylko pomiędzy ścianami mieszkania któregoś z nas. Na ulicy jesteście obcy. Dla nieznanomych jesteście kumplami, współlokatorami, ziomkami. A dla znajomych? Istny Kot Schrödingera. Oni także zostają uwikłani w tę wielką konspirację, gdzie musimy szeptać o sobie w miejscach publicznych, dotykać tylko w ciemnym pomieszczeniu. Najlepiej jeszcze po alkoholu.

Od razu wychodzi, że ten piękny mężczyzna, który niby wygląda, jakby był odpowiedzialnym i pewnym siebie facetem, jest równie przerażony jak każdy inny. On tylko zgrabniej to ukrywa – przed światem i przed sobą. Od razu myślę o osobach trans, które pomimo tego wszystkiego nadal są w stanie się pokazać. I pomyśleć, że to ich nazywa się *niemęskimi*. To oni mają prawdziwe jaja.

Nie chodzi mi o to, że czerpię przyjemność z nazywania kogoś tchórzem. Chodzi mi o to, żebyśmy autentycznie nazwali to, co się tutaj dzieje – tacy *męscy faceci* to ludzie sparaliżowani strachem przed konsekwencjami bycia gejem. Tak przerażeni, że aż strach się bać. Mówią, że oni nie muszą się obnosić z byciem gejem, że to ich w żaden sposób nie definiuje.

Myślę, że problemem jest tutaj brak znajomości różnicy pomiędzy słowami *być* oraz *obnosić się*. Nie boją się *obnosić* ze swoim gejestwem. Boją się *być* gejami.

Jak w ogóle można myśleć, że bycie gejem w ogóle go nie definiuje? Czy my żyjemy w tym samym kraju? Czy to szczyt ignorancji i brak jakiegokolwiek refleksji, czy złoty los na loterii życia? Czy to w ogóle możliwe – nigdy nie przeżyć konsekwencji z powodu bycia gejem?

Obsesja prawdy

Tak. To jest obsesja.

Zrzucam to na lata ukrywania się w fałszywym Maksymie. Udawanie kogoś innego, ignorowanie niewygodnych prawd, używanie przerośniętych zamiast konkretnych słów.

Maniakalnie zacząłem szukać prawdy pod koniec podstawówki – konsekwencją są do dziś prowadzone dzienniki i pamiętniki. Już wtedy wiedziałem, że *ja* dla innych jest bardzo innym *ja*, od tego, które mam w sobie.

Każdy, kto pisze, chyba przechodzi przez ten etap, gdzie jego pamiętniki nie są w 100% zgodne z tym, co myśli lub czuje. Naturalna jest obawa, że ktoś niepożądany przeczyta nasze zapiski i wyśmieje styl, przemyślenia, ortografię. Każda narracja to swego rodzaju próba przejęcia kontroli nad wydarzeniem – objęcie go i zdefiniowanie. Narracja to wersja rzeczywistości. A ja bardzo polubiłem decydowanie o własnej.

Myślałem, że zostanę kiedyś wielkim artystą, więc starałem się zachowywać taki ton. Myślałem, że moi rodzice to kiedyś przeczytają, więc nawet pogrubilem napis „nie palę papierosów”, bo chciałem udowodnić, że jestem taki *inny*, taki *lepsy*.

Na dzień pisania tego tekstu (rok 2020), zeszytów wypełnionych jest w sumie 23. Około 1/3 z nich była pisana przez soczewkę *co ludzie powiedzą*, czyli pisałem je ja oraz mój wewnętrzny moderator treści, który kamuflował i zmieniał fakty, żebym wyglądał na *normalnego*. Lata zajęło mi wykształcenie głosu, który nie będzie okłamywał samego siebie.

Dziś nie potrafię usiąść i przemyśleć czegoś w głowie. Muszę mieć do tego długopis i zeszyt. Ufam temu procesowi bardziej niż sobie – stąd i ta obsesja prawdy. Wszystko musi zostać przefiltrowane przez zeszyt.

Owoce jest fakt, że bardzo rzadko ufam ludziom w tym, co mówią.

Widząc jak wiele bzdur byłem w stanie mówić samemu sobie, żyję przekonaniem, że inni ludzie także wmawiają sobie, i mi, wiele rzeczy, które mają niewiele wspólnego z prawdą. Szybkie spojrzenie na nowoczesnych influencerów tylko upewnia mnie w tym przekonaniu.

Nie potrafię więc normalnie rozmawiać z osobami, które są w szafie. Mam wrażenie, że to jest tak ważna strefa życiowa (a zarazem jak nieważna. Piękny paradoks!), że niemówienie o tym (czy to w formie unikania tematu, czy kłamstwa) wydaje mi się szeroko idącym procesem negocjowania siebie.

Wiem, że to wypadkowa przywileju mieszkania w dużym mieście i bycia białym mężczyzną. To przywilej, którego nie każdy w Polsce może dostąpić.

Jednocześnie wydaje mi się normalnym, że mogę oczekiwać od moich partnerów – podróżników z najróżniejszych zakątków świata, czy też stałych mieszkańców naszego pięknego pępka Europy – że nie będą się ukrywać przed swoimi bliskimi. Że nie będą ukrywać mnie.

Już tłumaczę.

Paradoks nie-ważności

Bycie LGBTQ+ nie jest niczym niezwykłym. Nie można chodzić z tym po ścianach, nawet pajęczyny z nadgarstka się nie da wydobyć. Nie daje niczego, a w naszym państwie pozbawia aż nader wiele.

Jednocześnie bycie LGBTQ+ jest czymś bardzo niezwykłym. Nie bez powodu mówimy o *heteronormie* – w końcu to ona jest normą. Jest się więc kimś z automatu

innym i systemowo obcym. Niektórzy czynią z siebie fajerwerka, niektórzy się chowają w cień. Jest to jednak rzecz, która bezsprzecznie zmusza do pewnych decyzji.

Czytając o USA natknąłem się na taką wypowiedź: *USA to tak znaczące i wywierające wpływ państwo, że nie sposób nie mieć o nim opinii. Można kochać, można nie lubić, ale jakąś opinię trzeba uformować.* Mam wrażenie, że to samo jest z byciem w społeczności LGBTQ+. Można się identyfikować i chodzić na parady, można siedzieć w szafie i się *nie afiszować*, ale nie można do tego podejść obojętnie. Wobec tej decyzji są także postawieni nasi hetero znajomi, którzy może nie planowali uczestniczyć w tych debatach, ale z racji bycia normą muszą te światopoglądowe decyzje podejmować. Szczególnie, że to oni są władcami naszych praw.

I tak samo jak już wiemy, że mówienie *ja nie widzę koloru skóry* jest oznaką białego przywileju, tak i tutaj w przypadku gejów, którzy mówią *bycie gejem nic nie zmienia*, coś się nie zgadza. Jeżeli komuś, kto żyje w Polsce, bycie LGBTQ+ nie zmienia nic, to znaczy, że żyje w bańce i całkowicie stracił kontakt z rzeczywistością, że zamyka oczy, odstawia uszy na bok. To przykład osoby uprzywilejowanej, która widzi tylko czubek nosa.

Życie LGBTQ+ nie jest takie jak życie innych, a miłość LGBTQ+ nie jest taka sama jak miłość ludzi hetero.

To relacja zbudowana na zupełnie innych podstawach, która musiała wywalczyć swoje własne prawo do istnienia. To miłość, która jest negowana, umniejszana, nieaprobowana, nieinstytucjonalizowana. To miłość, która prawnie nie występuje.

Była taka kampania internetowa, gdzie pokazany był ekran rentgena i dwie osoby się całowały. Plot twist polegał na tym, że to były dwie kobiety albo dwóch mężczyzn. I potem to hasło, że miłość jest miłością i nie ma żadnych różnic.

Otóż oświadczam wszem i wobec, że pocałunek pocałunkowi nierówny. Gdy para hetero się całuje, to się po prostu całuje. Ale pocałunek dwóch gejów w Białymstoku to nie jest pocałunek – to rebelia. Rebelia, za którą płacimy wizytami w szpitalach, wykluczeniem społecznym, czy nawet własnym życiem. To pocałunek, który potrafi nas wyrzucić z pracy, wykreślić z rodziny, zmusić do wyprowadzki. Ile par hetero musiało przechodzić przez tę bramkę rozważań, gdy chciało się pocałować?

Miłość LGBTQ+ ma niewiele wspólnego z systemowo aprobowaną miłością hetero. Miłością, którą można zalegalizować, która może dać wizę, a nawet możliwość wejścia na salę szpitalną. Miłością, która może zakończyć się posiadaniem dziecka bez pytania *kogokolwiek* o zgodę.

Nasza miłość bierze na to wszystko poprawki. Uwzględnia fakt, że ludzie będą nas nienawidzić, że nie możemy się pocałować na przystanku autobusowym, nie będziemy trzymać się za ręce na balu maturalnym, nie przyprowadzimy miłości naszego życia na imprezę pracowniczą. Miłość LGBTQ+ jest wybrakowaną, wypaczoną wersją miłości hetero. Imitacją tego, co hetero pary mogą mieć bezrefleksyjnie i to jeszcze z całkowitym poparciem społeczeństwa. Te miłości próbują być tym samym, ale nie są, i przez wiele lat chyba jeszcze nie będą. Mówienie o jej jednako-

wości to w najmiłszych słowach *cieple pragnienie*, a w brutalnych – *marzenie świętej głowy*. Idea może jest podobna, ale egzekucja to dwie oddzielne bajki.

Dlatego tak bardzo istotne, by mówić o naszych historiach miłosnych. Tych, które niekoniecznie wpisują się w heteronormę i kończą domem i dziećmi. Żeby przeciętny konsument wiedział, że niestandardowe związki hetero także istnieją. Wszystko to wspiera zmianę naszej *jedynej* historii miłości LGBTQ+. Wtedy miłość queer nie stanie się „tą samą” miłością co miłość hetero, ale stanie się miłością równoznacznie istotną.

A więc mówienie otwarte, czy się jest LGBTQ+, czy nie, to nie są słowa rzucane w powietrze. To słowa, które potrafią wysadzać ludzi w powietrze.

Dlatego tak niebezpiecznie o tym mówić.

Dlatego tak ważne jest, żeby o tym mówić.

Jest to bardzo istotne. I nie ma to jednocześnie żadnego znaczenia.

W tym kraju ma to jednak bardzo duże znaczenie. Tak duże, że niektórzy będą protestować nasze marsze. Będą bić i palić, zakładać *strefy wolne od LGBT* i protestować pojawianie się *zbędnych pedalskich postaci* w filmach.

Dopóki to faktycznie nie stanie się nieważne, jest to bardzo ważne. Trzeba o tym trąbić do takiego przesytu, żeby ludzie już mieli dosyć braku praw. Bo jak zobaczą, że to ich kolega z pracy, to ich szefowa, ich brat, ich fryzjer – wtedy będą mieli chociaż styczność z nami, widzieć, że istniejemy.

Nadal spotykam mężczyzn, którzy bronią się od powiedzenia sobie, kim są, a jednocześnie nie wzbraniają się od mówienia, kim są inni – ciotami, pizdami, pedalami. Sytuacje w Polsce i zagranicą pokazują jednoznacznie – wiele najbardziej zagorzałych homofobów to krypto-geje. Dlaczego?

Piszę o tym wszystkim, bo wiele lat zajęło mi zrozumienie kilku prostych spraw, które były warunkowane różnego rodzaju strachem. Dopóki nie zacząłem świadomie poszukiwać różnych historii, nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo ja sam jestem ograniczony. Wiemy, że kształtuje nas nie tylko biologia, ale także i środowisko. Dlaczego więc tak wzbraniamy się przed kwestionowaniem naszego środowiska?

Sam popełniłem masę błędów i powiedziałem słowa, które chciałbym odczynić. Jest już trochę późno, ale mam nadzieję, że nie *za* późno. Myślę, że już wiele osób znormalizowało *popelnianie* błędów, ale nieczęsto zdarza się, że ktoś *omawia* swoje błędy i podaje ich przyczyny. Zaczynam więc i wychodzę przed szereg. Zapraszam także i Ciebie do wylistowania ze 3 czy 4 przykładów rzeczy, które robiłeś/łaś w przeszłości, a teraz żałujesz.

- Sam nazywałem niektóre osoby pedalami – potrzeba czucia się lepszym, czyli **strach** przed samym sobą;
- Nie chodziłem na parady równości i uważałem je za stratę czasu – **strach** przyznania się przed innymi + **strach** przed pobiciem;

- Myślałem, że jest za dużo niepotrzebnych gejów w filmach – **strach** nie bycia jedyną historią geja;
- Myślałem, że rodziny jedнопłciowe nie powinny adoptować dzieci – **strach** przed kwestionowaniem norm;
- Myślałem, że ludzie nie powinni się całować w miejscach publicznych – **strach** przed intymnością i własną seksualnością;
- Oceniałem i krytykowałem osoby ubierające się w kształty i kolory – **zazdrość** wobec osób, które nie wstydzą się być sobą, **strach** przed nieznanym;
- Myślałem, że to aktywny (w seksie) gej powinien inicjować rozmowy na portalach randkowych – **strach** przed wyjściem na zbyt pewnego siebie;
- Nie chciałem pomóc kobietom przy podnoszeniu ciężkich rzeczy mówiąc, że skoro są takimi feministkami, to dlaczego same tego nie mogą podnieść? – **strach** przed wyjściem na słabego (zbyt mało mięśni do podniesienia ciężkich rzeczy), a więc **strach** wyjścia na niemęskiego faceta (czyli bycie przyrównanym do kobiety);
- Myślałem, że zawsze muszę chcieć seksu – **strach** przed niebyciem mężczyzną;
- Myślałem, że nie mogę płakać – **strach** przed byciem uznanym za kobietę;
- Myślałem, że niewpisywanie się w stereotyp geja czyni mnie lepszym od innych – **homofobia**.

Moich dwóch ulubionych gejów w samochodzie

Dziwne to uczucie – niebycie mną. Maksymem.

Ostatnio jadąc w samochodzie ze znajomymi usłyszałem, jak znajoma woła z tylnego siedzenia:

– Ja i moich dwóch ulubionych gejów (czyli ja i kolega).

Rzadko ludzie zwracają się do mnie takimi słowami. Jestem mężczyzną, chłopakiem, Maxem, Maksymem, człowiekiem, pracownikiem, synem, kolegą, przyjacielem, kochankiem, przypadkowym człowiekiem, tym wysokim, tym cichym. Ale gejem?

A czy nie jestem gejem? Czy to właśnie nie jedno ze słów, które mnie opisuje? Jestem też tym wszystkim powyżej, więc czemu przeszkadza mi *gej*? Konotacja? Pejoratywne skojarzenie wbudowane w społeczną matrycę? Strach przed konsekwencją? Ucieczka przed prawdą?

Czy zwracamy się do ludzi *ten heteryk/hetero*? W społeczności gejojskiej się z tym stykam, ale czy w reszcie społeczeństwa też tak się mówi? Czy mamy takie słowo, którego używamy? Czy to może moja wybiórcza soczewka nie widzi, że ludzie zwracają się do innych przez pryzmat ich seksualności?

Nie wiem. Ale to uproszczenie do geja jakoś mnie zabolalo.

Krypto-homofobia? Bardzo możliwe.

Ataki paniki

Nie sposób pisać o tym, co się wydarzyło przez ostatnie miesiące, ale i nie sposób o tym nie pisać.

Słowa „atak paniki” zawsze wydawały mi się bardzo dramatyczne, hollywoodzkie. Ale tak się nazywa to, co się dzieje u mnie na podłodze w mieszkaniu.

Reakcja rządu na działania Margot czy homofobus to punkty zwrotne w historii mniejszości seksualnych w Polsce, ale nie każdy potrafi grać w życie i procesować tego typu wydarzenia. Mój organizm nie wypracował mechanizmu reagowania na sytuacje przemocy systemowej i opresji społecznej, jakich doświadczamy w roku 2020. Z uwagi na rodzaj dyskomfortu, którego doświadczam w tłumach oraz z uwagi na mój paniczny strach przed przemocą, nie mogę chodzić na przemarsze czy protestować przed Pałacem Prezydenckim. Mój gniew i bezsilność nie mają ujścia.

Kończy się to na mojej podłodze, gdzie potrafię leżeć godzinami.

Naturalną konsekwencją są rozważania na temat emigracji. Tutaj także przez pryzmat tego, czy w danym kraju będę mógł być sobą, czy znowu będę udawał. Przyznam, że pomysł wyjazdu do Chin (z tej perspektywy) był bardzo niefortunny, bo z jednego bagna pojechałem w drugie.

Ataki się nasilają, choć nie są dla mnie tak szokujące jak wcześniej. Chyba nawet strachem można już się znudzić. Co za czasy!

Seksualność

Od przyjaciół boże strzeż

To wszystko prowadziło do dziwnych sytuacji. Nie byłem dziewczyną, nie byłem chłopakiem. Rzeczy bardzo kobiece (moda, kolorowe rzeczy, błyszczki) były dla mnie dziwne, a to co silnie męskie (piłka nożna, strzelanki, walki) było odrzucające.

Żyłem pomiędzy dwoma światami, ale w żadnym nie mogłem się zadowolić. Dla dziewczyn pozostawałem chłopakiem, a dla chłopaków zawsze byłem tym dziwnym, co nie gra w nogę i trzyma z babami. Żadne przyjaźnie damskie czy męskie donikąd nie prowadziły, bo i oni byli dla mnie jacyś dziwni, a i ja dla nich byłem... jakiś nie taki.

Oczywiście z perspektywy lat łatwiej się widzi te wzory zachowań. Gdy tylko ktoś podchodził bliżej i postanawiałem się otworzyć na jakiś temat, to byłem nazywany dziwnym. W domu przestałem próbować – ojciec zawsze miał rację, a mój brat mnie nie słuchał. Mama była zbyt zajęta pracą i utrzymywaniem nas przy życiu (tatuś nie raczył), a jednocześnie, jako ofiara przemocy fizycznej i psychicznej, nie miała po prostu głowy do moich problemów. Chowałem się w sobie i w swoich zeszytach.

Co zdumiewające, bardzo dobrze sobie ze wszystkim radziłem. Ludzie myśleli, że jestem towarzyski i zabawny (och, gdyby nie humor, to by nas wszystkich

introwertyków pozamykali), zdawałem do kolejnych klas, nie było (wykrytych) prób samobójczych. Na pierwszy rzut oka – klasyczny nastolatek w wieku buntu, gdzie nic nie ma sensu.

Nikt nie widział (a ja nikomu nie mówiłem), że nikogo nie traktuję jako przyjaciela. Nawet Internet nie dał mi przyjaciół, choć chciałem być *tą* historią, gdzie przypadkowo poznana osoba na jakimś czacie stała się moim wieloletnim przyjacielem. Nic dłuższego się z tego jednak nie wykuło.

Dołączająca samotność zaczęła kończyć się w liceum, gdzie poznałem Justynę. Osobę równie co ja zdesperowaną by mieć najlepszego przyjaciela. Byliśmy dla siebie idealni – ja toksyczny i wykorzystujący, ona cierpliwa i znosząca upokorzenia w imię przyjaźni. Dopiero w trakcie studiów pojąłem, jak bardzo jesteśmy dla siebie niedobrzy. Jak bardzo ja byłem dla niej niedobry. Prawdziwe produkty i reprodukcje naszych własnych rodzin.

Była świadkiem moich pierwszych zauroczeń, powiernikiem moich brudnych sekretów (które niestety były często dalekie od prawdy). Jednak i przy niej naginałem prawdę i dokonywałem rewizji moich wypowiedzi, coś, w czym miałem praktykę dzięki latom moderacji narracji w moich zeszytach.

A więc, po raz pierwszy, przedstawiam całą prawdę tamtego wieczoru.

A mogło być morderstwo idealne

Moja znajoma, Ania, wracała wieczorem do domu i chciała ze mną porozmawiać. Spytała, czy mogłaby wysiąść na moim przystanku, a ja ją odprowadzę do jej domu.

A przynajmniej tak powiedziałem moim rodzicom.

Zaklinam, nadal nie wiem, jak mogli mi uwierzyć, bo jak na dłoni widać, gdy kłamie. Może byli szczęśliwi, że w końcu ktokolwiek chce ze mną spędzać czas? Albo po prostu ich to nie obchodziło. W każdym razie – pytań nie zadawali.

Wziąłem długi prysznic i wymyłem się najbardziej pachnącymi żelami świata. Wypisałem się dezodorantem od stóp do głów (jak każdy szanujący się 16-latek), założyłem najmodniejsze ubrania, jakie miałem, a do tego, *uwaga, uwaga*, założyłem także stylową czapkę. Przypominam, że była godzina 20. Nigdy w życiu, ani wcześniej, ani później, nie odwalilem takiej stylówki jak na tamtą noc. Miałem nawet koszulkę „Sex, drugs & rock”nroll”, co myślałem, że jest szczytem *high life*.

No ale jestem. Odwalony jak do kościoła na Boże Ciało. Mówię, że idę rozmawiać z Anią.

On odbiera mnie z przystanku autobusowego i jedziemy gdzieś w prawo. Klasyczna gadka szmatka, jakaś muzyka z radia. Zatrzymuje się na wałach (mieszkałem obok Wisły), gdzie w nocy nie ma żadnego światła – to ta niedorzeczna ciemność, której w Warszawie już chyba nie ma. Własnych dłoni nie widać.

Zaczyna mnie całować.

Mój pierwszy pocałunek. Ten co miał być tym magicznym i specjalnym. Spartolony na jakiegoś przypadkowego typa z chatu dla gejów.

Jak się w ogóle całuje? Nie ma czasu. YOLO. Carpe diem. Jedziemy z tym koksem. Jak moja znajoma mówi – *odpalam pralkę* w ustach – wsadzam język do środka i kręcę 300 obrotów na sekundę. Przy okazji myślę, że to najseksowniejsza czynność na ziemi.

Nie. Nie myślę tak. Ale myślę, że tak właśnie *powinienem* myśleć. Wcale nie chcę tu być.

Czy wspominałem, że ten facet ma 30 lat? Że ja mam 16?

Czy to było *to* całowanie, o którym wszyscy mówili? To miało być to elektryzujące przeżycie dwóch ciał spawanych żywym, gorejącym pożądaniem?

Prosi, żebyśmy przeszli na tylne siedzenie. Przechodzimy, a raczej ja przechodzę, bo on staje przy tylnych drzwiach, rozpina rozporek i pokazuje mi swojego penisa.

Pierwszy raz widzę *autentycznego* penisa. W sensie – nie mojego. Widywałem *to* na zdjęciach w Internecie, ale to pierwszy taki prawdziwy penis. Jest... inny, krzywy, ma nieproporcjonalnie dużego żołądka (wtedy nazywałem to „to różowe coś na górze”). Jestem zdziwiony, zaciekawiony, obrzydzony. Jestem tym wszystkim naraz.

Wkładam go do ust. Nie wiem, czego się spodziewałem. Konkretnego smaku? Uczucia? Bo u mnie nic. Ot po prostu, taki tam obiekt w moich ustach. Z jakąś teksturą, ale tak jakby nie. Nie wiem, co robić, ale zbliżam się i oddalam, tak jak pokazywały filmy w Internecie. Nie wiem, jak można odczuwać jakąkolwiek przyjemność w tej sytuacji. Jestem zażenowany sobą, tą sytuacją. Wyobrażam sobie, jak to musi wyglądać z boku.

Noga zaczyna mi skakać.

To pierwszy raz, kiedy zacnie mi skakać, ale nie ostatni. Będzie tak przez kilka kolejnych lat – jakaś moja kończyzna, albo cały ja, zacniemy drgać bez jakiegokolwiek kontroli. Będę się ścisnął od środka, żeby powstrzymać konwulsje całego ciała, ale nic mojemu partnerowi nie powiem. Będę im mówił, że to z powodu mojej ekscytacji, euforii, tego, jak *dobrze* mi jest, jak *dobrze* mi robi.

– *Spokojnie* – mówi.

Zaprzeczam. Mówię, że to z powodu chłodu.

On zdejmuje swoją bluzę i kładzie mi ją na ramionach. Rycerz XXI wieku.

Potem rozpina moje spodnie, chce mnie rozgrzać.

W moich spodniach dzieje się... nic. Absolutnie nic. Tak jakby te wszystkie niespodziewane wzwody na basenach, na lekcjach chemii, siedząc w autobusie – wszystko to mi się wcześniej przyśniło. Siedzę z tyłu samochodu jakiegoś nieznanego faceta, a mój penis, pomniejszony do rozmiaru fistaszka, pogrywa sobie w chowanego. To nie tak wyglądało na filmach, nie tak miało być. Co jest ze mną?!

On jednak liże, stara się coś zrobić, mówi mi jakieś słowa. Patrzy na moją skaczącą nogę i przypomina, żebym się zrelaksował. Ja mu przypominam, że to nie ze stresu, tylko z zimna.

Nalegam, żebyśmy kontynuowali.

Chciałem mieć to z głowy. Już zapomnieć o całej tej sytuacji. To jest uczucie, które jeszcze wielokrotnie powtórzy się z mnogą ilością mężczyzn w moim życiu. Żeby to już się skończyło i żebyśmy nigdy do tego nie wrócili.

Skończył. Na mnie.

Do głowy mi nie przyszło, że mógłby być seryjnym mordercą. Znaczący, przyszło mi to do głowy, ale postanowiłem tę myśl zignorować. Mógłby mnie zabrać i wywieźć gdzieś hen, hen daleko – NIKT by mnie nie znalazł, bo to były czasy sprzed Internetu w telefonach, a chat, na którym się poznaliśmy, kasował się przecież po zamknięciu okna. Mogłem wyparować i nikt by się już o niczym nie dowiedział

Poprosił mnie, żebym zapisał jego numer. Chciał ze mną utrzymać kontakt, bo jestem *takim miłym chłopakiem*. Wpisałem, bo nie miałem sił tłumaczyć, jak wielką pomyłką był ten wieczór. Chciałem, żeby mnie odwiózł. Żeby ten wieczór się skończył. Byłem wyleczony z facetów i z ich penisów, z moich fantazji i tego, jak seks został mi fałszywie przedstawiony. Chciałem wyparować. Zniknąć.

W domu nikt mnie o nic nie pytał. Wbiegłem na górę, pościeliłem łóżko, poszedłem spać.

Justynie powiedziałem, że się z tym typkiem tylko całowaliśmy. Wstyd nie pozwalał mi mówić o tym, co się stało na tylnym siedzeniu. Sam nadal nie rozumiałem, co się dzieje, więc zrobiłem to, co zawsze robiłem i chyba będę robić w takich sytuacjach – zatrzasnąłem się na cztery spusty.

Pisał do mnie SMS-y. Że było wspaniale i że stawiam najlepszą laskę na całym świecie. Że jestem piękny. Że on chce powtórkę. Że jeszcze z nikim mu tak nie było dobrze.

Stwierdzenia, które będą się powtarzały na przestrzeni kolejnych lat, choć nigdy nie z mojej strony. Seks na lata pozostanie elementem, z którego nie byłem w stanie czerpać przyjemności, a jedynie go tolerowałem (lub używałem) do osiągnięcia swoich własnych egoistycznych potrzeb. Tak, seks był moją metodą manipulacji. Był mechaniczny, bezosobowy, i zawsze powracała ta myśl – *niech to już się skończy*.

Ciekawe uczucie – wyrzucić to z siebie. Nie żeby jakoś specjalnie mi się to w głowie tliło, nie myślałem o tej sytuacji już od lat. Do momentu rozpoczęcia pisania dzisiaj wieczorem, nie zdawałem sobie sprawy, że to wydarzenie przecież było częścią mnie. Że w ogóle się wydarzyło.

Zastanawiała mnie (i nadal zastanawia) motywacja tego faceta. Oferta seksualna skierowana do takiego nieletniego? Dlaczego? Po co? Nie obwiniam go i nie krytykuję, po prostu jestem ciekawy. Co może dać 16-latek, czego nie dała żadna inna osoba? Czy to było po prostu napalenie? Fetysz młodszych?

Był miły. Był opiekuńczy. Najlepszy możliwy 30-letni typ, który umawia się z licealistą na robienie lodu w samochodzie. Nie był wulgarny i nie przekraczał granic, które w przyпыlywie rozsądku postawiłem. Nie zmusił mnie do niczego, do czego ja się nie zmusiłem. Z jego perspektywy to my się chyba świetnie bawiliśmy. Może nawet nie rozumiał, dlaczego go zablokowałem?

Ciało

Moje ciało ma 2 albo 3 lata.

Ja zawsze byłem *w* moim ciele, ale nie *byłem* moim ciałem. Byłem ja jako jednostka-mentalna-Maksym, ale nigdy jako ciało-Maksym. Nie wiem, czy osoba, która przez to nie przeszła, jest w stanie zrozumieć, o co chodzi. Osoby mieszczące się w społeczeństwie akceptowalnych rozmiarach nie potrafią czegoś takiego zrozumieć, bo nie mają języka by sobie coś takiego wyobrazić. Tak jak osoba nieuzależniona nie będzie w stanie zrozumieć uzależnionej – rozumie się to z poziomu logiki, ale nie z poziomu serca. My przecież wiemy, że coś jest niezdrowe i że nas niszczy, ale to nas w ogóle nie powstrzymuje przed tym destrukcyjnym zachowaniem.

Przez lata nie pozwalałem ciału na istnienie, bo byłem przekonany, że to nie jest *moje* ciało. Że może powinienem być dziewczynką, bo przecież podobają mi się chłopcy. Bo początkowo miałem być dziewczynką i miałem się nazywać Marta (poród na pewno był zabawny). Lubiłem kolory, fantazjowałem o posiadaniu chłopaka już od podstawówki.

To nie to, że byłem gejem. Po prostu byłem nie w *tym* ciele.

Jakże mi się marzyło, żebym mógł kiedyś pójść na taką *prawdziwą* randkę z chłopakiem. Żeby mi coś kupił (bo wtedy myślałem, że to jest prawdziwa miłość – kupowanie prezentów), żeby był zawadiacki i lekko dziki, przedstawił mnie swojej rodzinie. No heteronorma, no. Chciałem być oczarowany i zabrany przez mojego rycerza.

Kiedy fantazjowałem w głowie, a robiłem to zawsze i wszędzie, to nie tworzyłem scenariusza gejowskiej miłości. Zawsze była to miłość... do mnie. Do mojej osoby, a nie do ciała. Byłem kształtem i nawet, gdy myślałem o seksie, to tego męzczyznę widziałem wyraźnie, ale mojego ciała tam nie było. Seks był wizualizacją *jego*, a nie mnie.

Potem przyszedł czas, z którego Freud byłby bardzo zadowolony, bo dużą satysfakcję dawały mi scenariusze zakazanej miłości, kiedy to ja komuś *objawiałem*, że tak naprawdę mnie kocha (co jest widoczną konsekwencją queer mediów, którymi się otaczałem). I on, ten biedny chłopczyna w moich fantazjach, nagle rozumiał, że jemu się nie podobają dziewczyny, tylko że jemu podobam się ja.

Ja.

Nie, że podobają mu się mężczyźni. Że podobam mu się *ja*.

Oczekując na Grindr

Nabrałem durnego zwyczaju spędzania na Grindrze niekiedy nawet i kilka godzin. Po twarzach (lub zdjęciach klatek piersiowych, krajobrazów czy skarpetek) rozpoznaję, że jest to problem nie tylko mój, ale całej rzeszy gejów w Warszawie (i pewnie dalej). Stada ludzi takich jak ja, siedzą od południa do wieczora, od wieczora do nocy, od nocy do poranka i... nie wiem. Czekamy na miłość albo seks? Albo po prostu na kogoś do porozmawiania? Czasem sam nie wiem, czego tam szukam.

Po roku czy dwóch niewchodzenia na żadną aplikację do randkowania, wróciłem do tego samego zestawu ludzi i ich zdjęć – wszyscy nadal żeśmy tam siedzieli, albo wracali po niespełnionym marzeniu księcia z bajki. Za któryś razem odczułem w tym nawet jakiś spokój. Że nie tylko mi się totalnie nie udaje. Że jest nas całe stado.

Na aplikacjach randkowych wegetuję od kiedy miałem 16/17 lat, czyli od 10 lat. Niektórzy nadal mają nawet te same zdjęcia. Czasem nadal jako profilowe.

Kiedyś jak widziałem osoby, co mają powyżej 25 roku życia, a ja ledwo co wyczołgałem się z liceum, przerażało mnie, że można być *tak* starym. Chyba nawet nie odpisywałem wtedy na wiadomości od osób powyżej 23 roku życia. Myślałem, i proszę nie śmieć się, że życie ma dwie magiczne granice – 21 i 25.

21 lat było wiekiem, gdzie zyskiwało się *prawdziwą dorosłość* (ja też przewracam teraz oczami), a 25 lat to był wiek, kiedy już całe życie miało być przycementowane i zatwierdzone w Urzędzie Zarządzania Światem. Byłem przekonany, że wtedy życie już jest w najwyższym, szczytującym punkcie. Że dalej to już tylko w dół.

Cieszę się więc, że nadal widuję tych samych ludzi, bo to oznacza, że i oni swojego życia nie mają przycementowanego. Nadal siedzimy i odświeżamy Grindra. Nadal patrzymy, kto wszedł na nasz profil, obczajamy tę osobę, a potem nigdy nie piszemy do siebie wiadomości. A gdy niespodziewanie dojdzie do jakiegokolwiek formy konwersacji – pod byle pretekstem (nie stawia kropek na końcu zdania; nie zrozumiał mojego żartu; czy klasyczne *jest jakiś dziwny*) pozwolimy tej konwersacji się zastać i rozmyć tak długo, żeby głupio było w ogóle do niej wracać.

I tak mijają nam lata.

Zaliczyć białego

Coś, z czego nie zdawałem sobie sprawy jadąc do Chin, to nagły fakt stania się towarem luksusowym.

Tak jak w naszej kulturze istnieje swego rodzaju obsesja umawiania się z osobą Latino czy osobą o rysach azjatyckich, tak i w Chinach istnieje duży rynek zbytu na moje białe ciało. U szczytu mojej kariery na portalach randkowych było to 20-30 konwersacji dziennie.

Początkowo nie dowierzałem faktowi, że mogę być tak atrakcyjny i przez około pół roku umawiałem się z kolejnymi facetami nie wierząc we własne szczęście. Moje ciało było atrakcyjne dla młodych, starych, bankierów, studentów, właścicieli biznesów, kelnerów, głosów radiowych, a także i koszykarzy, nauczycieli, biznesmenów i kucharzy. Zdawało się, że każdy chciał sobie ukroić kawałek tortu z moim imieniem.

Szybko wychodziło, co tak naprawdę się tutaj dzieje, i pomimo mojego ścisłego systemu odfiltrowującego podejrzane osoby, nie byłem przygotowany na

ewentualność, że większość osób do mnie piszących chce po prostu zaliczyć seks z białą osobą. Oczywiście wiedziałem, że istnieją osoby, które piszą ze sobą jedynie z seksem na horyzoncie, ale nigdy nie przypuszczałem, że takie coś może się zdarzyć z powodu koloru mojej skóry. Tutaj nie chodziło o nic więcej – moje zainteresowania, przemyślenia, nawet nie o moją urodę. Najważniejsze, że mam biały tyłek i jestem gotowy go wystawić.

Istnieje taki trend na świecie „30 before 30”, czyli 30 rzeczy, które należy zrobić przed dobieciem do trzydziestego roku życia. I jak normalnie mamy tam skoki ze spadochronu czy pływanie z delfinami, jak uświadomiła mnie moja chińska znajoma, w Chinach jest to seks z białą osobą.

Początkową wściekłość zalała fala refleksji nad tym, jak to i w Polsce gloryfikuje się umawianie z obcokrajowcami. *Wszak wiadomo*, że osoby o czarnym kolorze skóry będą miały ogromne penisy, że Latynosi będą nieziemscy w seksie, a Włosi będą zazdrośni, ale nieodparcie pociągający. Przypomniałem sobie, że i u nas mamy podobny rodzaj uprzedzeń i rasizmu. Że sam kiedyś przecież byłem po tamtej stronie barykady – pragnąłem mieć Azjatę za chłopaka i naprawdę nie było dla mnie istotne, co robił czy myślał. Może to nie chodziło o seks, ale intencja była ta sama. Mógł być kimkolwiek, a ja i tak bym się zadurzył.

Nikt nie chce być traktowanym jak rzecz, ale co robić, kiedy inni nie widzą nic poza twoim ciałem? Na moje nieszczęście jestem *bardzo* biały i *bardzo* wysoki – kombinacja lubiana w Europie, a w Azji nagradzana darmowymi obiadami, dziesiątkami próśb o wspólne zdjęcie, pytaniami, czy nie chciałbym zostać modelem.

Wcześniej żyłem przekonaniem, że do bycia modelem trzeba być nie tylko ładnym, ale też i w jakiś sposób wysportowanym, albo przynajmniej wałki-na-brzuchu-free, żeby w ogóle znaleźć się w obiektywie fotografa. W Chinach wystarczyło, że byłem wysokim mężczyzną i że byłem biały. Ot cała receptura na karierę w modelingu. Było to w pewien sposób wyzwalające, bo mogłem pozostać sobą, ale z drugiej strony nie mogłem nie porównywać się do *prawdziwych* modeli żyjących poza tą chińską bańką.

Traktowanie modeli jak przedmioty nie jest niczym nowym czy odkrywczym. Chyba każde z nas jest na tyle dorosłe, żeby wiedzieć, że te procesy zachodzą. Oceniamy ludzi na reklamach, w pismach, na Instagramie czy w coraz popularniejszym Tik Toku (który, *haha*, jest chiński), robimy to cały czas i do tego niemal całkiem bezrefleksyjnie. Interesuje nas wygląd, bo to są wizualne media. Nie interesuje nas, kim ta osoba jest – jej funkcją jest zaspokojenie naszego pożądanego czy wizualnych potrzeb. Gwiazdy filmowe przeżywały publiczne ocenianie każdego centymetra ich ciała od dekad, a ja tylko przez dwa lata w Chinach. Czy mam prawo narzekać, jeżeli w niektórych zawodach to swego rodzaju wymóg?

Ciąg seksu

Brak kontaktu z moimi przyjaciółmi z powodu blokady chińskiego Internetu (żadnego YouTube, Facebooka, Instagrama) + moja podstawowa depresja + syndrom oszusta wywoływany nagłym nazywaniem mnie *nauczycielem* + nierozumienie języka chińskiego, a więc również brak możliwości kontaktu z *kimkolwiek* (bo prawie nikt po angielsku nie umie tam mówić), doprowadziły mnie do momentu, gdzie umawiałem się z facetami na coś, czym całe życie gardziłem – na spotkania na seks.

Początkowo zachłysnąłem się tą władzą. W końcu ja, wieczny wyrzutek społeczeństwa, miałem nie tylko konkretne branie, ale też miałem panowanie nad *kiedy, gdzie i z kim*. Tylko osoby z niską samoocena rozumieją, o czym mówię. Nagle stałem w świetle reflektorów i nie zostałem wyśmiany i skrytykowany, a upragniony i pożądany. Nie miałem żadnego hamulca, żadnej formy refleksji. Wszedłem w strumień życia, a porwała mnie rzeka możliwości. Doświadczyłem seksu i przyjemności, które nigdy nie zostały mi wcześniej dane. Stawiałem warunki, wymagałem, mogłem przebierać między kandydatami. Byłem ze złota. Byłem bogiem.

Nuda wkradła się szybko.

Kolejni faceci byli tym samym, ale z trochę inną budową. Seks był różnorodny, ale w swoim tronie opierał się na tym samym. Chciałem to odratować fetyszami, ale to tylko odwracało uwagę od problemu, które moje dzienniki bardzo szybko uwypukliły – byłem pusty.

Uczucie dobrze mi znane z sinusoidy depresyjnej, więc samo w sobie nie było szokiem. Szokiem było, że odnalazłem je akurat w tym miejscu. Czy w końcu nie miałem super pracy, gdzie płacono mi fan-ta-stycznie? Czy moi znajomi nie byli wspaniali? Czy nie miałem życia seksualnego dzikszego, niż mogłem mieć w jakichkolwiek snach? Czy ci mężczyźni nie byli piękni? Zawsze chciałem seksu z pięknymi mężczyznami, a teraz miałem tego więcej niż mój kalendarz mógłby pomieścić.

Jest to swego rodzaju kłątwa – spełnienie wszystkich marzeń.

Nie było pogaduszek, bo ani ja po chińsku, ani oni po angielsku. Chciałbym zabrzmieć jak jakiś romans z księgarni i powiedzieć, że *odnaleźliśmy się w języku miłości*, ale byłoby to uproszczenie, którego się nie podejmę. Nie odnaleźliśmy się w języku miłości, bo tego języka tam nie było. To było pożądanie i to dodatkowo w jakimś kiepskim wydaniu. Mężczyźni pojawiali się, mieliśmy niezręczne 15 minut z Google Translate, potem był seks, a potem znikali.

Było tego wiele. Bardzo wiele. Zaczęło się od raz w tygodniu, przerobiło się szybko w kilka razy w tygodniu. Nim się obejrzałem, było to nawet kilku mężczyzn w ciągu jednego dnia.

Nigdy się nie dowiem, ilu ich było, bo wszyscy się zlewają w jedną osobę, w jeden seks. Czuję wstyd, bo czy seks nie był mi pokazywany jako finalne spoivo związku? Jako najbardziej intymna forma bycia z drugim człowiekiem? Jestem puszczalski czy wyzwolony? Czy seks w ogóle ma jeszcze jakąkolwiek wartość w świecie, gdzie darmowa pornografia jest na wyciągnięcie ręki?

Trójkąt

Nie wiem, czy kiedykolwiek w głowie fantazjowałem o trójkącie. Może przez chwilę na początku pobytu w Chinach? Problemy językowe były jednak wystarczająco utrudniające życie, a dodatkowo brzmiało to wszystko jak *bardzo* dużo roboty.

Wyjątkiem była sytuacja, gdy jakiś chłopak, któremu nawet nie muszę wymyślać imienia, bo całkiem go zapomniałem, zapytał czy byłbym zainteresowany, gdyby znalazł nam kogoś do trójkąta. Nigdy wcześniej się nie widzieliśmy, więc sama koncepcja szukania trzeciego znajomego wydawała mi się trochę abstrakcyjna, ale Zhao, tak go nazwijmy, był spełnieniem wszystkich moich fantazji co do wyglądu i zachowania podczas rozmowy w aplikacji – był miły, ale też i konkretny, uroczy, ale z zawadczkim humorem. Pełen zestaw.

Choć może nie taki pełen zestaw, skoro szukał kogoś do kompletu trójkąta?

No ale ok. Konwersacja trwała przez kilka dni. Jak już kogoś znalazł, to chciał z nim zrobić video chat, bo wiele osób w Chinach (ale też i w Polsce) podaje się za kogoś innego i używa nieswoich zdjęć. A on, mój rycerz, wykonywał robotę, którą normalnie to ja wykonywałem – najlepszy afrodyzjak. Czuję się zadbany, zaopiekowany, zatroszczony – uczucia nieczęste podczas moich relacji z facetami.

Padł dzień i czas – jakieś 2.5 godziny przed moimi zajęciami. Z racji, że większość Chińczyków preferuje seks na zasadzie okienka drive-through, to nie obawiałem się o czas. To mógłby być równie dobrze heksagon, a i tak dotarłbym do szkoły jeszcze godzinę przed zajęciami.

Pierwsze czerwone flagi zaczęły się pojawiać stosunkowo szybko. Nie przyszli o umówionej godzinie i dopiero po moim zapytaniu powiedzieli, że *zaraz będą*. Na mnie już takie teksty nie działają, więc pytam o konkrety. 30 minut.

Ja, skończony kretyn, czekam na te ziemniaki, które potem znowu piszą, że się spóźnią.

Czyli w sumie jesteście godzinę po czasie.

Przychodzą. Zhao, mój rycerz białokonny, oraz *ten drugi*. Ma ponoć hopla na punkcie Polaków i polskich piłkarzy (fenomen, który kilkakrotnie się powtórzy, jednak zazwyczaj ukierunkowany tylko na Lewandowskiego). Zhao szybko wciela się w rolę gospodarza – obejrzał łóżko, powiedział, że muszą wziąć prysznic (w Chinach bardzo popularne, by przed seksem i po seksie brać *możliwie najszybciej* prysznic), że on tu poczeka i niech nasz Piłkarz leci się myć.

Zaženowanie wypełnia pomieszczenie, gdy zostajemy sami z Zhao. Nigdy nie wiem, czy to dlatego, że jestem wysoki (wielu facetów to bardzo stresuje, co tylko potwierdza jak delikatne jest męskie ego), czy że jestem biały (silna karta przetargowa w Chinach), czy to po prostu mój zniewalający naturalny seksapil. Zhao systematycznie unika mojego wzroku, rozmawiamy o czymś, ale niewiele się tam klei.

Piłkarz kończy się myć i wychodzi z łazienki. Już nagi, gotowy do akcji.

Nigdy nie przestanie mnie zdumiewać, z jaką łatwością i brakiem jakiegokolwiek żenady Chińscy mężczyźni są w stanie paradować nago. Zrzucam to na fakt otwartych

łazienek (bez ścian w środku, po prostu poustawiane w rzędzie toalety typu narciarz) w szkołach, ale i nie tylko. W niektórych centrach handlowych łazienki męskie nadal tak wyglądają, choć tam są 30-centymetrowe (w wysokości) ścianki pomiędzy narciarzami. Nie wiem co to ma zasłaniać, skoro i tak frontowo od wejścia do łazienki widać wszystkich tych mężczyzn, jak oglądają filmiki, grają w gry, palą papierosy i robią numer dwa.

Zhao idzie pod prysznic, a Piłkarz już przystępuje do działania. Moje wyobrażenie o small-talku zostało odsunięte na bok w związku z operacją *pralka* wykonywaną przez jego język w moich ustach. Żebym się nie zgubił, naprowadził moje dłonie w docelowe miejsce.

Nie, nie zaprzeczyłem. Myślałem, że tak to się robi, że to *normalne*. Że faceci po prostu zero-jedynkowo w to wchodzi i nie potrzeba im nic więcej. Refleksja nad głupotą tej myśli pojawi się o wiele później, ale może ktoś potrzebuje to usłyszeć teraz? To, że penis nie staje Ci w przeciagu 2 sekund od pierwszego pocałunku jest normalne i nie pozwól, by ktoś Ci wmówił, że coś z tobą *nie tak*. Potrzeba uwodzenia, gry wstępnej, iskrzenia między ludźmi – to jest potrzeba *ludzka*, a nie tylko kobieca. Masz prawo oczekiwać więcej. Masz prawo chcieć więcej niż tylko seks.

Gra wstępna to pojęcia abstrakcyjne dla nowoczesnego Chińczyka. Nie wiem, czy to z braku czasu, braku chęci, braku wiedzy o takich zabiegach, ale na palcach jednej ręki jestem w stanie policzyć, ile razy doświadczyłem chińskiego flirtu. Tu nie było inaczej – będąc pchany przez rękę Piłkarza w dół, zstąpiłem na poziom kolan.

Było mi dziwnie, ale nie komentowałem. Nadal w głowie myślałem, że to normalne, bo przecież jestem pasywnym w seksie.

Zhao wychodzi z łazienki. Ubrany. Z ręcznikiem złożonym w kostkę i z uśmiechem na twarzy.

Nadal kojarzę ten jego szok na twarzy, gdy zobaczył, co już się działo w moim salonie. Był chyba nawet bardziej zdziwiony niż ja. Obaj jednak milczeliśmy i przystąpiliśmy do odegrania ról, po które się tutaj zgłosiliśmy.

Akcja się zagęszcza, a mój najgorszy horror się spełnia. W trójkątach zdumiewało mnie, jak ci wszyscy ludzie są w stanie pogodzić wzajemny czas antenowy. Co by tu nie mówić – mój tyłek jest jeden, a ich jest dwóch – no nie każdy może być konkretnie tam, gdzie chce. Ludzie mi tłumaczyli, że to wychodzi *naturalnie* i że *nie, nie ma z tym problemu*.

Jest. Jest z tym problem. A przynajmniej jest to problem dla mnie.

I najdurniej jest, kiedy jeden z nich zaczyna myśleć, że to jakaś forma negocjacji na zasadzie *кто mocniej pociągnie за мою голову*.

Przechodzimy na łóżko, co myślałem, że trochę ureguluje sprawę, ale niestety potyczki o moje ciało ciągną dalej. Jak to w Chinach bywa, wszystko było bardzo z rozpędu i w pośpiechu, więc chłopaki już po kilku minutach przystępowali do penetracji. Dziwny fakt, ale związany z tą historią – moje ciało na tyle polubiło seks, że z reguły nie potrzebowałem lubrykantów, nawet podczas używania kondoma. Siłą

rzeczy nie miałem więc lubrykantu w domu, a oni nie przynieśli (w Chinach osobą odpowiedzialną za zakup całego sprzętu do seksu jest osoba pasywna).

Jestem świadomy, że rimming (lizanie odbytu) nie każdemu jest w smak. Sam opierałem się niezliczoną ilość razy w obawie, że wydam się partnerowi brzydki, niezadbany, nieczysty. Teraz wiem, że chodziło o słowo „niegodny”. Bo jak ja śmiałem żądać od kogoś zajmowania się mną i mną tylko? W każdym razie, to dzięki rimmingowi nie potrzebowałem lubrykantu, więc to wymaganie było postawione także Zhao i Piłkarzowi, którzy nie okazali się zbyt wielkimi fanami. Tutaj moja kolejna czerwona flaga, bo magia rimmingu jest nie tylko prologiem, ale jednocześnie i recenzją nadchodzącego seksu. Nie pytaj mnie, dlaczego, po prostu zły rimming = zły seks. Tak przynajmniej wynika z moich doświadczeń.

Nim się spostrzegłem, pierwszy penis chciał mi się wcisnąć.

Lekcja dla potencjalnych kochanków – jeżeli ktoś ma ściśnięty odbytu, to nie dlatego, że są podekscytowani, tylko dlatego, że są zestresowani. Dolewanie lubrykantu nie relaksuje, tylko umożliwia penetrację *pomimo* zestresowania.

Kiedy zorientowali się, że będzie im jednak potrzeba lubrykantu do wejścia do środka (cała rozmowa po chińsku, więc rozumiem co ósme słowo), Piłkarz wyszedł z sypialni i powrócił po chwili. Usłyszałem kliknięcie otwieranej butelki, a po chwili chłodny płyn rozlał się po moim ciele.

Wszedł.

Ból przytłumił jednak bardzo znajomy zapach. Coś miętowego i.... niebieskiego?

To właśnie ten kolor połączył mi synapsy. Mój żel pod prysznic.

Ci goście używają mojego płynu pod prysznic jako lubrykantu.

Potrzebowałem z 5 bonusowych sekund, bo pojmanie absurdów niej jest w mojej naturze. *Co, do jasnej cholery, musiało się wydarzyć w głowie tych ludzi, żeby stwierdzili, że to dobry pomysł?*

Odsunąłem się na drugą stronę łóżka. Poprosiłem, żeby wyszli.

Podobieństw tej sytuacji do sytuacji z 9 lat wcześniej, kiedy byłem roztrzęsionym nastolatkiem w samochodzie nieznanego mężczyzny na wałach przy Wiśle, jest wiele. Opowiadam tę historię, ponieważ miałem teraz 26 lat i to był pierwszy raz, kiedy powiedziałem mężczyźnie *nie*.

Od pierwszego kontaktu seksualnego z mężczyzną minęło 9 lat.

9 lat seksu, gdzie nie było istotne, kim jestem, co robię, jak myślę.

9 lat traktowania mnie w taki sposób, w jaki prosiłem by mnie traktowano. W jaki mnie wyuczono, że powinno się mnie traktować.

9 lat szczerzego wierzenia, że nie zasługuję na nic więcej niż to, co zostało mi dane.

9 lat błagania o bycie *wybranym* przez mężczyznę.

Opresja

Geneza wstydu

Nie mam tu historii o tym, jak zostałem bezdomnym w wieku lat 14, a szkoda, bo pewnie ten wpis miałby o wiele więcej dramatycznego wydźwięku. Byłem w domu bity za złe oceny i zachowanie, ale to tak jak większość moich rówieśników.

Nie byłem pilnym uczniem i raczej się nim być nie starałem, a moi rodzice nie zauważyli, że bicie za złe oceny wcale nie poprawia sytuacji długoterminowo. No, ale bili nadal. Wiele razy wspominałem o tym, że czy oni nie widzą, że to bicie w niczym nie pomaga? Odpowiadali, że oni mnie kochają i nie wiedzą, co robić. Więc bili dalej.

Prawdziwy test, prawdziwa panika, tak naprawdę zaczęła się dopiero pod koniec, kiedy to przemoc i pijaństwo mojego ojca (pozdrawiam Edwina) doszły do takiego stopnia, że nie sposób było go znaleźć bez jego kufła z whiskey. Przez lata codziennie wieczorem chlał i chlał. W dzieciństwie było to dla mnie całkowicie normalne i przez głowę mi nie przeszło, żeby to kwestionować, ale w liceum trudno było tego nie widzieć. Szczególnie że stawał się agresywniejszy z incydentu na incydent.

Walka z kurczakiem curry

Znajomi moich rodziców zatrudnili mnie kiedyś przy nocnej inwentaryzacji w Hebe w centrum Warszawy – nadal nie potrafię tam wejść. Długa i żmudna praca najeżona pułapkami, szczególnie, że odbywająca się w nocy. Niefart chciał, że wcześniej zjedzony kurczak curry nie planował pozostania na długo w moim żołądku. Musiałem więc co chwilę iść na zaplecze i próbować dostać się do łazienki pracowniczej. Oczywiście ta była non-stop zajęta, a gdy nie była zajęta, to ktoś był w pokoju obok. To była jedna z tych cudownych łazienek, co zdają się funkcjonować jedynie jako głośnik na najcichsze nawet westchnienie zwieracza.

Robiłem więc kursy w tę i nazad, co było otwarciem przeciwko regułom, które zezwalały na przerwę nie dłuższą niż 10 minut (dwa razy w ciągu całej nocy!!!), oraz nie pozwalały na grupowe siedzenie na zapleczu. Mój brak asertywności nie pomagał w wyprasaniu ludzi z zaplecza, więc kursowałem tam około 30 razy, a i tak nie udało mi się zrzucić brzemienia curry.

Kilka dni później dowiedziałem się, że nie zapłacą mi za tę pracę, bo monitoring potwierdza, że nie przestrzegałem reguł. Znajomi powiedzieli o tym moim rodzicom, a mój ojciec (pijany w sztos) zaczął wrzeszczeć w trakcie kolacji i zadawał mi pytanie: *Czy ty myślisz, że rozdajesz w tym domu karty?!* (jak to się miało do sytuacji, to nie wiem, ale pamiętam, jak to właśnie te słowa wrzeszczał), a potem oświadczył, że *nigdy już nie przyniesiesz mi takiego wstydu*, po czym przyłożył mi w twarz.

Nie pamiętam, co mówiłem ludziom w szkole, ale to na pewno nie była prawda. Śliwa pod okiem trzymała się przez dwa tygodnie, więc to nie to, że nikt nie miał

sposobności jej zobaczenia. Może wszyscy wiedzieli, skąd jest, więc nie było sensu pytać? Może oni też kiedyś tak oberwali, więc wiedzieli, co się działo.

Czułem ciekawy rodzaj satysfakcji, gdy patrzyłem ojcu prosto w twarz. Czy widział, co zrobił? Pasów na tyłku nie widać, ale twarz... czy...

Nie wiem. Nie było skruchy ani przepraszania.

Ale przez kolejne lata będę sobie mówić, że zasłużyłem na to, bo nie byłem wystarczająco silny, żeby postawić się ojcu.

Dobry chłopiec

Dlatego gdy następnym razem ojciec był pijany i zaatakował moją matkę, a mój brat (naprawdę dzielnie) rzucił się w jej obronie, ja...

Ja zostałem w pokoju na górze.

Oni się tam bili ze sobą, a ja biłem się... ze sobą. Czy krzyczeć? Czy próbować się bić? Chociaż żeby zejść i odciągnąć Matkę stamtąd? Jakkolwiek pomóc!

Ale strach wygrywał.

Strach i wstyd niebycia wystarczająco silnym, wystarczająco męskim.

Nie byłem silnym chłopakiem. Nie byłem odważnym facetem. Nie umiem i nie rozumiem przemocy, więc nie wiedziałem, co robić, gdy mój własny ojciec bije moją rodzinę. Systematycznie co kilka miesięcy przypominam sobie o tej sytuacji, choć minęło już z 8 lat. Strach i wstyd nie ustępują.

Zbiegłem do połowy schodów, by im pomóc, ale gdy zobaczyłem, jak mama krzyczy i płacze, jak mój brat stara się odsunąć od niej pijanego ojca, to zamarłem w połowie kroku.

Co ja mogłem?

Co ja sobie myślałem? Że coś *faktycznie* zrobię?

Wróciłem do swojego pokoju. Wchodziłem po kolejnych stopniach czując, że to jedna z *tych* decyzji, które będą mnie definiować do końca życia. Nie ma słów, i nie wiem czy kiedykolwiek zaistnieje słowo na taki wstyd, jaki czułem wtedy i czuję do siebie teraz.

Gdy pijany ojciec wchodził na górę, to zatrzymał się w moim pokoju. Ten strach... nigdy go nie zapomnę. To jak w tych horrorach, gdy morderca zbliża się do ofiary, jak słychać jego kroki, a kamera zbliża się na twarz osoby, która wie, że to już koniec. Że nie tylko umrze, ale że umrze śmiercią straszną.

Tak właśnie się czułem.

Podszedł do mnie i... poklepał mnie po ramieniu. Z zapachem whiskey w ustach, powiedział mi, że byłem *dobrym chłopcem*.

Ja się pytam, jak nie mieć daddy issues? Jak nie mieć totalnie pojebanych relacji z facetami? Co to w ogóle za absurd – jak można być gejem i bać się mężczyzn?

Whiskey nigdy już w życiu nie dotknę. Nie potrafię nie drgać wymawiając już samej nazwy. Nigdy wesoło już nie zaśpiewam szanty *Whiskey moja żono / tyś*

najlepsza z dam. Będę wychodził z pokoju, gdzie będzie się ją piło. Wyrzgam, gdy przez przypadek napiję się jej podczas imprezy u znajomych. Whiskey nie będzie alkoholem, ani nawet rzeczą. Będzie moją prywatną maszyną w czasie, która nigdy nie pozwoli zapomnieć, co to znaczy być *dobrym chłopcem*.

Dziecko piętro niżej

Mieszkając w Chinach z przemocą rodzinną zetknąłem się nie raz. W blokach krzyki dzieci błagających swoich rodziców, by przestali ich bić, noszą się nawet kilka pięter wyżej. Instynktowną (i wyuczoną) reakcją rodziców jest najpierw krzyk, a potem bicie, aż dziecko nie zrozumie, jak bardzo zhańbiło swoją rodzinę.

Nie mówię, że Chiny są gorsze od Polski. Tam po prostu lepiej to słyhać przez ściany.

Każde takie płaczące dziecko to dla mnie ponowne przeżycie traum z własnego domu. Przypominałem sobie, jak to ja błagałem boga, żeby sprawił, bym zniknął. By moi rodzice zniknęli. W dzień wywiadówek myślałem o skoku pod autobus, o ucieczce z domu. Bicie jest torturą, ale *czekanie na bicie* to całkiem inny wymiar strachu.

Dźwięk bitego dziecka wywołuje u mnie paraliż całego ciała. Jestem w Chinach i będąc 26-letnim mężczyzną całkowicie zamieram, a po moim ciele biegają ciarki. Najpierw nadchodzi ból. Żywy ból, tak jakby był moim własnym – ja go *czuję* na skórze. Nie wiem, co robić, bo co się robi? Będąc bity – moi rodzice chcieli, bym ja sam wystawiał mój tyłek do bycia zbitym pasem. Nawet dzisiaj słowa *zdejmij spodnie* mają dla mnie zupełnie inne znaczenie niż dla reszty ludzi – to przebłysk przerażenia. Gotowości na bycie ukaranym.

Gdy nie mogłem znieść kolejnego pasa, trzymali mnie za rękę i bili jak leci – po nogach, plecach, byleby dobić do wyznaczonego wcześniej numeru – 10, 15, 20. Wtedy kara była zakończona i wychodzili do innej części domu, a potem wołali mnie na kolację.

Zdajesz sobie sprawę, jak to ryje banie, gdy osoba, która Cię bije, potem podaje Ci kolację? I siedzicie sobie i oglądacie jakiś film, jak gdyby nigdy nic?

Ten strach i ból są żywe, więc wybiegam z mieszkania i przetrząsam kolejne korytarze, szukając drzwi, skąd dochodzi krzyk i płacz. Biegam i biegam. Zastanawiam się, co ja mogę zrobić w obcym kraju, ze znikomą znajomością chińskiego. Przecież mogą nie otworzyć domu, mogą mnie całkowicie zignorować. Przecież nie wezwę policji (choć próbowałem), bo nikt tam nie mówi po angielsku.

Walę w drzwi. Walę i walę, a głosy w środku milkną.

Odzywa się do mnie głos zapłakanej dziewczynki, o dziwo mówiącej trochę po angielsku. A ja zastanawiam się, jak to jest być 13-letnią dziewczynką mówiącą po angielsku do nieznanego człowieka zza drzwi.

Nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, *co się dzieje?* Przeprasza. Przeprasza kilka razy, mówi, że *będą już cicho*. Że *nic nie będzie mówić*. Że *dziękuję, ale dobranoc*.

Wracam do siebie na górę. Gorzki i smutny, bo co ja zdziałalem? Czy cokolwiek się zmieniło? Czy ona nadal będzie bita, po prostu będą przy okazji ją zmuszać, żeby płakała ciszej?

Nie wiem, co się robi w takich momentach. Nie wiem, jak ludzie w sytuacjach stresowych są w stanie myśleć trzeźwo. Ja nie potrafię. Ja sobie przypominam mój dom rodzinny i *zdejmij spodnie*. Widzę mojego ojca, który mówi, że jestem *dobrym chłopcem*. Widzę siebie nie mogącego wejść do sklepu, by kupić sobie skórzany pasek do spodni, więc przez lata szukam pasków, które będą wykonane z materiału. Widzę tylko swój największy strach – mój dom.

Matka Bobby'ego

Mój długoterminowy chłopak w Chinach przedstawił się jako otwarty gej. Że jego rodzice wiedzą, jego siostry wiedzą, jego znajomi wiedzą. Później dowiedziałem się, że jak w przypadku wielu Chińczyków, jego coming out wiązał się z tym, że któreś z rodziców (zazwyczaj matka) grozi dziecku, że jeżeli tego nie odszczekają, to któryś z rodziców popełni samobójstwo. Strach w ogóle myśleć, co pozostaje w psychice dziecka, które musi przez takie coś przejść. Szantaż psychiczny i emocjonalny jest w Chinach rozwiniętą sztuką używaną na porządku dziennym.

No, ale wracając do mojego chłopaka.

Mieszkaliśmy w stolicy prowincji, więc całkiem spore miasto (10 milionów ludzi), a jego rodzina była od nas dwie godziny pociągiem. Na święto Smoczyc Łodzi pojechał tam na weekend, tak jak większość Chińczyków. Jak ustaliliśmy, miał on powiedzieć o mnie swojej rodzinie – wiedzieli, że jest gejem, ale nie wiedzieli nic o żadnym facecie, z którym był. W zasadzie miał to powiedzieć już przez dłuższy czas, ale zawsze odwlekał ten temat mówiąc, że *to nie jest temat na telefon*. Co rozumiem, bo faktycznie tematem na telefon nie jest. Nie naciskałem i nic nie mówiłem przez cały jego pobyt w domu.

Bobby wrócił z dwoma słoikami sosu Zhajiangmian (czyt. dża-dziang-mjen), który był jednym z niewielu dań, które uwielbiałem w kuchni chińskiej. Dwa potężne słoiki. Bobby powiedział, że jego mama zrobiła je specjalnie dla jego przyjaciela.

Jakiego przyjaciela?

No tak... Bo on im nie powiedział o mnie. *Nie było jakoś tej... chwili.*

W sensie, że jestem twoim chłopakiem, czy że w ogóle o moim istnieniu?

On to w ogóle nie wie, czy warto im o mnie mówić. Tylko się zestresują. *Czy to takie straszne? Przecież i tak nie będę ich odwiedzał. Oni nie mówią po angielsku.*

Ale to rozumiem, że nie zakładamy sytuacji, kiedy to miałbym kiedykolwiek się widzieć z twoją rodziną?

Nie teraz. Może porozmawiamy o tym za jakiś czas? On chce się upewnić, że ja jestem tym jedynym.

Sos Zhajiangmian to nie taki sos jak z Łowicza, że wlewa się słoik i *voilà* masz danie. Tego sosu używa się 1-2 łyżki na porcję, więc jeden słoik zjada się w około miesiąc.

Każde otwarcie lodówki było jak szpilka w serce. Przypominało mi, że dla jego rodziców (a w Chinach rodzice to na serio ważna sprawa) nie istnieją, a co najwyżej będę *dobrym przyjacielem*.

Nie istniałem nawet z imienia.

Może jest tam jakaś szczypta ekscytacji, gdy twój związek jest zakazanym owocem, ale ten dreszczyk bardzo szybko mija. Na jego miejsce zgrabnie wskakuje irytacja, bo mimo częstego postowania na portalach społecznościowych, nigdy się tam z nim nie znalazłem. Pomimo chodzenia ze mną za rękę na mieście i mówienia, że *on się niczego nie wstydzi*, to jednak przed swoimi najbliższymi był strach. Albo wstyd. Albo oba.

Kto był w takiej sytuacji, ten wie, jak parszywe to uczucie, gdy jest się cały czas na cenzurowanym i w ukryciu. Musisz tworzyć całkowicie nową narrację na każde wydarzenie, bo musisz ręcznie kasować wszystkie *niebezpieczne* informacje – to doprowadza do paranoi i schizofrenii. Ma się dwa oddzielne życia, które ma prowadzić jedno ciało. Jest to niby fizycznie niemożliwe, a jednak ludzie queer robią to sobie już od lat.

Czy inni też tak uważają?

Moja wyuczona pasywność na tego typu zachowania była przez lata wykształcana przez szkołę, gdzie nie było miejsca na takiego mądrałę jak ja. Nie było miejsca na kwestionowanie metod nauczania (może dlatego poszedłem na pedagogikę?), na wzniesienie buntu.

Nasza nauczycielka w gimnazjum, przesympatyczna kobieta, ale bez lekkości w nauczaniu, chciała mnie skompromitować przed klasą, ponieważ nie potrafiłem odmienić niemieckiego słowa przez czasy czy przypadki. Na pytanie, dlaczego nie potrafię tego zrobić, powiedziałem, że powodem jest nudny materiał i za szybkie tempo nauki (na 100% użyłem bardziej oskarżycielskiego tonu pełnego roszczeniowości, więc jej w pewien sposób zupełnie nie obwiniam).

Pani spytała: *Czy inni też tak uważają?*

Cisza.

Nikt nic nie powiedział.

– *No to w takim razie pała i siadaj!*

A po lekcjach co się stało? Niemal każdy uczeń z mojej klasy podszedł mi powiedzieć, że się ze mną zgadza, ale nie chciał sobie robić wroga u nauczycielki.

To jest wyuczone zachowanie – niereagowanie w obawie przed konsekwencją. Bo kiedy ostatni raz byłeś/łaś w sytuacji, gdzie była możliwość dokonania ryzykownego wyboru i nie było straszliwych konsekwencji tego wyboru? Nie uczono nas podejmowania ryzyka, albo inaczej – nie uczono nas, jak znosić porażkę podczas podejmowania ryzyka. Więc dlaczego ktokolwiek miałby sobie utrudniać życie?

Nas uczono nie mieć zdania.

Mnie *wyuczono* mojej bierności.

Znowu ta lesba leci

Nie wszystkim się outujemy. Mówimy, że tego nie ukrywamy, ale przynajmniej w moim przypadku często bardzo świadomie nie wyjawiałem swojej orientacji.

Wspominam wizytę u fryzjerki gdzieś w 2017/2018. Jestem ja na fotelu, Pani fryzjerka i Pani właścicielka zakładu gdzieś przy biurku. Zaczyna lecieć piosenka LP (wtedy leciała chyba w każdym radiu) i fryzjerka fuka, że *znowu ta lesba leci*.

Moje wyoutowanie miało miejsce niemal 6-7 lat wcześniej i święcie sobie wtedy obiecywałem, że zawsze stanę po stronie LGBTQ+.

Nie stanąłem.

Tylko że w obawie... przed czym?

Nie było dresa, który sprzedałby mi wpierdol, nie było ciemnego zaułka, nie było nic bezpośrednio niebezpiecznego. Najgorsze, co się mogło wydarzyć, to kiepska fryzura, no ale włosy odrastają, nie?

Co zabawne, ja już myślałem, że wyoutowałem się mojej fryzjerce kilka miesięcy wcześniej. Coś wtedy we mnie pękło i, jak postacie w amerykańskich filmach, wyśpowałem się ze wszystkich bolączek mojej fryzjerce – o relacji z matką, o problemach ze współlokatorką, o facecie, z którym się umawiałem.

Boże, jak ja się przymierzałem do powiedzenia jej o tym chłopaku. Byłem superkomputerem, który potrafił zeskanować całą salę, każdy milimetr twarzy, COKOLWIEK, co mogłoby wskazywać na to, że moja fryzjerka jest nieprzychylna gejom.

Nic takiego się nie wydarzyło, a nawet się zdumiałem, jak bardzo jej to nie wzruszyło. Wtedy byłem zadowolony, ale teraz tak sobie myślę, że może ona w ogóle mnie wtedy nie słuchała? To chyba jedyna opcja, która ma sens. Druga byłaby taka, że geje są ok, ale lesbijki to już bleh? Czy fryzjerzy nie mieli być naszymi opiekunami i matkami chrzestnymi? Dobrymi duszami, które wysłuchają i rozumieją? Przynajmniej tak mnie uczono na amerykańskich filmach.

Homofobia, w której żyję

Słyszeliście ten klasyczny tekst krypto-homofobii: „ja nie mam nic przeciwko homoseksualistom, ALE”?

Nie mam nic przeciwko gejom i lesbijkom, ALE parady mnie irytują; ALE nie lubię przegiętych gejów; ALE nie zgadzam się na małżeństwa jednopłciowe; ALE nie chcę widzieć, jak się całują na ulicy; ALE nie muszą się tak afiszować, ALE niech nie adoptują dzieci; ALE są mniejszością, więc powinni się dostosować; ALE nie chciałbym, by mój syn był gejem/lesbijką; ALE uważam, że jest za dużo osób queer w mediach; ALE przyjdź na ślub z osobą płci przeciwnej; ALE w taki sposób żaden facet nie powinien się ubierać; ALE ona pewnie jest lesbą, bo nikt jej dobrze nie wyruchał; ALE kobieta powinna chodzić w sukienkach; ALE trans to nie mężczyzna; ALE nie lubię zniewieściałych facetów; ALE dlaczego są tacy agresywni na protestach. Nie

polepsza to ich PR-u; ALE czy próbowałaś być w *normalnym* związku? Może wcale nie jesteś lesbijką; ALE mężczyźni nie powinni chodzić w szpilkach; ALE czemu wszystkie lesbijki są takie przewrażliwione?; ALE nie chcę o tym czytać w gazecie; ALE celem w życiu mężczyzny/kobiety jest założenie rodziny; ALE może założysz sukienkę na ten ślub?; ALE czy chociaż raz nie możesz czegoś przemilczeć i mieć po prostu miły wieczór w gronie rodziny?; ALE czemu od razu musisz się z tym tak afiszować; ALE pokazywanie tego na filmach dla dzieci to lekka przesada; ALE nie mają przecież tak źle, bo mój znajomy nie narzeka; ALE nie zostawię mojego dziecka samego w pokoju z taką osobą; ALE może nie mów o swojej partnerce w trakcie świąt?; ALE transseksualiści są obrzydliwi; ALE nie możesz być nauczycielem moich dzieci; ALE skoro nie mogą mieć dzieci, to tylko żerują na państwie; ALE co ludzie powiedzą, więc zachowaj to w tajemnicy; ALE nie powinieneś w żaden sposób tego omawiać na swoich zajęciach; ALE uważaj, bo *oni* zarażają HIV; ALE nie mów o tym dzieciom w szkole; ALE on wygląda jak prawdziwa ciota; ALE wiadomo, że wszyscy geje zostali zgwałceni w przeszłości, więc to nie ich wina; ALE nie rozmawiaj o tym z nastolatkami, bo wpadną na głupie pomysły; ALE czy mógłbyś zachowywać się trochę bardziej po męsku?; ALE budowanie specjalnych praw dla mniejszości to opresja większości; ALE jest to sprzeczne z moją wiarą; ALE ta druga osoba ma coś przeciwno, więc się nie afiszuj; ALE to jest trochę obleśne; ALE za moich czasów mieli przynajmniej przyzwyczajenie się ukrywać; ALE nie zrobię nic w stronę poprawy sytuacji, bo to nie są moje problemy.

Żywa kropla krwi

Z moim byłym chłopakiem i moją Mamą pojechaliśmy do znajomej, która wykonuje badanie *żywej kropli krwi*. Mniejsza o kontrowersyjność tego zabiegu – generalnie pani nakłuwa palec, wkłada kroplę krwi pod mikroskop i opowiada, co tam się dzieje.

Po wyjściu Mama wzięła mnie na bok i poinformowała, że trochę ostentacyjnie dotykałem mojego chłopaka i że Mama nie chciała nic mówić, ale jej koleżanka była w dyskomforcie w związku z tą sytuacją.

Czy jakaś hetero para to kiedyś usłyszała? Że wprawiła kogoś w dyskomfort opierając swoją rękę na ramieniu swojej partnerki czy partnera? Bo ja się nie całowałem, nie pchałem się nikomu do gaci, nie uprawiałem cichaczem seksu w łazience. Ja położyłem rękę na ramieniu mojego chłopaka.

Hetero pary mówiące „nie mamy nic przeciwko gejom, ALE” nie rozumieją, przez co przechodzimy, bo w ich światopoglądzie nie mieści się, że ich prywatne sprawy mogłyby kogokolwiek wprawiać w dyskomfort. I to nawet słusznie nie powinno im się mieścić w głowie, bo to faktycznie jakiś absurd.

Ale to jest nasz absurd codzienny.

Poznanie rodziców

Normą jest poznanie rodziców swojej drugiej połówki.

Nie jest to normą u nas. Nastają zmiany, to widać, ale mnogość ludzi schowanych w szafie nadal nie tylko szokuje, ale jednocześnie wcale nie dziwi. Mam przywilej mieszkania w Warszawie, więc moje spojrzenie na całą tę sytuację na pewno różni się od osób mieszkających w innych częściach Polski.

Nie ukrywam swojego zdjęcia na portalu randkowym, nie podaję fałszywego imienia. Mogę pojawić się z facetem w restauracji (choć od tych spojrzeń już nie ucieknę), mogę się (oczywiście jak nikt nie widzi, albo jak jest noc) pocałować z kimś na ulicy. Czasem nawet może przez chwilę uścisnąć dłoń mojego chłopaka w autobusie. Ale ponownie – tylko jak nikt nie widzi.

Hetero pary mają przywilej zadawania innych pytań niż LGBTQ+. Nie będą się zastanawiać „czy przedstawiać partnerów rodzicom”, tylko „kiedy przedstawiać partnerów rodzicom”. Bo to naturalne, to zwyczajne, to oczywiste, że się kiedyś przedstawia swoich kochanków.

Nie muszą się przed nikim outować, bo są oczywistością.

Nie muszą bać się podróżować do Malezji, gdzie homoseksualizm jest karany więzieniem, bo są oczywistością.

Hetero miłość, o ile nie jest mezaliansem, nie musi być ukrywana w książkach historycznych pod nazwą „dobre przyjaciółki mieszkające razem od 40 lat”. Jest oczywistością.

Nikt nie jest zdziwiony, że przychodzę z koleżanką na ślub. Wszak to kobieta, a ja jestem mężczyzną. Z kolei pojawienie się z mężczyzną (i tu na serio nie jest istotne, czy to byłby znajomy, kochanek, eskort) wywołałoby szok i zgorzenie. Zostałbym oskarżony o sprowadzanie na siebie światła reflektorów. Byłbym nie tylko zbrodnicem, ale także zapatrzonym w siebie megalomanem, który nie był w stanie dać *normalnym ludziom* choć jednego dnia bez *epatowania* swoją seksualnością.

O czym nie myślę

Nie myślę o wielu rzeczach, o których myśli zwykła hetero para.

Nie myślę nie tylko o ślubie, ale też nie myślę o dziecku, czyli nie myślę o kupowaniu mieszkania z dobrym dojazdem do przedszkola. Nie myślę o zegarze biologicznym mówiącym mi, że powinienem już kogoś zapłodnić. Nie myślę o tym, ile muszę zarabiać, żeby zaoszczędzić na te wszystkie pieluchy i wizyty u lekarzy. Nie myślę o kredycie na dom z oddzielną sypialnią dla dziecka.

Niewiele osób mnie pyta, czy będę miał dzieci. Czy w ogóle myślę o dzieciach, bo przecież ja jestem gejem, a w tym kraju to mogę co najwyżej niszczyć prawdziwe polskie rodziny, dzieci przerabiać na macę, albo tworzyć jakieś ideologie zagraża-

jące całemu krajowi – na to przynajmniej istnieją jakieś wpisy w polskim prawie. Taki problem przynajmniej istnieje.

Ja nie istnieję.

Zrządzę

Chyba zaczynam brzmieć, jakbym się uzałal i nienawidził par hetero. Może jest w tym odrobina prawdy, choć chciałbym dodać do tej listy także *zazdrość*. Kłamałbym mówiąc, że wołałbym być gejem niż hetero.

Gdybyśmy mieli jakąś moc sprawczą, każdy z nas chyba w mgnieniu oka zrobił z siebie *normalnego człowieka*. Ja bym się od razu zamienił. Nawet pięciu sekund bym się nie zastanawiał.

Będzie syn

Wczoraj dowiedziałem się, że mój brat będzie miał syna.

Jest to niepokojące na wielu płaszczyznach – nasze doświadczenia w przemocowym domu z alkoholem to jedno, ale bardziej boję się o metody wychowawcze przekazywane przez męską linię naszego rodu.

Moja Mama często powtarza, że *genów się nie wydlubie*, co jest równie uspokajające, co niepokojące. Z najwyższym przerażeniem obserwuję w sobie i w moim bracie cechy odziedziczone w biologicznym spadku od naszego ojca – gwałtowność, porywczczość i upartość. Sam mix tych cech niekoniecznie jest straszny, ale dodajmy do tego jeszcze alkohol oraz uprzywilejowanie białego hetero faceta, a konsekwencje będą nie tylko dogłębne, ale też i rozległe.

– *Chciał syna. No wiesz, jak to Piekart.* – Mama mówi przez telefon.

– *Ale co masz na myśli?*

– *No, ojciec też tak chciał. Żeby mieć syna, a nie córkę. Córka może być druga, ale najpierw syn.*

Co to w ogóle ma znaczyć? Że córka ok, ale jako druga?

Jakiś wyższy level szowinizmu.

W takich momentach moje obawy się nasilają. Wystarczy kilka słów i już wspominam, jak to ojciec wychowywał nas na (tak, ja cytuję) *honorowych gentlemanów*. Samemu ten honor przejawiając licznymi zdradami, szantażem i pobiciami.

Często myślę, i pewnie jacyś ludzie po psychologii się wypowiedzą, że prawdziwym kamieniem węgielnym moich problemów z mężczyznami jest właśnie moja relacja z ojcem. W nierównych proporcjach chęć ufania mu jako osobie, która dała mi

życie, a jednocześnie strach przed pobiciem, a potem znów – pragnienie bycia małym Maksymkiem, którym ktoś się zaopiekuje.

Czasem przeszłość stara się mi przypomnieć, że zarabiał na nasze życie, ale Mama przecież też zarabiała. Że w jakiś sposób się starał, ale jednocześnie i nie krył mną rozczarowania, gdy coś szło nie po jego myśli. Że czasem potrafił pomóc, ale tylko kiedy był na etapie *miesiąca miodowego* w cyklu przemocowym.

Nie potrafię już go kochać. Nie potrafię nawet już spróbować.

Boję się o tego chłopaka – nienarodzonego jeszcze syna.

Że wszystko zatoczy krąg i nasz ród wydali kolejnego zagubionego chłopca pełnionego nienawiścią do siebie i świata. Że ich syn będzie kolejnym dzieckiem, które będzie błagało o litość podczas wymierzania pasów.

Że nikt nie zbiegnie i nie zacznie walić w ich drzwi.

Że ktoś zbiegnie, zacznie walić w ich drzwi, a on zapewni, że będzie już płakał ciszej.

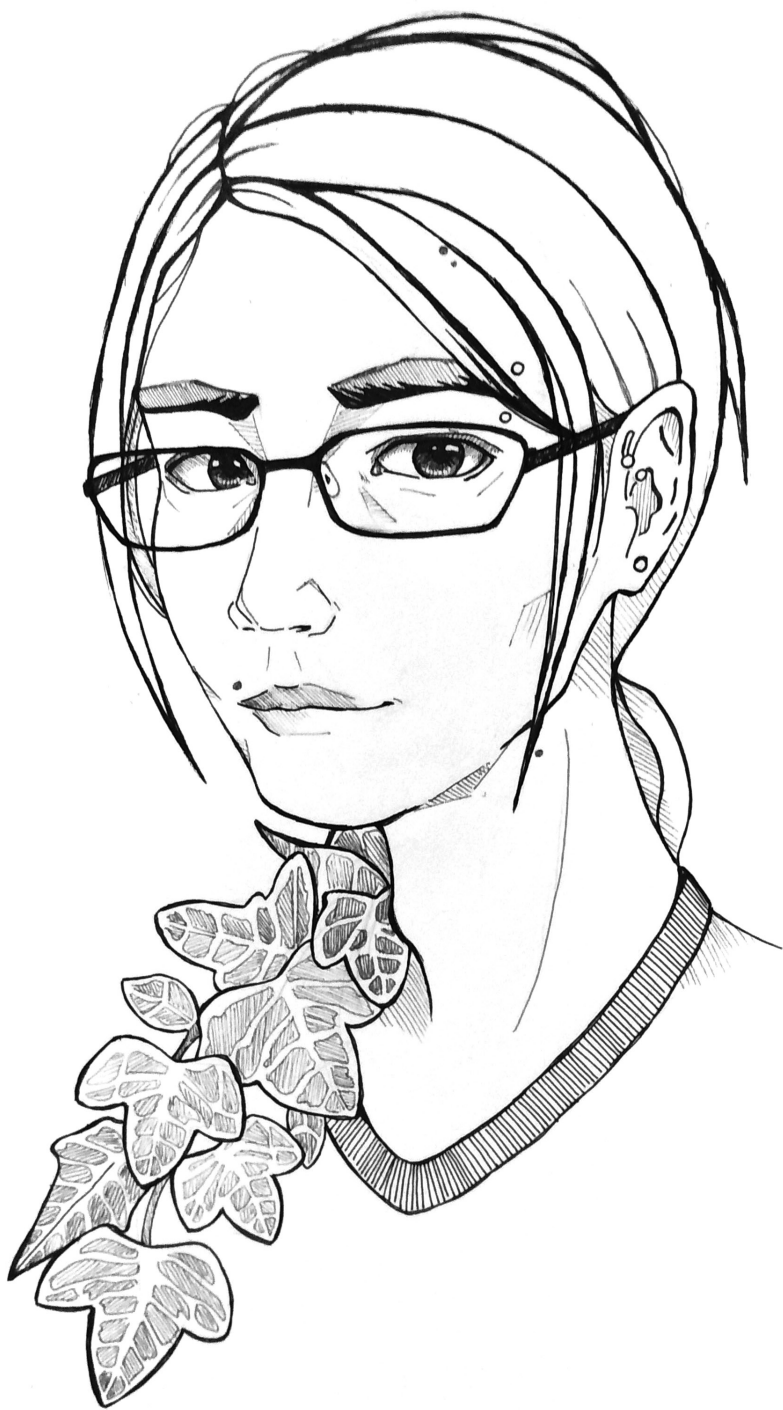
Boję się, że nie będzie w stanie obronić swojej Mamy, gdy ojciec zacznie ich bić. Że zatrzyma się na schodach, spojrzy na pijanego ojca, a potem cofnie po schodach na górę.

Że jego ojciec nazwie go *dobrym chłopcem*.

Chcę myśleć, że mój brat będzie inny, ale nie przychodzi mi to łatwo. Jego także już nie potrafię kochać, ale potrafię mu przynajmniej życzyć powodzenia, żeby udało mu się zrobić wszystko to, czemu nasz ojciec nie podołał. Aby wiedział, czym nas skrzywdzono i jak nie pozwolić na dalszą krzywdę.

A temu chłopakowi nie wiem czego życzyć, o co się modlić. Pomodłę się o wszystko to, czego mogłem doświadczyć dopiero opuszczając mój dom – zrozumienia i akceptacji. Aby umiał kochać i być kochanym. Aby żył bez ciągłego przeproszania za swoją czelność istnienia.

Modłę się, żeby nie był gejem. Żeby chociaż to zostało mu odciążone.



Lucjusz T. Olszewski, autoportret Autora

Lucjusz T. Olszewski

O chłopcu, który nie istnieje

Ur. w 2000 r. trans mężczyzna. Urodził się i wychowywał w małej miejscowości w województwie kujawsko-pomorskim, dwa lata temu przeprowadził się na studia do województwa wielkopolskiego.

Nigdy nie potrafiłem ocenić własnego życia. Nie umiałem powiedzieć, czy mi się ono podoba, czy nie. W gruncie rzeczy przez cały czas czułem, że ono nie należy do mnie. Zdawało mi się raczej, że jest ono własnością społeczeństwa, którego członkowie powołałi mnie do życia, bo od dawna obciążało mnie ono niezrozumiałymi wymaganiami i wymogami w stosunku do mojej osoby. Cóż, w gruncie rzeczy ciężko temu wpływowi nie podlegać. Niemniej jednak irytowało mnie to, że muszę robić to, ubierać się tak, mieć określone marzenia zgodne ze wzorem przyjętym dla dziewczynek, dziewczyn, kobiet. Wszystko dlatego, że ktoś dwadzieścia lat temu stwierdził, że nią jestem i nią będę. Chyba dlatego czułem, że ono nie należy do mnie. Jakby nie patrzeć osoba, która pisze ten tekst, formalnie nie istnieje. Nie ma mnie w żadnych dokumentach i nie wiem, czy moje imię kiedykolwiek się w nich pojawi. Istnieję już bardziej jako koncept, niepisana umowa między moimi znajomymi a mną. Umówiliśmy się, że jestem. Z innymi się tak nie umówiłem, więc dlatego mnie nie dostrzegają. Widzą tylko to, co wygodnie im widzieć. W zasadzie nie mam o to żalu, nigdy nie starałem się wyjaśniać tego wszystkiego osobom, z którymi praktycznie i tak nie miałem kontaktu. Wydawało mi się marnotrawstwem czasu tłumaczenie przechodniom, kelnerom, ekspedientom, że w kobiecym ciele, do którego się zwracają, czai się, zapewne niespodziewanie, kto inny. Już sam nie wiem, czy mężczyzna, czy nie. Może za dużo czasu już tak funkcjonuję i zobojeźniałem na ten temat, a może po prostu myślałem o tym za mało, a może za dużo właśnie. Jestem sceptykiem i nigdy nie biorę niczego za pewnik. Nawet swojej płci.

Własne dzieciństwo wspominam jako coś szczęśliwego. Nie było idealne, zresztą nawet nie umiem sobie wyobrazić, jakie kryteria powinno spełniać, żebym mógł je

tak nazwać. W każdym razie zostały mi z niego głównie dobre wspomnienia. Być może z tymi mniej przyjemnymi się pożegnałem, żeby nie stanowiły balastu w moim późniejszym życiu. Chyba ogólnie panuje tendencja do tego, aby starać się zachować w pamięci głównie te miłe rzeczy. Niekiedy jednak te bardziej przygnębiające okazują się nie mniej ważne, ale na nich pozwolę sobie skupić się później.

Mój rodzinny dom stoi na uboczu małej miejscowości. Nadal w nim zresztą mieszkam. Przylega do niego duże podwórkó i niewielki sad, stoi kilka gospodarczych budynków. Nie były to najgorsze warunki do codziennych zabaw. Dorastałem sobie w tym otoczeniu powoli, mieszkając z rodzicami i dziadkami. Wydaje mi się, że o mnie dbano. Dziadek i mama szczególnie angażowali się, by mi się nie nudziło. Zresztą bardzo szybko nauczyłem się znajdować sobie zajęcie samemu – lubiłem rysować, malować, układać puzzle czy klocki, bawić się swoimi pluszakami. Jako jednak cieszyłem się całą uwagą.

Pewnie duży wpływ miało na mnie to, że nie doświadczałem częstego kontaktu z rówieśnikami. Jednak zupełnie mi to nie przeszkadzało. Nie dążyłem do tego, by spotykać się z innymi dziećmi w moim wieku. Byłem raczej cichym dzieckiem, które wolało indywidualne zajęcia niż zabawę w grupie. Kiedy miałem cztery czy pięć lat, jakoś nikogo to nie martwiło, dopiero później niektórzy zaczęli postrzegać to jako problem, nawet jeśli w najmniejszym stopniu nie odbijało się to na moim samopoczuciu.

Często w stronę osób transseksualnych kieruje się pytanie, czym bawiły się w dzieciństwie lub jak się wtedy zachowywały. Mojej płci jakoś nie roztrząsano w tym okresie. Nie miałem nic przeciwko temu, że ktoś ubierał mnie w sukienki. Koncepcja, że ubrania są dostosowane do czyjejs płci nie zaprzętała wtedy mojej głowy. Lubilem grzebać w szafie mojej babci i bawić się jej torebkami, których miała mnóstwo. Kupowano mi też lalki. Skłamałbym mówiąc, że nie lubiłem się nimi bawić, ale równie często moim zabawom towarzyszyły odziedziczone po kuzynach samochodziki czy figurki żołnierzyków. Seksuologowi pewnie powiedziałbym, że nosiłem po nich ubrania, a o wszystkich dziewczęcych aspektach mojego wczesnego dzieciństwa raczej bym nie wspomniał. Bałbym się, że to negatywnie wpłynęłoby na moją ewentualną diagnozę. Najlepiej wpasować się w przyjęty model osoby utożsamiającej się z przeciwną płcią biologiczną, jeśli chce się w jego gabinecie coś wskórać. Inaczej można sobie zwyczajnie narobić problemów, bo nie odrzuca się wszystkiego, co związane z kobiecością lub męskością. Mnie takie rzeczy zupełnie nie zajmowały w szczenięcych latach, nawet jeśli różnice między kobietami a mężczyznami były dla mnie czymś oczywistym. Cóż, wtedy też nie musiałem wpasowywać się do jakichś ogólnie przyjętych wzorców i norm, ani też próbować się z nich wyrwać. To były te miłe czasy przed okresem dojrzewania, przed staniem się na dobre częścią społeczeństwa, z którym nie potrafiło się żyć.

Dzieciństwo było okresem, w którym kształtowała się część moich przyszłych zainteresowań. Mama czytała mi książki, dość szybko też nauczyłem się czytać sam. Dzisiaj literatura jest moją pasją, książki i prasę dosłownie pochłaniam, sam również zajmuję

się pisaniem własnych opowiadań czy nowelek. Słowo pisane stało się głównym środkiem przekazywania moich myśli innym ludziom, a także ich porządkowania. Papier nie ocenia, nie zadaje pytań, dlatego czasami staram się wyrazić siebie także poprzez rysunek. Dziś czuję się jak ktoś, kto być może by nie istniał, gdyby nie wirtualne strony zapisane tekstem dzięki klawiaturze komputera. Także dzięki niej osoba, która to czyta, ma szansę mnie poznać w jakimś stopniu. Kiedy się nad tym zastanowić, to dość specyficzna forma jednostronnego koleżeństwa. Cóż, w normalnych okolicznościach mógłbym powiedzieć, że miło mi cię poznać. Teraz mogę jedynie wyrazić nadzieję, że tobie będzie miło poznać mnie. Bliscy mówią na mnie Lucjusz.

Lepiej się do mnie przyzwyczajaj, bo przed nami jeszcze ładnych piętnaście lat do streszczenia!

Pójście do szkoły na pewno było dla mnie pewnym przełomem, jednak za każdym razem nie wspominam go zbyt dobrze. Pierwszy dzień w zerówce, czy przedszkolu, jak kto woli, pamiętam jako szok. Wszyscy zachowywali się głośno z nieznanego mi powodu. Miałem wrażenie, że w tym miejscu panuje chaos w przeciwieństwie do domu, w którym wszystko ma swoje miejsce i własny bieg. Naprawdę nie chciałem tam wracać następnego dnia, ale jak się okazało, nie było alternatywy. W sumie nie jestem przekonany, czy tak naprawdę kiedyś polubiłem w pełni chodzenie do szkoły, nawet jeśli nauka to jedno z moich ulubionych zajęć, w pewnym sensie też sposób na życie.

Niemniej jednak spędzając w szkole kilkadziesiąt godzin tygodniowo przez kilkanaście lat, stała się ona zasadniczą częścią mojego życia, czy mi się to podobało, czy nie. Z tego też powodu pozwolę sobie pogrupować moje wspomnienia na okresy związane z poszczególnymi etapami edukacji. Nie pamiętam zbyt wiele potencjalnie ważnych wydarzeń z czasów wczesnej podstawówki, ale w końcu postanowiłem, że podzielę się swoimi przeżyciami, więc postaram się przytoczyć ich jak najwięcej. Może dzięki temu sam odkryję, jak kształtowała się moja tożsamość, sam do końca jeszcze dobrze nie zdaję sobie z tego sprawy. W końcu nie jest to coś, co aktywnie się śledzi, a w dodatku nie zmienia się nagle, a raczej stopniowo i niespiesznie.

Pragnę zaznaczyć, że nie uważam się za kogoś wychowanego pod kloszem. Miałem kontakt z różnymi ludźmi: z kuzynostwem, z wujostwem i dalszymi krewnymi, ze znajomymi rodziców i ich dziećmi. Wydaje mi się, że jakoś sobie w relacjach z nimi radziłem, a jednak wśród rówieśników w szkole przez dość długi czas czułem się kompletnie obco. Udało mi się z czasem zakolegować z innymi, chociaż do dziś mam wrażenie, że trzymałem się raczej na uboczu. Taką przyjąłem taktykę na przetrwanie i w sumie niewiele się do dzisiejszego czasu zmieniło.

Bawiłem się ze wszystkimi bez względu na płeć, dopóki z otoczenia nie dotarły do mnie przesłanki, że dziewczynki powinny się bawić z dziewczynkami i to jeszcze najlepiej lalkami czy czymś w tym guście. Niespecjalnie się w tym odnajdywałem, więc w czasie przeznaczonym na zabawę zacząłem rysować – tam jakoś nie miało znaczenia, czy mama ubiera cię w spodnie czy w spódniczki. Ja raczej nie lubiłem

tych drugich, wydawały mi się dziwnie niepraktyczne. Podobnie jak rajstopy, które notorycznie mi się dziurawiły.

W szkole podstawowej, do której uczęszczałem, w roczniku była tylko jedna klasa, więc zasadniczo spędziłem w tym samym gronie siedem lat. W pierwszej klasie szkoły podstawowej udało mi się po raz pierwszy z kimś zaprzyjaźnić – to była moja równolatka. Mieszkała niedaleko mnie. Wszystko zaczęło się od tego, że któregoś dnia wychowawczynie posadziła nas razem w ławce. To chyba był dobry początek szkolnej przyjaźni, tak uważam.

Sądzę, że w tym okresie starałem się być bardziej dziewczęcy, żeby jej się bardziej przypodobać. Mimo to, kiedy razem się bawiliśmy, najczęściej odgrywałem męskie role. Patrząc na to teraz, nie wiem, czemu to robiłem, ale wtedy wydawało mi się to takie naturalne. Jej raczej też, bo nigdy nie wyraziła o tym negatywnej opinii. Prędko staliśmy się sobie bardzo bliscy i spędzaliśmy ze sobą wiele czasu, jednak musiała się wyprowadzić, zmienić szkołę, dlatego nasz kontakt powoli zanikał. Bardzo to przeżywałem i później miałem problemy z nawiązywaniem głębszych relacji. Teraz ten dziecięcy dramat wydaje mi się bardzo odległy, ale kiedyś zdawał się nade mną wisieć każdego dnia.

Do trzeciej klasy podstawówki jakoś mi zleciało, chociaż miałem wrażenie, że co roku przerabiamy na lekcjach ten sam materiał. Nie interesowało mnie wtedy zbytnio, co się działo poza własnym podwórkiem. Polityka i wszystko, co z nią związane, leżało gdzieś poza granicami mojej świadomości. Wtedy jeszcze myślałem, że jeśli coś będzie mogło mnie w przyszłości skrzywdzić, to ktoś mi o tym powie, niestety jak się potem okazało, nikt mnie w tym temacie dostatecznie nie uświadomił. Wtedy bardziej martwiłem się łobuzami, którzy mi dokuczali na przerwach.

W telewizji zaczęły się pojawiać różne rzeczy dotyczące osób LGBT, ale wtedy nie zwracałem na nie szczególnej uwagi. Nie czułem się jedną z tych osób, nie miałem też wrażenia, że są oni kimś szczególnie różnym ode mnie. Nie doświadczyłem jeszcze wtedy dyskryminacji, nie musiałem też walczyć o swoje prawa. Wydaje mi się jednak, że kiedy byłem młodszy, w mediach nie było nagonki (przynajmniej nie tak silnej jak obecnie) na osoby o innej orientacji seksualnej. Chociaż na ekranie interesowały mnie głównie bajki, parę fragmentów z innych produkcji utkwiło mi w głowie.

Wydawało mi to dość szczególne, że zapamiętałem scenę, w której Hilary Swank wcielając się w rolę Brandona Teeny ogląda przed lustrem swoje ciało. Wtedy jeszcze nie rozumiałem, dlaczego ktoś miałby owijać sobie piersi bandażem. Długo nie mogłem znaleźć filmu, z którego pochodziła ta scena. Tak długo, że zanim odszukałem jego tytuł w internecie, sam zacząłem chować swoje niedoskonałości, jak wtedy o nich myślałem, pod warstwami ubrań.

Nie wiem, czy moje późniejsze doświadczenia sprawiły, że z dzieciństwa zapamiętałem akurat ten film, który mama oglądała w telewizji, czy może podświadomie wiedziałem, że kiedyś mi się to może przydać. Pamiętam też, że zacząłem oglądać dokument o transseksualnej osobie, ale ojciec powiedział, że to głupoty i zabrał mi pilot. Szkoda, bo wydawało mi się to z jakichś powodów szalenie interesujące.

Nie kierowało mną zdziwienie, że kobieta może stać się mężczyzną, ale raczej chęć zrozumienia, dlaczego ktoś chciałby do tego dążyć i jakie uczucia mu towarzyszą. W końcu dorośli nie robili niczego bez powodu, a przynajmniej zawsze na takich pozowali.

Myślę, że jako dziecko raczej ze spokojem przyjmowałem wszystko, czego mogłem doświadczyć. Nie utrwały się we mnie żadne uprzedzenia, nawet jeśli teoretycznie wychowałem się w nieszczególnie postępowej katolickiej rodzinie. Wtedy jeszcze seksualność mnie nie interesowała, więc może nie rozumiałem, dlaczego miałyby stanowić podstawę do jakichś podziałów i braku szacunku dla innych. Nikogo zapewne nie zdziwi, że o seksie jak i potencjalnych orientacjach seksualnych dowiedziałem się w szkole. Nie jednak na jakichś zajęciach, a od kolegów ze szkolnego podwórka. Z nich też jakoś nie przeszły na mnie żadne uprzedzenia, nawet jeśli popularne było rzucanie hasłami w stylu "wąchasz klej, jesteś gej!"

Chłonałem wszystkie te rzeczy jak gąbka, w końcu można mnie było przyrównać do niezapisanej kartki, a jednak utrwały się raczej przefiltrowane przez mój dziecięcy umysł informacje. Ludzie są różni – ja jestem inny niż reszta klasy, może dlatego niektórzy się ze mnie śmieją. Z innych też się śmiali, jeśli nie byli tacy sami jak oni. Ja nie zamierzałem być po stronie śmiejących się. Nie wiem, co działo się w ich domach, ale ja odczuwałem wtedy jeszcze atmosferę akceptacji mojej osoby, nawet jeśli też miałem często wrażenie, że różnię się od reszty mojej rodziny pod jakimś względem, którego wtedy nie rozumiałem.

Po wyprowadzce mojej ówczesnej najlepszej przyjaciółki nadal spędzałem czas głównie w gronie dziewczynek. Chłopaków w naszej klasie nie było wielu, a poza tym często mi dokuczali, co sprawiało mi przykrość. Już od najmłodszych lat miałem łatkę pilnego ucznia, co się poniekąd nie podobało. Nie oznaczało to jednak, że nie spędzałem czasu z chłopcami. Spotykałem się po prostu ze swoimi dwoma znajomymi po szkole, w której zachowywaliśmy się zupełnie, jak gdybyśmy się nie znali, mimo że siedzieliśmy ławka w ławkę. Nie do końca rozumiałem to zachowanie, zwyczajnie wydawało mi się, że tak trzeba. Zresztą wołałem oddawać się nauce, bo od czwartej klasy wzwyż część materiału naprawdę mnie interesowała i uczyłem się go z przyjemnością.

Nie tylko nauką wypełniałem sobie czas. Uwielbiałem zajmować się robótkami ręcznymi i innymi przejawami dziecięcej sztuki. Największą rolę jednak wśród moich zainteresowań odgrywało czytanie książek. Czasem mi się zdaje, że w dzieciństwie czytałem dosłownie jedną pozycję za drugą. Nie traktowałem wtedy czytania jako czegoś, co daje mi możliwość ucieczki od rzeczywistości. Było to po prostu fajną rozrywką dla jedynaka, a poza tym nikt nie miał o to pretensji w przeciwieństwie na przykład do zbyt długiego oglądania bajek w telewizji.

Może już wtedy zacząłem utożsamiać się bardziej z męskimi bohaterami książek, ale ciężko to stwierdzić. Nie za dobrze pamiętam, nie umiałbym w sumie wskazać konkretnego przykładu, a poza tym wydaje mi się, choć nie chciałbym

generalizować, że postacie z książek dla osób w tym wieku raczej nie mają zbyt rozbudowanego charakteru. W każdym razie moja potrzeba identyfikowania się z bohaterami płci przeciwnej do mojej biologicznej szybko znalazła sobie ujście w anime i mangach. Różnorodność przedstawionych bohaterów i ich historii mnie oczarowała, a chociaż ani wtedy, ani dziś nie powiedziałbym, że chciałbym się z którymś zamienić miejscami, to dostrzegałem w nich cechy, które nie tyle mnie pociągały, co chciałem je sobie przywłaszczyć, przejąć.

Pewnie każdy kiedyś w życiu słyszał: „Dziewczynki tak nie robią” czy „Zostaw to, to jest dla chłopców” oraz inne podobne rzeczy. Na mnie też próbowano stosować podobne chwytły. Nie wiem, czy otaczającym mnie dorosłym udało się wpoić mi, jak należy siedzieć, kiedy się ma waginę, ani jak się wtedy ubierać, jak chodzić, jak mówić i takie tam. Kilkanaście lat później w mojej fizjologii wiele zmian nie zaszło, a ja już zupełnie nic sobie nie robię z takich komentarzy. Wtedy chyba bardziej się nimi przejmowałem, bo byłem raczej mniej odporny na krytykę i starałem się wszystkim przypodobać. Szkoda, że już wtedy nie zacząłem się śmiać w głos, słysząc podobne pouczenia, może do mojej rodziny dotarłoby prędzej, że niewiele sobie z nich robiłem.

Nie próbowałem na siłę zachowywać się jak chłopiec. Raczej robiłem to, co mi się wydawało zwyczajne. Chodziłem trochę jak mój ojciec, miałem mimikę twarzy taką jak on i patykowatą posturę także dostałem w spadku po nim. Nie widziałem w nim wzoru, więc raczej nie z tego powodu nabyłem takie gesty. Kiedy byłem młodszy, spędzaliśmy ze sobą więcej czasu. W zasadzie wydaje mi się, że on bardzo się starał wychować mnie na fajną córkę, chociaż efektu końcowego pewnie się nie spodziewał. Kiedy mama pracowała do późna, on rano czesał mi długie włosy w koński ogon albo koczki i odprawiał do szkoły. Na co dzień o tym nie myślę, ale fajnie by było, żeby takie chwile jak te wróciły.

Moja męska tożsamość zaczęła jednak kiełkować wraz z początkiem drugiej głębszej znajomości. Do mojej miejscowości przeniosła się w piątej klasie dziewczyna z miasta, wraz z siostrą i rodzicami. Różniliśmy się bardzo, ale postanowiłem się z nią zaprzyjaźnić, wiedząc już, że z innymi osobami z klasy tracę nic porozumienia. Warto było próbować, a przynajmniej tak wtedy próbowałem myśleć. Jej matka mnie nie polubiła, zresztą nigdy rodzice moich znajomych za mną nie przepadali, nie wiedzieć czemu. Nie byłem dla nich nieuprzejmy ani nic podobnego. Pomimo tego, że mama mojej nowej koleżanki nie potrafiła się cieszyć z naszej znajomości, spędzaliśmy razem popołudnia. Kiedy się bawiliśmy, znów zacząłem przyjmować męskie role, a ponieważ moja koleżanka i jej siostra mi w tym wtórowały, nie wydawało mi się to czymś specjalnie dziwnym. Nie pamiętam już, jak się ta zabawa narodziła, ale nazwałem odgrywaną przeze mnie postać Dawid. Prędko jednak moje użytkowe imiona się zmieniały, nawet jeśli wszyscy wyrosliśmy z podobnych zabaw. Pozwoliły mi one mimo wszystko jakoś przywyknąć do używania męskich zaimków. Może z początku było to dziwne, ale potem przychodziło z łatwością. Za jakiś czas miałem zupełnie porzucić żeńskie końcówki i tym podobne rzeczy. Zabawne jest to, że ludzie bardzo późno zauważyli tę zmianę. Nawet ci z najbliższego otoczenia zdawali się ignorować

fakt, że zacząłem mówić o sobie w męskiej osobie. Nie wiedziałem, czy w ogóle nie słuchali tego, co do nich mówiłem, czy po prostu nie chcieli dostrzec tego, że odsta- wałem od ich obrazu świata.

Nawet jeśli nie nadawaliśmy z nową znajomą na tych samych falach, bardzo sta- rałem się utrzymać tę znajomość przy życiu. W końcu wtedy właściwie nie miałem już nikogo innego w swoim wieku, kto mieszkałby blisko i chciał spędzać ze mną czas. Dopiero podczas wyjazdu na kolonie poznałem miłych ludzi w moim wieku.

Na kolonie wysłano mnie w ramach nagrody za wyniki w nauce po ukończeniu szkoły podstawowej. Trwały one dziesięć dni i, jeśli o mnie chodzi, to była praw- dziwa katonga. Nigdy więcej już nie spojrzę na plażę w ten sam sposób. Przydzielono mnie oczywiście do pokoju dla dziewczyn, a jakże by inaczej. Właściwie nie wiem, kto stwierdził, że upchnięcie siedmiu osób na kilku metrach kwadratowych to dobry pomysł, ale na własnej skórze doświadczyłem, że był raczej kiepski. Może dla mnie jako dla jedynaka brak osobistej przestrzeni stanowił poważną wadę, ale starałem się przystosować do sytuacji. Dziewczyny, które poznałem, chodziły do szkoły w innej miejscowości w mojej gminie i udało nam się wspólnie spędzić czas. Przez jakiś czas nawet mieliśmy ze sobą bliższy kontakt.

One zaakceptowały moje zainteresowania – to, że dużo czytam i że słucham muzyki, która dla nich jest dziwna. Lubiły mnie i moje pieśczętliwe uszczypliwo- ści. A jednak nie powiedziałem im o tym, że chyba czuję się chłopcem, bo wtedy one mogłyby się czuć niezręcznie dzieląc ze mną pokój. Pozwalałem im traktować siebie jak dziewczynę. Nawet dałem zapleść sobie warkocze, mimo że normalnie pozwole- nie na to dostawała jedynie moja mama.

Naprawdę je polubiłem, a jednak kiedy wreszcie udało mi się wrócić do domu i swojego pokoju, odetchnąłem z ulgą, bo nie musiałem już przed nikim udawać kogoś, kim się kompletnie nie czułem. Przynajmniej przez jakieś dwa miesiące, dopóki nie zaczął się nowy rok szkolny.

Pójście do gimnazjum było dla mnie bardzo przytłaczającym przeżyciem, chociaż nie do końca umiałem powiedzieć dlaczego. W końcu moje gimnazjum znajdowało się na terenie tej samej gminy i chodziły do niego wszystkie osoby, które znałem z pod- stawówki. Być może prościej byłoby mi się wtopić w tłum kompletnie nieznanomych twarzy, gdzie nikt nie wiedziałby o mnie za wiele. Dawni koledzy z klasy, którzy mi dokuczali, nadal mogli wypominać mi wszystkie moje gafy i nazywać kujonem. Było też sporo nowych osób w moim wieku, a jednak nie umiałem się zaaklimatyzować między nimi. Wszyscy wydawali mi się tacy obcy i zupełnie inni niż ja, że po jakimś czasie właściwie dałem sobie spokój.

Początek wkraczania w nastoletniość był dla mnie trudny. Dojrzewanie nigdy nie jest łatwe. Przez cały czas ma się w głowie mętlik, czasem ciężko kontrolować emocje, ciało się zmienia i inne takie. Pod pewnymi względami miałem takie same problemy co inni, czasami miałem jednak zupełnie niestandardowe. Moi rodzice się rozwod- dzili, chodzenie do szkoły mnie stresowało i zdarzało mi się być przemęczonym z jej

powodu, próbowałem jakoś dopasować się do innych z marnym skutkiem, poza tym dobijała mnie samotność – większości nastolatków to się zdarza. Jednak gdy dorzuci się do tego problemy z ciałem, które zmienia się w niechcianym kierunku i nie można nic na to poradzić, strach przed byciem sobą i związaną z tym niepewną przyszłością, brak zrozumienia ze strony dorosłych i rówieśników, to robi się mieszanka niemalże nie do zniesienia.

Aby jednak wszystko to rozłożyć na czynniki pierwsze, zacznijmy od początku.

Kiedy już umiałem jakoś nazwać to, co mnie dotknęło, pojawiła się masa zmar-twień. O transseksualności dowiedziałem się z internetu, nikt inny nie potrafiłby mi tego wyjaśnić. Ulżyło mi, że nie tylko ja czuję, jakby ktoś przydzielił mi niewłaściwe ciało. Kiedy jednak przeczytałem, co trzeba zrobić, by dopasować swoje ciało do tego, kim się czuło, przeraziłem się. Nie inwazyjnością zabiegów, ale tym, ile stresu po drodze trzeba znieść – jakby sama dysforia płciowa nie potrafiła doszczętnie zniszczyć samopoczucia. Wizyty u lekarzy, badania, sądy, operacje – nie potrafiłem się za dobrze w tym odnajdywać wtedy, nie umiem też dzisiaj. Po prostu to wszystko wydawało mi się przerażające i zanadto skomplikowane, jakby już samo to miało zniechęcić człowieka do próby wydarcia się ze sztywnych ram płciowego konstruktów społecznego. A do tego dochodziły jeszcze ogromne koszty. Wtedy wyobrażałem sobie, że wszystkie osoby w moim wieku układają sobie jakoś życie, zakładają rodzinę i mają własny kąt, a ja próbuję walczyć o siebie. Była to wizja strasznie beznadziejna, którą nie mogłem się z nikim podzielić, bo w zasadzie dalej nikomu nie powiedziałem o tym, że moja płeć biologiczna chyba nie jest dla mnie.

Ponieważ kiepsko odnajdywałem się w szkole, zacząłem udzielać się w internecie. Chwilę wcześniej stałem się autorem opowiadań i pomyślałem, że na wzór innych osób, mógłbym założyć bloga, na którym bym je upubliczniał. Podałem męskie dane osobowe, gdyż pomyślałem, że nikt przecież i tak ich nie zweryfikuje. Wtedy poczułem, że naprawdę stworzyłem sobie przestrzeń – malutki kawałek internetu – żeby być sobą. Nie miało znaczenia to, co mam wpisane w dokumentach, jak wyglądam, jak brzmi mój głos. Stałem się wtedy kimś, kto mimo że oficjalnie nie istniał, był bardziej prawdziwy niż dziewczyna, za którą mnie brano. Nawiązałem dzięki temu parę znajomości, a jedna z nich przetrwała do dzisiaj i stanowi relację, którą cenię sobie najbardziej ze wszystkich.

Nie czułem, żebym okłamywał chłopaka, którego poznałem, bo skomentował jedno z moich opowiadań. Przedstawiłem się mu męskim imieniem i używałem męskich zaimków, a on zaakceptował to bez pytań. Dlaczego ludzie, których spotyka się w prawdziwym życiu także nie mogą zachowywać się w podobny sposób? Czy naprawdę robi to tak wielką różnicę, czy osoba, do której się zwracasz preferuje męskie końcówki, mimo że wygląda jak dziewczynka? Miałem kilkanaście lat, nie mogłem wyglądać jak przystojny brodac, nawet gdybym bardzo chciał. Później powiedziałem swojemu przyjacielowi, że właściwie to jestem osobą transpłciową, a on, chcąc wykazać się zrozumieniem, zapytał, czy ma zatem zwracać się do mnie wybranym żeńskim imieniem. Taki obrót sytuacji wydał mi się zabawny i oczywiście

go wyjaśniłem. Niemniej jednak nasza relacja się nie zmieniła – obaj mieliśmy swoje problemy, w których próbowaliśmy się wspierać mimo dzielącej nas odległości i tym podobnych rzeczy. To, że jestem osobą transpłciową, jest ważnym elementem mojego życia, ale nie stanowi jego głównej osi i nie określa mnie w stu procentach. Im dłużej żyję, tym moja płeć ma dla mnie coraz mniejsze znaczenie, a na pierwszy plan wybijają się moje zainteresowania. Niemniej jednak to właśnie ta jedna cecha potrafiła wiele namieszać w moim prywatnym życiu. Zupełnie jakby dla otoczenia cała reszta przestawała mieć przy niej znaczenie.

Po jakimś czasie jednak stwierdziłem, że powinienem powiedzieć mamie o swoich przeczuciach. Niestety nie wspominam tego momentu za dobrze, ale nie obwiniam jej za to. Po prostu była zmartwiona i zareagowała dość nerwowo. Powiedziała, że to pewnie przez to, że się czegoś naczytałem w internecie, a poza tym to nigdy nie będę mógł być prawdziwym mężczyzną, skoro nie spłodzę dziecka (nie zamierzałem zająć też w ciążę, czy to czyniłoby mnie nieprawdziwą kobietą?). Potem długo doszukiwała się błędów wychowawczych, które mogła popełnić, więc przez jakiś czas atmosfera między nami była raczej nerwowa. Czuję się wtedy naprawdę okropnie, bo nie dość, że moje piersi zaczęły rosnąć, co doprowadzało mnie do rozpaczki, to jeszcze nie mogłem znaleźć oparcia w bliskiej osobie. Po jakimś czasie mama jednak przetrawiła tę informację. Potrzebowała jednak jeszcze kilku lat, żeby się z tym oswoić, ale cieszy mnie to, że próbowała. Zrozumiała, że jej dziecko takie już jest i nie było to niczyją winą. Jednak kiedy na moją prośbę spotkaliśmy się z psychologiem, by o tym porozmawiać, powiedziano jej, że to wszystko jej wina, bo ona nie nosiła sukienek czy spódnic, nie malowała się, więc brakowało mi wzoru. Teoria ta wydawała mi się bardzo naciągana, przecież moja mama nie była jedyną w życiu kobietą, z którą miałem styczność, ale oczywiście moje argumenty do niej nie trafiały i znów zaczęła się obwiniać. Staralem się z nią o tym rozmawiać i dzisiaj, chociaż czasami zwraca się do mnie żeńskim imieniem, mam poczucie, że akceptuje mnie i moje wybory, a także pomaga mi, jak może, by znaleźć własną drogę. Mieliśmy lepsze i gorsze chwile, ale staraliśmy się je przezwyciężać. Myślę, że motywacji do tego brakuje niektórym rodzicom i przez to ich dzieci coraz bardziej się od nich oddalają. To jednak jedynie luźna dygresja, takie skromne przemyślenie, bo ani odrobinę się na wychowywaniu dzieci nie znam i nie chcę wymądrzać – wydaje mi się jednak, że coś może być na rzeczy.

Mama nie była jedyną osobą, przed którą wyszedłem z szafy w okresie gimnazjalnym. Zdarzyła się jednak sytuacja, w której czułem się do tego zmuszony i później spotykałem się z problemami.

Moja wychowawczyni – starsza polonistka o potencjalnie konserwatywnych poglądach – postanowiła, żeby zorganizować wystawę moich prac artystycznych. Dałem się na tę wystawę namówić, mimo że nie lubiłem się chwalić swoimi umiejętnościami, osiągnięciami, ani niczym podobnym. Wtedy miałem pokazną kolekcję rysunków, więc było z czego wybierać. Miałem napisać tekst o sobie, który by przy nich wisiał, więc tak też zrobiłem. Napisałem tekst tak, aby żadne słowo nie wskazywało na to, jakiej płci jest osoba, która go napisała – miałem w tym już wprawę, ale

jednego nie udało mi się ominąć. Napisałem, że jestem „autorem”, a moja wychowawczynie poczytała sobie chyba za punkt honoru, żeby to przepisać na „autorką”. Pamiętam uczucie, które się we mnie pojawiło, kiedy zobaczyłem tę poprawkę w tekście, ale nie umiem go opisać. Była to mieszanka gniewu, rozczarowania i żalu. Miałem ochotę płakać, a pozornie chodziło tylko o jeden zmieniony wyraz. Jednak poczułem się, jakby ktoś mnie próbował znów wpasować w jakieś ramki, a moje rysunki zostały przypisane „autorce”, którą nie byłem.

Moja wychowawczynie zupełnie nie zrozumiała mojej dezaprobaty, delikatnie mówiąc, względem tej poprawki, więc powiedziałem jej, że nie czuję się kobietą, tylko mężczyzną i to było dla mnie ważne, żeby akurat w tym miejscu w tekście stało słowo „autor”. Powiedziała mi wtedy, że nie mogę czuć się mężczyzną, skoro nosiłem długie włosy. Tekst na wystawie się nie zmienił, a ona już do końca mojej edukacji nie chciała zostawić mnie w spokoju.

Dałem się sprowokować komentarzem o włosach i zwyczajnie je ściąłem. Na początku roku przyszedłem do szkoły w niebieskich włosach, co mojej wychowawczynie również się nie spodobało. W regulaminie szkoły napisane było, że ubiór i fryzura ma być zgodny ze społecznymi normami, co było na tyle nieprecyzyjnym stwierdzeniem, że ja uznałem, że według mnie niebieskie włosy nie obrażają niczyich uczuć, więc spokojnie mogę sobie przefarbować. Jak się dowiedziałem, niektórych mogą rozpraszać na lekcji. Przepraszam bardzo, ale oni chyba mieliby jakieś poważne problemy z koncentracją, jeśli moje włosy by ich rozpraszały przez cały czas. Poszedłem do fryzjera i z długich niebieskich włosów nie zostało nic, poza warkoczem na pamiętkę, który teraz leży w szafie. To było w okolicach moich piętnastych urodzin – wcześniej trochę szkoda mi było ścinać włosów, ale stwierdziłem, że skoro takie komentarze miałyby podważać poczucie mojej płci za każdym razem, to lepiej się będzie ich pozbyć. To nic, że mężczyźni, którzy mają długie włosy, byli, są i będą – kiedy mówiło się, że jest się osobą transpłciową, wszyscy wymagali, że dostosujesz się do wzorca męskości, jak tylko się da, bo inaczej po prostu skłonni byli stwierdzić, że zmyślasz. Do dziś uważam, że to krzywdzące, ale wtedy nie miałem na tyle silnej psychiki, by przeciwstawiać się wzorowi tzw. „true transa”, nawet jeśli taki wizerunek nie do końca mi odpowiadał.

Jak już wspominałem, spokoju nie miałem już do końca szkoły. Nie miało znaczenia to, że uczyłem się świetnie, że udzielałem się artystycznie, brałem udział w różnych konkursach – mojej wychowawczynie nie podobało się to, że nie zachowuję się jak inne nastolatki w klasie i zwracała wielokrotnie mojej mamie uwagę na ten wyimaginowany problem. W szkole zachowywałem się tak, jak moim zdaniem powinno się tam zachowywać – chodziłem się tam uczyć i to właśnie robiłem. W domu stawałem się zupełnie inną osobą, skłonną do żartów i otwartą, bo czułem się jak u siebie, w przeciwieństwie do miejsca, gdzie mnie strofowano. Mojej wychowawczynie nie podobało się to, jakie książki czytam (nie wiem, może jej zdaniem w gimnazjum nadal należy czytać „Kubusia Puchatka” a nie kryminały?), a czasem jakie koszulki noszę. Przeszła jednak samą siebie, kiedy kazała mi wystąpić na akademii z okazji

dnia nauczyciela w spódnicy. Zacisnąłem zęby i tak wystąpiłem, ale potem niemal się rozryczałem w toalecie. Żeby unikać chodzenia do damskiej toalety, chodziłem czasami do podstawówki w drugim budynku, aby skorzystać z tej dla chłopców. Z perspektywy czasu wydaje mi się to kompletnie niepotrzebne, ale wtedy takie niewielkie rzeczy potrafiły uratować moje samopoczucie, przynajmniej do kolejnego momentu, w którym znów będę się musiał wciskać w jakieś heteronormatywne ramki. Czy nikt nie pomyślał o tym, że niektórym może być w nich zwyczajnie za ciasno?

W szkole spotkało mnie też parę innych przykrych sytuacji związanych z brakiem zrozumienia osób transpłciowych. Pamiętam, że akurat dziewczyny przebierały się na wf w szatni, oczywiście ja wraz z nimi. O wychowaniu fizycznym się nawet nie będę wypowiadać, bo po prostu go nie lubiłem, tożsamość płciowa nie miała tutaj wiele do dodania. W każdym razie jedna z dziewczyn, z którą chodziłem do podstawówki i do tej samej klasy w gimnazjum, powiedziała, że oglądała jakiś program telewizyjny pokroju „Rozmów w toku”, gdzie przyszedł trans-chłopak. Stwierdziła więc, że też będzie nosić męskie ubrania, żeby zyskać uwagę. Bardzo mnie to zabolowało, bo nosiłem męskie ubrania od bardzo dawna i nikt nie raczył zwrócić na to uwagi i pomyśleć, że moja tożsamość płciowa jest inna od oczekiwanej. Może to dlatego, że ja nie potrzebowałem cieszyć się uwagą otoczenia?

Każde wyjście z szafy, czyli podzielenie się z innymi tym, że nie przystawałem w jakiś sposób do heteronormy, dużo mnie kosztowało. Swoim koleżankom z podstawówki też o tym wspominałem, ale one zareagowały dość impulsywnie lub to zbagatelizowały, więc właściwie przestałem już o tym mówić na jakiś czas.

To, że dużo przykrych rzeczy się wtedy działo, jeśli chodzi o moją transseksualność, nie znaczy, że nie działały się dobre. Czasami słyszałem, że wyglądam jak chłopiec, co bardzo wiele dla mnie w tym czasie znaczyło. Przyjaciel, którego poznałem przez swojego bloga z opowiadaniem bardzo mnie we wszystkim wspierał i myślę, że gdyby nie on, bardzo szybko bym się załamał. Nadal mogłem wyrażać siebie jako mężczyznę poprzez swoje opowiadania – kilka razy nawet przybliżałem uczucia towarzyszące byciu osobą transseksualną w swoich tekstach. W tamtym okresie nie mogłem się doczekać ukończenia osiemnastu lat, bo wtedy wreszcie mógłbym poczynić jakieś kroki w celu zmiany swoich danych osobowych, zmiany swojego wyglądu i tym podobnych. Bardzo mnie ekscytowała ta myśl. Często zastanawiałem się, czy moje rysy twarzy się zmieniają, czy chociaż odrobinę urosną po rozpoczęciu terapii hormonalnej, czy będę przystojny. Nadal czasem o tym myślę, a jednak w wieku dwudziestu lat zupełnie mi się już do przyjmowania hormonów nie śpieszy, ale o tym opowiem później, bo ten temat zawsze wzbudzał kontrowersje wśród znajomych.

Mimo swoich skłonności do trzymania się raczej na uboczu, miałem dość przekorny charakter. Nie lubiłem, jak bezsensownie się mi czegoś zabraniało, czy próbowano dopasować do reszty, jak już mówiłem. W pewnym momencie w gimnazjum zacząłem się podpisywać na sprawdzianach, kończąc swoje nazwisko „a” z kropką jak u „i”. Moje nazwisko oczywiście wskazywało na moją płęć, ale przez tę hybrydę literek

sam sobie uświadamiałem, że jestem gdzieś pomiędzy kobietą a mężczyzną i że nie muszę się tego wstydzić. Bardzo dużo nauczycieli to zauważyło, jak się dowiedziałem później, ale żaden otwarcie tego nie skomentował. Dopiero pod koniec trzeciej klasy dowiedziałem się, że dyskutowano na ten temat w pokoju nauczycielskim, od mojego katechety, który postanowił ze mną porozmawiać. Raczej nie dogaduję się za dobrze z osobami manifestującymi swoją wiarę, czego przykładem jest relacja z moją wychowawczynią, jednak swojego katechetę szanowałem. Uczęszczałem jeszcze wtedy na lekcje religii, z których zrezygnowałem w liceum. Nauczyciel ten potrafił uszanować poglądy innych i nie krzywdził celowo czyichś uczuć. Porozmawialiśmy sobie szczerze przez chwilę po lekcjach i powiedział, że będę dla niego wartościową osobą, niezależnie od tego, kim się stanę w przyszłości i jak się moje losy potoczą. Miło było coś takiego usłyszeć i trochę nawet żałuję, że nie mam okazji opowiedzieć mu, co się u mnie działo przez kolejne lata.

Na zakończenie szkoły przyszedłem w krótkich włosach znów przefarbowanych na niebiesko i w garniturze. Wspominałem, że moja natura jest dość przekorna, ale było miło zobaczyć minę mojej wychowawczynie, kiedy bardzo chciała prawić mi kazanie, a nie mogła. Odebrałem swoje świadectwo i tego samego dnia zanieśliśmy do liceum, do którego chciałem się dostać. Liczyłem na to, że w szkole średniej ludzie będą dojrzałsi i że będzie lepiej, ale początek wcale nie był łatwy.

W wakacje zawsze udawało mi się wypocząć. Raczej spędzałem je w domu, niezbyt często wychylając się poza podwórko, więc miałem przerwę w kontaktach z ludźmi. Nie musiałem słuchać, jak ktoś w sklepie zwracał się do mnie „proszę pani”, ani widzieć ludzi, którzy dziwnie na mnie spoglądali, bo ubierałem się inaczej niż inne nastolatki, ani też przytakiwać nauczycielom, którzy usilnie próbowali wymusić na mnie dostosowanie się do reszty. Mogłem się wyciszyć w trakcie tych dni, które spędzałem w domu na czytaniu książek, pisaniu opowiadań czy rysowaniu. Wiedziałem, że prędzej czy później w trakcie roku szkolnego znów stanę się kłębkim nerwów, dlatego korzystałem z każdej chwili spokoju.

Przejmowałem się tym, że idę do liceum. Miałem wobec tej zmiany mieszane uczucia – dużo obaw i nadziei. Liczyłem na to, że trafię na kolegów z klasy otwartych i dojrzałych, którzy mnie zrozumieją, a jednak wiedziałem, że szesnastolatkom nadal potrafią zachowywać się jak dzieci. Chciałem stać się śmielszy względem innych i wiedziałem, że będzie mnie to kosztowało wiele trudu. Nie wyobrażałem sobie wtedy, że potrafiłbym ścisnąć komuś dłoń na przywitaniu i śmiało przedstawić się swoim wybranym imieniem. Wtedy widziałem to jedynie w marzeniach, dziś to kompletnie inna sprawa.

Przed rozpoczęciem roku szkolnego zdążyłem bliżej zaprzyjaźnić się z moją przyszłą koleżanką z klasy – mieliśmy razem uczęszczać trzy lata do klasy biologiczno-chemicznej. Powiedziałem jej o swoim transseksualizmie, dlatego że pisząc do niej wiadomości czasami z czystego przyzwyczajenia używałem wobec siebie męskiej osoby. Nawet jeśli próbowałem stosować żeńskie zaimki, brzmiało to dla mnie

sztucznie. Jakbym wtedy kogoś udawał, ale nieudolnie. Przyjęła to właściwie bez problemu, ale później wcale nie było tak różowo, nawet jeśli nieźle się zapowiadało.

Na rozpoczęcie przyszedłem w garniturze. Przez chwilę nawet cieszyłem się dobrym passingiem, czego później dowiedziałem się z plotek na mój temat. Wszyscy myśleli, że jestem chłopcem, dopóki moja nowa wychowawczyni nie zaczęła rozdawać legitymacji. Siłą rzeczy użyła moich danych umieszczonych w dokumentach, więc czar prysł dość szybko.

Następnego dnia jechaliśmy od razu na wyjazd integracyjny. Osobiście nie bawią mnie takie rzeczy, bo to ostatnia rzecz, jaka jest w stanie mnie zintegrować z kimkolwiek. Udało mi się jednak porozmawiać z paroma interesującymi osobami, chociaż jakimś cudem na koniec dnia wylądowałem w towarzystwie osób z klasy artystycznej i humanistycznej, zamiast wśród swojej klasy. Może nawet wyszło mi to na dobre. Potem dowiedziałem się, że niektóre dziewczyny zdążyły już namnożyć o mnie teorii. Moim faworytem do dzisiaj pozostało stwierdzenie: „skoro mówi o sobie w męskiej osobie, to na pewno jest lesbijką”. Do dziś czasami próbuję doszukać się w tym pokrętej logiki. Nie zauważyłem jednak, żeby przez tę czy inną wypowiedź któreś z nowych znajomych dało mi do zrozumienia, że byłem niemile widziany.

Zakochałem się parę razy – podobno ludzie czasami tak robią. Przed liceum to były tylko nieśmiałe, nieprowadzące do niczego zauroczenia. Dopiero w szkole średniej zacząłem się z kimś spotykać, a mianowicie z dziewczyną, którą poznałem podczas wyjazdu integracyjnego. Oczarowała mnie jej specyficzna uroda i śmiały charakter, którego mi brakowało. Ciężko było powiedzieć, że nasza relacja miała szansę skończyć się czymś dobrym – czasami myślałem, że być może byłem jedynie zastępstwem za jej przyjaciela z innego liceum, który odrzucił jej uczucia. Zbliżenie się do siebie zajęło nam trochę czasu, ale uznałem, że warto dać temu szansę.

Całkiem spodobało mi się to, że miałem kogo wypatrywać na szkolnym korytarzu. Miło też chodziło się razem do kawiarni. Trzymanie się za rękę i przytulanie dawało poczucie, że nie było się kompletnie samemu. Pocałunki właściwie też były przyjemne. Przez te wszystkie rzeczy jeszcze bardziej przyległa do mnie łaska lesbijki, ale nie przejmowałem się tym i nie próbowałem dementować podobnych pogłosek – ludzie mają tendencję do dostrzegania tego, czego chcą, a wyprowadzanie z błędu każdego z osobna zajmuje zbyt wiele czasu.

Nie rozważałem swojej seksualności w kategorii bycia heteroseksualistą czy homoseksualistą, podobnie jak przestałem rozpatrywać swoją płć przez pryzmat bycia mężczyzną lub kobietą. Nigdy nie wykluczałem możliwości zakochania się w mężczyźnie, w kobiecie, w osobie transpłciowej czy osobie, która nie utożsamia się z żadną z płci. Być może jedynie w filmach ludzie zakochiwali się w najmniej oczekiwanych osobach, ale wierzyłem, że w życiu też nie należy z góry niczego przekreślać.

Mój pierwszy związek nie trwał długo. Wziąłem za zerwanie winę na siebie, gdyż uważałem, że miałem dużo braków. Ciężko przychodziło mi okazywanie emocji, spałek po ojcu, co nie spodobało się mojej dziewczynie. Wmawiałem sobie, że w sumie dobrze się stało, bo pewnie na dłuższą metę bym ją tylko unieszczęśliwił – w końcu

związek z osobą transpłciową potrafił generować problemy, z którymi inne pary najczęściej się nie borykały. Nie pozwoliłem sobie prędko zakochać się ponownie.

W klasie znalazłem swoją niszę. Jak zawsze trzymałem się żeńskiego towarzystwa, ale właściwie dość prędko poprosiłem jedną z dziewczyn z naszej paczki, żeby zaczęła zwracać się do mnie moim męskim imieniem, bo żeńskiego zwyczajnie nie znosiłem. Nie miała z tym większego problemu i cieszyła się, że jej to wyjaśniłem. Po jakimś czasie inne z dziewczyn także zaczęły mówić do mnie w męskiej osobie, więc wiele do szczęścia mi już naprawdę nie było potrzeba. Z kilkoma osobami z liceum nadal utrzymuję dobre stosunki, mimo że każde z nas poszło w swoją stronę, jeśli chodzi o dalszą naukę.

Nie tylko w szkole jednak znalazłem dla siebie towarzystwo. Już w wakacje zgłosiłem chęć uczestnictwa w spotkaniach grupy dla osób LGBT. Takich żeby się wesprzeć, pogadać, wypić wspólnie herbatę, a czasem gdzieś się wybrać. Wcześniej nie mogłem nawet myśleć o czymś podobnym, ponieważ nie miałem szans regularnie pojawiać się w mieście. Kiedy jednak grupa aktywowała się w październiku, zacząłem regularnie brać udział w jej spotkaniach. Miałem tam szansę otworzyć się i podzielić z kimś innymi własnymi problemami, nie bojąc się szykan. Raz na dwa tygodnie czułem się, jakbym odwiedzał rodzinę, którą sam sobie wybrałem. Po raz pierwszy miałem okazję spotkać inną osobę transpłciową na żywo – wcześniej miałem z takowymi kontakt jedynie za pomocą chatu czy forum. Szybko się ze sobą zżyliśmy. Mieliśmy wspólne zainteresowania i razem robiliśmy szalone rzeczy.

Nawet jeśli w okresie licealnym nie wszystko było idealne, dużo rzeczy zaczęło się zmieniać na lepsze. Cieszyłem się, że trafiłem do klasy, w której nikt się ze mnie nie śmiał, nawet jeśli miałem swój sposób bycia inny niż reszta. Poczulem się spokojniej, mając możliwość poznania innych osób, dzielących ze mną problemy dotyczące mniejszości. Kiedy codziennie chodziłem ulicami starego miasta, cieszyłem się miejskim gwarem, kolorowymi witrynami sklepów i okolicznościowymi zmianami dekoracji. Wszystko było jednak jeszcze przede mną, bo kolejne lata miały się okazać dla mnie dziwnie obfitującymi w wydarzenia.

Po tym, jak mój pierwszy poważniejszy związek się rozpadł, dałem sobie spokój z różnymi miłostkami. Czas wypełniała mi nie tylko nauka, lecz także udzielanie się w wydarzeniach związanym ze środowiskiem LGBT. Brałem udział w Marszach Równości organizowanych w różnych miastach, dyskusjach, dyskotekach i tym podobnych. Działalem czasami jako skromna, szara eminencja, ponieważ znając się z osobami, które takie wydarzenia również organizowały, pomagałem im w różnych rzeczach. W tamtym czasie starałem się budować swoją pewność siebie. Nie przeszkadzali mi w tym nauczyciele, którzy próbowali narzucić mi swoje przekonania, miałem akceptujących znajomych w różnym wieku i z różnych środowisk, czułem się swobodnie we własnym ciele, nawet jeśli nie wydawało mi się idealne. Kiedy właściwie nie miało się większych zmartwień, człowiek czasami dawał się porwać zauroczeniu i zawsze potem przypominało mu się, że nic innego nie potrafi stworzyć tylu problemów.

Historia, którą teraz przedstawię, to właściwie moja ulubiona anegdota. Dowód na to, że Wszechświat ewidentnie sobie ze mnie żartuje, zsyłając na mnie ironiczne wydarzenia i zbiegi okoliczności. Nie wiem, czy każdy ma takie wrażenie czasami, ale mnie się zdaje, że prześladuje mnie jakieś fatum. Wracając jednak do sedna sprawy...

Wszystko zaczęło się jeszcze przed liceum. Jechałem do miasta zrobić sobie zdjęcie do legitymacji. Poprzedniego wieczora miałem paskudny humor i płakałem do późna, dlatego w zdjęciu w szkolnym dokumencie zupełnie siebie nie przypominam i wyglądam, jakbym cierpiał na chorobę oczu. Jednak coś ocaliło mi ten dzień. Kiedy przechodziłem przez jedną z centralnych ulic w mieście, minął mnie przystojny chłopak, który posłał mi nieziemsko rozbijający uśmiech. Przynajmniej tak to zapamiętałem. Wpadł mi już wcześniej w oko, kiedy widziałem go na dworcu autobusowym – długie czarne włosy, ciemne ubranie, okulary z dużymi oprawkami. Nie sposób było nie zwrócić na niego uwagi.

W pierwszej klasie opowiedziałem swoim przyjaciółkom o tym chłopaku. Okazało się, że go kojarzyły, a jedna z nich nawet jeździła z nim czasami autobusem. Wszyscy zgadzaliśmy się co do jego nietuzinkowej urody. Nie wiedzieliśmy, jak miał na imię, więc roboczo moja znajoma nazwała go Dominik, bo przypominał jej bohatera filmu „Sala Samobójców”. Zawsze, kiedy któreś z nas widziało go na mieście, wspominaliśmy o tym sobie. Żadne z nas jednak nie widziało możliwości, żeby poznać go bliżej. Dopiero za rok dowiedziałem się, że chodził do liceum położonego nad Wisłą. Wszystko za sprawą tego, że jedna z moich czytelniczek chodziła do tej samej szkoły i z mojego opisu go rozpoznała. Czasem mi o nim opowiadała, ale w gruncie rzeczy nie miała z nim większego kontaktu.

Ta relacja nigdy nie miała zaistnieć. A jednak nasze drogi się splotły. Poszliśmy razem z moim znajomym do McDonalda i tam opowiadałem mu o tym, jakiego uroczego chłopaka widuję czasami na dworcu. On kiwał głową ze zrozumieniem, jedząc powoli lody. Kiedy rozwódziłem się nad tym, jak bardzo mi się on podobał, właśnie wszedł na piętro, na którym siedzieliśmy i zajął ze swoją przyjaciółką miejsca parę stolików dalej. Podekscytowałem się niczym mała dziewczynka, a już zupełnie straciłem głowę, gdy mój znajomy powiedział, że właściwie to pracował z tym chłopakiem i mógłby mnie mu przestawić. Spanikowałem i stwierdziłem, że to nie jest dobry pomysł, bo przecież się rozpuszczę, kiedy zobaczę go z bliska. Jednak później dałem się namówić na to, aby go poznać.

Uczęszczał na otwarte spotkania dla fanów mangi i anime. Kiedy się z nim tam przywitałem i mu przestawiłem, wydawało mi się, że czas stanął w miejscu, podobnie jak moje serce i oddech. Spodziewałem się, że patrzyłem na niego wręcz cielęcym wzrokiem. Wszyscy, którzy na nas wtedy patrzyli, mogli spokojnie stwierdzić, że to wyglądało trochę jak scena z filmu i tylko ostatni ignorant nie zobaczyłby wtedy, co czułem do tego chłopaka. Zacząłem przychodzić co tydzień na spotkania, żeby móc z nim przynajmniej przebywać w tym samym pomieszczeniu. Graliśmy razem w gry i rozmawialiśmy. Inne osoby też były dla mnie miłe, a jednak mi w tej grupie zależało jedynie na jego uwadze. Odprowadzałem go na dworzec, czasami czekałem tam na

niego po lekcjach. Wszystko po to, żeby przynajmniej przez pięć minut móc z nim porozmawiać. Pamiętam, że zawsze czułem motylki w brzuchu, kiedy dostrzegałem go w tłumie lub kiedy pisałem do niego wiadomości. Pierwszy raz coś takiego czułem, dlatego wydawało mi się, że to coś znacząco.

Każda spędzona z nim chwila potrafiła mnie niezmiernie uszczęśliwić. Niekiedy jednak płakałem w poduszkę, bo zdawałem sobie sprawę, że nigdy nie będziemy nikim więcej niż znajomymi. Wiedziałem, że podobali mu się mężczyźni, ale nie sądziłem, by brał pod uwagę osobę taką jak ja. Za każdym razem, kiedy oglądał się za wysokimi, cisseksualnymi mężczyznami, udawałem, że nie zwracałem na to uwagi, chociaż bardzo mnie to bolało. Z jednej strony chciałem być samolubny chociaż raz w życiu i móc go mieć całego dla siebie, a z drugiej strony dobrze wiedziałem, że to kompletnie niemożliwe. Z perspektywy czasu patrzę na to zauroczenie z przymrużeniem oka, bo wydaje mi się to uroczo szczeniackie, a z drugiej strony kompletnie nie wiem, co miałem wtedy w głowie, chociaż przecież nie było to aż tak dawno.

Poszliśmy raz na gorącą czekoladę. Chociaż miało to miejsce w Walentynki, nie można tego było nazwać randką. Jak na środek lutego nie było bardzo chłodno. Może nawet udzieliła mi się atmosfera rozwieszonych wszędzie serduszkowych dekoracji, ale wiedziałem, że jemu nie. Niemniej jednak dobrze się bawiliśmy, tak przynajmniej myślę. Mieliśmy wtedy sporo czasu tylko dla siebie, więc rozmawialiśmy o sobie, o szkole, o rodzinie i tym podobnych rzeczach. Spacerowaliśmy nad Wisłą i zatrzymaliśmy się na placu zabaw. Spędziliśmy tam chwilę, bujając się na huśtawce, lekko do siebie przytuleni. Wtedy ludziłem się chyba, że może między nami może kiedyś coś zaiskrzyć. Mieliśmy w końcu parę wspólnych tematów, podobne poczucie humoru, może nawet trochę usposobienie. Sam nie wiem. Prawdopodobnie wtedy wszystko w nim idealizowałem, więc nie należy traktować mojej opinii obiektywnie.

Dwa miesiące później byłem już kompletnie emocjonalnie rozchwiany i nie potrafiłem sobie poradzić z uczuciami do niego. Podczas dłuższej przerwy od szkoły nie wytrzymałem i powiedziałem mu, że go kocham, zastrzegając, że zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że on tych uczuć nie odwzajemniał. Nie zaprzeczył. Spodziewałem się, że mnie odrzuci, a jednak chyba zawsze w takich momentach miało się nadzieję, że będzie inaczej. Nie miałem mu za złe tego, że nie widział we mnie potencjalnego partnera, ale zranił mnie tym, że powiedział, że prawdopodobnie będzie robił sobie żarty z moich uczuć do niego. To mnie strasznie złamało. Płakałem i zastanawiałem się, czy mogę coś zrobić, żeby zniknąć z powierzchni ziemi. Niektórzy znajomi zaczęli się martwić, że zrobię sobie krzywdę. Ciężko powiedzieć, że nie miałem na to wtedy ochoty.

Mój najlepszy przyjaciel, ten z którym pozostawałem w relacji na odległość, zaofiarował, że przyjedzie do mnie i spróbuje poprawić mi nastrój. Mimo że znaleźliśmy się wtedy trzy lata, wiedzieliśmy się tylko dwa razy na konwentach, więc nie rozumiałem, dlaczego postanowił do mnie przyjechać. Może na jego decyzję wpłynęło to, że sam na początku roku kimś się zauroczył, a później okazało się, że ta osoba nie była warta jego uczuć. Moja mama zgodziła się na jego odwiedzinę, więc gdy jechał do mnie

przez pół kraju, miałem nadzieję, że jego obecność odwróci moje myśli od ostatnich zdarzeń.

Kiedy odbierałem go z dworca, był ciepły majowy dzień. Przeszliśmy na piechotę przez most, a potem kręciliśmy się po starym mieście. Nalegał, żeby pójść do małej kawiarni, gdzie serwowali oreo latte, a ja się zgodziłem, nawet jeśli wcześniej byłem tam na czekoladzie z chłopakiem, który dał mi kosza. Mój przyjaciel zajął nawet to samo miejsce co on.

Bardzo się zmienił, odkąd widziałem go ostatni raz. Urósł i wydorósł. Głos mu się zmienił. Zaczął palić papierosy. Stał się też bardziej śmiały. Pamiętałem, jaki zamknięty w sobie był, kiedy rozmawiałem z nim pierwszy raz. Złapałem go za rękę, kiedy siedzieliśmy przy stoliku, czekając na nasze zamówienie. Zrobiłem to raczej bezwiednie, próbując się czymś zająć. Dopiero po paru latach dowiedziałem się, że ten moment wiele dla niego znaczył, nawet jeśli ja ledwo o nim pamiętałem.

Spędziliśmy razem miły wieczór zakończony butelką wina. Czułem się wtedy bardzo błogo. Zapomniałem kompletnie o chłopaku, za którym parę miesięcy gonilem, nie czułem już z tego powodu wstydu czy żalu. Wydawało mi się, że w zasadzie jest wszystko w porządku, gdy trzymałem głowę na kolanach mojego najlepszego przyjaciela, a on delikatnie głaskał mnie swoją dużą, ciepłą dłońią.

Nie sądziłem, by tego wieczoru mogło dojść między nami do czegoś więcej. Mój najlepszy przyjaciel także był gejem, a z tego, co było mi wiadomo, nigdy go nie pociągałem. Nie próbowałem tego świadomie zmieniać w żaden sposób, więc nie spodziewałem się, że tamtego wieczora obejmie mnie czule i sprawi, że poczuję się chciany. Ten dzień był dla mnie bardzo ważny, bo uświadomił mi, że moje ciało tak naprawdę nie miało tak dużego znaczenia, jeżeli moja osobowość, temperament i sposób bycia kogoś urzekły. Do tamtego momentu myślałem, że jestem w stanie poradzić sobie w życiu sam. Punktem zwrotnym okazało się zrozumienie, że potrzebowałem mieć w kimś oparcie. Nikt nie akceptował mnie wcześniej tak jak on, dlatego prędko zakochałem się w nim bez pamięci. Przez jakiś czas pozostawaliśmy w związku na odległość, ale po jakimś czasie nas to przytłoczyło. Obaj mieliśmy problemy z kondycją psychiczną, ja wymagałem od niego zaangażowania, którego się bał, przez co narastało w między nami napięcie. Koniec końców właściwie się rozeszliśmy, chociaż ja nie przestałem go kochać. Nawet jeśli przez długi czas miałem żal o to, że ponownie poczułem się odepchnięty i niechciany, to nadal starałem się cierpliwie czekać, aż wszystko się ułoży i do siebie wrócimy. Wielu osobom wydawało się to naiwne i uważały, że staram się o niemożliwe. Ja jednak byłem przekonany, że mu na mnie zależało – w końcu nie dało się przez kilka miesięcy tego udawać, prawda?

Oddałem się moim zainteresowaniom, jak zwykle, kiedy nie umiałem sobie do końca poradzić z nadmiarem emocji i pojęcia nie miałem, co powinienem dalej robić. Swoje przeżycia wplatałem w wydarzenia kreowanych przez siebie historii. Stawały się przez to niekiedy bardzo osobiste, ponieważ moje problemy stawały się problemami występujących w nich postaci. Na swój sposób dzięki temu radziłem sobie z nimi. Tym sposobem w moich opowiadaniach czy nowelkach pojawiały się nie

tylko osoby transpłciowe, ale też pozostawione same sobie, jednostronnie zakochane, niemogące pogodzić się z przeszłością. Najważniejszą rolę w moich opowiadaniach zwykle odgrywały uczucia. Moi czytelnicy twierdzili, że opisuję je w świetny sposób. Zawsze starałem się tak robić, bo czym jest akcja, na którą bohaterowie w ogóle nie reagują? Zwykła forma bez treści.

Nawet jeśli moje relacje z najlepszym przyjacielem strasznie się skomplikowały, i tak poszliśmy razem na jego studniówkę. Zrezygnowałem z pójścia na swoją, ponieważ nie sądziłem, że byłbym się w stanie dobrze na niej bawić. Bardzo jednak mi zależało, aby móc z nim pójść na takie wydarzenie, dlatego nalegałem, choć ostateczną decyzję podjął bardzo późno. Dostałem na tę okazję nawet nowy, jasnoszary garnitur. Wyglądałem w nim obłudnie, podobnie jak on w swoim granatowym. Cieszyłem się, że mieliśmy okazję się razem pokazać na takim wydarzeniu. Nawet jeśli nigdy nie okazywaliśmy sobie publicznie uczuć, kiedy jeszcze byliśmy parą, wydawało mi się, że w tamtej chwili wszyscy wiedzieli, że przyszliśmy razem. Nikt nie patrzył na nas dziwnie, bo razem z nami przy stoliku siedziało jeszcze dwóch chłopaków, którzy przyszli razem, i dziewczyna ze swoim chłopakiem – także osobą transpłciową. Taka to była specyficzna klasa.

Pomimo moich starań przepaść między mną a moim byłym nie chciała się zmniejszyć. Miałem wrażenie, że z każdą próbą wyjaśnienia tego, co między nami było i znalezienia powodu, dla którego się posypało, odległość między nami tylko się zwiększała. Dlatego w pewnym momencie postanowiłem odpuścić, żeby ostatecznie wszystkiego nie zaprzepaścić. Nawet jeśli nie miałem ochoty na żaden nowy romans, gdyż nie mogłem pogodzić się z końcem poprzedniego, nie chciałem się czuć osamotniony. Wtedy zaczynałem wpadać w naprawdę tragiczną kondycję psychiczną, dlatego potrzebowałem czyjejs uwagi. Chciałem od czasu do czasu usłyszeć, że komuś na mnie zależy, że coś sobą reprezentuję i znaczę.

Dziś jest już zupełnie inaczej. Kiedy poszedłem na studia, poczułem się, jakbym wziął głęboki oddech. Pierwszy raz nie miałem problemów, żeby się zaaklimatyzować. Nikt nie zadawał mi pretensjonalnych pytań. Osoby z mojej grupy dziekańskiej zaakceptowały mnie takiego, jakim jestem. Nie musiałem im się tłumaczyć z niczego, po prostu domyśliły się, co jest na rzeczy. Jestem im bardzo wdzięczny za zrozumienie. Nawet dostałem w zeszłym roku prezent z okazji Dnia Mężczyzny razem z resztą chłopaków. Mieszkam w jednoosobowym pokoju w akademiku, ale lokatorzy z mojego piętra także zdają się mnie lubić, nawet jeśli nie jestem najbardziej standardowym studentem, z którym przyszło im się zadawać.

Podczas długiego pobytu w domu spowodowanego epidemią wirusa SARS-Cov-2 podupadłem nieco na zdrowiu psychicznym, ale po zaprzyjaźnieniu się z lekami antydepresyjnymi poczułem się dużo lepiej. Na początku było ciężko, ale szybko odniosłem wrażenie, jakby ktoś zrobił mi reset – wszystkie złe wspomnienia jakoś przestały mi ciążyć. Przestałem mieć napady płaczu, moje samopoczucie wreszcie stało się jak-

kolwiek stabilne, nie panikowałem przy najmniejszym kłopotcie. Biorę tabletki już pół roku i czuję, że powoli odżywam.

Nie jestem już tym samym słabym psychicznie i zamkniętym w sobie chłopcem, którym byłem kiedyś. Nadal jest we mnie dużo obaw, ale nie daję już sobie wmawiać, że muszę wyglądać tak męsko, jak się da, aby ktoś rozważył, czy szanować moją tożsamość płciową, czy nie. Stwierdziłem, że życie jest za krótkie, aby wpasowywać się w konkretne wzorce, szczególnie że i tak się już z nich wyłamałem. Nawet jeśli seksuologowie i inni lekarze mający do czynienia z osobami transpłciowymi uważają, że transseksualny mężczyzna nie może zapuszczać włosów, nosić makijażu czy wyglądać uroczo, będą musieli zrewidować swoje poglądy, bo ja nie zamierzam się do nich dopasowywać, nawet jeśli od nich zależna będzie ich diagnoza. Wiele moich transseksualnych kolegów ścinało włosy specjalnie po to, żeby zrobić odpowiednie wrażenie, a po uzyskaniu opinii zapuszczali je na nowo. Ja nie widzę już sensu w takim udawaniu, nawet jeśli miałyby mi to coś ułatwić. Dorosłem do takiego poglądu.

Moje życie się zmienia, ja się zmieniam, świat wokół mnie także. Poglądy ulegają zmianom, więc dlaczego sposób ekspresji swojej płci, czy nawet jej poczucie, nie może? Wydaje mi się, że tak naprawdę nic nie jest stałe. Są dni, w których czuję się bardzo męsko, są dni, w których czuję się zawieszony pomiędzy męskością a kobiecością, ale zupełnie mi to nie przeszkadza.

Nie budzę się z myślą o tym, kim się czuję. Wstaję z łóżka jedynie z przekonaniem, że muszę sobie zrobić kawę, bo wypicie jej rano to jedyna rzecz, co do której mam absolutną pewność, że się nie zmieni.

Chciałbym, żeby osoby heteronormatywne, które być może to przeczytają, przekonały się, o ile jeszcze tego nie wiedzą, że moje życie wcale nie jest jakieś różne od ich egzystencji. Moją codzienność wypełniają podobne radości i smutki. Nie chcę niczego szczególnego od życia, poza możliwością spokojnego spędzania każdego dnia, na jaki sposób chcę. Boję się, że ta możliwość może mi zostać odebrana, gdyż ostatnie nastroje polityczne i społeczne raczej nie są przychylne komuś takiemu jak ja. Nie odczuwam potrzeby robienia z siebie ofiary, ale nie zamierzam też uchylać karku przed tymi, którzy niesłusznie uważają mnie za dewianta. Czuję równie dużo, co wszyscy inni. Wiem, że robienie komuś przykrości i krzywdy nie może być usprawiedliwione, szczególnie nie strachem i uprzedzeniami. Mam nadzieję, że inni także prędko zdadzą sobie z tego sprawę, jeżeli tego jeszcze nie rozumieją.

Mała antologia pamiętników Osób LGBTQIA+ to pierwsza z publikacji tekstów nadesłanych na konkurs zorganizowany w 2020 roku przez Pracownię Badań nad Historią i Tożsamościami LGBT+ w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego wspólnie z Fundacją im. Heinricha Bölla w Warszawie. Osiemnaście osobistych historii, opowiedzianych własnym głosem i na własnych zasadach. Nadesłane na konkurs autobiografie pozwalają zrozumieć, jak wygląda życie osób niehetero- i niecisnormatywnych w Polsce: dorastanie, życie rodzinne, miłości, kontakty z instytucjami publicznymi. Pamiętniki odśmiaują wielość i różnorodność indywidualnych doświadczeń, ale i wspólne problemy, z jakimi mierzą się osoby LGBTQIA+ w Polsce. Jest tu obecna i determinacja w walce o siebie, i troska o innych, wzajemna solidarność, której wyrazem jest również opowiedzenie własnej historii, i wreszcie – żywiołowe, czasem ironiczne, czasem gorzkie, poczucie humoru.

Już w marcu 2022 r. znajdziesz więcej historii w dużej antologii pamiętników – niebawem w księgarniach!

Patron medialny:

